



BUDDENBROOKOWIE
TOM II

Tomasz Mann



TOMASZ MANN

Buddenbrookowie

MANN TOMASZ

Dzieje upadku rodziny

Tom

Całość w tomach

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 2000

Przełożyła Ewa Librowiczowa

Skład, druk i oprawa

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa, ul. Konwiktorska 9

Przedruk: „Wydawnictwo

Dolnośląskie”,

Wrocław 1996

Korekta:

K. Markiewicz

i I. Stankiewicz

‘ty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Część pierwsza

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział pierwszy

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

–Jakże się to zaczyna... Jak to się zaczyna...

–Tam do diabła, c’est la Question, ma tres chere demoiselle! (To jest właśnie pytanie, moja droga panienko! – franc.)

Konsulowa Buddenbrook,

siedząca obok swej teściowej na prostej w liniach, biało lakierowanej, pokrytej jasnożółtym obiciem sofy, ozdobionej złoconą głową lwa, spojrzała na męża zagłębionego obok w fotelu i pomogła córeczce, którą przy oknie dziadek trzymał na kolanach.

–Toniu! – rzekła – wierzę, że Bóg...

A mała Antonina, ośmioletnia drobna dziewczynka, ubrana w sukienkę z leciutkiego, mieniącego się jedwabiu,

odwróciwszy nieco swą śliczną jasną główkę od twarzy dziadka, zastanawiała się z wysiłkiem, rozglądając się po pokoju szarobłękitnymi, nic nie widzącymi oczyma, po czym powtórzyła raz jeszcze:

–Jakże się to zaczyna... – wymówiła wolno.

–Wierzę, że Bóg – i z

rozjaśnioną twarzą dorzuciła szybko: – stworzył mnie wspólnie z wszelkim stworzeniem. – Teraz odnalazła nagle właściwy wątek i wyrecytowała bez zająknięcia cały artykuł, dosłownie według tekstu katechizmu, który właśnie ostatnio przejrany i poprawiony ukazał się w druku anno 1835, za zezwoleniem wysokiego i wszechwładzącego senatu.

„Gdy już raz sobie przypomnę – myślała – to wydaje mi się, jak gdybym zimą zjeżdżała z braćmi na saneczkach z Góry Jerozolimskiej, nie można o niczym myśleć ani też zatrzymać się, choćby się nawet chciało”.

–Do tego odzież i obuwie – ciągnęła – jedło i napój, dom i dwór, żonę i dziecko, ziemię i bydło... – Na te słowa stary pan Jan Buddenbrook po prostu wybuchnął śmiechem, tym swoim głośnym drwiącym chichotem, który od dawna już miał w pogotowiu. Śmiał się z uciechy, że może pożartować sobie z katechizmu, i prawdopodobnie tylko w tym celu urządził ten mały egzamin. Dowiadywał się o ziemię i bydło małej Toni, spytał, ile bierze za worek pszenicy, i wyraził gotowość robienia z nią interesów. Okrągła, rumiana, dobrodusznym jego twarz, której na próżno usiłował nadać wyraz złośliwości, otoczona była śnieżnobiałymi, upudrowanymi włosami i jakby leciutko zaznaczony harcap spadał na kołnierzyk jego mysiego surduta. W siedemdziesiątym roku życia nie sprzeniewierzył się modzie swych młodych lat; wyrzekł się jedynie szamerowania między guzikami i wokół wielkich kieszeni, ale nigdy w życiu nie miał na sobie długich spodni. Jego szeroka, podwójna broda spoczywała z wyrazem zadowolenia na białym koronkowym żabocie.

Wszyscy śmieli się wraz z nim, głównie jednak z uszanowania dla głowy rodziny. Pani Antoinette Buddenbrook, z domu Duchamps, chichotała zupełnie tak samo jak jej mąż.

Była to korpulentna dama o pięknych, białych lokach ułożonych nad uszami, ubrana w suknię w czarne i szare pasy, pozbawioną wszelkich ozdób, co świadczyło o prostocie i skromności, złożone na kolanach ręce, w których trzymała mały aksamitny woreczek pompadour były jeszcze teraz piękne i białe. Rysy jej twarzy z biegiem lat w dziwny sposób upodobniły się do rysów męża. Jedynie wykrój i żywość czarnych oczu zdradzały na pół romańskie pochodzenie; dziadek jej wywodził się ze szwajcarsko-francuskiej rodziny, ona zaś urodzona była w Hamburgu.

Synowa jej, konsulowa Elżbieta Buddenbrook, z domu Kröger, śmiała się podobnie jak wszyscy Krögerowie; rozpoczynała parsknięciem i przyciskała przy tym brodę do piersi. Wyglądała, jak wszyscy w jej rodzinie, nadzwyczaj elegancko i jeśli nie można było nazwać jej piękną, to jednak swym dźwięcznym, poważnym głosem, spokojnymi i łagodnymi ruchami wzbudzała w otoczeniu uczucie pewności i zaufania. Rudawe jej włosy, ułożone wysoko w koronę i ufryzowane nad uszami w szerokie kunsztowne loki, harmonizowały z niezmiernie delikatną białą cerą, pokrytą z rzadka drobnymi piegami. Charakterystyczne dla jej twarzy o nieco za długim nosie i małych ustach było to, że między dolną wargą a brodą nie zarysowywało się zwykle wgłębienie. Krótki stanik z bufiastymi rękawami łączył się z wąską spódniczką z lekkiego jedwabiu w kwiaty i odsłaniał szyję skończoną piękną, ozdobioną atlasową wstążeczką, na której lśnił medalion wysadzany brylantami.

Konsul pochylił się w fotelu ruchem nieco nerwowym. Miał na sobie surdut barwy cynamonowej, z szerokimi wyłogami, którego rękawy zwężały się dopiero poniżej łokci wokół dłoni. Spodnie uszyte były z białego materiału do prania; na zewnętrznych stronach widniały czarne lampasy. Wokół sztywnego wysokiego kołnierzyka, otaczającego podbródek, zawiązany był jedwabny krawat, który szeroko i obficie wypełniał całe wycięcie pstry kamizelki. Konsul miał trochę zbyt głęboko osadzone, niebieskie, uważne oczy swego ojca, jakkolwiek wyraz ich był może bardziej marzycielski; rysy jego były jednak poważniejsze i ostrzejsze, nos uwydatniał się mocnym łukiem, a policzki, aż do połowy pokryte jasnym, kędzierzawym zarostem, były o wiele mniej pełne niż u ojca...

Pani Buddenbrook zwróciła się do synowej, ujęła ją za ramię, spojrzała na nią, zachichotała i rzekła sznurując usta:

–Zawsze ten sam, mon vieux, (mój staruszek – franc.) Betsy...

Konsulowa pogroziła tylko w milczeniu drobną ręką, a ogniwa jej złotej bransoletki lekko zadźwięczały; potem wykonała właściwy sobie ruch ręką od kącika ust do fryzury, jak gdyby chciała doprowadzić do porządku jakiś zablakany włos.

Konsul jednak odezwał się na pół z uśmiechem, na pół z wyrzutem:

–Ależ ojciec znowu wyśmiewa się z najświętszych rzeczy!

Siedzieli w pokoju

„pejzażowym”, na pierwszym piętrze obszernego, starego domu na Mengstrasse, który firma „Jan Buddenbrook” nabyła w swoim czasie i gdzie rodzina niedawno właśnie zamieszkała. Na grubych, elastycznych tapetach, rozpiętych w pewnej odległości od ścian, widniały wielkie pejzaże, delikatne w kolorycie – jak i cienki dywan zaścielający posadzkę – przedstawiające idylle w guście XVIII wieku: wesole winobranie, skrętnych rolników, zdobne we wstążki pasterki, które nad brzegami przejrzystych wód tulily do łona bielutkie owieczki lub całowały się z czułymi pasterzami... Obrazy te utrzymane były w żółtawym tonie zachodzącego słońca, a z tonem tym harmonizowało żółte obicie biało lakierowanych mebli, jak również żółte jedwabne firanki w obu oknach.

Jak na tak wielki pokój, sprzętów w nim było niewiele. Okrągły stół o cienkich, prostych nogach, pokrytych lekkim, złotym ornamentem, nie stał przed sofą, lecz u przeciwległej ściany, na wprost małej fisharmonii, na której leżał futerał fletu. Prócz symetrycznie pod ścianami rozstawionych sztywnych foteli był tam jeszcze tylko pod oknem mały stolik do szycia, a na wprost sofy delikatna, zbyt kowna sekretera, zastawiona bibelotami.

Poprzez oszklone drzwi, na wprost okien, widać było półcień sali kolumnowej, wysokie, białe drzwi na lewo prowadziły do sali jadalnej. Z przeciwnej strony dobiegał trzask drzewa płożącego w piecu umieszczonym w półokrągłej niszy, poza kratą z kutego żelaza.

Wcześniej bowiem nadeszły chłody. Już teraz, w połowie października, pożółkły młode lipy otaczające cmentarzyk kościoła Panny Marii, wznoszącego się po drugiej stronie ulicy; wokół potężnych gotyckich narożników świszczał wiatr i mżył drobny, zimny deszcz. Na życzenie starszej pani Buddenbrook założono już podwójne okna.

Był to czwartek, dzień, w którym raz na dwa tygodnie zbierała się cała rodzina; tym razem jednak prócz zamieszkałych w mieście krewnych zaproszono również na skromny obiad starych przyjaciół domu i oto teraz, około czwartej po południu, siedziano tak razem o zmroku, oczekując gości...

Żarty dziadka nie zbiły z tropu małej Toni; wysunęła tylko jeszcze bardziej swą nieco wystającą górną wargę. Zjechała teraz aż na sam dół Góry Jeruzolimskiej; nie mogąc jednak zatrzymać się od razu na gładkiej drodze, minęła metę.

–Amen – rzekła – a ja coś wiem, dziadziu!

–Tiens! (Patrzcie! – franc.)

Ona coś wie! – zawołał stary pan udając, że nie może wytrzymać z ciekawości. – Słyszałaś, mamó? Ona coś wie! Czyż nikt nie może mi powiedzieć...

–Kiedy piorun trzaska na gorąco, to mamy błyskawicę – mówiła Tonia, kiwając głową przy każdym słowie.

–A kiedy trzaska na zimno, wtedy mamy grzmot.

Tu skrzyżowała ręce i spojrzała po roześmianych twarzach, pewna powodzenia. Pan Buddenbrook rozgniewał się jednak na tę mądrość i chciał koniecznie wiedzieć, kto opowiada dziecku takie brednie; gdy okazało się, że była to świeżo przyjęta do dzieci panna Ida Jungmann z Kwidzyna, konsul musiał aż stanąć w obronie owej Idy.

–Ojczulek jest za surowy.

Dlaczegoż by nie można mieć w tym wieku swych własnych, choćby i dziwacznych poglądów na takie rzeczy...

–Excusez, mon cher!... Mais c'est une folie! (wybacz, mój drogi! Przecież to idiotyzm! – franc.) Wiesz przecież, że nie znoszę tego ogłupiania dzieci! Co, piorun trzaska? To niech zaraz w nią trzaśnie! Dajcie mi spokój z waszą Prusaczką!

Chodziło o to, że starszy pan Buddenbrook nie lubił Idy Jungmann. Nie był to bynajmniej człowiek ograniczony. Zwiedził kawał świata, anno 13 jeździł czwórką koni na południe Niemiec po zboże jako dostawca pruskiej armii, był w Paryżu i w Amsterdamie, a jako człowiek oświecony nigdy nie uprzedzał się z góry do wszystkiego, co nie pochodziło z jego rodzinnego miasta. Jednakże poza interesami, w życiu towarzyskim, był on bardziej niż jego syn, konsul, ekskluzywny i okazywał więcej nieufności w stosunku do obcych. A gdy ze swej podróży do Prus Wschodnich państwo konsulostwo przywieźli młodą panienkę, sierotę – miała ona wówczas zaledwie dwadzieścia lat, ojciec jej, oberzysta z Kwidzyna, umarł bezpośrednio przed przyjazdem Buddenbrooków do tego miasta – konsul miał z powodu tego zbożnego uczynku ciężką przeprawę ze swym ojcem, podczas której stary pan mówił wyłącznie po francusku oraz dialektem „platt”... Ida Jungmann okazała się zresztą dzielną pomocnicą w gospodarstwie i przy dzieciach, dzięki zaś swej lojalności oraz prawdziwie pruskiemu pojmowaniu rang społecznych nadawała się znakomicie do tego domu. Miała arystokratyczne zapatrywania; odróżniała z całą ścisłością sfery najwyższe od nieco niższych, stan średni od stanu niskiego; stanowisko guwernantki w pierwszorzędnym domu napełniało ją dumą i z niechęcią patrzyła na to, iż Tonia przyjaźni się w szkole z dziewczynką, którą panna Ida Jungmann zaliczała zaledwie do stanu średniego...

W tym właśnie momencie panna Jungmann we własnej osobie ukazała się w sali kolumnowej i weszła przez oszklone drzwi; była to dość wysoka, czarno ubrana koścista pannica o gładko zaczesanych włosach i uczciwym wyrazie twarzy. Prowadziła za rękę małą Klotyldę, dziecko niezwykle chude, w perkalikowej kwiecistej sukience, o pozbawionych połysku włosach koloru popiołu i bezbarwnej twarzyczce starej panny. Dziewczynka owa należała do rodziny; pochodziła z bocznej, zupełnie zubożalej linii; ojciec jej, siostrzeniec starszego pana Buddenbrooka, był administratorem dóbr w Rostoku, a ponieważ Klotylda, poczciwe stworzenie, była rówieśnicą Toni, wychowywała się w tym domu.

–Wszystko gotowe, proszę państwa – rzekła panna Jungmann, której „r” zawarczało gardłowo, gdyż dawniej w ogóle nie mogła go wymówić. – Tyldzia chwacko pomagała w kuchni, Katarzyna prawie nic już nie miała do roboty...

Słyszając dziwaczną wymowę Idy, pan Buddenbrook parsknął drwiąco w żabot; konsul zaś pogłaskał dziewczynkę po policzku i rzekł:

–To ślicznie, Tyldziu.

Powiedziane jest: módl się i pracuj. Nasza Tonia powinna brać z ciebie przykład. Za bardzo skłonna jest do zbytków i lenistwa...

Tonia spuściła główkę i spod oka spoglądała na dziadka, gdyż dobrze wiedziała, że jak zwykle będzie jej bronił.

–Co znowu – rzekł – głowa do góry, Toniu, courage! (odwagi! – franc.) Co dobre dla jednego, to nie dla wszystkich. Każdy na swój sposób. Tyldzia jest dzielna, ale my też nie ostatni. Czy to raisonnable (rozsądne – franc.), Betsy?

Zwrócił się do synowej, która zazwyczaj brała jego stronę, podczas gdy pani Antoinette, może bardziej z rozsądku niż z przekonania, podzielała zwykle zdanie konsula. W ten sposób dwa pokolenia podawały sobie ręce niby w chass~e_croise (figura taneczna – franc.).

–Ojczulek jest bardzo dobry – rzekła konsulowa.

–Tonia będzie się starała wyrosnąć na rozsądną i dzielną kobietę... Czy chłopcy przysli już ze szkoły? – zapytała Ida.

W tej samej chwili Tonia, spojrzawszy w okno, zawołała:

–Tom i Chrystian są już na Johannisstrasse... i pan Hoffstede... i wujek doktor...

W tej chwili z kościoła Panny Marii rozległ się dźwięk dzwonów: bam! bim, bim_bum! – trochę jakby pozbawiony rytmu, tak że nie można było od razu rozpoznać, co oznacza, choć brzmiał uroczyście; i podczas gdy mniejsze dzwony radośnie i z godnością oznajmiły godzinę czwartą, jednocześnie z dzwonkiem w sieni na dole weszli Tom i Chrystian w towarzystwie pierwszych gości, pana Jeana Jacques.a Hoffstede, poety, i doktora Grabowa, lekarza domowego.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Rozdział drugi

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Jean Jacques Hoffstede, poeta miejscowy, który z pewnością i tym razem przyniósł w kieszeni rymy stosowne na dzień dzisiejszy, był mniej więcej w wieku Jana Buddenbrooka starszego i, pominawszy zielony surdut, ubierał się podobnie. Był szczuplejszy i bardziej ruchliwy od swego starego przyjaciela, miał bystre, małe, zielonkawe oczy i długi, spiczasty nos. Uścisnął ręce panom, a paniom, zwłaszcza zaś konsulowej, którą nadzwyczajnie poważał, wyraził piękne, wyszukane compliments, którym towarzyszył miły uśmiech.

–Serdeczne dzięki czcigodnym państwu za łaskawe zaproszenie. Tych oto młodych ludzi spotkałismy z doktorem na K~onigstrasse, gdy powracali z nauki – rzekł wskazując na Toma i Chrystiana stojących obok niego w niebieskich bluzach ze skórzanymi paskami. – Wspaniale chłopaki, pani konsulowo! Tomasz, to poważna i solidna głowa, zostanie na pewno kupcem, to nie ulega wątpliwości. Co do Chrystiana, jest to, zdaje się, mały urwis, co? trochę incroyable... (nie do wiary – franc.) Nie taję jednak mego engouement (zachwyt – franc.). Mam nadzieję, że będzie się uczył, jest przy tym dowcipny i ma duże zadatki...

Pan Buddenbrook wziął szczyptę ze swej złotej tabakierki.

–To szelma! A może by tak został od razu poetą? Co, Hoffstede?

Panna Jungmann zasunęła zasłony u okien i wkrótce pokój wypełnił się dyskretnym i miłym, choć trochę niespokojnym światłem, płynącym z kryształowego żyrandola i świeczników stojących na sekreterze.

–Cóż, Chrystianku – rzekła konsulowa, której włosy zabłysły złotawo – czego nauczyłeś się dzisiaj? – Okazało się, że Chrystian miał dziś lekcję pisania, rachunków i śpiewu.

Był to siedmioletni chłopczyk, wprost śmiesznie podobny do ojca. Miał takie same nieduże, okrągłe, głęboko osadzone oczy, taki sam wystający i zakrzywiony nos, a pewne rysy poniżej kości policzkowych wskazywały, że nie na długo zachowa on dziecięcą krągłość twarzy.

–Straszniesmy się dziś śmieli

–zaczął paplać, podczas gdy oczy jego wędrowały wkoło po wszystkich obecnych. – Słuchajcie, co pan Stengel powiedział Zygmuśowi K~ostermannowi. – Pochylił się, potrząsnął głową i mówił dobitnie: – Z wierzchu, moje dziecko, z wierzchu jesteś gładki i przylizany, tak, ale w środku, moje drogie dziecko, w środku jesteś czarny...

Mówiąc to opuszczał literę „r” i wyraz „czarny” wymawiał jak „czalny”, a na twarzy jego malował się taki wstręt do owej ze wnętrzej gładkości, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

–A to szelma! – powtórzył stary pan Buddenbrook chichocząc.

Pan Hoffstede natomiast nie posiadał się z zachwyty.

–Charmant! (urocze – franc.)

–zawołał. – Nieporównane!

Trzeba znać Marcelego Stengla! Zupełnie tak samo! Nie, jakież to cudowne!

Tomasz, który nie posiadał takiego talentu, stał obok młodszego brata i śmiał się serdecznie, bez żadnej zazdrości. Nie miał szczególnie ładnych zębów, były one małe i żółtawe; za to nos miał bardzo kształtny, a z oczu i owalu twarzy przypominał dziadka.

Usadowiono się powoli na krzesłach, na sofie, rozmawiano z dziećmi, pogadywano o wczesnych chłodach, o domu...

Pan Hoffstede podziwiał

wspaniałą kalamarz stojący na

sekreterze; była to figurka z

sewskiej porcelany,

wyobrażająca laciatego

myśliwskiego psa. Rówieśnik konsula, doktor Grabow, którego dobra, uśmiechnięta twarz okolona była faworytami, oglądał roztawione na stole ciasto z rodzynkami, ciasteczka, pierniki oraz napelnione solniczki. Były to „chleb i sól” przesłane rodzinie przez krewnych i przyjaciół z powodu zmiany mieszkania. Na znak, że dary te pochodzą z zamożnych domów, chleb wyobrażały tam słodkie korzenne ciastka, sól zaś spoczywała w oprawie z masywnego złota.

–Zdaje się, że będę tu miał dużo do roboty – rzekł doktor wskazując na słodycze i pogroził dzieciom. Potem, kiwając głową, podniósł ciężki przybór do soli, pieprzu i musztardy.

–To od Lebrechta Kr~ogera – rzekł z uśmiechem pan Buddenbrook. – Zawsze elegancki, mój drogi pan krewniak. Ja nie obdarowałem go tak wspaniale, gdy zbudował sobie willę za miastem. Zawsze już był taki... szlachetny! hojny! prawdziwy kawaler ~a la mode! (modny – franc.)

Dźwięk dzwonka kilkakrotnie rozległ się po całym domu. Wszedł pastor Wunderlich, tęgi starszy pan w długim, czarnym surducie, z upudrowanymi włosami i jasną, wesolą twarzą, w której błyszczwały pogodne, szare oczy. Od wielu lat był wdowcem i należał do typu starych kawalerów z dawnych czasów, podobnie jak i makler giełdy zbożowej, pan Gr~atjens, który zjawił się jednocześnie z pastorem, miał on zwyczaj przykładać do oka dłoń zwiniętą w trąbkę, jak gdyby oceniał obraz; i w istocie był wielkim znawcą sztuki.

Przyszedł również senator doktor Langhals z żoną, dawni przyjaciele domu – należy też wymienić kupca winnego, K~oppena, z wielką czerwoną twarzą, tkwiącą między wysoko wywatowanymi ramionami, oraz jego równie zażywną małżonkę...

Było już wpół do piątej, gdy zjawili się wreszcie starzy Kr~ogierowie oraz ich dzieci, konsulostwo Kr~ogierowie z synami

Jakubem i J~urgenem, rówieśnikami Toma i Chrystiana. Prawie jednocześnie z nimi weszli rodzice konsulowej Kr~oger, hurtownik drzewny Oeverdieck z żoną, stare zakochane w sobie małżeństwo, które stale wobec wszystkich czule do siebie przemawiało.

–Elegancy ludzie spózniają się – rzekł konsul Buddenbrook całując rękę teściowej.

–I to porządnie! – Jan Buddenbrook uczynił szeroki gest podając rękę staremu...

Lebrecht Kr~oger, kawaler ~a la mode, wysoki i dystyngowany, pudrował jeszcze lekko włosy, poza tym jednak ubierał się podług nowszej mody. Na jego aksamitnej kamizelce błyszczały dwa rzędy guzików wysadzanych drogimi kamieniami. Syn, Justus, nosił spiczaste wąsy i niewielkie faworyty, z postaci zaś i zachowania żywo przypominał ojca; miał też te same okrągłe i eleganckie ruchy.

Nie zasiedli od razu do stołu, lecz w oczekiwaniu najważniejszego momentu prowadzili tymczasem stojąc lekką, swobodną rozmowę. Ale oto Jan Buddenbrook starszy, podając ramię pani K~oppen, rzekł głośno:

–Cóż, jeśli jesteście wszyscy przy apetycie, mesdames et messieurs... (panie i panowie – franc.)

Panna Jungmann wraz z pokojówką otworzyła białe drzwi i towarzystwo powoli, spokojnie i z ufnością przeszło do sali jadalnej; u Buddenbrooków można było przecież liczyć na smaczny kąsek...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Rozdział trzeci

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Wśród ogólnego poruszenia młodszy z gospodarzy sięgnął do bocznej kieszeni na piersiach, w której zaszeleścił jakiś papier, wyraz troski i niepokojem zastąpił dotychczasowy światowy uśmiech, a na skroniach zagrały mięśnie, jak gdyby zaciskał zęby. Dla niepoznaki jedynie przestąpił próg sali jadalnej, później jednak cofnął się i poszukał oczami matki, która szła przy końcu orszaku, wsparta na ramieniu pastora Wunderlicha.

–Pardon drogi pastorze...

Mamo, jedno słówko... – Pastor skinął z uśmiechem głową; konsul Buddenbrook przepuścił starą damę z powrotem do pokoju pejażowego; stanęli u okna.

–Krótko i węzłowato,

przyszedł list od Gottholda – powiedział szybko i cicho, patrząc w jej ciemne, pytające oczy i wyciągając z kieszeni zapieczętowany papier. – Jest to trzecie jego pismo, a ojciec odpowiedział dotąd tylko na pierwsze... Co robić? Nadeszło już o drugiej godzinie, ale czy mogłem dzisiaj psuć ojcu humor? Co mama myśli? Jeszcze jest czas, by go wywołać...

–Nie, nie, masz rację, ŃJean, lepiej z tym zaczekać! – rzekła pani Buddenbrook i swoim zwyczajem uchwyciła rękę syna. – Cóż tam może znów być! – mówiła zmartwiona. – Ten chłopiec nie daje spokoju. Pewnie nudzi o to odszkodowanie za udział w domu. Nie, nie, Jean, nie teraz... Może wieczorem, przed pójściem do łóżka...

–Co robić? – powtórzył konsul potrząsając opuszczoną głową. – Sam nieraz prosiłem papę, by ustąpił... Nie powinno wyglądać, jakobym ja, przyrodni brat, zagnieździł się u rodziców i intrygował przeciw Gottholdowi... Muszę wystrzegać się tej roli także wobec ojca. Ale jeśli mam być szczerzy, ostatecznie, jestem associ~e (wspólnik – franc.). A zresztą, Betsy i ja placimy przecież normalne komorne za drugie piętro... Co do siostry we Frankfurcie rzecz jest załatwiona. Mąż jej otrzymuje już teraz, za życia ojczulka, jako odstępną czwartą część sumy, za którą dom został nabyty. Jest to korzystny interes, który ojczulek przeprowadził gładko i dobrze, z zyskiem dla firmy. I jeśli ojciec zachowuje się tak opornie względem Gottholda, to jest to...

–Ach, cóż znowu, Jean, twój stosunek do sprawy jest przecież zupełnie jasny. Ale Gotthold sądzi, że ja, jako macocha, troszczę się tylko o własne dzieci, a ojca oddalam od niego. To smutne...

–Ależ to własna jego wina! – zawołał konsul prawie głośno, lecz rzuciwszy okiem na salę jadalną ściszył zaraz głos.

–To jego wina, ten smutny stosunek! Niech mama sama osądzi! Dlaczegoż nie był rozsądny? Czemuż poślubił tę jakąś demoiselle St~uwing, no a... ten sklepik... – Przy słowie „sklepik” zaśmiał się gniewnie, a jednocześnie z pewnym zawstyżeniem. – Zapewne, to słabość ten wstręt ojca do sklepu; ale Gotthold powinien był uszanować tę małą jego próżnostkę...

–Ach, Jean, byłoby najlepiej, gdyby ojciec się zgodził!

–Ale czyż ja mogę to

doradzać? – szepnął konsul podnosząc nerwowo rękę do czoła.

–Jestem zainteresowany osobiście, powinien bym więc powiedzieć: ojczcie, zapłać. Ale z drugiej strony jestem associate, muszę bronić interesów firmy i skoro papa uważa, że dla nieposłusznego i zbuntowanego syna nie ma obowiązku uszczuplać kapitału obrotowego... Idzie tu o przeszło jedenaście tysięcy talarów. To nie byle co... Nie, nie mogę tego doradzać... ani też odradzać. Nie chcę o tym nic wiedzieć. Tylko scena z ojczulkiem jest dla mnie désagrèable... (nie miła – franc.)

–Później, wieczorem, Jean. A teraz chodźmy już, czekają na nas...

Konsul ukrył list w bocznej kieszeni, podał ramię matce i przeszli razem do jasno oświetlonej sali jadalnej, gdzie towarzystwo właśnie zdążyło rozmieścić się dookoła długiego stołu.

Białe postacie bóstw występowały niemal plastycznie z błękitnego tła tapet między wysmukłymi kolumnami. Okna osłonięte były ciężkimi czerwonymi zasłonami, a w każdym rogu pokoju płonęło po osiem świec w wysokich pozłacanych kandelabrach; poza tym lśniły na stole srebrne lichtarze. Nad masywnym kredensem wisiało duże malowidło, przedstawiające włoską zatokę; mglistobłękitne barwy wywierały w tym oświetleniu bardzo żywe wrażenie. Pod ścianami stały potężne sofy o sztywnych oparciach, obite czerwonym adamaszkiem.

Gdy pani Buddenbrook zasiadła między prezydującym po stronie okna starszym Krögerem a pastorem Wunderlichem, z twarzy jej znikł wszelki ślad troski i niepokoju.

–Bon appétit (smacznego – franc.) – rzekła z lekkim skinieniem głowy, obejmując szybkim spojrzeniem cały stół aż do miejsca, gdzie siedziały dzieci...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział czwarty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

–Jak powiadam, z całym szacunkiem, panie Buddenbrook! – Gruby głos pana Köppena zapanował nad ogólną rozmową, podczas gdy pokojówka o czerwonych nagich rękach w grubej prążkowanej spódnicy i białym stroiku na czubku głowy roznosiła, z pomocą panny Jungmann oraz służącej od konsulowej z góry, gorącą zupę jarzynową z grzankami.

–Z całym szacunkiem. Ileż przestrzeni, co za szyk trzeba przyznać, niebrzydkie mieszkanko, ani słowa...

Pan Köppen nie był u poprzednich właścicieli tego domu; był on dopiero od niedawna bogaty, nie pochodził ze szczególnie patrycjuszowskiej rodziny i niestety nie mógł się oduczyć używania pewnych zbyt gwarowych wyrażeń, jak na przykład owego „trzeba przyznać”. Poza tym wymawiał on „szaconek” zamiast „szacunek”.

–A w dodatku nic nie

kosztowało – zauważył sucho pan Grätjens, który zapewne wiedział coś o tym, i przez zwinętą dłoń zaczął się przyglądać włoskiej zatoce.

Starano się tak rozmieścić gości, by między krewnymi siedzieli przyjaciele domu; nie wszędzie to się jednak udało; starzy Oeverdieckowie zasiedli jak zwykle jedno obok drugiego, nachylając się ku sobie serdecznie i kiwając głowami. Starszy Kröger rezydował jednak sztywno między senatorową Langhals a panią Antoinette i dzielił swe gesty oraz wstrzeмиęzliwe żarty między obie damy.

–Kiedy to zbudowano ten dom?

–poprzez stół zapytał pan

Hoffstede starszego

Buddenbrooka, który jowialną i nieco złośliwą rozmową zabawiał panią Köppen.

–Okolo roku... czekaj no...

1680, jeśli się nie mylę. Mój syn zna się zresztą lepiej na takich datach...

–W osiemdziesiątym drugim – potwierdził skłoniwszy się konsul, siedzący dość daleko, bez damy, obok senatora Langhalsa. – Budowa została ukończona zimą roku 1682. Firmie „Ratenkamp i Ska” zaczęło się wówczas wspaniale powodzić... Smutny jest ten upadek firmy w ciągu ostatnich dwudziestu lat...

Na chwilę zapadła ogólna cisza. Każdy patrzył w swój talerz myśląc o tej niegdyś tak świetnej rodzinie, która zbudowała ów dom, zamieszkiwała go, a następnie zubożała, podupadła, zmuszona była go opuścić...

–Tak, to smutne – rzekł makler Gr~atjens – gdy się pomyśli, jakie szaleństwo spowodowało tę ruinę. Gdyby Dietrich Ratenkamp nie był wówczas przyjął tego Geelmaacka za współnika! Bóg widzi, że załamane ręce, gdy on zaczął gospodarować. Wiem z najlepszych źródeł, jak straszliwie spekulował za plecami Ratenkampa, jakie puszczał w obieg weksle, wystawiał akcepty w imieniu firmy... Wreszcie to się skończyło... Banki straciły zaufanie, brakło pokrycia... Trudno to sobie wyobrazić...

Któż tam kontrolował składy?

Może Geelmaack? Panoszyli się jak szczury, z każdym rokiem więcej! Ale Ratenkampa nic to nie obchodziło...

–Był jakby sparaliżowany – rzekł konsul. Twarz jego nabrała nagle ponurego wyrazu, jakby zamknęła się w sobie. Pochylony naprzód, poruszał łyżką w zupie i od czasu do czasu obrzucał szybkim spojrzeniem swych małych, głęboko osadzonych oczu prezydialny koniec stołu.

–Chodził jak przytłoczony i sędzę, że nietrudno pojąć, co go przytłaczało. Co skłoniło go do połączenia się z Geelmaackiem, który wniósł do firmy znikomą kapitał i którego nikt zbyt nie ufał? Musiał odczuwać potrzebę zrzucenia na kogoś choć części straszliwej odpowiedzialności, gdyż zdawał sobie sprawę, że wszystko niepowstrzymanie chyli się ku upadkowi. Firma skończyła się, stara rodzina była pass~ee (prze minęła – franc.). Wilhelm Geelmaack – to tylko ostatni etap ruiny...

–Jesteś pan zatem zdania, szanowny panie konsulu – rzekł z ostrożnym uśmiechem pastor Wunderlich, napełniając kieliszek swojej damy oraz własny czerwonym winem – że niezależnie od przystąpienia Geelmaacka i jego bezwzględne go postępowania doszłoby również do ruiny?

–To może nie – odrzekł w zamyśleniu konsul nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Ale myślę, że Dietrich Ratenkamp musiał koniecznie i nieuchronnie połączyć się z Geelmaackiem, aby przeznaczenie mogło się wypełnić... Musiał on działać pod naciskiem nieprzewidywanej konieczności... Ach, przekonany jestem, że mniej więcej wtajemniczony był w postępowanie swego associ~e, że nie był tak zupełnie nieświadomy stanu swoich interesów. Ale był jakby zmartwiał.

–No, assez (dość – franc.), Jean – rzekł starszy Buddenbrook odkładając łyżkę. – To jedna z twoich id~ees (myśli – franc.)...

Z roztargnionym uśmiechem podniósł konsul swój kielich w stronę ojca. Ale Lebrecht Kr~oger powiedział:

–Co tam, trzymajmy lepiej z radosną terażniejszością! – Przy tych słowach ostrożnym i wytwornym ruchem ujął butelkę białego wina, na której korku umieszczony był mały srebrny jeleń, przechylił ją nieco na bok i popatrzył uważnie na etykietę. „C.F. K~oppen”, przeczytał i skinął przyjaźnie w stronę kupca winnego. – O tak, czym bylibyśmy bez pana!

Zmieniono miśnieńskie talerze ze złotą obwódka, przy czym pani Antoinette bacznie obserwowała ruchy podających dziewcząt, a panna Jungmann wydawała zarządzenia przez tubę łączącą salę jadalną z kuchnią. Podano rybę i pastor Wunderlich, ostrożnie nakładając ją sobie na talerz, odezwał się:

–Owa radosna terażniejszość nie jest jednak taka oczywista. Młodzi ludzie, którzy radują się tu razem z nami, starymi, nie wyobrażają sobie zapewne, że kiedykolwiek mogło być inaczej... Muszę przyznać, że nieraz brałem osobisty udział w losach naszych Buddenbrooków...

Ilekróć widzę te oto przedmioty

–tu zwrócił się do pani Antoinette, biorąc jednocześnie ze stołu srebrną łyżkę – muszę myśleć, czy nie jest to jedna z owych sztuk, które wówczas, w roku szóstym, miał w swych rękach nasz przyjaciel, filozof Lenoir, sierżant jego cesarskiej mości Napoleona... i wspominam nasze spotkanie na Alfstrasse, pani dobrodziejko...

Pani Buddenbrook nieco zakłopotana, spojrziała przed siebie z uśmiechem brzemennym we wspomnienia. Siedzący na końcu stołu Tom i Tonia, którym nie pozwolono jeść ryby i którzy przysłuchiwali się uważnie rozmowie starszych, zawolali

prawie jednocześnie: – Ach tak, opowiedz, jak to było, babciu! – Pastor Wunderlich jednak, wiedząc, że nie lubiła ona opowiadać o tej niezbyt dla niej milej przygodzie, zaczął powtarzać historyjkę, której dzieci słuchały chętnie po raz chyba setny, a której ten i ów może jeszcze nie znał...

–Krótko mówiąc, proszę sobie wyobrazić: popołudnie listopadowe, chłodne i dżdżyste, że niech Bóg broni; powracam z urzędu i rozmyślam o tych złych czasach. Książę Bl~ucher uszedł, Francuzi byli w mieście, nie bardzo jednak odczuwało się ogólne podniecenie. Ulice były puste, ludzie chronili się po domach. Rzeźnika Prahla, który stojąc przed drzwiami z rękami w kieszeniach odezwał się grzmiącym głosem: „Tego już za dużo, co się to ma znaczyć!” – ktoś palnął po prostu w głowę... Cóż, myślę sobie, zajrzę do Buddenbrooków, może się tam na co przydam. On w łóżku, chory na różę, a pani ma zapewne kłopoty z kwaternikiem...

W tym momencie kogóż spostrzegam? Idącą w moją stronę naszą najszanowniejszą panią Buddenbrook. Ale w jakim stanie?

Śpieszy po deszczu bez

kapelusza, narzuciła tylko szal

na ramiona, właściwie nie idzie,

a pędzi, coiffure (uczesanie –

franc.) ma w zupełnym

nieładzie... Nie, pani

dobrodziejko, to święta prawda! Nie było tam już mowy o żadnej coiffure!

„Cóż to za miła siurpriza? – powiadam i pozwalam sobie przytrzymać ją za rękaw, gdyż zupełnie mnie nie zauważyła i przezczuwałem coś złego... – Dokąd to tak prędko, droga pani?” Spostrzegła mnie, spogląda, wyrzywa mi się: „To pan! Bądź pan zdrow! Idę do rzeki!”

„Boże uchwaj! – mówię i czuję, że blednę. – To nie jest miejsce dla drogiej pani! Cóż się takiego stało?” I trzymam ją tak mocno, jak tylko respekt pozwala. „Co się stało? – woła i drży cała. – Dobrali się do srebra, pastarze, to się stało! A Jean w łóżku, chory na różę, nic nie może pomóc! Ale gdyby był na nogach, także by nic nie pomógł! Kradną moje łyżki, moje srebrne łyżki, to się stało, pastarze! Idę do rzeki!”

Cóż, przytrzymuję naszą przyjaciółkę, mówię rzeczy, jakie zwykło się mówić w takich przypadkach. „Odwagi – mówię – droga pani! Wszystko będzie dobrze, pomówimy z tymi ludźmi, zaklinam panią, uspokój się, chodźmy!” I prowadzę ją do domu! W jadalnym pokoju znajdujemy milicję tam, gdzie ich pani zostawiła, dwudziestu chłopca, wszyscy nad skrzynią ze srebrem.

„Z którym z panów mogę się rozmówić, moi panowie?” – pytam grzecznie. Wybuchają śmiechem. „Z nami wszystkimi, ojczulku!” Jeden wystąpił naprzód, wielki jak dąb, z czarnym wypomadowanym wąsem, z wielkimi czerwonymi łapami. „Lenoir – powiada i salutuje lewą ręką, gdyż w prawej trzyma pęk srebrnych łyżek. – Lenoir, sierżant. Czego pan sobie życzy?”

„Panie oficerze – mówię chcąc trafić w jego point d’honneur (punkt honoru – franc.). – Czyżby zajmowanie się tymi przedmiotami dało się pogodzić z pańską świetną szarżą? Toż miasto nie zamknęło się przed cesarzem...” „Czego pan chce? – odpowiada. – To wojna! Ludzie potrzebują takich rzeczy...”

„Miejcież, panowie, względy – przerywam mu, gdyż zaświtała mi pewna myśl. – Ta oto dama – powiadam, bo czego to się nie mówi w podobnym położeniu – pani domu, nie jest wcale Niemką, to prawie wasza rodaczka, Francuzka...”

„Co, Francuzka?” – powtarza. – I jak myślicie, co powiedział ten drab?

„A zatem emigrantka. Ale w takim razie to nieprzyjaciółka filozofii!”

Myślałem, że pęknię, ale powstrzymuję śmiech. „Z pana – powiadam – jak widzę, nie lada głowa. Powtarzam, że wydaje mi się niegodnym pana zajmowanie się tymi przedmiotami!” Milczy przez chwilę, w końcu czerwieni się, rzuca łyżki do skrzyni i woła:

„A kto panu powiedział, że ja co innego chcę z tym zrobić, jak tylko przyjrzeć się trochę?! Takie piękne rzeczy! Gdyby tak jeden z drugim mógł sobie zabrać coś z tego jako souvenir... (pamiątka – franc.)”

Bądź co bądź, dosyć tych souvenirów zabrali oni ze sobą, nie pomogło odwoływanie się do ludzkiej ani też boskiej sprawiedliwości... Nie znali pono innego Boga poza tym strasznym małym człowiekiem...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Rozdział piąty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

–Widział go pan kiedy, pastorze?

Znowu zmieniono talerze. Zjawila się kolosalna, ceglasto_czerwona panierowana szynka, wędzona i ugotowana, do niej brunatny, kwaskowaty sos szalotkowy oraz taka ilość jarzyn, że one same zdołałyby nasycić całe towarzystwo. Lebrecht Kröger podjął się tranzerowania. Z lekko podniesionymi łokciami, oparłszy wyprostowane długie wskazujące palce na grzbiecie noża i widelca, uważnie krajał soczyste plastry. Podano również specjalność konsulowej, marynatę owocową o ostrym alkoholowym smaku, przyrządzoną na sposób rosyjski.

Nie, ku swemu żalowi pastor Wunderlich nie widział nigdy Bonapartego. Ale stary pan Buddenbrook, jak również Jean Jacques Hoffstede widzieli go na własne oczy; pierwszy w Paryżu, bezpośrednio przed rosyjską kampanią, podczas parady na tuileryjskim dziedzińcu, drugi zaś w Gdańsku.

–Na Boga, nie wyglądał dobrodusznie – rzekł Hoffstede, z podniesionymi brwiami niosąc do ust widelec, na którym sporządził sobie misterną kompozycję z szynki, czerwonej kapusty oraz kartofli. – Zresztą w Gdańsku poczynił sobie podobno bardzo wesoło. Opowiadano wówczas pewną anegdotkę. Przez cały dzień grał z Niemcami w niezbyt niewinne gry hazardowe, wieczorem zaś grał ze swymi generałami. „N’est ce pas Rapp – powiada wyciągając z kieszeni garść złota – les Allemands aiment beaucoup ces petits napoléons?” „Oui, Sire plus que le grand”»* – odpowiada Rapp...

Pośród ogólnej wesołości, jaka potem zapanowała – Hoffstede opowiedział bowiem tę anegdotkę bardzo ładnie, naśladując nawet z lekka mimikę cesarza – starszy Buddenbrook rzekł:

–Ale żarty na bok, jestem z całym respektem dla jego osobistej wielkości... Cóż to za natura!

Konsul pokręcił poważnie głową.

–Nie, nie, my, młodsi, nie pojmujemy już, że może być godny szacunku człowiek, który zamordował księcia d’Enghien, wyróżnął w Egipcie ośmiuset jeńców...

–Możliwe, że to wszystko jest przesadzone lub fałszywe – rzekł pastor Wunderlich. – Książę był może lekkomyślnym rebeliantem, co zaś tyczy się jeńców, to skazanie ich było zapewne dobrze rozważoną i konieczną uchwałą sprawiedliwej rady wojennej... – Tu opowiedział o pewnej książce, która ukazała się przed paru laty i którą czytał: dzieło cesarskiego sekretarza, wielce zasługujące na uwagę...

–Bądź co bądź – obstawał przy swoim konsul objaśniając świecę, która migotała mu przed oczami – nie pojmuję, nie pojmuję podziwu dla tego potwora! Jako chrześcijanin, jako człowiek usposobiony religijnie, nie znajduję w moim sercu miejsca na takie uczucie.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Prawda, Rapp, że Niemcy bardzo lubią te małe napoleony? – Tak, panie, bardziej niż wielkiego! (franc.)

Twarz jego przybrała skupiony i marzycielski wyraz, przechylił nawet nieco na bok głowę, podczas gdy ojciec jego i pastor Wunderlich uśmiechali się do siebie ukradkiem.

–Tak, tak – zażartował Jan Buddenbrook – ale małe napoleony były nie najgorsze, co? Mój syn marzy o Ludwiku Filipie – dodał.

–Marzy? – powtórzył z lekką ironią Jean Jacques Hoffstede...

–Ciekawe zestawienie! Filip Egalit~e i marzenie...

–Cóż, zdaje się, że wiele nauczyć się możemy od monarchii lipcowej... – Konsul mówił poważnie i z przejęciem.

–Przyjazne i pomocne

stanowisko konstytucjonalizmu francuskiego wobec nowych, praktycznych ideałów i zagadnień czasu... jest czymś tak bardzo godnym wdzięczności...

–Praktyczne ideały... no tak... – starszy Buddenbrook przez chwilę, kiedy pozwolił szczękom odpocząć, bawił się swą tabakierką. – Praktyczne ideały... nie, to mi się wcale nie podoba! – Z rozdrażnienia zaczął mówić dialektem.

–Jak spod ziemi wyrastają zakłady przemysłowe i techniczne, szkoły handlowe, a gimnazjum i wykształcenie klasyczne staje się nagle une b~etise (bardzo – franc.), cały świat myśli tylko o kopalniach... przemyśle... zarobkach... Doskonale, wszystko doskonale! Ale z drugiej strony w końcu aż trochę stupide (głupie – franc.), nie prawda? Sam nie pojmuję, dlaczego jest to dla mnie jakby rodzajem afrontu... ja nic nie powiedziałem, Jean... monarchia lipcowa to dobra rzecz...

Senator Langhals jak również Gr~atjens i K~oppen stanęli jednak po stronie konsula. Doprawdy, należy mieć najwyższy szacunek dla rządu francuskiego i podobnych dążeń w Niemczech... Pan K~oppen znowu powiedział „szacunek”. Podczas jedzenia poczerwieniał jeszcze bardziej i sapał donośnie, pastor Wunderlich pozostał jednak błądy, zawsze równie wytworny i bez zarzutu, pomimo że z całym spokojem pił jeden kielich za drugim.

Wolno, wolno wypalały się świece, od czasu do czasu zaś, gdy płomień ich pod wpływem przeciągu pochylały się na bok, rozchodził się nad stołem lekki zapach wosku.

Siedzieli na ciężkich krzesłach z wysokimi oparciami, przy pomocy ciężkich, srebrnych sztuców jedli dobre, ciężkie potrawy, popijali ciężkie, dobre wina i wypowiadali swe zapatrywania. Wkrótce przeszli na temat interesów i bezwiednie coraz to bardziej wpadali w dialekt, w ten wygodny, ciężkawy sposób mówienia, posiadający w ich mniemaniu i kupiecką zwięzłość, i pewne zaniedbanie, które tu i ówdzie sami podkreślali z dobroduszną samoironią. Nie mówili „idę na giełdę”, tylko krótko „idem”, przy czym wymawiając „em” zamiast „ę” byli z siebie bardzo dumni.

Panie szybko przestały interesować się dysputami. Pani K~oppen zabrała głos, wykładając w zachęcający sposób najlepszą metodę gotowania karpia w czerwonym winie... – Pokrajać na spore kawałki, droga pani, włożyć w rondel z cebulą, goździkami i sucharkami, dodać trochę cukru i łyżkę masła i postawić na ogniu... Tylko nie moczyć, droga pani, z całą krwią, na miłość boską...

Starszy Kr~oger opowiadał najpocieszniejsze żarty. Syn jego, konsul Justus, siedzący obok doktora Grabowa, niedaleko dzieci, przekomarzał się z panną Jungmann, która ściągnęła brwi i swoim zwyczajem trzymała nóż i widelec prostopadle w górę, poruszając nimi lekko w powietrzu. Nawet starzy Oeyerdieckowie ożywili się i głośno rozmawiali. Stara konsulowa wynalazła nową pieszcotliwą nazwę dla swego męża:

–Ty pocziwe zwierzątko! – powtarzała, a czepek jej trząsał się z serdeczności.

Rozmowa skupiła się na jednym przedmiocie, gdy Jean Jacques Hoffstede przeszedł na swój ulubiony temat, włoską podróż, jaką odbył przed piętnastu laty w towarzystwie swego bogatego krewnego z Hamburga. Opowiadał o Wenecji, o Rzymie, o Wezuwiuszu, mówił o willi Borghese, w której nieboszczyk Goethe napisał część swego „Fausta”, wspominał z zachwytem o renesansowych wodotryskach rozsiewających miły chłód, o przyszczyżonych alejach, w których tak miło jest zażywać przechadzki; ktoś napomknął o wielkim zdziczałym ogrodzie, który Buddenbrookowie posiadali za miastem...

–Istotnie! – rzekł stary pan.

–Zły jestem, że w swoim czasie nie zdobyłem się na to, by go jakoś doprowadzić do porządku. Niedawno dopiero przechodziłem tamtędy, to po prostu dziewicza puszcza, aż wstyd! Cóż by to była za posiadłość, gdyby trawa była dobrze utrzymana, drzewa pięknie przyszczyżone na kształt kul i stożków.

Konsul jednak zaprotestował gorąco.

–Na miłość boską, ojczulku!

Chętnie błędę latem w tych gąszczach; toż wszystko byłoby zepsute, gdyby tak przyszczyżono żałośnie tę piękną, wolną naturę!

–Ale skoro ta wolna natura do mnie należy, czyż, u kaduka, nie mam prawa urządzić jej podług mego gustu...

–Ach, ojczy, gdy leżę tam w trawie między krzewami, wydaje mi się, jakobym sam należał do natury, jakobym nie miał do niej najmniejszego prawa...

–Chrystian, nie obżeraj się tak! – zawołał nagle starszy Buddenbrook. – Tyldzi nic nie zaszkodzi... zawija dziewczucha za siedmiu chłopów...

Istotnie, to ciche, chude dziecko o podłużnej, starej twarzy wykazywało przy jedzeniu zadziwiające zdolności. Na zapytanie, czy życzy sobie jeszcze zupy, odrzekła przeciągle i pokornie: – T_ak, pro_szę! – Ryby jak również i szynki nabierała sobie po dwa razy, zawsze największe kawałki, do tego mnóstwo dodatków; jako krótkowidz nisko, troskliwie pochylona nad talerzem, pochłaniała wszystko spokojnie, bez pośpiechu, dużymi kęsami. Na słowa starego pana odpowiedziała przeciągle, przyjaźnie i z głupkowatym zdziwieniem:

–O_jej, stryju! – Nic ją nie obchodziło, nawet kpiny, i bynajmniej nie zażenowana, jadła dalej, wyladowując instynktownie swój apetyt ubogiej krewnej przy obfitym, darmowym stole, uśmiechała się bezmyślnie i napelniała sobie talerz dobrymi rzeczami, cierpliwa, zacięta, chuda i głodna.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział szósty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 W dwu kryształowych misach wniesiono leguminę składającą się z ułożonych warstwami makaroników, malin i kremu; na drugim zaś końcu stołu ukazały się plomyki ulubionego przysmaku dzieci, płonącego budyniu z rodzynkami.

–Tomaszu, synu mój, bądź tak dobry – rzekł pan Buddenbrook wyjmując z kieszeni spodni duży pęk kluczy. – W drugiej piwnicy na prawo, druga półka, za czerwonym bordeaux, dwie butelki, wiesz? – Tomasz, znający się dobrze na takich poleceniach, pobiegł i powrócił z butelkami całkowicie pokrytymi kurzem i pajęczyną. Zaledwie z tej niepozornej ze wewnętrznej powłoki porozlewano w małe deserowe kieliszki słodką zlocistą małmazję, nadeszła chwila, gdy pastor Wunderlich powstał z miejsca; rozmowy przy stole ucichły i pastor, z kieliszkiem w ręku, miłymi słowy rozpoczął toast. Mówiąc pochylał nieco na bok głowę, na bladej jego twarzy igrał uśmieszek, drugą ręką wykonywał od czasu do czasu subtelne, wykwintne gesty. Przemawiał spokojnym, gawędziarskim tonem, który znano z ambony... – A zatem pozwólmymy sobie, drodzy moi przyjaciele, wychylić kielich szlachetnego trunku za pomyślność naszych czcigodnych gospodarzy w ich nowym, tak wspaniałym domostwie, za pomyślność rodziny Buddenbrooków, jej obecnych, jak również i nieobecnych członków... Wiwat, niech żyją!

„Nieobecnych członków? – pomyślał konsul kłaniając się przed wzniesionymi ku niemu kielichami. – Czy stary Wunderlich ma na myśli tylko tych z Frankfurtu i może Duchampsów z Hamburga, czy też robi aluzję do kogoś jeszcze?” – Powstał, by stuknąć się kielichem z ojcem, i spojrzal mu serdecznie w oczy.

Z kolei podniósł się z miejsca makler Gr~atjens, co zabrało mu nieco czasu; gdy się z tym wreszcie uporał, wznosił kielich, by swym trochę skrzeczącym głosem przemówić na cześć firmy „Jan Buddenbrook”, jej dalszego rozkwitu i powodzenia ku chwale miasta.

A Jan Buddenbrook dziękował za wszystkie przyjazne słowa, po pierwsze, jako głowa rodziny, po wtóre, jako starszy szef firmy, po czym posłał Tomasza po trzecią butlę małmazji, gdyż obliczenie, że dwie wystarczą, okazało się mylne.

Przemówił i Lebrecht Kr~oger. Pozwolił sobie pozostać na krześle podczas toastu, co jeszcze podkreśliło bezpośredniość jego słów, i tylko z niezmiennym wdziękiem gestykulował głową i rękami, pijąc zdrowie dam – pani Antoinette oraz konsulowej.

Gdy skończył, gdy zjedzono leguminę, a małmazja była już na wyczerpaniu, wówczas podniósł się powoli, pochrzając, pan Jean Jacques Hoffstede, a towarzyszyło mu ogólne – Aaa! – Na końcu stołu nawet dzieci klaskały z uciechy.

–Excusez, nie mogłem sobie odmówić – wyrzekł dotykając z lekka swego spiczastego nosa i wyciągając jakiś papier z kieszeni surduta... W sali zapanowało głębokie milczenie.

Arkusz, który trzymał w ręku, był ślicznie pomalowany, miał kształt owalny, na ze wewnętrznej stronie widniały czerwone kwiaty i liczne złożone floresy.

Przeczytał te słowa:

„Z okazji przyjacielskiego współdziałania w radosnej uroczystości uczczenia domu nowo nabytego przez rodzinę Buddenbrooków. W październiku 1835.”

Odwrócił stronę i rozpoczął swym nieco już drżącym głosem:

Zacni Państwo! Rymem trzeba@

uczcić ten radosny czas,@ gdy

Wam zezwoliły nieba@ w takim

domu gościć nas.@

Pieśń mą składam Tobie w

darze,@ stary druhu, żonie

Twej,@ Waszych dzieci godnej

parze -@ przyjmą ją laskawie

chciej.@

Męską dzielność, trudy

szczerze,@ wdzięki, co się tulą

doń,@ znajdujemy tu Wenerę@ i

Wulkana pilną dłoń.@

Każdą troskę niechaj skosi@

przyszłość, próżna smutnych

mar,@ niech Wam każdy dzień

przynosi@ wciąż radości nowej

dar.@

Szczerze będę ucieszony@

trwałym szczęściem Waszych dni.@

Wzrok mój powie Wam wzruszony,@

czy możecie wierzyć mi.@

Życie w ciszy tych pokoi@

stale wspominając mnie,@ który w

skromnej celi swojej@ skreślił

dla Was wiersze te.@

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Gdy się skłonił, zerwały się zgodne, burzliwe oklaski. – C'est charmant, Hoffstede! – zawołał starszy Buddenbrook. – Twoje zdrowie! To było prześliczne!

Gdy zaś konsulowa trącała się z poetą, jej delikatna cera pokryła się lekkim rumieńcem, zauważyła bowiem dworny ukłon, z którym zwrócił się w jej stronę przy słowie „Wenera”...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział siódmy

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Ogólna wesołość dosięgła szczytu, pan K~oppen odczuwał wyraźną potrzebę rozpięcia kilku

guzików u kamizelki; niestety, to nie uchodziło, gdyż nawet starsi panowie nie pozwolili sobie na nic podobnego. Lebrecht Kröger siedział na swym krześle równie prosto jak na początku uczyty, pastor Wunderlich pozostał jednakowo błady i elegancki; starszy pan Buddenbrook rozparł się wprawdzie nieco, ale zawsze w sposób jak najprzystojniejszy; jedynie Justus Kröger był widocznie lekko podpity.

Gdzie się podział doktor Grabow? Konsulowa niepostrzeżenie opuściła salę, gdyż zauważyła, że miejsca panny Jungmann, doktora Grabowa i Chrystiana są puste, a z sali kolumnowej dolatywało coś jakby przytłumione jęki. Wysłała tuż za dziewczyną, która podała masło, sery i owoce, rzeczywiście, w półcieniu, na okrągłej wyściełanej sofce, otaczającej środkową kolumnę, leżał, a raczej siedział skulony mały Chrystian pojękując cicho i rozpaczliwie.

–Ach, mój Boże, paniusiu – rzekła Ida stojąca nad nim wraz z doktorem – Chrystianek tak źle się czuje...

–Niedobrze mi, mamu,

diabelnie niedobrze – jęczał Chrystian, a jego okrągłe, głęboko ponad zbyt wielkim nosem osadzone oczy latały na wszystkie strony. Wyrazu „diabelnie” użył tylko z nadmiernej rozpacz, pani konsulowa rzekła jednak:

–Gdy będziemy używali takich słów, to Bóg skarże nas jeszcze gorszym cierpieniem.

Doktor Grabow zbadął puls; wydawało się, że dobroduszną jego twarz jeszcze bardziej się wydłużyła i złagodniała.

–Lekka niestrawność... nic ważnego, pani konsulowo! – pocieszał. A potem ciągnął swym powolnym, pedantycznym tonem: – Najlepiej byłoby położyć go do łóżka... coś na przeczyszczenie, może filiżaneczkę rumianku na poty... I ścisła dieta, pani konsulowo! Jak powiedziałem, ścisła dieta. Rosół z gołąbka, parę sucharków...

–Nie chcę gołąbka! – wrzasnął rozpaczliwie Chrystian.

–Nigdy więcej nie będę nic jadł! Niedobrze mi jest, diabelnie niedobrze! – Zdawało się, że to mocne wyrażenie przynosi mu ulgę, z takim przejęciem je wykrzykiwał.

Doktor Grabow popatrzył na

niego z pobłażliwym, niemal

smutnym uśmiechem. Ach, będzie

on jeszcze jadł, ten młody

człowiek! Będzie żył jak wszyscy

na świecie. Jak ojcowie, krewni,

znajomi, przepędzać będzie dni

nad biurkiem, a co parę godzin

pochłaniać będzie ciężkie,

wyszukanie dobre rzeczy... Jak

Bóg przykazał!... On, doktor

Grabow, na pewno nie pragnąłby

zmienić czegokolwiek w

przyzwyczajeniach tych

dzielnich, majątnych, pocziwych rodzin kupieckich. Będzie przychodził na każde wezwanie, by zapisać ścisłą dietę na dwa dni – kawalek gołąbka, parę sucharków... tak, tak – i z czystym sumieniem zapewniać, że tym razem to nic ważnego. Pomimo iż tak młody, nieraz już trzymał w swych dłoniach rękę zacnego obywatela, który pochłonawszy ostatnią sztukę mięsa przy kości czy ostatniego nadziewanego indyka nagle i niespodziewanie polecał się Bogu siedząc przy biurku lub leżąc w starym, solidnym łożu... – Atak paralizu – mówiono potem – apopleksja, nagła i nieprzewidziana śmierć... Tak, tak, on, doktor Grabow, mógłby wymienić liczne wypadki, kiedy to właściwie „nic nie było”, kiedy go nawet nie wezwano, a tylko może po obiedzie lub po powrocie do kantoru poczuło się nagle lekki zawrót głowy... Cóż, wola boska! On sam, Fryderyk Grabow, nie należał do tych, którzy pogardzają nadziewanym indykiem. Ta panierowana szynka z szalotkowym sosem była

bardzo delikatna, do diabła, a potem, gdy już ciężko było oddychać, znowu ta legumina – makaroniki, maliny, krem, tak, tak... – Ścisła dieta, jak powiadam, pani konsulowo! Rosół z gołąbka, parę sucharków...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział ósmy

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 W sali jadalnej wstawano tymczasem od stołu.

–Dziękuję państwu, mesdames et messieurs. W sąsiednim pokoju są dobre cygara dla amatorów, a do kawy, jeśli pani okaże się hojną, może będą likiery... W oficynie są bilardy do dyspozycji, Jean, ty oczywiście poprowadzisz panów do oficyny... Madame K~oppen, mam honor...

Wszyscy zadowoleni i w doskonałym humorze, gawędząc i składając sobie wzajemnie podziękowania z racji udanego obiadu, przeszli znów do pokoju pejzażowego. Tylko konsul zatrzymał się, gromadząc wokół siebie panów chętnych do gry w bilard.

–Nie zaryzykuje ojciec partyjki?

Nie, Lebrecht Kr~oger wolał

pozostać przy damach, ale Justus

może przecież iść... Senator

Langhals, K~oppen, Gr~atjens i

doktor Grabow przyłączyli się

również do konsula, podczas gdy

Jean Jacques Hoffstede

zapowiedział: – Później,

później! Jan Buddenbrook będzie

grał na flecie, muszę przecież

posłuchać... Au revoir,

messieurs... (Do widzenia panom

–franc.)

Idąc przez salę kolumnową panowie usłyszeli jeszcze pierwsze dźwięki fletu, rozlegające się w pokoju pejzażowym, przy akompaniamencie konsulowej na fisharmonii, była to lekka, tęskna, pełna wdzięku melodia, która smętnie płynęła poprzez rozległe pokoje. Konsul nasłuchiwał, dopóki mógł jeszcze coś usłyszeć. Byłby chętnie pozostał i siedząc w fotelu pogrążył się w marzeniach, ale obowiązki gospodarza...

–Przynieś do sali bilardowej kilka filiżanek i cygara – rzekł do przechodzącej pokojówki.

–Tak, Linusiu, kawę, co?

Kawę! – powtórzył pan K~oppen głosem, który zdawał się wychodzić z pełnego brzucha, przy czym usiłował uszczypnąć dziewczynę w czerwone ramię. Dźwięk „k” wymawiał gardłowo, jak gdyby już tę kawę ze smakiem przelykał.

–Pewien jestem, że pani K~oppen zobaczyła to przez oszklone drzwi – zauważył konsul Kr~oger.

–A więc mieszkasz tam na górze, Buddenbrook?

Schody z prawej strony prowadziły na piętro, gdzie mieścili się sypialnie konsula oraz jego rodziny, po lewej zaś stronie przedsionka ciągnął się jeszcze szereg pokojów. Panowie pałac schodzili po szerokich schodach z białą lakierowaną barierą.

Konsul przystanął na półpiętrze.

–Tutaj, na półpiętrze, mieszczą się jeszcze trzy pokoje – objaśnił – pokój śniadaniowy, sypialnia rodziców i rzadko używany pokój wychodzący na ogród, obok biegnie wąski korytarz... Chodźmy jednak!... Przez tamtą sień przejeżdżają wozy transportowe, które potem jadą przez całą posesję aż na B~ackergrube.

Obszerne sienie na dole wyłożone było wielkimi kamiennymi płytami. Blisko drzwi wejściowych, jak również u przeciwległego końca znajdowały się pomieszczenia biurowe, kuchnia zaś, z której ciągle jeszcze dolatywał kwaskowaty zapach szalotkowego sosu, położona była po lewej stronie schodów, obok przejścia do piwnic. Na wprost kuchni, na pewnej wysokości wystawały dziwaczne, niezgrabne, ale czyściutko wylakierowane komórki, były to pokoje służbowe, do których dostać się można było tylko z sieni po prostych dosuwanych schodkach. Pod ścianami stało kilka olbrzymich starych szaf oraz rzeźbiona skrzynia.

Przez wysokie, oszklone drzwi schodziło się po kilku zupełnie płaskich stopniach na podwórze, gdzie z lewej strony mieściła się pralnia. Widać stąd było pięknie położony, teraz jednak jesienno szary i wilgotny ogród, którego grzędy okryte były słomianymi matami, chroniącymi kwiaty od mrozu. W głębi widniała fasada rokokowej altany. Z podwórza panowie skierowali się na lewo i drogą prowadzącą między dwoma murami, poprzez drugie podwórze doszli do oficyny.

Śliskie schody wiodły tam do sklepionego pomieszczenia, służącego za spichrz. Z góry zwisała lina do wciągania worków ze zbożem. Panowie weszli jednak na prawo, po czysto utrzymanych schodach, na pierwsze piętro, gdzie konsul otworzył przed gośćmi białe drzwi bilardowej sali.

Pan K~oppen padł na jedno ze sztywnych krzeseł stojących wzdłuż ścian rozległej, nagiej sali o surowym wyglądzie.

–Ja będę się na razie

przyglądał! – zawołał strzeżując kilka kropel deszczu ze swego surduta. – Niech mnie diabli porwą, to ci dopiero podróż przez ten wasz dom, Buddenbrook!

Podobnie jak w pokoju pejzażowym, paliło się tu w piecu opatrzonym mosiężną kratą. Przez trzy wysokie i wąskie okna widać było czerwone wilgotne dachy, szare podwórza, szczyty domów...

–W karambole, panie

senatorze? – zapytał konsul wyjmując kije z postumentu. Przeszedł dookoła i pozatykał dziury w obu bilardach. – Kto z nami? Gr~atjens? Doktor? All right! Gr~atjens i Justus zatem na drugim stole. K~oppen, musisz grać. – Kupiec winny wstał z miejsca, zasluchany w silne podmuchy wiatru, który świstał wśród domów, ciskał krople deszczu o szyby i wyl w piecu.

–Do licha! – rzekł

wypuszczając kłęb dymu. – Sądysz, że „Wullenwewer” przybije do portu, Buddenbrook? Co za psi czas!...

Istotnie, wiadomości z

Travem~unde nie były najlepsze; potwierdził to również konsul Kr~oger smarując kredą główkę kija. Burze na wszystkich wybrzeżach. Nie o wiele gorzej było w roku 24, kiedy to zdarzyła się wielka powódź w Petersburgu... Ale otóż i kawa.

Wypili po parę łyków i zabrali się do gry. Zaraz jednak rozpoczęła się rozmowa o unii celnej... O tak, konsul Buddenbrook był pełen zapału dla unii celnej!

–Cóż to za pomysł, panowie! – zawołał mierząc uważnie i odwracając się żywo do drugiego bilardu, przy którym rozpoczęto tę rozmowę. – Przy pierwszej sposobności powinniśmy przystąpić... – Pan K~oppen był jednak innego zdania, stanowił opozycję.

–A nasza samodzielność? A nasza niezależność? – zapytał obrażonym tonem, opierając się wojowniczo na kiju bilardowym. – Jak tam z tym będzie? Czy Hamburg ma się dać złapać na ten pruski wynalazek? Może od razu dać się wcielić, Buddenbrook? Bóg niech nas ustrzeże, na co nam unia celna, chciałbym wiedzieć? Czy to nam źle?

–Oczywiście, K~oppen, winko, no i może rosyjskie produkty, zgoda! Ale poza tym nie ma żadnego importu! A co się tyczy eksportu, to, rozumie się, wywozimy trochę zboża do Holandii i Anglii, no tak!... Nie można powiedzieć, że jest świetnie. Bywały tu dawniej inne interesy. Bóg to widzi... Ale przy unii celnej otworzy się Meklemburgia i Szlezwik_holsztyn...

–Wybaczy pan, panie

Buddenbrook – odezwał się Gr~atjens pochylony nad bilardem, z kijem w kościstej ręce, mierząc starannie – ta unia celna... nie pojmuję tego. Nasz system jest doprawdy tak prosty i praktyczny, nieprawda?

Deklaracja i przysięga

obywatelska...

–Stara, piękna instytucja – musiał przyświadczyć konsul.

–Nie, doprawdy, panie

konsulu, jak już pan znajdzie coś „pięknego”! – Senator Langhals był nieco oburzony.

–Przecież nie jestem

kupcem... ale jeśli mam mówić uczciwie, toż ta obywatelska przysięga staje się stopniowo nadużyciem! Zmieniła się w formalność, którą dość łatwo jest obejść... A państwo patrzy przez palce. Słyszy się o tym dość nieprzyjemne rzeczy. Jestem pewien, że ze strony senatu przystąpienie do unii celnej...

–W takim razie będzie

konflikt! – Pan K~oppen zagniewany cisnął kij o ziemię. Powiedział „kaflrik” i w ogóle przestał teraz zwracać uwagę na wymowę. – Będzie kaflrik, już ja się na tym znam. Nie, z całym szacunkiem, panie synatorze, ale uchwaj Boże, nic pan na to nie poradysz.

–I prawil z przejęciem o komisji rozjemczej, o pomyślności państwa, o

obywatelskiej przysiędze i republice...

Chwała Bogu, że pojawił się właśnie Jean Jacques Hoffstede!

Wszedł pod rękę z pastorem Wunderlichem: dwaj żwawi, pełni prostoty starsi panowie z beztroskich czasów.

–No, kochani przyjaciele – odezwał się – mam coś dla was, żarcik, coś wesołego, wierszyk z francuskiego... uważajcie tylko!

Rozsiadł się wygodnie na krześle, na wprost opartych o swe kije graczy, wyciągnął ćwiartkę papieru, dotknął spiczastego nosa wskazującym palcem zdobnym w sygnet i odczytał wesołym i naiwnie epickim tonem:

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Marszałek saski raz markizę

Pompadour@ karocą złotą wioził na

spacer czy na dwór@ Fr~eron, gdy

ujrzał ich -@ zawołał: patrz,

kolego!@ To króla miecz – i

pochwa jego!@

Pan K~oppen zdumiał się na chwilę, po czym puścił kantem kaflrik tudzież pomyślność państwa, by przyłączyć się do ogólnego śmiechu, którym rozbrzmiała cała sala.

Pastor Wunderlich podszedł do okna i, sądząc po jego drgających ramionach, chichotał cicho.

Pozostano jeszcze czas jakiś w sali bilardowej, gdyż pan Hoffstede miał w pogotowiu sporo podobnych żarcików. Pan K~oppen rozpiął kamizelkę i był w jak najlepszym humorze, czując się tu lepiej aniżeli w sali jadalnej. Za każdym uderzeniem dogadywał śmiesznie dialektem, a od czasu do czasu recytował uszczęśliwiony:

Marszałek saski raz...@

Zabawnie brzmiał ten wierszyk recytowany jego grubym basem...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział dziewiąty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Było już dość późno, około godziny jedenastej, gdy całe towarzystwo, zebrawszy się znów w pokoju pejzażowym, prawie jednocześnie zaczęło się żegnać. Pani konsulowa, gdy wszyscy ucałowali na dobranoc jej rękę, oddaliła się spiesznie do swych pokojów na górze, by zobaczyć, co się dzieje z cierpiącym Chrystianem, nie omieszkała jednak przedtem polecić panie Jungmann nadzoru nad uprzątnięciem naczyń. Pani Antoinette przeszła do swoich apartamentów. Konsul tymczasem sprowadził gości ze schodów, przez sięń, do samych drzwi wychodzących na ulicę.

Deszcz zaczął ukośnie, pędzony ostrym wiatrem, i starzy Krögerowie, otuleni w grube futra, wgramolili się do swego wspaniałego, od dawna już czekającego pojazdu. Żółte światła lamp olejnych, płonących na słupach przed domem i na łańcuchach przeciągniętych wzdłuż ulicy, migotały niespokojnie. Gdzieś tam domy swymi gankami i wykuszami wdzierały się w ulicę, która prowadziła stromo w dół do rzeki Trawy. Wilgotne zielsko wyrastało między kamieniami zapuszczonego bruku. Kościół Panny Marii, naprzeciwko, cały był pogrążony w ciemności i deszczowej mgle.

–Merci (dziękuję – franc.) – rzekł Lebrecht Kröger ściskając dłoń konsula stojącego przy powozie. – Merci, Jean, było niezmiernie miło! – Zatrzaśnięto drzwiczki i powóz odjechał. Pastor Wunderlich i makler Grätjens też odeszli w swoją stronę, złożwszy piękne podziękowanie. Pan Köppen w płaszczu z pięcioma pelerynkami i w szarym szerokoskrzydłym cylindrze na głowie, trzymając pod rękę zażywną małżonkę, rzekł swym najgrubszym basem:

–Dobranoc, Buddenbrook! No, wracaj, nie zazięb się. Ano, dziękuję! Od dawna tak się nie najadłem... Więc podoba ci się moje czerwone winko po cztery marki za butelkę? Jeszcze raz dobranoc...

Para owa poszła wraz z konsulem Krögerem i jego rodziną w dół ku rzece, podczas gdy senator Langhals, doktor Grabow i Jean Jacques Hoffstede udali się w przeciwnym kierunku... Konsul Buddenbrook z rękami w kieszeniach jasnych spodni, marznąc nieco w swym sukiennym surducie, stał przed drzwiami, przysłuchując się krokom rozlegającym się w pustej, słabo oświetlonej ulicy. Potem odwrócił się i spojrzał w górę, na szarą fasadę domu. Wzrok jego zatrzymał się na dewizie wyrytej staroświeckimi literami ponad wejściem: Dominus providebit (Pan czuwać będzie – łac.). Przechylając nieco głowę, wszedł z powrotem, starannie zamknąwszy za sobą ciężkie, skrzypiące drzwi. Wolno przeszedł przez sięń, w której dźwięczały jego kroki. Zapytał kucharkę, która zносиła po schodach tacę ze szkłem:

–Gdzie pan, Katarzyno?

–W sali jadalnej, panie konsulu... – Twarz jej stała się czerwona jak ręce; pochodziła ze wsi i łatwo się detonowała.

Wszedł na górę i jeszcze raz, w sali kolumnowej, sięgnął ręką do kieszeni, w której szeleścił list. Potem udał się do sali jadalnej, gdzie w kącie dopalały się resztki świec w jednym z kandelabrow, słabo oświetlając pusty stół. Kwaskowaty zapach szalotkowego sosu trwał jeszcze w powietrzu.

W głębi, pod oknami, Jan Buddenbrook starszy przechadzał się z założonymi na plecach rękoma – tam i z powrotem.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Rozdział dziesiąty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

–No, mój synu Janie! Dokądże to? – Zatrzymał się i wyciągnął do syna swą białą, nieco przykrótką, lecz piękną buddenbrookowską dłoń. Czerstwa jego postać, na której w półmroku jaśniejszą plamą znaczyła się upudrowana peruka oraz koronkowy żabot, rysowała się na tle ciemnoczerwonych zasłon.

–Jeszcze nie zmęczony? A ja chodzę tak i słucham tego wichru... przekłeta pogoda! A kapitan Kloht jest właśnie w drodze powrotnej z Rygi...

–Mój ojcie, z boską pomocą wszystko pójdzie dobrze!

–Czyż mogę na niej polegać?

Przyjmując nawet, że jesteś na „ty” z Panem Bogiem...

Konsulowi lżej się zrobiło na sercu na widok tego dobrego humoru.

–Prawdę mówiąc, nie tylko dobranoć chciałem ojczulkowi powiedzieć, lecz... ale się nie pogniewamy, prawda? Nie chciałem dotąd nudzić ojczulka tym listem – zwłaszcza tego radosnego wieczoru – nadszedł dziś po południu...

–Monsieur Gotthold – voil~a!

–Stary pan udal zupełną obojętność na widok błękitnego, zapieczętowanego papieru, który syn mu wręczył. „Do Wpana Jana Buddenbrooka, seniora. Do rąk własnych...” – To mi człowiek ~a conduite (który umie się odpowiednio zachować – franc.), ten twój pan brat przyrodni,

Jean! Czyż ja w ogóle odpowiedziałem na drugi jego list? A jednak pisze po raz trzeci... – Jego różowa twarz pochmurniała coraz bardziej; złamał pieczęć, szybko rozwinął cienki papier, odwrócił się tak, by na list padało światło kandelabra, i uderzył weń energicznie odwrotną stroną dłoni. Nawet w tym charakterze pisma zdawał się znajdować odszczepieństwo i rebelię; podczas gdy wiersze buddenbrookowskiego pisma biegły po papierze drobno, lekko i skośnie, te litery stały proste, wysokie, ostro cieniowane; było tam wiele wyrazów podkreślonych szybkim falistym pociągnięciem.

Konsul usunął się pod ścianę, gdzie stały krzesła; ponieważ ojciec stał, i on nie usiadł, przechylił tylko nerwowym ruchem jedno z wysokich oparć i obserwował starego pana, który z głową przekrzywioną na bok, ściągawszy brwi, czytał poruszając szybko wargami.

Mój Ojcze!

Mylę się zapewne sądząc, że poczucie sprawiedliwości odezwie się w Ojcu dość silnie, aby mógł zrozumieć oburzenie, jakiego doznałem, gdy mój drugi, tak nagłą list w wiadomej sprawie pozostał bez odpowiedzi, podczas gdy jedynie na pierwszy odpowiedziano (i to w jakiej formie!). Muszę powiedzieć, że sposób, w jaki Ojciec przez upór pogłębia przepaść leżącą między nami, jest grzechem, za który Ojciec ciężko kiedyś odpowie przed sądem boskim. Dostyc to smutne, że od chwili, w której ulegając głosowi serca poślubiłem wbrew woli Ojca moją obecną małżonkę, a obejmując prowadzenie sklepu zadrasnałem bezgraniczną pychę Ojca, odwróciliście się ode mnie tak całkowicie i bezlitośnie; lecz sposób, w jaki Ojciec traktuje mnie obecnie, woła o pomstę do nieba i jeśli Ojciec myśli, że Jego milczenie uspokoi mnie, to myli się bardzo grubo. Cena domu, nabytego obecnie na Mengstrasse, wynosi sto tysięcy marek, a poza tym jest mi wiadome, że syn Ojca z drugiego małżeństwa oraz associ~e, Jan, odnajmuje od Ojca mieszkanie, a po Jego śmierci odziedziczy wraz z firmą i dom, jako jedyny spadkobierca. Z siostrą przyrodnią z Frankfurtu oraz jej małżonkiem doszło do układu, w który się nie mieszam. Ale co się tyczy mnie, najstarszego syna, to swą niechrześcijańską złość doprowadza Ojciec tak daleko, że odmawia mi wszelkiego odszkodowania za należy mi udział w domu! Pomiąłem to milczeniem, gdy przy zawieraniu mego małżeństwa oraz etablowaniu się wypłacił mi Ojciec sto tysięcy marek, a w testamencie przyrzekł zapisać ryczałtem również tylko sto tysięcy marek, tytułem całkowitej schedy. Wówczas nie byłem zorientowany w stanie majątkowym Ojca; teraz jednak patrzę jaśniej na rzeczy, a ponieważ nie chcę uważać się zasadniczo za wydziedziczonego, żądam w tym wyjątkowym wypadku odszkodowania w sumie trzydziestu trzech tysięcy trzystu trzydziestu pięciu marek, to jest jednej trzeciej sumy, za jaką dom został nabyty. Nie chcę się zapuszczać w domysły, jakim godnym potępienia wpływem zawdzięczam dotychczasowe postępowanie Ojca; protestuję jednak przeciwko temu postępowaniu z całą słusnością chrześcijanina oraz kupca i zapewniam Ojca po raz ostatni, że o ile nie zdecyduje się uwzględnić słusnych moich pretensji, przestanę szanować Go jako chrześcijanina, jako Ojca oraz jako kupca.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Gotthold Buddenbrook

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

–Wybacz, lecz nie mam

najmniejszej ochoty odmawiać tej litanii po raz drugi. – Voil~a!

–Jan Buddenbrook rzucił synowi list wściekłym ruchem.

Konsul chwycił papier przelatujący właśnie obok jego kolan i ze smutkiem i zakłopotaniem w oczach poszedł za ojcem.

Stary pan pochwycił wsparty przy oknie o ścianę długi błazek i przeszedł, gniewny i wyprostowany, do przeciwległego kąta pokoju, gdzie stał kandelabr.

–Assez! mówię. N'en parlons plus. Kropka. Marsz do łóżka! En avant!»*

Nie mówmy już o tym... Dalej!

(franc.)

Płomienie znikaly jeden po drugim pod małym metalowym daszkiem, umocowanym na szczycie drążka; płonęły jeszcze ostatnie dwie świece, gdy stary pan odwrócił się znów do syna, zaledwie widocznego w ciemnościach.

–Eh bien, czego tu stoisz, co powiesz? Musisz przecież coś powiedzieć!

–Cóż ja mogę ojcu powiedzieć?

Jestem bezradny.

–Przychodzi ci to dość łatwo, być bezradnym! – rzucił Jan Buddenbrook ze złością, jakkolwiek sam wiedział, że ta uwaga nie jest zupełnie sprawiedliwa, niejednokrotnie bowiem ten syn i wspólnik przewyższał go szybką orientacją, gdy szło o zyski.

–Złe i godne potępienia wpływy... – ciągnął dalej konsul. – Oto pierwszy czytelny dla mnie wiersz. Czyżby ojciec nie pojmował, jak mnie to dręczy? I zarzuca nam brak uczuć chrześcijańskich!

–Przestraszyłeś się tej bazgraniny, co? – Jan Buddenbrook podszedł do niego gniewnie, ciągnąc za sobą błazek. – Brak uczuć chrześcijańskich! Ha, to w dobrym smaku, trzeba przyznać, ta pobożna żądza grosza! Jacy właściwie jesteście, wy, młodzi, co? Głowa pełna chrześcijańskich i fantastycznych banialuk... i... idealizm! A my, starzy, to pono kpiarze bez serca... a obok tego monarchia lipcowa i praktyczne ideały... i lepiej posłać staremu ojcu najordynarniejsze sottis (obelgi – franc.), niż wyrzec się kilku tysięcy talarów!... Raczy mną pogardzać jako kupcem! No, więc jako kupiec wiem, co to są faux frais, faux frais! (koszty dodatkowe – franc.) – powtórzył zawzięcie, podkreślając gardłowe paryskie „r”. – Ten egzaltowany nicpoń nie poprawi się, choćbym nawet upokorzył się przed nim i ustąpił...

–Drogi ojcze, cóż mam

odpowiedzieć! Nie pragnąłbym, aby on miał rację w tym, co mówi o „wplywach”! Jako wspólnik, jestem tu zainteresowany i właśnie dlatego nie powinienem być radzić, by ojciec wytrwał na swym stanowisku... a jednak... Jestem równie dobrym chrześcijaninem jak Gotthold, a jednak...

–A jednak! tak, istotnie, masz rację, Jean, mówiąc „a jednak”! Jak wygląda właściwie ta cała sprawa? Wówczas kiedy to się palił do tej swojej panny St~uwing, kiedy robił mi scenę po scenie i w końcu mimo mego surowego zakazu popełnił ten mezalians, napisałem mu: Mon tres cher fils, (mój drogi synu – franc.) poślubiłeś twój sklepik, kropka. Nie wydziedziczam cię, nie robię żadnego skandalu, ale przyjaźń nasza jest skończona. Masz tu sto tysięcy marek w posagu, drugie sto tysięcy marek zapiszę ci w testamencie i basta, załatwione, ani szylinga więcej. Nic na to nie odpowiedział. Co go teraz obchodzi, że robimy interesy? Że ty i twoja siostra dostaniecie o wiele większą porcję? Że z waszego przyszłego spadku został nabyty dom?

–Gdyby ojciec mógł pojąć, jaki dylemat mam do rozwiązania. Z punktu widzenia interesów rodzinnych powinien bym radzić... ale... – Konsul westchnął cicho. Jan Buddenbrook, wsparty o błazek, śledził w migotliwym, niespokojnym półmroku wyraz twarzy syna. Przedostatnia świeca wypaliła się i zagasła sama; już tylko jedna migotała w głębi. Od czasu do czasu na którymś z obić rysowała się jakaś wysoka, biała, uśmiechająca się spokojnie postać, która po chwili znów znikala w półmroku.

–Ojcze! Te stosunki z Gottholdem przytłaczają mnie! – rzekł cicho konsul.

–Głupstwo, Jean, bez

sentymalizmu! Cóż cię przytłacza?

–Ojcze! Siedzieliśmy tu dziś wszyscy razem, tak wesoło czciliśmy radosny dzień, byliśmy dumni i szczęśliwi w przeświadczeniu, żeśmy czegoś dopięli, coś osiągnęli... wyprowadziliśmy naszą firmę, naszą rodzinę na wyżyny, gdzie największa powaga i znaczenie stały się jej udziałem... Ale, ojcze, ta wrogość pomiędzy mną a moim bratem, najstarszym twoim synem... Żadna skaza nie powinna szpecić budowli, którą wzniesiliśmy z łaskawą boską pomocą... Rodzina powinna żyć w jedności, trzymać się razem, ojcze, inaczej nieszczęście zapuka do drzwi...

–Banialuki, Jean! Żarty!

Uparty chłopak...

Nastąpiła pauza; ostatni płomień dogasał.

–Co ty tam robisz, Jean? – zapytał Buddenbrook.

–Wcale cię już nie widzę.

–Rachuję – odrzekł sucho konsul. Świeca zapłonęła żywiej i można było dostrzec, jak stał wyprostowany, wpatrując się w tańczący płomień wzrokiem tak chłodnym i uważnym, jakim nie patrzył dziś przez całe popołudnie. – Albo daje ojciec trzydzieści trzy tysiące trzysta trzydzieści pięć marek Gottholdowi i piętnaście tysięcy marek siostrze do Frankfurtu, co razem czyni sumę czterdzieści osiem tysięcy trzysta trzydzieści pięć marek, albo też daje ojciec tylko dwadzieścia pięć tysięcy marek do Frankfurtu, co oznacza dla firmy zysk w wysokości dwudziestu trzech tysięcy trzystu trzydziestu pięciu marek. Ale to nie wszystko. Przypuśćmy, że udziela ojciec Gottholdowi odszkodowania za jego udział w domu; w takim razie zasada jest przełamana, w takim razie nie został on wówczas ostatecznie zaspokojony, w takim razie po śmierci ojca zażądać może takiej samej schedy, jaka przypadnie mnie i siostrze, a idzie tu o stutysięczne straty dla firmy, których ona ponosić nie może, których ja, jako przyszły właściciel, ponosić nie mogę... Nie, ojczulku – zakończył energicznym ruchem ręki, prostując się jeszcze bardziej.

–Nie radzę ustępować.

–No, więc! Kropka! N'en parlons plus! En avant! Marsz do łóżka!

Ostatni płomyk zniknął pod metalowym daszkiem.

W głębokich ciemnościach przeszli przez salę kolumnową, doszedłszy zaś do schodów, prowadzących na drugie piętro, uściśli sobie serdecznie dłonie.

–Dobranoc, Jean... courage, co? Takie sobie przykrości... Do widzenia jutro przy śniadaniu!

Konsul wszedł na schody, a stary pan dotarł po omacku do swoich apartamentów. Szczelnie zamknięty, obszerny stary dom pograżył się w ciemności i milczeniu. Duma, nadzieje, niepokoje – wszystko spoczywało, podczas gdy na cichych ulicach mżył deszcz, a wiatr jesienny świszczal po szczytach i węgłach.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Część druga

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział pierwszy

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Minęła półtrzecia roku; wiosna nadeszła wcześniej niż zwykle, już w połowie kwietnia, i w tymże czasie nastąpiło wydarzenie, z powodu którego stary Jan Buddenbrook nucił sobie wesoło, syn zaś jego pełen był radości.

Pewnej niedzieli o dziewiątej rano konsul siedział w pokoju, gdzie zazwyczaj spożywano śniadanie, przed stojącą przy oknie dużą, brunatną sekretarą, której wieko otwierało się za pomocą pomyslowego mechanizmu. Leżała przed nim skórzana teka wypchana papierami. Wyjął był z niej zeszyt w ozdobnej, złoconej okładce i pochylony pisał swym cienkim, drobnym pismem – gorliwie i bez zatrzymywania się, maczając gęsie pióro w ciężkim metalowym kałamarzu...

Oba okna były otwarte; z ogrodu, gdzie łagodne światło słoneczne splywało na pierwsze pączki, a ptaki przesyłały sobie cienkimi głosami śmiałe odpowiedzi, przywiewało wiosenne powietrze, pełne świeżych i delikatnych woni, chwilami bezszelestnie poruszając firanki. Na stole słońce jaskrawo odbijało się od białego, gdzieś usianego okruchami obrusa, zapalając małe, migotliwe błyski na złoconych filiżankach.

Dwuskrzydłowe drzwi do sypialnego pokoju były szeroko otwarte; dolatywał stamtąd głos Jana Buddenbrooka nucącego cicho starą pocieszoną melodyjkę:

Pocziwy mąż, usłużny mąż,@

mąż ze szarmancką minką,@

kołysze dziecko, luska groch@ i

pachnie mandarynką.@

Siedział on przy małej kołysce zdobnej w zielone firanki i z lekka ją kołysał.

Konsulowa wraz z małżonkiem dla wygody przeniosła się na pewien czas do tego pokoju, podczas gdy ojciec wraz z panią Antoinette, która, w fartuszkach na swej prążkowanej sukni i w koronkowym czepku na bujnych siwych lokach, zajęta była teraz pieluszkami, zamieszkali chwilowo w trzecim z kolei pokoju.

Konsul Buddenbrook z rzadka tylko zaglądał do sąsiedniego pokoju, tak bardzo pochłaniało go pisanie. Wyraz jego twarzy był poważny i pełen bolesnego niemal skupienia. Usta miał lekko otwarte, broda opadła mu nieco, a oczy przymykały się od czasu do czasu. Pisał:

„Dzisiaj, dnia 14 kwietnia roku 1838, o godzinie 6 rano droga żona moja, Elżbieta, z łaskawą boską pomocą szczęśliwie powiła córeczkę, która na chrzcie świętym otrzymać ma imię Klara. Tak łaskawy był dla nas Pan, pomimo iż doktor Grabow utrzymywał, że urodzenie nastąpiło nieco za wcześnie, a i poprzednio nie wszystko było w porządku, Betsy zaś cierpiała silne bóle. Ach, gdzież jest Bóg, równy Tobie Jedynemu, który wspomagasz nas we wszystkich troskach i niebezpieczeństwach, pozwalasz nam poznać Twą świętą wolę, abyśmy się Ciebie lękali i wiernie spełniali wolę i przykazania Twoje! Ach Panie, prowadź nas wszystkich, póki jesteśmy na ziemi...”

Pióro skrzypiąc biegło gładko dalej, kreśląc od czasu do czasu kupiecki zakrętas, i wiersz za wierszem przemawiało do Boga. Po dwu stronach wstępu pisał dalej:

„Najmłodszej mojej córce ofiarowałem polisę na sto pięćdziesiąt talarów. Prowadź ją, o Panie, Twymi drogami i daj jej czyste serce, by mogła otrzymać kiedyś wieczny odpoczynek. Gdyż dobrze wiemy, jak trudno jest uwierzyć całą duszą, że słodki Jezus sprzyja nam, a małe nasze, słabe serce...”

Po trzech stronach konsul napisał „amen”, ale pióro biegło dalej, biegło z lekkim szelestem przez kilka jeszcze kartek, pisało o źródle przepysznych, które rzeźwi znużonego wędrowca, o świętych, krwawych ranach Zbawiciela, o drogach szerokich i wąskich i o wspaniałomyślności bożej. Nie da się zaprzeczyć, że po tym lub owym zdaniu konsul czuł, iż warto by już zakończyć, wejść do żony lub udać się do kantoru. Ale jak to! Miałoby się tak szybko zmęczyć rozmową ze swym Stwórcą? Co to za zbrodnia przeciwko Niemu – tak prędko zakończyć pisanie... Nie, nie, jako pokutę za bezbożne chęci przytoczył inne rozdziały z Pisma Świętego, modlił się za rodziców, żonę, dzieci i za siebie samego, modlił się także za brata Gottholda – by wreszcie, po ostatnim wersecie z Biblii oraz potrójnym amen, zasypać wszystko żółtym piaskiem i odetchnąć głęboko.

Załóżyl nogę na nogę i począł pomalutku przeglądać zeszyt, by tu i ówdzie odczytać jakąś datę czy ustęp napisany własną ręką i jeszcze raz ucieszyć się myślą, że ręka Boga chroniła go zawsze w niebezpieczeństwach. Miał ospę, i to tak ciężką, że wszyscy zwątpili o jego życiu – a jednak został uratowany. Innym razem – gdy był jeszcze małym chłopcem – przyglądał się weselnym przygotowaniom. Warzono mnóstwo piwa (gdyż wedle starego obyczaju piwo warzono w domu) i w tym celu ustawiono za drzwiami ogromną kadź. Kadź wywróciła się z wielkim hukiem i przywaliła chłopca; sąsiedzi przybiegli i sześciu dopiero zdołało ją podnieść... Chłopiec był cały okrwawiony i miał rozbitą głowę. Zniesiono go do jakiegoś sklepu, a ponieważ dawał jeszcze oznaki życia, posłano po doktora i chirurga. Ojcu zaś radzono, by zdał się na wolę bożą, gdyż to niemożliwe, by chłopiec pozostał przy życiu... I słuchajcie: wszechmocny Bóg zesłał błogosławieństwo i pomógł mu odzyskać zdrowie! Przeżywszy po raz drugi w duszy ten wypadek, konsul chwycił jeszcze raz pióro i dopisał ostatnie amen: Tak, Boże mój, wiecznie pragnę wielbić Ciebie!

Innym razem, gdy jako zupełnie młody człowiek pojechał do Bergen, Pan Bóg wyratował go z niebezpieczeństwa zatonięcia.

Gdyś my – było tam napisane – w czasie żeglugi, kiedy przybyły łodzie z północy, musieli sobie zadać wiele trudu, aby przedostać się między łodziami do naszego pomostu, wydarzyło mi się, że stałem na skraju szkuty, opierając się nogami o dulki, a plecami o maszt, by w ten sposób przyholować szkutę; na moje nieszczęście załamały się pode mną dębowe dulki i wpadłem głową naprzód do wody. Gdy wypłynął po raz pierwszy, w pobliżu nie było nikogo, kto by mi pomógł wydostać się z wody; wypływam po raz drugi, a tu szkuta nad moją głową. A choć obok było już sporo ludzi, którzy chcieli mnie ratować, musieli oni usuwać uprzednio inne łodzie. I nie pomogłyby ich usiłowania, gdyby z boską pomocą nie była się przerwała lina u jednej łodzi; tej to liny uchwyciłem się, ale tylko moje włosy wystawały spod wody. Jakiś człowiek, wychylony ze szkuty, uchwycił mnie za włosy, ja zaś chwyciłem się jego ramienia. Nie mogąc się utrzymać, krzyczał on i ryczał tak potężnie, że wreszcie inni usłyszeli, chwycili go za nogi i trzymali. Ja też mocno się trzymałem, pomimo iż ugryzł mnie w rękę, w ten sposób i ja mogłem się uratować...

Potem następowala bardzo dluga modlitwa dziekczynna, ktora konsul odczytal ze lzami w oczach.

„Gdybym chcial odslonic tu moje namietnosc” – pisal w innym miejscu – „niejedno moglbym przytoczyc, lecz...” – Tu przerzucil kilka kartek i zaczal odczytywac rone ustepy z czasow swego slubu i narozdzin pierwszego dziecka. Uczciwie mowiac, malzenstwo to nie bylo tak zwanym „malzenstwem z milosci”. Ojciec poklepal syna po plecach i zwrzil mu uwage na corke bogatego Kr~ogera, ktora wnioslaby znaczny posag do firmy, on zgodzil sie chetnie i otdad czcil swa malzonke jako zeslaną mu przez Boga towarzyszkę...

Podobnie bylo przeciez i z drugim malzenstwem ojca.

Poczciwy maz, usluzny maz,@

maz ze szarmancka minka...@

nucil on cicho w sypialnym pokoju. Bylo to istotnie godne pozalowania, jak malo nabozenstwa mial ojciec dla tych starych zapiskow i papierow. Tkwil mocno w terazniejszosci i nie zajmowal sie zbytnio przeszloscia rodziny, choc sam nakreslil kiedyś kilka stron w grubym zeszyte ze zloconymi brzegami, zwlaszcza w związku ze swym pierwszym malzenstwem. Konsul odwrzil kilka zolknacych juz kartek, grubszych niz te, ktore sam wlepil. Tak, zdaje sie, ze Jan Buddenbrook musial kochac tkliwa miloscia swa pierwsza zone, corke kupca z Bremy, a rok przezyty u jej boku uwazal za najpiekniejszy w swym zyciu: *L'annee la plus heureuse de ma vie.*»* Słowa te podkreślono falista linia, jak gdyby grozna mozliwosc, ze pani Antoinette moze je kiedyś zobaczyc, nie byla w ogole brana pod uwage...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Najszczęśliwszy rok w moim zyciu. (franc.)

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Potem jednak urodzil sie Gotthold, a porod ten zabil Jozefine... W związku z tym wydarzeniem dziwne uwagi nakreslone zostaly na grubym papierze. Jan Buddenbrook zdawal sie nienawidzic tej nowej istoty od poczatku, gdy tylko pierwsze jej zuchwale ruchy poczely sprawiać matce okrutne bole – az do chwili gdy przyszla na swiat zdrowa i pelna zycia, podczas gdy smiertelnie blada twarz Jozefiny spoczywala na poduszkach. Nigdy nie wybaczil smierci matki bezwzgle demu intruzowi, ktory rosl mocny i beztroski.

Konsul nie pojmwal tego. „Umarla – myslal sobie – spelniwszy swiety obowiazek kobiety; ja na jego miejscu przeniöslbym cala milosc na mala istotke, ktorej ona dala zycie i ktora po sobie zostawila...” Ojciec jednak widzial w najstarszym synu jedynie przekletego burzyciela swego szczescia. Pözniej ozenil sie z Antoinette Duchamps, corka bogatej i szanowanej rodziny hamburskiej, i zyli we wzajemnej czci i poszanowaniu...

Konsul przerzucal dalej zeszyt. Na samym koncu zapisane byly krötkie dzieje wlasnych jego dzieci, kiedy to Tom chorowal na odrę, a Tonia miala zöltaczke, Chrystian zaś przechodzil ospę wietrzna.

Czytal opisy podrozzy do Paryza,

Szwajcarii i Marienbadu, ktore

odbywal z zona. Przerzucajac

dalej, odnalazl podobne do

pergaminu, zniszczone i pozolkle

kartki, ktore stary Jan

Buddenbrook, ojciec jego ojca,

zapisal bladoniebieskim

atramente m. Zapiski owe

zaczynaly sie obszer-na

genealogia rodziny, z

uwatnieniem glöwnej linii. Czytal, jak to przy koncu XVI wieku pierwszy ze znanych Buddenbrookow mieszkal w

mieście Parchimie, syn zaś jego został radcą w Grabau. Jak to pewien późniejszy Buddenbrook, krawiec, mistrz cechowy, ożenił się w Rostocku, „dobrze się miał” – co było podkreślone – i spłodził gromadę dzieci, żywych oraz martwych, jak wypadło... Jak znów inny, imieniem Jan, był kupcem w Rostocku i jak w końcu po wielu latach dziadek konsula przybył tu i założył firmę zbożową. O tym przodku wiadome już były wszystkie daty: kiedy przeszedł jaglicę, a kiedy ospę, jak również kiedy spadł ze strychu do suszarni, a jednak pozostał przy życiu, choć po drodze obijał się o wystające belki, wreszcie kiedy zachorował na białą gorączkę z atakiem furii – wszystko to dokładnie było zapisane. Pozostawił on swoim potomkom sporo dobrych wskazówek, spośród których wyróżniało się wypisane gotyckimi literami i okolone ramką zdanie: „Synu mój, pilnuj za dnia twych interesów, bacz atoli, byś się takich nie imał, które by ci nocą sen mąciły”. Potem szeroko opowiadał o tym, że posiada cenną Biblię z Wittenbergi, którą pozostawił swemu pierworodnemu, ten zaś swemu, i tak dalej...

Konsul Buddenbrook przysunął bliżej skórzaną tekę, by łatwiej mu było wyjmować i przeglądać papiery. Były tam prastare, żółte, podarte listy, pisane przez troskliwą matkę do pracujących na obczyźnie synów, zaopatrzone przez adresata w uwagę: „Otrzymane i odczytane z serdeczną radością”. Były listy obywatelskie z herbami oraz pieczęciami wolnego miasta hanzeatyckiego, polisy, poematy gratulacyjne i listy chrześtnych rodziców. Były owe wzruszające listy pisane przez syna ze Sztokholmu lub Amsterdamu do ojca_wspólnika, które wraz z zapewnieniem, iż pszenica została odpowiednio zabezpieczona, zawierały jednocześnie pozdrowienia dla żony i dzieci... Był oddzielny dzienniczek konsula z podróży jego po Anglii i Brabancie, zeszyt, na którego okładce widniał medzioryt wyobrażający zamek w Edynburgu. Jako smutne dokumenty leżały tam złe listy Gottholda do ojca i wreszcie, jako wesole zakończenie, ostatnie powinszowanie Jeana Jacquesa Hoffstede...

Dał się słyszeć lekki, spieszny dzwonek. Na wyblakłym, wiszącym nad sekretarą malowidle, które wyobrażało starożytny rynek, znajdowała się wieża kościelna z prawdziwym zegarem, który na swój sposób wydzwaniał teraz dziesiątą.

Konsul zamknął rodzinną tekę i ukrył ją starannie w głębi szuflady, po czym przeszedł do sypialni.

Ściany były tu obite ciemnym sukniem w duże kwiaty, takim samym jak zasłony przy łóżku. Dokoła panował nastrój spokoju i wypoczynku po przebytych cierpieniach i trwogach. Zapuszczone stopy sączyły skąpe światło. W ogrzonym powietrzu unosił się zapach wody kolońskiej i medykamentów.

Oboje starzy, pochyleni nad kołyską, przyglądali się śpiącemu dziecku. Konsulowa w eleganckim koronkowym kaftaniku, starannie uczesana, jeszcze nieco blada, ale uśmiechnięta radośnie, ruchem pełnym wdzięku wyciągnęła do męża swą piękną rękę, przy czym i teraz zadzwęczały ogniwa złotej bransoletki.

–Cóż, Betsy, jak się mamy?

–Doskonale, doskonale, drogi Jean!

Trzymając jej rękę w swojej, stanął na wprost rodziców przed kołyską, pochylając się nad dzieckiem i wdychając przez chwilę ciepłą, wzruszającą woń.

–Niech cię Bóg błogosławi – wyrzekł z cicha, całując czoło małego stworzonka, którego żółte paluszki rozpaczliwie przypominały kurze pazurki.

–Dziecko ssalo doskonale – zauważyła pani Antoinette. – Patrzcie, ona już utyla...

–Wierzycie czy nie, ona jest podobna do Netty! – Oblicze Jana Buddenbrooka lśniło szczęściem i dumą. – Niech mnie diabli porwą, toż ona ma oczy czarne jak węgielki...

Stara pani wymawiała się skromnie:

–Ach, czyż tu teraz można mówić o podobieństwie... Wybierasz się do kościoła, Jean?

–Tak, już dziesiąta, zatem wielki czas, czekam tylko na dzieci...

Dzieci z hałasem wchodziły właśnie na schody, podczas gdy Klotylda sykała usiłowała je uspokoić. Ubrane w futerka, gdyż o tej porze roku bywało jeszcze zimno w kościele Panny Marii, weszły cichutko i ostrożnie, po pierwsze z powodu siostrzyczki, a po drugie dlatego, że przed nabożeństwem należy się skupić. Twarzyczki ich były zarumienione i wzruszone. Cóż to dziś za uroczystość! Zjawił się bocian, a musiał być bardzo silny, gdyż oprócz siostrzyczki przyniósł też pełno wspaniałości: nową teczkę szkolną, wykładaną wewnątrz skórą fokową, dla Tomasza, wielką lalkę z prawdziwymi włosami – co było bardzo niezwykle – dla Antoniny, książeczkę z obrazkami dla grzecznej Klotyldy, która jednak, pełna wdzięczności, zainteresowała się wyłącznie licznymi torebkami cukierków, dla Chrystiana zaś cały teatr marionetek, z sultanem, śmiercią i diabłem...

Ucałowały matkę, pozwolono im jeszcze raz spojrzeć za zielone jedwabne firanczki, po czym w towarzystwie ojca, który

włożył właśnie swe palto z pięcioma pelerynkami oraz wziął w rękę śpiewnik, spokojnie, cichym krokiem poszły do kościoła, odprowadzane przeraźliwym krzykiem najmłodszej latorośli, która się właśnie obudziła...

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział drugi

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 W lecie, w czerwcu, a czasem już w maju, Tonia Buddenbrook wyjeżdżała zazwyczaj do dziadków za miasto, co ją zawsze bardzo radowało. Dobrze się tam mieszkalo na powietrzu, w luksusowo urządzonej willi z obszernymi zabudowaniami, pomieszczeniami dla służby i pojazdów, z olbrzymim ogrodem owocowo-warzywnym, który opadał stromo w dół, aż do samej rzeki. Krögerowie żyli na szerokiej stopie i mimo iż była duża różnica między tym błyszczącym bogactwem a solidnym, choć nieco przyciężkim dobrobytem, jaki panował w rodzicielskim domu Toni, łatwo można było zauważyć, że u dziadków jest jeszcze znacznie wspanialej niż w domu; wywierało to wielkie wrażenie na młodziencej pannie Buddenbrook.

Tu nie do pomyślenia była pomoc w sprzątaniu czy też w kuchni, podczas gdy na Mengstrasse, gdzie co prawda mama ani dziadek nie przykładali do tego zbytnej wagi, ojciec wraz z babką napominali ją często, by pomagała wycierać kurze, stawiając jej za przykład gorliwą, pobożną i pilną Klotyldę. W panience odzywały się feudalne skłonności rodziny matki, gdy bujając się w fotelu wydawała rozkazy służącemu lub pokojówce... Do służby starszych państwa należał jeszcze stangret oraz dwie dziewczyny.

Trzeba przyznać, że to bardzo przyjemnie – obudzić się rano w dużym, widnym pokoju, obitym jasną materią, poczuć pod ręką miękką, atlasową koldrę; należy też pamiętać, że na pierwsze śniadanie – które podawano tam w pokoju z tarasem – roznoszono zamiast kawy lub herbaty czekoladę, codziennie prawdziwą, urodzinową czekoladę z wielkim kawalkiem świeżutkiej babki.

Tonia spożywała śniadanie sama

–oczywiście z wyjątkiem niedzieli – gdyż dziadkowie schodzili na dół o wiele później, długo po rozpoczęciu szkoły. Zjadłszy swój kawalek babki, brała teczkę, zbiegała z tarasu i przechodziła przez pięknie utrzymany ogród.

Milutka była ta mała Tonia Buddenbrook. Spod słomkowego kapelusika widać było jej obfite, kręcone złote włosy, które z biegiem lat ciemniały, a nieco wystająca górna warga nadawała jej świeżej twarzyczce o szarobłękitnych, wesółych oczach wyraz pewnej zuchwałości, widoczny też w całej pełnej wdzięku postaci: na swych wysmukłych nóżkach, odzianych w śnieżnobiałe pończochy, szła kołyszącym się, elastycznym, pewnym siebie krokiem. Wiele osób znało i pozdrawiało córeczkę konsula Buddenbrooka, kiedy przez ogrodową furtkę wchodziła w aleję kasztanową; powożąc swym wózkiem ziele niarka ze wsi, w wielkiej słomianej budce ze wstążkami na głowie, przyjaźnie wołała: – Dzień dobry, pani neczko! – Tragarz portowy Matthiesen, przechodzący przez ulicę w czarnym surducie, krótkich spodniach, białych pończochach i trzewikach ze sprzączkami, składał jej pełen szacunku ukłon zdejmując włochaty cylinder.

Tonia stała przez chwilę, czekając na swą sąsiadkę, Julcię Hagenström, z którą wspólnie odbywały drogę do szkoły. Była to dziewczynka o nieco za wysokich ramionach i dużych czarnych, błyszczących oczach; mieszkała w sąsiedniej willi, całkowicie zarośniętej dzikim winem. Ojciec jej, pan Hagenström, który dopiero od niedawna mieszkał tu ze swą rodziną, ożenił się był z pewną młodą osobą z Hamburga, nazwiskiem Semlinger; miała ona wielkie czarne oczy, a ponadto największe w mieście brylanty. Pan Hagenström, współwłaściciel firmy eksportowej „Strunck Hagenström”, był wielce ruchliwy i ambitny, gdy chodziło o sprawy miasta, ale w starych miejscowych rodzinach o surowych tradycjach, jak np.

Möllendorfpowie, Langhalsowie lub Buddenbrookowie, małżeństwo jego zrobiło w swoim czasie złe wrażenie i chociaż mimo swego drażliwego usposobienia wchodził jako członek w skład różnych komisji, kolegów, zarządów, nie był on tam szczególnie lubiany. Uwziął się i przy każdej sposobności przeciwstawiał się członkom osiadłych tu z dawną rodzin, zwalczał chytrze ich zapatrywania, narzucał swoje własne i w ogóle usiłował okazać się niezastąpiony i o wiele dzielniejszy od nich wszystkich.

Konsul Buddenbrook mawiał o nim: – Henryk Hagenström jest niemożliwy ze swymi wiecznymi utrudnieniami... czuje chyba do mnie jakąś osobistą urazę: gdzie tylko się zjawi, zaraz mi szkodzi... Dzisiaj znowu była scena podczas posiedzenia Centralnego Towarzystwa Dobroczynności... a nie dalej niż parę dni temu w Departamencie Finansów... – A Jan Buddenbrook dodawał dialektem: – Stary bałwan!

Kiedy indziej ojciec i syn powrócili do domu w złych humorach... Co się stało? E, drobnostka... stracili wielką dostawę

żyta do Holandii;

„Strunck Hagenstr~om” sprzątnęli im to sprzed nosa; co za lis z tego Henryka Hagenstr~oma!

Takie i tym podobne słowa słyszała Tonia często, co oczywiście nie mogło usposobić jej najlepiej dla Julci Hagenstr~om. Chodziły razem, gdyż były sąsiadkami, ale najczęściej sprzeczały się ze sobą.

–Mój ojciec ma tysiąc talarów

–mówiła Julcia, przekonana, że strasznie przesadza. – A twój?

Tonia milczała, upokorzona i zazdrosna.

Wreszcie mówiła spokojnym i obojętnym tonem:

–Czekolada była dziś

doskonała... Co ty właściwie pijasz na śniadanie, Julciu?

–Ach, żebym nie zapomniała – odpowiadała Julcia – chciałabyś dostać ode mnie jabłko? Figę z makiem dostaniesz! – Zaciskała przy tym wargi, a czarne jej oczy aż wilgotniały z zadowolenia.

Czasami chodził wraz z nimi rano do szkoły starszy o parę lat brat Julci, Herman. Miała jeszcze jednego brata, imieniem Maurycy, był on jednak chorowity i uczył się w domu. Herman miał jasne włosy i nieco splaszony nos. Mlaskał też często wargami, gdyż oddychał tylko przez usta.

–Co za głupstwa – odezwał się

–ojczulek ma o wiele więcej niż tysiąc talarów.

Charakterystyczne dla niego było to, że zamiast chleba zabierał do szkoły maślaną bułkę, a raczej miękkie owalne ciastko z rodzynkami, na które nakładał sobie kawałek ozora lub gęsinę... Tak bowiem lubił.

Dla Toni Buddenbrook było to coś nowego – maślana bułka z gęsiną – to musiało być bardzo smaczne! Gdy pozwolił jej zajrzeć do swojej blaszanej puszki, oświadczyła, że miałaby ochotę skosztować kawałek.

–Za mało zostałoby dla mnie, ale jutro przyniosę trochę więcej i dam ci, jeżeli ty mi też coś dasz za to.

Następnego ranka Tonia wyszła za furtkę i zaczęła chwilę, lecz Julcia nie zjawiała się. Wreszcie przyszedł Herman, ale sam jeden; huśtał puszką na ramię i mlaskał wargami.

–Masz tu – rzekł – maślaną bułkę z gęsiną; zupełnie bez tłuszczu, samo mięso... Co mi za to dasz?

–Może szylinga? – spytała Tonia. Stali na środku alei.

–Szylinga... – powtórzył Herman; potem przeknął ślinę i powiedział: – Wolalbym coś innego.

–Co takiego? – spytała Tonia; była gotowa dać wszystko za przysmak.

–Calusa! – zawołał Herman Hagenstr~om, objął Tonię ramionami i całował z całej siły, nie dotykając jednak jej twarzy, ponieważ przechyliła w tył głowę z niesłychaną zręcznością, lewą ręką, w której trzymała teczkę szkolną, odepchnęła go, prawą zaś wymierzyła mu na oślep trzy czy cztery policzki... Zatoczył się w tył; ale w tejże chwili zza drzewa wyskoczyła niby czarny diabełek Julcia; sycząc z wściekłości rzuciła się na Tonię, zdarła jej z głowy kapelusz i podrapała policzki... Od tego wypadku przyjaźń została niemal zerwana.

Tonia na pewno nie ze wstydu odmówiła młodemu Hagenstr~omowi pocałunku. Była to dość pewna siebie istotka, a chociaż miała dużo inteligencji i dobrze się uczyła, przysparzała – ojcu zwłaszcza – sporo kłopotu, sprawowanie jej bowiem pozostawiało tak wiele do życzenia, że wreszcie sama właścicielka szkoły, panna Agata Vermehren, zjawiała się raz na Mengstrasse, gdzie cała spocona ze wzruszenia prosiła panią konsulową o udzielenie Toni nagany za jej zupełnie niewłaściwe zachowanie się na ulicy.

Nie było w tym nic złego, że Tonia idąc do szkoły wszystkich po drodze znała i chętnie ze wszystkimi gawędziła; konsul pochwalał to poniekąd, gdyż jego zdaniem ujawniało się w tym poczucie równości i miłości bliźniego. Często wraz z Tomaszem kręciła się po spichrzach nad rzeką, między górami owsa i pszenicy, rozmawiała z robotnikami i pisarzami pracującymi w małych ciemnych kantorkach, położonych równo z ziemią, pomagała nawet przy windowaniu worków. Znała

rzeźników przechodzących przez ulicę z nieckami, w białych fartuchach; znała mleczarki przyjeżdżające ze wsi z bańkami, wsiadała nawet niekiedy na ich wózki, by podjechać kawalek drogi; znała siwobrodych, starych jubilerów, znała owocarki, zieleńki, przekupki sprzedające na rynku ryby, jak również posłańców żujących tytoń na rogach ulic. Dobrze to i godne pochwały.

Ale po Breitenstrasse chodził co dzień ze smutnym uśmiechem pewien biedaczyna, blady człowiek bez zarostu, którego wieku nie można było określić i który podskakiwał na jednej nodze, skoro tylko ktoś niespodzianie krzyknął przy nim głośno: „Hop!” lub „Hola!” Była to już taka choroba. Otóż Tonia, skoro go tylko spostrzegła, wykrzykiwała tak głośno, że biedak musiał podskoczyć. Brzydko też jest zawstydzac pewną malutką Karliczkę o wielkiej głowie, która bez względu na pogodę zasłaniała się dziurawym parasolem, i wołać na nią: „Dama z parasolem!” albo „Grzybek!” Godne jest także nagany, gdy ktoś razem z kilkoma dobrymi przyjaciółkami dzwoni z całych sił do ubogiej klitki starej czerwonoookiej Lizy, handlującej włóczkowymi lalkami, a kiedy ta otwiera drzwi, zapytuje z miną pełną udanej życzliwości, czy tu mieszka pani Spluwaczka, po czym ucieka z okropnym wrzaskiem. Wszystko to popełniała niestety Tonia i nawet, zdaje się, z zupełnie czystym sumieniem.

Zdarzało się bowiem, że ktoś z napastowanych pogroził jej, trzeba było wtedy widzieć, jak cofała się o krok, odrzucała w tył swą ładną główkę z wystającą górną wargą, dodając na pół z oburzeniem, na pół drwiąco: – Ho, ho – jak gdyby chciała powiedzieć: – Odważ się tylko mnie dotknąć! Jestem córką konsula Buddenbrooka, może nie wiesz o tym...

Chodziła po ulicach z miną małej królowej, której przysługuje prawo być uprzejmą lub okrutną, zależnie od woli i humoru.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Rozdział trzeci

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Sąd, który Jean Jacques Hoffstede wydał o synach konsula Buddenbrooka, był w istocie bardzo trafny.

Tomasz, przeznaczony od urodzenia na kupca i przyszłego właściciela firmy, uczęszczał do realnego oddziału starej szkoły o gotyckich sklepieniach; był to rozsądny, żywy chłopiec, co mu nie przeszkadzało przyglądać się z przyjemnością, gdy Chrystian, który chodził do gimnazjum i był równie zdolny jak brat, lecz mniej poważny, naśladował nauczycieli, a zwłaszcza poczciwego Marcellego Stengla, udzielającego lekcji śpiewu, rysunków i innych „wesółych” przedmiotów. Pan Stengel, z którego kieszeni wyglądało zawsze pół tuzina pięknie zateperowanych ołówków, nosił rudą perukę i rozpięty jasnobrunatny surdut, sięgający mu prawie do kostek; używał kołnierzyków, tak zwanych vaterm-orderów, które prawie że zakrywały mu skronie, był to figlarz, lubił filozoficzne subtelnosci, jak na przykład: – Miałeś narysować linię, moje dziecko, a coś ty zrobił? Zrobiłeś kreskę. – Wymawiał przy tym „lina” zamiast „linia”. Leniucho mówił: – Posiedzisz ty w czwartej klasie ładnych parę latek! – Zamiast „czwarta”, wymawiał „czwalta”. Ulubionym jego ćwiczeniem podczas lekcji śpiewu była ładna piosenka:

„Hejże chłopcy, pójdźmy w gaj...”, przy czym kilku uczniów wysyłał stale na korytarz; podczas gdy chór śpiewał: „Hejże chłopcy, pójdźmy w gaj...”, mieli oni powtarzać przyciszonym głosem ostatnie słowo, jak echo. Gdy jednak rolę tę dał raz Chrystianowi Buddenbrookowi, kuzynowi jego, Jürgenowi Krögerowi, oraz Andrzejowi Giesekeemu, synowi naczelnika straży ogniowej, wówczas zamiast naśladować delikatne echo, zrzucili oni ze schodów skrzynię od węgla, wskutek czego musieli o godzinie czwartej odsiadywać karę u pana Stengla. Wtedy jednak okazało się, że pan Stengel zapomniał o wszystkim, kazał bowiem swej gospodyni podać uczniom Buddenbrookowi, Krögerowi oraz Andrzejowi Giesekeemu po filiżance kawy, po czym pozwolił im wrócić do domu.

W rzeczy samej, znakomici uczeni, spełniający swe obowiązki w owej niegdyś klasztornej szkole pod przyjacielskim przewodnictwem starego, dobrodusznego, wiecznie zażywającego tabakę dyrektora – byli to wszystko poczciwcy utrzymujący zgodnie, że wesolość powinna zawsze chodzić w parze z wiedzą, i ochoczo przystępujący do swej pracy. Między innymi uczył tam w średnich klasach łaciny niejaki pastor Hirte, były kaznodzieja, wysoki człowiek o ciemnych faworytach i wesółych oczach, który uważał to sobie za szczęście, że nazwisko jego było jednoznaczne z zawodem,* i który wciąż na nowo kazał swym uczniom tłumaczyć słówko „pastor”. Ulubione jego określenie brzmiało: „bezgranicznie ograniczony” i nigdy nie zostało wyjaśnione, czy był to żart świadomy.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 „Hirt” w jęz. niem. „pasterz”.

A gdy już zupełnie chciał uczniów zadziwić, zaciskał wargi i potem nagle otwierał usta z odgłosem podobnym do wystrzału korka od szampana. Lubiał przechadzać się po klasie wielkimi krokami, przystawać przed niektórymi uczniami i z ożywieniem przepowiadać im całe ich dalsze życie; czynił zaś to w celu pobudzenia ich wyobraźni. Potem jednak przystępował do

poważnej pracy, to jest do przesłuchiwania wierszy, które sam podług wszelkich prawideł komponował, następnie zaś odczytywał, triumfalnie akcentując rytm oraz rymy...

Młode lata Toma i

Chrystiana... Nie można o nich opowiedzieć nic szczególnie godnego uwagi. Słońce przyświecało w owym czasie domowi Buddenbrooków, a w biurach jego tak świetnie szły interesy. Czasem też przelatywały burze, drobne nieszczęścia, jak na przykład poniższe:

Pan Stuht, krawiec,

mieszkający na

Glockengiesserstrasse, którego żona kupowała starą garderobę i bywała przeto w najlepszych domach, pan Stuht, którego niezwykle okazały brzuch, okryty welnianą koszulą, wylewał się ze spodni, tenże pan Stuht uszył dla obu młodzieńców ubranka za ogólną sumę siedemdziesięciu marek; zgodził się jednak na ich prośbę podać w rachunku osiemdziesiąt, resztę zaś im oddać. Był to drobny interes... niezupełnie czysty, ale też nic w nim nie było szczególnego. Nieszczęście polegało na tym, że zrządzeniem losu cała rzecz się wykryła i pan Stuht, nalożywszy na welnianą koszulę swój czarny surdut, musiał zjawić się w prywatnym gabinecie konsula. Chrystian zaś i Tomasz poddani zostali w jego obecności surowemu badaniu. Pan Stuht, stojąc z głową pochyloną na bok, w pełnej uszanowania pozie, obok krzesła konsula, miał długą przemowę, w której wyraził przekonanie, że „to było tylko tak, dla hecy” i że rad będzie otrzymać swoje siedemdziesiąt marek, „jeśli ta heca już się wydała”. Sprawa ta mocno poruszyła konsula. Po dłuższym jednak namyśle uznał, że należy powiększyć nieco pensję synom, gdyż powiedziane jest: „Nie wódź nas na pokuszenie”.

Na ogół pokładano większe nadzieje w Tomaszu niż w jego bracie. Był on pogodny i zrównoważony. Chrystian zaś wydawał się kapryśny, skłonny do złośliwego przedrzeźniania, potrafił też w najdziwniejszy sposób przestraszyć całą rodzinę.

Siedzą na przykład przy stole i zajęci miłą rozmową spożywają owoce. Nagle Chrystian odkłada brzoskwinę na talerz, blednie, a jego okrągłe, głęboko ponad wielkim nosem osadzone oczy rozszerzają się nagle.

–Już nigdy w życiu nie tknę brzoskwiń – powiada.

–Dlaczego, Chrystianku... Co za głupstwa... Co ci jest...

–Pomyślcie tylko, gdybym przez omyłkę połknął tę wielką pestkę, gdyby mi ona stanęła w gardle... nie mógłbym złapać tchu... Skakałbym i wił się okropnie, a wy skakalibyście koło mnie...

I nagle wydaje krótki, pełen przerażenia jęk: „O!” i podnosi się z krzesła, jak gdyby chciał uciekać.

Pani konsulowa i panna

Jungmann rzeczywiście zerwały się z miejsc.

–Boże cudowny, Chrystianku, dławisz się? – Wyglądał bowiem zupełnie, jakby się dławił.

–Nie, nie – mówi Chrystian i uspokaja się pomału – ale gdybym się udławił!

Konsul, który sam pobladł z przerażenia, zaczyna go lajać, dziadek zaś, oburzony, puka w stół i wyprasza sobie podobnie idiotyczne żarty...

Jednak Chrystian rzeczywiście przez jakiś czas nie jadł brzoskwiń.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział czwarty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Nie był to właściwie jedynie skutek starczego wycieńczenia, iż pewnego styczniowego dnia, w sześć lat po przeprowadzeniu się na Mengstrasse, pani Antoinette Buddenbrook musiała położyć się do łóża z baldachimem, w którym sypiała. Stara dama była aż dotąd rześka i z godnością nosiła swe duże białe loki; wraz z mężem i dziećmi chodziła na prośzone obiady, a podczas przyjęć w domu nie ustępowała swej eleganckiej synowej w reprezentacji. Pewnego dnia jednak niespodzianie wystąpiło nieokreślone cierpienie, z początku coś w rodzaju lekkiego kataru kiszek, na który doktor

Grabow przepisał rosół z gołąbka i sucharki; potem nastąpiły bóle połączone z wymiotami, które z niepojętą szybkością sprowadziły niezwykle i niepokojący spadek sił oraz depresję.

Doktor Grabow miał z konsulem krótką, poważną rozmowę na schodach. Gdy jednak zjawił się drugi wezwany lekarz, krępy, czarnobrody, ponury człowiek, gdy zaczął on przychodzić i wychodzić niezależnie od Grabowa, zmieniło się oblicze domu. Zaczęto chodzić na palcach, szeptać, zabroniono wozom przejeżdżać przez sień. Zjawiło się coś nowego, obcego, niezwykłego, tajemnica, którą czytano sobie wzajemnie z oczu; do domu wtargnęła myśl o śmierci i objęła w swe milczące panowanie rozległe pokoje.

Zjeżdżający się goście nie pozwalali na wypoczynek. Choroba ciągnęła się czternaście czy piętnaście dni, po tygodniu przybył z Hamburga stary senator Duchamps, brat umierającej, wraz z córką, a w parę dni potem przyjechała siostra konsula z małżonkiem, bankierem z Frankfurtu. Wszyscy zamieszkali na Mengstrasse, a Ida Jungmann miała moc roboty z przygotowaniem licznych pokoiw sypialnych, przyrządzaniem dobrych śniadań z krabami i portwejnem, podczas gdy w kuchni smażono i pieczono...

Z wysoko wzniesionymi brwiami i nieco obwisłą dolną wargą siedział Jan Buddenbrook przy łóżku chorej i trzymając rękę swej starej Netty patrzył nie widzącym wzrokiem przed siebie. Zegar ścienny tykał głucho w długich odstępach, ale jeszcze o wiele rzadziej słychać było płytki, urywany oddech chorej. Siostra miłosierdzia przyrządzała lekarstwo, którego chciano jeszcze spróbować – napój z ekstraktu mięsnego; od czasu do czasu bezszelestnie zjawiał się i znikał ktoś z rodziny.

Stary pan przypominał sobie, jak przed czterdziestu sześciu laty siedział po raz pierwszy przy łóżku umierającej żony i porównywał tamtą dziką rozpacz z tym pełnym zamyślenia bólem, z jakim spoglądał teraz, sam taki stary, w zmienione, pozbawione wyrazu i straszliwie obojętne oblicze staruszki, która nie przyniosła mu ani wielkiego szczęścia, ani wielkiego bólu, towarzyszyła mu jednak wytrwale przez długie lata, a teraz oto odchodziła powoli.

Nie myślał wiele, tylko potrząsając lekko głową rozpamiętywał bez przerwy swoje życie i życie w ogóle, które wydało mu się nagle tak odległe i dziwne, ten zbyteczny hałaśliwy zgiełk, w którym zawsze brał udział i który teraz oto nagle odsunął się od niego, rozbrzmiewając już tylko z oddali przytłumionym szmerem...

Chwilami mówił półgłosem:

–Osobliwe! Osobliwe!

A gdy wreszcie pani

Buddenbrook wydała ostatnie, krótkie i bezbolesne tchnienie, gdy potem posługacze wynieśli okrytą kwiatami trumnę z sali jadalnej, gdzie odbyło się poświęcenie zwłok – i wówczas nie zmienił się jego nastrój, nie zapłakał, pozostało mu jednak owo lekkie, pełne zdumienia potrząsanie głową, a „osobliwe” stało się jego ulubionym wyrażeniem... widoczne było, że koniec Jana Buddenbrooka zbliżał się także...

Przebywał on odtąd obojętnie i milcząco w rodzinnym kole, a kiedy brał czasem na kolana małą Klarę, by zanucić jej którąś ze swych pociesznych starych piosenek, jak na przykład:

Jechał przez miasto

omnibus...@

lub:

Patrz, na schodkach siedzą

mruczki dwa...@

nagle urywał i jakby ocknąwszy się z długiego, na pół świadomego zamyślenia, potrząsał głową mówiąc: „osobliwe”, stawał dziecko na ziemi i odwracał się... Pewnego dnia rzekł:

–Jean, assez, co?

Wkrótce potem rozesłano pięknie wydrukowane, zaopatrzone w dwa podpisy cyrkularze, w których Jan Buddenbrook senior pozwalał sobie zawiadomić, że podeszły wiek zmusza go do usunięcia się od dotychczasowej działalności kupieckiej i że wskutek tego dom handlowy „Jan Buddenbrook”, założony przez nieboszczyka jego ojca w roku 1768, przechodzi z dniem dzisiejszym pod tą samą firmą, wraz z aktywami i pasywami, na syna oraz dotychczasowego współnika; następowala prośba, by nadal obdarzano syna pełnym zaufaniem... Z głębokim poważaniem – Jan Buddenbrook senior, który niniejszym przestaje podpisywać.

Od czasu tego zawiadomienia stary pan nie chciał już więcej pokazywać się w kantorze, a jego zamyślenie i apatia zaczęły przybierać na sile w sposób zatrważający. W kilka miesięcy po śmierci żony wystarczyło lekkiego kataru, by położył się do łóżka – i oto nadeszła noc, kiedy rodzina otoczyła z kolei jego łożo, a on rzekł do konsula:

–Wszystkiego dobrego – co?

Jean? I zawsze courage.

Do Tomasza zaś:

–Pomagaj ojcu!

A do Chrystiana:

–Wyrośnij na porządnego człowieka!

Po czym umilkł, spojrzął po wszystkich i z ostatnim:

„osobliwe” odwrócił się do ściany...

O Gottholdzie nie wspomniał do końca, a wezwany do łoża umierającego ojca najstarszy syn odpowiedział milczeniem. Następnego ranka jednak, zanim jeszcze rozesłano zawiadomienia o śmierci, kiedy konsul szedł właśnie po schodach, by wydać zarządzenia w kantorze, zdarzyła się akurat ta rzecz dziwna, iż Gotthold Buddenbrook, właściciel sklepu z płótnem pod firmą „Zygmunt St~uwing Ska”, szybkim krokiem wszedł do sieni. Był to czterdziestosześcioletni, niski i tęgi człowiek, z gęstymi, przetykanymi siwizną faworytami. Miał krótkie nogi i nosił szerokie, workowate spodnie z szorstkiego materiału w kratkę. Wszedł po schodach, gdzie spotkał się z konsulem, podnosząc brwi wysoko, aż pod rondo kapelusza, a jednocześnie marszcząc czoło.

–Janie – rzekł wysokim przyjemnym głosem, nie podając ręki bratu – co słyhać?

–Umarł dziś rano! – rzekł ze wzruszeniem konsul ujmując rękę brata, w której tamten trzymał parasol. – Umarł ten najlepszy z ojców!

Gotthold opuścił brwi tak nisko, że aż zamknął oczy. Po chwili milczenia rzekł z naciskiem:

–Czy nic nie zmieniło się do końca, Janie?

Konsul natychmiast puścił jego rękę, cofnął się nawet o jeden stopień i patrząc nań swymi okrągłymi, głęboko osadzonymi oczami, które nabrały przejrzystości, powiedział dobitnie:

–Nic.

Brwi Gottholda powędrowały z powrotem pod rondo kapelusza, spojrzął uważnie na brata.

–A czego mogę oczekiwać po twojej sprawiedliwości? – zapytał stłumionym głosem.

Teraz konsul spuścił oczy, potem jednak, nie podnosząc wzroku, wykonał ów energiczny ruch ręką z góry na dół i odpowiedział cicho i stanowczo:

–W tej ciężkiej i poważnej chwili podałem ci rękę jako bratu; co się tyczy interesów, to stoję przed tobą wyłącznie jako szef szanowanej firmy, której jestem dziś jedynym właścicielem. Nie oczekuj po mnie niczego takiego, co stałoby w sprzeczności z zobowiązaniami nałożonymi na mnie przez to stanowisko. Inne moje uczucia muszą milczeć.

Gotthold odszedł... Jednakże podczas pogrzebu, gdy tłumy krewnych, znajomych, przyjaciół, deputacji, portowych tragarzy zboża, urzędników i współpracowników zapełniały pokoje, schody i korytarze, a wszystkie pojazdy z miasta stały przez całą długość Mengstrasse – podczas pogrzebu, ku szczerzej radości konsula, zjawił się on znowu; przyprowadził nawet swą żonę z domu St~uwing oraz trzy już dorosłe córki: Fryderykę i Henrykę, obie bardzo chude i wysokie, oraz najmłodszą, osiemnastoletnią Fifi, która robiła wrażenie zbyt małej i zbyt grubej.

A gdy nad rodzinnym grobem Buddenbrooków, położonym na skraju cmentarza, pastor K~olling z kościoła Panny Marii, krzepki człowiek, lubiący dosadne wyrażenia, pochwalił wstrzemięźliwe, bogobojne życie zmarłego w przeciwstawieniu do „rozpustników, żarłoków i opojów” – tak się bowiem wyraził – a słuchacze pokiwali głowami wspominając pełne dyskrekcji mowy zmarłego starego pastora Wunderlicha, i gdy uroczyste formalności skończyły się, a niezliczone pojazdy zaczęły się rozjeżdżać... wtedy Gotthold Buddenbrook, pragnąc pomówić w cztery oczy z konsulem, zaoferował się, że będzie mu towarzyszył...

I oto, siedząc obok przyrodniego brata w wysokim, obszernym, ciężkim powozie, okazał się nagle człowiekiem łagodnym i skłonny do pojednania. Mówił on, że coraz lepiej pojmuję, iż konsul musi postępować tak, jak to czyni, i że on nie chciałby zachować o ojcu złego wspomnienia. Wyrzekał się swych pretensji, i to tym chętniej, że był zdecydowany usunąć się od interesów i żyć spokojnie ze schedy i z tego, co poza tym posiadał – handel płótnem bowiem nie sprawiał mu przyjemności i szedł tak słabo, że nie miałby ochoty wkładać w to więcej...

„Nieposłuszeństwo względem ojca nie przyniosło mu błogosławieństwa” – pomyślał nabożnie konsul i Gotthold pomyślał zapewne to samo.

W domu zaś, w pokoju, w którym zazwyczaj śniadano, obaj panowie, zziębnięci wskutek długiego stania w samych frakach na chłodzie, napili się starego koniaku. Zamieniwszy jeszcze parę uprzejmych i poważnych słów z bratową, pogłaskawszy dzieci po głowach, poszedł, by zjawić się nazajutrz w willi Krögerów... Tak rozpoczynał likwidację swego dotychczasowego trybu życia.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

Rozdział piąty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0 Konsul ubolewał, że ojciec nie dożył wstąpienia najstarszego wnuka do firmy, które nastąpiło tegoż roku około Wielkanocy.

Tomasz miał lat szesnaście, gdy opuszczał szkołę. Ostatnio bardzo urósł, a od czasu konfirmacji, podczas której pastor Kolling surowo i dobitnie zalecał mu „umiarkowanie” – ubierał się jak dorośli panowie, co czyniło go jeszcze wyższym. Na szyi nosił złoty łańcuszek od zegarka, obiecany mu jeszcze przez dziadka, z medalionem, na którym wyrity był herb rodzinny, wyobrażający na cieniowanej tarczy płaskie wybrzeże z samotną i nagą wierzbą. Konsul zaś otrzymał w spadku srebrny sygnet z zielonym kamieniem, noszony zapewne jeszcze przez owego dobrze sytuowanego krawca z Rostocka, oraz wielką Biblię.

Podobieństwo do dziadka uwydatniało się u Tomasza równie silnie, jak podobieństwo do ojca u Chrystiana, zwłaszcza mocna, zaokrąglona broda oraz pięknie, prosto zarysowany nos żywo przypominały starego pana. Włosy jego, rozdzielone na boku, szesane z wąskich, pożyłkowanych skroni, były koloru ciemnobłond, a rzęsy i brwi, z których jedną często podnosił do góry, wydawały się w porównaniu z nimi dziwnie jasne i bezbarwne. Zarówno ruchy jego, jak sposób mówienia i śmiech, odsłaniający nie dość piękne zęby, wszystko to wywierało wrażenie spokoju i rozsądku. Poważnie i z zapalem przystępował on do pełnienia swego zawodu...

Niezmiernie uroczysty był dzień, kiedy konsul zabrał go po pierwszym śniadaniu do kantoru, by przedstawić prokurentowi, panu Marcusowi, kasjerowi, panu Havermannowi, jako też i reszcie personelu. Tomasz zresztą znał ich doskonale od dawna; zasiadł po raz pierwszy na krzeselku przed swym pulpitem, zapoznawał się ze stemplowaniem, porządkowaniem i kopiowaniem; po południu zabrał go ojciec nad rzekę, by mu pokazać spichrze, noszące nazwy: „Lipa”, „Dąb”, „Lew” i „Wieloryb”, w których zresztą Tomasz od dawna czuł się jak u siebie w domu, lecz teraz dopiero przedstawiony tam został jako współpracownik...

Gorliwie zabrał się do pracy naśladowując cichą i wytrwałą pilność ojca, który, pracował z zaciśniętymi zębami, zapisując w dzienniczku niejedną modlitwę o wytrwanie; konsulowi zależało bowiem na tym, by odrobić znaczne straty poniesione przez owo ubóstwiane pojęcie: „firmę” wskutek śmierci starego pana.

Pewnego późnego wieczoru dość szczegółowo wypowiedział się w tej sprawie wobec żony.

Było już wpół do dwunastej; dzieci, jak również panna Jungmann, sypiały w pokojach przyległych do korytarza, drugie piętro zaś stało obecnie pustkami, jedynie od czasu do czasu umieszczano tam gości.

Konsulowa siedziała na żółtej

sofie obok męża, który z cygarem

w ustach przeglądał notowania

gieldowe. Konsulowa, nachylona

nad haftem, poruszała lekko

wargami, licząc igłą szeregi

ściegów. Obok niej, na zgrabnym

stoliczku ze złotymi

ornamentami, płonęło w

kandelabrze sześć świec, żyrandola nie zapalono.

Jan Buddenbrook, dobiegający obecnie połowy piątego krzyżyka, zestarzał się widocznie w ostatnich latach. Jego małe, okrągłe oczy wydawały się jeszcze głębiej osadzone, a pomiędzy wystających kości policzkowych sterczał wielki, zagięty nos. Starannie rozdzielone jasnobłond włosy były na skroniach jakby lekko przyprószone pudrem. Konsulowa zbliżała się do czterdziestki i choć nie była piękna, zachowała w całej postaci dawną elegancję; matowobiała pleć, na której widniały nieliczne piegi, nie utraciła nic ze swej delikatności. Rudawe, misternie ufryzowane włosy przeświecone były blaskiem świec. Spoglądając z ukosa swymi jasnoniebieskimi oczami, odezwała się:

–Chciałabym ci coś

zapropionować, drogi Jean: mianowicie, czy nie byłoby wskazane przyjąć służącego. Doszłam do tego przekonania. Gdy myślę o mych rodzicach...

Konsul opuścił gazetę na kolana i wyjmując cygaro z ust słuchał z uwagą, szło bowiem o wydatek.

–Tak, moja droga i szanowna Betsy – rozpoczął starając się odwlec odpowiedź, by obmyślić swoje argumenty. – Służącego? Toż zatrzymaliśmy po śmierci rodziców wszystkie trzy służące, nie licząc panny Jungmann, zdaje mi się więc...

–Ach, dom jest taki duży, Jean, że to wprost fatalne. Mówię: „Lino, pokoje w oficynie już bardzo dawno nie były sprzątane!” Ale przecież nie mogę przeciążyć ludzi, i tak ledwie zipią, jeśli tu wszystko jest porządnie zrobione... Służący byłby tak potrzebny na posyłki i w ogóle... Można dostać ze wsi pracowitego, nie wymagającego człowieka... Ale, ale, dopóki pamiętam: Ludwika M~olleendorpf odprawia właśnie swego Antoniego, widziałam, jak on świetnie podaje do stołu...

–Muszę przyznać – rzekł konsul poruszając się niecierpliwie – że ten pomysł zadziwia mnie. Nie wiele teraz bywamy, jeszcze mniej urządzamy przyjęć...

–Oczywiście, dość często jednak przyjmujemy wizyty; nie zależy to zresztą ode mnie, drogi Jean, choć wiesz, że lubię to bardzo. Ktoś przyjeżdża do ciebie z zagranicy w interesach, zapraszasz go na obiad, a że nie wynajął jeszcze pokoju w zajeździe, zostaje oczywiście u nas na noc. Kiedy indziej znowu misjonarz mieszka u nas przez tydzień... W przyszłym tygodniu oczekujemy pastora Mathiasa z Kanstattu... Zresztą krótko mówiąc, pensje są tak niskie...

–Ale to się gromadzi, Betsy!

W domu oplacamy cztery osoby, a zapominasz o personelu biurowym.

–Czyżbyś my rzeczywiście nie mogli sobie pozwolić na jednego służącego? – Konsulowa lekko przechyliła głowę spoglądając na męża z uśmiechem. – Gdy pomyślę, ile było służby u moich rodziców...

–Twoi rodzice, kochana Betsy!

Nie, doprawdy, muszę cię zapytać, czy orientujesz się nieco w naszej sytuacji materialnej?

–Istotnie, Jean, nie mam o niej dokładnego pojęcia...

–Z łatwością możesz się z nią zapoznać – rzekł konsul. Poprawił się na sofie, założył nogę na nogę, wypuścił dym z cygara i przymknąwszy lekko oczy zaczął niesłuchanie biegle wymieniać sumy...

–W paru słowach: Ojciec nieboszczyk posiadał w swoim czasie, jeszcze przed zamążpójściem siostry, netto dziewięćset tysięcy marek, oczywiście niezależnie od posiadłości ziemskiej oraz firmy. Osiemdziesiąt tysięcy posłał do Frankfurtu tytułem posagu, a sto tysięcy otrzymał Gotthold na swoje etablowanie się: pozostaje siedemset dwadzieścia tysięcy. Kupno domu, po odliczeniu wpływu ze sprzedaży majątku nieruchomościami na Alfstrasse, wyniosło wraz z przeóóbkami i odnowieniem pełne sto tysięcy, pozostaje sześćset dwadzieścia tysięcy. Do Frankfurtu wyplacono tytułem odszkodowania sumę dwudziestu pięciu tysięcy, pozostaje więc pięćset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, i tak przedstawiałyby się sprawy w chwili śmierci ojca, gdyby owe luki nie zostały w ciągu roku uzupełnione dochodem wynoszącym dwieście tysięcy marek. Całkowity majątek wynosił zatem siedemset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Potem znów wycofano sto tysięcy dla Gottholda i jeszcze dwieście sześćdziesiąt, siedem tysięcy posłano do Frankfurtu, co czyni, odliczając parę tysięcy na drobniejsze wydatki, jak na przykład zapisy w testamencie ojca na szpital Świętego Ducha, kasę wdów po kupcach itd., sumę około czterystu dwudziestu tysięcy plus sto tysięcy twego posagu. Oto, jak przedstawia się w ogóle, niezależnie od mniej ważnych wahań, nasza sytuacja finansowa. Nie jesteś my zbyt bogaci, moja droga Betsy, a przy tym, pomimo iż interesy skurczyły się,

to jednak wydatki pozostały te same, gdyż firma, zakrojona na taką miarę, nie może sobie pozwolić na zmniejszenie kosztów handlowych. Czyś mnie dostatecznie pojęła?

Konsulowa, wciąż z robótką na kolanach, skinęła głową z pewnym wahaniem.

–Bardzo dobrze, drogi Jean – rzekła, pomimo iż nie wszystko rozumiała, a zwłaszcza w żaden sposób nie mogła pojąć, dlaczego te wielkie sumy miałyby jej stanąć na przeszkodzie, gdy szło o przyjęcie służącego.

Konsul zaciągnął się cygarem, z głową przechyloną w tył wypuścił dym i mówił dalej:

–Myślisz pewnie o tym, że gdy Bóg powoła kiedyś do siebie twych drogiech rodziców, możemy jeszcze czegoś od nich oczekiwać, i masz zupełną rację. Jednakże... nie powinniśmy zbyt niebacznie na tym polegać. Wiem, że ojciec twój poniósł dość znaczne straty, i to z winy Justusa. Justus to niezmiernie miły człowiek, nie jest jednak bardzo zdolnym kupcem, poza tym doznał też niezаслужonego niepowodzenia. U kilku klientów stracił poważne sumy i wobec uszczuplonego kapitału obrotowego oraz drogiej manipulacji z bankami ojciec twój zmuszony był wyłożyć mu kilkakrotnie poważniejsze kwoty, aby nie doszło do nieszczęścia. Podobna sytuacja może się powtórzyć obawiam się, że się powtórzy, gdyż, wybaczone, Betsy, że mówię to tak szczerze: owa beztroska lekkomyślność, tak zresztą miła w obcowaniu z twym ojcem, nie zajmującym się już zupełnie interesami, szkodzi bardzo twemu bratu jako kupcowi... Pojmujesz mnie... nie jest on dość ostrożny i sprężysty... Rodzicom twoim nie zbywa zresztą na niczym, co mnie prawdziwie cieszy, prowadzą wielkopański tryb życia... odpowiedni... do warunków...

Konsulowa uśmiechnęła się pobłaźliwie: wiedziała, że mąż żywi pewne uprzedzenie do wytwornych przyzwyczajęń jej rodziny.

–No, dość o tym – rzekł rzucając niedopałek cygara do popielniczki – co do mnie, nie tracę nadziei, że Bóg zachowa mi siły do pracy, bym z łaskawą Jego pomocą mógł odrobić stracony majątek firmy... Cóż, jaśniej teraz widzisz sprawy, nieprawdaż, droga Betsy?

–Najzupełniej, drogi Jean, najzupełniej! – odpowiedziała spieszenie konsulowa, dając już dziś za wygraną.

–Chodźmy spać, dobrze?

Zrobiło się zbyt późno.

Po kilku dniach zresztą, gdy konsul przyszedł raz na obiad w dobrym humorze, postanowiono przyjąć służącego Antoniego od Mollendorpfów.

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

Rozdział szósty

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 1

5 1 32 0 2 108 1 ff 1 32 0

–Tonię oddamy na pensję do panny Weichbrodt – powiedział konsul Buddenbrook, a wyrzekł to tak stanowczo, że sprawa została od razu przesądzona.

Istotnie Tonia i Chrystian dawali mniej powodów do radości niż Tomasz, wykazujący w biurze dość duże zdolności, a także zdrowo rosnąca Klara oraz Klotylda, której apetyt nie pozostawiał nic do życzenia. Co do Chrystiana, to w końcu musiał on prawie co dzień pić popołudniową kawę u pana Stengla, aż wreszcie konsulowa, której wizyty te wydały się zbyt częste, grzecznym bilecikiem zaprosiła pana Stengla na Mengstrasse. Zjawił się on w swej niedzielnej peruce, w jednym ze swych najwyższych vaterm~orderów, z wyglądającymi z kieszeni ostro zatemperowanymi ołówkami i został przez konsulową przyjęty w pokoju pejzażowym, podczas gdy Chrystian podsłuchiwał z sali jadalnej. Doskonale wychowawca wypowiadał płynnie, choć z pewnym zakłopotaniem, swe poglądy, prawił o pięknym zielonym gaju, o różnicy między „linią” a „kreską”, jak również o skrzyni od węgla, a w ogóle podczas całej wizyty ciągle używał zwrotu: „wskutek tego”, który zapewne wydał mu się najlepiej dostosowany do tego wytwornego otoczenia.

Po kwadransie zjawił się konsul, przepędził Chrystiana i wyraził panu Stenglowi żywe ubolewanie, iż Chrystian przysparza mu tak wiele kłopotów. – Och, broń Boże, panie konsulu, cóż znowu! To otwarta głowa, wesoly pasażer, ten uczeń Buddenbrook. I wskutek tego... Jedynie nieco zbyt swawolny, jeśli mogę się tak wyrazić, hm... no i wskutek tego... – Konsul oprowadzał go uprzejmie po domu, po czym pan Stengel pożegnał się... W tym wszystkim nie było jednak jeszcze nic

złego.

Złe zaś było to, o czym wkrótce potem wszyscy się dowiedzieli: pewnego wieczoru uczeń Chrystian Buddenbrook był wraz ze swym przyjacielem w teatrze, gdzie grano „Wilhelma Tella” Schillera; rolę syna Tella, Waltera, grała młoda osoba, panna Meyer_de la Grange, i z jej to powodu wynikła cała sprawa. Miała ona zwyczaj występować na scenie w brylantowej broszy, niezależnie od tego, czy pasowało to do roli; były to prawdziwe brylanty, gdyż jak ogólnie wiadano, panna Meyer_de la Grange otrzymała tę broszę od młodego konsula Piotra D~ohlmann, syna zmarłego hurtownika drzewnego D~ohlmann z Wallstrasse. Konsul D~ohlmann należał do tak zwanych w mieście suitiers – jak na przykład Justus Kr~oger, znaczyło to, że prowadził nieco hulaszczy tryb życia. Był on żonaty, miał nawet córeczkę, od dłuższego jednak czasu wskutek nieporozumień z żoną mieszkał oddzielnie. Majątek po ojcu, którego interesy prowadził dalej, był dość znaczny, powiadano jednak, że czerpie z kapitału. Śniadania jadał najczęściej w klubie lub w handelku, o czwartej pokazywał się na mieście i często wyjeżdżał do Hamburga w interesach. Przed wszystkim jednak był gorącym zwolennikiem teatru i żywo interesował się całym aktorskim zespołem. Wśród młodych aktorek znajdowała się właśnie panna Meyer_de la Grange, którą ostatnio obsypywał brylantami.

Otóż owa młoda osoba

występując w roli Waltera Tella

–zresztą i tym razem miała na sobie swoją broszę – wyglądała uroczo, a grała tak wzruszająco, że uczeń Buddenbrook stał zachwycony, ze łzami w oczach, a potem zachował się tak, jak zachować się można tylko pod wpływem bardzo mocnych uczuć. Pobiegl mianowicie do przeciwległej kwiaciarni, gdzie kupił bukiet za 1 markę i 8 i pół szylinga, następnie ten czternastoletni smyk o wielkim nosie i małych, głęboko osadzonych oczach powędrował bez przeszkód przez korytarz za kulisy i pod drzwiami garderoby natknął się na pannę Meyer_de la Grange, która rozmawiała właśnie z Piotrem D~ohlmannem. Konsul, ujrzawszy Chrystiana, o mało nie przewrócił się ze śmiechu; nowy suitier wręczył aktorce bukiet, z powagą wyraził swoje uznanie dla Waltera Tella, potrząsnął głową i rzekł tonem tak szczerym, że brzmiało w nim niemal zatroskanie:

–Jak pani wspaniale grała!

–Patrzcie państwo na tego brzdąca Buddenbrooka! – zawołał konsul D~ohlmann przeciągając jak zwykle. Panna Meyer_de la Grange podniosła w górę brwi i zapytała:

–Syn konsula Buddenbrooka? – po czym wielce przyjaźnie pogłaskała policzek swego nowego wielbiciela.

Tegoż wieczora Piotr D~ohlmann opowiedział o tym fakcie w klubie; z niewiarogodną szybkością plotka rozeszła się po całym mieście, doszła nawet do dyrektora szkoły i spowodowała rozmowę jego z konsulem Buddenbrookiem. Jakże konsul przyjął całą sprawę? Był nie tyle rozgniewany, ile raczej zaskoczony i zgnębiony... Gdy potem w pokoju pejzażowym opowiadał wszystko konsulowej, zdawał się zupełnie przybity.

–To jest nasz syn, tak się rozwija...

–Ależ, Boże drogi, Jean, twój ojciec uśmiałby się z tego... Opowiedz to tylko we czwartek u moich rodziców, papa ubawi się doskonale...

Konsul aż podskoczył na te słowa.

–Ha! Tak! Jestem pewien, że go to doskonale ubawi, Betsy! Ucieszy się, że jego lekkomyślna krew i bezbożne skłonności przeszły nie tylko na Justusa, tego... suitiera, ale odzywają się i w jego wnukach... do kata, zmusiłaś mnie do tych słów! Chodzi do takiej osoby! Wydaje pieniądze na tę loretkę! – on nic nie wie, co znowu, ale te skłonności! Te skłonności wychodzą na jaw!...

Tak, była to brzydka historia; ale konsul był tym więcej przerażony, że i Tonia nie najlepiej się sprawowała. Co prawda, z biegiem lat przestała zmuszać do podskoków bladego biedaka i nie dzwoniła do handlarki lalek, ale bywała coraz bardziej rozzuchwalona i, zwłaszcza po letnim pobycie u dziadków, zdradzała nieznośną próżność i dumę.

Pewnego dnia konsul ku swemu wielkiemu niezadowoleniu przyłapał ją czytającą wraz z panną Jungmann „Mimili” Claura na, przerzucił książeczkę, umilkł i z niesmakiem ją odłożył. Niedługo potem doszło do tego, że Tonia – a raczej już Antonina Buddenbrook – poszła na spacer za miasto sam na sam z jednym z kolegów szkolnych swoich braci.

Pani Stuhlt, ta sama, która bywała w najlepszych domach, zobaczyła tę parę, kupując zaś starzyznę u M~ollendorpfów opowiedziała wszystko, dodając, że panna Buddenbrook wchodzi już w lata, gdy... A pani senatorowa M~ollendorpf zadowolonym tonem powtórzyła to konsulowi. Spaceru skończyły się.

Następnie okazało się, że panna Tonia chodzi często poza bramę miasta do pewnego starego, spróchniałego drzewa, w którego dziupli znajduje liściki od owego gimnazysty, i tą samą drogą przesyła odpowiedzi. Gdy to się wykryło, zrozumiano, że należałoby oddać piętnastoletnią Tonię pod surowszą opiekę, na pensję panny Weichbrodt, na M~uhlebrink numer 7.

‘ty

Część druga (cd.)

Rozdział siódmy

Teresa Weichbrodt była garbata, tak bardzo garbata, że niewiele wyższa od stołu. Miała czterdzieści jeden lat, ale ponieważ nigdy nie dbała o swą powierzchowność, ubierała się jak osoba siedemdziesięcioletnia. Na siwe włosy, wypchane podkładką, nakładala czepek z zielonymi wstążkami, opadającymi na wąskie ramiona, a na jej skromnej czarnej sukience nikt nigdy nie widział najmniejszej ozdoby... prócz dużej, owalnej emaliowanej broszy, na której widniała podobizna jej matki.

Mała panna Weichbrodt miała bystre, mądre oczy, lekko zagięty nos i cienkie wargi, które umiała zaciskać w sposób jak najbardziej stanowczy. W jej małej figurce i w każdym ruchu uwydatniała się pewnego rodzaju energia, która wyglądała może śmiesznie, ale wzbudzała respekt. Wrażenie to potęgowała jej mowa. Mówiąc poruszała ona żywo i mocno dolną szczęką oraz szybko, dobitnie potrząsała głową, a wyrażała się starannie, czysto, bez cienia dialektu, akcentując dokładnie każdą spółgłoskę. Przy samogłoskach nawet nieco przesadzała, wymawiając zamiast „masło” coś jakby „mesło”; na swego hałaśliwego pieska „Bobby” wołała „Babby”. Gdy mówiła do którejś z uczennic: – Dziacko, nie bą_dź tek głopia! – stukając jednocześnie dwa razy w stół zakrzywionym wskazującym palcem, to bez wątpienia robiło to wrażenie, gdy zaś made moiselle Popinet, Francuzka, brała zbyt wiele cukru do kawy, wówczas panna Weichbrodt umiała w taki sposób patrzeć w sufit i bępnąć palcami po obrusie, mówiąc: – Ja wzięłabym całą cukierniczkę – że made moiselle Popinet mocno się czerwieniła...

Jako dziecko – mój Boże, jaka maleńka musiała być jako dziecko! – nazwała się sama „Tetenią” i zachowała to zdrobnienie, pozwalając nawet tak się do siebie zwracać lepszym i pilniejszym uczennicom, zarówno przychodnim, jak i pensjonarkom. – Nazywaj mnie Tetenią, moje dziecko – rzekła zaraz pierwszego dnia do Toni Buddenbrook, składając na jej czole krótki pocałunek... – Spraw mi to przyjemność. – Starsza jej siostra, madame Kethelsen, miała na imię Nelly.

Madame Kethelsen, licząca około czterdziestu ośmiu lat, pozostała po śmierci męża bez środków do życia, mieszkała u siostry w małym pokoiku na górze i stołowała się u niej. Ubierała się podobnie jak Tetenia, była jednak w przeciwieństwie do niej bardzo wysoka; na chudych rękach nosiła wełniane mitenki. Nie była nauczycielką, nie znała surowości, była uosobieniem bez troski i pogody. Gdy która z wychowanek coś spsociła, wówczas wybuchała tak dobrodusznym, że aż żalonym śmiechem, a gdy Tetenia stuknęła w stół wołając dobitnie „Nelly!”, co brzmiało jak „Nally!”, wtedy przestraszona milkła.

Madame Kethelsen słuchała młodszej siostry, która strofowała ją jak dziecko i pogardzała nią z całego serca. Teresa Weichbrodt, która była czytana, a nawet uczoną kobietą, pragnęła zachować swą dziecięcą wiarę, pozytywną religijność i pełne ufności przekonanie, że otrzyma kiedyś zadośćuczynienie za swój ciężki, pozbawiony radości ziemskich żywot. Madame Kethelsen, przeciwnie, była niewykształcona, niewinna i prostoduszna. „Dobra Nelly! – mawiała Tetenia. – Boże drogi, toż to dziecko, nigdy nie miała żadnych wątpiwości, nie musiała staczać żadnej walki, ona jest szczęśliwa.” W słowach tych tkwiło lekceważenie a zarazem i zazdrość, była to zresztą wybaczalna słabostka Teteni.

Wysoki parter czerwonego domku na przedmieściu, otoczonego starannie utrzymanym ogródkiem, przeznaczony był na klasy oraz salę jadalną, na górnym zaś piętrze oraz na mansardach mieścili się sypialnie. Wychowanek panny Weichbrodt nie było zbyt wiele, gdyż pensja przyjmowała tylko starsze dziewczynki; zresztą były tam tylko pierwsze trzy klasy szkolne; Tetenia przestrzegala surowo, żeby wszystkie uczennice pochodziły z eleganckich domów... Jak już powiedziano, Tonię Buddenbrook przyjęto tam serdecznie; do kolacji podano nawet rodzaj słodkiego ponczu z czerwonego wina, który pilo się na zimno; Tetenia znakomicie go przyrządzała... – Może jeszcze trochę ponczu? – pytała potrząsając serdecznie głową, a brzmiało to tak apetycznie, że nikt nie mógł odmówić.

Panna Weichbrodt siedziała na dwu poduszkach na prezydialnym miejscu przy stole i bacznie pilnowała porządku; prostowała swą ulomną postać, stukala w stół, wołała „Nally!” i „Babby!” i surowym spojrzeniem upokarzała m_ile Popinet w chwili, gdy ta zamierzała nałożyć sobie na talerz całą galarete zdobiacą półmisek z cielęcina. Tonia siedziała między dwiema innymi pensjonarkami: Armgardą von Schilling, jasnowlosą córką właściciela ziemskiego z Meklemburgii, i Gerdą Arnoldsen, pochodzącą z Amsterdamu, wykwinną i oryginalną dziewczynką o ciemnorudych, obfitych włosach, ciemnych, blisko siebie osadzonych oczach i białej, ładnej, nieco dumnej twarzy. Na wprost paplała podobna do Murzynki Francuzka z ogromnymi, złotymi kolczykami w uszach. Na końcu stołu siedziała kwaśno uśmiechnięta chuda Angielka, miss Brown, która również mieszkała na pensji.

Przy pomocy ponczu Teteni przyjaźń została szybko zawarta. Mille Popinet opowiadała, że ostatniej nocy znowu dręczyła ją zmora... – Ah, guelle horreur! (Ach, jakież to straszne! – franc.) – W takich razach krzyczała zwykle: – Na pomoc! na pomoc! Złodzieje, złodzieje! – że aż wszyscy wyskakiwali z łóżek. Potem okazało się, że Gerda Arnoldsen nie grała, jak wszystkie koleżanki, na fortepianie, lecz na skrzypcach, i ojciec – nie miała już bowiem matki – przyrzekł jej prawdziwego Stradivariusza. Tonia nie była muzykalna, jak zresztą prawie wszyscy Buddenbrookowie i Krögerowie. Nie mogła nawet rozróżnić chorałów śpiewanych w kościele Panny Marii. Ach, organy w Nieuwe Kerk w Amsterdamie miały vox humana głos ludzki o cudownym brzmieniu! – Armgarda von Schilling opowiadała o swych krowach.

Owa Armgarda wywarła na Toni wielkie wrażenie, była to bowiem pierwsza przedstawicielka arystokracji, jaką poznała. Nazywać się von Schilling – cóż to za szczęście! Do rodziców Toni należał wprawdzie najpiękniejszy stary dom w mieście, dziadkowie zaś byli to bardzo eleganccy ludzie, niestety jednak nazywali się po prostu: „Buddenbrook” i „Kröger”. Wnucze wytwornego Lebrechta Krögera imponowało szlachectwo Armgardy, myślała też sobie w sekrecie, że owo wspaniałe „von” o wiele bardziej pasowałoby do niej, gdyż, mój Boże, ta Armgarda nie umiała nawet ocenić swego szczęścia; obnosiła jakby nigdy nic swój gruby warkocz, swe dobroduszne, błękitne oczy, mówiła swym przeciągłym meklemburskim akcentem, wcale o swym szlachectwie nie myśląc; nie była wcale wytworna ani też nie usiłowała nią być, nie miała najmniejszego zrozumienia dla wytworności. Słowo „wytworność” siedziało mocno w głowce Toni, a stosowała je z wielkim uznaniem do Gerdy Arnoldsen.

Gerda była inna niż wszyscy, miała w sobie coś obcego, cudzoziemskiego. Pomimo zakazu Teteni czesała nieco pretensjonalnie swe wspaniałe rude włosy; fakt, że grała na skrzypcach, osądzono jako głupotę, a należy podkreślić, iż oznaczało to bardzo surową naganę. Wszystkie jednak musiały przyznać Toni, że Gerda Arnoldsen była wytworna. Figura jej, rozwinięta nad wiek, jak również przyzwyczajenia, a nawet przedmioty, które posiadała, wszystko to było wytworne, na przykład paryskie przybory toaletowe z kości słoniowej;

Tonia umiała je ocenić, widziała bowiem w domu wiele przedmiotów, które rodzice jej i dziadkowie przywieźli z Paryża i niezmiernie lubili.

Trzy dziewczynki zawarły wkrótce przyjaźń, wszystkie trzy były w jednej klasie i zajmowały wspólnie największą sypialnię na najwyższym piętrze. Cóż to były za rozkoszne chwile, gdy o dziesiątej udawały się na spoczynek i gawędziły podczas rozbierania się, oczywiście półgłosem, gdyż tuż obok Mille Popinet śniła o złodziejach... Sypiała ona razem z pochodzącą z Hamburga małą Ewą Ewers, której ojciec, miłośnik i znawca sztuki, przeniósł się był do Monachium.

Rolety w ciemne pasy były spuszczone, na stole stała niska lampa osłonięta czerwonym abażurem, lekki zapach fiołków oraz czystej bielizny napelniał pokój, potęgując nastrój znużenia, beztroski i marzeń.

–Ach, Boże – mówiła Armgarda siedząc na pół rozebrana na łóżku – jak ten doktor Neumann płynnie mówi! Wchodzi do klasy, staje obok stolika i zaczyna mówić o Racinie...

–Ma piękne, wysokie czoło – zauważyła Gerda czesząc się przed lustrem między oknami przy świetle dwu świec.

–Tak! – odrzekła szybko Armgarda.

–A ty tylko dlatego zaczęłaś o nim mówić, żeby to usłyszeć, Armgardo, patrzysz na niego bez przerwy twymi niebieskimi oczami, jakby.

–Kochasz go? – spytała Tonia.

–Nie mogę rozwiązać

sznurowadła, proszę cię, Gerdo. O! Świetnie! Kochasz go, Armgardo? Wyjdź za niego; to dobra partia, będzie przecież profesorem gimnazjum!

–Boże, jesteście wstrętne.

Zupełnie go nie kocham. Na pewno nie wyjdę za nauczyciela, tylko za obywatela ziemskiego.

–Szlachcica? – Tonia upuściła pończochę patrząc w zamyśleniu na Armgardę.

–Nie wiem jeszcze; ale musi posiadać wielkie dobra... Ach, jak się z tego cieszę, dziewczynki! Będę wstawiała o piątej rano i gospodarowała... –

Otuliła się koldrą i w rozmarzeniu patrzyła w sufit.

–Oczywiście duszy dostrzeżę teraz pięćset krów – rzekła Gerda patrząc w lustro, w którym widziała przyjaciółkę.

Tonia nie była jeszcze zupełnie rozebrana, padła jednak na poduszki, zakładając ręce pod głowę; i ona też spoglądała zamyślona w sufit.

–Ja wyjdę oczywiście za kupca

–rzekła. – Będzie on miał dużo pieniędzy, żebyśmy się mogli wytwornie urządzić; muszę to zrobić dla mej rodziny i dla firmy – dodała poważnie. – Zobaczycie, że to zrobię.

Gerda uczesała już włosy na noc, teraz zaś czyściła swe duże, piękne zęby, patrząc w ręczne lustro oprawne w kość słoniową.

–Ja prawdopodobnie wcale nie wyjdę za mąż – rzekła z pewnym trudem, gdyż miętowy proszek do zębów przeszkadzał jej mówić. – Nie wiem dobrze, dlaczego. Ale nie mam na to najmniejszej ochoty. Pojadę do Amsterdamu, będę grała z papą duety, a potem zamieszkać u mojej zamężnej siostry...

–Jaka szkoda! – zawołała żywo Tonia. – Doprawdy, jaka szkoda, Gerdo! Powinnaś tutaj wyjść za mąż i na zawsze tu pozostać... Słuchaj, powinnaś wyjść choćby za jednego z moich braci...

–Może za tego z dużym nosem?

–spytała Gerda, przy czym ziewnęła z lekkim, subtelnym i niedbałym westchnieniem, zasłaniając usta lustrem.

–Albo za tego drugiego, to wszystko jedno... Ach Boże, jakbyście się urządzili! Jacobs powinien to robić, tapicer Jacobs z Fischstrasse; on ma bardzo wytworny gust. Codziennie bym do was przychodziła...

Nagle dał się słyszeć głos m_ile Popinet:

–Ah, voyons, mesdames! spać, s'il vous plait!»* Dziś wieczorem już nie wyjdziecie za mąż!

Niedziele i wakacje spędzała Tonia na Mengstrasse albo u dziadków. Co za szczęście, jeśli pogoda dopisała na Wielkanoc, móc szukać jajek i marcepanowych zajaczków w rozległym kr~ogorowskim ogrodzie! A letnie wakacje nad morzem, gdy się mieszka w domu zdrojowym, jada przy table d'h~ote,»* kąpie się w morzu i jeździ na osiołku! Kilka razy, gdy interesy konsula dobrze szły, przedsiębrano nawet dalsze podróże. Ale przede wszystkim jakże się obchodziło Boże Narodzenie z potrójną gwiazdką: w domu, u dziadków i u Teteni, gdzie tego wieczora poncz lał się strumieniami...

Najwspanialsza jednak gwiazdka

była w domu, konsulowi bowiem

zależało na tym, by wieczór

wigilijny odbywał się

szczególnie uroczyście, w

odświętnym nastroju. Gdy wszyscy

zgrupowani już byli w pokoju

pejzażowym, gdy w sali

kolumnowej tłoczyła się służba,

a wraz z nią ubodzy i starcy,

którym konsul ścisnął sine ręce

–gdy rozległ się czterogłosowy chór chłopięcy z kościoła Panny Marii, wszystkie serca były mocno ze wzruszenia, tak uroczyście to wyglądało.

–A więc, moje panie, proszę spać. (franc.)

Wspólny stół dla gości mieszkających w pensjonacie. (franc.)

Nieco później, ze starej rodzinnej Biblii, drukowanej ogromnymi literami, konsulowa odczytywała wolno rozdział o Bożym Narodzeniu. Gdy zaś umilkły kościelne śpiewy, a poprzez białe drzwi przenikała już woń choinki, wówczas intonując chórem

starą niemiecką pieśń „O Tannenbaum” rozpoczynano uroczysty pochód przez salę kolumnową aż do dużej sali z posągami na obiciach, gdzie wielkie, sięgające sufitu drzewo, przybrane białymi liliami, świeciło, migotało, pachniało. Stół z podarkami rozciągał się od okien aż do drzwi. Na pokrytej zamrożonym śniegiem ulicy grali włoscy kataryniarze, a od strony rynku rozbrzmiewał gwar świątecznego targu. Wszystkie dzieci, z wyjątkiem małej Klary, brały udział w późnej uczcie wigilijnej; podawano niezliczone ilości karpia oraz nadziewanych indyków.

Tu należy dodać, że w owych latach aż dwa razy zapraszano Tonię Buddenbrook do meklemburskich majątków. Kilka letnich tygodni spędziła u swej przyjaciółki Armgardy w posiadłości pana von Schilling, leżącej na drugim brzegu zatoki, naprzeciw Travemünde. Innym znów razem pojechała z kuzynką Tyldzią do dóbr, których administratorem był pan Bernard Buddenbrook. Majątek ów nazywał się Nielaska i nie dawał ani grosza dochodu, ale gdy chodziło o pobyt letni, był jednak nie najgorszy.

Tak przechodziły lata i młodość Toni była na ogół bardzo szczęśliwa.

Część trzecia

Rozdział pierwszy

Pewnego czerwcowego popołudnia, około piątej, pito w ogrodzie kawę. Ogrodowa altana miała białe tynkowane ściany i białe lakierowane drzwi, które, gdy się bliżej przypatrzeć, nie były wcale drzwiami i miały malowane klamki; na jednej ze ścian wisiało duże zwierciadło, na którym wymalowane były fruujące ptaki. Było tam jednak za duszno, wystawiono więc do ogrodu lekkie trzcinowe krzeselka.

Wokół okrągłego stolika, na którym lśniły puste już filiżanki, siedzieli: konsul, jego żona, Tonia, Tom i Klotylda; Chrystian, odsunięty nieco od reszty towarzystwa, kuł z nieszczęśliwym wyrazem twarzy drugą mowę Cycerona przeciwko Katylinie. Konsul, z cygarem w ustach, studiował gazetę. Konsulowa odłożyła haft i z uśmiechem spoglądała na Klarę, która wraz z Idą Jungmann szukała w trawie fiołków, czasem bywały tam fiołki. Tonia, z głową opartą na rękach, zagłębiła się w czytaniu „Braci serafiońskich” Hoffmanna. Tom zaś lechtał ją lekko w kark źdźbłem trawy, na co ona przezornie w ogóle nie zwracała uwagi. Klotylda, jak zawsze chuda i staropanieńska, siedziała w swej kwiecistej perkalikowej sukience, czytając powiastkę zatytułowaną: „Ślepy i głuchoniemcy, a jednak szczęśliwy”. Jednocześnie zgarniała w kupki okruchy biszkoptów na serwecie i ostrożnie je zjadała.

Niebo, na którym widniało parę białych chmurek, zaczynało już z wolna blednąć. Popołudniowe słońce łagodnie oświetliło symetrycznie biegnące ścieżki ogródka oraz grządki różnokolorowych kwiatów. W powietrzu unosiła się woń rezedy.

–Wiesz, Tom – rzekł z

zadowoleniem konsul wyjmując z ust cygaro – ta sprawa z żytem, z firmą „Van Henkdom i Ska”, zaczyna się układać.

–Ile dają? – zapytał Tomasz odrzucając źdźbło trawy.

–Sześćdziesiąt talarów za tysiąc kilo... nieźle, co?

–To doskonale! – Tom od razu pojął, że jest to dobry interes.

–Toniu, to nie jest pozycja comme il faut (jak należy – franc.) – zauważyła konsulowa, wskutek czego Tonia nie odrywając oczu od książki zdjęła ze stołu jeden lokiec.

–Nic nie szkodzi – rzekł Tom.

–Może siedzieć, jak chce, i tak pozostanie Tonią Buddenbrook. Obie z Tyldzią są stanowczo najładniejsze z całej rodziny.

Klotylda strasznie się zdziwiła. – O Boże, Tom! – rzekła, w niepojęty sposób rozciągając sylaby. Tonia siedziała cicho, wiedząc, że Tom, który był mądrzejszy od niej, zawsze znajdzie odpowiedź i wszyscy będą się z niej śmieli. Wciągnęła więc tylko powietrze przez nozdrza i podniosła ramiona. Gdy jednak konsulowa zaczęła mówić o balu, mającym się właśnie odbyć u konsula Huneusa, i napomknęła o nowych lakierkach, Tonia zdjęła ze stołu drugi lokiec i okazała żywe zainteresowanie.

–Wy tam gadacie i gadacie – zawołał żałośnie Chrystian – a to jest takie okropnie trudne! Ja też bym wolął zostać kupcem!

–Tak, co dzień chcesz czego innego – rzekł Tom.

W tej chwili wszedł do ogrodu Antoni przynosząc na tacy kartę wizytową; wszyscy spojrzeli wyczekująco.

–Gr~ulich, agent –

prze czytał konsul. – Z Hamburga. Sympatyczny człowiek, z dobrymi rekomendacjami, syn pastora. Mamy z nim interesy. Jest tam pewna sprawa... Powiedz temu panu, Antoni – pozwolisz, Betsy?

–żeby się tu pofatygował...

Przez ogród przeszedł dość drobnymi krokami i z nieco wyciągniętą szyją człowiek średniego wzrostu, mniej więcej trzydziestodwuletni, trzymając w jednej ręce laskę i kapelusz; miał na sobie żółtozielone wełniane ubranie z długimi połami i szare niciane rękawiczki. Spod skąpych jasnoblonde włosów wyglądała różowa i uśmiechnięta twarz; z jednej strony koło nosa zarysowywała się duża brodawka. Podbródek jego oraz górna warga były gładko wygolone, nosił jednak długie faworyty podług angielskiej mody. Faworyty owe były zdecydowanie złotożółtej barwy. Już z daleka wykonywał swoim wielkim jasnoszarym kapeluszem gesty pełne czolobitności...

Postąpił jeszcze krok naprzód i zbliżył się wreszcie, po czym, zakreślając półkole górną połową ciała, skłonił się wszystkim głęboko.

–Ależ ja przeszkadzam

wchodząc tak w kółko rodzinne – rzekł miękkiem głosem, z uprzejmą powściągliwością. – Czytacie państwo zajmujące książki, gawędzicie... muszę prosić o wybaczenie!

–Jest pan mile widzianym gościem, szanowny panie Gr~unlich – rzekł konsul powstawszy z miejsca, jak i obaj jego synowie; panowie podali sobie ręce. – Cieszę się, że mogę powitać pana poza kantorem, w gronie rodziny. Pan Gr~unlich, Betsy, mój dobry przyjaciel... moja córka Antonina... moja siostrzenica Klotylda... Tomasza już pan zna... A to drugi mój syn, Chrystian, uczeń gimnazjum.

Pan Gr~unlich kłaniał się każdemu z osobna.

–Powtarzam, że nie chciałbym być intruzem... Przychodzę w interesie i gdyby pan konsul zechciał towarzyszyć mi w przechadzce po ogrodzie...

Konsulowa rzekła jednak:

–Byłoby nam bardzo

przyjemnie, gdyby pan, odkładając na później rozmowę z moim mężem, pozostał przez chwilę w naszym towarzystwie. Proszę, niech pan siada!

–Dziękuję stokrotnie! – rzekł ze wzruszeniem pan Gr~unlich. Trzymając na kolanach kapelusz i laskę usiadł na brzegu krzeselka, które mu Tomasz podsunął; pogładziwszy jeden ze swych faworytów, odkaslnął N”h_e_m”; wyglądało to, jak gdyby chciał powiedzieć: „To wygląda mi na wstęp. Cóż dalej?”

Konsulowa rozpoczęła rozmowę.

–Pan pochodzi z Hamburga? – spytała przechylając głowę i opuszczając robótkę na kolana.

–Tak jest, pani konsulowo – odrzekł pan Gr~unlich z nowym ukłonem. – Mieszkam w Hamburgu, ale dużo podróżuję, jestem bardzo zapracowany, prowadzę niezmiernie ożywione interesy, h_e_m, tak, bardzo ożywione!

Konsulowa uniosła brwi w górę i poruszyła ustami, jak gdyby mówiąc z szacunkiem: „Istotnie?”

–Praca bez wytchnienia jest dla mnie koniecznym warunkiem życia – dodał pan Gr~unlich na pół obracając się w stronę konsula i znów odkaslnął zauważywszy zwrócone na siebie spojrzenie panny Antoniny, ów chłodny i badawczy wzrok, gotowy każdej chwili zmienić się w spojrzenie pełne pogardy, którym młode panienki mierzą nieznanym młodych ludzi.

–Mamy krewnych w Hamburgu – zauważyła Tonia, aby coś powiedzieć.

–Duchampsowie – objaśnił konsul – rodzina mojej nieboszczki matki.

–Doskonale wiem, o kim mowa!

–pośpieszył z odpowiedzią pan Gr~unlich. – Mam zaszczyt znać trochę tych państwa. Są to niezmiernie mili ludzie, ludzie wielkiego serca i rozumu, h_e_m. Doprawdy, gdyby więcej było rodzin ożywionych takim duchem, lepiej by było na świecie. Wiara w Boga, serdeczna dobroć, prawdziwa pobożność, jednym słowem, nastrój prawdziwie chrześcijański, będący moim ideałem; z tymi zaletami łączą ci państwo szlachetną światowość, wytworność, świetną elegancję, pani konsulowo, która mnie zachwyca!

Tonia pomyślała: „Skąd on tak zna moich rodziców? Mówi im rzeczy, których oni lubią słuchać”.

Konsul zaś rzekł z uznaniem:

–Te upodobania przynoszą panu zaszczyt.

Konsulowa nie mogła sobie odmówić podania gościowi ręki tak serdecznym ruchem, że ogniwa jej bransoletki cicho zadzwięczały.

–Przemawia mi pan wprost do serca, szanowny panie Gr~unlich

–rzekła.

Pan Gr~unlich uklonił się, poprawił się na krześle, pogładził jeden ze swych faworytów i odkaszlnął, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jedźmy dalej”.

Konsulowa wyrzekła parę słów o dniach tak okropnych dla rodzinnego miasta pana Gr~unlicha, o owych majowych dniach czterdziestego drugiego roku...

–W rzeczy samej – zauważył pan Gr~unlich – to straszne nieszczęście, prawdziwy dopust boży, ten pożar. Szkody obliczono dosyć ściśle na 135 milionów. Co do mnie zresztą, winien jestem Opatrzności głęboką wdzięczność. Nie należę bowiem do poszkodowanych. Ogień srożył się przeważnie w parafiach świętego Piotra i

Mikołaja... Jakiż to zachwycający ogród – przerwał sobie, dziękując jednocześnie konsulowi za podane cygaro – przy tym, jak na ogród położony w mieście, jest wyjątkowo rozległy? Cóż za barwne kwiecie. Boże drogi, przyznaję, że mam słabość do kwiatów i w ogóle do natury! Te polne róże cudownie zdobią... – Pan Gr~unlich chwalił również piękne położenie domu, chwalił w ogóle całe miasto, chwalił cygaro konsula, a dla każdego miał uprzejme słówko.

–Wolno zapytać, co pani czyta, panno Antonino? – zapytał z uśmiechem.

Z jakiegoś powodu Tonia zmarszczyła nagle brwi i nie patrząc na pana Gr~unlicha odrzekła:

–„Braci serafiońskich” Hoffmanna.

–Doprawdy! Autor ten stworzył bardzo wybitne dzieła – zauważył pan Gr~ulich. – Przepraszam bardzo... zapomniałem imienia młodszego syna, pani konsulowo.

–Chrystian.

–Jakie piękne imię! Lubię takie imiona – tu zwrócił się znów do pana domu – po których, jeśli mogę się tak wyrazić, od razu widać, że ten, który je nosi, jest chrześcijaninem. W pańskiej rodzinie imię Jan jest, o ile wiem, poniekąd dziedziczne... A któż by przy tym imieniu nie pomyślał o ulubionym uczniu Pana Jezusa. Ja, na przykład, jeżeli wolno mi tu wspomnieć o sobie, mam jak większość moich przodków na imię Benedykt. A pan co takiego czyta, panie Buddenbrook? Aha, Cynceron! Trudna to lektura, dzieła tego rzymskiego mówcy. Quousque tandem, Catilina...»* h_e_m jednak niezupełnie zapomniałem łaciny!.

Jak długo jeszcze, Katyliny...

–(łac.)

Konsul rzekł:

–W przeciwieństwie do mego nieboszczyka ojca, miałem zawsze pewne uprzedzenie do tego wbijania łaciny i greki w młode głowy. Jest tyle ważnych przedmiotów, niezbędnych jako przygotowanie do życia praktycznego...

–Wyraża pan w tej chwili i mój pogląd, panie konsulu – pośpieszył z odpowiedzią pan Gr~ulich – którego nie zdążyłem głośno sformułować! Trudna lektura i, jak zapomniałem dodać, nie zawsze bez zarzutu. Przypominam sobie w tych mowach kilka ustępów wprost nieprzyzwoitych...

Nastąpiła pauza, podczas której Tonia pomyślała: „Teraz na mnie kolej”. Wzrok pana Gr~ulich skierował się właśnie w jej stronę... Rzeczywiście przyszła na nią kolej. Pan Gr~ulich uniósł się nieco na krześle, wykonał w stronę konsulowej szybki, kurczowy, a jednak wykwinny ruch ręką i zaczął szeptać z przejęciem:

–Proszę panią, pani

konsulowo, widzi pani? – Błagam panią, panno Antonino – przerwał sobie głośno, jak gdyby Tonia to jedno powinna była usłyszeć – proszę przez jedną chwilę pozostać w tej pozycji!... – Czy pani widzi, jak włosy córki lśnią w tej chwili w promieniach słońca? Jak żyję, nie widziałem tak pięknych włosów! – rzekł z nagłą powagą, jakby przemawiał do Boga lub do swego serca.

Konsulowa uśmiechnęła się z zadowoleniem, konsul jednak powiedział:

–Niech pan nie wbija

dziewczyny w pychę! – Tonia zaś znowu ściągnęła brwi. Po paru minutach pan Gr~ulich wstał.

–Ale nie przeszkadzam dłużej, nie, pani konsulowo, dłużej nie przeszkadzam! Przeszedłem w interesach... nie mogłem się jednak oprzeć... Teraz zaś wzywają nas interesy! Gdybym mógł prosić

pana konsula...

–Zbyteczne byłoby zapewniać pana – rzekła konsulowa – jak bardzo by mnie cieszyło, gdyby pan zechciał zamieszkać u nas podczas swego pobytu w tutejszym mieście.

Pan Gr~unlich milczał przez chwilę ze wzruszenia.

–Jestem pani z całej duszy wdzięczny, pani konsulowo! – rzekł z przejęciem. – Nie mogę jednak nadużywać uprzejmości pani. Zajmuję parę pokoiów w „Zajeździe Hamburgskim”.

„Parę pokoiów” – pomyślała konsulowa, a tego właśnie pragnął pan Gr~unlich.

–W każdym razie – zakończyła podając mu jeszcze raz serdecznie rękę – mam nadzieję, że się znów zobaczymy.

Pan Gr~unlich ucałował dłoń konsulowej, poczekał chwilę, czy Tonia też poda mu rękę, gdy jednak nie uczyniła tego, pochylił się nisko, odstąpił krok w tył, uklonił się powtórnie, wreszcie odrzucając głowę włożył zamasyście swój szary kapelusz i oddalił się wraz z konsulem...

–Przyjemny człowiek – rzekł konsul powróciwszy do rodziny i usiadłszy znów na swym krześle.

–Mnie się zdaje, że jest głupi – rzekła Tonia odważnie i z naciskiem.

–Toniu! Boże drogi! Co za wyrok! – zawołała konsulowa z oburzeniem. – Taki bogobojny młodzieniec!

–Dobrze wychowany, światowy człowiek – dodał konsul. – Sama nie wiesz, co mówisz. – Rodzice niekiedy z grzeczności wymieniali wzajemnie poglądy; wówczas bowiem mogli być pewni, że zapatrywania ich są zgodne.

Chrystian zmarszczył swój duży nos i rzekł:

–Jak on się nadyma!...

Gawędzicie! Wcale nie gawędzimy.

I polne róże cudownie zdobią. Czasami wygląda tak, jakby sam do siebie mówił. Przeszkadzam... muszę prosić o wybaczenie... Nigdy nie widziałem tak pięknych włosów!... – I Chrystian tak świetnie naśladował ton pana Gr~unlicha, że sam konsul nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

–Tak, robi z siebie ważną osobę! – zaczęła znów Tonia. – Ciągłe mówił o sobie! On prowadzi ożywione interesy, on lubi naturę, on lubi takie a takie imiona, on ma na imię Benedykt... A cóż to nas obchodzi... Tylko dlatego mówi to wszystko, żeby się pochwalić!

–zawołała w końcu ze złością. – I tobie, mamó, i tobie, ojczulku, mówił tylko rzeczy, których lubicie słuchać, bo chciał się wam przypodobać!

–Nie ma w tym nic złego, Toni – rzekł surowo konsul. – Człowiek znajduje się w obcym towarzystwie, coś dziwnego, że chce się przedstawić z dobrej strony, stara się dobrze wyrazić i podobać, to jasne...

–Zdaje się, że to dobry człowiek – rzekła łagodnie i przeciągle Klotylda, jedyna osoba, na którą pan Gr~unlich nie zwrócił najmniejszej uwagi. Tomasz wstrzymał się od sądu.

–Jednym słowem – zakończył konsul – jest to bogobojny, dzielny, pracowity i wykształcony człowiek, a ty, Toni, jako dorosła, osiemnasto_ czy prawie dziewiętnastoletnia panienska, względem której okazał on tyle uprzejmości i elegancji, powinna być powstrzymać się od krytykowania. Wszyscy jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi, a ty, wybacz, jesteś chyba ostatnią, która miałaby prawo rzucać kamieniem... Tom, chodź do pracy!

Ale Tonia mruczała dalej: – Złotożółte bokobrody! – i, jak poprzednio, marszczyła brwi.

Rozdział drugi

–Bardzo mi było przykro, proszę pani, że nie zastałem pani w domu – mówił w parę dni potem pan Gr~unlich, spotkawszy na rogu Breitenstrasse i Mengstrasse powracającą ze spaceru Tonię. – Pozwoliłem sobie złożyć wizytę mamie pani i niezmiernie żałowałem... Jakże się jednak cieszę, że spotykam panią...

Panna Buddenbrook zatrzymała się, ponieważ pan Gr~unlich zaczął do niej mówić, ale jej na wpół przymrużone oczy pociemniały patrząc w jakiś punkt na piersi pana Gr~unlicha, a na ustach ukazał się ów drwiący, nielitościwy uśmiech, jakim panna odtrąca młodego człowieka... Wargi jej poruszyły się – coś miała mu odpowiedzieć? Ha, powinno to być coś takiego, co by tego Benedykta Gr~unlicha raz na zawsze odepchnęło, zmiażdżyło... Ale musiałyby to być zręczne, dowcipne, dobitne słówko, które go dotknie, a jednocześnie zaimponuje mu...

–To nie jest wzajemne! – rzekła ze wzrokiem utkwionym wciąż w ten sam punkt; ugodzony subtelnie zatrutą strzałą pan Gr~unlich stanął jak wryty, a ona, podnosząc dumnie głowę, zaczerwieniona, zadowolona ze swej pełnej sarkazmu odpowiedzi, poszła do domu, gdzie dowiedziała się, że pan Gr~unlich został zaproszony na nadchodzącą niedzielę na pieczeń cielęcą...

I przyszedł. Przyszedł różowy i uśmiechnięty w niezupełnie modnym, ale eleganckim, kloszowym, fałdzistym surducie, nadającym jego postaci wygląd poważny i solidny, skąpe jego włosy były starannie rozdzielone, a faworyty uperfumowane. Jadł rago~ut w muszelkach, zupę julienne, smażone flądry, pieczeń cielęcą z kartoflami pur~ee i kalafiorami, budyń z maraskinem i pumpernikiel z rokforem, przy każdej zaś potrawie umiał wynaleźć nową pochwałę i wyrazić ją w delikatny sposób. Podnosił na przykład deserową łyżeczkę, spoglądał na bóstwo wyobrażone na obiciu i mówił sam do siebie:

–Niech mi Bóg wybaczy, nie mogę inaczej postąpić: zjadłem już wielki kawał, ale ten budyń jest tak doskonały, że muszę prosić łaskawą gospodynię jeszcze o kawałek! – Mrugał przy tym żartobliwie w stronę konsulowej.

Z konsulem rozmawiał o

interesach i polityce,

wypowiadając poważne i rozumne poglądy, z konsulową zaś gawędził o teatrze, życiu towarzyskim i modach; rzucał uprzejme słówka Tomowi, Chrystianowi i biednej Klotyldzie, nie zapomniał nawet o małej Klarze i panie Jungmann... Tonia zachowała milczenie, on zaś ze swej strony nie rozpoczynał rozmowy, tylko przechylając na bok głowę spoglądał na nią od czasu do czasu w sposób wyrażający zarówno zasmucenie, jak zachętę.

Odwiedziny te wzmocniły wrażenie wywołane pierwszą jego wizytą.

–Doskonale wychowany

młodzieniec – mówiła konsulowa.

–Bogobojny i godny poszanowania człowiek – mówił konsul. Chrystian naśladował teraz o wiele lepiej jego ruchy i sposób mówienia. Tonia zaś powiedziała dobranoc z zachmurzoną miną, czuła bowiem niejasno, że nie po raz ostatni widzi tego człowieka, który tak prędko umiał zdobyć serca jej rodziców.

W istocie, powróciwszy pewnego popołudnia z panińskiego zebrania, zastała pana Gr~unlicha, który rozgościł się w pejzażowym pokoju, gdzie czytał konsulowej „Waverley” Waltera Scotta, a akcent jego był wzorowy, nadmienił przy tym, że podróże, jakie odbywa w swych tak ożywionych interesach, zawiadły go i do Anglii. Tonia wzięła inną książkę i usiadła w pewnym oddaleniu; pan Gr~unlich zapytał miękkiem głosem:

–Zapewne nie podoba się pani to, co czytam?

Odrzucając w tył głowę odrzekła coś uszczypliwie sarkastycznego, coś w rodzaju:

–Bynajmniej!

Nie dając się zbić z tropu, zaczął opowiadać o swych przedwcześnie zmarłych rodzicach, o ojcu – kaznodziei, pastorze, człowieku wysoce bogobojnym a zarazem światowym... Później jednak, po wizycie pożegnalnej, podczas której Tonia była nieobecna, wyjechał do Hamburga.

–Ido – rzekła do panny Jungmann, w której miała serdeczną przyjaciółkę. – Ten człowiek pojechał!

Ale Ida Jungmann powiedziała:

–Poczekaj jeszcze, moje dziecko!

W tydzień później rozegrała się owa scena podczas śniadania... Tonia zeszła na kawę o dziewiątej i zdziwiła się zobaczywszy, że ojciec siedzi jeszcze w pokoju obok konsulowej. Nadstawivszy rodzicom czoło do pocałowania usiadła na swym miejscu, świeża, głodna, z oczyma zaczerwienionymi jeszcze od snu, przysunęła sobie cukier i masło i wzięła trochę zielonego

ziołowego sera.

–Jak to miło, papo, że chociaż raz cię tu widzę – rzekła biorąc przez serwetkę gorące jajko i rozbijając je łyżeczką.

–Czekałem dziś na naszą śpioszkę – rzekł konsul, który palił cygaro i lekko, nieustannie uderzał o stół zwiniętą gazetą. Konsulowa, poruszając się z wdziękiem, powoli kończyła śniadanie, po czym zasiadła głębiej na sofie.

–Tyldzia pracuje już w kuchni

–ciągnął z naciskiem konsul – a i ja byłbym już przy pracy, gdyby nie to, że wraz z matką chcemy pomówić o pewnej poważnej sprawie z naszą córeczką.

Tonia, z ustami pełnymi chleba z masłem, z wyrazem ciekawości i jednocześnie strachu w oczach, spojrzała najpierw na ojca, potem na matkę.

–Zjedz najpierw, moje dziecko

–powiedziała konsulowa.

A gdy Tonia mimo to odłożyła nóż i zawołała: – Powiedz natychmiast, o co chodzi, papo – wówczas konsul, który ciągle jeszcze bawił się gazetą, rzekł:

–Przede wszystkim jedz.

Tonia, pijąc w milczeniu kawę i bez apetytu spożywając jajko oraz chleb z ziołowym serem, zaczęła się powoli domyślać, o co chodzi. Z twarzy jej znikła poranna świeżość, pobladła lekko, podziękowała za miód, wkrótce zaś oznajmiła cichym głosem, że skończyła śniadanie...

Po chwili milczenia konsul rzekł:

–Moje drogie dziecko, sprawa, o której chcemy z tobą mówić, zawiera się w tym oto liście. – I tym razem zamiast gazetą stuknął w stół dużą błękitną kopertą. – Krótko i węzłowato: pan Benedykt Gr~unlich, którego wszyscyśmy poznali jako dzielnego i miłego człowieka, pisze nam, że podczas swego pobytu u nas powziął dla naszej córki głęboką sympatię i prosi formalnie o jej rękę. Cóż sądzi o tym nasze drogie dziecko?

Tonia siedziała z opuszczoną głową, oparta o krzesło, i kręciła w palcach srebrne kółko od serwetki. Nagle otworzyła pociemniałe i pełne łez oczy.

Zawołała zdławionym głosem:

–Czego ten człowiek chce ode mnie! Co ja mu zrobiłam! – I wybuchnęła płaczem.

Konsul spojrzał na żonę i z pewnym zmieszaniem zaczął oglądać swoją pustą filiżankę.

–Droga Toniu – rzekła

łagodnie konsulowa – po cóż się tak przejmować! Możesz być pewna, że twoi rodzice chcą tylko twego dobra, a więc nie mogą ci doradzać, byś odrzuciła oświadczyzny, które ci zapewnią taką pozycję w świecie. Widzisz, ja rozumiem, że nie możesz jeszcze żywić żadnych określonych uczuć dla pana Gr~unlicha, ale wierzaj mi, to z czasem przychodzi... Takie młode stworzenie nigdy dokładnie nie wie, czego chce... I w głowie jego, i w sercu panuje jeszcze taki chaos... Trzeba dać sercu trochę czasu i posłuchać rad ludzi doświadczonych, którzy troszczą się o nasze szczęście...

–Ja nic o nim nie wiem – wybuchnęła rozpaczliwie Tonia przykładając do oczu małą batystową serwetkę zawalaną jajkiem. – Tyle tylko wiem, że ma żółte faworyty i prowadzi ożywione interesy...
– Górna jej warga drżała podczas płaczu, co czyniło niewymownie wzruszające wrażenie.

W przypiływie nagłej czułości konsul przysunął się do niej wraz z krzesłem i z uśmiechem pogładził jej włosy.

–Moja mała Toniu – rzekł – cóż byś ty chciała o nim wiedzieć? Widzisz, jesteś jeszcze dzieckiem, nie o wiele więcej wiedziałabyś o nim, gdyby przepędził tu nie cztery, lecz pięćdziesiąt cztery tygodnie. Jesteś młodą dziewczynką, nie znasz świata, musisz więc polegać na zdaniu tych, którzy świat znają i dobrze ci życzą...

–Nie rozumiem tego... nie rozumiem tego... – łkała rozpaczliwie Tonia poddając głowę jak kotka pod głaszczącą dłoń. – Przychodzi tutaj, mówi każdemu coś przyjemnego, wyjeżdża, i pisze, że mnie... co ja mu zrobiłam?!...

Konsul znów się uśmiechnął.

–Już to raz powiedziałaś, Toniu, i to tak dobrze maluje twoją dziecięcą bezradność. Niech moja córeczka nie sądzi, że będę ją zmuszał i dręczył... Trzeba to rozważyć w spokoju, to musi być rozważone w spokoju, to jest poważna sprawa. Tak też odpiszę panu Gr~unlichowi, nie odpowiem ani przychylnie, ani odmownie. Nad wielu rzeczami trzeba się zastanowić... Prawda... Zgadzą się? Załatwione! No, a teraz ojczulek idzie do swej pracy. Adieu, Betsy...

–Do widzenia, mój drogi NJean.

–Weź sobie jednak trochę miodu, Toniu – rzekła konsulowa, gdy pozostała sama z córką siedzącą nieruchomo, ze spuszczoną głową. – Jeść przecież trzeba...

Łzy Toni obsychały powoli.

Głowę miała gorącą, pełną myśli. Boże! Co za przejście! Wiedziała przecież, że kiedyś zostanie żoną kupca, że zawrze dobre i korzystne małżeństwo, jak tego wymagała godność rodziny oraz firmy... Ale oto po raz pierwszy ktoś rzeczywiście i poważnie chciał się z nią żenić! Jak należało się zachować? Nadeszła dla niej, dla Toni Buddenbrook, chwila, w której używa się tych strasznie poważnych książkowych słów: „jej zgoda”, „jej ręka”, „na zawsze”. Boże mój! Jakaż to zupełnie nowa sytuacja!

–A ty, mammo? – rzekła. – Więc i ty także radzisz mi powiedzieć... wyrazić... zgodę? Przed słowami „wyrzucić zgodę” zawahała się przez chwilę. Wydały jej się nagle zbyt napuszone, krępujące; wreszcie po raz pierwszy w życiu wymówiła je z godnością. Zaczęła się trochę wstydić swego poprzedniego nieopanowania. Poślubienie pana Gr~unlicha wydało jej się co prawda teraz równie niedorzeczne, jak przed dziesięcioma minutami, ale ważność sytuacji zaczęła jej się podobać.

Konsulowa rzekła:

–Radzić, moje dziecko? Czyż ojczulek ci coś radził? Nie odradzał, oto wszystko. Byłoby to równie niewłaściwe z jego strony, jak i z mojej. Związek, który ci się nastrecza, jest to tak zwana dobra partia, Toniu... Znalazłabyś się w Hamburgu w doskonałych warunkach i prowadziłabyś życie na wysokiej stopie...

Tonia siedziała bez ruchu. Zamajaczyło przed nią nagle coś jak gdyby jedwabne portierey z salonu dziadków. Czy jako pani Gr~unlich pijałaby także rano czekoladę? Nie wypadało zapytać o to.

–Tak jak ci ojciec

powiedział: masz czas do namysłu – ciągnęła dalej konsulowa. – Ale musimy sobie powiedzieć, że nie co dzień nadarza się takie szczęście i że to małżeństwo jest dla ciebie nakazem obowiązku i przeznaczenia. Tak, moje dziecko, muszę ci to powiedzieć. Droga, która się dziś przed tobą otworzyła, jest ci przeznaczona, sama to dobrze wiesz...

–Tak – rzekła w zamyśleniu Tonia. – Zapewne. – Znała swe obowiązki względem rodziny i firmy i była z nich dumna. Ona, Antonina Buddenbrook, przed którą tragarz portowy, Matthiesen, z takim szacunkiem zdejmował swój włochaty cylinder, która jako córka konsula Buddenbrooka chodziła po mieście z miną małej władczyni – przejęta była historią swej rodziny. Wszakże to już ów krawiec z Rostocka miał się bardzo dobrze, a od tego czasu działo się rodzinie coraz świetniej. Było jej powołaniem przyczynić się na swój sposób do podniesienia blasku rodziny i firmy „Jan Buddenbrook” wychodząc za mąż za człowieka bogatego i eleganckiego... Dla osiągnięcia tych samych celów Tom pracował w kantorze. Tak, z tego punktu widzenia małżeństwo było stanowczo właściwe; ale sam pan Gr~unlich... Ujrzała przed sobą złotożółte faworyty, różową, uśmiechniętą twarz z brodawką koło nosa, wyobraziła sobie jego drobne kroki, zdawało jej się, że widzi wełniane ubranie, słyszy jego miękki głos...

–Dobrze wiedziałam – rzekła konsulowa – że potrafimy się nad tym spokojnie zastanowić... A może powzięliśmy już decyzję?

–Och, broń Boże! – zawołała Tonia z akcentem oburzenia. – Co za niedorzeczność – wyjść za Gr~unlicha! Drwiłam przecież z niego przez cały czas... Nie pojmuję w ogóle, jak on może jeszcze myśleć o mnie! Powinien by mieć odrobinę ambicji...

I zaczęła smarować miodem kromkę chleba.

Rozdział trzeci

Tego roku Buddenbrookowie nie wyjechali na wypoczynek nawet podczas szkolnych wakacji Chrystiana i Klary. Konsul oświadczył, że jest zbyt pochłonięty interesami, a nie zakończona sprawa Antoniny również przyczyniła się do tego, że pozostali na Mengstrasse. Konsul przesłał panu Gr~unlichowi nadzwyczaj dyplomatyczny list; bieg sprawy został jednak powstrzymany przez Tonię, która objawiała swój upór w dziecinny sposób.

–Ależ mam – mówiła. – Znieść go nie mogę! – przy czym niesłychanie mocno akcentowała wyraz „znieść”. Albo też oznajmiała uroczyście: – Ojczy!

–zazwyczaj mówiła „ojczulku”. – Nigdy nie wyrażę mu mojej zgody.

Ten stan rzeczy trwałby na pewno przez długi czas, gdyby w dziesięć dni po owej rozmowie przy śniadaniu – w połowie czerwca – nie było się wydarzyło, co następuje...

Było to popołudnie, błękitne ciepłe popołudnie; konsulowa wyszła z domu, a Tonia siedziała przy oknie w pokoju pejzażowym czytając książkę, gdy Antoni podał jej kartę wizytową. Zanim jeszcze zdążyła przeczytać nazwisko, wszedł do pokoju jakiś pan w luźnym kloszowym surducie i spodniach koloru grochu; był to, oczywiście, pan Gr~unlich; na twarzy jego malował się wyraz pokornej czułości.

Tonia zerwała się z krzesła przerażona, jakby chciała uciec do sali jadalnej... Jakżeż mogła rozmawiać z człowiekiem, który prosił o jej rękę. Poblądła, a serce biło jej tak mocno, że czuła je niemal w gardle. Dopóki pan Gr~unlich był daleko, bawiło ją to nawet, że rodzice tak poważnie z nią rozmawiają i że jej osoba, jej decyzja nabrały nagle takiej ważności. Ale już znów przyjechał! Stał przed nią? Co to będzie? Poczwała, że zbiera jej się na płacz.

Pan Gr~unlich podszedł do niej szybkim krokiem, z przechyloną głową i rozpostartymi ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Oto jestem! Zabij mnie, jeśli chcesz!”

–Co za zbieg okoliczności! – zawołał. – Zastaję panią, Antonino! – (Powiedział:

Antonino.)

Tonia, która z książką w ręku stała wyprostowana przy krześle, wysunęła wargi i podkreślając ruchem głowy każde słowo, zawołała z oburzeniem:

–Co – pan – sobie – myśli!

Ale łzy ją dławiły. Wzruszenie pana Gr~unlicha było jednak zbyt wielkie, żeby mógł zwrócić uwagę na jej zarzut.

–Czyż mogłem czekać dłużej...

Jakżeby nie mógł nie powrócić? – pytał natarczywie. – Przed tygodniem otrzymałem list drogiego ojca pani, list, który napelnił mnie otuchą! Czyż mogłem żyć dalej w niepewności, panno Antonino? Nie

mogłem wytrzymać dłużej, wsiałem do powozu, pośpieszyłem tu...

Zająłem parę pokoiów w

„Zajeździe Hamburgskim”... i oto jestem tu, Antonino, by usłyszeć z ust pani ostateczne, decydujące o moim szczęściu słowo!

Tonia zdębiała, z osłupienia przeszła jej ochota do płaczu. Taki więc był rezultat przezornego listu ojca, oddalającego decyzję na czas nieograniczony! Wybąkała parę razy:

–Pan się myli... Pan się myli...

Pan Gr~unlich przysunął sobie fotel tuż do jej krzesła, usiadł, zmusił ją, by również usiadła, i pochylony, trzymając jej bezradnie zwisającą rękę w swojej, mówił wzruszonym głosem:

–Panno Antonino... Od

pierwszej chwili, od tego popołudnia... Pamięta pani to popołudnie, gdym ujrzał po raz pierwszy w gronie rodziny tę wytworną, marzycielską istotę... Imię pani wypisało się w moim sercu niezatartymi głoskami... – Poprawił się mówiąc: – Wyręło się. Od owego dnia, panno Antonino, moim najgorętszym pragnieniem jest zdobyć rękę pani na całe życie, i wierzę, iż nadzieja, jaką pozwala mi żywić list drogiego ojca pani, zamieni się dla mnie w szczęśliwą pewność... prawda? Mogę liczyć na wzajemność pani, być pewnym wzajemności? – Ujął jej drugą rękę i spojrzał głęboko w jej trwożnie otwarte oczy. Nie miał dziś swych nicianych rękawiczek, ręce jego były smukłe, białe i porysowane błękitnymi żyłkami.

Tonia patrzyła na jego różową twarz, na brodawkę koło nosa, na oczy tak niebieskie jak oczy gęsi.

–Nie, nie! – rzuciła szybko i trwożliwie. Po czym jeszcze dodała: – Nie wyrażam mojej zgody! – Starła się mówić stanowczo, ale już nie mogła powstrzymać płaczu.

–Czym zasłużyłem na tę niepewność, na to wahanie? – zapytał głębokim głosem, w którym brzmiał niemal ton wyrzutu. – Pani jest rozpieszczona, otoczona czułą troskliwością... ale przysięgam pani, daję słowo honoru mężczyzny, że będę panią na rękach nosił, że niczego nie odmówię mojej żonie, że stworzę pani w Hamburgu życie godne pani...

Tonia zerwała się, uwolniła rękę i tonąc we łzach zawołała w zupełnej rozpacz:

–Nie, nie! Przecież

powiedziałam nie! Daję panu kosza, nie rozumie pan tego? Boże wielki!...

Pan Gr~unlich również powstał. Postąpił krok w tył, rozłożył ręce i rzekł z powagą i stanowczością człowieka honoru:

–Wie pani, panno Buddenbrook, że nie wolno mnie tak obrażać?

–Ależ ja nie obrażam pana, panie Gr~unlich – rzekła Tonia żalując swej porywczowości. Ach, Boże, że też właśnie ją musiało to spotkać! Nie wyobrażała sobie takich zalotów. Myślała zawsze, że dość powiedzieć: „propozycja pana przynosi mi zaszczyt, nie mogę jednak jej przyjąć”, by wszystko było skończone.

–Propozycja pana przynosi mi zaszczyt – rzekła najspokojniej, jak mogła. – Nie mogę jednak jej przyjąć... a teraz muszę... opuścić pana, proszę o wybaczenie, nie mam już czasu.

Ale pan Gr~unlich zastąpił jej drogę.

–Pani mi odmawia? – zapytał głucho.

–Tak – rzekła Tonia dodając przezornie: – Niestety...

Pan Gr~unlich odetchnął głęboko, cofnął się o dwa kroki, przechylił się na bok, wskazał palcem na dywan i zawołał straszliwym głosem:

–Antonino!

Przez kilka chwil stali tak na wprost siebie; on w rozkazującej postawie nie ukrywając gniewu. Tonia zaś blada, drżąca, zapłakana, z mokrą chusteczką przy ustach. Wreszcie odwrócił się i z rękami założonymi na plecach przemierzył dwa razy pokój, jak gdyby był u siebie. Potem stanął przy oknie i patrzył w zapadający zmierzch.

Tonia szła wolno i ostrożnie w kierunku oszklonych drzwi; ale znajdowała się zaledwie w połowie drogi, gdy pan Gr~unlich znów stanął przy niej.

–Toniu – rzekł cicho, ujmując łagodnie jej rękę i osunął się... osunął się przed nią na kolana. Jego żółte faworyty leżały na jej ręce.

–Toniu... – powtórzył – niech pani spojrzy na mnie... Oto, do czego pani doprowadziła... czy pani ma serce, czujące serce...

Proszę mnie wysłuchać... Widzi

pani przed sobą człowieka, który

zginie, będzie stracony,

jeśli... który umrze z rozpacz

–przerwał sobie z pewnym pośpiechem – jeśli pani odrzuci jego miłość! Leżę tu, czy będzie pani na tyle okrutna, aby mi powiedzieć: nienawidzę pana?

–Nie, nie – rzekła nagle Tonia pocieszającym głosem. Łzy jej obeschły, poczuła wzruszenie i współczucie. Boże drogi, jak bardzo musiał ją kochać, jeżeli tak daleko posunął się w tej sprawie tak dla niej obcej i obojętnej! Czyż to możliwe, że ona to przeżywa? Takie rzeczy czyta się w

powieściach, a tu, naprawdę, klęczy przed nią jakiś pan w surducie i błaga!... Myśl, że mogłaby poślubić pana Gr~unlicha, wydała jej się wprost niedorzeczna, gdyż uważała go za głupiego. Teraz jednak, na Boga, w tej chwili wcale nie był głupi! Z głosu jego, z twarzy bił taki nieklamany lęk, taka szczerza, rozpacзлиwa prośba...

–Nie, nie – powtórzyła pochylając się nad nim z przejęciem – nie nienawidzę pana, jak pan mógł coś podobnego powiedzieć, panie Gr~unlich! Ale niech pan wstanie, proszę...

–Nie chce pani mnie zabić? – zapytał znowu; i jeszcze raz powiedziała prawie że macierzyńskim, pocieszającym tonem:

–Nie, nie...

–Oto słowo! – zawołał pan Gr~unlich i zerwał się na równe nogi. Ujrzawszy jednak, że Tonia drgnęła przestraszona, opuścił się znowu na kolana i rzekł trwożliwie i uspokajająco:

–Dobrze, dobrze, proszę nic więcej nie mówić, Antonino! Dość na dziś, bardzo panią proszę... jeszcze o tym pomówimy, kiedy indziej... kiedy indziej... Żegnaj na dziś... Żegnaj...

Wyjeżdżam... Żegnaj, pani!

Podniósł się szybko, porwał ze stołu swój duży szary kapelusz, pocałował ją w rękę i wyszedł spieszenie przez oszklone drzwi.

Tonia widziała, jak w sali kolumnowej wziął swoją laskę i znikł w korytarzu. Stała pośrodku pokoju, oszołomiona i wyczerpana, trzymając wilgotną chusteczkę w opuszczonej ręce.

Rozdział czwarty

Konsul Buddenbrook mówił do żony:

–Czyż można przypuścić, iż Tonia z jakiegoś tajemnego powodu nie może zdecydować się na ten związek? Przecież to jeszcze dziecko, Betsy. Lubi się bawić, chętnie tańczy na balach, z przyjemnością przyjmuje hołdy młodych ludzi, gdyż wie, że jest ładna i pochodzi z dobrego domu. Może nawet i szuka, sama o tym nie wiedząc, ale wiem dobrze, że, jak to mówią, nie zna jeszcze swego serca... Spróbuj ją spytać, to pokręci głową i zacznie się namyślać, ale nikogo nie wymieni. Toż to jeszcze dziecko, koza... Jeśli się zgodzi, to od razu znajdzie się na swoim miejscu, będzie mogła się urządzać zgodnie ze swoimi upodobaniami, a po paru dniach pokocha męża... Nie jest on piękny, Boże drogi, nie, piękny nie jest... ma jednak prezencję, zresztą nie należy zbyt wiele wymagać, jak powiadają kupcy! Jeśli chce czekać na kogoś, kto będzie zarazem pięknnością i dobrą partią – ha, wola boska! Tonia Buddenbrook zawsze jeszcze kogoś znajdzie. Chociaż z drugiej strony... jest to ryzykowne, jeśli znów użyć kupieckiego wyrażenia, co dzień bywają połowy, ale nie co dzień udane. Wczoraj przed obiadem miałem dłuższą rozmowę z Gr~unlichem, który stara się poważnie i wytrwale, oglądałem jego księgi, pokazał mi je. Można by je oprawić w ramki, Betsy! Wyraziłem mu najwyższy podziw! Jak na tak młode przedsiębiorstwo, interesy jego stoją bardzo dobrze, bardzo dobrze. Majątek jego wynosi około 120000 talarów, co najwidoczniej stanowi tylko

tymczasową jego podstawę, gdyż robi on znaczne obroty... Opinia Duchampsów, których pytałem o zdanie, jest także wcale niezła. Nie znają, co prawda, jego stosunków, ale prowadzi on życie gentlemanlike (jak dżentelmen – ang.), obraca się w najlepszych towarzystwach, a przedsiębiorstwo jego, jak mówią powszechnie, jest bardzo ruchliwe i rozgałęzione... To, co słyszałem od innych hamburczyków, jak na przykład od bankiera Kesselmeyera, także bardzo mnie ucieszyło. Słowem, jak wiesz, Betsy, małżeństwa tego, mogącego tak rodzinie, jak i firmie wyjść na korzyść, mocno sobie życzę! Ubolewam, Boże drogi, że dziecko znajduje się w przykrym położeniu, osaczone ze wszystkich stron, przygnębione i prawie się nie odzywa; nie mogę się jednak zdobyć na odprawienie Gr~unlicha z kwitkiem... I jeszcze jedno, Betsy, a o tym należy ciągle pamiętać: nie najlepiej wiodło się nam w ostatnich latach. Nie powiem, żeby Opatrzność odmówiła nam błogosławieństwa, broń Boże, uczciwa praca zawsze bywa wynagradzana. Interesy rozwijają się spokojnie... ach, aż za spokojnie, i to dlatego, że przystępuję do nich z najwyższą ostrożnością. Nie posunęliśmy się naprzód, odkąd ojciec odszedł. Czasy nie są dobre dla kupca. Krótko mówiąc, praca niewiele mi daje pociechy. Mamy córkę na wydaniu, nadarza jej się dobra partia, którą wszyscy uważają za korzystną i szaczną, i powinna ją zrobić! Niedobrze jest czekać, niedobrze, Betsy! Pomów z nią jeszcze raz, ja dzisiaj po południu namawiałem ją...

Tonia była istotnie w przykrym położeniu, co do tego konsul miał rację. Nie mówiła już „nie”, ale „tak” nie mogło jej przejść przez usta. Gdyby Bóg chciał jej pomóc! Sama tego nie pojmowała, dlaczego nie może się zdobyć na wyrażenie zgody.

A tymczasem, to ojciec brał ją na stronę i mówił z nią poważnie, to znów matka zapraszała, by usiadła obok niej, i żądała stanowczej decyzji... Stryja Gottholda z rodziną nie wtajemniczono w sprawę, gdyż byli oni zawsze usposobieni nieco ironicznie w stosunku do mieszkańców Mengstrasse. Ale nawet Tetenia Weichbrodt dowiedziała się o wszystkim i przekonywała ją wymawiając poprawnie każde słowo, nawet panna Jungmann mówiła: – Toniuchna, córuchno, nic się nie martw, pozostaniesz w najlepszej sferze... – Nie mogła też Tonia pokazać się w czcigodnym, obitym jedwabiem salonie willi za miastem, żeby stara pani Kr~oger natychmiast nie zaczęła: – ~a propos słyszałam o pewnej historii, mam nadzieję, że będziesz rozsądna, moja mała...

Gdy pewnej niedzieli wraz z rodzicami i rodzeństwem była w kościele, pastor K~olling mówił w kazaniu o słowach Pisma, nakazujących kobiecie opuścić ojca i matkę i pójść za mężem; w tym miejscu ton jego mowy stał się surowy i napastliwy. Tonia spojrzała na niego z przerażeniem, czy nie zwraca się czasem do niej... Nie, chwala Bogu, duża jego głowa odwrócona była w przeciwną stronę, przemawiał do zasłuchanego tłumu; pojęła jednak od razu, że jest to nowy atak, że każde słowo stosuje się do niej. – Młoda dziewczyna – głosił – nie posiadająca jeszcze własnej woli ani własnego poglądu na rzeczy, przeciwstawiając się radom kochających rodziców postępuje karygodnie i Bóg wypluje ją z ust swoich... – Przy tym zwrocie, który pastor K~olling bardzo lubił i wypowiadał ze szczególnym zapałem, Tonia ujrzała nagle wbite w siebie przenikliwe jego spojrzenie, któremu towarzyszył surowy gest wyciągniętej ręki... Tonia widziała dalej, jak siedzący obok niej ojciec podniósł dłoń, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Nie za mocno...”

Nie ulegało wątpliwości, że pastor K~olling mówił w porozumieniu z nim lub z matką. Zaczerwieniona i skulona siedziała na swym krześle z uczuciem, że wszyscy na nią patrzą; następnej

niedzieli zaś z całą stanowczością odmówiła pójścia do kościoła. Snuła się po domu milcząca, nie śmiała się, straciła apetyt, od czasu do czasu rozpaczliwie wzdychała spoglądając żałośnie na otaczających... Wzbudzała litość. Schudła i straciła swój kwitnący wygląd. Wreszcie konsul rzekł:

–Tak dłużej być nie może, Betsy, nie możemy męczyć dziecka. Powinna trochę wyjechać, uspokoić się, zastanowić; zobaczysz, że wówczas nabierze rozumu. Ja nie mogę się wyrwać, a tu wakacje prawie się kończą... Zresztą wszyscy doskonale możemy zostać w domu. Wczoraj był u mnie przypadkowo stary Schwarzkopf z Travemünde, starszy pilot Diederich Schwarzkopf.

Powiedziałem mu parę słów, z całą gotowością zgodził się przyjąć dziewczynę na jakiś czas... Oczywiście wynagrodzę go za to... Będzie tam miała bardzo miły pobyt, może się kąpać, zażywać powietrza i przyjść do siebie. Tom ją odwiezie i wszystko będzie w porządku. Im prędzej, tym lepiej...

Tonia bardzo się ucieszyła z tego pomysłu. Nie widywała, co prawda, pana Grunlicha, wiedziała jednak, że jest w mieście, porozumiewa się z rodzicami i czeka... O Boże, każdego dnia mógł zjawić się przed nią, krzyczeć i błagać! W Travemünde, w obcym domu, będzie się czuła pewniejsza... Z zadowoleniem spakowała swoją walizkę, a następnie, pod koniec lipca, wsiadła wraz z Tomem do majestatycznego krögerowskiego ekwipażu, w najlepszym humorze pożegnała się ze wszystkimi i z uczuciem ulgi opuściła miasto.

Rozdział piąty

Do Travemünde jedzie się prościutko, potem promem przez wodę i znów prosto; oboje znali dobrze tę drogę. Pomimo że słońce paliło, a kurz przesłaniał widok, szary gościniec znikał szybko pod głuchymi, rytmicznymi uderzeniami kopyt ciężkich meklemburskich kasztanów Lebrechta Krögera. Dnia tego obiadowano już o pierwszej, punktualnie zaś o drugiej rodzeństwo wyjechało; w ten sposób mieli przybyć na miejsce o czwartej; dorożka, co prawda, przebywała tę odległość w trzy godziny, stangret Krögerów utrzymywał jednak z dumą, że wystarczy mu na to dwu godzin.

Tonia chwiała się lekko, pogrążona jakby w marzycielskim półśnie. Na głowie miała duży płaski kapelusz słomkowy; otworzyła ozdobioną kremowymi koronkami parasolkę z szarego jedwabiu, z jakiego uszyta była również skromna jej sukienka. Z wdziękiem ułożyła nogi odziane w białe pończochy, na których krzyżowały się czarne wstążki trzewiczków; siedziała w wygodnej eleganckiej pozycji, jakby stworzona do powozu.

Tom, obecnie już dwudziestoletni młodzieniec, w granatowym eleganckim garniturze, w słomkowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy, palił rosyjskie papierosy. Był on średniego wzrostu; wąsy, ciemniejsze od brwi i włosów, sypały mu się już na dobre. Podnosząc jak zwykle jedną brew, spoglądał na tumany kurzu i mijane drzewa przydrożne.

Tonia powiedziała:

–Nigdy jeszcze się tak nie cieszyłam z jazdy do Travemünde... z wielu powodów, Tom, nie powinieneś kpić ze mnie; miałam wielką ochotę oddalić się o parę mil od pewnej pary złotożółtych bokobrodów... A poza tym, będzie to tym razem jakby zupełnie nowe Travemünde, tam u

Schwarzkopfów... Nie będę się zupełnie troszczyć o towarzystwo... Mam go dosyć. A zresztą, nie jestem usposobiona... Ale u tego... człowieka... wszystko jest możliwe, nie krępuje się bynajmniej, zobaczysz, on gotów pewnego dnia wypłynąć tu, nagle z błogim uśmiechem...

Tom odrzucił wypalonego papierosa i wyjął sobie nowego z papierośnicy, na której wieczku wyryty był kunsztowny obrazek przedstawiający rosyjską „trojkę” napadniętą przez wilki: papierośnicę tę dostał konsul od pewnego klienta, Rosjanina. Papierosy, te małe, cienkie rurki z żółtymi ustnikami, były namiętnością Toma; palił je masami, przyzwyczał się przy tym wciągać dym głęboko w płuca i mówiąc wydychał go wolno.

–Tak – rzekł – istotnie w ogrodzie zdrojowym roi się od hamburczyków. Konsul Fritsche, obecny właściciel uzdrowiska, sam przecież pochodzi z Hamburga. Ojczulek mówił, że powodzi mu się teraz wspaniale... Jeśli się tak zupełnie usuniesz, może cię ominąć wiele przyjemności. Jest też tam oczywiście Piotr D~ohlmann, w tym czasie nigdy nie siedzi w mieście; interesy jego i tak idą same, wydeptaną drogą. To zabawne! No... a wuj

Justus na pewno będzie

przyjeżdżał na niedzielę i

odwiedzał ruletkę... Następnie

są tam, zdaje się, w komplecie

M~ollendorpfowie i

Kistenmakerowie oraz

Hagenstr~omowie.

–Ach! Naturalnie! Jakżeby się mogło obyć bez Sary Semlinger...

–Imię jej brzmi zresztą Laura, trzeba być sprawiedliwym, moje dziecko.

–I oczywiście z Julcią...

Julcia powinna zaręczyć się tego lata z Augustem M~ollendorpfem i Julcia to zrobi! Wówczas już ostatecznie wejdą do towarzystwa! Wiesz, Tom, to oburzające, ta rodzina Bóg wie skąd...

–Ach, mój Boże. „Strunck Hagenstr~om” doskonale sobie radzą w interesach, a to jest najważniejsze.

–Rozumie się! Zresztą

wiadomo, jak oni to robią. Torują sobie drogę łokciami, wiesz przecież... żadnego gestu, żadnej elegancji. Dziadek mawiał o Henryku Hagenstr~omie: „nawet wół mu się cieli”, to były słowa dziadka...

–Tak, tak, tak, ale to wszystko jedno. Kto ma powodzenie, ten ma rację. A co do tych zaręczyn, to przecież obie strony robią na tym dobry interes. Julcia zostanie panią M~ollendorpf, a August otrzyma dobrą posadę...

–Ach, chcesz mi dokuczyć, Tom, chyba o to ci tylko chodzi... Pogardzam tymi ludźmi...

Tom roześmiał się:

–Mój Boże, trzeba się będzie z tym oswoić, rozumiesz. Ojczulek mówi ostatnio: „to parweniusze...”. Podczas gdy M~ollendorpfowie... A poza tym Hagenstr~omom nie można odmówić dzielności. Herman pracuje już z wielkim pożytkiem w biurze swego ojca, a Maurycy, pomimo słabego zdrowia, świetnie ukończył szkoły. Jest podobno bardzo zdolny i studiuje prawo.

–Doskonale... cieszy mnie jednak, że są prócz tego i inne rodziny, które nie mają powodu płaszczyć się przed nimi, i że na przykład my, Buddenbrookowie, jeszcze...

–Aha – rzekł Tom – no, ale nie zaczynajmy się teraz chwalić. Każda rodzina ma swoje słabe strony – dokończył ciszej, patrząc na plecy stangreta. – Jak stoją, na przykład, sprawy wuja Justusa, sam Bóg to chyba wie. Papa zawsze potrząsa głową, gdy o nim mowa, a dziadek Kr~oger musiał mu, zdaje się, kilka razy pomóc grubszymi sumami... Z kuzynami też nie wszystko jest w porządku. J~urgen, który chce iść na uniwersytet, nie może jakoś dobrnąć do ostatecznego egzaminu... A z Jakuba podobno wcale nie są zadowoleni w firmie „Dalbeck i Ska” w Hamburgu. Nigdy nie starcza mu pieniędzy, choć sporo ich dostaje; czego mu odmówi wuj Justus, to przyśle ciotka Rozalia... Jestem zdania, że nie należy na nikogo rzucać kamieniem. Zresztą, jeśli chcesz dotrzymać placu Hagenstr~omom, powinnaś wyjść za Gr~unlicha!

–Czyż po to wsiedliśmy do tego powozu, żeby o tym mówić? Tak! Tak! Może istotnie powinnam! Ale nie chcę teraz o tym myśleć. Chcę o tym zapomnieć. Teraz jedziemy do Schwarzkopfów. Nigdy ich nie widziałam. Czy to mili ludzie?

–Och! Diederich Schwarzkopf to bardzo porządny chłop... – Tom powiedział to w dialekcie, zupełnie tak jak mówił Schwarzkopf. – Zresztą nie zawsze mówi w ten sposób, chyba że wypije więcej niż pięć szklanek grogu. Gdy raz odwiedził nas w kantorze, poszedłem z nim do Towarzystwa Żeglarskiego. Pił jak smok. Ojciec jego ujrzał światło dzienne na norweskim żaglowcu, a potem został kapitanem na tej linii. Diederich przeszedł dobrą szkołę; jako szef pilotów portowych zajmuje odpowiedzialne i nieźle płatne stanowisko. To stary wilk morski, ale zawsze pełen galanterii wobec dam. Zobaczysz, będzie ci prawil grzeczności...

–Ha! a żona?

–Żony jego nie znam. Pewnie poczciwa kobiecina. Mają syna, który za moich szkolnych czasów był w sekundzie czy w primie, teraz podobno jest na uniwersytecie... Patrz no, oto morze! Jeszcze mały kwadrans...

Przez jakiś czas jechali bukową aleją, ciągnącą się tuż nad morzem, które było błękitne, spokojne i rozświetnione. Przed nimi wynurzyła się okrągła, żółta latarnia morska, ujrzeli na chwilę zatokę i

groblę, czerwone dachy miasteczka i niewielki port pełen żagli i lin okrętowych. Później przejechali między pierwszymi domami, minęli kościół, wreszcie powóz potoczył się wzdłuż ulicy Nadrzecznej aż do ładnego małego domku, którego weranda obrośnięta była obficie dzikim winem.

Szef Schwarzkopf stał przed drzwiami; gdy powóz zbliżył się, zdjął marynarską czapkę. Był to barczysty, niewysoki człowiek o czerwonej twarzy, bladoniebieskich oczach i siwej brodzie, pokrywającej mu dół twarzy niby rozłożony wachlarz. Jego gładko wygolona górna warga była czerwona i mocno zarysowana, a ściągnięte na bok usta, w których trzymał fajkę, nadawały mu wyraz dobroci i godności. Spod rozpiętego surduta, obszytego złotym szamerowaniem, widać było białą pikową kamizelkę. Stał tak z szeroko rozstawionymi nogami i nieco wystającym brzuchem.

–Doprawdy, zaszczyt to dla mnie, panienko, że nie pogardza pani naszym dachem... – Zsadził Tonie ostrożnie z powozu. – Moje uszanowanie, panie Buddenbrook! Jakże zdrowie szanownego ojczulka? A pani konsulowa? Prawdziwie się cieszę!... Proszę państwa bliżej! Moja żona przygotowała tam jakąś przekąskę. – Jedźcie do oberżysty Pettersena – rzekł dialektem do woźnicy, wnoszącego kufer – koniom będzie tam dobrze... Pan przenocuje u nas, prawda, panie Buddenbrook? Dlaczegoż by nie? Konie muszą przecież wytchnąć, zresztą nie zdążyłby pan do miasta przed zapadnięciem ciemności...

–Wiecie państwo, ależ tu lepiej mieszkać niż w domu zdrojowym – rzekła Tonia, gdy po kwadransie zasiedli do kawy na werandzie. – Jakie wspaniałe powietrze! Aż tu dolatuje zapach morszczyń. Ogromnie się cieszę, że jestem znowu w Travemünde!

Między obrośniętymi zielenią

filarami werandy widać było

szeroką, błyszczącą w słońcu

rzekę wraz z łodziami i

pomostami, a po przeciwnej

stronie, na „Przywale”

wysuniętym półwyspie

Meklemburgii – dom przewoźnika. Szerokie filiżanki z niebieską obwódką wydawały się bardzo ciężkie w porównaniu z delikatną starą porcelaną, do jakiej przywykli w domu; ale ładnie nakryty stół, z bukietem polnych kwiatów przy miejscu Toni, wyglądał bardzo zachęcająco, podróż zaś zaostrzyła apetyty.

–Tak, panienska na pewno się tu poprawi – rzekła gospodyni. – Wygląda pani jakby trochę sfatygowana, jeśli wolno się tak wyrazić; to na pewno od miejskiego powietrza, no i licznych zabaw...

Pani Schwarzkopf, córka pastora ze Schlutup, wyglądała mniej więcej na pięćdziesiąt lat; była o głowę niższa od Toni i dość szczupła. Czarne jej włosy, uczesane gładko i starannie, okryte były

siatką. Miała na sobie ciemnobrązową suknię z białym kołnierzykiem i mankietami szydełkowej roboty. Była schludna, łagodna i uprzejma; gorąco polecała ciasto z rodzynkami własnego wypieku, leżące na stole w koszyczku wyobrażającym łódź i otoczonym naczyniami ze śmietanką, cukrem, masłem oraz plasterkami miodu. Brzeg tego koszyczka ozdobiony był perełkowym haftem, który wykonała mała Meta, grzeczna ośmioletnia dziewczynka, z jasnym, sztywno sterczącym warkoczykiem, siedząca obok matki i ubrana w szkocką sukienkę.

Pani Schwarzkopf przeproszała, że pokoik przeznaczony dla Toni, gdzie doprowadziła ona już do porządku swoje suknie, jest tak skromny...

–Ależ szalenie miły! – rzekła Tonia. – Wychodzi na morze, a to najważniejsze. – Maczała właśnie w kawie czwarty kawałek ciasta z rodzynkami. Tom rozmawiał ze starym o statku „Wullenwewer”, który właśnie reperowano.

Nagle wszedł na werandę młody człowiek, mniej więcej dwudziestoletni, z książką w ręce; zdjął szary, filcowy kapelusz i zaczerwieniony ukłonił się trochę niezręcznie.

–No, mój synu – powiedział szef – spóźniasz się... – Potem przedstawił: – To jest mój syn – wymienił jakieś imię, którego Tonia nie rozumiała. – Uczy się na doktora, spędza z nami wakacje.

–Bardzo mi przyjemnie – rzekła Tonia, tak jak ją uczono w domu. Tom wstał i podał mu rękę. Młody Schwarzkopf jeszcze raz się ukłonił, odłożył książkę i usiadł przy stole, czerwieniąc się znowu.

Był średniego wzrostu, dość szczupły i miał bardzo jasne włosy. Wąsy, które zaczynały mu się sypać, bezbarwne jak i krótko ostrzyżone włosy, okrywające jego wydłużoną głowę, były ledwie widoczne; miał też niezwykle jasną, jakby porcelanową cerę, która przy najmniejszej okazji różowiła się lekko. Niebieskie jego oczy, nieco ciemniejsze niż ojca, miały ten sam niezbyt ożywiony, dobroduszenie badawczy wyraz; rysy twarzy były regularne i dosyć przyjemne. Gdy zaczął jeść, ukazały się niezwykle kształtne, ciasno osadzone zęby, błyszczące jak polerowana kość słoniowa. Miał na sobie szarą zapiętą kurtkę z klapami przy kieszeniach, która na plecach była ściągnięta gumką.

–Tak, proszę mi wybaczyć spóźnienie – rzekł. Mówił powoli, a głos jego brzmiał nieco szorstko. – Czytałem trochę na wybrzeżu i nie dość wcześnie spojrzałem na zegarek.

–Tu umilkł i zaczął jeść, od czasu do czasu obrzucając Tonię i Toma badawczym spojrzeniem.

Potem, gdy gospodyni znów częstowała Tonię, powiedział:

–Do tego plastra miodu może pani mieć zaufanie, panno Buddenbrook... To czysty produkt natury... Przynajmniej wiadomo, co się je... Powinna pani dużo jeść! Tutejsze powietrze wyczerpuje, to przyspiesza przemianę materii. Jeśli pani nie będzie się dostatecznie odżywiała, schudnie pani... – Kiedy mówił, w naiwny i sympatyczny sposób pochylał się naprzód, nie patrząc przy tym na osobę, do której się zwracał.

Matka słuchała go z czułością, a następnie spojrzała na twarz Toni, aby się przekonać, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Stary Schwarzkopf powiedział jednak:

–Nie popisuj się, panie doktorze, twoją przemianą materii. Nie chcemy nic o niej wiedzieć – na co młody człowiek roześmiał się i czerwieniąc się znowu, spojrzął na talerz Toni.

Parę razy szef nazwał syna po imieniu. Tonia jednak nie mogła go w żaden sposób zrozumieć. Było to coś jakby „Moor” lub „Mort”... niemożliwe do rozpoznania w szerokiej, przechodzącej w dialekt wymowie starego.

Po skończonym posiłku, gdy Diederich Schwarzkopf w zupełnie rozpiętym, odsłaniającym białą kamizelkę surducie rozsiadł się wygodnie na słońcu mrużąc oczy, gdy obaj z synem zapalili swe krótkie, drewniane fajeczki, Tom zaś powrócił do papierosów, młodzi ludzie zaczęli wspominać dawne szkolne czasy, a Tonia brała żywy udział w ich rozmowie. Cytowali słowa pana Stengla:

„Miałeś narysować linię, a co robisz? Robisz kreskę!” Szkoda, że nie było Chrystiana, on naśladował go o wiele lepiej. W pewnej chwili Tom, wskazując na stojące przed nim kwiaty, zauważył:

–Pan Gr~unlich powiedziałyby: te kwiaty cudownie zdobią!

Tonia, zaczerwieniona z gniewu, uderzyła brata lekko i rzuciła nieśmiałe spojrzenie na młodego Schwarzkopfa.

Po podwieczorku długo siedzieli razem. Było już około wpół do siódmej i zmierzch zaczął zapadać, gdy szef podniósł się wreszcie.

–No, państwo wybaczą, mam jeszcze robotę... Jadamy o ósmej, jeśli łaska... Albo może dziś trochę później, co, Meto?... A ty – tu wymienił znów imię – nie kręć no się tutaj, idź i zajmij się twymi kośćmi... Panna Buddenbrook pewnie będzie rozpakowywać rzeczy... A może państwo zechcą iść na wybrzeże... Nie przeszkadzaj tutaj!

–Diederichu, Boże drogi, dlaczego nie mógłby tu sobie trochę posiedzieć – rzekła z łagodnym wyrzutem pani Schwarzkopf. – A jeśli państwo zechcą pójść na wybrzeże, dlaczego nie ma im towarzyszyć? Przecież jest na wakacjach, Diederichu!... Dlaczego nie ma korzystać z towarzystwa naszych gości?

Rozdział szósty

Następnego ranka Tonia

obudziła się w małym,

czyściutkim pokoiku, wśród mebli obitych jasnym, kwiecistym kretonem, pełna radosnego podniecenia, które zazwyczaj towarzyszy przebudzeniu w nowej sytuacji życiowej.

Usiadła i objawszy rękami kolana, z odrzuconą w tył głową, wpatrzona w wąskie, oślepiające smugi światła, przekradające się do pokoju przez szpary w okiennicach, z trudem wywoływała w pamięci wczorajsze przeżycia.

Zaledwie przelotnie pomyślała o panu Grunlichu. Daleko za sobą pozostawiła miasto wraz ze wspomnieniem okropnej sceny w pokoju pejzażowym, z namowami rodziny i pastora Kollinga. Tutaj każdego dnia będzie budziła się beztrosko... Ci Schwarzkopfowie to przemili ludzie. Wczoraj wieczorem pili pomarańczowy poncz na intencję przyjemnego pobytu Toni. Wszyscy byli bardzo weseli. Stary Schwarzkopf opowiadał o morzu, młody zaś o Getyndze, gdzie studiował... Jednak to dziwne, że dotąd nie wiedziała, jak mu na imię! Czekwała w napięciu, ale podczas kolacji nie wymieniono go już, nie wypadało też o to pytać. Myślała uporczywie: „Mój Boże, jakże on się nazywa? Moor? Mort?” Zresztą podobał jej się ów Moor czy Mort. Miał tak dobronny a zarazem przebiegły uśmiech, gdy prosząc o wodę nie użył wyrazu „woda”, lecz wymówił zamiast tego kilka liter i liczb, że aż się stary rozżłościł. No tak, ale była to naukowa formuła wody”. oczywiście nie tej wody, gdyż formuła płynu z Travemünde jest na pewno o wiele bardziej złożona. W każdej chwili można tam znaleźć meduzę... Wysokie władze mają swoje własne poglądy na słodką wodę... Tu znów dostał od ojca burę za niewłaściwe wyrażanie się o władzy. Pani Schwarzkopf ciągle szukała na twarzy Toni podziwu dla syna, a doprawdy mówił on bardzo zabawnie, wesoło i zarazem uczenie. Ten młody człowiek bardzo się nią zajmował. Skarżyła się, na przykład, że podczas jedzenia robi jej się gorąco, sądziła, że ma za dużo krwi. Cóż on odpowiedział? Popatrzył na nią i rzekł: – Tak, arterie na skroniach są nabrzmięte, ale to nie wyklucza możliwości, że w głowie jest za mało krwi, a może za mało czerwonych ciałek... Jest pani może troszeczkę anemiczna.

Z rzeźbionego ściennego zegara wyskoczyła kukułka i zakukała wiele razy głośno i głucho. Siedem, osiem, dziewięć – liczyła Tonia – wstawać! – Wyskoczyła z łóżka i pchnęła okiennice. Niebo było nieco zachmurzone, słońce jednak świeciło. Daleko poza latarnią morską ciągnęło się morze, z prawej strony zamknięte łukiem pustynnego meklemberskiego wybrzeża, całe w zielonawe i niebieskie smugi, zlewające się z mglistym horyzontem. „Później wezmę kąpiel – pomyślała Tonia – ale przede wszystkim muszę zjeść porządne śniadanie, żeby mnie przemiana materii nie wyczerpywała...” Szybko, z uśmiechem zadowolenia, zabrała się do mycia i ubierania.

Parę minut po wpół do dziesiątej opuściła swą sypialnię. Drzwi od pokoju, w którym nocował Tom, były otwarte; odjechał on raniutko. Nawet tu na górze, gdzie znajdowały się same sypialne pokoje, pachniało kawą. Zapach ten wydawał się charakterystyczny dla tego domku, wzmagął się zaś, w miarę jak Tonia schodziła po schodach opatrzonych prostą, drewnianą barierą i szła przez korytarz, do którego przylegał salonik, pokój stołowy i biuro szefa pilotów. Wypoczęta i w najlepszym humorze, weszła na werandę w swej białej pikowej sukience.

Pani Schwarzkopf siedziała wraz z synem przy stole, częściowo już uprzątniętym. Niebieski kuchenny fartuch w kratkę okrywał jej ciemnobrązową suknię. Stał przed nią koszyczek z kluczami.

–Przepraszam stokrotnie – rzekła wstając – że nie czekaliśmy, panno Buddenbrook! My, prości ludzie, wcześniej wstajemy. Tyle jest do roboty... Schwarzkopf już pracuje w biurze. Ale panienka nie gniewa się, prawda?

Tonia usprawiedliwiała się ze swej strony:

–Proszę nie myśleć, że zawsze śpię tak długo. Mam bardzo nieczyste sumienie. Ale ten wczorajszy poncz...

Młody człowiek roześmiał się. Stał trzymając w ręku swą krótką fajeczkę. Przed nim na stole leżała gazeta.

–Tak, to pana wina – rzekła Tonia – dzień dobry!... Wczoraj cały czas przepijał pan do mnie... Zasluguję doprawdy na zimną kawę. Powinnam być już po śniadaniu i po kąpieli...

–O, nie, to byłoby za

wcześnie dla młodej panny! O siódmej woda była jeszcze dość zimna, wie pani; jedenaście stopni... Trochę za chłodno po ciepłym łóżku.

–A skąd pan wie, że ja chcę się kąpać w letniej wodzie, monsieur?

Tonia usiadła przy stole.

–Pani odgrzała dla mnie kawę, pani Schwarzkopf!... Ale sama już sobie naleję, dzięki!

Gospodyni przyglądała się, jak jej gość zaczynał jeść śniadanie.

–Dobrze panienka spała pierwszej nocy? No tak, materac wypchany jest trawą morską... jesteśmy skromni ludzie. Życzę dobrego apetytu i przyjemnego przedpołudnia. Pewnie spotka panienka na wybrzeżu różnych znajomych. Jeżeli to pani sprawi przyjemność, mój syn odprowadzi panią. Przepraszam, że nie mogę dotrzymać towarzystwa, ale muszę dojrzeć kuchni. Mam smażoną kielbasę... Dajemy, na co nas stać.

–Pozostanę przy plastrze miodu – rzekła Tonia, gdy zostali sami. – Widzi pan, tu jednak wiadomo, co się je.

Młody Schwarzkopf wstał i odłożył fajkę na balustradę werandy.

–Ale niechże pan pali! Nie, to mi wcale nie przeszkadza. W domu, kiedy przychodzę rano na śniadanie, w pokoju czuć już dym z cygara ojczulka... Proszę pana – rzekła nagle – czy to prawda, że jedno jajko znaczy dla organizmu tyle, co ćwierć funta mięsa?

Strasznie się zaczerwienił.

–Czy chce pani sobie kpić ze mnie, panno Buddenbrook? – zapytał rozgniewany, a jednocześnie bliski śmiechu. – Dostało mi się jeszcze wczoraj od ojca za moją fachową gadaninę i, jak on to nazwał, przechwałki...

–Ależ ja spytałam zupełnie niewinnie! – Tonia przestała aż jeść z przejęcia. – Przechwałki! Jak można tak powiedzieć?... Chętnie dowiaduję się nowych rzeczy... O Boże, widzi pan, jestem zupełna gąska. U Teteni Weichbrodt należałam zawsze do największych leniuchów. A pan, zdaje się, wie tak dużo... – W duchu myślała: „Przechwałki”? Człowiek znajduje się w obcym towarzystwie, pragnie przedstawić się z najlepszej strony, dobiera słów, chce się podobać – to przecież jasne...”

–Tak, to jest mniej więcej to samo – rzekł mile połechtany. – Co się tyczy pewnych składników

odżywczych...

I podczas gdy Tonia jadła śniadanie, a młody Schwarzkopf palił fajkę, zaczęli mówić o Teteni Weichbrodt, o szkolnych czasach Toni, o jej przyjaciółkach, o Gerdzie Arnoldsen przebywającej znów w Amsterdamie, o Armgardzie von Schilling, której biały dom, zwłaszcza podczas pięknej pogody, widać było z wybrzeża...

Gdy skończyła jeść i wycierała usta serwetką, spytała wskazując gazetę:

–Jest tam co nowego?

Młody Schwarzkopf zaśmiał się i potrząsnął głową z drwiącym współczuciem:

–Ach, nie... Cóż by tu być mogło?... Wie pani, że te miejscowe gazety to żalosne pisemka!

–Czyżby? Ależ ojczulek i mama stale je prenumerują?

–No, tak! – powiedział i zaczerwienił się... – Ja również czytam je, jak pani widzi, jeśli właśnie nic lepszego nie ma pod ręką. Ale wiadomość, że na przykład hurtownik, konsul taki a taki, będzie obchodził srebrne wesele, nie jest doprawdy zbyt wstrząsająca... Tak – tak! Pani się śmieje... Powinna pani kiedyś przeczytać inne pismo, „Gazetę Królewiecką”... albo

„Gazetę Reńską”... tam znalazłaby pani coś innego! Cokolwiek by powiedział król pruski...

–Cóż on takiego mówi?

–Tak, nie, tego niestety nie można powtórzyć w obecności damy... – i znów się zaczerwienił. – Wyraził się o tej prasie dosyć niełaskawie – ciągnął z mocno ironicznym uśmiechem, który zabolął TONIĘ na chwilę. – Nie obchodzi się ona zbyt łagodnie z rządem, pojmuje pani, ze szlachtą, klechami i junkrami... umie bardzo zręcznie wodzić cenzurę za nos...

–No, a pan, czy też nie obchodzi się łagodnie ze szlachtą?

–Ja? – zapytał i zmieszał się.

Tonia wstała.

–Pomówimy o tym innym razem.

A może bym tak poszła na wybrzeże? Niech pan patrzy, wypogodziło się prawie zupełnie. Dziś już nie będzie deszczu. Miałabym wielką ochotę skoczyć do morza. Zechce mi pan towarzyszyć?...

Rozdział siódmy

Włożyła duży słomkowy kapelusz i otworzyła parasolkę, gdyż pomimo lekkiego wiatru morskiego było bardzo gorąco. Młody Schwarzkopf szedł obok niej w szarym filcowym kapeluszu, z książką w ręce, od czasu do czasu obserwując ją spod oka. Przeszli nabrzeżem i przechadzali się po parku

zdrojowym, którego zwirowe ścieżki i plantacje róż tonęły w ciszy i słońcu. Altana dla orkiestry wznosiła się na wprost domu zdrojowego, cukierni i dwu szwajcarskich domków, połączonych długim, krytym przejściem. Było około wpół do dwunastej; goście zdrojowi pozostawali jeszcze prawdopodobnie na wybrzeżu.

Przeszli plac przeznaczony dla dzieci, na którym znajdowały się ławki i huśtawka; minęli pawilon ciepłych kąpieli i przewędrowali wolno przez Leuchtenfeld. Słońce prażyło trawę wydobywając z niej ostry, gorący zapach ziół i koniczyny; niebieskie muchy z brzękiem kołowały w powietrzu. Jednostajny, przytłumiony szum płynął od morza, na którym od czasu do czasu rozbłyskiwały niewielkie grzywy pian.

–Co pan właściwie czyta? – spytała Tonia.

Młody człowiek ujął książkę obiema rękami i szybko przerzucił kartki.

–Ach, to nie dla pani, panno Buddenbrook! Ciągle tylko o krwi, wnętrznościach i różnych cierpieniach. Widzi pani, tu jest właśnie mowa o obrzęku płuc. Pęcherzyki płucne wypełnione są wówczas wodnistą cieczą... jest to objaw bardzo niebezpieczny, występujący przy zapaleniu płuc. W najgorszych wypadkach nie można oddychać i po prostu umiera się. A wszystko to potraktowane zupełnie chłodno, jakby z góry.

–Ach, fe! Ale skoro już się chce zostać doktorem... Postaram się, żeby pan został naszym domowym lekarzem, kiedy Grabow przestanie praktykować, zobaczy pan!

–Cha, cha!... A cóż pani takiego czyta, jeśli wolno spytać, panno Buddenbrook?

–Zna pan Hoffmanna? – spytała Tonia.

–Tego od „Kapelmistrza” i „Złotego garnka”! Tak, to bardzo ładne. Ale wie pani, to jest chyba odpowiedniejsze dla dam. Mężczyźni powinni dzisiaj czytać inne rzeczy.

–Teraz muszę pana o coś zapytać – rzekła po chwili Tonia, powziąwszy pewne postanowienie. – Mianowicie, jak panu właściwie na imię? Zupełnie nie mogłam zrozumieć. To mnie denerwuje! Zastanawiałam się nad tym.

–Pani się nad tym

zastanawiała?

–Ach, tak – ale proszę mi tego nie utrudniać! Może nie wypada pytać, a ja jestem oczywiście ciekawa. Jest mi to zresztą zupełnie niepotrzebne.

–Na imię mi Morten –

powiedział i zarumienił się mocniej niż zwykle.

–Morten? To ładnie!

–No! znów ładnie...

–Ale tak... ładniej, niż gdyby pan się nazywał Kunz albo Hans. Brzmi to oryginalnie, tak jakoś z cudzoziemska...

–Z pani jest romantyczka, panno Buddenbrook, za dużo czytała pani Hoffmanna... To zupełnie proste: dziadek mój był na poły Norwegiem i nazywał się Morten. Nazwano mnie po nim. Oto wszystko.

Tonia szła ostrożnie poprzez wysokie, ostre sitowie, porastające brzeg nagiego wybrzeża. Szereg drewnianych pawilonów o stożkowatych dachach nie przesłaniał stojących nad wodą koszów, otoczonych wygrzewającymi się na ciepłym piasku rodzinami: panie w niebieskich okularach czytały książki z wypożyczalni, panowie w jasnych ubraniach leniwie kreślili laskami figury na piasku, opalone dzieci w wielkich słomkowych kapeluszach kopały w piasku tunele, tarzały się, lepiły babki, bosymi nogami brodziły w płytkiej przybrzeżnej wodzie i puszczały okręciki na wodę... Na prawo, nad samym morzem wznosiły się drewniane łazienki.

–Idziemy prosto na pawilon Mollendorpfów – powiedziała Tonia. – Skręcmy trochę.

–Chętnie... ale pani zechce się zapewne przyłączyć do tych państwa... Ja sobie usiądę tam dalej, na kamieniach.

–Przyłączyć się... tak, tak, będę musiała się przywitać. Ale trzeba panu wiedzieć, że strasznie mi się nie chce. Przyjechałam tutaj, żeby mieć spokój...

–Spokój? Przed kim?

–No! Przed kim...

–Ja też muszę panią o coś zapytać... ale to później, przy okazji. Teraz pozwoli pani, że się pożegnám. Usiądę sobie tam dalej, na kamieniach...

–Czy nie powinna bym

przedstawić pana? – zapytała poważnie Tonia.

–Nie, ach nie... – rzekł spieszenie Morten – dziękuję bardzo. Nie nadaję się do tego. Usiądę sobie tam dalej, na kamieniach...

I podczas gdy Morten kierował

się na prawo w stronę wielkich

kamiennych bloków podmywanych

przez wodę, nie opodal łazienek

–Tonia poszła w kierunku liczniejszego towarzystwa, wygrzewającego się obok pawilonu

Möllendorpfów, prócz rodziny Möllendorpfów byli tam jeszcze Hagenströmowie, Kistenmakerowie oraz Fritschowie. Poza konsulem

Fritsche z Hamburga, właścicielem uzdrowiska, i Piotrem Dohlmannem, znanym suitierem, znajdowały się tam wyłącznie panie i dzieci, gdyż był to dzień powszedni i panowie byli przeważnie zajęci. Konsul Fritsche, starszy jegomość z gładko wygoloną, dystyngowaną twarzą, stojąc w otwartym pawilonie obserwował przez lunetę widoczny w oddali żaglowiec. Piotr Dohlmann, w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, z okrągło przystrzyżoną marynarską brodą, rozmawiał z paniami leżącymi na pledach na piasku lub siedzącymi na małych składanych krzeselkach: była tam pani senatorowa Möllendorpf, z domu Langhals, patrząca przez lorgnon – siwe jej włosy rozrzucone były w nieładzie, pani Hagenström z Julcią, która niewiele urosła, ale podobnie jak matka nosiła już brylanty w uszach; pani konsulowa Kistenmaker z córkami i konsulowa Fritsche, mała pomarszczona osoba w czepku, odgrywająca w badzie rolę gospodyni. Czerwona ze zmęczenia, myślała wciąż jedynie o reunionach, balach dziecięcych, fantowych loteriach i wycieczkach żaglowcem... W pewnej odległości siedziała jej lektorka. Dzieci bawiły się nad wodą.

„Kistenmaker i Syn” – była to dobrze prosperująca, młoda firma handlu win, która w ostatnich latach usunęła w cień firmę „C.F. Köppen”. Obaj synowie, Edward i Stefan, pracowali u ojca. Konsulowi Dohlmannowi obce były eleganckie maniery, właściwe Justusowi Krögerowi, był to sobie poczciwy suitier, odznaczający się dobrodusznym prostactwem, który wiele pozwalał sobie w towarzystwie, wiedział bowiem, że panie lubią jego głośnie, swobodne, nieco zuchwałe zachowanie, uważając go za oryginała. Gdy pewnego razu na proszonym obiedzie u Buddenbrooków czekano zbyt długo na następne danie, gospodyni była w kłopotcie, a nastrój beczynnie siedzących gości zaczynał się psuć, przywrócił wszystkim humor, rycząc w dialekcie na cały stół swym hałaśliwym głosem: – Ja jestem już gotów, pani konsulowo!

Tym samym donośnym, pospolitym głosem opowiadał on w tej chwili dwuznaczne anegdoty, zaprawiając je zwrotami przytaczanymi w dialekcie. Senatorowa Möllendorpf, osłabła ze śmiechu, wołała raz po raz:

–Panie konsulu, proszę przestać na chwilę. Boże drogi!

Hagenströmowie przyjęli Tonię Buddenbrook chłodno, reszta zaś towarzystwa bardzo serdecznie. Nawet konsul Fritsche zbiegł ze schodów pawilonu, skąd obserwował żaglowiec, pomyślał bowiem, że może przynajmniej na przyszły rok Buddenbrookowie przyczynią się do powiększenia liczby zdrojowych gości.

–Do usług pani! – powiedział konsul Dohlmann starając się mówić możliwie elegancko, gdyż wiedział, że panna Buddenbrook niezbyt lubi jego zachowanie.

–Panna Buddenbrook!

–Pani tu?

–Jak to ślicznie!

–Od kiedy to?

–Cóż za zachwycająca toaleta!

–Gdzie pani mieszka?

–U Schwarzkopfów?

–U tego starszego pilota?

–Jak to oryginalnie!

–To istotnie nader

oryginalne!

–Więc pani mieszka w mieście?

–powtórzył konsul Fritsche, właściciel domu zdrojowego, nie pokazując po sobie, że go to dotknęło.

–Odwiedzi pani nasz reunion?

–spytała jego żona...

–Jak to, tylko na krótko w Travemünde? – spytała inna dama.

–Czy nie znajduje droga pani, że Buddenbrookowie są nieco zbyt ekskluzywni? – zwróciła się po cichu pani Hagenström do senatorowej Mollendorpf.

–Nie kąpała się pani

dotychczas? – spytał ktoś inny.

–Która z pań jeszcze się dziś nie kąpała? Marysia, Julcia, Luizka? Przyjaciółki będą pani towarzyszyły, panno Antonino...

Kilka pań odłączyło się od towarzystwa, by wykąpać się razem z Tonia, a Piotr Dohlmann nie mógł sobie odmówić przyjemności odprowadzenia dam wzdłuż wybrzeża.

–Pamiętasz jeszcze, jak chodziłyśmy razem do szkoły? – spytała Tonia Julcię Hagenström.

–Tak! Pani zawsze starała się być złośliwa – odpowiedziała Julcia z pobłażliwym uśmiechem.

Przeszły przez mostek prowadzący do łazienek; gdy były niedaleko kamieni, na których siedział z książką Morten Schwarzkopf, Tonia szybkim ruchem skinęła mu kilkakrotnie głową.

Ktoś zapytał:

–Komu się kłaniasz, Toniu?

–Ach, to jest młody

Schwarzkopf – odrzekła – odprowadził mnie tutaj...

–Syn pilota? – spytała Julcia Hagenström spoglądając w stronę Mortena swymi czarnymi, błyszczącymi oczami. On ze swej strony przyglądał się z pewną melancholią eleganckiemu towarzystwu. Ale Tonia odezwała się głośno: – Jednego tylko żałuję: oto że nie ma tu na przykład Augusta Mollendorfa... Musi tu być bardzo nudno w dzień powszedni!

Rozdział ósmy

Dla Toni rozpoczęły się piękne dni letnie, weselsze i miłsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek spędziła w Travemünde. Zakwitła na nowo, nic już jej nie ciążyło, z jej słów i ruchów przebijała dawna śmiałość i beztroska. Konsul, który przyjeżdżał tam w niedzielę z Tomem i Chrystianem, patrzył na nią z radością. Obiadowano przy table d'hôte, pito kawę na werandzie cukierni, przy dźwiękach orkiestry zdrojowej, przyglądano się ruletce, gdzie tłoczyli się ludzie łaknący rozrywki, jak Justus Kröger i Piotr Dohlmann. Konsul nigdy nie grał.

Tonia wygrzewała się na słońcu, brała kąpiele, jadła smażoną kiełbasę w szarym sosie i odbywała z Mortenem dalekie przechadzki: to szosą do sąsiedniej miejscowości, to znów wzdłuż brzegu do wysoko położonej „Świątyni Morza”, skąd roztaczał się daleki widok na ląd i wodę, lub też do lasu za domem zdrojowym, w głębi którego wisiał dzwon wzywający do table d'hôte... Niekiedy wiosłowali po rzece Travie aż do „Przywala”, gdzie w piasku można było znaleźć kawałki bursztynu...

Morten, choć nieco zapalczywy i przekorny w swych przekonaniach, był zajmującym towarzyszem. Miał o wszystkim surowy i sprawiedliwy sąd, który wypowiadał z wielką stanowczością, czerwieniąc się jednak przy tym. Toni było przykro i łajała go, gdy oświadczał, że cała szlachta to idioci i nędznicy, była jednak niezmiernie dumna z tego, że otwarcie i z zaufaniem wypowiadał wobec niej poglądy, które przemilczał przed rodzicami.

Raz rzekł:

–Jeszcze jedno muszę pani powiedzieć! Mam tam u siebie w Getyndze szkielet. Wie pani, takiego kościotrupa spojonego drutami. Otóż ubrałem ten szkielet w stary mundur policjanta... cha! cha! Czy to nie świetne? Tylko, na miłość boską, niech pani nie opowiada tego memu ojcu!

Zdarzało się, że Tonia przechadzała się ze swymi znajomymi po wybrzeżu lub w parku albo że zaciągnięto ją na reunion lub na wycieczkę żaglowcem. Morten wtedy „siedział na kamieniach”. Te kamienie stały się dla nich od pierwszego dnia przenośnią. „Siedzieć na kamieniach” – znaczyło to: „być osamotnionym i nudzić się”. Gdy dzień był dżdżysty, a morze otuliło się szarą zasłoną i zlewało z ciemnym, głębokim niebem, gdy wybrzeże było rozmiękle, a drogi zalane, Tonia mówiła: – Dziś musimy oboje siedzieć na kamieniach... to jest w saloniku lub na werandzie. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko słuchać pana studenckich piosenek, choć mnie szalenie nudzą...

–Tak – odpowiadał Morten. – usiądźmy sobie... Ale wie pani, kiedy pani jest, to nie ma żadnych kamieni! – Zresztą w obecności ojca nigdy by tego nie powiedział, jedynie matka mogła to usłyszeć.

–No co? – pytał szef, gdy po skończonym obiedzie Tonia i Morten jednocześnie wstawali i zamierzali wyjść... – Dokąd to młodzi państwo?

–Ach, mam pannę Antoninę odprowadzić do „Świątyni Morza”.

–Tak, masz odprowadzić?

Powiedz no, mój synu, a nie byłoby lepiej, gdybyś tak poszedł do swego pokoju i powtórzył sobie system nerwowy? Zanim wrócisz do Getyngi, wszystko zapomnisz...

Ale pani Schwarzkopf mówiła łagodnie:

–Diederichu, Boże drogi, dlaczego nie miałby iść z panią? Pozwól mu iść! Przecież jest na wakacjach! Dlaczego nie ma korzystać z towarzystwa naszego gościa? – Więc szli.

Szli wzdłuż wybrzeża, tuż nad wodą, tam gdzie wilgotny piasek jest gładki i twardy, tak że chodzi się po nim bez trudu; gdzie leżą rozsypane małe, zwykłe, białe muszelki, a także inne, podłużne, duże, opalizujące, gdzieniegdzie zaś żółtozielona trawa morska o pustych w środku, okrągłych owocach, które, nadeptane, pękają z trzaskiem; i meduzy, zarówno zwykłe, bezbarwne, jak i czerwono_żółte, jadowite, które parzą, gdy się je nadeptnie w kąpieli...

–Powiedzieć panu, jaka byłam dawniej głupia? – rzekła Tonia.

–Zachciało mi się tych kolorowych gwiazdek z meduz. Znosiłam do domu całe masy meduz w chustce do nosa, rozkładałam je ładnie na balkonie, na słońcu, aby wyparowały... myślałam, że wtedy zostaną same gwiazdki! No tak... Potem, kiedy do nich zaglądałam, znajdowałam tylko dużą mokrą plamę, która pachniała trochę zgniłą trawą morską...

Szli wśród rytmicznego szumu rozlewających się szeroko fal, czując na twarzach świeży słony wiatr, który owiewał ich swobodnie, bez przeszkód, przenikał do uszu wywołując lekkie oszołomienie, miły zawrót głowy... Szli pogrążając się w rozległym, cicho szumiącym spokoju morza, w którym każdy szmer, bliski czy daleki, nabierał tajemniczego znaczenia.

Na lewo leżały urwiste rozpadliny zwirowisk; pełne żółtej gliny, jednostajne, ukazywały coraz to nowe występy zasłaniające zakręty wybrzeża. W miejscu, gdzie brzeg stał się kamienisty, wdrapali się pod górę, by iść dalej zaroślami aż do „Świątyni Morza”. Był to okrągły pawilon zbudowany z sękatych pni i desek, którego wewnątrz całe było pokryte napisami, inicjałami, sercami i wierszykami... Tonia i Morten usiedli na wąskiej ławeczce, w głębi małej przegródki zwróconej ku morzu i pachnącej świeżym drzewem.

Było tam bardzo cicho i uroczyście o tej popołudniowej godzinie. Nieliczne ptaki świergotały, a cichy poszum drzew łączył się z szumem morza przelewającego się w głębi pod ich stopami; w oddali widać było maszty jakiegoś okrętu. Osłonięci od wiatru, który przez całą drogę świszczwał w uszach, uczyli nagle ciszę budzącą zamyślenie.

–Czy on odpływa, czy

przy pływa? – dowiadywała się Tonia.

–Co? – zapytał Morten swoim powolnym głosem... i nagle, jak gdyby budząc się z głębokiego zamyślenia, rzekł prędko: – Odpływa! To jest „Burmistrz Steenbock”, płynie do Rosji. – Nie chciałbym na nim płynąć – dodał po chwili milczenia. – Tam w Rosji musi być jeszcze okropniej niż u nas!

–Aha – powiedziała Tonia. – Teraz znowu zacznie pan napadać na szlachtę. Poznają po twarzy pana. To brzydko. Czy znał pan kiedy kogo z nich?

–Nie! – zawołał niemal z oburzeniem. – Chwała Bogu!

–No więc, widzi pan? Ale ja znałam. Armgarda von Schilling, ta, o której już panu mówiłam. Była o wiele pocziwsza od nas obojga, ani myślała o tym, że jest „von”, jadła surową kielbasę i opowiadała o swoich krowach...

–Oczywiście są wyjątki, panno Tونیu! – rzekł z przejęciem. – Ale niech pani posłucha. Jest pani młodą panienką, na wszystko patrzy pani z osobistego punktu widzenia. Zna pani kogoś ze szlachty i mówi: „Ależ to dobry człowiek!” Zapewne... ale nie potrzeba znać żadnego, aby ich wszystkich potępić. Idzie o zasadę, pojmuje pani, o samą instytucję! Tak, na to nie ma pani odpowiedzi. Co? Takiemu wystarczy urodzić się, by od razu być wybranym, uprzywilejowanym... by móc z pogardą patrzeć na nas... na nas, których żadne zasługi nie postawią z nimi na równi! – Morten mówił z naiwnym i dobrodusznym oburzeniem, próbował gestykulować, zauważył jednak, że robi to niezgrabnie, i przestał. Ale mówił dalej. Był w nastroju. Siedział pochylony, z wielkim palcem wetkniętym między guziki kurtki i usiłował nadać swym pocziwym oczom przekorny wyraz...

–My, burżuazja, stan trzeci, jak nas dotąd nazywają, pragniemy, aby istniało jedynie szlachectwo zasługi, nie uznajemy już zgniłego szlachectwa, odrzucamy

dotychczasowe różnice stanowe... pragniemy, żeby wszyscy ludzie byli wolni i równi, żeby nikt nie był niczym poddanym, a wszyscy jednakowo podlegali prawu!... Nie będzie już przywilejów ani samowoli!... Wszyscy mają być równouprawnionymi obywatelami państwa i podobnie jak nie istnieje już pośrednictwo między człowiekiem a Bogiem, tak też bezpośredni powinien stać się stosunek obywatela do państwa... Chcemy wolności prasy, rzemiosł, handlu... Chcemy, żeby wszyscy ludzie mogli współzawodniczyć ze sobą, żeby nie było żadnych przywilejów i żeby zasługom udzielano należnej nagrody! Ale jesteśmy skuci, uciemienieni... Co to ja chciałem powiedzieć?

Ach tak, niech pani posłucha:

cztery lata temu wydano nowe przepisy dotyczące uniwersytetów i prasy – piękne przepisy! Nie wolno drukować ani nauczać żadnej prawdy, która nie zgadza się z istniejącym porządkiem rzeczy... Pojmuje pani? Prawda jest uciskana, nie może dojść do głosu. I dlaczego? Jedynie dla dobra

idiotycznego, przestarzałego, upadającego stanu, który, jak powszechnie wiadomo, i tak prędzej czy później przestanie istnieć... Zdaje się, że pani wcale nie rozumie, ile w tym tkwi grubiaństwa! Przemoc, głupia, ordynarna policyjna przemoc, najmniejszego zrozumienia dla spraw ducha, dla nowych czasów... A pomijając to wszystko, muszę powiedzieć jeszcze jedno. Król pruski popełnił wielką niesprawiedliwość! Wówczas w roku trzynastym, gdy Francuzi byli w kraju, zwołał nas i przyobiecał konstytucję. stawiliśmy się i oswobodziliśmy Niemcy...

Tonia, z brodą opartą na ręce, przyglądała mu się z boku poważnie, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście on sam mógł pomagać w wypędzeniu Napoleona.

–...i myśli pani, że

obietnica została spełniona? O nie! – Obecny król to krasomówca, marzyciel, romantyk, tak jak pani, panno Tonia...

Gdyż jedno trzeba pani wiedzieć:

z chwilą gdy filozofowie i poeci zwalczą już i odrzucą jakąś prawdę, pogląd, zasadę, wówczas zjawia się władca, który właśnie to przyjmuje, uważa za najnowsze i najlepsze i sądzi, że powinien według tego postępować... Tak, tak to jest z władzą królewską! Królowie są nie tylko ludźmi, są bardzo przeciętnymi ludźmi, a zawsze o dobrych parę mil zapóźnionymi... Ach, całe Niemcy wyglądają dziś tak jak ów student, członek korporacji, który podczas wojen wolnościowych był młodym, odważnym zapaleńcom, a w końcu został marnym filistrem...

–Dobrze – rzekła Tonia. – Wszystko dobrze. Ale proszę pana... chcę pana o coś zapytać... Co pana to właściwie obchodzi? Nie jest pan przecież Prusakiem...

–Ach, ale to wszystko jedno, panno Buddenbrook! Tak, mówię do pani po nazwisku, i to umyślnie... a powinienem bym jeszcze powiedzieć mademoiselle Buddenbrook, gdybym chciał oddać pani całą sprawiedliwość! Czyż u nas większa jest wolność i równość, większe braterstwo niż w Prusach? Przegrody, różnice, arystokracja – tak tu, jak i tam!... Pani ma sympatię dla szlachty... chce pani wiedzieć, dlaczego? Bo pani sama jest szlachcianką! Tak, ha, pani dotąd o tym nie wiedziała?... Ojciec pani to wielki pan, a pani sama jest księżniczką. Przepaść dzieli panią od tych, którzy nie należą do waszych przodujących rodzin. Może się zdarzyć, że dla rozrywki uda się pani z kimś z nas na przechadzkę nad morze, ale kiedy powróci pani znów do swego towarzystwa uprzywilejowanych i wybranych, to można będzie znowu iść na kamienie... – Głos jego zmienił się, brzmiało w nim dziwne wzruszenie.

–Panie Mortenie – powiedziała smutno Tonia. – Więc jednak gniewał się pan siedząc wówczas na kamieniach! A prosiłam, żeby pan poszedł ze mną, mówiłam, że pana przedstawię...

–O, znowu rozumuje pani jak młoda panienka, biorąc rzeczy zbyt osobiście, panno Tonia! Przecież ja mówię o zasadzie. Mówię, że u nas nie większe panuje braterstwo niż w Prusach.

A gdybym chciał mówić osobiście

–ciągnął po krótkim milczeniu cichszym już głosem, w którym wciąż jeszcze brzmiało szczególne wzruszenie – to nie miałbym na myśli teraźniejszości, lecz raczej może przyszłość... wtedy gdy, jako pani taka a taka, zniknie pani na dobre w eleganckim świecie, a... człowiek może tak przez całe życie siedzieć na kamieniach...

Umilkł, a Tonia też milczała. Nie patrzyła już na niego, tylko w przeciwną stronę, na drewnianą ścianę obok siebie.

Przytłaczające milczenie trwało dosyć długo.

–Przypomina pani sobie – rozpoczął znów Morten – jak mówiłem raz, że chciałbym zadać pani pewne pytanie? Tak, pytanie, które, proszę sobie wyobrazić, niepokoi mnie od pierwszego popołudnia, odkąd pani tylko przyjechała... Proszę nie zgadywać! Nie mogłaby się pani domyślić, o co mi idzie. Zapytam kiedy indziej, przy okazji; nie śpieszy mi się, w gruncie rzeczy nic mnie to też nie obchodzi, zwykła ciekawość... Nie, dziś zdradzę pani... coś innego... Proszę spojrzeć...

Tu Morten wyciągnął z kieszeni swojej kurtki koniec wąskiej, pstrej wstążki i patrzył w oczy Toni z wyrazem triumfu i oczekiwania.

–Jakie to ładne –

powiedziała, nie rozumiejąc. – Co to ma znaczyć?

Morten rzekł uroczyście:

–To znaczy, że ja należę w Getyndze do związku młodzieży uniwersyteckiej... teraz pani już wie! Mam też czapkę w tych samych barwach, ale na wakacje włożyłem ją na głowę szkieletowi w mundurze policyjnym... tutaj nie mógłbym się w niej pokazać, pojmuje pani... Czy mogę liczyć, że zachowa to pani w tajemnicy? Gdyby mój ojciec dowiedział się o tym, byłoby nieszczęście...

–Oczywiście, panie Mortenie!

Może pan liczyć na mnie! Ale ja właściwie nic nie wiem. Czy wszyscy jesteście sprzysiężeni przeciwko szlachcie? Czego wy chcecie?

–Chcemy wolności! – rzekł Morten.

–Wolności? – zapytała.

–No tak, wolności, pojmuje pani, wolności!... – powtórzył, niepewnym, niezgrabnym, a jednak pewnym zapału ruchem wskazując w dal, w dół ku morzu, nie w stronę zatoki zamkniętej meklemburskim wybrzeżem, lecz tam, gdzie otwarte, lekko sfałdowane wspaniałe morze coraz węższymi, zielonymi, niebieskimi, żółtymi i szarymi smugami zlewa się niedostrzegalnie z zamglonym horyzontem.

Tonia podążała wzrokiem za jego ręką; patrzyli razem w dal i niewiele brakowało, by połączyły się ich dłonie spoczywające jedna obok drugiej na drewnianej ławeczce. Długo milczeli, a morze

szumiało ciężko, spokojnie... i nagle wydało się Toni, że jednoczy się z Mortenem w wielkim, nieokreślonym, pełnym przeczuć i tęsknoty zrozumieniu tego, co oznacza słowo „wolność”.

Rozdział dziewiąty

–Jakie to dziwne, że nad morzem człowiek się nie nudzi, Mortenie. Czyż można by gdzie indziej leżeć tak beczynnie przez trzy godziny i o niczym nie myśleć...

–Tak, tak... Muszę zresztą przyznać, że przedtem nudziłem się nieraz, panno Toni, ale od kilku tygodni!...

Nadeszła jesień, powiał pierwszy ostry wiatr. Szare, cienkie, poszarpane chmury szybko mknęły po niebie. Ciemne, zmacone morze całe pokryte było pianą. Wielkie, potężne fale toczyły się z nieubłaganym, przerażającym spokojem, kłoniły się majestatycznie, zaokrąglone, ciemnozielone, połyskujące i z hukiem opadały na piasek.

Sezon się skończył. Część wybrzeża, zaludniona dotąd przez gości zdrojowych, zamarła prawie zupełnie. Widać było jeszcze kilka koszów. Ale Tonia i Morten leżeli po południu w innej stronie, o wiele dalej, tam gdzie rozpoczynały się gliniaste urwiska, gdzie fale uderzały z szumem o Skałę Mew. Morten usypał tam dla Toni wzgórek z piasku; ubrana w swój miękki, szary jesienny żakiet z dużymi guzikami, oparła się plecami o tę piaskową górę, a nogi, odziane w białe pończochy i trzewiki z krzyżującymi się na nich czarnymi wstążkami, założyła jedną na drugą. Morten, zwrócony do niej, leżał na boku z brodą opartą na dłoni. Od czasu do czasu słyhać było drapieźny okrzyk mewy przelatującej nad morzem. Patrzyli na zielone, poprzetykane trawą morską grzbiety fal, które przybliżały się groźnie i rozbijały się o skały z szalonym, wiecznym ogłuszającym hukiem, zabijającym poczucie czasu.

Morten uczynił ruch ręką, jakby sam siebie chciał obudzić, i zapytał:

–Zapewne wkrótce już pani pojedzie, panno Toni?

–Nie... jak to? – zapytała z roztargnieniem.

–Ach, wszak to już dziesiąty wrześnie... moje wakacje niebawem się kończą... wiecznie nie może to trwać! Cieszy się pani, że znajdzie się wkrótce w swym towarzystwie!... Są tam pewnie różni sympatyczni panowie, z którymi pani tańczy. Ach nie, nie o to chciałem pytać! Ale teraz musi mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie – mówił poruszając w nagłym postanowieniu brodą wspartą na ręce i patrząc na nią. – To jest właśnie to pytanie, z którym się tak długo ociągałem, pamięta pani? No więc! Kto to jest pan Gr~unlich?

Tonia przełękła się, szybko spojrzała na niego, po czym zaczęła błędzić wzrokiem gdzieś w dali, jakby usiłując sobie przypomnieć jakiś odległy sen. Odżyło w niej uczucie, którego zaznała, gdy pan Gr~unlich starał się o jej rękę: uczucie własnej ważności.

–To chce pan wiedzieć, Mortenie? – zapytała poważnie. – Więc powiem panu. Było mi co prawda bardzo przykro, że Tomasz wymienił to nazwisko pierwszego dnia; ale jeśli pan już je usłyszał... a

więc pan Gr~unlich, Benedykt Gr~unlich, jest to przyjaciel mego ojca, zamożny kupiec z Hamburga, który starał się o moją rękę; ale nie!

–dodała szybko, widząc poruszenie Mortena – odrzuciłam go, nie mogłam się zdecydować na powiedzenie mu „tak” na całe życie.

–A dlaczego... jeśli wolno zapytać?... – powiedział niezręcznie.

–Dlaczego? O Boże, dlatego, że go nie znosiłam! – zawołała z oburzeniem... – Gdyby go pan zobaczył, jak on wyglądał i jak się zachowywał. Miał, na przykład, złotożółte faworyty... zupełnie nienaturalne! Jestem pewna, że posypywał je proszkiem, jakim się złoci orzechy na choinkę. A poza tym był fałszywy. Kręcił się koło moich rodziców i schlebiał im bezwstydnie...

Morten przerwał jej.

–Ale co to znaczy... musi mi pani jeszcze to powiedzieć, co to znaczy: „To cudownie zdobi?”

Tonia zaczęła chichotać nerwowo.

–Ach, to on tak się wyraził, Mortenie! Nie powiedział „to ładnie wygląda” albo „to upiększa pokój”, tylko: „to cudownie zdobi”..., taki był głupi, zapewniam pana!... A przy tym natrętny w najwyższym stopniu; nie chciał się odczepić, choć go zawsze ironicznie traktowałam. Raz urządził mi straszną scenę, prawie płakał... niech pan sam powie: mężczyzna, który płacze...

–Musiał panią ubóstwiać – rzekł Morten cichym głosem.

–Ależ cóż to mnie obchodziło!

–zawołała zdziwiona, odwracając się.

–Jest pani okrutna, panno Toniu... czy zawsze okrutna? Proszę mi powiedzieć... Nie znosiła pani tego pana Gr~unlicha, ale czy była pani kiedy do kogoś przywiązana? Czasem myślę sobie: czy ona ma zimne serce? Jedno pragnę powiedzieć... a jest to taka prawda, że gotów jestem przysiąc: nie jest głupi mężczyzna, który płacze, że pani go nie chce znać... tak jest. Nie mam pewności, żadnej pewności, że ja również. Jest pani rozpieszczoną, wytworną istotą... Czy pani zawsze drwi sobie z ludzi, którzy leżą u jej nóg? Czy ma pani doprawdy zimne serce?

Po krótkiej chwili wesołości górna warga Toni zadrgała nagle. Utkwiła w nim swe duże, posmutniałe oczy, napełniające się powoli łzami, i rzekła cicho:

–Nie, Mortenie, czy pan doprawdy tak o mnie myśli?... Proszę tak o mnie nie myśleć.

–Ja też wcale tak nie myślę!

–zawołał Morten ze śmiechem, w którym czuło się wzruszenie i z trudem powstrzymaną radość... turlając się po piasku przysunął się bliżej i leżąc na brzuchu tuż obok niej, wsparty na łokciach, ujął obiema rękami jej dłoń i patrzył na nią z zapałem i zachwytem swymi pocziwymi stalowymi

oczyrna.

–I czy... czy nie będzie pani ze mnie drwiła, gdy powiem, że...

–Ja wiem, Mortenie –

przerwała mu cicho, nie patrząc na niego i powoli przesypując drugą ręką biały, miękki piasek.

–Pani wie!... A pani... panno Toniu...

–Tak, Mortenie. Mam o panu wysokie wyobrażenie. Bardzo pana lubię. Bardziej niż wszystkich innych, których znam.

Zerwał się, wykonywał rękami jakieś ruchy, nie wiedział, co ma robić. Padł znowu przy niej na ziemię i zacinając się, urywanym, załamującym się głosem, w którym już dźwięczała radość, zawołał:

–Ach, dziękuję, dziękuję!

Widzi pani, jestem taki szczęśliwy, jak nigdy w życiu!... – Potem zaczął całować jej rękę.

Nagle powiedział ciszej:

–Pani wkrótce wróci do miasta, a i moje wakacje kończą się za dwa tygodnie. Muszę wracać do Getyngi. Czy zechce mi pani obiecać, że nie przypomni tej godziny na wybrzeżu, dopóki nie powrócę... jako doktor... i będę w naszym imieniu błagał ojca pani, choćby to było nie wiem jak trudne? I że przez ten czas nie przyjmie pani żadnego pana Gr~unlicha?... Och, to nie potrwa długo, zobaczy pani! Będę pracował jak, to wcale nie będzie trudne...

–Tak, Mortenie – rzekła uszczęśliwiona i nieprzytomna, przenosząc wzrok z jego oczu na rękę obejmującą jej dłonie.

Jeszcze bardziej przyciągnął jej rękę do piersi i spytał stłumionym, błagalnym głosem:

–Czy nie mógłbym... czy nie chciałaby pani, potwierdzić...

Nie odpowiedziała, nie spojrzała nawet na niego, tylko przysunęła się trochę bliżej i Morten złożył na jej ustach długi solenny pocałunek. Potem, bardzo zawstydzeni, odwrócili się każde w inną stronę.

Rozdział dziesiąty

Najdroższa Panno Buddenbrook!

Od jak dawna już niżej podpisany nie oglądał twarzyczki najbardziej uroczego dziewczęcia? Kreśląc te nieliczne wiersze pragnie pani powiedzieć, że twarzyczkę ową wciąż widzi oczyma swej duszy i że przez długie i pełne tęsknoty tygodnie bez przerwy wspominał owo rozkoszne popołudnie w domu rodziców Pani, gdy z ust Jej wymknęła się co prawda połowiczna i pełna zawstydzienia, a jednak tak

uszcęśliwiająca obietnica. Od owego czasu minęły długie tygodnie, podczas których, odsunięta od świata, szukała Pani skupienia i zrozumienia siebie samej, mam nadzieję, że czas próby już się skończył. Wraz ze słowami najwyższego poważania niżej podpisany pozwala sobie przesłać niniejszy pierścionek jako zadatek dozgonnej czułości.

Łącząc najniższe ukłony i ucałowania rączek, kreślę się jako Wielmożnej Pani oddany sługa.

Gr~unlich

Kochany Ojczulku!

O Boże, jakżem się zgniewała! Przed chwilą otrzymałam załączony pierścionek i list od Gr. Ze zdenerwowania dostałam bólu głowy i myślę, że najlepiej uczynię odsyłając Tobie te rzeczy. Gr. nie chce mnie zrozumieć, a o tym, co on tak poetycznie nazywa „obietnicą”, nie ma po prostu mowy, i proszę Cię usilnie, byś mu dał do zrozumienia, że teraz jest jeszcze tysiąc razy mniej możliwe niż sześć tygodni temu, bym powiedziała mu „tak” na całe życie; niech mi już raz da spokój i niech się nie ośmiesza. Tobie, najlepszemu z ojców, mogę przecież powiedzieć, że jestem obecnie związana z człowiekiem, który mnie kocha i którego ja kocham tak, że nie można tego wcale wyrazić. O, Ojczulku!

Mogłabym zapisać wiele arkuszy –

mówię o panu Martenie

ŃSchwarzkopfie, ma on być

lekarzem, i jak tylko zostanie

doktorem, chce prosić o moją

rękę. Wiem wprawdzie, że jest u

nas w zwyczaju wychodzić za mąż

za kupca, ale wszak Morten

należy do równie poważnej klasy

ludzi, do uczonych. Nie jest on

bogaty, co dla Ciebie i Mamy

jest ważną rzeczą, ale – chociaż

jestem jeszcze tak młoda, drogi

Ojczulku, muszę Ci to powiedzieć

–życie wielu już nauczyło, że

samo bogactwo nie zawsze daje

szczęście. Przesyłając tysiąc

całusów, pozostaję Twoją

posłuszną córką

Antoniną

P.S. Pierścionek jest z marnego złota i, jak widzę, dosyć cienki.

Moja kochana Toniu!

List Twój wydał mi się słuszny. W związku z jego treścią donoszę Ci, że zgodnie z moim obowiązkiem nie omieszkalem zapoznać pana Gr. w odpowiedniej formie z Twymi zapatrywaniami, rezultat był jednak taki, że jestem tym głęboko wstrząśnięty. Jesteś dorosłą panienką i znajdujesz się w tak poważnej sytuacji, że nie chcę ukrywać przed Tobą, jakie skutki może za sobą pociągnąć nierozważny krok z Twojej strony. Pan Gr. wpadł bowiem w rozpacz i wołał, że zamierza odebrać sobie życie, gdyż tak bardzo Cię kocha, że nie mógłby przeżyć tej straty. Ponieważ zaś nie biorę na serio tego, co mi piszesz o Twej innej skłonności, proszę Cię, byś opanowała zdenerwowanie z powodu przesłanego pierścionka i jeszcze raz wszystko poważnie sobie rozważyła. Podług mego chrześcijańskiego przekonania, droga córko, szanowanie uczuć bliźniego należy do ludzkich obowiązków; nie wiemy, czy nie musiałybyś kiedyś przed Najwyższym Sędzią odpowiadać za to, że człowiek, którego uczucia odepchnęłaś zimno i wzgardliwie, targnął się grzesznie na własne życie. Rad też jestem, że mam okazję powtórzyć Ci listownie to, co już nieraz dawałem Ci ustnie do zrozumienia. Chociaż bowiem mowa oddziaływa żywiej i bardziej bezpośrednio, to jednak słowo pisane ma tę przewagę, że można je staranniej stosować i rozważyć, a pozostaje w tej samej, dobrze przez piszącego obmyślonej formie; może więc być po wiele razy odczytywane i silnie oddziaływać. – Nie dlatego przychodzimy na świat, moja córko, by dbać jedynie o to, co podług własnego, krótkowzrocznego sądu nazywamy szczęściem osobistym; nie jesteśmy oddzielnymi, niezależnymi, wyłącznie dla siebie żyjącymi istotami, lecz stanowimy niby ogniwa jednego łańcucha; nie istnielibyśmy, gdyby nie długi szereg tych, którzy nas poprzedzili i utorowali nam drogę postępując zgodnie z wypróbowaną i czcigodną tradycją, bez oglądania się na prawo i na lewo. Droga Twoja jest, jak mi się wydaje, od kilku tygodni jasno i wyraźnie wytknięta i musiałybyś chyba nie być moją córką, wnuczką spoczywającego w Bogu Twego Dziadka ani w ogóle członkiem naszej rodziny, gdybyś lekkomyślnie i z uporem istotnie zamierzała iść swymi własnymi niepewnymi drogami. Proszę Cię, droga moja Antonino, byś rozważyła to w swym sercu.

Twoja Matka, Tomasz,

Chrystian, Klara i Klotylda (która spędziła ostatnie tygodnie u swego ojca w Niełasce), a także panna Jungmann pozdrawiają Cię z całego serca; cieszymy się wszyscy, że wkrótce będziemy mogli Cię uściskać.

Twój kochający cię

ojciec

Rozdział jedenasty

Deszcz padał strumieniami. Niebo, ziemia i woda zlewały się razem, a wicher wraz z deszczem uderzał w szyby, z których spływały już nie krople, ale potoki. W piecach wyło żałośnie i rozpaczliwie...

Gdy Morten Schwarzkopf wyszedł po obiedzie z fajką na werandę, by zobaczyć, jak wygląda niebo, ujrzał przed sobą nieznanego pana w długim, wąskim, żółtym palcie w kratkę oraz w szarym kapeluszu; przed domem stała dorożka z podniesioną mokrą budą i z kołami opryskanymi błotem. Morten spojrzał zmieszany na różową twarz nieznanego. Miał on bokobrody jakby przysypane proszkiem, którym złoci się orzechy na choinkę.

Pan w palcie spojrzał na Mortena lekko mrużąc oczy, nie widząc go wcale, tak jak się patrzy na służącego, i zapytał miękko głosem:

–Czy można mówić z panem Schwarzkopffem, starszym pilotem?

–Oczywiście – powiedział Morten – zdaje się, że mój ojciec...

Teraz dopiero ów pan spojrzał na niego; oczy jego były niebieskie jak oczy gęsi.

–Czy pan Morten Schwarzkopf?

–zapytał.

–Tak, proszę pana – odrzekł Morten starając się nadać swej twarzy surowy wyraz.

–No, no, w rzeczy samej... – zauważył pan w palcie, po czym mówił dalej: – Proszę pana, młody człowieku, o łaskawe zameldowanie mnie pańskiemu ojcu. Nazwisko moje Gr~unlich.

Morten przeprowadził go przez werandę, w korytarzu otworzył przed nim drzwi na prawo, prowadzące do biura, i powrócił do salonu, by poprosić ojca. Gdy ten wyszedł z pokoju, młody człowiek usiadł przy okrągłym stole, oparł na nim łokcie i nie oglądając się na matkę, cerującą pończochy przy zmętniałym oknie, pozornie pograżył się w studiowaniu „nędznego pisemka”, jednego z tych, które umieją jedynie zawiadamiać o tym, iż konsul taki a taki obchodzi właśnie srebrne gody.

Szef wszedł do swego biura z miną człowieka zadowolonego po spożytym obiedzie. Miał rozpięty mundur i widać było białą kamizelkę. Biała broda marynarza odcinała się żywo od czerwonej twarzy. Język jego poruszał się swobodnie pomiędzy zębami, przy czym usta wykrzywiały się przezabawnie. Złożył krótki, szybki ukłon z takim wyrazem twarzy, jak gdyby chciał powiedzieć: „Tak się to robi!”

–Do usług pana – rzekł.

Pan Gr~unlich ze swej strony uklonił się poważnie, przy czym kąciki jego ust nieco się rozciągnęły. Jednocześnie wymówił: – H_e_e_m?

Biuro – był to niewielki pokój, którego ściany do pewnej wysokości wyłożone były drzewem, wyżej zaś otynkowane. Okno, w które bez przerwy bębnił deszcz, przesłaniały żółte od dymu firanki. Na prawo od drzwi stał długi, pokryty papierami stół, nad którym wisiała na ścianie duża mapa Europy i mniejsza – Morza Bałtyckiego. Ze środka sufitu zwieszał się ładnie zrobiony model okrętu z rozwiniętymi żaglami.

Starszy pilot wskazał gościowi miejsce na rzeźbionej sofie stojącej na wprost drzwi i okrytej czarną popękaną ceratą, sam zaś, złożwszy ręce na brzuchu, rozsiadł się wygodnie w drewnianym fotelu; pan Gr~unlich usiadł na brzeжку sofy, w szczelnie zapiętym palcie, z kapeluszem na kolanach, nie dotykając plecami oparcia.

–Nazwisko moje – odezwał się

–brzmi, jak powtarzam, Gr~unlich, Gr~unlich z Hamburga. Jako wyjaśnienie dodać mogę, że pozostaję w przyjacielskich stosunkach z konsulem Buddenbrookiem.

–~a la bonne heure!

(Świetnie! – franc.) To zaszczyt dla mnie, panie Gr~unlich! Niech pan będzie łaskaw rozgościć się! Może grogu po podróży. W tej chwili powiem w kuchni.

–Pozwolę sobie zauważyć – rzekł spokojnie pan Gr~unlich – że czas mój jest ograniczony, że powóz czeka na mnie i że muszę prosić pana jedynie o krótką rozmowę.

–Jestem do usług – powtórzył pan Schwarzkopf nieco onieśmielony. Nastąpiła pauza.

–Szanowny panie – zaczął pan

Gr~unlich potrząsając energicznie głową, przy czym odrzucił ją w tył. Następnie zamilkł na nowo, by wzmocnić wrażenie swego wstępu; zacisnął przy tym usta tak mocno, jak zaciska się sznurkiem woreczek z pieniędzmi.

–Szanowny panie – powtórzył dodając prędko: – Sprawa, w jakiej przyjeżdżam, dotyczy bezpośrednio młodej osoby, która od paru tygodni u państwa mieszka.

–Panna Buddenbrook? – zapytał pan Schwarzkopf.

–Tak jest – podjął

bezdźwięcznie pan Gr~unlich spuszczać głowę, około kącików jego ust zarysowały się głębokie fałdy.

–Jestem... zmuszony

oświadczyć panu – ciągnął dalej jakby lekko śpiewnym tonem, z niesłychaną uwagą przeskakując wzrokiem z jednego punktu pokoju na drugi, a następnie do okna – że od niedawna staram się o rękę owej panny Buddenbrook, że posiadam zupełną zgodę obojga rodziców oraz że sama panna niedwuznacznie skłania się ku temu, jakkolwiek formalne zaręczyny nie miały dotąd miejsca.

–Doprawdy? – zapytał żywo pan Schwarzkopf... – Nic o tym nie wiedziałem! Winszuję panie... Gr~unlich! Szczerze panu winszuję. Jest to bardzo dobra, bardzo szlachetna istota.

–Bardzo dziękuję – powiedział pan Gr~unlich zimno i z naciskiem. – Co mnie jednak – ciągnął dalej śpiewnym, podniesionym głosem – sprowadza do pana w tej sprawie, to okoliczność, że stają tu ostatnio na przeszkodzie pewne trudności, a trudności te... wyszły z tego domu? – Ostatnie zdanie wymówił pytająco, jak gdyby chciał powiedzieć: czy może być prawdą to, co doszło do moich uszu?

Pan Schwarzkopf odpowiedział jedynie w ten sposób, że podniósł wysoko siwe brwi, chwytając się jednocześnie poręczy fotela swymi ciemnymi rękami żeglarza, pokrytymi jasnym włosiem.

–Tak. W rzeczy samej. Tak słyszałem – powiedział pan

Gr~unlich ze smutną stanowczością. – Słyszałem, że syn pański, student medycyny... pozwolił sobie – co prawda o niczym nie wiedząc – wejść w moje prawa; słyszałem, że z obecności tej panienki skorzystał w ten sposób, iż wymógł na niej pewne obietnice...

–Co? – zawołał szef

wspierając się obu rękami na poręczach fotela i podnosząc się gwałtownie. – To ja zaraz. To my tu zaraz. – Dwoma krokami przyskoczywszy do drzwi otworzył je z trzaskiem i zawołał na cały korytarz głosem, który zagłuszyłby najsroższy huk fali:

–Meto! Mortenie! Chodźcie no tutaj! Chodźcie no tutaj oboje!

–Byłoby mi nader przykro – rzekł z uśmiechem pan Gr~unlich

–gdybym dochodząc moich starszych praw pokrzyżował rodzicielskie plany, panie szefie.

Diederich Schwarzkopf odwrócił się i spojrzał mu w twarz swymi bystrymi oczami, otoczonymi siatką drobnych zmarszczek, jak gdyby na próżno silił się pojąć jego słowa.

–Panie – wyrzekł głosem, który brzmiał, jakby przed chwilą łyk ostrego grogu przepalił mu gardło... – Prosty ze mnie człowiek, nie rozumiem się na obmowie ani finezjach, ale jeśli pan przypadkiem myśli, że... no! to pozwoli pan sobie powiedzieć, że jest na mylnej drodze i nie zna moich zasad! Wiem, kim jest mój syn, i wiem, kim jest panna Buddenbrook, i mam w sobie za wiele respektu, a i za wiele dumy, panie, by budować takie rodzicielskie plany! A teraz mówcie, odpowiadajcie! Cóż to jest właściwie? Co ja tu właśnie słyszę, co?...

Pani Schwarzkopf wraz z synem stanęli we drzwiach, pierwsza, nie domyślając się niczego, poprawiała sobie coś przy fartuchu, drugi miał minę zatwardziałego grzesznika... Pan Gr~unlich nie wstał z miejsca, gdy weszli; siedział dalej sztywno na brzeżku sofy w swym szczelnie zapiętym

palcie.

–A więc postąpiłeś jak głupi smarkacz? – zapytał pan Szwarzkopf Mortena.

Młody człowiek założył wielki palec między guziki swej kurtki, oczy mu spochmurniały, wydał nawet przekornie wargi.

–Tak, ojczy – rzekł – panna Buddenbrook i ja...

–Aha, tak, więc powiem ci, żeś dureń, błazen, głupiec! I że jutro odjeżdżasz do Getyngi, słyszysz? Jutro rano! I że to wszystko jest dziecinada, głupia dziecinada i skończone!

–Diederichu, Boże drogi – rzekła składając ręce pani Szwarzkopf – przecież nie można zaraz tak mówić! Kto wie...

Umilkła i widać było, że jakieś piękne nadzieje rozpadły się w gruzy przed jej oczyma.

–Czy życzy pan sobie pomówić z panną Buddenbrook? – szorstko zapytał szef pana Gr~unlichfa.

–Jest w swoim pokoju! Śpi! – wyjaśniła współczująco wzruszona pani Szwarzkopf.

–Żałuję – powiedział pan Gr~unlich odetchnąwszy i wstał.

–Powtarzam, że czas mój jest ograniczony, a powóz czeka na mnie. Pozwalam sobie – ciągnął dalej, opisując kapeluszem łuk z góry na dół – wyrazić panu, panie komandorze, moje zupełne zadowolenie z powodu męskiego i energicznego zachowania się pana. Żegnam. Mam zaszczyt. Adieu.

Diederich Szwarzkopf nie podał mu ręki; skłonił się jedynie, pochylając się krótkim, szybkim ruchem, jak gdyby mówiąc: „Tak się to robi!”

Pan Gr~unlich statecznym krokiem przeszedł między matką a synem do drzwi.

Rozdział dwunasty

Tomasz przyjechał kr~ogerowską karocą. Nadszedł jednak ów dzień. Młody człowiek zjawił się o dziesiątej rano i jadł wraz ze wszystkimi śniadanie. Siedziano przy stole, jak pierwszego dnia, tylko że lato już minęło, na werandzie byłoby za zimno i brakowało Mortena... Był już w Getyndze. Tonia ledwo mogła się z nim pożegnać. Szwarzkopf stał przy nich i mówił:

–No, skończone. Ha!

O jedenastej rodzeństwo wsiadło do powozu, do którego przymocowano z tyłu duży kufer Toni. Była blada i w swym miękkim jesiennym żakiecie drżała z zimna, zmęczenia, zdenerwowania, a także ze smutku, który budził się w niej chwilami, napełniając pierś dokuczliwym bólem. Ucałowała małą Metę, uściśnęła dłoń gospodyni, panu Szwarzkopfowi zaś skinęła głową, gdy powiedział: – Proszę o nas nie zapominać, panienczko. I żadnej urazy, prawda? Szczęśliwej podróży i piękne ukłony dla szanownego ojczulka oraz pani konsulowej. – Zatrzaśnięto drzwiczki, tęgie kasztany ruszyły, a

rodzina Schwarzkopfów powiewała chustkami...

Tonia wcisnęła głowę w kąt powozu i wyjrzała przez szybę. Poranne niebo pokryte było chmurami, a drobne fale na rzece mknęły naprzód pędzone wiatrem. Od czasu do czasu krople deszczu uderzały o szyby. Na skraju ulicy Nadrzecznej ludzie siedzieli na progach domostw, naprawiając sieci, podbiegały bose dzieciaki i ciekawie patrzyły na powóz. Oni pozostawali tutaj.

Gdy minęli ostatnie domy, Tonia wychyliła się, by spojrzeć jeszcze raz na latarnię morską; potem znów oparła się przymykając zmęczone i trochę bolące oczy. Prawie całą noc nie spała, wstała wcześniej, by doprowadzić do porządku swoje rzeczy, śniadania nie mogła jeść. W wyschniętych ustach czuła mdły smak. Była tak złamana, że nie starała się nawet powstrzymać łez, które wciąż napływały jej do oczu.

Zaledwie przymknęła powieki, ujrzała się znowu na werandzie w Travemünde. Zobaczyła obok siebie Mortena Schwarzkopfa, który stał przed nią jak żywy, pochylony w właściwy sobie sposób, mówił do niej, a od czasu do czasu patrzył na kogoś innego swym pocziwym, badawczym wzrokiem, gdy się śmiał, widać było piękne jego zęby, z których jednak wcale nie był dumny. Czuła przy tym taki spokój i radość! Wywoływała w pamięci wszystko, czego dowiedziała się od niego w licznych rozmowach, i poczucie, że zachowa to w sobie jako coś świętego i nienaruszalnego, napępiała ją szczęściem. Wiadomość, że król pruski popełnił wielką niesprawiedliwość, że gazety miejscowe są to nędzne pisemka, a nawet że prawa dotyczące związków uniwersyteckich zostały wydane na nowo cztery lata temu, wszystko to stało się odtąd dla niej czcigodną prawdą, wewnętrznym skarbem, który będzie mogła oglądać, kiedy tylko będzie chciała. Będzie o tym myślała na ulicy, w rodzinnym gronie, przy jedzeniu... Kto wie? Może nawet pójdzie wytkniętą drogą, poślubi pana Grunlicha, było to zupełnie obojętne; ale gdy on będzie do niej mówił, wówczas pomyśli sobie: „A ja wiem coś, czego ty nie wiesz: – Szlachta jest, zasadniczo biorąc, godna pogardy!”

Uśmiechnęła się z zadowoleniem... ale nagle pośród odgłosu toczących się kół usłyszała nieprawdopodobnie żywo i wyraźnie głos Mortena; odróżniała każdy dźwięk tej dobrotliwej, powolnej, nieco szorstko brzmiącej mowy, najdokładniej usłyszała głos jego mówiący: „Dzisiaj musimy oboje siedzieć na kamieniach, panno Toniu...” i to drobne wspomnienie zmoгло ją. Opanowana cierpieniem i bólem, dała upust łzom. Wcisnęła w kąt, trzymając chustkę obiema rękami, zasłaniała twarz płacząc gorzko.

Tomasz, z papierosem w ustach, patrzył bezradnie na szosę.

–Biedna Toniu! – powiedział wreszcie gładząc jej zakiet. – Żal mi cię... widzisz, ja cię dobrze rozumiem! Ale cóż robić? Trzeba przejść przez takie rzeczy. Wierzaj mi, ja też to znam.

–Ach, ty nic nie znasz, Tom!

–łkała Tonia.

–Nie mów tak. Teraz, na przykład, jest postanowione, że w początkach przyszłego roku wyjeżdżam do Amsterdamu. Ojczulek wystarał się dla mnie o posadę u „Van Kellena Ski”. Będę musiał pożegnać się na długi, długi czas.

–Ach, Tom! Pożegnanie z rodzicami i rodzeństwem! To nic nie jest!

–Tak... – rzekł przeciągle.

Odetchnął, jak gdyby chciał jeszcze coś powiedzieć, po czym zamilkł. Przesunął papierosa w drugi kąt ust i podnosząc do góry brew odwrócił głowę. – A zresztą, to nie trwa długo – dodał po chwili. – Tak bywa. Przychodzi zapomnienie...

–Ależ ja nie chcę zapomnieć!

–zawołała Tonia z rozpaczą. – Zapomnieć... czy to jest pociecha?!

Rozdział trzynasty

Potem nadpłynął prom, przejechali przez Israelsdorfer Alkę, Jerusalemsberg oraz Burgfeld. Powóz minął bramę miasta, mając po prawej stronie mury więzienia, potoczył się po Burgstrasse i przez Kober... Tonia spoglądała na szare, spiczaste domy, na zawieszane nad ulicą olejne lampy, schronisko Świętego Ducha, otoczone nagimi już lipami. Mój Boże, wszystko to wyglądało tak jak dawniej! Wszystko stało tu jak dawniej, niezmiennie, czcigodne, podczas gdy ona wspominała to już jak zapomniany, odległy sen! Te szare szczyty domów, stare, znane, przekazane przez dawne wieki, wchłaniała teraz na nowo, aby wśród nich zacząć na nowo żyć. Nie płakała już, lecz rozglądała się z zaciekawieniem. Widok tych dawno znanych ulic, dawno znanych twarzy zagłuszył niemal zupełnie ból rozstania. W tej właśnie chwili, gdy powóz turkotał po Breitenstrasse, przechodził stary tragarz Matthiesen i uklonił się, zdejmując włochaty cylinder, z tak zajadłym poczuciem obowiązku malującym się na twarzy, jak gdyby myślał: Byłbym łajdakiem!...

Ekwipaż skręcił na

Mengstrasse, kasztanki parskając i uderzając kopytami stanęły przed domem Buddenbrooków. Tom pomógł siostrze wysiąść z powozu, podczas gdy Antoni i Lina pośpieszyli zdjąć kufer. Musiano jednak poczekać przed wejściem do domu. Trzy wielkie wozy transportowe wjeżdżały właśnie jeden za drugim w bramę, piętrzyły się na nich pełne worki, na których można było wyczytać wyciśniętą czarnymi literami firmę „Jan Buddenbrook”. Z ciężkim dudnieniem przejechały przez wielką sień i płaskie stopnie na podwórze. Część zboża miała być zapewne wyładowana na drugim podwórze, reszta zaś wędrowała prawdopodobnie do „Lwa” lub „Dębu”...

Gdy rodzeństwo weszło do sieni, z kantoru wyszedł konsul z piórem za uchem i wyciągnął ręce do córki.

–Witam cię, moja droga Toniu!

Pocałowała go i spojrzała na niego oczami jeszcze trochę zapłakanymi, w których widać było coś jakby zawstydenie. Nie był jednak zagniewany, nie wspomniał ani jednym słowem o tym, co było, rzekł tylko: – Już późno, ale czekaliśmy z drugim śniadaniem...

Konsulowa, Chrystian,

Klotylda, Klara i Ida Jungmann wyszli na powitanie na schody i czekali na nią...

Mocno i dobrze spała Tonia pierwszej nocy na Mengstrasse, następnego zaś ranka, dwudziestego drugiego września, zeszła na śniadanie wypoczęta i spokojna. Było bardzo wcześnie, zaledwie wybiła siódma. Obecna była tylko panna Jungmann, która przygotowywała poranną kawę.

–Ho, ho, Toniuchna, córuchno

–rzekła rozglądając się swymi małymi, zaspanymi, ciemnymi oczami – już... tak wcześnie? – Tonia usiadła przed sekretarą, której wieko było podniesione, i założywszy ręce z tyłu głowy spoglądała przez chwilę na błyszczący, wilgotny bruk podwórza i poźółkły ogród. Potem zaczęła ciekawie przerzucać karty wizytowe i listy leżące na sekretarce...

Tuż obok kałamarza spoczywał dobrze jej znany zeszyt w wytłaczanej złoconej okładce, pełen różnorodnych papierów. Prawdopodobnie był on w użyciu jeszcze wczorajszego wieczora, dziwne jednak, że ojczulek nie schował go, jak zazwyczaj, do skórzanej teczki i nie zamknął w szufladzie.

Wzięła zeszyt, zaczęła przerzucać kartki, spróbowała czytać, wreszcie zupełnie się w nim zagłębiła. Były to po większej części proste, dobrze jej znane sprawy, ale każdy z piszących przejął od swych poprzedników pewien naturalny i zarazem uroczysty sposób opowiadania, jak gdyby instynktownie i nieświadomie zaznaczony styl kroniki, z którego przemawiał dyskretny i tym dostojniejszy szacunek rodziny dla samej siebie, dla tradycji i historii. Nie było to nowe dla Toni; nieraz już miała okazję zapoznać się z tymi kartami. Nigdy jednak treść ich nie wywarła na niej takiego wrażenia jak owego rana. Pełna doniosłości powaga, z jaką podane były tutaj najskromniejsze bodaj fakty należące do dziejów rodziny, uderzyła jej do głowy... Oparła się na łokciach i czytała z coraz większym skupieniem, dumą i przejęciem.

Nie brakowało też tu ani jednego momentu z jej własnej, krótkiej przeszłości. Urodzenie, przebyte choroby dziecięce, pierwsze pójście do szkoły, wstąpienie na pensję panny Weichbrodt, confirmacja... Wszystko to zapisane było starannie drobnym, biegłym kupieckim pismem konsula z niemal religijnym kultem dla faktów: nie byłże bowiem nawet najdrobniejszy z nich objawem i dziełem woli boskiej, kierującej tak cudownie losami rodziny? Cóż będzie tu w przyszłości zapisane pod jej własnym, odziedziczonym po babce imieniem? A wszystko odczytają kiedyś późniejsi członkowie rodziny z takim samym pietyzmem, z jakim ona zagłębia się teraz w opisach dawnych wydarzeń.

Odetchnąwszy głęboko, oparła się o poręcz krzesła, a serce jej biło powoli i mocno. Napęłniał ją szacunek wobec samej siebie, a poczucie własnej ważności, które znała tak dobrze, wzmocnione jeszcze doznanymi wrażeniami, przejęło ją dreszczem. „Jak ogniwa jednego łańcucha” – napisał ojciec... Tak, tak! właśnie jako część owego łańcucha nabierała ona tego wysokiego i pełnego odpowiedzialności znaczenia – powołana do tego, by czynem i postanowieniem współdziałać w historii rodziny!

Przejrzała zeszyt aż do samego początku, gdzie na szorstkim arkuszu in folio streszczona była ręką konsula cała genealogia Buddenbrooków, zaopatrzona w klamry, rubryki oraz przejrzyste daty – od wstąpienia w związek małżeński założyciela rodu z córką kaznodziei, Brigidą Schuren, aż do ślubu

konsula Jana Buddenbrooka z Elżbietą Kröger w roku 1825. Z tego małżeństwa, jak było podane, urodziło się czworo dzieci... Po czym następowały chrzestne imiona wraz z datami urodzenia; pod imieniem najstarszego syna zaznaczone było, że na Wielkanoc roku 1842 wstąpił do interesu jako praktykant.

Tonia spoglądała przez pewien czas na swoje imię oraz na puste miejsce pod nim. A potem nagle, szybkim ruchem, z nerwowym, pełnym gorliwości wyrazem twarzy, przełknawszy ślinę i poruszywszy kilkakrotnie wargami, uchwyciła pióro i nie zanurzając go, lecz raczej ciskając do kałamarza, kurcząc wskazujący palec i przechylając na bok rozpaloną głowę, napisała swym niezbyt spokojnym, ukośnym pismem: „...22 września 1845 roku zaręczyła się z panem Benedyktem Grunlichem, kupcem z Hamburga”.

Rozdział czternasty

–Najzupełniej podzielam pańskie zdanie, drogi przyjacielu. Jest to poważna sprawa i powinna być załatwiona. Krótko i węzłowato: zgodnie z tradycją, posag młodej panienki w naszej rodzinie wynosi siedemdziesiąt tysięcy marek.

Pan Grunlich zwrócił na przyszłego teścia krótkie, badawcze spojrzenie kupca.

–W rzeczy samej... – wymówił, a to „w rzeczy samej” było równie długie jak jeden z jego złotych faworytów, który w zamyśleniu przesuwiał między palcami... Wreszcie puścił go, skończywszy jednocześnie swoje „w rzeczy samej”.

–Szanowny ojciec zna

oczywiście głęboki szacunek, jaki żywię dla tradycji i zasad! Ale... czy w danym wypadku piękny ten wzgląd nie graniczyłby poniekąd z przesadą? Interesy się rozszerzają, rodzina rozkwita, jednym słowem, warunki zmieniają się, polepszają.

–Drogi przyjacielu – rzekł konsul. – Nie jestem człowiekiem drobiazgowym! Mój Boże... nie dał mi pan skończyć, inaczej wiedziałby pan, że mam zamiar i ochotę postąpić odpowiednio do warunków, że mianowicie do owych siedemdziesięciu tysięcy dodaję dziesięć tysięcy.

–A więc osiemdziesiąt

tysięcy... – powiedział pan Grunlich, po czym poruszył ustami, jak gdyby chciał dodać: nie jest to zbyt wiele, ale wystarczy.

Zgoda została osiągnięta w jak najbardziej przyjazny sposób; wstając z krzesła konsul z zadowoleniem zadzwonił dużym pękiem kluczy, który nosił w kieszeni spodni. Dopiero dając osiemdziesiąt tysięcy osiągnął „tradycyjną wysokość” posagu.

Załatwiwszy tę sprawę pan Grunlich pożegnał się i wyjechał do Hamburga. Tonia nie bardzo odczuwała zmianę położenia. Nikt jej nie przeszkadzał tańczyć u Mollendorpfów, Langhalsów, Kistenmakerów i we własnym domu, ślizgać się na Burgfeld i na nadrzecznych łąkach ani też przyjmować hołdów młodzieży... W połowie października została zaproszona do Mollendorpfów

na przyjęcie z okazji zaręczyn ich najstarszego syna z Julcją Hagenstr~om. – Tom! – powiedziała. – Ja tam nie pójdę. To jest oburzające!

Poszła jednak i świetnie się bawiła.

Poza tym wskutek kilku pociągnięć pióra, którymi wzbogaciła historię rodziny, zyskała pozwolenie na czynienie samej lub wraz z konsulową znacznych zakupów w największych sklepach oraz zajęcia się swoją wytworną wyprawą.

W pokoju przeznaczonym do śniadań po całych dniach wysiadywały pod oknem dwie szwaczki i obrębiały, haftowały, znaczyły oraz pochłaniały wielkie ilości chleba z ziołowym serem.

–Mamo, czy przyniesiono płótno od Lentfbhra?

–Nie, moje dziecko, ale są tu dwa tuziny serwetek do herbaty.

–Masz tobie... A przyrzekł odesłać najdalej dziś po południu. Ach, Boże, ściereczki muszą być obrębione!

–Panna Bitterich pyta o koronki do powłoczek, Ido.

–W bieliźniarce, w sieni na prawo, Toniuchno, córuchno.

–Lino!

–Mogłabyś też raz sama poskoczyć, kochanie...

–Ach Boże, czyż po to

wychodzę za mąż, by samej biegać po schodach...

–Czy pomyślałaś już o ślubnej sukni, Toniu?

–Moire antique (rodzaj mory – franc.), mamó. Bez moire antique nie wezmę ślubu!

Tak przeszedł październik i listopad. Na Boże Narodzenie przyjechał pan Gr~unlich, by spędzić wieczór wigilijny w gronie Buddenbrookowskiej rodziny; nie ominęło go też zaproszenie do starych Kr~ogerów. Zachowanie jego względem narzeczonej było pełne delikatności, czego można się było po nim spodziewać. Żadnego uroczystego nastroju! Żadnych uchybień towarzyskich! Żadnych nietaktownych czułości! Lekki dyskretny pocałunek w czoło w obecności rodziców przypieczętował zaręczyny... Czasem dziwiło nieco Tonię, że obecne jego szczęście jak gdyby niezupełnie odpowiadało rozpacz, jaką okazał w dniu jej odmowy. Patrzył teraz na nią z wesołą miną władcy. Oczywiście od czasu do czasu, gdy znaleźli się sami, wpadał w żartobliwy, swawolny nastrój, próbował przyciągnąć ją na kolana, zbliżał swe faworyty do jej twarzy i pytał drżącym z wesołości głosem: – A widzisz, że cię złapałem? A widzisz, że cię zdobyłem?... – Na co Tonia odpowiadała: – Ach Boże, pan się zapomina!... – i zrećcznie uwalniała się z jego rąk.

Zaraz po Bożym Narodzeniu pan Gr~unlich wyjechał do Hamburga, gdyż ożywione interesy wymagały ciągłej jego obecności, Buddenbrookowie zaś przyznawali mu w milczeniu, że Tonia miała przed zaręczynami dosyć czasu, by go poznać.

Sprawa mieszkania została załatwiona listownie. Tonia, którą niezmiernie cieszyła perspektywa życia w dużym mieście, oświadczyła, że pragnie zamieszkać w centrum, gdzie też na Spitalerstrasse mieściły się biura pana Gr~unlicha.

Narzeczony jednak dzięki swej męskiej stałości osiągnął wreszcie pozwolenie na kupno willi za miastem, obok Eimsb~uttel... Willa ta leżała w romantycznym odosobnieniu, nadzwyczaj odpowiednim na gniazdo dla młodej pary – procul negotiis (z dala od zajęć – łac.) – nie, nie zapomniał jeszcze zupełnie łaciny!

Przeszedł grudzień, a w początkach czterdziestego szóstego roku odbył się ślub. Przedtem jednak urządzony został wspaniały dziewiczy wieczór, na który zaproszono pół miasta.

Przyjaciółki Toni – między

innymi także Armgarda von

Schilling, która zjechała do

miasta w karocy wysokiej jak

wieża – tańczyły w sali jadalnej

i na korytarzu, posypanym w tym

celu talkiem, z przyjaciółmi

Toma i Chrystiana, między innymi

z Andrzejem Gieseke, studiosus

juris (student prawa – łac.),

synem naczelnika straży

ogniowej, jak również ze

Stefanem i Edwardem

Kistenmakerami z firmy

„Kistenmaker i Syn”...

Tłuczeniem garnków na wivat zajął się przede wszystkim konsul Piotr D~ohlmann, który rozbił o

kamienne płyty sieni wszystkie garnki gliniane, jakie tylko mógł zdobyć.

Pani Stuh z

Glockengiesserstrasse miała znów okazję znaleźć się w najlepszej sferze, pomagała bowiem w dniu ślubu pannie Jungmann i krawcowej upinać toaletę Toni. Niech ją Bóg skarże, jeśli kiedykolwiek widziała piękniejszą pannę młodą, pomimo swej tuszy klęczała i podnosząc z podziwu oczy, przyszywała gałązki mirtowe do białej moire antique. Działo się to w pokoju śniadaniowym. Przed drzwiami czekał pan Gr~unlich w długopołym fraku i jedwabnej kamizelce. Wyraz jego twarzy był poprawny i pełen powagi, brodawka przy lewym nozdrzu była lekko przypudrowana, a złotożółte faworyty starannie uczesane.

W sali kolumnowej – gdyż tam

właśnie miał się odbyć ślub –

zebrała się rodzina w całej swej

okazałości! Siedzieli tam starzy

Kr~ogerowie, oboje już nieco

zgrzybiali, ale jak zwykle

najbardziej dystyngowani. Byli

konsulostwo Kr~ogerowie z

synami, J~urgenem i Jakubem; ten

ostatni, jak również

Duchampsowie, przybył z

Hamburga. Był tam Gotthold

Buddenbrook z żoną z domu

St~uwing, z Fryderyką, Henryką i

Fifi, z których niestety ani

jedna nie wyszła za mąż... Była

tam linia mekleburska,

reprezentowana przez ojca

Klotyldy, pana Bernarda

Buddenbrooka, który przybył z

Niełaski i szeroko otwartymi

oczami przyglądał się

niesłychanej wspaniałości domu

bogatego krewnego. Z Frankfurtu

przysłano tylko podarunki, gdyż

podróż była jednak zbyt

uciążliwa... Jako jedyni goście,

nie należący do rodziny, byli

tam obecni doktor Grabow, domowy

lekarz, i mademoiselle

Weichbrodt, opiekuńcza

przyjaciółka Toni – Tetenia Weichbrodt z zupełnie nowymi zielonymi wstążkami u czepka i w czarnej sukience. – Bądź szczęśliwa, drogie dziecko! – rzekła, gdy Tonia, wsparta na ramieniu pana Gr~unlicha, ukazała się w sali kolumnowej, uniosła się na palcach i pocałowała ją w czoło. – Rodzina była zadowolona z panny młodej! Tonia wyglądała ładnie, swobodnie i wesoło, choć była nieco blada z ciekawości i zdenerwowana przed podróżą.

Sala przybrana była kwiatami, a po prawej stronie ustawiono ołtarz: ślub dawał pastor K~olling z kościoła Panny Marii, który w mocnych słowach nawoływał do umiarkowania. Wszystko odbyło się w porządku i zgodnie z tradycją. Tonia naiwnie i dobroduszenie wymówiła „tak”, podczas gdy pan Gr~unlich odchrząknął przedtem: „h_e_m!” Potem była nadzwyczaj smaczna i obfita kolacja.

...Podczas gdy goście z pastorem K~ollingiem na czele zajadali w najlepsze, konsul wraz z małżonką odprowadzał młodą parę, która tymczasem zakończyła przygotowania do podróży. Powietrze było śnieżne i mgliste. Przed bramą stała wielka karetka podróżna, naładowana kuframi i torbami.

Tonia, wyraziwszy kilkakrotnie przekonanie, że wkrótce przyjedzie z wizytą do domu oraz że rodzice nie będą zwlekali z odwiedzinami w Hamburgu, wesoło wsiadła do karety; konsulowa otulała ją starannie futrzaną derką. Małżonek zajął miejsce obok niej.

–A, prawda!... Te nowe koronki – rzekł konsul do zięcia – leżą w mniejszej torebce na górze. Przed Hamburgiem schowasz je na pewien czas pod palto, prawda? Z tą akcyzą, trzeba tego jakoś uniknąć.

Bądźcie zdrowi! Jeszcze raz, bądź zdrowa, moja droga Toniu. Niech cię Bóg prowadzi!

–Dostaniecie w Arensburgu dobre pomieszczenie? – zapytała konsulowa...

–Zamówione, droga mamó, wszystko zamówione! – odpowiedział pan Gr~unlich.

Antoni, Lina, Katarzyna, Zofia żegnali się z „panią Gr~unlich”...

Miano już zatrzasnąć drzwiczki, gdy nagle Tonia się poruszyła. Pomimo zamieszania, jakie wywołała, nie zważając na nic, odwinęła podróżną derkę potrącając kolana pana Gr~unlicha, który już zaczął sarkać, wyskoczyła z karety i namiętnie objęła ojca.

–Żegnaj, ojczulku... mój drogi ojczulku! – A potem szepnęła cichutko: – Czyś zadowolony ze mnie?

Konsul w milczeniu przycisnął ją do siebie, potem odsunął ją nieco i serdecznie potrząsnął obie jej ręce.

Wszystko było gotowe.

Zatrzaśnięto z hukiem drzwiczki. Stangret trzasnął z bicza, konie ruszyły, aż szyby zabrzęczały, konsulowa powiewała na wietrze batystową chusteczką, dopóki kareta turkocząc po bruku ulicy nie znikła w śnieżnej mgle.

Konsul stał w zamyśleniu obok małżonki, która ruchem pełnym wdzięku otulała się futrzaną peleryną.

–Więc ona odjeżdża, Betsy.

–Tak, Jean; to pierwsze, które nas opuszcza. Myślisz, że będzie z nim szczęśliwa?

–Ach, Betsy!... jest

zadowolona z siebie; to jest najtrwalsze szczęście, jakie możemy osiągnąć na ziemi.

Powrócili do gości.

Rozdział piętnasty

Tomasz Buddenbrook szedł przez Mengstrasse w kierunku „F~unfhausen”. Chciał uniknąć drogi przez Breitenstrasse, gdyż spotykało się tam tylu znajomych, że trzeba było bez przerwy zdejmować kapelusz. Zagłębiwszy ręce w kieszeniach swego ciepłego ciemnoszarego palta, szedł zatopiony w rozmyśleniach, a zamarznęty, twardy, lśniący śnieg skrzypiał mu pod nogami. Wędrował własną drogą, o której nikt nie wiedział. Niebo było jasne, błękitne i zimne, a powietrze świeże, ostre i surowe, bezwietrzna, przejrzysta pogoda, pięć stopni mrozu – piękny dzień lutowy.

Tomasz zeszedł z

„F~unfhausen”, przeciął B~ackergrube i przez wąską przecznicę doszedł do Fischergrube. Uliczką tą,

równoległą do Mengstrasse, również opadającą w dół aż do rzeki, szedł przez pewien czas, aż wreszcie zatrzymał się przed niskim domkiem, była to mała kwaciarenka o wysokich drzwiczkach i skromnej wystawie, na której stało parę doniczek z cebulkowymi roślinami.

Wszedł, a blaszany dzwonek nad drzwiami zaszczekał jak czujny piesek. Wewnątrz przed ladą stała mała, tęga starsza pani w tureckim szalu i rozmawiała z młodą sprzedawczynią.

Przestawiała doniczki, oglądała, wahała, dotykała i gadała wycierając bezustannie wargi chustką od nosa.

Tomasz ukłonił się grzecznie i odszedł na stronę... była to niezamożna krewna Langhalsów, poczciwa i gadatliwa stara panna, nosząca nazwisko jednej z najlepszych rodzin towarzystwa, a jednak do tego towarzystwa nie należąca, nie zapraszana na wielkie obiady i bale, lecz co najwyżej na skromną kawkę, zwano ją ogólnie „ciocią Locią”. Gdy z doniczką, zawiniętą w bibułę, skierowała się ku drzwiom, Tomasz ukłonił się powtórnie i głośno powiedział do sklepowej:

–Proszę mi dać parę róż.

Wszystko jedno jakie. La France... – Gdy wreszcie ciocia Locia zamknęła za sobą drzwi i zniknęła, rzekł ciszej: – A teraz odłóż to z powrotem, Anno... Dzień dobry, mała Anno! Ach, dzisiaj przyszedłem z ciężkim sercem.

Anna miała biały fartuszek na skromnej czarnej sukni. Była cudownie piękna i delikatna jak gazeta, a twarz miała w typie prawie malajskim: nieco wystające kości policzkowe, wąskie czarne oczy pełne miękkiego blasku i niezrównaną matowo_żółtawą cerę. Ręce jej, tej samej barwy, były długie, wąskie i, jak na ręce panny sklepowej, niezwykle piękne.

Przeszła za ladą na prawą stronę sklepiku, gdzie nie można było nic dojrzeć zza szyby. Tomasz poszedł za nią po drugiej stronie lady, przechylił się przez stół i ucałował jej usta i oczy.

–Zmarzłeś, biedaku! –

powiedziała.

–Pięć stopni! – rzekł Tom. – Nie czułem zimna, szedłem taki smutny.

Usiadł na stole trzymając jej rękę w swojej i mówił dalej:

–Słuchaj, Anno... dziś musimy być rozsądni. Nadszedł już czas.

–O Boże... – powiedziała żałośnie i zatroskana, pełna lęku, podniosła swój fartuszek.

–To musiało wreszcie nadejść, Anno... Tak! Nie płacz! Musimy przecież być rozsądni, prawda?... Co robić? Trzeba przejść przez takie rzeczy.

–Kiedy? – zapytała łkając.

–Pojutrze.

–O Boże, dlaczego pojutrze?

Jeszcze tydzień. Proszę! Pięć dni!...

–Nie można, kochana, mała Anno. Wszystko jest już postanowione i ułożone... Oczekują mnie w Amsterdamie... Nie mógłbym odłożyć wyjazdu ani na jeden dzień, choćbym nie wiem jak chciał!

–Tak strasznie daleko!...

–Amsterdam? Wcale nie tak daleko! A myśleć o sobie zawsze można, prawda? I napiszę! Słuchaj, napiszę, jak tylko przyjadę...

–Pamiętasz... półtora roku temu?... Na festynie strzeleckim?

Przerwał jej z zachwytem:

–Boże, prawda, półtora roku temu!... Wziąłem cię za Włoszkę... Kupiłem goździk i włożyłem go do butonierki... Mam go jeszcze... Zabiorę go do Amsterdamu... Cóż to był za kurz i upał na łące!...

–Tak, przyniosłeś mi szklankę lemoniady z sąsiedniej budki... Pamiętam jak dziś! Pachniało ludźmi i ciastem na smalcu...

–Ale to było jednak piękne!

Czyż nie zobaczyliśmy od razu wszystkiego w naszych oczach?

–Chciałeś przejechać się ze mną na karuzeli... ale nie mogłam, musiałam przecież sprzedawać! Gniewano by się...

–Nie, to było niemożliwe, rozumiem doskonale.

Powiedziała cicho:

–Była to jedyna rzecz, jakiej ci odmówiłam. Znowu ucałował jej oczy i usta.

–Żegnaj, moja kochana, dobra, mała Anno!... Tak, trzeba zacząć się żegnać!

–Ach, przyjdiesz chyba jeszcze jutro?

–Tak, z pewnością, o tej samej porze. A także pojutrze rano, jeśli będę mógł się wyrwać. Ale muszę ci jeszcze coś powiedzieć, Anno... Odjeżdżam dosyć daleko, tak, to jest bardzo daleko, Amsterdam... a ty pozostajesz. Ale zachowaj swą godność, słyszysz, Anno?... Dotąd nie poniżyłaś się, wierz mi!

Płakała trzymając przy oczach fartuszek.

–A ty?... A ty?...

–Bóg wie, Anno, co ze mną będzie! Nie jest się wiecznie młodym... jesteś rozsądną dziewczynką, nie wspominałaś nigdy o małżeństwie ani o niczym podobnym.

–Nie, cóż znowu! tego

miałabym żądać od ciebie...

–Człowiek nie zależy od siebie, widzisz... Jeśli nie umrę, przejmę firmę, ożenię się odpowiednio... tak, jestem z tobą szczerzy przy pożegnaniu... A i ty także... tak się przecież ułoży... Życzę ci szczęścia, moja kochana, dobra, mała Anno! Tylko zachowaj swą godność, słyszysz?... Bo dotąd nie poniżyłaś się, wierz mi...

W kwaciarni było ciepło. Unosił się tu wilgotny zapach ziemi i kwiatów. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Delikatna, czysta, jakby na porcelanie namalowana, blada zorza wieczorna barwiła niebo po drugiej stronie rzeki. Chowając brody w podniesione kołnierze palt, przechodnie mijali spieszni wystawę, nie widząc dwojga ludzi żegnających się w kącie małej kwaciarni.

‘ty

Część czwarta

Rozdział pierwszy

30 kwietnia 1843 r.

„Moja kochana Mamo!

Tysiącne dzięki za list, w którym zawiadamiasz mnie o zaręczynach Armgardy von Schilling z panem von Maiboom na P~oppenrade. Armgarda przysłała mi również zawiadomienie (bardzo wytworne, ze złotą obwódką), a zarazem list, w którym wyraża się z zachwytem o swym narzeczonym. To podobno niezwykle piękny i wytworny mężczyzna. Jaka ona musi być szczęśliwa! Wszyscy się żenią; dostałam też zawiadomienie z Monachium od Ewy Ewers; wychodzi za dyrektora browaru.

Muszę Cię jednak o coś zapytać, kochana Mamo: dlaczego dotąd nic tu nie słyhać o wizycie konsula Buddenbrooka! Może czekacie na oficjalne zaproszenie Gr~unlicha? To byłoby zbyteczne, gdyż, jak się zdaje, wcale o tym nie myśli, a gdy mu przypominam, wtedy mówi:

„Dobrze, dobrze, moje dziecko, twój ojciec ma coś lepszego do roboty... A może myślicie, że przeszkadzalibyście tutaj? Ach, nie, bynajmniej! A może myślicie, że potem zaczęłabym znów tęsknić? Boże drogi, jestem przecież rozsądną, dojrzałą kobietą, znam wymagania życia.

Przed chwilą powróciłam z popołudniowej kawy u pani K~aselau, naszej sąsiadki, są to dosyć mili ludzie, tak jak i sąsiedzi z lewej strony, państwo Gussman (choć domy leżą dość daleko jeden od drugiego). Mamy kilku przyjaciół domu, mieszkających również za miastem: doktora Klaassena (o

którym później więcej Ci napiszę) oraz bankiera Kesselmeyera, serdecznego przyjaciela Gr~unlicha.

Nie wyobrażasz sobie, co to za komiczny starszy jegomość! Ma siwe, przystryżone faworyty, a na głowie cienkie szpakowate włosy, które wyglądają jak puch i powiewają przy najmniejszym przeciągu. Ponieważ zaś rusza głową śmiesznie jak ptak i jest dosyć gadatliwy, przezwalam go „sroka”; ale Gr~unlich zabrania mi tego mówiąc, że sroka kradnie, a pan Kesselmeyer jest uczciwym człowiekiem. Gdy chodzi, garbi się i robi rękami takie ruchy, jak gdyby wiosłował. Puch na jego głowie dochodzi tylko do połowy czaszki, dalej zaś widać czerwony i pobrużdżony kark. Ma on w sobie coś tak strasznie wesołego! Czasem klepnie mnie po policzku mówiąc: „Dobra kobietko, co to za błogosławieństwo dla Gr~unlicha, że cię dostał!” Potem nakłada binokle (ma ich aż trzy pary, sznureczki od nich płaczą się ciągle na jego białej kamizelce), krzywiąc przy tym okropnie nos, i patrzy na mnie z taką zadowoloną miną, że śmieję mu się w oczy. Wcale się o to nie obraża.

Gr~unlich jest bardzo zajęty, rano wyjeżdża do miasta naszym żółtym powozikiem i często wraca bardzo późno. Czasem siedzi przy mnie i czyta gazety.

Jeśli udajemy się z wizytami na przykład do Kesselmeyera lub do konsula Goudstikka na Alsterdamm albo do senatora Bocka na Rathausstrasse, musimy wynajmować dorożkę. Parę razy prosiłam Gr~unlicha o kupienie powozu, który tu za miastem bardzo by się przydał; prawie mi to już przyrzekł, ale na ogół nie bardzo chętnie jeździ ze mną na wizyty i nie lubi, gdy bawię się w tutejszym towarzystwie. Czyżby był zazdrosny?

Willa nasza, którą obszernie Ci już opisałam, kochana Mamo, jest naprawdę bardzo ładna, ostatnio zaś jeszcze została upiękaszona nowymi nabytkami. Nie miałabyś nic do zarzucenia salonowi na parterze: cały obity brązowym jedwabiem. Stołowy pokój, tuż obok, wyłożony jest bardzo ładnym drzewem: krzesła kosztowały po dwadzieścia pięć marek sztuka. Ja siaduję w buduarze, który służy za salon. Znajduje się też tu palarnia i gabinet do gry w karty. W salonie, zajmującym drugą połowę parteru po przeciwległej stronie korytarza, wiszą obecnie żółte portiery, co wygląda wytwornie. Na górze znajdują się pokoje sypialne, kąpielowy, garderoba i pokój dla służby. Do żółtego powozika mamy małego grooma. Z obydwu pokojówek jestem dosyć zadowolona. Nie wiem, czy są zupełnie uczciwe, ale chwała Bogu, nie jestem zmuszona troszczyć się o każdego trojaka! Słowem, wszystko jest jak należy i nie przynosi ujmy naszemu nazwisku.

Teraz jednak, kochana Mamo, napiszę rzecz najważniejszą, którą zostawiłam sobie na koniec. Przed niejakim czasem czułam się trochę dziwnie, wiesz, niezupełnie zdrowa, a potem znów jakoś niewyraźnie; przy okazji nadmieniłam o tym doktorowi Klaassenowi. Jest to mały człowieczek o dużej głowie, którą okrywa jeszcze większym kapeluszem. Swoją laseczkę, która zamiast rączki ma płaską kość, przyciska zawsze do długiej brody koloru prawie zielonego, gdyż przez wiele lat malował ją na czarno. Gdybyś go mogła zobaczyć! Nic nie odpowiedział, nałożył okulary, zaczął mrugać oczkami, kiwnął mi swym nosem podobnym do kartofla, zaczął chichotać i przyglądać mi się w sposób tak impertynencki, że nie wiedziałam, gdzie mam się podziać. Potem zbadał mnie i powiedział, że wszystko jest jak najlepiej, powinnam jednak pić wody mineralne, gdyż jestem może cokolwiek anemiczna. – Moja Mamo, powiedz o tym ostrożnie Ojczulkowi, aby zapisał to w rodzinnych papierach. Jak tylko będę mogła, prześlę dalsze wiadomości.

Pozdrów ode mnie serdecznie Ojczulka, Chrystiana, Klarę, Tyldzię i Idę Jungmann. Do Tomasza, do

Amsterdamu, niedawno pisałam.

Twoja kochająca i posłuszna

córka Antonina”

2 sierpnia 1846

„Mój kochany Tomaszu!

Z przyjemnością odczytałem Twój list, w którym piszesz o Waszym wspólnym z Chrystianem pobycie w Amsterdamie; były to zapewne przyjemne dni. Z dalszej podróży Twego brata przez Ostendę do Anglii nie mam jeszcze wiadomości, ufam jednak Bogu, że wszystko poszło pomyślnie. Oby Chrystian, porzuciwszy swe naukowe dążenia, miał jeszcze dość czasu, by nauczyć się czegoś pożytecznego u swego pryncypała, pana Richardsona, i oby droga handlowa, jaką obrał, przyniosła mu powodzenie i błogosławieństwo! Pan Richardson (Threedneedle Street) jest, jak wiesz, bardzo zaprzyjaźniony z naszą firmą. Czuję się szczęśliwy umieściwszy obu synów w firmach blisko ze mną związanych. Już teraz odczuć możesz błogosławione rezultaty: jestem wielce zadowolony, że pan van der Kellen powiększył Ci pensję w tym kwartale i umożliwia Ci poboczne zarobki; przekonany jestem, że gorliwością swą zasłużyłeś, a i nadal zasługiwać będziesz na wyróżnienie.

Niezależnie od tego boli mnie, że ze zdrowiem Twym nie jest zupełnie w porządku. To, co piszesz o swej nerwowości, przypomina mi, że w młodych latach, gdy pracowałem w Antwerpii, musiałem pojechać stamtąd na kurację do Ems. Gdyby się okazało, że powinieneś wyjechać, mój synu, to rozumie się, że jestem gotów dopomóc Ci radą i czynem, jakkolwiek skądinąd unikam w tych politycznie niespokojnych czasach większych wydatków.

W połowie czerwca odbyliśmy. Twoja Matka i ja, podróż do Hamburga, by odwiedzić siostrę Twą Tonię. Mążzonek jej co prawda, nie zaprosił nas, przyjął nas jednak z wielką serdecznością i podczas naszego pobytu, trwającego dwa dni, poświęcił nam cały swój czas, tak że zaniedbał nawet biuro i zaledwie mogliśmy znaleźć wolną chwilę, by odwiedzić Duchampsów. Antonina była w piątym miesiącu; lekarz zapewniał, że wszystko będzie miało normalny i pomyślny przebieg.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym liście pana van Kellena, w którym przeczytałem z radością, że jesteś mile widzianym gościem w jego domu. Jesteś teraz, mój synu, w wieku, kiedy zaczyna się zbierać owoce wychowania otrzymanego w domu rodzicielskim.

Niechaj Ci to posłuży za radę, że gdy będąc w Twym wieku pracowałem w Bergen i w Antwerpii, zależało mi zawsze na tym, bym mógł okazać się pożytecznym i przyjemnym dla mążzonek moich pryncypałów, co mi się zawsze przydawało. Niezależnie bowiem od zaszczytnego zadowolenia z bliższych stosunków z rodziną zwierzchnika, zyskuje się w pryncypałowej pomocną protektorę, w razie gdyby się kiedykolwiek zdarzyło, czego jednak o ile możliwości należy unikać, że popełnisz jakiś błąd w interesie lub zasłużysz na niezadowolenie pryncypała.

Co do Twych planów na przyszłość, mój synu, cieszy mnie żywe zainteresowanie przebijające z Twego listu, niezupełnie się jednak z nimi zgadzam. Wychodzisz z założenia, że zbyt produktów

pochozących z okolic naszego miasta, jako to: zboże, rzepak, skóry i wełna, oleje, makuchy, kości etc., jest najnaturalniejszym, najtrwalszym interesem Twego miasta i zamierzasz obok handlu komisowego zaprowadzić przede wszystkim te działy. W czasach gdy konkurencja w tej gałęzi była bardzo nieznaczna (teraz bowiem bardzo wzrosła), nosiłem się też z tą myślą, a nawet przy okazji czyniłem pewne próby. Podróż moja do Anglii miała głównie na celu nawiązanie z tym krajem stosunków, które mogłyby mi się przydać w moim przedsiębiorstwie. W tej też myśli pojechałem aż do Szkocji, gdzie zawarłem kilka pożytecznych znajomości; zrozumiałem jednak, że eksport do tych krajów połączony jest niebezpieczeństwem, wskutek czego porzuciłem te myśli; zawsze też miałem w pamięci przestrożę, pozostawioną nam przez naszego przodka, założyciela firmy: „Synu mój, pilnuy za dnia Twoich interesów, bacz atoli, byś się takich nie imał, które by Ci nocą sen mąciły”.

Tej zasady pragnę się trzymać święcie aż do końca życia, chociaż niejednokrotnie można doznać wątpliwości znając ludzi, którym bez tych zasad lepiej się powodzi. Myślę o wciąż rosnącej świetności firmy „Strunck Hagenstr~om”, podczas gdy nasze sprawy toczą się o wiele spokojniej. Wszak wiesz, że po śmierci Twego Dziadka interesy naszej firmy skurczyły się; jak dotąd, sytuacja się nie poprawia i zanoszę modły do Boga, bym mógł pozostawić Ci interesy przynajmniej w obecnym stanie. W naszym prokurencie, panu Marcusie, mam doświadczonego i przezornego pomocnika. Gdyby choć rodzina Twej Matki umiała lepiej pilnować swego grosza, scheda będzie dla nas nader ważną sprawą!

Jestem zawałony pracami biurowymi oraz miejskimi. Zostałem starszym w Izbie Handlu Morskiego z Norwegią, mianowano mnie również ponownie delegatem obywatelskim do Komisji Rewizyjnej przy Departamencie Finansów, do Izby Handlowej oraz Przytułku Św. Anny.

Matka, Klara i Klotylda pozdrawiają Cię serdecznie. Również przesyłają Ci ukłony panowie: senator Mollendorf i doktor Oeverdieck, konsul Kistenmaker, makler Gosch, C.F. K~oppen, z kantoru zaś pan Marcus oraz kapitanowie Kloot i Kl~ottermann. Niech Cię Bóg błogosławi, mój synu! Pracuj, módl się i oszczędzaj!

Czule Cię kochający ojciec”

Kochani i wielce szanowni Rodzice!

Niżej podpisany uważa sobie za

miły obowiązek zawiadomić Was o

odbytym przed pół godziną

szczęśliwym rozwiązaniu Waszej

córki, ukochanej mojej małżonki,

Antoniny. Jest to, zgodnie z

wolą boską, córka; nie umiem Wam

wypowiedzieć, jakiej doznaję
radości. Stan drogiej położnicy,
jak również i dziecka, jest
znakomity, doktor Klaassen był
zupełnie zadowolony z przebiegu
całej sprawy. Akuszerka, pani
Grossgeorgis, również jest
zdania, że wszystko przeszło
bardzo lekko. – Wzruszenie każe
mi odłożyć pióro. Polecam się
względem najzaciejszych
Rodziców z pełnym szacunku
przywiązaniem

B. Gr~unlich

Gdyby to był chłopak, miałabym dla niego piękne imię. Chciałam ją nazwać Metą, ale Gr. jest za imieniem Eryka.

Rozdział drugi

–Co ci jest, Betsy? – zapytał konsul siadając do stołu i podnosząc talerz, którym nakryto jego zupę, by nie wystygła. – Czy źle się czujesz? Zdaje się, że jesteś cierpiąca?

Okrągły stół w obszernej sali jadalnej bardzo się zmniejszył. Prócz rodziców zasiadały tam codziennie tylko panna Jungmann, dziesięcioletnia Klara oraz chuda, pokorna i milcząca Klotylda. Konsul rozejrzał się wokół... wszystkie twarze były wydłużone i zasmucone... Co się stało? Sam też był zdenerwowany i zatroskany z powodu niepokojów, jakie wywołała na giełdzie niewyraźna sprawa Szlezwika_Holsztynu... Dołączyła się do tego jeszcze jedna przykreść: gdy Antoni wyszedł z pokoju, by przynieść półmisek z mięsem, konsul dowiedział się, co zaszło w domu. Katarzyna, kucharka Katarzyna, zawsze dotąd wierna i uczciwa, teraz nagle zbuntowała się. Ku wielkiemu niezadowoleniu konsulowej łączyła ją od pewnego czasu przyjaźń, pewien rodzaj duchowego porozumienia z czeladnikiem rzeźnickim; ten wiecznie okrwawiony człowiek wpłynął zapewne w sposób decydujący na rozwój jej zapatrywań politycznych. Gdy konsulowa zrobiła jej wymówkę z powodu nieudanego sosu, ujęła się pod boki i powiedziała, co następuje:

–Niech pani trochę poczeka, pani konsulowo, to już nie potrwa długo, nastanie teraz inny porządek, teraz to ja będę siedziała na sofie w jedwabnej sukni, a pani będzie mi usługiwała... – Oczywiście została natychmiast wydalona.

Konsul pokiwał głową. On też doznał niejednej przykreści w ostatnich czasach; co prawda, starsi tragarze i pracownicy spichrzów byli zbyt rozsądni, by pozwolić sobie zawrócić głowę, ale nie jeden z młodszych pracowników biurowych dał po sobie poznać, że nowy duch buntu zdradziecko utorował sobie drogę... Wiosną miały miejsce rozruchy uliczne, chociaż opracowywano wówczas nowe prawa, odpowiadające wymaganiom nowych czasów; nieco później, mimo oporu Lebrechta Krögera oraz innych zaciętych starszych panów, ustawa owa dekretem senatu podniesiona została do godności prawa państwowego. Wybrano przedstawicieli ludowych, zawiązał się komitet obywatelski. Spokoju jednak nie osiągnięto. Wszędzie panował bezład. Każdy chciał rewidować nową ustawę konstytucyjną i prawo wyborcze, obywatele sprzecznali się. „Zasada stanów!” mówili jedni, należał do nich Jan Buddenbrook. „Powszechnie prawo głosowania!” mówili inni; należał do nich Henryk Hagenström. Jeszcze inni krzyczeli: „Powszechny wybór stanów!” i zapewne oni tylko wiedzieli, jak należy to rozumieć. Wisiały też w powietrzu takie idee, jak skasowanie różnicy pomiędzy obywatelami a mieszkańcami, rozszerzenie możliwości osiągnięcia prawa obywatelstwa także dla członków gmin niechrześcijańskich... Cóż dziwnego, że Katarzyna od Buddenbrooków wpadła na pomysł sofy i jedwabnej sukni! Ach, miały nadejść jeszcze gorsze czasy. Zdawało się, że rzeczy przybierają bardzo groźny obrót...

Był to pierwszy dzień października czterdziestego ósmego roku; po błękitnym niebie przepłynęło kilka lekkich obłoczków, srebrzyście prześwietlonych słońcem, nie grzało ono zbyt mocno, toteż w piecu za wysoką, błyszczącą kratą trzaskał już ogień.

Mała Klara, dziewczynka o ciemnoblond włosach i nieco surowym wyrazie oczu, robiła na drutach przy stoliku koło okna, podczas gdy Klotylda, zajęta tą samą robotą, siedziała na sofie obok konsulowej. Pomimo że była niewiele starsza od swej zamężnej kuzynki – miała zaledwie dwadzieścia jeden lat – rysy jej twarzy były już nieco zaostrome, rozdzielone i gładko uczesane włosy, które nigdy właściwie nie były koloru blond, lecz raczej matowoszare, dopełniały wyglądu starej panny. Była z tego zadowolona, nie czyniła nic, by temu przeciwdziałać. Może sama chciała się szybko zestarzeć, żeby jak najszybciej wyzbyć się wszelkich wątpliwości i nadziei. Nie posiadając ani grosza, wiedziała, że nie znajdzie się na szerokim świecie nikt, kto by ją chciał poślubić, z pokorą spoglądała więc w przyszłość, wiedząc z góry, jak się ona ułoży: w małym pokoiku będzie żyła ze skromnej renty, którą jej dzięki stosunkom wszechmocnego stryja wyznaczy jakiś zakład dobroczynny, opiekujący się ubogimi pannami z dobrych rodzin.

Konsulowa zajęta była odczytywaniem dwu listów. Tonia opisywała pomyślny rozwój młodej Eryki. Chrystian zaś opowiadał z zapalem o życiu londyńskim, nie podając jednak dokładniejszych wiadomości o swych zajęciach u pana Richardsona. Konsulowa, dobiegająca obecnie piątego krzyżyka skarżyła się gorzko, iż losy każą blondynkom wcześniej się starzeć. Delikatna pleć, towarzysząca zwykle rudawym włosom, pomimo wszelkich zabiegów zatracza w tych latach świeżość, włosy zaś musiałoby bezwzględnie osiwieć, gdyby nie recepta pewnej paryskiej tynktury, która, chwala Bogu, chroniła je od tego. Konsulowa zdecydowana była nigdy nie osiwieć. Gdyby farba okazała się w przyszłości niedostateczna, wówczas zaczęłaby używać peruki koloru swych dawnych włosów... Na czubku jej ciągle jeszcze misternej fryzury umieszczona była niewielka, otoczona białą koronką jedwabna kokarda: było to zapoczątkowanie, jakby pierwsza aluzja do czepka. Miała na sobie jedwabną suknię, szeroką i faldzystą, bufiaste rękawy podszyte były sztywnym muślinem. Jak zwykle, na jej ręce dźwięczały złote ogniwa bransoletki.

Była godzina trzecia po południu. Nagle dały się słyszeć wołania i wrzaski, zuchwale okrzyki, gwizdanie, stąpanie licznych

kroków na ulicy, hałas, który się zbliżał i rósł...

–Mamo, co to jest? – zapytała Klara patrząc przez okno. – Ci wszyscy ludzie... Co im się stało? Z czego się tak cieszą?

–O Boże! – krzyknęła

konsulowa rzucając listy i zerwawszy się z przerażeniem podbiegła do okna. – Czyżby to... O Boże, tak, to jest rewolucja... To lud...

Istotnie, w ciągu całego dnia w mieście panowały niepokoje. Na Breitenstrasse wybito rano kamieniem szybę w wystawowym oknie sukienika Benthiena; – Bóg chyba jedyny wie, co miało wspólnego z polityką okno pana Benthiena.

–Antoni! – zawołała drżącym głosem konsulowa w kierunku sali jadalnej, gdzie służący układał srebro... – Antoni! Zejdź na dół! Zamknij drzwi! Wszystko pozamykaj! To lud...

–Słucham, pani konsulowo! – rzekł Antoni. – Ale czy ja mogę tam iść? Jestem pańskim sługą... Jak zobaczą moją liberię...

–Źli ludzie – smutno i przeciągle wymówiła Klotylda nie odrywając się od swej roboty.

W tej samej chwili konsul przeszedł przez salę kolumnową i ukazał się w oszklonych drzwiach. Miał przewieszony przez ramię palto i trzymał w ręce kapelusz.

–Chcesz wyjść, Jean? – spytała z przerażeniem konsulowa.

–Tak, kochanie, muszę iść do Komitetu Obywatelskiego.

–Ależ lud, Jean, rewolucja.

–Ach, mój Boże, nie jest to tak poważne. Betsy...

Wszyscyśmy w ręku Boga. Już zresztą przeszli. Wyjdę tylnymi drzwiami...

–Jean, jeśli mnie kochasz...

Chcesz się wystawić na niebezpieczeństwo, chcesz nas tu samych zostawić... Och, lękam się, lękam się!

–Kochanie, po co się tak denerwować. Ludzie pohalasuują trochę przed ratuszem na rynku... Państwo poniesie stratę kilku szyb – oto wszystko...

–Dokąd idziesz, Jean?

–Do Komitetu

Obywatelskiego... I tak się spóźnię, interesy mnie zatrzymały. To byłaby hańba, gdybym dziś nie był obecny. Myślisz, że twój ojciec da się zatrzymać? Choć już taki stary...

–No, to idź z Bogiem, ŃJean...

Ale bądź ostrożny, proszę cię, pilnuj się! I uważaj na ojca! Gdyby mu się co stało...

–Bądź spokojna, kochanie...

–Kiedy wrócisz? – zawołała jeszcze konsulowa.

–To zależy, o wpół do piątej, o piątej... to zależy. Na porządku dziennym są ważne rzeczy, idzie o to...

–Ach, lękam się, lękam się! – powtarzała konsulowa chodząc po pokoju z bezradnym wyrazem twarzy.

Rozdział trzeci

Konsul Buddenbrook szybko przebył kawałek drogi.

Doszedłszy do B~ackergrube usłyszał za sobą kroki i ujrzał maklera Goscha owiniętego malowniczo w długi płaszcz i również śpieszącego na posiedzenie. Jedną długą, chudą ręką zdjął z głowy kapelusz, drugą zaś wykonał pokorny ruch, mówiąc przytłumionym, zaciętym głosem: – Witam pana, panie konsulu...

Ów makler Zygmunt Gosch, kawaler mniej więcej czterdziestoletni, był pomimo swego dziwaczego zachowania najuczciwszym i najzaczniejszym człowiekiem na świecie, poza tym był to pięknoduch i oryginał. Na gładko wygolonej jego twarzy uwydatniał się zagięty nos i wystająca broda; miał zaostrome rysy i szerokie, trochę wykrzywione usta, których cienkie wargi zaciśnięte były z wyrazem złośliwości. Pragnął – i wcale dobrze mu się to udawało – stworzyć sobie dziką, piękną i diabelską maskę intryganta, złą, podstępna, interesującą i wzbudzającą lęk charakterystyczną postać, coś pośredniego między Mefistofełsem a Napoleonem. Posiwałe włosy były głęboko nasunięte na posępne czoło. Bezustannie żałował, że nie jest garbaty. Była to niezwykła i sympatyczna postać wśród mieszkańców starego handlowego miasta. Należał do nich, gdyż zupełnie po mieszczańsku prowadził niewielkie, solidne, skromne, a jednak poważne biuro pośrednictwa, ale w ciasnym, ciemnym jego kantorze stała wielka szafa z książkami, pełna utworów poetyckich we wszystkich językach, chodziły też słuchy, że od dwudziestego roku życia pracuje nad przekładem wszystkich dramatów Lope de Vegi. Pewnego razu występował jako Domingo w amatorskim przedstawieniu „Don Carlosa” Schillera. Był to kulminacyjny punkt jego życia. Nigdy nie używał brzydkich, trywialnych słów, nawet w rozmowach dotyczących interesów pospolite zwroty wymawiał przez zęby i z takim wyrazem twarzy, jak gdyby chciał powiedzieć: „Łotrze, ha! Przeklinam twoich przodków!” Pod pewnymi względami był on spadkobiercą i następcą nieżyjącego Jeana Jacques’a Hoffstede, tylko że był bardziej ponury i patetyczny i nie miał w sobie nic z owej żartobliwej wesołości, jaką przyjaciel starego Jana Buddenbrooka wyniósł z poprzedniego stulecia. Pewnego dnia stracił na giełdzie od razu po sześć i pół talara na dwu czy trzech walorach nabytych w celach spekulacyjnych. Wówczas odezwała się w nim dramatyczna żyłka i zagrał komedię. Ruchem zwyciężonego pod Waterloo padł na ławkę, przycisnął pięść do czoła i wywracając bluznięczo oczami, powtórzył kilkakrotnie:

–Ha, przeklęty! – Niewielkie, spokojne, pewne zarobki, uzyskiwane ze sprzedaży placów, nudziły go w gruncie rzeczy, toteż owa strata, ów tragiczny cios, zesłany mu przez fortunę, stał się dla niego rodzajem szczęścia, rozkoszy, którą karmił się przez długie tygodnie.

Na zapytanie: – Słyszałem, że nie powiodło się panu, panie Gosch?... Bardzo mi przykro...

–odpowiadał: – O, mój szanowny przyjacielu! Uomo non educato dal dolore riman sempre bambino!»* – Oczywiście nikt tego nie rozumiał. Był to z Lope de Vegi? Wszyscy byli zdania, że ten Zygmunt Gosch jest uczonym i niezwykłym człowiekiem.

–W jakich czasach żyjemy! – rzekł do konsula Buddenbrooka idąc obok niego zgarbiony, oparty na lasce.

–Czasy burz i niepokojów!

–Ma pan rację – odrzekł konsul. – Czasy są niespokojne. Z napięciem oczekuję dzisiejszego posiedzenia. Zasada stanów...

–Niech pan posłucha! – zaczął znowu pan Gosch. – Przez cały dzień chodziłem po ulicach, obserwowałem motłoch. Widziałem tam wspaniałych chłopców, z oczyma gorejącymi zapalem i nieawiścią...

Jan Buddenbrook zaczął się śmiać.

–Świetny jesteś, mój

przyjacielu! Panu zdaje się to podobać? Pozwól pan... toż to wszystko jest dziecinada! Czego ci ludzie chcą? Pewna ilość niesfornych wyrostków korzysta z okazji, by się poawanturować...

–Zapewne! Nie można jednak zaprzeczyć... Byłem obecny, gdy czeladnik rzeźnicki Berkemeyer wybił szybę u pana Benthiena... Wyglądał jak pantera! – Ostatnie słowo wymówił pan Gosch przez mocno zaciśnięte zęby, po czym ciągnął dalej: – O, nie można odmówić tej sprawie pewnej wzniosłości! Nareszcie jest coś innego, niecodziennego, potężnego, burza, dzikość, grom... Ach, lud jest ciemny, wiem o tym! Jednak moje serce, to moje serce jest z nim... – Znajdowali się już przed skromnym domem pomalowanym żółtą olejną farbą, gdzie na parterze odbywały się posiedzenia Komitetu Obywatelskiego.

Człowiek, którego nie doświadczyło cierpienie, będzie zawsze dzieckiem, (wł.)

Lokal ów była to piwiarnia i sala tańca należąca do wdowy Suerkringel, w pewne dni jednak oddawano ją do rozporządzenia panów z Komitetu Obywatelskiego. Z wąskiego, wyłożonego kamieniami korytarza, po którego prawej stronie mieściły się ubikacje restauracyjne i w którym pachniało piwem oraz kuchnią, wchodziło się do sali przez zielono pomalowane drzwiczki, nie posiadające klamki ani zamka, a tak niskie i ciasne, że trudno było domyślić się, iż kryje się za nimi tak obszerne pomieszczenie. Była to zimna, naga sala, przypominająca swym wyglądem stodołę, z białym belkowanym stropem i bielonymi ścianami, trzy dość wysokie okna, bez firanek, miały zielone ramy. Po przeciwnej stronie wznosiły się amfiteatralnie szeregi krzeseł, przed nimi zaś stał stół pokryty zielonym suknem, leżały na nim akta i przyrządy do pisania,

jako też duży dzwonek; wszystko to przeznaczone było dla przewodniczącego, sekretarza oraz dla obecnych komisarzy senatu. Na ścianie na wprost drzwi umieszczone były haki obwieszone płaszczami i kapeluszami.

Gwar zmieszanych głosów wypełniał salę, gdy konsul wraz z towarzyszem weszli przez ciasne drzwi. Przybyli oni ostatni. Sala pełna była ludzi, którzy dysputowali stojąc grupami; jedni trzymali ręce w kieszeniach, inni pozakładali je na plecach lub gestykulowali. Ze stu dwudziestu członków komitetu na pewno stu było obecnych. Pewna liczba delegatów z wiejskich okręgów wołała w tych okolicznościach pozostać w domu.

Tuż przy wejściu stała grupa mniej znacznych obywateli, złożona z dwu lub trzech drobniejszych kupców, nauczyciela gimnazjalnego, „opiekuna sierot” pana Mindermanna oraz znanego w mieście golarza, pana Wenzla. Pan Wenzel, niski, tęgi człowiek z czarnymi wąsami, inteligentną twarzą i czerwonymi rękami, golil konsula jeszcze dzisiejszego ranka; tutaj jednak był mu równy. Miał on pierwszorzędną klientelę, golil prawie wyłącznie Mollendorpfów, Langhalsów, Buddenbrooków i Oeverdicków; wybór zaś do Komitetu Obywatelskiego, mimo swego podrzędnego stanowiska, zawdzięczał swej wszechwiedzy w sprawach miasta, umiejętności obcowania z ludźmi oraz poczuciu własnej wartości, które – mimo iż umiał się podporządkować – zawsze ujawniał.

–Zna pan konsul najświeższe wiadomości? – zapytał poważnie i z przejęciem.

–Cóż takiego, kochany panie Wenzel?

–Dziś rano nie było to jeszcze wiadome... Pan konsul wybaczy, to ostatnia wiadomość! Lud nie kieruje się przed ratusz ani na rynek! Idzie tutaj i zamierza zagrozić Komitetowi Obywatelskiemu! Redaktor Rabsam go podburzył.

–E, to niemożliwe! –

powiedział konsul. Przebisnął się do środka sali, gdzie dojrzał teścia stojącego wraz z obecnymi tam senatorami, doktorem Langhalsem i Jamesem Mollendorpfem.

–Czy to prawda, panowie? – zapytał potrząsając im ręce.

Istotnie, całe zgromadzenie było pod wrażeniem owej wiadomości. Demonstranci zbliżali się, słychać już było tumult.

–Kanalie! – rzekł zimno i pogardliwie Lebrecht Kröger. Przyjechał tu swoim ekwipażem. Wysoka, dystygowana postać dawnego kawalera – la mode chylła się już nieco pod ciężarem osiemdziesięciu lat; dziś jednak stał wyprostowany, z oczami na pół przymkniętymi, a kąciki jego ust opuszczone były wytwornie i pogardliwie pod sterzącymi do góry siwymi wąsami. Na jego czarnej, aksamitnej kamizelce błyszczwały dwa rzędy guzików wysadzanych drogimi kamieniami.

Niedaleko tej grupy można było dostrzec Henryka Hagenströma, krępego, tęgiego człowieka z rudawymi siwiejącymi faworytami, z grubym łańcuchem na granatowej, kratkowanej kamizelce i w rozpiętej marynarce. Stał razem ze swym współnikiem, panem Strunkiem, i wcale się nie uklonił konsulowi.

Nie opodal sukiennik Benthien, człowiek o zamożnym wyglądzie, zebrał wokół siebie dużą grupę panów i opowiadał im o zdarzeniu z szybą: – Cegła, kawał cegły, panowie! Trach... przeleciała i prosto w sztukę zielonego rypsu... Hołota!... No, to już rzecz państwa...

Z jednego kąta dolatywał bez przerwy głos pana Stuhta z Glockengiesserstrasse, który brał udział w rozmowach, bez ustanku powtarzając oburzonym głosem: – Niesłychana infamia! – Wymawiał zresztą „infamija”.

Jan Buddenbrook chodził po sali witając się ze starym przyjacielem C.F. Koppem, to znów z jego konkurentem, konsulem Kistenmakerem. Ucisnął rękę doktorowi Grabowowi, zamienił parę słów z naczelnikiem straży ogniowej Gieseke, budowniczym Voigtem, z przewodniczącym doktorem Langhalsem, bratem senatora, z kupcami, nauczycielami, adwokatami...

Posiedzenie nie zostało jeszcze otwarte, ale debaty były niezmiernie ożywione. Wszyscy klęli skrybę, tego redaktora, tego Rabsamę, o którym wiadano, że podburzał tłum... i to w jakim celu? Zebrano się przecież tutaj, by ustalić, czy w przedstawicielstwie ludowym należało zachować zasadę stanów, czy też wprowadzić powszechne i równe głosowanie.

Senat proponował to ostatnie. Czego więc chciał lud? Chciał wziąć za kark panów, oto wszystko.

Do diabła, ci panowie nigdy jeszcze nie byli w równie nieprzyjemnej sytuacji! Otaczano komisarzy senatu, chciano usłyszeć ich opinię. Otoczono też konsula Buddenbrooka, który wiedział najprawdopodobniej, jak zapatruje się na sprawę burmistrz Oeverdick, gdyż od czasu jak senator doktor Oeverdick, szwagier konsula Justusa Krögera, został przewodniczącym senatu, Buddenbrookowie, spowinowaceni z burmistrzem, wzrosli wielce w poważanie...

Nagle hałas się wzmógł. Rewolucja dotarła do sali posiedzeń! W jednej chwili umilkły w sali podniecone głosy, ucichły debaty. Niemi z przerażenia, z rękami złożonymi na brzuchu, spoglądali po sobie lub patrzyli w okna, za którymi podnosiły się pięści i dzikie, ogłuszające okrzyki rozlegały się w powietrzu.

Po chwili jednak, jak gdyby demonstrenci sami przestraszyli się swego postępowania, na dworze uciszyło się nagle tak, jak na sali, i wówczas wśród głębokiego milczenia, jakie zapanowało, z pierwszych rzędów, gdzie siedział Lebrecht Kröger, dobiegło jedno jedyne słowo, które wolno, zimno i dobitnie wdarło się w ciszę – Kanalie!

Zaraz potem odezwał się z jakiegoś kąta przytłumiony i oburzony głos: – Niesłychana infamija!

A potem zatrzepotał nagle nad zgromadzeniem drżący, spieszny, tajemniczy głos sukienika Benthiena:

–Panowie, panowie,

śluchajcie. Znam ten dom. Na strychu jest otwór. Gdym był małym chłopcem, strzelałem stamtąd do kotów... Można bardzo łatwo wdrapać się na sąsiedni dach i wydostać się...

–Nikczemne tchórzostwo! – syknął przez zęby makler Gosch. Stał z opuszczoną głową, oparty rękami o stół przydzielny, i patrzył w okna ze straszliwym wyrazem twarzy.

–Tchórzostwo, proszę pana? Ci ludzie rzucają kamieniami! Ja mam tego dosyć...

W tej chwili hałas z zewnątrz wzmógł się na nowo, ale nie miał już w sobie uprzedniej burzliwości, brzmiał teraz równo i nieprzerwanie, niby cierpliwe, śpiewne, prawie zadowolone brzęczenie, w którym rozróżniało się od czasu do czasu gwizdanie lub pojedyncze okrzyki, jak „zasada!” lub „prawo obywatelstwa... Komitet Obywatelski słuchał w skupieniu.

–Panowie – rzekł po chwili przewodniczący, pan doktor Langhals, stłumionym głosem. – Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, bym otworzył teraz posiedzenie...

Była to propozycja zupełnie niewłaściwa, toteż nie zyskała najmniejszego poparcia.

–Co to, to nie! – odezwał się ktoś dialektem, ze stanowczością przecinającą wszelką dyskusję.

Był to wieśniak nazwiskiem Pfahl, z okręgu Ritzerau, delegat ze wsi Klein Schretstaken. Nikt nie słyszał dotąd na obradach jego głosu, w obecnym jednak położeniu pogląd najskromniejszego nawet człowieka mógł zaważyć na szali... Nieustraszony i obdarzony niewątpliwym zmysłem politycznym pan Pfahl wyraził ogólną opinię Komitetu Obywatelskiego.

–A niechże nas Bóg broni! – powiedział z oburzeniem pan Benthien. – Górne krzesła widać z ulicy! Ci ludzie rzucają kamieniami! Nie, do diabła, mam tego dosyć...

–Że też te przekłete drzwi są takie ciasne! – zawołał z rozpaczą kupiec winny Köppen. – Kiedy będziemy chcieli stąd wyjść, zgniecie my się na śmierć... na pewno się zgniecie my!

–Niesłychana infamija – rzekł głucho pan Stuht.

–Panowie! – zaczął znów natarczywie przewodniczący. – Proszę o uwzględnienie... W przeciągu trzech dni muszę przedstawić urzędującemu burmistrzowi protokół dzisiejszego posiedzenia... Poza tym miasto oczekuje drukowanych obwieszczeń... W każdym razie mogę przeprowadzić głosowanie, czy posiedzenie ma być otwarte...

Ale prócz nielicznych obywateli popierających przewodniczącego nie było nikogo, kto by pragnął przejść do porządku dziennego.

Głosowanie okazało się bezcelowe. Nie należało drażnić ludu. Nikt nie wiedział, czego chce. Obrażanie kogokolwiek niewczesnym wnioskiem nie było wskazane. Należało przeczekać, nie ruszać się. Na wieży kościoła Panny Marii wybiło w pół do piątej...

Zachęcano się wzajemnie do cierpliwego wytrwania. Oswajano się ze szmerem płynącym z zewnątrz, który to wzmagał się, to znów przycichał, milknął i na nowo się podnosił. Powoli uspokajano się, zajmowano krzesła w niższych rzędach... Z wolna wśród tych wszystkich dzielnych obywateli poczynala budzić się kupiecka zapobiegliwość. Tu i tam ośmielano się mówić o interesach, próbowano nawet zawierać transakcje... Maklerzy podchodzili do hurtowników... Osaczeni panowie gawędzili jak ludzie, którzy znalazłszy się razem podczas silnej burzy, rozmawiają o czym innym, a od czasu do czasu poważnie i z szacunkiem przysłuchują się grzmotom. Wybiła piąta, w pół do szóstej, zaczął zapadać zmierzch. Od czasu do czasu ktoś westchnął, że żona czeka z kawą, na co pan Benthien napomykał znowu o otworze w dachu. Prawie wszyscy myśleli jednak o tym podobnie jak pan Stuht, który oznajmił kiwając głową z determinacją:

–Przecież jestem za gruby na to!

Jan Buddenbrook, pamiętając prośbę żony, trzymał się blisko teścia; spojrzawszy na niego zapytał z pewnym niepokojem:

–Mam nadzieję, że ojciec nie przejął się zbytnio tą awanturą?

Pod śnieżnobiałym czubem na czole Lebrechta Krögera wystąpiły dwie nabrzmiałe, błękitne żyły, jedna z jego arystokratycznych, starczych rąk igrała z opalizującymi guzikami kamizelki, druga zaś, ozdobiona dużym brylantem, drżała na kolanach.

–Gadanie, Buddenbrook! – powiedział ze szczególnym znużeniem. – Jestem znudzony, oto wszystko! – Ale sam sobie zaprzeczył syknąwszy nagle: – Parbleu, Jean! Należałoby prochem i ołowiem nauczyć tych smoluchów respektu...

Hołota!... Kanalie!...

Konsul mruknął uspokajająco:

–No, no. Ale ma ojciec rację, to dosyć niegodna komedia... Cóż mamy czynić? Trzeba robić dobrą minę. Nadchodzi wieczór. Rozejdą się powoli...

–Gdzie moja karetka? Niech zajedzie moja karetka! – rozkazywał Lebrecht Kröger zupełnie wytrącony z równowagi. Był wściekły, drżał na całym ciele. – Zamówiłem ją na piątą godzinę!... Gdzież ona jest?... Posiedzenie się nie odbędzie... Co ja tu jeszcze robię?... Nie mam zamiaru dać się wystrychnąć na dudka!... Chcę karety... Insultują tam mego stangreta?

Zobacz no, zięciu!

–Drogi teściu, proszę się uspokoić, na miłość boską! ojciec sobie zaszkodzi... to niedobrze! Rozumie się... pójdę rozejrzeć się za kareta. Ja sam też mam dosyć tego. Pomówię z tymi ludźmi, zażadam, żeby się rozeszli...

I mimo protestów Lebrechta Krögera, mimo że odzyskałszy nagle zimną krew rozkazywał pogardliwie: – Stać, ani kroku! Nie pozwalam! – konsul szybko wyszedł z sali.

Tuż przy zielonych drzwiczkach dopędził go Zygmunt Gosch, uchwycił swą kościstą dłonią jego rękę i zapytał straszliwym szeptem:

–Dokąd, panie konsulu?

Twarz maklera porały tysiące głębokich zmarszczek. Spiczasta broda stykała się prawie z nosem, co nadawało mu pozory dzikiej odwagi, siwawe włosy ponuro opadały na skronie i czoło, a głowę wsunął tak głęboko między ramiona, że istotnie udało mu się osiągnąć wygląd garbatego.

–Zamierzam przemówić do ludu!

–oświadczył.

Konsul powiedział:

–Nie, panie Gosch, pozwól pan, że ja to zrobię. Na pewno mam więcej znajomych między tymi ludźmi...

–Niech i tak będzie – odrzekł bezdźwięcznie makler. – Pan jest większym człowiekiem aniżeli ja.

–I podnosząc głos mówił dalej:

–Ale ja będę panu towarzyszył, będę stał u boku pana, konsulu Buddenbrook! Niechaj rozszarpie mnie wściekłość rozpętanych niewolników...

–Ach, cóż to za dzień! Co za wieczór! – rzekł, gdy wyszli z sali. Na pewno nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy. – Ha, panie konsulu! Oto lud!

Przeszli przez korytarz i wyszli przed drzwi zatrzymując się na najwyższym z trzech wąskich schodów prowadzących na chodnik. Ulica przedstawiała dziwny widok. Była jakby wymarła, a w otwartych, już oświetlonych oknach widać było mnóstwo ciekawych, którzy spoglądali w dół na ciemny tłum demonstrantów, tłoczących się przed domem, gdzie odbywało się posiedzenie Komitetu Obywatelskiego. Tłum ów nie był o wiele liczniejszy od zgromadzenia w sali, a składał się z młodocianych robotników portowych, służących, uczniów szkół ludowych, kilku marynarzy z kupieckich okrętów oraz innych

ludzi zamieszkujących uboższe dzielnice, zaułki i przedmieścia. Znajdowały się tam również dwie lub trzy kobiety, obiecujące sobie zapewne podobne korzyści jak kucharka Buddenbrooków.

Była już prawie szósta, a choć zapadł głęboki zmrok, nie zapalono dotąd olejnych lamp zawieszonych na łańcuchach nad ulicą. Ten fakt, to widoczne i niesłychane uchybienie wobec przepisów było pierwszą rzeczą, jaka rozgniewała konsula Buddenbrooka i sprawiła, że zaczął mówić ostro i gniewnie:

–Ludzie, co wy tu wyrabiacie za głupstwa!»*

Paru demonstrantów, zmęczonych długim stanieniem usiadło na chodniku, z nogami w rynsztoku, i jadło chleb z masłem. Ci, którzy spożywali podwieczorek, porwali się z chodnika na równe nogi. Stojący najdalej po drugiej stronie jezdni podnieśli się na palce. Kilku robotników portowych, będących w służbie u konsula, zdjęło czapki. Zaczęli bacznie słuchać i szturchać się łokciami, mówiąc przyciszonym głosem:

–To konsul Buddenbrook!

Konsul Buddenbrook będzie miał mowę! Stul gębę, Chrystian, on potrafi gadać!

–To makler Gosch, patrzaj!

Spójrz na tę małpę! On chyba jest zalany?

–Karolu Smolt! – zaczął znów konsul zwracając swe małe, głęboko osadzone oczy na mniej więcej dwudziestodwuletniego robotnika ze składów, stojącego na swych krzywych nogach tuż obok schodów, z czapką w ręku i ustami pełnymi chleba. – Gadaj no, Karolu Smolt! Najwyższy czas! Straciłem tu całe popołudnie...

Cała poniższa rozmowa prowadzona jest w oryginale dialektem „platt”. Nie wydawało mi się wskazane zastosować tu któregokolwiek z polskich narzezy (przyp. tłum.).

–A to, panie konsulu – powiedział Karol Smolt żując chleb. – To tylko taka heca, ale, to się już tak stało. Robimy rewolucję.

–Cóż to znów za głupstwa, Smolt?

–A to, panie konsulu, to pan tak mówi, ale to już doszło do tego... jesteście niezadowoleni... Żądamy innego porządku i żeby już więcej tak nie było, jak jest...

–Słuchaj, Smolt, i wy wszyscy ludzie! Kto z was jest rozumny chłopak, ten pójdzie do domu i nie będzie sobie zawracał głowy rewolucją ani zakłócał tu porządku...

–Świętego porządku – przerwał z sykiem pan Gosch.

–Porządku, mówię! – zakończył konsul Buddenbrook. – Nawet lamp nie pozapalano. Do tego już doszło z tą rewolucją!

Ale Karol Smolt połknął już swój kawałek chleba i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, na samym przedzie, wykladać począł swoje racje:

–A to, panie konsulu, to pan tak mówi! Ale my tu wedle tej ogólnej zasady o wyborach...

–Wielki Boże, co za głupiec!

–zawołał konsul porzucając z gniewu dialekt. – Przecież gadasz same głupstwa.

–A to, panie konsulu – powiedział Karol Smolt nieco zbity z tropu – wszystko jest, jak jest. Ale rewolucja musi być, to wie my na pewno. Rewolucja jest wszędzie, w Berlinie i w Paryżu...

–Smolt, a czegoż wy właściwie chcecie? Gadajcie wreszcie!

–A to, panie konsulu, ja gadam: chcemy republiki, toć gadam.

–Ach, ty głupcze. Toć już ją macie!

–A to, panie konsulu, to chcemy jeszcze jednej.

Niektórzy ze stojących bliżej, lepiej rozumiejący się na rzeczy, zaczęli się śmiać serdecznie i ociężale, a choć tylko nieliczni dosłyszeli odpowiedź Karola Smolta, wesolość szerzyła się wokół, tak że wreszcie ogólny dobroduszny śmiech

ogarnął cały tłum republikanów. W oknach sali posiedzeń ukazało się kilku zaciekawionych jegomościów z kufłami piwa w ręku... Jedyne Zygmunt Gosch był rozczarowany i zawiedziony takim obrotem sprawy.

–No to, moi ludzie – rzekł w końcu konsul Buddenbrook – zdaje mi się, że najlepiej będzie, jak sobie wszyscy pójdziecie do domu!

Karol Smolt zupełnie zdumiony wynikami swej przemowy, odrzekł:

–A to, panie konsulu, niech już tak będzie, to my już mamy spokój z tą hecą, a ja też się cieszę, że mi pan konsul za złe nie wziął, no to adieu, panie konsulu.

Tłum rozchodził się w

najlepszym humorze.

–Smolt, zaczekaj no chwilę! – zawołał konsul. – Powiedz no, a nie widziałeś gdzie kr~ogerskiej karety, tej karety z willi?

–Tak jest, panie konsulu!

Zajechała. Czekają na pana konsula na podwórku.

–Dobrze, no to idź, Smolt, powiedz stangretowi, niech zajężdża, jego pan chce wracać do domu.

–Dobrze, panie konsulu! – I nacisnąwszy na głowę czapkę, nasuwając skórzany daszek na oczy, Karol Smolt szerokimi, kołyszącymi się krokami pobiegł w dół ulicy.

Rozdział czwarty

Gdy konsul Buddenbrook powrócił wraz z Zygmuntem Goschem na zgromadzenie, sala przedstawiała przyjemniejszy widok niż przed kwadrans. Oświetlona była dwiema parafinowymi lampami, stojącymi na stole przydialnym; w żółtym ich świetle obywatele stojąc lub siedząc napelniali sobie piwem błyszczące kufle; tręcali się przy tym i rozmawiali wszyscy w jak najlepszym nastroju. Była tam też obecna wdowa Suerkringel, która przejęła się serdecznie losem swych uwieczonych gości, a ponieważ obłężenie mogło się przeciągnąć, namawiała przekonywająco do spożycia czegoś wzmacniającego, rozlewając gościom znaczne ilości swego jasnego i dosyć mocnego piwa, wykorzystywała jak mogła niespokojne czasy. Właśnie w chwili gdy obaj panowie weszli do sali, parobek z podwiniętymi rękawami koszuli i życzliwym uśmiechem na twarzy wnosił nowy zapas butelek, a chociaż godzina zrobiła się późna, tak że nie było już mowy o rewizji ustawy, nikt się jednak nie śpieszył do domu. Kawa dzisiejsza i tak już przepadła.

Konsul Buddenbrook odebrawszy kilka serdecznych uścisków dłoni, wyrażających uznanie z powodu osiągniętego sukcesu, podszedł niezwłocznie do teścia. Lebrecht Kr~oger był jedynym tu obecnym, którego humor się nie poprawił. Wyniosły, zimny i nieprzystępny, siedział na swym krześle, na wiadomość zaś, że kareta za chwilę podjedzie, odrzekł głosem szderym, drżącym bardziej z rozgoryczenia niż ze starości:

–Czy motloch raczy pozwolić, bym powrócił do mego domu?

Poruszając się sztywno, bez zwykłego wdzięku, pozwolił okryć się futrem, gdy zaś konsul zaofiarował się towarzyszyć mu, wsunął rękę pod ramię zięcia, mówiąc niedbale: – Merci.

Przed bramą, gdzie ku szczeremu zadowoleniu konsula zaczynało zapalać lampy, stała majestatyczna karoca z dwiema dużymi latarniami przy koźle, panowie wsiedli.

Kareta turkotała po ulicach;

Lebrecht Kr~oger siedział po prawej stronie konsula, z derką na kolanach, sztywno wyprostowany, niemy, nie opierając się o poduszki, a pod ostrymi końcami jego białych wąsów zarysowały się od kątów ust aż do podbródka dwie głąbokie prostopadle fałdy. Trawił go gniew z powodu doznanego upokorzenia. Zimno i bez wyrazu patrzył na puste siedzenie naprzeciwko.

Ulice ożywione były bardziej niż w niedzielny wieczór. Panował świąteczny nastrój. Lud, zachwycony pomyslnym przebiegiem rewolucji, krążył po mieście w doskonałym humorze. Śpiewano nawet. Niekiedy widząc przejeżdżającą karete chłopcy krzyczeli: hura! i podrzucali do góry czapki.

–Doprawdy, wydaje mi się, że ojciec zbyt się przejmuję – powiedział konsul. – Pomyśleć tylko, co to było za błazeństwo...

farsa... – Chcąc zaś otrzymać jakąś odpowiedź, usłyszeć jakąś uwagę, zaczął żywo rozprawiać o rewolucji w ogólności. – Gdyby masy nieposiadające pojęły, że działają w tych czasach wbrew własnym interesom... Ach, mój Boże, wszędzie to samo! Dziś po południu rozmawiałem z tym dziwakiem Goschem, który patrzył na wszystko wzrokiem poety lub dramaturga... Widzi ojciec, w Berlinie przygotowano rewolucję na estetyzujących herbatkach. Potem lud wziął sprawę w swoje ręce, ryzykując własną skórę. Czy mu się to opłaci?

–Dobrze byś zrobił otwierając okno po twojej stronie – powiedział pan Kröger.

Jan Buddenbrook szybko spojrział na niego i spiesźnie opuścił szybę.

–Czy drogi ojciec czuje się niezupełnie dobrze? – zapytał zaniepokojony.

–Nie. Wcale nie – odrzekł surowo Lebrecht Kröger.

–Potrzeba ojcu posiłku i wypoczynku – powiedział konsul i aby cośkolwiek zrobić, otulił derką kolana teścia.

Nagle – gdy ekwipaż toczył się przez Burgstrasse – stało się coś strasznego. O jakieś piętnaście kroków od pogrążonej w mrokach bramy miasta, gdy karetą przejeżdżała obok hałaśliwej gromady rozbawionych chłopaków, przez otwarte okno karety wpadł kamień. Był to sobie niewinny kamień polny, wielkości zaledwie kurzego jaja, ciśnięty na cześć rewolucji ręką jakiegoś Chrystiana Snuta lub Henryka Vossa, na pewno bez złej myśli i prawdopodobnie nie wymierzony nawet w pojazd. Bezdźwięcznie wpadł przez okno, bezdźwięcznie odbił się od otulonej grubym futrem piersi Lebrechta Krögera, równie bezdźwięcznie potoczył się po derce i padł na dno karety.

–Niezdarne grubiaństwo! – rzekł gniewnie konsul.

–Potracili głowy dziś

wieczorem... Ale chyba nie skaleczył ojca, co?

Stary Kröger milczał, milczał zatrzęsająco. W karetce było za ciemno, by móc dojrzeć wyraz jego twarzy. Siedział teraz jeszcze sztywniejszy, bardziej wyniosły i wyprostowany, nie dotykając plecami oparcia. Po pewnym czasie wymówił powoli, zimno i z trudem, jakby dobyte z głębi, jedno jedyne słowo: – Kanalie.

Nie chcąc go bardziej rozdrażniać konsul milczał. Pojazd przejechał z hałasem przez bramę, a w trzy minuty potem znaleźli się w szerokiej alei, przed zaopatrzoną w złożone szpice kratą, która otaczała Krögerowską posiadłość. Po obu stronach szerokiej ogrodowej bramy, prowadzącej na wysadzany kasztanami wjazd przed taras, płonęły jasno dwie latarnie ozdobione na wierzchu złożonymi kulami. Konsul dojrząwszy twarz teścia przeżal się. Była żółta i poorana obwisłymi bruzdami. Twardy, zimny i pogardliwy wyraz, który usta aż dotąd zachowały, zmienił się w słaby, tępy i starczy grymas... Karetą zatrzymała się przed tarasem.

–Proszę mi pomóc – rzekł Lebrecht Kröger, chociaż konsul, który wysiadł pierwszy, odrzucił już derkę i podawał mu ramię i rękę. Przeprowadził go wolno kilka kroków przez ścieżkę wysypaną żwirem, aż do białych błyszczących stopni, prowadzących do sali jadalnej. Tu kolana ugięły się pod starcem. Głowa opadła mu na pierś tak ciężko, że obwisła dolna szczęka ze stukiem uderzyła w górną. Oczy wywróciły się i zagasły...

Lebrecht Kröger, kawaler ~a la mode odszedł do swych przodków.

Rozdział piąty

W rok i dwa miesiące potem, pewnego śnieżnego styczniowego ranka roku 1850, pan i pani Grönlich siedzieli wraz z małą trzyletnią córeczką w stołowym pokoju, wyłożonym jasnobrunatnym drzewem, na krzesłach, z których każde kosztowało 25 marek. Jedli pierwsze śniadanie. Szyby okryte były szronem, zaledwie można było przez nie dojrzeć zarysy nagich drzew. W zielono polerowanym, niskim piecu, który stał w kącie obok otwartych drzwi prowadzących do buduaru, trzaskał ogień napełniając powietrze łagodnym, lekko pachnącym ciepłem. Po przeciwległej stronie, przez na pół rozsunięte zielone, sukienne portiery, widać było salon wybity ciemnobrązowym jedwabiem oraz wysokie, oszklone, obite waleczkami waty drzwi, za którymi nie wielki taras ginał w białawej, nieprzezroczystej mgłę. Z boku trzecie drzwi prowadziły na korytarz.

Na okrągłym stole śnieżnobiały adamaszek nakryty był zielonym, haftowanym lafreem i zastawiony tak cienką porcelaną, że lśniła jak masa perłowa. Maszynka do herbaty szumiała. W srebrnym koszyczku, kształtu dużego, lekko zwiniętego liścia, leżały bułeczki i kromki białego chleba. Pod kryształowym kloszem piętrzyły się małe kulki masła, pod innym zaś widniały różne gatunki sera: żółty, zielono żyłkowany oraz biały. Nie brakowało również czerwonego wina, którego butelka stała przed panem domu, pan Grönlich jadał bowiem gorące śniadania. Siedział odwrócony plecami do salonu, faworyty jego były starannie uczesane, a twarz wydawała się szczególnie różowa o tej rannej godzinie, był zupełnie ubrany, miał na sobie czarny

surdut i jasne spodnie w dużą kratę. Podług angielskiej mody jadł na pół surowy befsztyk. Małżonce jego wydawało się to bardzo wytworne, a zarazem wysoce obrzydliwe, toteż nigdy w życiu nie zdecydowałyby się zamienić na to swego zwykłego śniadania, złożonego z jajek oraz pieczywa.

Tonia była w szlafroku:

kochała się w szlafrokach. W jej oczach nic nie mogło się równać z eleganckim negliżem, ponieważ zaś w domu rodziców nie mogła zadośćuczynić tej namiętności, tym goręcej oddawała się jej jako mężatka. Posiadała trzy stroje poranne, owe wiotkie, delikatne suknie, przy których komponowaniu można rozwinąć więcej smaku, fantazji i wyrafinowania, niż kiedy się obmyśla balową toaletę. Dzisiaj miała na sobie ciemnoczerwoną poranną szatę, której kolor najzupełniej odpowiadał barwie obić nad boazerią, materiał delikatniejszy niż wata, przetykany był gęsto maleńkimi, szklanymi perełkami... Od szyi aż po rąbek sukni biegł szereg czerwonych aksamitnych kokard.

Obfite popielate włosy, również ozdobione ciemnoczerwoną aksamitną kokardą, były nad czołem skręcone w loki. Pomimo iż uroda jej dosięgła obecnie szczytu, o czym sama Tonia dobrze wiedziała, pozostał jej jednak ów dziecinny, naiwny i trochę zuchwały wyraz nieco wysuniętej górnej wargi. Powieki jej szarobłękitnych oczu zaczerwienione były od zimnej wody. Ręce, białe, nieco krótkie, lecz kształtne buddenbrookowskie ręce, w kostkach miękko opięte aksamitnymi mankietami rękawów, manewrowały nożem, widelcem lub filiżanką, lecz ruchy ich były dzisiaj jakieś nerwowe i pośpieszne.

Obok niej, ubrana w jasnoniebieską, niezgrabną i śmieszoną, robioną na drutach sukienkę z grubej wełny, siedziała w wysokim dziecięcym krzeselku mała Eryka, tłuste dziecko z krótkimi jasnymi lokami. Cała jej twarzyczka schowana była w wielkiej filiżance, którą trzymała obiema rączkami, pijąc mleko i wzdychając od czasu do czasu.

Pani Gr~unlich zadzwoniła; z korytarza weszła służąca Justynka, by zdjąć dziecko z krzeselka i zabrać do dziecinnego pokoju.

–Możesz ją przewieźć koło domu, ale nie dłużej niż pół godziny, i w grubym żakiecie, słyszysz?... Jest wilgotno. – Została sama z mężem.

–Nie bądź śmieszny – rzekła po chwili milczenia, widocznie nawiązując do przerwanej rozmowy... – Masz jakieś argumenty? Przytocz argumenty!... Nie mogę przecież ciągle zajmować się sama dzieckiem...

–Nie kochasz dzieci,

Antonino.

–Nie kochasz dzieci, nie kochasz dzieci. Nie mam dosyć czasu: pochłanianie mnie prowadzenie domu! Budzę się rano z myślą o dwudziestu rzeczach, które należy w ciągu dnia wykonać, a wieczorem kładę się z myślą o czterdziestu innych, które nie zostały wykonane...

–Masz dwie służące. Jesteś tak młoda...

–Właśnie, dwie służące.

Justynka musi pracować, czyścić, sprzątać, usługiwać. Kucharka jest wечно zajęta. Od rana już smaży ci befsztyki... Pomyśl tylko! Eryka musi prędzej czy później mieć jakąś bonę, wychowawczynię...

–Warunki nasze nie pozwalają na przyjęcie do niej już teraz oddzielnej osoby.

–Nasze warunki! O Boże, nie bądźże śmieszny! Czyż jesteśmy żebrakami? Czyż jesteśmy zmuszeni odmawiać sobie najkonieczniejszych rzeczy? O ile wiem, wniosłam ci osiemdziesiąt tysięcy...

–Ach, te twoje osiemdziesiąt tysięcy!...

–Naturalnie! Mówisz o tym lekceważąco... zależało ci na nich... Ożeniłeś się z miłości... Niech i tak będzie. Ale czy dalej mnie kochasz? Przechodzisz do porządku dziennego nad moimi uzasadnionymi życzeniami. Dziecko musi mieć bonę!... O powozie, koniecznym jak chleb powszedni, w ogóle nie ma już mowy... Dlaczegoż w takim razie mieszkamy za miastem, jeśli warunki nasze nie pozwalają mieć powozu, w którym moglibyśmy jeździć z wizytami? Dlaczego nie chcesz, bym jeździła do miasta?... Wolalbyś zakopać się tu raz na zawsze, nikogo nie widywać. Jesteś nudziarz!

Pan Gr~unlich nalal sobie do szklanki czerwonego wina, podniósł kryształowy klosz i wziął się do sera. Nie odpowiadał ani słowem.

–Kochasz mnie jeszcze? – powtórzyła Tonia. – Twoje milczenie jest tak niegrzeczne, że mam prawo przypomnieć ci

pewną scenę w naszym pokoju pejzażowym... Inaczej się wówczas zachowywałeś!... A tutaj od pierwszego dnia tylko wieczorami zaglądałeś do mnie, i tylko po to, by czytać gazetę. Z początku liczyłeś się przynajmniej trochę z moimi życzeniami. Ale to się dawno skończyło. Zaniedbujesz mnie!

–A ty? Rujnujesz mnie.

–Ja? Ja cię rujnuję?

–Tak. Rujnujesz mnie swym lenistwem, swą żądzą zbytków.

–O, nie wyrzucaj mi mego dobrego wychowania! W domu u rodziców niczym się nie zajmowałam. Tutaj musiałam, niestety, oswajać się z gospodarstwem, ale mogę przecież żądać, żebyś mi nie odmawiał najprostszej pomocy. Ojciec jest bogatym człowiekiem; nie przypuszczał, że mi kiedykolwiek zabraknie służby...

–To zaczekaj z trzecią służącą, aż będziemy mogli korzystać z tego bogactwa.

–Życzysz sobie może śmierci ojca!... Mówię, że jesteście zamożnymi ludźmi, że nie przyszedłam do ciebie z pustymi rękami...

Pan Grunlich uśmiechnął się, pomimo iż miał pełne usta; uśmiechnął się ironicznie, żałośnie i milcząco. Tonia widząc to zmieszana się.

–Słuchaj – rzekła spokojnie.

–Uśmiechasz się, mówisz o naszych warunkach... Czy ja jestem w błędzie co do naszego położenia? Czy nie powodzi ci się w interesach. Czy...

W tej chwili usłyszano pukanie, krótkie bębienie do drzwi korytarza; wszedł pan Kesselmeier.

Rozdział szósty

Jako przyjaciel domu, pan Kesselmeier wszedł do pokoju nie zameldowany, bez palta, bez kapelusza, i stanął we drzwiach. Powierzchność jego najzupełniej odpowiadała opisowi, który Tonia przesłała matce w jednym z listów. Był on nieco krępy, ale ani gruby, ani chudy. Miał na sobie czarny, nieco już wyszarzany surdut, także spodnie, zresztą trochę przyciasne i przykrótkie, oraz białą kamizelkę, na której długa, cienka dewizka od zegarka krzyżowała się z dwoma lub trzema sznureczkami od binokli. Na czerwonej twarzy żywo uwydatniały się białe przystrzyżone bokobrody, zakrywające policzki, a odsłaniające wargi i podbródek. Miał niewielkie, zabawne, ruchliwe usta i jedynie dwa zęby w dolnej szczęce. Stojąc pomieszany, zamyślony, jak gdyby nieprzytomny, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie spodni, pan Kesselmeier wyszczerzył swoje dwa żółte zęby. Szpakowaty puszek drżał lekko na jego głowie, mimo że nie czuło się najłżejszego powiewu.

Wreszcie wyjął ręce z kieszeni, schylił się, opuścił dolną wargę i z trudem odplątał na piersi jeden ze sznureczków. Szybkim ruchem włożył binokle, skrzywił się cudacznie, popatrzył na małżonków i wymówił – Aha.

Ponieważ zaś niezmiernie często używał tego wyrażenia, musimy dodać, że bardzo rozmaicie je wymawiał: to z odrzuconą w tył głową, to znów ze zmarszczonym nosem, z otwartymi ustami i wywijając rękami w powietrzu, przez ciągłym, nosowym lub metalicznym tonem przypominającym dźwięk chińskiego gongu... lecz umiał też, niezależnie od wielu odcieni, wyrzucać je krótko, niedbale, jak gdyby na stronie, co brzmiało może jeszcze śmieszniej, gdyż dźwięk „a” wymawiał bardzo nosowo. Dzisiaj wymówił przelotne, wesołe „aha”, potrząsając lekko i sztywno głową, jakby wypływało ono z niezwykle rozradowanego nastroju... a jednak nie należało zbytnio temu ufać, było bowiem faktem, że bankier Kesselmeier tym weselej się zachowywał, im bardziej niepewny był jego humor. Gdy na przykład wykrzykując bez końca: „aha” skakał podrzucając przy tym szkła na nos i opuszczając je znowu, trzepotał rękami, gadał i wyprawiał niestworzone błazeństwa, wówczas można było mieć pewność, że złość go pożera.

Pan Grunlich zmrużył oczy i przypatrywał mu się nieufnie.

–Tak wcześnie? – zapytał.

–Taak – odpowiedział pan Kesselmeier i potrząsnął w powietrzu swoją małą, czerwona, pomarszczoną ręką, jakby chciał powiedzieć: Trochę cierpliwości, jest niespodzianka... – Muszę z panem pomówić! Muszę niezwłocznie pomówić z panem! – powiedział to bardzo śmiesznie. Walkował w ustach każde słowo i wyrzucał je bezsensownie, wydymając swe małe, bezzębne, ruchliwe usta. Zmrużone oczy pana Grunlicha wyrażały coraz większą nieufność.

–Proszę, niech pan pozwoli, panie Kesselmeier – rzekła Tonia – niech pan siada. To ładnie, że pan przyszedł. Niech pan

posłucha. Pan nas rozsądzi. Sprzeczałam się z mężem... No, proszę powiedzieć: czy trzyletnia dziewczynka powinna mieć bonę, czy nie? Co?

Pan Kesselmeier nie zwrócił na nią żadnej uwagi. Usiadł na krześle i otwierając jak najszerzej swe małe usta oraz marszcząc nos drapał się wskazującym palcem po jednym z przyszytych bokobrodów, co wywoływało denerwujący szelest. Jednocześnie przyglądał się z niewypowiedzianą rozradowaną miną eleganckiemu śniadaniu, srebrnemu koszykowi, etykiecie na butelce czerwonego wina.

–Gr~unlich jest zdania – ciągnęła Tonia – że ja go rujnuję!

Pan Kesselmeier spojrział na nią... potem zaś na pana Gr~unlicha, a następnie wybuchnął wielkim śmiechem.

–Pani go rujnuje? – zawołał.

–Pani... go... pani... a więc pani go rujnuje?... O Boże! Ach, Boże! A to dobre!... Świetny żart! To świetny, świetny, świetny żart! – Po czym na najrozmaitsze tony począł wykrzykiwać swoje – Aha!

Pan Gr~unlich kiwał się na krześle z widocznym zdenerwowaniem. Na przemian to wkładał długi wskazujący palec między kołnierzyk a szyję, to znów przebierał palcami w swych złotozłoty faworytach.

–Panie Kesselmeier – rzekł wreszcie. – Uspokój się pan! Czyś pan oszalał? Przestań pan się wreszcie śmiać! Chcesz pan wina? Cygara? Czego się pan właściwie śmiejesz?

–Czego ja się śmieję? Tak, daj mi pan kieliszek wina, daj mi pan cygaro... Czego ja się śmieję? Więc pan uważasz, że małżonka pańska rujnuje pana?

–Jest zbyt przyzwyczajona do luksusu – rzekł gniewnie pan Gr~unlich.

Tonia bynajmniej nie zaprzeczyła. Siedząc wygodnie oparta, z rękami założonymi na aksamitnych kokardach szlafroka, rzekła wysuwając zuchwale górną wargę:

–Tak, taka już jestem. To jasne. Mam to po mamie. Wszyscy Kr~ogerowie mieli zawsze skłonność do luksusu.

Z równym spokojem

oświadczyłaby, że jest

lekkomyślna, porywczą lub mściwą. Zmysł rodzinny, będący tak wybitną cechą jej charakteru, sprawiał, że pojęcie wolnej woli i swobodnego stanowienia o sobie było jej najzupełniej obce, że z fatalistyczną niemal obojętnością uznawała wszystkie swe cechy i właściwości, nie próbując nic w sobie zmienić ani poprawić. Była ona zresztą zupełnie nieświadomie przekonana, że każda właściwość, bez względu na swoją wartość, stanowi dziedzictwo, tradycję rodzinną, a więc jest tym samym czymś czcigodnym, zasługującym zawsze na respekt.

Pan Gr~unlich skończył jeść śniadanie: zapach cygar zmieszał się z ciepłym bijącym z pieca.

–Nie ciągnie, panie

Kesselmeier? – zapytał pan domu.

–Weź pan inne. Należę panu jeszcze kieliszek wina... Więc pan chce mówić ze mną? Czy to pilne? Ważne?... A może tu za gorąco? Pojedziemy potem razem do miasta... W palarni jest chłodniej... – Ale na te wszystkie uprzejmości pan Kesselmeier potrząsał jedynie ręką w powietrzu, jak gdyby chciał powiedzieć: To nic nie pomoże, mój kochany!

Wreszcie wstano od stołu i podczas gdy Tonia pozostała w jadalni, by dopilnować sprzątaną po śniadaniu, pan Gr~unlich prowadził swego gościa przez buduar. Kręcąc w palcach jeden z bokobrodów, szedł przodem z pochyloną głową; pan Kesselmeier, wiosłując rękami, zniknął za nim w palarni.

Przeszło dziesięć minut. Tonia udała się na chwilę do salonu, aby pstryknąć piórką zmieść własnoręcznie kurz z błyszczącej orzechowej tafli maleńkiej sekretary oraz rzeźbionych nóg stołu, a następnie przeszła przez jadalnię do gabinetu. Szła wolno, z niezaprzeczoną godnością.

Jako pani Gr~unlich nie utraciła panna Buddenbrook nic ze swej dawnej dumy. Trzymała się nader prosto i przyciskając nieco brodę do piersi, spoglądała z wysoka. Wsunąwszy jedną rękę w kieszeń szlafroka, w drugiej zaś niosąc maleńki koszyk na klucze, kroczyła poważnie, a długie fałdy porannej szaty spływały miękko wzdłuż jej postaci, podczas gdy naiwny, nieświadomy wyraz ust zdradzał, że cała owa godność jest czymś nieskończenie dziecinny, niewinnym i zabawnym.

W buduarze spryskała rośliny w doniczkach małym, metalowym rozpylaczem. Bardzo lubiła swe palmy dodające mieszkaniu tyle wytworności. Ostrożnie dotknęła młodego pędu na grubej lodydze, uważnie zbadala majestatyczne wachlarze obcinając gdzieś nożyczkami żółty koniuszek... Nagle zaczęła nasłuchiwać. Rozmowa w palarni, od kilku minut już dość ożywiona, stała się teraz tak głośna, że słycać było stąd każde słowo, pomimo zamkniętych drzwi i grubej, opuszczonej portiery.

–Nie krzycz pan tak! Miarkuj się pan, na Boga! – wołał pan Gr~unlich, którego miękki głos nie znosił natężenia i stawał się piszczący... – Weź pan jeszcze jedno cygaro! – dodał z rozpaczliwą łagodnością.

–Dobrze, z największą

przyjemnością, dziękuję bardzo – odrzekł bankier, po czym nastąpiła pauza, podczas której pan Kesselmeier zapewne zapalał cygaro. Następnie powiedział: – Więc jednym słowem, chcesz pan czy nie chcesz pan, jedno z dwojga!

–Panie Kesselmeier, prolonguj pan!

–Aha? Nie_he, mój kochany, w żadnym razie, o tym w ogóle nie ma mowy.

Pan Kesselmeier wymawiał „nie”, jak wyraz dwuzgłoskowy akcentując przy tym końcowe „e”.

–Dlaczego nie? Co pana ukąsiło? Bądźże pan rozsądny, na miłość boską! Czekaleś pan tak długo...

–Ani dnia dłużej, mój

kochany! No, powiedzmy tydzień, ale ani godziny dłużej! Czy polega jeszcze ktoś na...

–Bez nazwisk, panie

Kesselmeier!

–Bez nazwisk... pięknie. Czy polega jeszcze ktoś na szanownym pańskim teś...

–Bez określeń! Na miłość boską, nie blaznuj pan!

–Pięknie... bez określeń! Czy polega jeszcze kto na wiadomej firmie, od której zależy pański kredyt? Ile straciła ona na bankructwie w Bremie?

Pięćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Sto tysięcy? Jeszcze więcej? Że była zaangażowana, niebywale zaangażowana, o tym śpiewają wróble na dachu... To jest kwestia nastroju. Wczoraj był... dobrze, bez nazwisk! Wczoraj wiadoma firma była dobra i chroniła pana przed trudnościami... Dzisiaj jest ona kiepska, a B. Gr~unlich jest już nic niewart... to chyba jasne? Nie widzisz pan tego? Pan chyba pierwszy powinien odczuwać takie wahania... Jak pana dziś traktują? Jak na pana patrzą? Bock i Goudstikker są zapewne uprzedzający i pełni zaufania? Jakże się zachowuje Bank Kredytowy?

–Prolonguje mi.

–Aha? To pan kłamiesz?

Przecież wiem, że już wczoraj rozpoczęli pierwsze kroki. A widzisz pan!... Ale nie wstydz się pan. To leży naturalnie w pańskim interesie... zapewniam mnie, że inni są w dalszym ciągu spokojni i pewni... Nie-he, mój kochany! Pisz pan do konsula. Czekam tydzień.

–Ułóżmy się, panie

Kesselmeier!

–Układanie się tu i tam!

Propozycji wysłuchuje się, aby zbadać czyjaś zdolność płatniczą! Czy z panem potrzebne mi są takie eksperymenty? I tak wiem dokładnie, jak się ma sprawa z pańską zdolnością płatniczą! Cha, cha... Układać się! To świetny żarcik!...

–Trochę ciszej, panie

Kesselmeier! Nie śmieć się pan tak ciągle! Jestem doprawdy w tak ciężkiej sytuacji... tak, przyznaję, że sytuacja jest ciężka, ale mam napiętych tyle interesów... Wszystko może się dobrze skończyć. Słuchaj pan: sprolonguj, a wystawię panu weksle na dwadzieścia procent...

–Nic z tego, nic z tego... to śmieszne, mój kochany! Nie_he, ja lubię sprzedaż w dobrej chwili! Ofiarowałeś mi pan osiem procent i sprolongowałem. Ofiarowałeś pan dwanaście i szesnaście procent i znów sprolongowałem. Teraz mógłbyś mi pan zaproponować czterdzieści, nawet bym o tym nie pomyślał, mój kochany! Od chwili gdy „Bracia Westfahl” w Bre mie zbankrutowali, każdy chce wypłatać się z interesów z tą firmą. Jak powiadam, lubię sprzedaż w dobrej chwili. Honorowałem pańskie weksle, póki Jan Buddenbrook był bezwzględnie dobry... i mogłem tymczasem doliczać do kapitału zaległe odsetki; każdą rzecz trzyma się tak długo, póki rośnie w cenie lub przynajmniej mocno stoi, ale kiedy zaczyna się chwiać, sprzedaje się ją... Jednym słowem, żądam mego kapitału.

–Jesteś pan bezwstydnym, panie Kesselmeier!

–A_aha, bezwstydnym, to świetny żart! Czego pan chcesz właściwie? Tak czy inaczej, musisz się pan zwrócić do teścia! Bank Kredytowy krzyczy i poza tym nie jesteś pan znów taki nieskazitelny...

–Nie, panie Kesselmeier... zaklinam pana, posłuchaj mnie wreszcie!... Jestem szczerzy, wyznaję panu otwarcie, że sytuacja moja jest poważna. Pan oraz Bank Kredytowy nie jesteście jedyni...

Przedstawiono mi do zapłaty weksle... Wszystko się sprzysięgło.

–To zrozumiałe. W takich warunkach... Ale tu już nic nie pomoże.

–Nie, panie Kesselmeier, posłuchaj mnie pan!... Zrób mi pan tę przyjemność, weź pan jeszcze jedno cygaro...

–Jeszcze tego ani do połowy nie wypalil! Daj mi pan spokój z pańskimi cygarami! Płać pan...

–Panie Kesselmeier, nie daj mi pan teraz upaść... Przecież jesteś pan moim przyjacielem, bywałeś moim gościem.

–A pan moim to niby nie, mój kochany?

–Tak, tak, ale nie wypowiadaj mi pan teraz kredytu, panie Kesselmeier...

–Kredyt? Jeszcze i kredyt?

Czyś pan przy zdrowych zmysłach?

Nowa pożyczka...

–Tak, panie Kesselmeier, zaklinam pana... niewiele, drobnostkę!... Muszę tu i tam załatwić kilka drobnych spłat, aby odzyskać szacunek i cierpliwość... Podtrzymaj mnie pan, a dobrze na tym wyjdiesz! Jak powiadam, mam napiętych wiele interesów... Wszystko będzie dobrze... Pan wiesz, jestem ruchliwy i pomysłowy...

–Jesteś pan głupiec i gawron, mój kochany! Bądź pan tak niezwykle dobry i powiedz mi, co pan jeszcze wymyślisz? Może gdzie znajdziesz na szerokim świecie jakiś bank, który będzie chciał pożyczyć panu choć jeden grosz? Albo może jeszcze jednego teścia? Ach, nie... Najlepsze posunięcie masz pan za sobą! Czegoś takiego nie dokażesz pan drugi raz! Z całym szacunkiem! Nie_he, najwyższe uznanie.

–Mówże pan ciszej, do

diabła...

–Głupiec z pana! Ruchliwy i pomysłowy... tak, ale zawsze na cudzą korzyść! Nie masz pan bynajmniej skrupułów, a pomimo to nie wyciągasz pan z tego żadnych korzyści. Popelniałeś pan oszustwa, krętymi drogami zdobyłeś kapitał i tylko po to, aby mi zamiast dwanaście płacić szesnaście procent. Skwitowałeś pan z uczciwości i nic ci z tego nie przyszło. Masz pan przytępione sumienie, a jednocześnie jesteś pan pechowcem, półgłówkiem i błaznem! Bywają tacy ludzie; są oni bardzo śmieszni... Czegóż ostatecznie tak się pan boisz zwrócić do teścia? Dlatego że panu niezbyt zręcznie z tym wystąpić? Dlatego że wtedy, cztery lata temu, nie wszystko było w zupełnym porządku? Nie wszystko było zupełnie czysto zrobione, co? Boisz się pan, że by pewne rzeczy...

–Dobrze, panie Kesselmeier, napiszę. Ale jeśli mi odmówi? Jeśli mnie nie uratuje?...

–O, aha!... Wtedy

zbankrutujesz pan, takie male, bardzo zabawne bankructwo, mój kochany! Nic mnie to nie obejdzie, ani trochę! Ja osobiście, dzięki odsetkom, które od czasu do czasu wyciągałem od pana, prawie wychodzę na swoje... a w razie licytacji mam pierwszeństwo, mój drogi... I zobaczysz pan, nie dam się podejść. Wiem dokładnie, co pan posiadasz! Zawczasu już mam w kieszeni spis inwentarza... aha! już ja się postaram, żeby nie ukryto żadnego srebrnego koszyczka do chleba,

żadnego szlafrocza...

–Panie Kesselmeier, bywałeś pan moim gościem...

–A dajże mi pan spokój ze swoją gościnnością!... Za tydzień przyjdę po odpowiedź. Idę do miasta, trochę ruchu dobrze mi zrobi. Do zobaczenia, mój kochany! Do miłego zobaczenia...

I pan Kesselmeier wyniósł się. Słysząc było w korytarzu jego dziwaczne, szurające kroki, prawie widać było, jak wiosłuje rękami...

Gdy pan Gr~unlich wszedł do buduaru. Tonia stała tam z rozpylaczem w ręce i patrzyła mu w oczy.

–Czego tu stoisz... czego patrzysz... – powiedział błyskając zębami, wykonując rękami niepewne ruchy i chwiejąc się na nogach. Różowa jego twarz nie bladła nigdy. Teraz pokryta była czerwonymi plamami jak twarz chorego na szkarlatynę.

Rozdział siódmy

Konsul Jan Buddenbrook przyjechał do willi Gr~unlichów o godzinie drugiej po południu; wszedł do salonu w szarym podróżnym płaszczu i uściskał córkę z nieco bolesną serdecznością. Był bladej i wydawał się postarzały. Małe jego oczy były jeszcze bardziej wpadnięte, policzki wychudzone, duży nos sterczał ostro, wargi wydawały się cieńsze, zarost zaś, który dotąd nosił rozdzielony na dwie części biegnące od skroni do połowy policzków, teraz na pół zakryty sztywnym watterm~orderem oraz wysoko zawiązanym krawatem, zarastał szyję poniżej podbródka i dolnej szczęki, a był tak szpakowaty jak włosy na głowie.

Konsul przeżył ostatnio ciężkie chwile. Tom dostał krwotoku płucnego. Pan van Kellen listownie zawiadomił ojca o nieszczęściu. Pozostawiając interesy w dość wiadczonych rękach prokurenta, konsul pośpieszył najkrótszą drogą do Amsterdamu. Okazało się, że choroba syna nie zagraża jego życiu, zalecono jednak pobyt na południu Francji; że zaś podobną podróż planował również młody syn jego pryncypała, zatem, skoro tylko Tomasz wzmacnił się nieco po chorobie, obaj młodzi ludzie pojechali do Pau.

Zaledwie konsul powrócił do domu, dowiedział się o ciosie, który na chwilę wstrząsnął fundamentami firmy; o owym bankructwie w Bremie, na którym stracił z miejsca osiemdziesiąt tysięcy marek... Ciągnięte weksle na firmę „Bracia Westfahl”, zdyskontowane, powróciły z protestem. Nie znaczyło to, że zabrakło pokrycia; firma od razu, bez wahań i trudności wykazała swą zdolność płatniczą. Konsulowi jednak dane było zakosztować owego nagłego oziębienia, owej nieufności, jaką reagują zazwyczaj banki, „przyjaciele” oraz zagraniczne firmy na nieszczęścia tego rodzaju i na takie uszczuplenia kapitału.

Cóż, otrząsnął się, rozważył całą sprawę, uspokoił się... stawiał wszystkiemu czoło. Wówczas jednak, pośród walki, pośród depesz, listów, obrachunków, spadło na niego jeszcze i to: Gr~unlich, B. Gr~unlich, mąż jego córki, był niewypłacalny; w długim, zagmatwanym i nieskończenie żalonym liście lamentował, prosił, błagał o pomoc, o sto lub sto dwadzieścia tysięcy marek! Zwiźle, ostrożnie, ogólnikowo poinformował konsul żonę; na list odpowiedział chłodno, że prosi o możliwość porozumienia się z panem Gr~unlichem w jego domu, w obecności wspomnianego w liście bankiera Kesselmeyera, po czym pojechał do Hamburga.

Tonia przyjęła go w salonie.

Był to jej punkt honoru:

przyjmować wizyty w owym salonie obitym ciemnobrunatnym jedwabiem; ponieważ zaś, nie zdając sobie z tego dobrze sprawy, miała niejasne, lecz przejmujące i uroczyste poczucie ważności obecnej sytuacji, nie odstąpiła i dziś od owego zwyczaju. Wyglądała dobrze, ładnie i poważnie; ubrana była w jasnoszarą suknię, ozdobioną koronkami na piersiach i przy rękawach, a spiętą u szyi brylantową klamrą; suknia owa miała zgodnie z najnowszą modą szerokie rękawy i takąż krynolinę.

–Dzień dobry, ojczulku, nareszcie oglądamy cię u nas! Jak się miewa mama?... Dobre masz wiadomości od Toma? Zdejm palto, siadaj, proszę, kochany ojczulku!... Nie chciałbyś odświeżyć się trochę? Kazalam przysposobić dla ciebie gościnny pokój na górze... Mąż także właśnie się ubiera...

–Zostawmy go tymczasem, moje dziecko, zaczekam na niego tu na dole. Wiesz zapewne, że przyjechałem, by porozumieć się z twoim mężem... w bardzo, bardzo ważnej sprawie, moja kochana Toniu. Czy pan Kesselmeier już przyszedł?

–Tak, ojczulku, siedzi w buduarze i ogląda albumy...

–Gdzież Eryka?

–Na górze, w swoim pokoju z Justynką, bardzo dobrze się bawi. Kąpie właśnie lalkę... oczywiście bez wody... woskowa lalka... tylko tak na niby...

–Rozumie się. – Konsul odetchnął i ciągnął dalej: – Nie sędzę, kochane dziecko, abyś była wtajemniczona w położenie... w sytuację twojego męża?...

Opadł na jeden z foteli otaczających duży stół, podczas gdy Tonia spoczęła u jego nóg na niskim krzeselku, składającym się z trzech jedwabnych poduszek położonych jedna na drugiej. Palcami prawej ręki muskała brylantową klamrę spinającą jej suknię u szyi.

–Nie, ojczulku –

odpowiedziała Tonia. – Muszę ci to wyznać, nie wiem o niczym. Boże drogi, wiesz przecież, że jestem gąska, nie mam o niczym pojęcia! Ostatnio słyszałam coś niecoś, gdy mąż rozmawiał z Kesselmeylem... W końcu zdawało mi się, że Kesselmeylem żartuje... zawsze tak śmiesznie mówi. Ze dwa razy usłyszałam twoje nazwisko...

–Usłyszałaś moje nazwisko? W jakim znaczeniu?

–Nie, o znaczeniu nic nie wiem, ojczulku!... Od tego dnia mąż był nadąsany... nieznosny, muszę to przyznać!... Aż do wczoraj, wczoraj usposobiony był czule i z dziesięć razy pytał, czy go kocham, czy powiedziałabym za nim dobre słowo do ciebie, gdyby on musiał cię o coś prosić.

–Ach...

–Tak... powiedział mi, że pisał do ciebie, że przyjedziesz... Jak to dobrze, żeś przyjechał! Jest tu trochę nieprzyjemnie... Mąż przygotował zielony stolik... całe masy papierów i ołówków... masz tam podobno odbyć naradę z nim i z Kesselmeylem...

–Słuchaj, kochane dziecko – powiedział konsul gładząc ją po głowie... – Muszę cię o coś zapytać, o coś poważnego! Powiedz no... wszak kochasz twego męża z całego serca...

–Naturalnie, ojczulku – rzekła Tonia z tak dziecinnie figlarnym wyrazem twarzy, jaki przybierała niegdyś, gdy pytano ją: „Nie będziesz więc jej dokuczała handlarce lalek, Toniu?...” Konsul umilkł.

–A zatem kochasz go tak, że bez niego nie mogłabyś żyć... w żadnym razie, tak? Nawet wówczas, gdyby Bóg tak zrządził, że sytuacja jego zmieniałaby się do tego stopnia, iż nie mógłby cię już otaczać tymi wszystkimi rzeczami?... – Ręka jego zakreśliła przelotny ruch w kierunku mebli, portier, złoczonego zegara stojącego na lustrzanej etażerze, wreszcie jej sukni.

–Naturalnie, ojczulku – powtórzyła Tonia uspokajającym głosem, którego używała stale, gdy ktoś mówił z nią poważnie.

Spoglądała na okno, za którym

bezdźwięcznie drgała gęsta,

delikatna zasłona deszczu. Oczy

jej pełne były wyrazu, jaki

przybierają dzieci, kiedy osoba

czytająca im właśnie bajkę jest

tak nietaktowna, że wtrąca swoje

własne morały, dotyczące na

przykład spełniania

obowiązków... była to

mieszanina zakłopotania i zniecierpliwienia, gorliwości i niezadowolenia.

Konsul w milczeniu obserwował ją przez chwilę, mrużąc oczy. Czy był zadowolony z jej odpowiedzi?

Podczas swej podróży miał on dość czasu, by wszystko zważyć i przemyśleć...

Łatwo pojąć, że pierwszym postanowieniem Jana ŃBuddenbrooka było, iż należy uniknąć wyłożenia jakiegokolwiek sumy. Przypomniał sobie jednak, jak natarczywie, że użyje my słabego wyrażenia, popierał on to małżeństwo, wywoławszy w pamięci spojrzenie, jakim wyjeżdżając z domu zegnało go dziecko, i słowa: – Czyś ze mnie zadowolony? – poddał się dość przytłaczającemu poczuciu winy wobec córki oraz doszedł do wniosku, że jedynie jej wola powinna rozstrzygnąć tę sprawę. Wiedział on dobrze, że Tonia nie z miłości zawarła ów związek, liczył się jednak z możliwością, że te cztery lata, przyzwyczajenie, wreszcie urodzenie dziecka mogły dużo zmienić, że przywiązawszy się do męża ciałem i duszą, Tonia nie zechce teraz rozstać się z nim; wreszcie bacząc na zasady chrześcijańskie oraz względy światowe konsul doszedł do wniosku, że w takim wypadku musiałby zdecydować się na ofiarowanie każdej sumy.

Wprawdzie tak obowiązki

chrześcijańskie, jak i godność

kobiety wymagały, żeby Tonia

bezw warunkowo nie opuszczała

swego męża w nieszczęściu, gdyby

jednak rzeczywiście wyrazić

miała to postanowienie, czuł, że

wówczas nie miałby prawa odmówić

jej w dalszym ciągu tych

wszystkich przyjemności i wygod

życiowych, do jakich

przyzwyczajona była od

dzieciństwa... Należałoby wówczas nie dopuścić do katastrofy i podtrzymać B. Gr~unlicha za wszelką cenę. Słowem, w wyniku swych rozważań postanowił zabrać córkę wraz z dzieckiem, a pana Gr~unlicha pozostawić własnemu losowi. Oby Bóg nie dopuścił do tej ostateczności! Na wszelki wypadek przestudiował paragraf prawa głoszący, iż niezdolność męża do wyżywienia żony i dzieci uprawnia do rozwodu. Przede wszystkim jednak należało wybadać zapatrywania córki...

–Widzę – mówił dalej, gładząc jej włosy – że kierujesz się dobrymi i chwalebny mi zasadami, moje kochane dziecko. Jednak nie wydaje mi się, że patrzysz na rzeczy tak, jak niestety należałoby patrzeć, to jest licząc się z faktami. Nie pytałem cię, jak postąpiłabyś w takim czy innym wypadku, lecz jak postąpisz natychmiast, dziś. Nie wiem dokładnie, jak dalece zdajesz sobie sprawę z warunków... mam więc smutny obowiązek powiedzieć ci, że twój mąż zmuszony jest zawiesić wypłaty, że nie może dalej prowadzić interesów, zdaje się, że mnie rozumiesz...

–Gr~unlich bankrutuje? – rzekła cicho Tonia podnosząc się z poduszek i chwytając rękę konsula.

–Tak, moje dziecko – rzekł poważnie. – Nie podejrzewałaś tego?

–Nie podejrzewałam nic konkretnego... – wyjąkała. –

Więc Kesselmeier nie żartował?... – mówiła dalej wpatrując się uporczywie w brązowy dywan...

–O Boże! – krzyknęła nagle, padając z powrotem na poduszki. Dopiero w tej chwili stanęło przed jej oczami to wszystko, co zawarte jest w słowie „bankructwo”... owa niepewność i przeżenie, jakie odczuwała na myśl o tym, gdy była jeszcze dzieckiem... Bankructwo... było to coś okropniejszego niż śmierć, było to zamieszanie, upadek, ruina, hańba, wstyd, rozpacz i nędza... – Bankrutuje! – powtórzyła. Była tak zmiażdżona i przybita tym słowem, że nie pomyślała nawet o ratunku, choćby pochodzącym od ojca.

Konsul podnosząc brwi obserwował ją swymi małymi, głęboko osadzonymi oczami, które pomimo smutku i znużenia wyrażały niezwykle napięcie.

–Zapytuję więc – mówił łagodnie – moja droga Toniu, czy jesteś zdecydowana nie opuścić twego męża nawet w biedzie?

...

–Jednocześnie uświadomił sobie, że wyrazu „bieda” użył instynktownie jako środka odstraszącego, dodał też zaraz: –

Może później jego sytuacja się poprawi...

–Naturalnie, ojczulku – odrzekła Tonia. Zalała się łzami. Łkała w batystową chusteczkę ozdobioną koronkami i monogramem A.G. Zachowała swój dawny dziecinny rodzaj płaczu: bez krępowania się i udawania. Górna jej warga miała przy tym nie wypowiedziane wzruszający wyraz. Ojciec obserwował ją w dalszym ciągu.

–Mówisz to poważnie, moje dziecko? – zapytał. Był teraz równie bezradny jak ona.

–Czyż nie powinnam – łkała. – Przecież powinnam...

–Bynajmniej! – zawołał z żywością, poprawił się jednak: – Nie mógłbym zmuszać cię do tego, moja droga Toniu. Tylko w tym wypadku, gdyby uczucia twoje nie wiązały cię nierozdzielnie z mężem...

Patrzyła na niego oczami tonącymi we łzach, nic nie rozumiejąc.

–Jak to, ojczulku?...

Konsul spoglądał przez chwilę w różne strony, wreszcie znalazł punkt wyjścia.

–Moje drogie dziecko, wierzaj mi, że byłoby to dla mnie zbyt bolesne, gdybym musiał przedstawić ci wszystkie klęski i przykrości, jakie nastąpiłyby bezpośrednio po nieszczęściu twego męża, po rozwiązaniu jego przedsięwzięcia i całego twego domu... Pragnąłbym oszczędzić ci tych nieprzyjemności i tymczasem zabrać cię do domu wraz z naszą małą Eryką. Wydaje mi się, że będziesz mi za to wdzięczna...

Tonia milczała przez chwilę, osuszając łzy. Chuchała ciągle w chusteczkę i przykładała ją do oczu, by je ustrzec od zacerwienia, następnie zapytała zdecydowanym tonem, nie podnosząc głosu: – Ojczulku, czy Grunlich jest winien? Czy wpadł w nieszczęście z powodu lekkomyślności i nieuczciwości?

–Bardzo możliwe! – rzekł konsul. – To jest... nie, tego nie wiem, moje dziecko... Powiedziałem ci, że czeka mnie jeszcze rozmowa z nim i jego bankierem...

Tonia zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na tę odpowiedź. Siedziała na swych trzech jedwabnych poduszkach, pochylona naprzód i opierając podbródek na dłoni, marzycielsko i w zamyśleniu patrzyła na pokój.

–Ach, ojczulku – rzekła cicho, zaledwie poruszając wargami – czyż wtedy nie byłoby lepiej...

Konsul nie mógł dojrzeć jej twarzy, malował się na niej wyraz podobny do tego, jaki miała w owe wieczory w Trave-münde, kiedy wyglądała przez okno swego pokoiku... Jedna z jej rąk oparta była o kolana ojca, dłoń zwisała swobodnie. Nawet i owa dłoń wyrażała nieskończenie bolesną, cichą rezygnację, słodką, pełną wspomnień tęsknotę, która płynęła w dal...

–Lepiej? – zapytał konsul Buddenbrook. – Gdyby to nie było się stało, moje dziecko?

Był przygotowany na wyznanie, że lepiej by było nie zawierać tego małżeństwa, ale Tonia rzekła tylko z westchnieniem: – Ach, nic!

Zdawało się, że przebywa myślami daleko stąd, że zapomina nawet o „bankructwie”...

–Wydaje mi się, że odgaduję twe myśli, droga Toniu – powiedział – ja ze swej strony przyznaję, że krok, który parę lat temu wydawał mi się rozumny, uważam teraz za godny pożałowania... szczerego pożałowania. Zdaje mi się jednak, że nie zawinił wobec Boga. Sądzę, że spełniłem swój obowiązek starając się stworzyć ci odpowiednią egzystencję... Bóg chciał inaczej... nie będziesz myślała o twym ojcu, że wówczas lekkomyślnie i bez zastanowienia postawił twą przyszłość na kartę! Grunlich wszedł w stosunki ze mną, jest synem pastora, cieszył się dobrą opinią jako człowiek światowy i bogoboyny... Pote m zasięgałem jeszcze o nim wiadomości, dowiadywałem się o położenie materialne, informacje brzmiały jak najpomyślniej. Wszystko to jest ciemne, ciemne... i wymaga wyjaśnienia. Nieprawdaż, nie masz do mnie żalu...

–Nie, ojczulku! Jak możesz mówić coś podobnego! Nie przejmuj się tym, biedny ojczulku... jesteś taki błady, może weźmiesz krople? – objęła ramionami jego szyję i całowała go w policzki.

–Dziękuję ci – powiedział – no, no... daj już spokój, dziękuję ci. Przeszedłem ciężkie chwile... Cóż robić? Miałem duże przykrości. Bóg doświadcza ludzi. Ale niezależnie od tego nie mogę się czuć wobec ciebie zupełnie bez winy, moje dziecko. Najważniejszą rzeczą jest teraz, byś mi dała wyczerpującą odpowiedź na moje pytanie. Powiedz mi otwarcie, Toniu... czy w ciągu tych lat wspólnego pożycia pokochałaś męża?

Tonia rozplakala się na nowo, zasłaniając oczy obiema rękami, w których trzymała batystową chusteczkę. Wreszcie wymówiła ze łkaniem:

–Ach, o co ty mnie pytasz, ojczulku!... Nigdy go nie kochałam, zawsze był mi wstrętny... czyż nie wiesz tego?...

Trudno określić, co wyrażała twarz Jana Buddenbrooka. Spojrzał na nią smutnie i z przestraczeniem, a jednocześnie ruchem, jaki zwykł był czynić po przeprowadzeniu jakiegoś korzystnego interesu, zacisnął wargi, tak że w kątach ust i na policzkach utworzyły się zmarszczki. Powiedział cicho:

–Cztery lata.

Łzy Toni obeschły nagle. Trzymając jeszcze w ręce wilgotną chusteczkę wyprostowała się na poduszkach i rzekła gniewnie:

–Cztery lata, ha! czasem zaglądał do mnie wieczorami, by przejrzeć gazetę, w ciągu tych czterech lat...

–Bóg dał wam dziecko – rzekł konsul ze wzruszeniem.

–Tak, ojczulku, ja bardzo kocham Erykę... chociaż Gr~unlich utrzymuje, że nie kocham dzieci... Nigdy w życiu nie rozstałabym się z nią... ale Gr~unlich – nie!... Gr~unlich – nie!... A teraz jeszcze w dodatku bankrutuje!... Ach, ojczulku, jeśli chcesz zabrać mnie razem z Eryką do domu... z radością! Teraz już wiesz!

Konsul zacisnął powtórnie usta; był niezmiernie zadowolony. Należało jeszcze wyjaśnić główne punkty, ale wobec zdecydowanej postawy Toni niewiele już się przy tym ryzykowało.

–Pomimo wszystko – powiedział

–muszę ci zwrócić uwagę, moje dziecko, że pomoc nie byłaby jednak wykluczona... i to z mojej strony. Twój ojciec wyznał ci dopiero co, że czuje się względem ciebie niezupełnie bez winy i w razie... no tak, w razie, gdybyś tego po nim oczekiwała... wdałby się w tę sprawę, nie dopuściłby do bankructwa, pokryłby mniej więcej długi twego męża i podtrzymał jego interesy.

Przyglądał jej się badawczo, lecz wyraz jej twarzy zadowolił go. Malowało się na niej zdziwienie.

–O jaką sumę właściwie idzie?

–zapytała.

–To nie ma nic do rzeczy, moje dziecko... o bardzo dużą sumę! – Konsul Buddenbrook pokiwał głową, co wyglądało, jak gdyby odruch ten wywołany był myślą o wielkości tej sumy. – Nie mogę zresztą – ciągnął dalej – ukrywać przed tobą, że niezależnie od tego firma poniosła straty i że ofiarowanie tej sumy doprowadziłoby do uszczuplenia kapitału, po którym byłoby bardzo, bardzo ciężko znowu się podnieść. Nie mówię tego bynajmniej, aby...

Nie dokończył... Tonia zerwała się, postąpiła nawet parę kroków w tył i trzymając jeszcze ciągle w ręce wilgotną koronkową chusteczkę zawołała:

–Dobrze! Dość tego! Nigdy!

Wyglądała niemal heroicznie.

Wyraz „firma” przesądził sprawę. Najprawdopodobniej podziałał on jeszcze silniej niż niechęć względem pana Gr~unlicha.

–Nie uczynisz tego, ojczulku!

–mówiła dalej w rozdrażnieniu.

–Może i ty jeszcze masz zbankrutować? Dość tego! Nigdy!

W tej chwili drzwi od korytarza otworzyły się trochę niepewnie i wszedł pan Gr~unlich.

Jan Buddenbrook podniósł się z miejsca takim ruchem, jakby mówił: sprawa załatwiona.

Rozdział ósmy

Twórca pana Gr~unlicha pokrywały czerwone plamy, ubrany był jednak bardzo starannie. Miał na sobie czarny, faldzisty, solidny surdut, spodnie koloru kości słoniowej, wszystko przypominało strój, w którym niegdyś złożył pierwszą wizytę na

Mengstrasse. Stał z opuszczonymi bezradnie rękami i patrząc w ziemię rzekł miękko, matowym głosem:

–Ojciec.

Konsul skłonił się zimno i energicznym ruchem poprawił krawat.

–Dziękuję, że ojciec przyjechał – rzekł pan Gr~unlich.

–Było to moim obowiązkiem, mój przyjacielu – odrzekł konsul – obawiam się jednak, że jest to jedyna rzecz, jaką będę mógł uczynić w tej sprawie.

Zięć rzucił mu szybkie spojrzenie, a jego postawa wyrażała jeszcze większą bezradność.

–Słyszałem – ciągnął dalej konsul – że oczekuje nas twój bankier, pan Kesselmeyer... gdzie ma się odbyć rozmowa? Jestem do twojej dyspozycji...

–Niech ojciec pozwoli ze mną

–wymamrotał pan Gr~unlich.

Konsul Buddenbrook pocałował córkę w czoło i powiedział:

–Idź na górę do dziecka, Antonino!

Poszedł za panem Gr~unlichem, który kręcił się to za nim, to przed nim, rozsuwając portiery; przez pokój stołowy przeszli do gabinetu.

Pan Kesselmeyer odwrócił się od okna, przez które wyglądał. Szpakowaty puch na jego głowie poruszył się i opadł z powrotem na czaszkę.

–Pan bankier Kesselmeyer.

Konsul Buddenbrook, mój teść – powiedział poważnie i skromnie pan Gr~unlich. Twarz konsula pozostała nieporuszona. Pan Kesselmeyer stojąc ze zwieszonymi rękami pochylił się w ukłonie; pokazał oba swoje żółte zęby i rzekł:

–Sługa pański, panie konsulu!

Bardzo mi miło, że mam

przyjemność!

–Wybacz pan, panie

Kesselmeyer, żeś pan musiał czekać – rzekł pan Gr~unlich. Był on wielce ugrzeczniony zarówno wobec jednego, jak i drugiego swego gościa.

–Przystąpimy do rzeczy? – zapytał konsul rozglądając się wyczekująco. Pan domu pośpieszył z odpowiedzią: – Panowie będą łaskawi...

Gdy przechodzili do palarni, pan Kesselmeyer odezwał się uprzejmie:

–Dobrą miał pan podróż, panie konsulu?... Aha, deszcz? Tak, niedobra pora roku, brzydka, brudna pora roku! Gdybyż choć trochę mrozu, trochę śniegu!... A tu nic z tego! Deszcz! Błoto!

Bardzo, bardzo nieprzyjemnie...

„Cóż to za dziwny człowiek” – pomyślał konsul.

Pośrodku niewielkiego pokoju, obitego ciemną materią w kwiaty, stał dość obszerny, czworokątny stół okryty zielonym sukniem. Deszcz za oknami wzmógł się. Było tak ciemno, że pan Gr~unlich od razu zapalił trzy świece stojące w srebrnych lichtarzach na stole. Zielone sukno zarzucone było błękitnymi firmowymi kopertami oraz starymi, gdzieśniedzie naddartymi papierami, na których widniały daty i nazwiska. Leżała też tam gruba księga główna oraz kałamarz najeżony gęsiami piórami, piaseczniczka i ołówki.

Pan Gr~unlich czynił honory domu cicho, taktownie i powściągliwie, podobnie jak przyjmuje się gości przybyłych na pogrzeb.

–Drogi ojcze, oto fotel – rzekł łagodnie. – Panie Kesselmeyer, bądź pan łaskaw usiąść tutaj...

Wreszcie zajęli miejsca. Bankier usiadł na wprost pana domu, konsul zaś na przydzielonym miejscu na fotelu. Oparcie fotela przytykało do drzwi wychodzących na korytarz.

Pan Kesselmeyer nachylił się, opuścił dolną wargę, rozplątał na swej kamizelce jedną z dwu par binokli i włożył ją sobie na nos marszcząc go i otwierając usta. Następnie podrapał się z denerwującym szelestem w jeden z przyszytych faworytów, położył ręce na kolanach, skłonił się w stronę papierów i rzekł krótko i wesoło:

–Aha! Więc tu leży cały ten kram!

–Pozwolą panowie, że rozejrzę się w sytuacji – rzekł konsul i wziął księgę główną.

Nagle pan Gr~unlich rozpostarł nad stołem swe długie, poprzecinane niebieskawymi żyłkami ręce, które drżały widocznie, i zawołał wzruszonym głosem:

–Jedną chwilę, tylko jedną chwilę, ojcze! O, pozwól mi uczynić wstępną uwagę!... Tak, rozejrzy się ojciec w sytuacji, nie będzie ukryte przed jego wzrokiem... Ale proszę mi wierzyć: pozna ojciec sytuację człowieka nieszczęśliwego, ale i niewinnego! Niechaj ojciec ujrzy we mnie tego, który niezmordowanie walczył z losem, a jednak został zwyciężony! W tym też znaczeniu...

–Zobaczę, mój przyjacielu, zobaczę! – rzekł z widocznym zniecierpliwieniem konsul, pan Gr~unlich cofnął ręce zdając się na los.

Minęły długie, straszne minuty milczenia. W niespokojnym świetle świec siedzieli tuż przy sobie trzej panowie, zamknięci w czterech ciemnych ścianach. Prócz szelestu papierów, przetrzucanych ręką konsula, nie słychać było najmniejszego poruszenia. Z zewnątrz dobiegał tylko szum padającego deszczu.

Pan Kesselmeyer, założywszy kciuki w wycięcia kamizelki, bębnił palcami po piersiach i spoglądał bardzo wesoło to na jednego, to na drugiego. Pan Gr~unlich siedział prosto, nie opierając się i trzymając dłonie na stole, patrzył ponuro przed siebie, od czasu do czasu rzucając zalęknione spojrzenie na teścia.

Konsul przeglądał księgę główną, znaczył sobie paznokciem kolumny cyfr, porównywał daty i kreślił ołówkiem małe nieczytelne cyfry. Znużona jego twarz wyrażała przerażenie wobec sytuacji, w której się „rozejrzał”... W końcu położył lewą rękę na dłoni pana Gr~unlicha i rzekł wstrząśnięty:

–Biedny człowieku!

–Ojcze – wyrzekł pan

Gr~unlich. Dwie duże łzy spłynęły po twarzy nieszczęśliwego i znikły w złotozłoty faworytach.

Pan Kesselmeyer spojrział na nie z największym zainteresowaniem, nawet się nieco podniósł, przechylił ku niemu i z otwartymi ustami przyglądał się swemu vis~a-vis. Konsul Buddenbrook był mocno poruszony. Na widok nieszczęścia, które jego samego też dotykało, uczył litość; szybko jednak opanował swe uczucia.

–Jak to było możliwe! – powiedział kiwając beznadziejnie głową. – W ciągu tak niewielu lat!

–Drobnostka! – odrzekł świetnie usposobiony pan Kesselmeyer. – W ciągu czterech lat można ślicznie zejść na psy! Kiedy się pomyśli, jak wesoło było jeszcze niedawno u „Braci Westfahl” w Bremie...

Konsul patrzył na niego zmrużonymi oczami, nie widząc go i nie słysząc, co mówił. Nie mógł żadną miarą zdać sobie, sprawy ze swych myśli... – Dlaczego – pytał sam siebie podejrzliwie, a jednak nie mogąc nic zrozumieć – dlaczego to wszystko właśnie teraz? B. Gr~unlich mógł wyglądać tak samo już rok lub dwa lata temu, a przecież nie dostrzegło się tego. Miał jednak nieograniczony kredyt, banki dostarczały mu kapitału, domy solidne, jak senator Bock lub konsul Goudstikker, nie odmawiały mu poparcia, weksle jego kursowały jak gotówka. Dlaczego teraz właśnie, teraz, teraz – i szef firmy „Jan Buddenbrook” dobrze wiedział, co rozumie pod tym „teraz”: te katastrofy ze wszystkich stron, ten nagły brak zaufania, jak gdyby naraz wszystko się sprzysięgło, ten zgodny napad na B. Gr~unlicha, nie liczący się z żadnymi względami, aż do form grzeczności włącznie. Konsul nie był tak naiwny, by nie zdawać sobie sprawy, że powaga jego własnej firmy dobrze oddziaływała na warunki Gr~unlicha po jego zaręczynach z córką konsula. Ale czy kredyt zięcia zależał aż tak wyłącznie, całkowicie, tak jaskrawo od jego własnego? Czyżby Gr~unlich sam przez się był niczym? A referencje, jakie konsul zbierał, a księgi, które badał? Postanowienie nietykania tej sprawy nawet palcem wzmocniło się w nim ostatecznie. Czyżby się przeliczył!

Najwidoczniej B. Gr~unlich umiał obudzić w ludziach przekonanie, że działa solidarnie z firmą „Jan Buddenbrook”.

Należało raz na zawsze skończyć z tą straszliwie rozpowszechnioną omyłką! Niech i ten Kesselmeier się zadziwi! Czyż ten pajac miał w ogóle sumienie! Bezcelność, z jaką liczył na to, że Jan Buddenbrook podtrzyma męża swojej córki, rzuciła się w oczy, jak również i fakt, że nie odmawiając upadłemu od dawna Gr~unlichowi kredytu kazał mu podpisywać coraz to okrutniejsze lichwiarskie odsetki.

–Mniejsza o to – rzekł krótko. – Przystąpmy do rzeczy. Jeśli mam tu wydać opinię ze stanowiska kupieckiego, to niestety orzec muszę, że jest to, co prawda, sytuacja człowieka nieszczęśliwego, ale zarazem bardzo winnego.

–Ojciec – wyjął pan

Gr~unlich.

–To słowo nie podoba mi się!

–rzekł konsul szybko i twardo.

–Pretensje pańskie do pana Gr~unlicha – ciągnął dalej zwracając się przelotnie do bankiera – wynoszą sześćdziesiąt tysięcy marek...

–Z zaległymi oraz dopisanymi do kapitału odsetkami sześćdziesiąt osiem tysięcy siedemset pięćdziesiąt pięć marek i piętnaście szylingów – odrzekł z zadowoleniem pan Kesselmeier.

–Doskonale. A czy nie byłby pan w żadnym razie skłonny do okazania w dalszym ciągu cierpliwości?

Pan Kesselmeier zaczął się po prostu śmiać. Śmiał się z otwartymi ustami, bez cienia szyderstwa, nawet dobrodusznie, patrząc na konsula, jak gdyby oczekiwał, że ten mu zawtóruje.

Wokół małych, głęboko osadzonych i zmaconych teraz oczu Jana Buddenbrooka ukazały się czerwone kręgi sięgające aż po kości policzkowe. Pytanie jego było czysto formalne, wiedział bowiem dobrze, że taka zwłoka ze strony jednego z wierzycieli niewiele zmieniałaby sytuację. Ale sposób, w jaki ten człowiek go odepchnął, zawstydził go i oburzył w najwyższym stopniu. Jednym ruchem ręki odsunął wszystkie leżące przed nim papiery, odłożył ołówek i powiedział:

–Zatem oznajmiam, że nie mam zamiaru przejmować się więcej tą sprawą w jakikolwiek sposób.

–Aha! – zawołał pan

Kesselmeier potrząsając rękami w powietrzu. – Oto słowa wypowiedziane z godnością. Pan konsul po prostu ureguluje sprawę! Bez długiej gadaniny! Od ręki!

Jan Buddenbrook nie spojrział nawet na niego.

–Nie mogę ci pomóc, mój przyjacielu – zwrócił się spokojnie do pana Gr~unlicha. – Rzeczy muszą potoczyć się swoim trybem. Nie mogę powstrzymać ich biegu. Opanuj się i szukaj w Bogu siły i pociechy. Uważam tę rozmowę za zakończoną.

Twarz pana Kesselmeyera przybrała niespodzianie poważny wyraz, co wyglądało dość dziwnie, potem kiwnął zachęcająco głową panu Gr~unlichowi. Ten siedział bez ruchu, załamując na stole swoje długie ręce, aż palce trzeszczały w stawach.

–Ojciec... Panie konsulu... – rzekł załamującym się głosem – nie zechce... nie może pan chcieć mojej ruiny, mojej nędzy! Niech mnie pan wysłucha! Idzie tu o sumę stu dwudziestu tysięcy marek... pan może mnie uratować! Proszę uważać tę sumę za co pan chce... za ostateczne wyposażenie córki... za jej część spadkową... za oprocentowaną pożyczkę. Będę pracował... pan wie, że jestem ruchliwy i pomysłowy...

–Powiedziałem ostatecznie słowo

–rzekł konsul.

–Pozwól pan... czy pan istotnie nie może? – zapytał pan Kesselmeier patrząc przez szkła i marszcząc nos. – Jeśli mi wolno radzić, by pan konsul namyślił się... byłoby to najlepszą okazją, aby dowieść potęgi firmy „Jan Buddenbrook”...

–Dobrze by pan uczynił pozostawiając mnie samemu troskę o powagę mojej firmy. By dowieść swej wypłacalności, nie muszę rzucać pieniędzy w pierwsze lepsze bagno.

–Cóż znowu, cóż znowu. Aha, bagno – to świetny żart! Ale czy pan konsul nie uważa, że licytacja ziemia pańskiego postawiłaby i pana w fałszywym i złym świetle?... Co?... rzuciłaby pewne... Co?...

–Mogę panu jedynie jeszcze raz polecić, by pozostawił pan kwestię opinii mojej w świecie handlowym mnie samemu – rzekł konsul.

Pan Grunlich spojrział bezradnie na swego bankiera i zaczął na nowo:

–Błagam, niech ojciec

pomyśli, co czyni... Czyż idzie tylko o mnie? O, co do mnie... mogę zginąć! Ale córka pana, moja żona, którą kocham tak szczerze, którą zdobyłem po tak gorącej walce... i nasze dziecko, nasze niewinne dziecko... i ono także w nędzy! Nie, ojciec, tego bym nie zniósł! Zabilbym się! Tak, tą moją własną ręką zabilbym się, proszę mi wierzyć! A wówczas niechaj Bóg panu przebaczy!

Jan Buddenbrook oparł się o fotel; był blady i czuł bicie serca. Po raz drugi opanowało go współczucie dla tego człowieka, którego zachowanie miało niezaprzeczone cechy szczerości, i znów, jak wówczas, gdy zawiadomił go o liście córki z Travenunde, usłyszał tę okropną pogroźkę, i na nowo przeniknęła go owa marzycielska, właściwa jego pokoleniu cześć dla ludzkich uczuć, będąca w ciągłej rozterce z trzeźwym, praktycznym zmysłem kupieckim. Trwało to przez jedną sekundę. „Sto dwadzieścia tysięcy marek...” – powtórzył w myśli, po czym rzekł spokojnie i pewnie:

–Antonina jest moją córką.

Potrafię nie dopuścić do tego, by niewinnie cierpiała.

–Co pan chce przez to

powiedzieć? – zapytał pan Grunlich z osłupieniem.

–Dowie się pan – odrzekł konsul. – Na razie nie mam nic więcej do nadmienia. – Wstał, postawił mocno swe krzesło i zwrócił się do drzwi.

Pan Grunlich siedział milczący, sztywny, zmieszany, usta jego poruszały się, nie zdołał jednak wymówić ani słowa. Natomiast pan Kesselmeier na widok tego definitywnego i ostatecznego ruchu konsula odzyskał swą weselość... wzmogła się ona nawet, przeszła wszelkie granice, stała się straszliwa! Binokle spadły mu z nosa, który podciągnął się w kierunku oczu, podczas gdy małe usta, w których samotnie sterczały dwa żółte zęby, wyglądały, jak gdyby miały się rozdrzeć. Małe, czerwone ręce wiosłowały w powietrzu, puch na jego głowie powiewał, a zupełnie zmieniona i z nadmiernej uciechy skurczona twarz, z białymi, przyszyżonymi bokobrodami miała barwę cynobru.

–A_aha! – krzyczał, aż głos mu się załamywał. – To mi dopiero świetny, świetny żart! Ależ powinien pan się nad tym zastanowić, panie konsulu Buddenbrook! Taki milutki, taki wspaniały egzemplarz zięciunia wrzucić do rynsztoka!... Czegoś równie ruchliwego i pomysłowego nie znajdziesz pan drugi raz na całym bożym świecie! Aha! Już cztery lata temu, gdyśmy to mieli nóż na gardle... powróz na szyi... jak tośmy nagle rozgłosili na giełdzie o zaręczynach z panną Buddenbrook, jeszcze nim się to stało... O, szacunek! Nie_he, najwyższe uznanie...!

–Panie Kesselmeier! –

zaskrzeczał pan Grunlich poruszając kurczowo rękami, jak gdyby odpychał od siebie widmo, pobiegł do kąta, padł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach i pochylił się tak nisko, że końce faworytów dotykały ud. Podniósł nawet parę razy kolana do góry.

–Jakoś pan to właściwie zrobił? – ciągnął dalej pan Kesselmeier. – Jakośmy się właściwie do tego wzięli, aby złapać córeczkę i osiemdziesiąt tysięcy marek! O_ho! To się jakoś urządza. Gdy się w sobie ma choćby za trzy grosze ruchliwości i pomysowości, to się już jakoś urządza!

Przedstawia się opatrnościowemu tacie piękne księgi, milutki, czyściutki księgi, w których wszystko jak najpiękniej jest wyłożone... tylko że niezupełnie zgodnie z marną rzeczywistością... bo w marnej rzeczywistości aż trzy ćwierci posagu to długi wekslowe!

Konsul stał przy drzwiach trzymając klamkę, był śmiertelnie blady. Przeniknął go dreszcz grozy. Czyż w tym małym pokoiku w niespokojnym blasku świec znajdował się sam wraz z oszustem i oszalała ze złości małpa?

–Panie, pogardzam pańskimi słowami – rzucił niezbyt pewnie.

–Pogardzam pańskimi

nieprzytomnymi oszczerstwami, tym bardziej że i we mnie godzą... we mnie, który lekkomyślnie wtrąciłem w

nieszczęście swoją córkę. Zasięgnęłam miarodajnych informacji o tym zięciu... reszta zaś to wola boska!

Odwrócił się, nie chciał nic więcej słyszeć, otworzył drzwi. Ale pan Kesselmeier krzyczał za nim:

–Aha? Informacje? Czyje?

Bocka? Goudstikkera? Petersena? Massmanna i Timma? Przecież oni byli zaangażowani! Przecież oni wszyscy byli kolosalnie zaangażowani! Przecież oni wszyscy strasznie się cieszyli, że to małżeństwo zabezpieczy im ich należności...

Konsul zatrzasnął za sobą drzwi.

Rozdział dziewiąty

W stołowym pokoju krzątała się Dora, niezupełnie uczciwa kucharka.

–Proszę, by pani Gr~unlich zeszła na dół – rozkazał konsul.

–Śpiesz się, moje dziecko – powiedział, gdy Tonia się zjawiała. – Śpiesz się, jak możesz, i pilnuj, że by Eryka była gotowa... Jedziemy do miasta... przemocujemy w zajazdzie a jutro jedziemy do domu.

–Dobrze, ojculku – rzekła Tonia. Była czerwona, zmieszana i bezradna. Pośpieszonymi, niezgrabnymi ruchami poprawiała na sobie suknię nie wiedząc, od czego zacząć przygotowania, i nie mogąc jeszcze uwierzyć w rzeczywistość przeżycia.

–Co mam zabrać ze sobą, ojculku? – zapytała bojaźliwie w podnieceniu. – Wszystko? Wszystkie suknie? Jeden czy dwa kufry?... Gr~unlich naprawdę bankrutuje?... O Boże. Ale czy mogę zabrać klejnoty?... Ojculku, więc służące muszą odejść... nie mogę wypłacić im pensji... Gr~unlich miał dziś lub jutro dać mi pieniądze na gospodarstwo...

–Zostaw to, moje dziecko; wszystko to zostanie załatwione. Twoje rzeczy będą ci przesłane. Zabierz tylko najpotrzebniejsze... jeden kuferek... Śpiesz się, słyszysz? Mamy...

W tym momencie rozchyliły się portiery i wszedł pan Gr~unlich. Wszedł szybkim krokiem, rozpościerając ramiona i przechylając na bok głowę, z postawą człowieka, który chce powiedzieć: „Oto jestem! zabij mnie, jeśli chcesz!” – śpiesznie podszedł do żony i padł przed nią na oba kolana. Wygląd jego wzbudzał współczucie. Złotożółte faworyty były w nieładzie, surduty zmięte, krawat przekręcony, kołnierzyk odpięty, na czole zaś widniały małe krople.

–Antonino!... – powiedział.

–Spójrz na mnie... Czy masz serce, czujące serce?... Wysłuchaj mnie... Widzisz przed sobą człowieka, który będzie unicestwiony, stracony, jeśli... który umrze z rozpacz, jeśli odmówisz mu swej miłości! Leżę tu... czy rozkażesz swe mu sercu powiedzieć: nie nawidzę cię? Opuszczam cię?

Tonia płakała. Było zupełnie tak samo, jak wówczas w pokoju pejzażowym. Znowu ujrzała tę twarz wykrzywioną strachem, te oczy zwrócone na nią błagalnie i znów ze wzruszeniem i zdziwieniem zobaczyła, że ten strach i to błaganie były prawdziwe i nieudane.

–Wstań – rzekła ze łkaniem. –

Proszę cię, wstań! – I położywszy mu ręce na ramionach, usiłowała go podnieść. – Nie nawidzę cię! Jak możesz mówić coś podobnego!... – Nie wiedząc, co mówić dalej, spojrzała bezradnie na ojca. Konsul wziął ją za rękę, uklonił się zięciowi i odszedł z nią w stronę drzwi do korytarza.

–Odhodzisz? – zawołał Gr~unlich i zerwał się na równe nogi.

–Powiedziałem już panu – rzekł konsul – że nie wolno mi pozostawiać mego niewinnego dziecka na pastwę nieszczęścia, a dodaję, że i panu również nie wolno tego czynić. Nie, mój panie, lekkomyślnie pozbawiłeś się prawa posiadania mej córki. Powinieneś pan dziękować Bogu, iż zachował serce tego dziecka tak czystym i nieświadomym, że rozstaje się z panem bez wstępu! Żegnaj pana.

Teraz pan Gr~unlich stracił głowę. Mógłby jeszcze mówić o chwilowym rozstaniu, o powrocie, o nowym życiu i może jakoś uratować sytuację. Ale skończyła się już jego rozważa, ruchliwość i pomysłowość. Mógł być wziąć z lustrzanej etażerki duży brązowy, nie tłukący się talerz, ale zamiast tego wziął stojący obok wazon z cienkiej malowanej w kwiaty porcelany i rzucił go o ziemię, aż rozprysnął się w tysiąc kawałków...

–Ha! Pięknie! Dobrze! – krzyczał. – Idź sobie! Myślisz, że będę płakał, ty gąsko? O nie, szanowna pani się myli! Ożeniłem się z tobą wyłącznie dla pieniędzy, ale jest ich o wiele za mało, wracaj więc do domu! Znudzilaś mi się! Mam cię

dosyć... dosyć... dosyć...

Jan Buddenbrook wyprowadził córkę w milczeniu. Po chwili powrócił sam, podszedł do Gr~unlicha, który założywszy ręce na plecach spoglądał przez okno w deszcz, dotknął lekko jego ramienia i rzekł cicho:

–Opamiętaj się pan! Módl się.

Rozdział dziesiąty

W dużym domu na Mengstrasse zapanował nastrój pełen przygnębienia, gdy zamieszkała tam z powrotem pani Gr~unlich z córeczką. Wszyscy starali się omijać ten temat i niechętnie mówili „o tym”... prócz głównej osoby, która, przeciwnie, namiętnie na ten temat rozprawiała, czując się przy tym w swoim żywiole.

Tonia z Eryką zajęła pokoje na drugim piętrze, w których za czasów starych Buddenbrooków mieszkali jej rodzice.

Była nieco rozczarowana, gdy nie udało jej się przekonać ojczulka, by przyjął dla niej oddzielną służącą, i przez pół godziny oddawała się rozmyśleniom, gdy wytłumaczył jej łagodnie, że powinna prowadzić jak najspokojniejszy tryb życia i nie utrzymywać stosunków towarzyskich, pomimo bowiem iż Pan Bóg bez jej winy zesłał na nią tę próbę, niemniej jednak stanowisko rozwódki nakłada na nią obowiązek jak najściślejszego odosobnienia. Ale Tonia posiadała cenny dar przystosowywania się z talentem, zręcznością i żywą radością do każdej sytuacji życiowej. Polubiła rolę kobiety dotkniętej niezawinionym nieszczęściem, ubierała się ciemno, zaczesywała gładko jak panienka swe ładne popielate włosy, stosunki towarzyskie zastępowało jej bezustanne roztrząsanie zagadnień dotyczących jej małżeństwa, pana Gr~unlicha oraz życia i losu w ogólności, czemu oddawała się z wielką powagą i niezamordowaną przyjemnością.

Nie wszyscy jednak byli chętnymi słuchaczami. Konsulowa uznawała wprawdzie, że małżonek jej postąpił correct i tak, jak należało, gdy jednak Tonia zaczynała o tym rozprawiać, podnosiła ona z lekka swą kształtną, białą rękę mówiąc: – Assez, moje dziecko. Nie chcę słyszeć o tej historii.

Zaledwie dwunastoletnia Klara nie jeszcze nie rozumiała, kuzynka Tyldzia zaś była za głupia. – O, Toniu, jakie to smutne! – to było wszystko, co mogła powiedzieć swoim przeciągłym i zdziwionym tonem. Natomiast uważną słuchaczkę znalazła młoda pani w pannie Jungmann, liczącej obecnie już trzydzieści pięć lat i mogącej się poszczycić, że osiwała na służbie w najpiękniejszych domach.

–Nic się nie martw, Toniuchna, córucho – mówiła – jeszcze jesteś młoda, wyjdiesz znów za męż! – Poza tym wiernie i z miłością zajęła się wychowywaniem malej Eryki, opowiadając jej te same bajeczki i wspomnienia, których przed piętnastu laty wysłuchiwały dzieci konsula: zwłaszcza o wuju, który umarł w Kwidzynie na czkawkę, gdyż „przeträcił sobie serce...”

Ale najchętniej i najdłużej gawędziła Tonia z ojcem, po obiedzie lub podczas śniadania. Stosunek jej do niego stał się teraz o wiele serdeczniejszy niż dawniej. Jego poważne stanowisko w mieście oraz surowa, solidna, nieustrudzona, nabożna pracowitość sprawiała, iż żywiła dla niego raczej głęboki, pełen lęku szacunek niż czułość: jednakże od czasu rozmowy w jej salonie stał się jej bliższy, bardziej ludzki, napelniało ją też dumą i wzruszeniem, że uznał ją za godną poufnej, poważnej rozmowy, że pozwolił jej samej rozstrzygnąć sprawę i że – tak nieprzystępny – wyznał jej prawie z pokorą, iż czuje się wobec niej winny. Tonia sama na pewno nigdy by na tę myśl nie wpadła; ponieważ jednak to wypowiedział, uwierzyła i stała się względem ojca bardziej czuła i tkliwa. Co się tyczy konsula, ten nie zmienił swych zapatrywań i sądził, że powinien osładzać córce smutny los okazując jej możliwie najwięcej uczucia.

Jan Buddenbrook bynajmniej nie wystąpił osobiście przeciwko nierzetelnemu zięciowi. Tonia i matka dowiedziały się wprawdzie z pewnych rozmów, jak nieuczciwych środków chwytal się pan Gr~unlich, by osiągnąć owe osiemdziesiąt tysięcy; konsul wystrzeżał się jednak mówienia publicznie o tej sprawie, a tym bardziej powierzenia jej organom sprawiedliwości. Czuł się wielce dotknięty w swej godności kupieckiej i w milczeniu przetrawiał wstyd, że dał się tak podejść.

Zresztą zaraz po skończonej licytacji domu handlowego B. Gr~unlich, która niejednej firmie hamburskiej zgotowała znaczne straty, rozpoczął energiczne kroki rozwodowe... Ten to proces oraz myśl, że ona, ona sama jest główną osobą prawdziwego procesu, napelniały Tonie nieopisanym poczuciem własnej godności.

–Ojciec – mówiła, gdyż w takich rozmowach nigdy nie nazywała konsula „ojczulkiem...”

–Ojciec, jak posuwają się nasze sprawy? Czy myślisz, że wszystko dobrze pójdzie? Paragraf jest zupełnie jasny; dokładnie go przestudiowałam! „Niezdolność do wyżywienia rodziny...” Ci panowie muszą w to wejrzeć. Gdyby był syn, Gr~unlich byłby go zatrzymał...

Kiedy indziej mówiła:

–Dużo jeszcze rozmyślałam o latach mego małżeńskiego pożycia, ojcze. Ha! a więc dlatego ten człowiek nie chciał, byśmy mieszkali w mieście, czego ja tak gorąco sobie życzyłam. A więc dlatego nie lubił, gdym jeździła do miasta i oddawała wizyty! Tam groziło przecież niebezpieczeństwo, że dowiem się w jakiś sposób o jego położeniu... Cóż to za numer!

–Nie mamy prawa sądzić, moje dziecko – odpowiadał konsul.

Gdy zaś rozwód był już przeprowadzony, mówiła z poważną miną:

–Czyś już to zamieścił w dokumentach rodzinnych, ojcze? Nie? O, to może ja to uczynię... Proszę cię, daj mi klucze od sekretery!

I starannie, z dumą zapisała pod wierszami, które nakreśliła tu przed czterema laty obok swego imienia:

„Małżeństwo to zostało prawnie rozwiązane w roku 1850”.

Po czym odłożyła pióro i pomyślała przez chwilę.

–Ojciec – rzekła – dobrze wiem, że to wydarzenie jest plamą na historii naszej rodziny. Tak, wiele już nad tym myślałam. To zupełnie tak, jakby w tej księdze znajdowała się plama z atramentu. Ale bądź spokojny... to moja rzecz... już ją stamtąd wymażę! Jestem jeszcze młoda... czy ci się nie wydaje, że jestem jeszcze dosyć ładna? Chociaż co prawda pani

Stuht zobaczywszy mnie powiedziała: „O Boże, pani Grunlich, jak pani się zestarzała!” Trudno, nie można przez całe życie pozostać taką gąską, jaką byłam cztery lata temu... życie robi swoje, naturalnie... Słowem, wyjdę znów za mąż! Zobacysz, wszystko jeszcze zostanie naprawione przez korzystną partię! Nie wydaje ci się?

–Wszystko jest w ręku Boga, moje dziecko. Ale w żadnym razie nie wypada teraz tak mówić.

Poza tym Tonia chętnie posługiwała się w tych czasach wyrażeniem „Jak to w życiu bywa”... i przy słowie „życie” podnosiła ładnie oczy w górę, co pozwalało się domyślać, że bardzo dokładnie przyjrzała się życiu oraz ludzkim losom...

Gdy w sierpniu tegoż roku Tomasz powrócił z Pau, stół w sali jadalnej jeszcze bardziej się powiększył, a Tonia znalazła nową okazję do wywnętrzania się. Kochała ona z całego serca tego brata, który poznał i uszanował jej ból wówczas, gdy wyjeżdżała z Travemünde, i w którym widziała przyszłego właściciela firmy, przyszłą głowę rodziny.

–Tak, tak – powiedział Tomasz

–my oboje niejedno już przeżyliśmy, Toniu... – Podniósł w górę jedną brew, przesunął papierosa w drugi kącik ust i zapewne przyszła mu na myśl mała kwiaciarka o malajskim typie, która niedawno poślubiła syna swej chlebobawczyni i odtąd

prowadziła na własną rękę kwiaciarnię na Fischergrube.

Tomasz Buddenbrook, jeszcze nieco blady, był wyjątkowo elegancki. Wydawało się, że te ostatnie lata dopełniły definitywnie jego wychowania. Dzięki swej sylwetce dość szerokiej w ramionach, jakkolwiek niewysokiej, włosom zaczesanym do tyłu, oraz wąsom, które nosił podług francuskiej mody bardzo mocno wyciągnięte żelazkiem w kierunku poziomym, robił niemal wrażenie wojskowego. Ale błękitne, zbyt widoczne żyłki na wąskich skroniach, od których włosy odczesane były dwiema falami, jak również lekka skłonność do dreszczów, którą na próżno zwalczał doktor Grabow, zdradzały, że nie jest on zbyt silny. Co zaś do poszczególnych części ciała, jak broda, nos, a zwłaszcza ręce – dziwnie buddenbrookowskie ręce! – to podobieństwo do dziadka uwydatniało się teraz jeszcze bardziej.

Mówił po francusku akcentując z hiszpańska niektóre dźwięki i zadziwiał swym upodobaniem do pewnych współczesnych autorów, odznaczających się satyrycznym oraz polemicznym zacięciem. Skłonność owa znalazła oddźwięk jedynie u ponurego maklera Goscha, ojciec jego jak najsurowiej ją potępiał.

Nie zmniejszało to jednak dumy ani szczęścia, z jakim konsul patrzył na najstarszego syna. Z radością i wzruszeniem powitał w nim znowu współpracownika swych kantorów, w których i sam zaczął teraz

pracować ze zdwojonym zapalem: zwłaszcza po śmierci starej pani Kröger, co miało miejsce przy końcu tegoż roku. Śmierć owej damy należało znieść spokojnie. Doczekała ona późnej starości i żyła pod koniec w zupełnym osamotnieniu. Odeszła do Boga, Buddenbrookowie zaś otrzymali mnóstwo pieniędzy, okrągłe sto tysięcy talarów, które znakomicie powiększyły kapitał obrotowy firmy.

Dalszym następstwem owej śmierci było to, że szwagier konsula, Justus, otrzymawszy swoją część schedy, zmęczony ciągłymi niepowodzeniami w interesach, zlikwidował swoje przedsiębiorstwo. Justus Kröger, suitier lubiący życie, syn starego kawalera ~a la mode nie był człowiekiem szczęśliwym. Prowadząc światowy, lekkomyślny tryb życia, nigdy nie osiągnął pewnej, solidnej i budzącej zaufanie pozycji w świecie kupieckim, roztrwonił zawczasu większą część swej schedy, ostatnio zaś ciężkie troski zgotował mu najstarszy syn, Jakub.

Ów młody człowiek, który wdał się w wielkim Hamburgu w niemoralne towarzystwo, wyciągał od ojca w ciągu wielu lat znaczne sumy, gdy zaś konsul Kröger odmawiał dalszych zapomóg, wówczas małżonka jego, kobieta słabowita i delikatna, przesyłała lekkomyślnemu synowi coraz to nowe kwoty, wskutek czego w małżeństwie powstawały smutne nieporozumienia. Na domiar wszystkiego w firmie „Dalbeck Comp.”, gdzie pracował Jakub Kröger mniej więcej w tym samym czasie, gdy B. Grunlich zawiesił wypłaty... zdarzyła się jeszcze inna niemiła sprawa... Nadużycie, nieuczciwość... Nie mówiono o tym i nie pytano Justusa Krögera, nazywało się, że Jakub dostał w Nowym Jorku posadę wojażera i wyjeżdża do Ameryki. Widziano go raz w mieście przed tą podróżą, przyjechał zapewne po to, by poza pieniędzmi przysłanymi mu przez ojca na podróż, wyciągnąć jeszcze coś od matki: miał on fircykowaty i niezdrowy wygląd.

Słowem, skończyło się na tym, że konsul Justus mówił już jedynie o „moim synu”, jak gdyby posiadał jednego tylko spadkobiercę, to jest Jürgen, który wprawdzie nie popełnił żadnego przestępstwa, był jednak ograniczony umysłowo. Z trudem ukończył gimnazjum, obecnie zaś bawił w Jenie, gdzie studiował prawo, jak się wydawało, bez wielkiej przyjemności ani powodzenia.

Konsula Buddenbrooka bólem przejmował ten mało zaszczytny rozwój rodziny jego żony i z tym trwożliwszym oczekiwaniem spoglądał na swoje dzieci. Wielkie zaufanie, jakim napełniała go gorliwość i powaga najstarszego syna, było zupełnie usprawiedliwione, co się tyczy Chrystiana, to pan Richardson pisał, że ten młody człowiek z wielką łatwością przyswoił sobie język angielski, do handlu jednak nie okazuje dostatecznego zainteresowania, zdradza też zbyt wielką słabość dla życia stolicy oraz jej rozrywek, zwłaszcza teatru. Chrystian ujawniał w swych listach żywą potrzebę włączyć i usilnie prosił o pozwolenie przyjęcia posady „na drugiej półkuli”, to jest w Ameryce Południowej, może w Chile. – Ależ to jest żyłka awanturnicza – powiedział konsul i rozkazał mu przez następne parę miesięcy uzupełniać u pana Richardsona zasób merkantylnych wiadomości. Wymieniono jeszcze parę listów o jego planach, po czym w lecie roku 1851 Chrystian Buddenbrook istotnie popłynął do Valparaiso, gdzie zapewnił sobie posadę. Pojechał wprost z Anglii, nie powracając przedtem do domu.

Niezależnie od spraw synów, konsul Buddenbrook doznawał dużej pociechy widząc, jak pełne stanowczości i godności było w towarzystwie zachowanie Toni jako członka rodziny Buddenbrooków... jakkolwiek było do przewidzenia, że jako rozwódka będzie musiała doświadczyć wielu upokorzeń i uprzedzeń ze strony innych rodzin.

–Ha! – powiedziała cała zaczerwieniona, powróciwszy raz ze spaceru, i rzuciła kapelusz na sofę w pokoju pejzażowym. –

Ta M~ollendorpf, ta z

Hagenstr~omów, ta Semmlinger, ta Julcia, ta kreatura, co ty na to, mamó! Nie kłania mi się... tak, nie kłania mi się! Czeka, aż ja pierwsza się ukłonię! Co ty na to! Na Breitenstrasse przeszłam tuż obok niej z podniesioną głową i patrząc jej prosto w twarz...

–Posuwasz się za daleko, Toniu... Wszystko ma swoje granice. Dlaczegoż nie miałabyś ukłonić się pierwsza pani M~ollendorpf? Jesteście rówieśnikami, ona jest mężatką, tak jak i ty nią byłaś...

–Nigdy, mamó! O Boże, taka hołota!

–Assez moja droga! Takie niedelikatne wyrazy...

–O, bo też można się

zapomnieć!

Nienawiść jej dla tej rodziny „Bóg wie skąd” wzrastała na samą myśl, że Hagenstr~omowie uważali może, iż mają teraz prawo spoglądać na nią z góry, ale zarazem też na widok ich szczęścia i powodzenia. Stary Henryk Hagenstr~om umarł w początkach 1851 roku, a syn jego, Herman... Herman, bohater historii z maślaną bułeczką oraz policzkiem, prowadził teraz łącznie z panem Strunckiem wspaniale prosperujący dom eksportowy, w następnym zaś roku ożenił się z córką konsula Huneusa, najbogatszego człowieka w mieście, który doszedł do tego, że mógł pozostawić każdemu ze swoich dzieci po dwa miliony. Drugi brat, Maurycy, mimo swych słabych płuc ukończył świetnie studia i osiadł w mieście jako prawnik. Uchodził on za człowieka zdolnego, bystrego, dowcipnego, nawet za bel esprit (pięknoduch – franc.) i szybko zdobył sobie poważną praktykę. W powierzchowności jego nie było nic semmlingerowskiego: miał żółtą twarz i spiczaste, nieładne zęby.

Nawet przebywając w gronie rodziny trzeba było wysoko podnosić głowę. Odkąd stryj Gotthold, usunąwszy się od interesów, siedział w swym skromnym mieszkanku i chrupał cukierki z blaszanego pudełka, gdyż niezmiernie lubił słodocze... uczucia jego względem przyrodniego brata stawały się z latami coraz łagodniejsze i coraz bardziej przepojone rezygnacją. Mimo to, mając trzy niezamężne córki, poczuł ciche zadowolenie na widok nieudanego małżeństwa Toni. Co zaś do jego żony z domu St~uwing, a zwłaszcza córek, obecnie już dwudziestosześcioletniej, siedmioletniej i ośmioletniej, to okazywały one o wiele żywsze zainteresowanie nieszczęściem kuzynki oraz procesem rozwodowym aniżeli w swoim czasie jej zaręczynami i ślubem. Podczas „czwartków”, które od czasu śmierci starej pani Kr~oger znowu odbywały się na Mengstrasse, Tonia miała wobec nich niełatwe zadanie.

–O Boże, ty biedaczko – mówiła Fifi, najmłodsza z trzech, niska i gruba, która miała śmieszny zwyczaj trząść głową przy każdym słowie i ślinić się. – Więc to już skończone? Więc czujesz się znów tak jak dawniej?

–O, wprost przeciwnie! – rzekła Henryka, równie jak jej starsza siostra niezwykle wysoka i cienka. – Teraz jest ci o wiele smutniej niż wówczas, kiedy byłaś panną.

–I ja tak myślę –

potwierdziła Fryderyka. – W takim wypadku o wiele lepiej jest nigdy nie wyjść za mąż.

–O nie, kochana Fryderyko! – powiedziała Tonia podnosząc głowę do góry i obmyślając ciętą i zręczną odpowiedź. – Jesteś w błędzie, wiesz? W każdym razie poznało się życie, rozumiesz! Nie jest się już gąską! A poza tym jeszcze mam więcej widoków na powtórne zamażpójście niż niejedna na pierwsze.

–Tek? – powiedziały

jednogłośnie kuzynki. A to „tek” wydawało się jeszcze bardziej uszczypliwe i pełne niedowierzania niż zwykle „tak”.

Ale Tetenia Weichbrodt była o wiele za dobra i taktowna, by choćby wspomnieć o tej sprawie. Tonia odwiedzała od czasu do czasu swą dawną przełożoną w czerwonym domku na M~uhlenbrink nr 7, w którym ciągle jeszcze mieszkała pewna liczba pań, jakkolwiek pensja ta wychodziła po trochu z mody, zapraszano też niekiedy zasnę starą pannę na Mengstrasse na comber sami lub nadziewaną gęś. Wówczas unosiła się na palcach i znacząco, ze wzruszeniem całowała Tonię w czoło. Co się tyczy jej niewykształconej siostry, madame Kethelsen, to w ostatnich czasach głuchota jej postępowała bardzo szybko, toteż nie wiedziała ona prawie nic o historii Toni. W coraz bardziej nieodpowiednich momentach wybuchała swym nierozumnym, a z wielkiej serdeczności prawie żałośnie brzmiącym śmiechem, tak że Tetenia zmuszona była nieustannie pukać w stół i wołać – Nally...

Lata płynęły. Wrażenie, jakie wywołały w mieście i w rodzinie przejścia córki konsula Buddenbrooka, zacierało się coraz bardziej. Nawet sama Tonia z rzadka tylko przypominała sobie o swym małżeństwie, a i to wówczas, gdy dostrzegła w swej pomyślnie rozwijającej się małej Eryce jakieś podobieństwo do Benedykta Gr~unlicha. Ubierała się znowu jasno, karbowiała włosy i jak dawniej odwiedzała znajomych.

Cieszyła się w dalszym ciągu, gdy latem nadarzała się okazja opuszczenia miasta na czas dłuższy... gdyż, niestety, stan zdrowia konsula wymagał obecnie podróży w celach leczniczych.

–Nikt nie wie, co to znaczy starzeć się! – mawiał. – Gdy próbuję zmyć zimną wodą małą plamkę od kawy na spodniach, zaraz odczuwam silny reumatyczny ból... A dawniej? na co to człowiek mógł sobie pozwolić! – Miewał też czasem zawroty głowy.

Jeździli do Obersalzbrunn, do Ems i do Baden_baden, do Kissingen, skąd nawet zrobili pouczającą podróż przez Norymbergę do Monachium, przez Salzburg i Ischl do Wiednia, a stąd przez Pragę, Drezno i Berlin do domu... a pomimo iż pani Gr~unlich musiała z powodu ostatnio zauważonej dolegliwości żołądka poddawać się ścisłej kuracji, niemniej jednak podróże te były dla niej wielką rozrywką, nie można bowiem zaprzeczyć, że w domu trochę się nudziła.

–Boże drogi, wiesz przecież, jak to bywa w życiu, ojczu! – mówiła patrząc w zamyśleniu na sufit. – Oczywiście, poznałam życie... ale właśnie dlatego jest mi smutno, że siedzę tak ciągle w domu jak głupia. Nie sądzisz przecie, ojczulku, że mi u was źle... byłaby to czarna niewdzięczność! Ale wiesz, jak to bywa w życiu...

Najbardziej jednak gniewało ją to, iż dom rodzicielski napełniał się duchem coraz większej religijności, albowiem pobożne uczucia konsula wzrastały, w miarę jak coraz bardziej tracił zdrowie i posuwał się w latach, konsulowa zaś, starzejąc się, również znajdowała upodobanie w tym kierunku. W domu Buddenbrooków zawsze zachowywano zwyczaj ogólnej modlitwy przed jedzeniem, od pewnego jednak czasu rodzina wraz ze służbą zbierała się ponadto rano i wieczorem w pokoju śniadaniowym, gdzie pan domu odczytywał któryś z rozdziałów Biblii. Niezależnie od tego coraz częstsze były wizyty pastorów i misjonarzy, gdyż zacny patrycjuszowski dom na Mengstrasse, gdzie zresztą, mówiąc nawiasem, doskonale jadano, znany był jako gościnna przystań w świecie luterńskiego oraz reformowanego duchowieństwa, jak również krajowych tudzież zagranicznych misji, toteż ze wszystkich zakątków ojczyzny spływali czarno ubrani długowłosi panowie, by przepędzić tam parę dni... pewni bogobojnych rozmów, smacznych posiłków oraz pomocy w formie brzęczącej, przeznaczonej oczywiście na świątobliwe cele. Miejscowi kaznodzieje także przychodzili i wychodzili, kiedy chcieli, jak przyjaciele domu...

Tom był o wiele za rozumny i taktowny, by pozwolić sobie choćby na uśmiech, Tonia jednak drwiła sobie po prostu, a nawet, niestety, skłonna była płatać figle duchownym osobom, skoro tylko nadarzała się okazja.

Od czasu do czasu, gdy konsulowa cierpiała na migrenę, pani Grunlich zajmowała się gospodarstwem i układała menu. Pewnego razu, gdy gościł w domu obcy kaznodzieja, którego apetyt budził ogólną wesołość, zarządziła ona złośliwie specjalność miejscową – zupę ze słoniną. Był to bulion gotowany na kwaskowatych jarzynach, w który wrzucało się cały obiad: szynkę, kartofle, marynowane śliwki, pieczone gruszki, kalafior, groch, marchew oraz inne rzeczy; kto od dzieciństwa nie był przyzwyczajony do tej potrawy, nie mógł jej jeść za nic w świecie.

–Dobre? Dobre, panie

pastorze? – pytała bezustannie Tonia. – Nie? mój Boże, kto by to mógł pomyśleć! – Robiła przy tym łobuzerską minę przesuwając językiem po górnej wardze, co zwykła była czynić, gdy obmyślała lub płatała jakieś figle.

Gruby jegomość odłożył z rezygnacją łyżkę i rzekł prostodusznie:

–Poczekam do następnego dania.

–Będzie jeszcze lekki deser – rzekła skwapliwie konsulowa, gdyż „następne danie” było nie do pomyslenia po tej zupie, toteż pomimo grzanek oraz marmolady z jabłek oszukany duchowny nie nasycił się obiadem, co pobudziło Tonię do chichotu, Tomasz zaś musiał dla zachowania powagi podnieść brew do góry...

Innym razem Tonia rozmawiała w sieni z kucharką Justyną, gdy pastor Mathias z Kanstattu, który

znów przyjechał na parę dni w odwiedziny, wracał właśnie z miasta i zadzwonił do drzwi. Justyna poszła swym kołyszącym się, kaczym krokiem otworzyć drzwi, pastor zaś chcąc jej okazać uprzejmość, a zarazem trochę ją wybadać, zapytał przychylnie: – Miłujesz Pana?...

–Być może chciał jej coś ofiarować, w razie gdyby wyraziła swe przywiązanie do Zbawcy.

–A to, panie pastorze... – rzekła z wahaniem Justyna czerwieniąc się i robiąc wielkie oczy. – A którego pan pastor ma na myśli? Starego czy młodego?

Pani Gr~unlich nie omieszkała opowiedzieć całej historii głośno podczas obiadu, tak że nawet konsulowa parsknęła śmiechem.

Konsul oczywiście patrzył w swój talerz poważnie i z indygnacją.

–Nieporozumienie – rzekł zmieszany pastor Mathias.

Rozdział jedenasty

To, co następuje, zdarzyło się późnym latem roku 55, pewnego niedzielnego popołudnia. Buddenbrookowie siedzieli w pokoju pejzażowym i czekali na konsula, który jeszcze ubierał się na dole. Umówieni byli z Kistenmakerami na przechadzkę do ogrodu za miasto. Oprócz Klary i Klotyldy, które zawsze w niedzielę wieczorem robiły u pewnej przyjaciółki pończochy dla dzieci Murzynów, mieli oni tam razem wypić kawę i może przejechać się łódkami, jeśli pogoda dopisze.

–Z ojculkiem po prostu nie można wytrzymać – rzekła Tonia, używająca chętnie mocnych wyrażeń. – Czy on kiedykolwiek jest gotów na oznaczony czas? Siedzi przy biurku... i siedzi... i siedzi... musi jeszcze skończyć to i owo... Boże wielki, może to i potrzebne, nie chcę nic mówić... chociaż nie wydaje mi się, że zbankrutowalibyśmy, gdyby o kwadrans wcześniej odłożył pióro. Dajmy na to... kiedy już jest spóźniony o dziesięć minut, znów mu się coś przypomina, wraca na schody, i to przeskakując po dwa stopnie, chociaż wie, że dostaje z tego kongestii i bicia serca... I tak przed każdą wizytą, przed każdą przechadzką! Czy nie mógłby darować sobie trochę czasu? Przerwać trochę wcześniej i iść wolno? Jest zupełnie nieodpowiedzialny. Ja, będąc na twoim miejscu, pomówiłabym raz poważnie z mężem, mamó...

Siedziała na sofie, ubrana w suknię z modnego jedwabiu changeant (mieniący się – franc.) obok konsulowej, która miała na sobie poważną szatę z szarego, prążkowanego jedwabiu, przybraną czarnymi koronkami. Ałtasowe wstążki czarnego, tiulowego czepka z koronkami, związane pod brodą, opadały jej na piersi. Rozdzielone i gładko zaczesane włosy były, jak dawniej, rudawego koloru. W białych, delikatnych rękach trzymała woreczek pompadour. Tom siedział obok na fotelu, paląc papierosa, Klara zaś i Tyldzia umieściły się przy oknie, jedna na wprost drugiej. Było to prawie nie do wiary, że tak staranne i obfite odżywianie się biednej Klotyldy nie dawało żadnych wyników, stawała się coraz chudsza, czarna suknia zaś, nie posiadająca w ogóle żadnego kroju, wcale tego nie ukrywała. Miała pociągłą, szarą twarz, gładko uczesane, bezbarwne włosy i prosty, porowaty nos rozszerzający się ku dołowi...

–Czy sądzicie, że nie będzie deszczu? – zapytała Klara.

Ta młoda panienka miała zwyczaj nie podnosić głosu, gdy zadawała jakieś pytanie, patrzyła przy tym każdemu prosto w oczy swoim dość surowym, pewnym spojrzeniem. Brązowa jej sukienka ozdobiona była jedynie małym, białym, sztywnym kołnierzykiem i takimiż mankiecikami. Siedziała prosto z rękami złożonymi na piersiach. Służba najbardziej jej się bała, ona też odmawiała rano i wieczorem modlitwę, gdyż konsul nie mógł już głośno czytać, przyprawiało go to bowiem o ból głowy.

–Czy włożysz dziś szal, Toni? – zapytała znowu. – Będzie padało. Szkoda nowego szala. Lepiej by było odłożyć tę przechadzkę...

–Nie – odrzekł Tom –

Kistenmakerowie przyjdą. Nic nie będzie. Barometr zbyt gwałtownie opadł... przejdzie jakaś mała katastrofa, krótka ulewa... nic poważniejszego. Ojczulek zresztą jeszcze nie gotów. Możemy spokojnie przeczekać, dopóki to nie minie.

Konsulowa podniosła rękę jak gdyby dla obrony.

–Myślisz, że będzie burza.

Tom? Ach, wiesz przecie, lękam się.

–Nie – powiedział Tom. – Rozmawiałem dziś rano z kapitanem Klootem. On jest nieomylny. Będzie to tylko przelotna ulewa, nawet bez mocniejszego wiatru.

Druga połowa września tego roku przyniosła kilka spóźnionych burz.

Południowo_wschodni wiatr dokuczał miastu bardziej niż w lipcu. Nad szczytami domów lśniło dziwne, ciemnoniebieskie niebo, szarzące ku horyzontowi niby na pustyni, a po zachodzie słońca domy i chodniki wąskich ulic tchnęły dusznym żarem, jak piece. Dzisiaj wiatr odwrócił się nagle ku zachodowi i wówczas to nastąpił ów nagły spadek barometru... Większa część nieba była jeszcze błękitna, ale powoli nadciągał zwał sinych chmur, grubych i miękkich jak poduszki.

Tom dodał:

–Wydaje mi się, że deszcz byłby bardzo pożądany.

Padalibyśmy ze zmęczenia, gdybyśmy mieli teraz iść. Upał jest doprawdy niezwykły. Czegoś podobnego nie pamiętam w Pau...

W tej chwili weszła Ida Jungmann trzymając za rękę małą Erykę. Dziecko ubrane było w świeżo uprasowaną perkalową sukienkę, pachniało krochmalem i mydłem i wyglądało bardzo zabawnie. Oczy oraz różowy kolor twarzy przypominały zupełnie Gr~unlicha, górna warga była jednak Toni.

Pocziwa Ida była już zupełnie siwa, prawie biała, jakkolwiek niedawno przekroczyła czterdziestkę. Było to jednak rodzinne; wuj, który umarł na czkawkę, również zupełnie osiwił mając zaledwie trzydzieści lat, jej małe ciemne oczy patrzyły bystro, dobrodusznie i uważnie. Od dwudziestu lat

służyła u Buddenbrooków i poczucie, że jest niezbędna, napełniało ją dumą. Miała nadzór nad kuchnią, spiżarnią, bielizną i porcelaną, robiła ważniejsze zakupy, czytała małej Eryce, szyła sukienki dla jej lalek, robiła z nią robótki, w południe zaś, uzbrojona w paczkę butersznytów, szła po nią do szkoły, aby zaprowadzić ją na przechadzkę na M~uhlenwall. Wszystkie panie mówiły do konsulowej lub do jej córki:

–Droga pani, jakąż wy macie bonę! Boże wielki, toż ta osoba warta jest, by ją ozłocić! Dwadzieścia lat!... Będzie miała sześćdziesiąt i więcej, a jeszcze będzie zwawa! Ci szczupli ludzie... a te jej wierne oczy! Zazdroszczę państwu, droga pani!

Ale i sama Ida miała o sobie wysokie pojęcie. Wiedziała, kim jest, toteż gdy na M~uhlenwall obcianańka siadała ze swym wychowankiem na tej samej ławce i chciała rozpocząć rozmowę jak z równą sobie, wówczas panna Jungmann mówiła:

–Eruchna, tu wieje! – i szła gdzie indziej.

Tonia przyciągnęła do siebie córeczkę i ucałowała ją w różowe policzki, konsulowa zaś wyciągnęła do niej rękę z uśmiechem nieco roztargnionym... gdyż bojaźliwie badała coraz bardziej ciemniejące niebo. Palcami lewej ręki nerwowo przebierała po oparciu sofy, oczy jej zaś wędrowały niespokojnie w bok ku oknu.

Eryce pozwolono zasiąść obok babci. Ida zaś zajęła miejsce na jednym z krzeseł i nie dotykając plecami oparcia zaczęła robić szydełkiem. Siedzieli w milczeniu, czekając na konsula. Powietrze było duszne. Za oknami zniknął ostatni kawałek błękitu, ciemnoszare niebo zawisło nad miastem ponurym, ciężkim brzemieniem. Zagasty barwy pokoju, odcienie krajobrazów na obiciach, żółte tony mebli i zasłon, nie grały już refleksy na sukni Toni, a oczy ludzkie były pozbawione blasku. Wiatr, zachodni wiatr igrający dotąd wśród drzew po tamtej stronie, na cmentarzu kościoła Panny Marii, i podnoszący na ciemnej ulicy małe leje kurzu, ucichł nagle.

I wówczas nastąpił ów moment... jakby chwila niemego przerażenia. Zdawało się, że jest coraz duszniej, że z każdą sekundą wzmaga się coraz bardziej ciśnienie, które trwogą przejmując mózg, przytłacza serce, tamuje oddech... za oknem przelatowała jaskółka tak nisko, że skrzydła jej dotykały prawie bruku... I ów nieodparty ucisk, to rosnące wciąż napięcie, ten ciężar przytłaczający organizm byłby nie do zniesienia, gdyby przeciągnął się jeszcze choćby o najmniejszą chwilę, gdyby w osiągniętym natychmiast najwyższym punkcie nie nastąpiło odprężenie, przeskok... drobne wyzwajające załamanie, które zdarzyło się gdzieś, niedosłyszalne, a które jednak dosłyszano, gdyby w tym samym momencie, choć nie słyhać było szmeru ani jednej spadającej kropli, nie lunął deszcz, że aż woda zapieniała się w rynsztoku i prysnęła wysoko w górę aż na chodnik...

Tomasz, przyzwyczajony wskutek choroby do zwracania uwagi na wszelkie wibracje nerwów, nachylił się w tej dziwnej sekundzie, uczynił ręką ruch w kierunku głowy i odrzucił papierosa. Spojrzał dokoła, czy inni też coś zauważyli i odczuli. Zdawało mu się, że dostrzega coś takiego u matki, inni jakby nie uświadamiali sobie niczego. Teraz konsulowa spojrzała na ulewny deszcz zasłaniający całkowicie kościół Panny Marii i westchnęła:

–Dzięki Bogu.

–Tak – rzekł Tom. – Teraz ochłodzi się w dwie minuty. Krople będą wolno opadały z liści, a my będziemy sobie pili kawę na werandzie. Tyldziu, otwórz okno.

Szum deszczu wdarł się z hałasem do pokoju. Wszystko szumiało, pluskało, pieniło się, huczało. Wiatr powrócił, wtargnął wesoło w gęstą zasłonę deszczu, rozdzierał ją, rozwiewał. Z każdą minutą stawało się chłodniej.

Wtedy Lina, pokojówka Lina, przebiegła przez salę kolumnową i wpadła tak gwałtownie do pokoju, że Ida Jungmann chcąc ją uciszyć zawołała z wyrzutem:

–Jak to tak można. Boże wielki!...

Bezbarwne oczy Liny były szeroko otwarte, a szczęki jej na próżno pracowały przez chwilę...

–Ach, pani konsulowo, ach nie, chodźcież prędko... ach, mój Boże, tom się przeraziła...

–Naturalnie – rzekła Tonia – na pewno znowu coś rozbiła i pewnie z dobrej porcelany! Nie, mam, twoja służba!...

Ale dziewczyna krzyknęła z przest్రachem:

–Ach nie, pani Gr~unlich, a żeby choć tak było... ale to z panem konsulem, ja chciałam odnieść buty, a tam siedzi pan konsul na fotelu i nie może mówić, i tylko tak się jąka, ja widzę, że to wcale niedobrze, bo pan konsul jest cały żółty...

–Po Grabowa! – krzyknął Tomasz i wypchnął ją za drzwi.

–Mój Boże! O mój Boże! – zawołała konsulowa podnosząc ręce do twarzy i wybiegła...

–Po Grabowa... dorożką... natychmiast! – powtórzyła Tonia bez tchu.

Zbiegli ze schodów, przez śniadaniowy pokój, do sypialni.

Ale Jan Buddenbrook już nie żył.

‘ty

Część piąta

Rozdział pierwszy

–Dobry wieczór, Justusie – powiedziała konsulowa. – Co u ciebie słyszeć? Siadaj.

Konsul Kr~oger uściskał ją serdecznie i jakby mimochodem, potrząsnął ręką obecnej również w sali jadalnej najstarszej siostrzenicy. Miał on już około pięćdziesięciu pięciu lat i nosił teraz, prócz niewielkich wąsów, także okrągłe baczki, nie zasłaniające brody i zupełnie siwe. Jego duża różowa łysina pokryta była kilkoma starannie zaczesanymi pasmami włosów. Na rękawie eleganckiego

surduta widniała szeroka krepa.

–Wiesz o najświeższej

nowinie, Betsy? – zapytał. – No, Toni, ciebie to specjalnie zainteresuje. A więc, nasz grunt za miastem został sprzedany... a komu? Nie jednemu nabywcy, ale dwóm, rozdzielił go, zwał dom, postawią parkan, a potem kupiec Benthien zbuduje sobie psią budę po prawej stronie, a kupiec Sorenson po lewej... no cóż, wola boska.

–Niestychane – rzekła pani Grunlich składając ręce na kolanach i spoglądając w sufit.

–Grunty dziadka. Naturalnie więc posiadłość jest zmarnowana.

Cały urok leżał w jej

rozległości... zresztą

zbytecznej... ale to właśnie było wytworne. Ten duży ogród... aż do rzeki... i ten dom w głębi z wjazdem, z aleją kasztanową... więc to zostanie rozdzielone. Benthien będzie sobie stał z fajką przed swoimi drzwiami, a Sorenson przed swoimi. Tak, wuju Justusie, ja też mówię: wola boska. Nikt nie jest już dziś na tyle wytworny, aby posiadać cały ogród. Dobrze, że dziadek tego nie dożył...

Nastrój żałoby był jeszcze zbyt poważny i ciężki, by Tonia mogła nadać swemu oburzeniu głośniejszy i bardziej mocny wyraz. Było to w dniu otwarcia testamentu, w dwa tygodnie po zgonie konsula, o wpół do szóstej po południu. Konsulowa Buddenbrook zaprosiła swego brata na Mengstrasse, by wraz z Tomaszem i panem Marcusem, prokurentem, wziął udział w konferencji dotyczącej zarządzeń zmarłego oraz spraw majątkowych;

Tonia ze swej strony oznajmiła, że ma zamiar uczestniczyć w rozmowie. Mówiła, że jest to jej obowiązkiem względem firmy oraz rodziny, i starała się nadać temu zebraniu charakter posiedzenia rady rodzinnej. Zaciągnęła zasłony u okien i oprócz dwu lamp olejnych, stojących na rozsuniętym, nakrytym zielonym sukniem stole, pozapalała nadto wszystkie świece w złożonych kandelabrach. Prócz tego rozłożyła na stole masę arkuszy papieru i zatemperowanych ołówków, chociaż nikt nie wiedział, do czego właściwie mają służyć.

Czarna suknia nadawała jej postaci dziewczęcą smukłość, pomimo iż może najboleśniej ze wszystkich odczuła śmierć konsula, z którym w ostatnich czasach tak serdeczne łączyły ją stosunki, pomimo iż nawet dzisiaj na myśl o nim dwa razy gorzko zapłakała, niemniej jednak oczekiwanie dzisiejszego zebrania rodzinnego, tej małej poważnej konferencji, w której miała z godnością wziąć udział, zdołało zarumienić jej ładne policzki, ożywić wzrok, napełnić radością i powagą jej ruchy... Konsulowa, przeciwnie, znękana przerażeniem, bólem, tysiącem żalobnych formalności i uroczyściami pogrzebowymi, miała wygląd pełen cierpienia. Jej twarz, otoczona czarnymi koronkami i wstążkami czepka, wydawała się jeszcze bledsza, a jasnoniebieskie oczy miały zmęczony wyraz. Jednakże w gładko zaczesanych rudawych włosach nie można było dojrzeć ani jednej białej nitki... Byłaby to jeszcze paryska tynktura czy może już peruka? Wiedziała to jedynie panna Jungmann, ale nie zdradziłaby tego nawet żadnej z domowych pań.

Siedziano przy jednym końcu stołu w sali jadalnej i czekali na Tomasza i pana Marcusa, którzy byli w kantorze. Z błękitnego tła obić dumnie wznosiły się na swych cokołach posągi bóstw.

Konsulowa powiedziała:

–Idzie o to, mój kochany Justusie... prosiłam, abyś przyszedł... krótko mówiąc, idzie o dziecko, o Klarę. Mój drogi nieboszyk polecił mi być wybór opiekuna potrzebnego dziewczynce na przeciąg trzech lat... Wiem, że nie lubisz, gdy obarczają cię kłopotami, masz obowiązki względem twej żony i twoich synów...

–Mojego syna, Betsy.

–Tak, tak, ale jesteśmy chrześcijanami i powinniśmy być miłosierni, Justusie.

Powiedziane jest: „Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Pamiętaj o litościwym Ojcu Niebieskim.

Brat spojrział na nią z pewnym zdziwieniem. Takie zwroty słyszało się dotąd tylko z ust zmarłego...

–A zatem – mówiła dalej – ten obowiązek miłosierdzia nie pociąga za sobą żadnych szczególnych trudów...

Chciałabym cię prosić o objęcie opieki.

–Chętnie, Betsy, doprawdy chętnie to uczynię. Czy nie mógłbym zobaczyć mej pupilki? To dobre dziecko jest nieco za poważne.

Zawołano Klarę. Przyszła wolnym krokiem, blada i w czerni, w powściągliwych jej ruchach czuło się smutek. Od śmierci ojca przepędzała cały czas prawie wyłącznie na modlitwie, nie opuszczając swego pokoju. Ciemne jej oczy patrzyły nieruchomo, była jak gdyby zastygła w bólu i bojaźni bożej.

Wuj Justus, zawsze pełen galanterii, podszedł ku niej i podając jej rękę skłonił się niemal; w odpowiednich słowach dał wyraz swemu współczuciu, konsulowa zaś złożyła pocałunek na jej nieruchomych wargach, po czym Klara odeszła.

–Co słyhać z pocziwym J~urgenem? – zaczęła na nowo konsulowa. – Jakże się czuje w Wismarze?

–Dobrze – odrzekł Justus Kr~oger siadając z powrotem i wruszając ramionami. – Zdaje się, że znalazł sobie wreszcie właściwe miejsce. Porządny chłopiec, Betsy, uczciwy chłopiec, ale... skoro egzamin nie powiódł mu się po raz drugi, to było jeszcze najlepsze, co mógł zrobić... Prawo nie dawało mu zadowolenia, a posada na poczie w Wismarze jest nie najgorsza... Słuchaj no, podobno twój Chrystian powraca?

–Tak, Justusie, powróci i oby Bóg strzegł go na morzu! Ach, to trwa tak strasznie długo! Napisałam do niego nazajutrz po śmierci ojca, a jednak nie mógł jeszcze dostać listu, potem zaś będzie płynął całe dwa miesiące. Ale przyjechać musi, tak mi go teraz potrzeba! Wprawdzie Tom jest zdania, że Jean nigdy by się nie zgodził, by on porzucił posadę w Valparaiso... ale proszę cię: mija osiem lat,

odkąd go nie widziałam! A teraz, w tych okolicznościach! Pragnę mieć ich wszystkich wokoło siebie w tych ciężkich chwilach... to jest przecież naturalne ze strony matki.

–Oczywiście, oczywiście! – powiedział konsul Kröger widząc łzy w jej oczach.

–Teraz i Tomasz zgodził się na to – ciągnęła dalej – bo gdzie byłoby Chrystianowi lepiej niż w firmie nieboszczyka ojca, w firmie Tomasza? Może tu pozostać, tu pracować... ach, jestem w ciągłej obawie, że tam, na drugiej półkuli, klimat mu zaszkodzi...

W tej chwili wszedł do sali Tomasz Buddenbrook w towarzystwie pana Marcusa. Fryderyk Wilhelm Marcus, długoletni prokurent zmarłego konsula, był wysokiego wzrostu i miał na sobie długi brązowy surdut z krepą na ramieniu. Mówił bardzo cicho, niepewnie, zacinając się nieco, zatrzymując się na sekundę przed każdym słowem, przy tym miał zwyczaj gładzić wyprostowanym wskazującym oraz środkowym palcem swe ciemnorude wąsy, niezgrabnie zasłaniające usta, albo też zacierając ręce patrzył w zamyśleniu w bok, co wywierało wrażenie zmieszania lub roztargnienia, pomimo iż zawsze podczas rozmowy pełen był uwagi.

Tomasz Buddenbrook, który w tak młodym wieku został właścicielem dużego domu handlowego, miał wygląd poważny i zachowanie nacechowane godnością, był jednak blady, ręce zaś, na których widniał jeden tylko dziedziczny sygnet z zielonym kamieniem, były białe jak jego mankiety widoczne spod czarnych rękawów surduta, tą jak gdyby zmarzniętą bladością, po której można było poznać, że są zupełnie suche i zimne. Dłonie, których starannie utrzymane, owalne paznokcie wpadały w odcień niebieskawy, wykonywały niekiedy pewne kurczowe, nieświadome ruchy, przybierając przy tym nieopisany wyraz nieprzystępnej wrażliwości i niemal trwożnej powściągliwości, wyraz dotąd obcy mieszczańskim, dosyć szerokim, jakkolwiek kształtnym buddenbrookowskim dłoniom i niezupełnie dla nich właściwy... Wszedłszy do sali Tomasz przede wszystkim otworzył na oścież drzwi do pokoju pejzażowego, by ciepło nagrzanego pieca, w którym paliło się za żelazną kratą, przeszło do sali.

Potem zamienił uścisk dłoni z konsulem Krögerem, zajął miejsce za stołem na wprost pana Marcusa i podnosząc jedną brew spojrzął z pewnym zdziwieniem na swą siostrę Tonię. Ta jednak cofnęła głowę przyciskając brodę do piersi ruchem powstrzymującym wszelkie uwagi na temat jej obecności tutaj.

–A więc nie można jeszcze mówić do ciebie: panie konsulu?

–zapytał Justus Kröger. – Niderlandy na próżno oczekują przyjęcia przez ciebie zastępstwa, co, stary?

–Tak jest, wuju Justusie; zdawało mi się, że tak będzie lepiej... widzisz, mogłem natychmiast przejąć konsulat obok tylu innych zobowiązań; ale po pierwsze jestem jeszcze trochę za młody... a poza tym mówiłem ze stryjem Gottholdem; ucieszył się i przyjął.

–Bardzo rozumnie, mój

chłopcze. Bardzo politycznie...

Zupełnie gentlemanlike.

–Panie Marcus – rzekła konsulowa – mój kochany panie Marcus! – I wyciągnęła do niego rękę, którą ten ujął powoli, z rozważnym i serdecznym spojrzeniem. – Poprosiłam pana na górę... Pan wie, o co idzie, a wiem też, że pan się zgadza. Mój nieboszczyk mąż w ostatniej swej woli wyraził życzenie, by po jego śmierci ofiarował pan firmie swą wierną, wypróbowaną pomoc nie jako obcy współpracownik, lecz jako jej współwłaściciel...

–Oczywiście, rozumie się, pani konsulowo – powiedział pan Marcus. – Proszę usilnie, by państwo wierzyli, że umiem z wdzięcznością ocenić ten wielki dla mnie zaszczyt, gdyż środki, jakie mogę wnieść do firmy, są bardzo skromne. Nie pozostaje mi nic innego wobec Boga i ludzi, jak tylko przyjąć z wdzięcznością propozycję pani i jej syna.

–A więc, panie Marcus, dziękuję z całego serca, że jest pan gotów wziąć na siebie część tej wielkiej odpowiedzialności, jaka dla mnie samego byłaby może zbyt ciężka.

Tomasz powiedział to prędko i mimochodem, poddając jednocześnie przez stół rękę swemu wspólnikowi, gdyż rzecz była między nimi od dawna postanowiona, a wszystko to miało charakter jedynie formalny.

–Powiadają jaskółki, że niedobre są spółki... no, wy dwaj na pewno zadacie kłam temu przysłowiu! – rzekł konsul Kröger. – A teraz, moje dzieci, przejrzymy sobie papiery. Mnie obchodzi w tej chwili tylko posag mojej pupilki; reszta jest mi obojętna. Masz kopię testamentu, Betsy? A ty, Tom, czy posiadasz zestawienie?

–Mam je w głowie – odrzekł Tomasz, po czym bawiąc się swym złotym ołówkiem i rozpierając wygodnie w krześle zaczął przedstawiać stan finansowy firmy, a wzrok jego błędził poprzez otwarte drzwi po ścianach pokoju pejzażowego.

Okazało się mianowicie, że pozostawiony przez konsula majątek był znaczniejszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Wprawdzie posag najstarszej córki przepadł, straty zaś, poniesione przez firmę wskutek bremeńskiego bankructwa w roku 51, były ciężkim ciosem. Również rok 48, jak i obecny 55 przyniósł straty wywołane niepokojami oraz pogłóskami wojennymi. Ale z buddenbrookowskiej schedy po Krögerach, wynoszącej czterysta tysięcy marek, pozostało trzysta tysięcy, gdyż Justus z góry wyciągnął masę pieniędzy, a chociaż Jan Buddenbrook kupieckim zwyczajem stale narzekał, równowaga mimo strat została zachowana dzięki zarobkom po trzydzieści tysięcy talarów w ciągu piętnastu lat. Majątek firmy przeto, niezależnie od posiadłości nieruchomości, wynosił siedemset pięćdziesiąt tysięcy marek.

Mimo iż Tomasz dobrze się orientował w interesach, ojciec nie wymienił mu nigdy dokładnie wysokości tej sumy, toteż podczas gdy konsulowa ze spokojną dyskrecją przyjęła cyfrę, a Tonia spoglądała przed siebie z uroczą godnością i nic nie rozumiejąc, z wyrazem twarzy, który zdawał się pytać: czy to jest dużo? Bardzo dużo? Czy jesteśmy bogatymi ludźmi?... podczas gdy pan Marcus wolno i z pozornym roztargnieniem zacierał ręce, a konsul Kröger nudził się widocznie – cyfra, którą Tomasz wymienił, przejęła jego samego tak nerwową, pełną podniecenia dumą, że wyglądało to niemal na niezadowolenie.

–Powinniśmy byli dawno dociągnąć do miliona! – powiedział głosem stłumionym ze wzruszenia, a ręce mu drżały. – Dziadek w swych najlepszych czasach posiadał już dziewięćset tysięcy do rozporządzenia... A ileż wysiłków od owego czasu, jakież powodzenie, jakie dobre posunięcia w wielu wypadkach! A posag mamy! A scheda mamy! Ach, ale to ciągle rozdrabnianie... Leży ono co prawda w naturze rzeczy, wybaczcie, jeśli mówię ciągle z punktu widzenia firmy, a nie rodziny... Posagi, spłaty stryja Gottholda i tych z Frankfurtu, owe setki tysięcy, o które trzeba było uszczuplić kapitał... A jednak wówczas było tylko dwoje rodzeństwa szefa... słowem, będziemy mieli dużo roboty, panie Marcus!

Tęsknota do czynu, do zwycięstwa i mocy, żądza ujarznienia szczęścia zapłonęła krótko i mocno w jego wzroku. Czuł oczy całego świata skierowane ku sobie w oczekiwaniu, czy i jak zdoła w przyszłości strzec honoru firmy i rodziny. Na giełdzie spoczywały na nim spojrzenia starych, jowialnych, sceptycznych, nieco drwiących oczu kupców, które zdawały się pytać: „Poradzisz sobie, synku?”

–„Poradzę sobie” – myślał...

Fryderyk Wilhelm Marcus w zamyśleniu zacierał ręce, a Justus Kröger powiedział:

–Powoli, powoli, stary! Dziś już nie te czasy, kiedy twój dziadzio był dostawcą pruskiej armii...

Potem rozpoczęło się szczegółowe roztrząsanie większych i mniejszych zarządzeń testamentu, rozmowa, w której wszyscy brali udział, w której konsul Kröger reprezentował dobry humor, nazywając ciągle Tomasza „Jego Wysokością panującym obecnie księciem”.

–Spichrze pozostają zgodnie z tradycją przy koronie – powiedział.

Wszystkie głosy wypowiadały się oczywiście za tym, by całość pozostała możliwie nienaruszona; pani Elżbieta Buddenbrook była zasadniczo generalną spadkobierczynią, cały zaś majątek pozostać miał w firmie, przy czym pan Marcus oznajmił, że jako współnik wnosi sto dwadzieścia tysięcy marek. Tomaszowi wyznaczono tymczasem pięćdziesiąt tysięcy jako majątek osobisty, takąż sumę Chrystianowi, o ile by pragnął etablować się samodzielnie. Justus Kröger zainteresował się mocno ustępem: „Ustanowienie sumy posagowej mej ukochanej młodszej córki, Klary, w razie jej zameścia poruczam decyzji mojej ukochanej żony...” – Powiedzmy sto tysięcy! – zaproponował opierając się wygodnie na krześle, zakładając nogę na nogę i kręcąc obiema rękami swe krótkie siwawe wąsy. Był uosobieniem galanterii. Ustanowiono jednak tradycyjną sumę – osiemdziesiąt tysięcy marek.

„W razie powtórnego zameścia mojej ukochanej starszej córki, Antoniny – czytano dalej – wobec faktu, że w związku z pierwszym jej zameściem wypłacono osiemdziesiąt tysięcy marek, na wyprawę nie należy przekroczyć sumy siedemnastu tysięcy talarów...” Pani Antonina ruchem równie uroczym, jak pełnym wzburzenia poprawiła rękawy sukni i spoglądając w sufit wykrzyknęła:

–Grünlich, ha! – Zabrzmiało to jak okrzyk bojowy, jak dźwięk trąbki. – Wie pan, jak to właściwie było z tym człowiekiem, panie Marcus? – zapytała. – Siedzimy pewnego pięknego popołudnia w ogrodzie... przed altaną... Pan wie, panie Marcus, przed naszą altaną... Doskonale. I któż się zjawia? Osobistość ze złocistymi bokobrodami... Co to był za numer!...

–No tak – powiedział Tomasz.

–Później pogadamy o panu Gr~unlichu, prawda?

–Dobrze, dobrze, ale to musisz mi przyznać, Tom, jesteś przecież mądrym człowiekiem: przekonałam się, choć jeszcze niedawno byłam taka głupia, że w życiu nie wszystko dzieje się uczciwie i sprawiedliwie...

–Tak jest... – powiedział Tom. I rozprawiano dalej, zapuszczano się w szczegóły, decydowano o przeznaczeniu dużej rodzinnej Biblii, diamentowych spinek konsula i wielu drobiazgów... Justus Kr~oger i pan Marcus zostali na kolacji.

Rozdział drugi

W początkach lutego 1856 roku Chrystian Buddenbrook wrócił po ośmioletniej nieobecności do rodzinnego miasta. Przyjechał pocztą z Hamburga, w żółtym garniturze w dużą kratę, który stanowczo miał w sobie coś podzwrotnikowego, przywiózł dziób ryby miecznika oraz dużą trzcinę cukrową i na pół z roztargnieniem, a na pół z zakłopotaniem pozwolił się konsulowej uściskać.

W podobny sposób zachowywał się i następnego dnia, gdy przed południem cała rodzina udała się za miasto na cmentarz, by złożyć wieniec na grobie konsula. Stanęli wszyscy razem na zaśnieżonej dróżce przed dużą płytą, na której wyryty w kamieniu herb rodzinny otaczały imiona spoczywających tutaj... przed marmurowym krzyżem, przylegającym do niskiego i osłoniętego nagimi, zimowymi drzewami parkanu cmentarza; wszyscy prócz Klotyldy, która przebywała w Niełasce, by pielęgnować chorego ojca.

Tonia złożyła wieniec na świeżo wyrytych na płycie złotych literach imienia ojca i mimo śniegu uklękła nad grobem, by pomodlić się po cichu; osłaniał ją czarny welon, a szara suknia malowniczo układała się na ziemi. Bóg jedyny wie, ile bólu i pobożności, a ile zalotności ładnej kobiety tkwiło w tej niedbałej pozie. Tomasz nie miał najmniejszej ochoty zastanawiać się nad tym, Chrystian jednak spoglądał na siostrę z ukosa z mieszaniną drwiny i niepokoju, jak gdyby chciał zapytać: „Czy nie będziesz się czuła winna? Nie będzie ci wstyd, kiedy się podniesiesz? Jakże to nieprzyjemne!” Tonia podniósłszy się uchwyciła to spojrzenie, bynajmniej się jednak nie zmieszała. Podniosła do góry głowę, uporządkowała welon i suknię i z godnością skierowała się ku wyjściu, co sprawiło Chrystianowi widoczną ulgę.

Jeżeli zmarły konsul, ze swą marzycielską miłością Boga i Zbawiciela, pierwszy ze swego rodu pielęgnował uczucia niecodzienne, niemieszkańskie i bardziej zróżnicowane, to synowie jego byli, jak się zdaje, pierwszymi Buddenbrookami, którzy cofali się wstydliwie przed szczerym i naiwnym wyjawianiem tego rodzaju uczuć. Tomasz na pewno bardziej boleśnie odczuł stratę swego ojca, niż jego dziadek odczuł stratę swojego. A jednak nie miał zwyczaju klękać nad grobem, nigdy też nie padł z dziecinnym łkaniem na stół, jak jego siostra Tonia, i było mu niezmiernie przykro słuchać wielkich słów pomieszanych ze łzami, jakimi pani Gr~unlich lubiła czcić zmarłego ojca między pieczystym a deserem. Zachowywał wobec tych wybuchów powagę pełną taktu, milczenie, powściągliwie kiwał głową... a właśnie wtedy, gdy nikt nie wspominał ani nie pomyślał o zmarłym, właśnie wtedy, i bez żadnej zmiany w wyrazie twarzy, oczy jego powoli napępniały się łzami.

Inaczej było z Chrystianem. Nie umiał opanować się na widok naiwnych i dziecinnych wybuchów siostry, nachylał się nad swym talerzem, odwracał głowę, wyglądał, jak gdyby chciał się ukryć, i parę razy nawet przerywał jej cichym i znękanym głosem: – Boże... Tonia... – przy czym duży jego nos ścigał się w niezliczone zmarszczki...

Niepokój i zakłopotanie okazywał też, ilekroć rozmowa skierowała się na zmarłego; wyglądało to, jak gdyby unikał i obawiał się nie tylko niedelikatnych objawów głębokich i uroczystych uczuć, ale i samych uczuć.

Nikt nie widział, by uronił choćby jedną łzę z powodu śmierci ojca. Wieloletnia rozłąka nie tłumaczyła tego dostatecznie. Zastanawiające jednak było, że choć zwykle odczuwał wstręt do podobnych rozmów, w tym wypadku, przeciwnie, ciągle brał na stronę swą siostrę i kazał sobie dokładnie i szczegółowo opowiadać przebieg owego strasznego popołudnia, pani Grunlich bowiem opowiadała najbardziej obrazowo ze wszystkich.

–Więc był żółty? – zapytywał po raz piąty... – Co krzyczała służąca, gdy wpadła do pokoju?... Więc był zupełnie żółty?... I nic nie mógł powiedzieć przed śmiercią?... Co mówiła służąca? Jak to on jęczał? Ua... ua?... – Milczał, milczał długo, podczas gdy jego małe, okrągłe, głęboko osadzone oczy szybko w zamyśleniu błędziły po pokoju.

–Okropne – powiedział nagle i widać było, jak go dreszcz przebiegł. Chodził tam i z powrotem, patrząc niespokojnie, jak gdyby się nad czymś głęboko zastanawiał, a Tonia dziwiła się, że jej brat, który wykazywał niezrozumiałe zażenowanie, gdy ona na głos opłakiwała ojca, mógł w ten sposób w jakimś strasznym rozpamiętywaniu powtarzać głośno przedśmiertne jego jęki, o których dowiedział się z trudem od służącej.

Chrystian bynajmniej nie wypiękniał. Był szczupły i blady. Skóra gładko przylegała do czaszki, spomiędzy kości policzkowych wystawał duży, chudy, garbaty nos, a włosy były już znacznie przerzedzone. Szyję miał cienką i za długą, a chude nogi wykazywały mocne skrzywienie na zewnątrz... Wydawało się, że najtrwalszy wpływ wywarł na nim pobyt w Londynie, a ponieważ w Valparaiso przebywał po większej części również w towarzystwie Anglików, nabrał więc angielskiego wyglądu, zresztą dosyć odpowiedniego do jego postaci. Wrażenie to płynęło po części z szerokiego kroju oraz miękkiego, mocnego materiału jego garnituru, z wygodnej i solidnej elegancji obuwia, jak i z jego dużych rudych wąsów, które zwieszając się nad ustami nadawały im nieco zgorzkniały wyraz. Nawet białe i porowate wskutek działania upałów ręce z krótko obciętymi, czystymi paznokciami również wydawały się angielskie.

–Powiedz no... – spytał nagle

–czy znasz to uczucie... to jest trudne do określenia... gdy się przełknie twarde kęs, a potem boli wzdłuż całego grzbietu? – Nos jego znowu cały się zmarszczył.

–Tak – rzekła Tonia – to się często zdarza. Popija się wtedy łyk wody...

–Tak? – odrzekł niepewnie. – Nie, zdaje się, że nie mówimy o jednym i tym samym. – I twarz jego nabrała wyrazu niespokojnej powagi...

Z całej rodziny on pierwszy zaczął w okresie żałoby objawiać swobodniejszy nastrój. Nie zapomniał swej dawnej sztuki naśladowania nieboszczyka Marcelego Stengla i często godzinami mówił jego językiem. Przy stole dopytywał się o teatr... czy są dobrzy aktorzy, co grają...

–Nie wiem – powiedział Tomasz z przesadną obojętnością, by nie okazać zniecierpliwienia. – Nic mnie to teraz nie obchodzi.

Chrystian jednak zupełnie nie zwrócił na to uwagi i zaczął mówić o teatrze:

–Nie potrafię wcale

wypowiedzieć, jak lubię teatr! Już sam wyraz „teatr” uszczęśliwia mnie po prostu. Nie wiem, czy kto z was zna to uczucie? Mógłbym siedzieć godzinami i patrzeć na kurtynę... A tak się przy tym cieszę jak za dziecinnych lat, kiedy wchodziliśmy do tego pokoju w dniu gwiazdki. Samo strojenie instrumentów w orkiestrze... Już choćby tylko dlatego chodziłbym do teatru! Szczególnie lubię sceny miłosne... Niektóre amantki umieją w taki sposób ujmować obiema rękami głowę amanta... W ogóle aktorzy... W Londynie, a także w Valparaiso, dużo przebywałem w towarzystwie aktorów. Z początku byłem prawdziwie dumny, gdy mogłem tak rozmawiać z nimi w rzeczywistym życiu. W teatrze obserwuję każde ich poruszenie... to bardzo interesujące! Taki mówi ostatnie słowo, odwraca się jak najspokojniej i wychodzi powoli, pewny siebie, chociaż wie, że oczy całego teatru spoczywają na jego plecach... że też tak można!... Dawniej pragnąłem zawsze dostać się za kulisy – no, a teraz czuję się tam prawie jak w domu, można powiedzieć. Wyobraźcie sobie... w pewnej operetce – było to w Londynie – kurtyna się podniosła, zanim zdążyłem zejść ze sceny... Rozmawiałem z miss Waterclose... Z pewną panną Waterclose... bardzo ładną dziewczyną! No więc! Nagle odsłania się widownia... Boże kochany, sam nie wiem, jak zszedłem ze sceny!

Z całego grona jedynie pani Gr~unlich śmiała się z jego opowiadania; Chrystian jednak mówił dalej, podczas gdy wzrok jego błędził dookoła. Mówił o angielskich śpiewaczkach kawiarnianych, o pewnej damie, która występowała w białej peruce, uderzała długą laską w podłogę i śpiewała piosenkę zatytułowaną „That’s Maria”!... Maria, pojmujecie, Maria jest najbezpieczniejsza ze wszystkich... Jeśli która popełniła coś najbardziej grzesznego: that’s Maria! Maria jest najgorsza, pojmujecie... występek... – Ostatni wyraz wymówił ze szkaradnym wyrazem twarzy, marszcząc nos i podnosząc prawą rękę z zakrzywionymi palcami.

–Assez, Chrystianie! – powiedziała konsulowa. – Nas to bynajmniej nie interesuje!

Ale wzrok Chrystiana

przepełniony po niej z

roztargnieniem; nawet i bez upomnienia konsulowej przestałby już zapewne mówić, wydawało się bowiem, że pogrążył się w głębokich rozmyślaniach nad Marią i występkiem, podczas gdy jego małe, okrągłe, głęboko osadzone oczy bez przerwy błędziły dookoła.

Nagle rzekł:

–To dziwne... czasem nie mogę przełknąć! Nie ma się z czego śmiać, to mi się wydaje bardzo poważne. Przychodzi mi na myśl, że nie będę mógł przełknąć, i naprawdę nie mogę. Kęs siedzi już głęboko, ale tutaj wszystko, szyja, mięśnie... odmawiają mi posłuszeństwa... Nie słuchają woli, pojmujecie. A nawet więcej: ja nie śmiem nawet porządnie chcieć.

Tonia zawołała z oburzeniem:

–Chrystian? Boże mój, co to za głupstwa! Nie śmiesz chcieć przełknąć... Nie bądźże śmieszny! Co ty nam właściwie opowiadasz!...

Tomasz milczał. Ale konsulowa rzekła:

–To wszystko nerwy,

Chrystianie, tak, był już najwyższy czas, żebyś wrócił do domu, klimat na drugiej półkuli zaszkodził ci.

Po obiedzie zasiadł do małej fisharmonii, znajdującej się w sali jadalnej, i imitował wirtuoza. Udawał, że odrzuca w tył włosy, zacierał ręce i rozglądał się po pokoju, potem zaś, bezdźwięcznie, nie naciskając miechów, gdyż będąc niemuzykalny, jak większość Buddenbrooków, wcale nie umiał grać, gorliwie nachylony zaczynał obrabiać basy, wykonywał wariackie pasaże, rzucał się w tył upojony, spoglądał do góry i obiema rękami zwycięsko uderzał w klawisze. Nawet Klara śmiała się. Gra jego była doskonałym naśladownictwem, pełna namiętności i szarlatanerii, pełna nieprzewyciężonego komizmu, nosiła charakter ekscentrycznej anglo_amerykańskiej burleski i nie była ani przez chwilę nieprzyjemna, gdyż on sam czuł się przy tym aż nazbyt dobrze i pewnie.

–Bywałem bardzo często na koncertach – powiedział. – Sprawia mi wielką przyjemność patrzeć, jak ludzie obchodzą się ze swymi instrumentami!... Tak, to doprawdy pięknie być artystą!

Potem zaczął na nowo. Nagle urwał. Stał się od razu poważny: było to tak niespodziane, że zdawało się, jak gdyby z twarzy jego opadła maska; wstał, przeciągnął ręką po przerzedzonych włosach, przeszedł na inne miejsce i pozostał tam milczący, w złym humorze, z niespokojnymi oczami i takim wyrazem twarzy, jak gdyby nasłuchiwał jakiegoś nieprzyjemnego szmeru.

–Chrystian czasem wydaje mi się trochę dziwny – mówiła pewnego wieczora pani Grunlich do swego brata Tomasza, gdy byli sami w pokoju... – Ten jego sposób mówienia... Wydaje mi się, że tak dziwnie zagłębia się we wszelkie szczegóły... czy jak to nazwać! Widzi rzeczy z jakiejś dziwacznej strony, prawda?

–Tak – rzekł Tom – doskonale cię rozumiem, Toniu, Chrystian jest strasznie niedyskretny... trudno to wyrazić. Brak mu tego, co nazywamy równowagą, osobistą równowagą. Z jednej strony nie znosi nietaktownej naiwności innych... Nie dorósł do tego, nie umie tego ukryć, najzupełniej traci kontenans... Ale z drugiej strony może do tego stopnia stracić kontenans, że sam wpada w najnieprzyjemniejszą gadaninę i wyciąga swoje najintymniejsze sprawy. Brzmi to niekiedy bardzo niemiło. Czy nie wygląda czasem, jak gdyby mówił w gorączce? Człowiek, który bredzi, zatracca zupełnie w taki sam sposób odpowiedzialność i ułożenie... Ach, wszystko to pochodzi stąd, że

Chrystian jest zanadto zajęty sobą, tym, co się w nim dzieje. Czasem wpada w zupełną manię wywlekania na światło dzienne i opisywania najdrobniejszych i najskrytszych przeżyć. Przeżyć, o których rozsądny człowiek wcale nie myśli, o których nic nie chce wiedzieć, choćby z tej prostej przyczyny, że wstydziłby się mówić o nich. W tej szczerości jest wiele bezwstydu, Toniu!... Słuchaj: kto inny też mógłby powiedzieć, że lubi teatr; ale powiedziałby to w inny sposób, mimochodem, słowem: skromniej. Chrystian zaś mówi tonem, który oznacza: czy moje zamiłowanie do sceny nie jest czymś szczególnym i zajmującym? Zmaga się przy tym ze słowami, zachowuje się tak, jakby walczył o to, aby wyrazić coś niezwykle subtelnego, ukrytego i dziwnego.

–Powiem ci coś – ciągnął dalej po przerwie, wrzucając papieros przez żelazną kratę do pieca. – Sam myślałem nieraz o tym bojaźliwym, próżnym i ciekawym zajmowaniu się samym sobą, gdyż dawniej byłem również skłonny do tego. Zauważyłem jednak, że człowiek staje się wówczas do niczego, zupełnie traci siły i władzę nad sobą... A równowaga, postawa, to podług mnie sprawa najważniejsza. Zawsze będą istnieli ludzie mający prawo do tej wnikliwej obserwacji swych wrażeń, do tego zainteresowania dla samego siebie: poeci, którzy umieją pięknie i pewnie wyrazić, odmalować swoje wzniosłe życie wewnętrzne, a tym samym wzbogacić uczucia innych ludzi. Ale my jesteśmy tylko zwyczajnymi kupcami, moje dziecko, nasze obserwacje nad sobą są rozpaczliwie znikome. Możemy co najwyżej wykrzyć, że strojenie instrumentów w orkiestrze sprawia nam wielką przyjemność albo że czasem nie mamy odwagi przełknąć... Ach, powinniśmy zabrać się do roboty, do diabła, i starać się coś zdziałać, tak jak czynili to nasi przodkowie...

–Tak, Tom, mówisz zupełnie to, co myślę. Kiedy wspomnę sobie, że ci Hagenstr~omowie coraz bardziej podnoszą głowę... O Boże, taka hołota, wiesz przecież... Matka nie chce słyszeć tego wyrazu, ale to jedyny właściwy. Czyż oni sobie myślą, że prócz nich nie ma już w mieście innych wytwornych rodzin? Ha! Śmiać mi się chce, rozumiesz, śmiać mi się chce...

Rozdział trzeci

Po przybyciu brata szef firmy „Jan Buddenbrook” mierzył go długim, badawczym spojrzeniem; w ciągu pierwszych dni poddawał go niby mimochodem dyskretnej obserwacji; jego spokojny i zamknięty wyraz twarzy nie zdradzał żadnego osądu, ale wydawało się, że jego ciekawość została zaspokojona, a powzięta decyzja ugruntowana. W gronie rodzinnym rozmawiał z nim obojętnym tonem o obojętnych rzeczach i bawił się wraz z innymi, kiedy Chrystian odgrywał jakąś komedię...

Po ośmiu dniach powiedział do niego:

–A zatem będziemy razem pracowali, mój chłopcze?... O ile wiem, zgadzasz się z życzeniem mamy, prawda? Wiesz, że Marcus został mym współnikiem na zasadzie wniesionej sumy. Myślę sobie, że jako mój brat mógłbyś zająć poprzednie jego miejsce, posadę prokurenta... przynajmniej stronę reprezentacyjną... Co do twych zajęć, nie wiem właściwie, jak daleko sięgają twoje kupieckie wiadomości. Zdaje mi się, że dotychczas hulaleś sobie trochę, prawda? W każdym razie korespondencja angielska najbardziej by ci odpowiadała... Ale muszę cię o jedno prosić, mój kochany! Oczywiście, że jako brat szefa zajmujesz w istocie wyższe stanowisko niż reszta urzędników... ale zbyteczne byłoby ci mówić, nieprawda, że więcej zaimponujesz im przez zrównanie się i energiczne spełnianie obowiązków aniżeli korzystając ze swych przywilejów i nadużywając ich. A zatem pilnować godzin biurowych i zachowywać les dehors (pozory – franc.)

dobrze?...

A potem przedstawił mu warunki dotyczące prokury, które Chrystian przyjął bez zastanowienia i bez zastrzeżeń, z zakłopotanym i roztargnionym wyrazem twarzy, zdradzającym bardzo mało chciwości i gorące dążenie do zakończenia czym prędzej tej rozmowy.

Następnego dnia Tomasz zaprowadził go do kantoru i tak rozpoczął Chrystian swą pracę w starej firmie...

Po śmierci konsula interesy popłynęły nieprzerwanym, solidnym trybem. Ale już wkrótce zauważono, że odkąd Tomasz Buddenbrook ujął ster w swoje ręce, w firmie zapanował jakiś ożywczy, świeższy, bardziej przedsiębiorczy duch. To przedsięwzięto jakiś nowy krok, to znów wykorzystano możliwości kredytowe, które za czasów poprzedniego reżimu były właściwie jedynie pojęciem, teorią, luksusem... Na giełdzie kiwano z zadowoleniem głowami – Buddenbrookowi dobrze pójdzie – mówiono. Uważano jednak, że to bardzo dobrze, iż Tomasz musi ciągnąć za sobą, niby ołowianą kulę u nogi, przezacnego Fryderyka Wilhelma Marcusa. Wpływ pana Marcusa był w biegu interesów momentem hamującym. Gładził on starannie wąsy dwoma palcami, troskliwie układał swoje przybory do pisania na biurku, gdzie stała zawsze szklanka wody, wielostronnie badał każdą sprawę z roztargnionym wyrazem twarzy, a poza tym miał zwyczaj podczas godzin biurowych wychodzić pięć lub sześć razy na dwór i do pralni, aby dla odświeżenia spuścić sobie na głowę strumień zimnej wody z kranu.

– Ci dwaj dopełniają się wzajemnie – mówili szefowie większych firm, na przykład konsul Huneus do konsula Kistenmakera, opinię ową powtarzali marynarze i pracownicy spichrzów, jak również drobni kupcy, gdyż całe miasto interesowało się tym, „jak sobie młody Buddenbrook poradzi”... Także i pan Stuhł z Glockengiesserstrasse mówił do swej żony, tej, co to bywała w najlepszych domach: – Ci dwaj dopełniają się wzajemnie bardzo dobrze, ja ci to mówię!

Ale „osobistością” w firmie był niewątpliwie młodszy ze współników, ujawniało się to choćby w tym, że on to właśnie umiał obcować z pracownikami, kapitanami, kierownikami spichrzów, furmanami i robotnikami portowymi. Umiał z całą swobodą przemawiać ich językiem, a jednak trzymać się z daleka... Gdy natomiast pan Marcus odzywał się dialektem do któregoś z robotników: – Rozumiecie mnie? – brzmiało to tak niemożliwie, że nawet jego współnik, siedzący naprzeciw niego przy biurku, zaczynał się śmiać, po czym jak na dany znak w całym kantorze wybuchła ogólna wesołość.

Tomasz Buddenbrook, który

gorąco pragnął utrzymać, a nawet

podnieść świetność firmy do

poziomu odpowiadającego jej

staremu imieniu, lubił

występować osobiście w

codziennej walce, wiedział bowiem, że niejeden dobry interes miał do zawdzięczenia swemu pewnemu i eleganckiemu obejściu, swej ujmującej uprzejmości, taktowi oraz wyrobieniu.

–Kupiec nie powinien być biurokratą! – mówił do Stefana

Kistenmakera z firmy

„Kistenmaker i Synowie”, swego dawnego szkolnego kolegi, z którym w dalszym ciągu pozostawał w przyjaźni, jak dawniej górując nad nim umysłem, i który bacznie słuchał każdego jego słowa, by następnie powtarzać je jako własne. – Powinno się działać osobiście, takie jest moje zdanie. – Nie sędzę, żeby samym przesiadywaniem w kantorze można było dojść do jakichś większych sukcesów... w każdym razie nie sprawiłoby mi to przyjemności... Nie tylko przy biurku oblicza się korzyści... Zawsze czuję konieczność osobistego prowadzenia sprawy słowem, spojrzeniem, gestem... opanowania jej bezpośrednim wpływem mej woli, mego talentu, mego szczęścia, jak wolisz. Niestety, wychodzi to stopniowo z mody, owa osobista interwencja kupca. Czas idzie naprzód, ale jak mi się wydaje, to, co jest najlepsze, pozostawia w tyle. Nawiązywanie kontaktów staje się coraz łatwiejsze, wiadomości o kursach coraz szybciej się rozchodzą... Ryzyko zmniejsza się coraz bardziej, a wraz z nim i zysk... Tak inaczej było w dawnych czasach. Na przykład mój dziadek... ten stary jegomość z upudrowaną głową, w swoich escarpins (lekkie pantofle – franc.), jeździł czwórką do południowych Niemiec jako dostawca pruskiej armii; budził zachwyt we wszystkich, roztaczał swoje talenty i robił szalone pieniądze, przyjacielu! – Ach, prawie się boję, że egzystencja kupca z czasem będzie się stawała coraz bardziej banalna...

Tak uskarżał się niekiedy i istotnie ze wszystkich interesów w gruncie rzeczy najbardziej lubił te, gdy zupełnie przypadkowo, na przykład podczas przechadzki z rodziną, wstępował do młyna, gawędził z dumnym z tych odwiedzin młynarzem i lekko, en passant (mimoходом – franc.), w wesołej pogawędce zawierał z nim dobry kontrakt... Takie posunięcia obce były jego współnikowi.

...Co się tyczy Chrystiana, to z początku wyglądało tak, jak gdyby przystępował do pracy z prawdziwym zapałem i przyjemnością; wydawało się nawet, że czuje się wyjątkowo dobrze; przez pewien czas jadł z apetytem, palił swą krótką fajkę i dając wyraz zadowoleniu prężył ramiona w swym angielskim żakiecie. Rano schodził do kantoru prawie jednocześnie z Tomaszem; zasiadał w fotelu obok pana Marcusa a na wprost brata, tylko bokiem do niego zwrócony – miał bowiem swój fotel, podobnie jak obaj szefowie. Naprzód czytał sobie gazetę dopalając spokojnie porannego papierosa. Następnie z dolnej szuflady biurka wyjmował stary koniak, przeciągał się, by rozruszać członki, mówił: „No!” i manewrując językiem w ustach, zabierał się w dobrym humorze do pracy. Angielskie jego listy były wyjątkowo zręczne i miały wielkie powodzenie, gdyż tak jak mówił po angielsku, po prostu, bez namysłu, paplając obojętnie i z łatwością, tak też i pisał.

Jak zwykle, w kółku rodzinnym zwierzał się z swego nastroju.

–Stan kupiecki jest doprawdy pięknym, istotnie uszczęśliwiającym zawodem! – mówił. – Solidny, skromny, pracowity, przyjemny... doprawdy jestem do tego jak stworzony! A jeszcze jako należący do firmy, uważacie... słowem, czuję się tak dobrze jak nigdy. Przychodzi się rano do kantoru,

przeogląda się gazetę, pali się, myśli się o tym, o owym, i o tym, jak jest dobrze; pije się koniak i troszeczkę się pracuje. Nadchodzi południe, je się obiad z rodziną, wypoczywa się, potem znów idzie się do pracy... Pisz się, ma się dobry, gładki, czysty papier firmowy, dobre pióro... linijka, nóż do papieru, stempel, wszystko w pierwszorzędnym gatunku, porządne... i pisze się pilnie, załatwia wszystko po kolei, aż wreszcie kończy się pracę. Nazajutrz znowu jest dzień. A kiedy idzie się na kolację, człowiek czuje tak przejmujące zadowolenie... każdy członek czuje się zadowolony... ręce czują się zadowolone...

–Boże, Chrystian! – zawołała Tonia. – Nie bądźże śmieszny! Ręce czują się zadowolone...

–No tak! Więc ty tego nie znasz? Myślę, że... – I usiłował z zapalem to wyrazić, objaśnić.

–...Zaciska się pięść, rozumiesz... nie jest ona zbyt mocna, bo człowiek zmęczony jest pracą. Ale nie jest też wilgotna... nie denerwuje człowieka... czuje się sama dobrze i przyjemnie... Jest to uczucie zadowolenia z siebie... Można siedzieć beczynn timer, nie nudząc się...

Wszyscy milczeli. Potem Tomasz odezwał się zupełnie obojętnie, by ukryć obrzydzenie:

–Zdaje mi się, że nie po to się pracuje, by... – Ale urwał nie kończąc zaczętej myśli. – Ja przynajmniej mam przed sobą inne cele – dodał.

Chrystian jednak, którego oczy błędziły w dali, nie dosłyszał tego, gdyż był pogrążony w myślach i zaraz zaczął opowiadać jakąś awanturniczą historię z Valparaiso, w której mnóstwo było morderstw i bójek, a którą widział na własne oczy... Ale wtedy chłop wyciąga nóż... – Nie wiadomo, dlaczego opowiadania takie (a Chrystian znał ich bardzo wiele), choć szczerze bawiły panią Gr~unlich, przerażały konsulową, Klarę i Klotyldę, a panna Jungmann i Eryka wysłuchiwały ich z otwartymi ustami, nie znajdowały uznania u Tomasza. Słuchając ich robił zazwyczaj chłodne, szydercze uwagi i dawał do zrozumienia, że uważa je za błagę lub przesadę... Na pewno zresztą nie miał racji; tylko że Chrystian opowiadał je barwnie i z werwą. Czy Tomaszowi przykro było, że młodszy brat podróżował i więcej od niego widział? A może czuł wstręt do tej pochwały nieładu i egzotycznej brutalności, jaka zawierała się w owych nożowych i rewolwerowych awanturach?... Faktem było, że Chrystian nic sobie nie robił z tego negatywnego stosunku brata do swoich opowiadań; za bardzo przejmował się tym, co opisywał, by zwracać uwagę na powodzenie lub niepowodzenie, gdy zaś skończył, wodził oczami po pokoju z wyrazem roztargnienia i zamyślenia.

Jeśli z czasem stosunki między braćmi Buddenbrook zaczęły układać się nie najlepiej, Chrystianowi nigdy nie wpadło na myśl okazywać ani też żywić jakieg~s nienawiści do brata lub rościć pretensji do wydawania o nim opinii, sądu czy oceny. Uznawał w milczeniu, jako rzecz niewątpliwą, która rozumie się sama przez się, że Tomasz przewyższa go powagą, zdolnościami, pracowitością i znaczeniem. Ale właśnie owo bezgraniczne, obojętne podporządkowanie się bez walki drażniło Tomasza, gdyż Chrystian czynił to przy każdej okazji z tak lekkim sercem, jak gdyby nie przykładął żadnej wagi do wyższości, pracowitości, znaczenia i powagi.

Zdawał się on zupełnie nie spostrzegać, że szef firmy okazuje mu coraz to większą milczącą niechęć... zresztą usprawiedliwioną, gdyż niestety kupiecki zapal Chrystiana opadł poważnie po pierwszym, a jeszcze bardziej po drugim tygodniu. Zaczęło się od tego, że przygotowania do pracy,

które początkowo wyglądały na sztucznie i z wyrafinowaniem przedłużany wstęp do właściwej przyjemności, jak: czytanie gazety, palenie papierosa, picie koniaku – trwały coraz dłużej, aż wreszcie zajęły całe przedpołudnie. Potem jednak wszystko ułożyło się tak, że Chrystian przestał zupełnie poddawać się rygorowi biurowych godzin, że rano coraz później zjawiał się ze swym papierosem, by rozpocząć przygotowania do pracy, obiady jadał w klubie, powracał zaś stamtąd zbyt późno, czasem dopiero wieczorem; a czasem nawet wcale...

ów klub, do którego należeli przeważnie nieżonaci kupcy, posiadał na pierwszym piętrze pewnej restauracji kilka pomieszczeń, gdzie jadano obiady i zbierano się dla swobodnej i nie zawsze niewinnej rozrywki: była tam bowiem ruletka. Członkami klubu byli też niektórzy bardziej lekkomyślni ojcowie rodzin, jak oczywiście Piotr Dohlmann, konsul Kröger, a także prefekt policji Cremer, „pierwszy przy sikawce”. Tak wyrażał się doktor Gieseke, Andrzej Gieseke, syn komendanta straży ogniowej, dawny kolega szkolny Chrystiana, który osiadł w mieście jako adwokat i z którym młody Buddenbrook szybko odnowił przyjaźń, jakkolwiek uważano go za hulakę i suitiera.

Chrystiana jednak, który znał

mniej więcej wszystkich z

dawnych czasów – gdyż byli to po

większej części uczniowie

nieboszczyka Marcelego Stengla –

przyjęto tu z otwartymi

ramionami; pomimo bowiem iż tak

kupcy, jak i „uczni” niezbyt

wysoko cenili jego zdolności

umysłowe, znany był jednak

ogólnie ze swych przymiotów

towarzyskich. Istotnie, tutaj

dawał swe najlepsze

przedstawienia, opowiadał swe

najlepsze historie. Przy

fortepianie klubowym imitował

wirtuoza; naśladował angielskich

i transatlantyckich aktorów oraz

śpiewaków operowych, w

najswobodniejszy i

najzabawniejszy sposób opowiadał przeprawy z kobietami ze wszystkich stron świata (gdyż nie ulega wątpliwości: Chrystian Buddenbrook był suitierem), przytaczał przygody, jakie przeżywał na okrętach, w pociągach, w St. Paulo, w Whitechapel, w dziewiczych lasach... Opowiadał w sposób przykuwający, porywający, z łatwością i płynnie, wymową trochę żalną i rozwlekłą, swobodnie i w stylu burleski, jak angielski humorysta. Opowiadał historię o psie, którego przesłano w pudle z Valparaiso do San Francisco i który nadto odznaczał się tym, że był parszywy. Bóg wie, na czym polegała puenta tej anegdoty, ale w jego interpretacji nabierała ona niebywałego komizmu. A gdy potem wszyscy wokoło pokładali się ze śmiechu, on sam siedział ze swym wielkim, zagiętym nosem, cienką, zbyt długą szyją i rudawymi, już przerzedzonymi włosami, z wyrazem niespokojnej, niezrozumiałej powagi na twarzy, z chudymi, nieco krzywymi nogami, założonymi jedna na drugą, a jego małe, okrągłe, głęboko osadzone oczy błędziły w zamyśleniu... Wyglądało to prawie, jak gdyby śmiano się jego kosztem, jak gdyby to jego wyśmiewano... Ale on nie zastanawiał się nad tym.

W domu opowiadał ze szczególnym zamiłowaniem o swym kantorze w Valparaiso, o niezwykle wysokiej temperaturze, jaka tam panowała, oraz o pewnym młodym londyńczyku nazwiskiem Johnny Thunderstorm, hulace, nieprawdopodobnym chłopcu, którego „niech mnie Bóg skarże, nigdy nie widziałem przy pracy”, a który był jednak zdolnym kupcem...

–Boże kochany! – mówił. – W taki upał. No, szef wchodzi do kantoru... leżymy wszyscy w ośmiu jak muchy i palimy papierosy, żeby przynajmniej odpędzić moskity. Boże kochany! „Cóż to – mówi szef – panowie nie pracujecie?” „No, sir! – mówi Johnny Thunderstorm: – Jak pan widzi, sir!” I puszczamy mu wszyscy dym z papierosów prosto w twarz. Boże kochany!

–Dlaczego ty właściwie ciągle mówisz: Boże kochany? – rzekł z rozdrażnieniem Tomasz. Ale nie to go gniewało. Czuł mianowicie, że Chrystian dlatego tylko opowiedział tę historyjkę z taką przyjemnością, że była to okazja mówienia o pracy z lekceważeniem i drwinami.

Matka zaczęła dyskretnie mówić o czym innym.

„Jest na świecie dużo brzydkich rzeczy – myślała sobie konsulowa z Krögerów Buddenbrook. – Bracia niekiedy nienawidzą się i pogardzają sobą; to się zdarza, choć brzmi tak strasznie. Ale o tym się nie mówi. Tuszuje się to. Nie trzeba o tym nic wiedzieć”.

Rozdział czwarty

W maju stryj Gotthold, konsul Gotthold Buddenbrook, mający wówczas sześćdziesiąt lat, dostał pewnej smutnej nocy ataku serca i po ciężkich cierpieniach umarł na rękach swej żony z domu St-uwing.

Syn biednej pani Józefiny – który w porównaniu ze swym później urodzonym i znakomitszym rodzeństwem, potomkami pani Antoinette, niedaleko zajechał w życiu – od dawna pogodził się z losem, w ostatnich zaś latach, zwłaszcza odkąd bratanek odstąpił mu niderlandzki konsulat, bez żadnej urazy zajadał cukierki na kaszel ze swego blaszanego pudełka. Jeśli ktoś podtrzymywał i pielęgnował stary spór rodzinny w formie ogólniejszej i nieokreślonej animozji, to jego panie: nie tyle poczciwa i dość ograniczona żona, ile raczej trzy podstarzałe panny, które nawet spojrzeć nie mogły bez małego zjadliwego ognika w oczach na konsulową, Antoninę lub Tomasza...

W czwartki, kiedy po dawnemu rodzina schodziła się w starym domu na Mengstrasse, by razem spożyć obiad i przepędzić wieczór – czasem zjawiali się i konsulostwo Kröger lub Tetenia Weichbrodt ze swoją niewykształconą siostrą – wówczas panie Buddenbrook z Breitenstrasse z niekłamaną przyjemnością kierowały rozmowę na małżeństwo Toni, by sprowokować panią Grunlich do wygłoszenia paru szumnych słów i móc zamienić między sobą szybkie, złośliwe spojrzenia... wówczas też wypowiadały ogólne uwagi o tym, jak niegodną próżnością jest farbowanie sobie włosów, a także informowały się szczegółowo o Jakuba Krögera, bratanka konsulowej. Biednej, niewinnej i cierplivej Klotyldzie, jedynej, która w istocie mogła się czuć niższą od nich, dawały się we znaki zarcikami mniej nieszkodliwymi aniżeli te, jakie uboga i głodna dziewczyna przyjmowała codziennie z przeciągłym i przyjacielskim zdziwieniem od Toni i Toma. Szydły z bigoterii i surowości Klary, szybko odkryły, że Chrystian nie jest w najlepszych stosunkach z Tomaszem i że chwała Bogu nie ma potrzeby w ogóle z nim się liczyć, gdyż jest on tylko śmiesznym głupcem. Co się tyczy Tomasza, w którym nie można się było w żaden sposób dopatrzeć jakiegokolwiek słabostki i który ze swej strony traktował je z uprzejmą obojętnością, oznaczającą: „pojmuję was i współczuję wam... to okazywały mu one szacunek lekko zaprawiony jadem. O małej Eryce, tak różowej i dobrze utrzymanej, trzeba było przecież powiedzieć, jak na swój wiek jest niepokojąco mała. Nadto Fifi, kiwając głową i śliniąc się, zwracała uwagę na przerażające podobieństwo dziecka do tego oszusta Grunlicha...

Teraz oto wraz z matką płacząc otoczyły łożo śmierci ojca, a pomimo iż gotowe były nawet za tę śmierć winić krewnych z Mengstrasse, zawiadomiły ich o nieszczęściu.

Wśród nocy zabrzmiał dzwonek w wielkiej sieni, że zaś Chrystian późno wrócił do domu i czuł się nieszczęśliwie, Tomasz sam wybrał się w drogę podczas wiosennego deszczu.

Przyszedł w sam czas, by być obecnym przy ostatnich konwulsyjnych skurczach starego pana, następnie zaś długo stał ze złożonymi rękami w pokoju śmierci, spoglądając na niewielką postać zarysowującą się pod kołdrą, na martwą twarz o nieco zbyt miękkich rysach i białe bokobrody...

„Nie było ci za dobrze, stryju Gottholdzie – myślał. – Zbyt późno nauczyłeś się iść na ustępstwa, mieć względy... A to jest jednak konieczne. Gdybym był taki jak ty, gdybym się kiedyś „ożenił ze sklepikiem”... Les dehors zachować!... Czy w ogóle pragnąłeś czego innego, niż miałeś? Chociaż byłeś przekorny i myślałeś zapewne, że twoja przekora ma w sobie coś idealistycznego, duch twój jednak posiadał mało polotu, mało fantazji, mało tego idealizmu, który sprawia, że z ukrytym entuzjazmem, słodszy, rozkoszniejszy, dającym więcej szczęścia niż tajona miłość, potrafimy strzec, bronić, pielęgnować, wznosić do potęgi i chwały jakieś abstrakcyjne dobra, stare nazwisko, starą firmę... Brakowało ci zmysłu poezji, chociaż miałeś dosyć odwagi, by mimo zakazu ojca kochać się i ożenić. Nie posiadałeś też ambicji, stryju Gottholdzie. Oczywiście, to stare nazwisko

jest tylko mieszczańskim nazwiskiem i pielęgnuje się je dbając o rozkwit handlu zbożem lub postępując tak, by być czczonym, kochanym i pełnym znaczenia na maleńkim skrawku świata... Czyś myślał sobie: Ożenię się z panną St~uwing, którą kocham, i nie będę dbał o żadne względy praktyczne, gdyż to jest drobnomieszczańska małostkowość?... O, i myśmy się też dosyć uczyli i podróżowali, by zdać sobie sprawę z tego, że gdy popatrzeć z góry i z zewnątrz na granice, jakie wyznaczamy naszej ambicji, to wydają się one ciasne i nędzne. Ale wszystko na świecie jest tylko przenośnią, stryju Gottholdzie! Czyżes nie wiedział, że także i w małym mieście można być wielkim człowiekiem? Że można być Cezarem w skromnym handlowym mieście nad Bałtykiem?

Oczywiście, do tego trzeba trochę fantazji, trochę idealizmu... a tego nie posiadałeś, cokolwiek byś sam o sobie sądził”.

Tomasz Buddenbrook odwrócił się. Podszedł do okna i z rękami założonymi na plecach, z uśmiechem na inteligentnej twarzy patrzył na słabo oświetloną i przesłoniętą deszczem gotycką fasadę ratusza.

Jak to leżało w naturze rzeczy, urząd i tytuł królewsko_niderlandzkiego konsula, który Tomasz mógł objąć zaraz po śmierci ojca, przeszły teraz na niego ku wielkiej radości i dumie Toni, po czym wypukła tarcza z lwami, herbem i koroną ukazała się znowu na froncie domu na Mengstrasse pod dewizą „Dominus providebit”.

Wkrótce po załatwieniu tej sprawy, w czerwcu tegoż roku, młody konsul udał się w sprawach handlowych do Amsterdamu, sam nie wiedząc, jak długo będzie musiał tam przebywać.

Rozdział piąty

Śmierć zwraca często dusze ku niebu, toteż nikt nie dziwił się słysząc z ust konsulowej Buddenbrook po śmierci męża wysoce religijne zwroty, jakich nie używała dawniej.

Wkrótce jednak okazało się, że nie jest to objaw przejściowy; stało się też ogólnie znanym faktem, że konsulowa, która już w ostatnich latach życia męża, zwłaszcza odkąd zaczęła się starzeć, sympatyzowała z jego duchowymi skłonnościami, teraz, chcąc tym sposobem uczcić pamięć zmarłego, najzupełniej przejęła jego pobożne obyczaje.

Dążyła do tego, by cały dom pełen był łagodnej i chrześcijańskiej powagi, nie wykluczając dostojnej pogody serca. Poranne i wieczorne modlitwy przeciągały się poza zwykłe ramy. Rodzina zbierała się w sali jadalnej, służba zaś stała w sali kolumnowej; konsulowa lub Klara odczytywała rozdział z wielkiej Biblii rodzinnej, drukowanej olbrzymimi literami, po czym śpiewano parę pieśni ze śpiewnika; konsulowa akompaniowała na fisharmonii. Biblię zastępowała często jakaś budująca książka lub zbiór kazań w czarnej oprawie ze złotymi literami, jakiś „Skarbczyk”, „Psałterz”, „Pielgrzym” lub „Dzwonek poranny”, w których powtarzająca się ustawicznie czuła miłość do słodkiego Jezusika budziła już lekką odrazę, a których pełno było w całym domu.

Chrystian rzadko zjawiał się na modlitwę. A zastrzeżenia, jakie przy okazji i na pół żartobliwie, wyraził z powodu tych praktyk Tomasz, odrzucone zostały łagodnie, lecz stanowczo. Co się tyczy pani Gr~unlich, to zachowanie jej niestety nie zawsze było poprawne. Pewnego poranka – u Buddenbrooków gościł wówczas pewien obcy kaznodzieja – trzeba było odśpiewać uroczystą, pełną

wiary i pobożności pieśń:

Jestem przeklęty grzechów

wór,@ pogardy godny twór,@

przegryzła duszę moją złość,@

jak rdza przegryza gwóźdź.@ O

Panie, wielka litość Twa!@ Weź

mnie za ucho, jako psa!@ I

prowadź mnie grzesznego@ do

tronu Niebieskiego.@

...kiedy nagle pani Gr~unlich odrzuciła ze skrucną książkę i wyszła z sali.

Konsulowa jednak była o wiele bardziej wymagająca w stosunku do siebie samej aniżeli do swych dzieci. Założyła na przykład szkółkę niedzielną. W niedzielne popołudnia coraz to dzwoniły na Mengstrasse małe dziewczynki z publicznej szkoły; były to Justynka Voss zza bramy miasta i Mika Stuh t z Glockengisserstrasse, i Fika Snut znad rzeki czy z Gr~opelgrube, ze swymi jasnymi, uczesnymi na mokro i zaplecionymi ciasno włoskami. Wędrowały one przez wielką sień do jasnego, wychodzącego na ogród pokoju, którego od pewnego czasu nie używano już na biuro, gdzie pełno było teraz ławek i gdzie konsulowa z Kr~ogerów Buddenbrook, siedząc na wprost nich za stolikiem, na którym stała szklanka wody z cukrem, ubrana w suknię z ciężkiego czarnego atłasu, ze swą białą twarzą i w jeszcze bielszym koronkowym czepku, godzinę uczyła je katechizmu.

Ustanowiła również „wieczory jerozolimskie”, do tych zaś, prócz Klary i Klotyldy, musiała również chcąc nie chcąc należeć Tonia. Raz na tydzień wokoło rozsuniętego stołu w sali jadalnej zasiadało przy świetle lamp oraz świec ze dwadzieścia pań w wieku, w którym warto już rozejrzeć się za dobrym miejscem w niebie; piły herbatę lub chłodny poncz, jadły tartinki albo pudding, odczytywały świątobliwe pieśni tudzież traktaty, robiły robótki sprzedawane przy końcu roku na bazarze, z których dochód posyłano do Jerozolimy na cele misyjne.

Nabożne zgromadzenie składało się przeważnie z pań tej samej sfery co konsulowa; należały do niego: senatorowa Langhals, konsulowa M~ollendorpf i stara konsulowa Kistenmaker, podczas gdy inne starsze panie, usposobione bardziej świecko, jak pani K~oppen, skłonne były do żarcików na temat swej przyjaciółki, Betsy.

Przychodziły tam także żony miejscowych pastorów, jak również owdowiała konsulowa Buddenbrook z domu St~uwing oraz Tetenia Weichbrodt ze swą niewykształconą siostrą. Ponieważ zaś w obliczu Jezusa nie ma różnic ani stopni, tedy w jerozolimskich wieczorach brały udział także osoby biedniejsze i bardziej dziwaczne, jak na przykład mała pomarszczona istota, bogata w bojaźń bożą oraz we wzory do robótek szydełkowych, która mieszkała w przytułku Świętego Ducha; zwała

się Himmelsb~urger i była ostatnią ze swego rodu... „Ostatnia z Himmelsb~urgerów” – mówiła o sobie smętnie, wsuwając przy tym pod czepek szydełko, by się podrapać w głowę.

O wiele bardziej godne uwagi były jednak w tym towarzystwie dwie bliźniaczki, dziwaczne stare panny, które chodziły po mieście pod rękę, w pasterskich kapeluszach z osiemnastego wieku, w spłowiałych od lat sukniach, i spełniały miłosierne uczynki. Nazywały się Gerhardt i utrzymywały, że pochodzą w prostej linii od Pawła Gerhardta. Mówiono o nich, że wcale nie są tak biedne; żyły jednak jak najędzniej i rozdawały wszystko ubogim...

–Moje drogie! – mówiła konsulowa, która się ich trochę wstydziła. – Bóg patrzy w nasze serca, ale wasze suknie są tak nieporządne... Trzeba dbać o siebie... – Ale one całowały tylko swoją elegancką przyjaciółkę w czoło, z wyrozumiałą i uprzejmą wyższością maluczkich nad wielkimi tego świata, którzy chcieliby dostąpić zbawienia. Nie były one wcale głupie; w ich małych, brzydkich, pomarszczonych papuzich głowach tkwiły błyszczące, zasnutę lekką mgiełką ciemne oczy, patrzące na świat z dziwnym wyrazem łagodności i mądrości... Serca ich pełne były wiadomości cudownych i tajemniczych. Wiedziały one, że w ostatniej naszej godzinie wszyscy ukochani, zmarli przed nami, spływają z nieba wśród śpiewu i błogości, by nas zabrać. Wyraz „Pan” wymawiały z lekkością i prostotą pierwszych chrześcijan, którzy z własnych ust Mistrza słyszeli słowa: „Maluczko a ujrzycie mnie”. Miały najciekawsze teorie, dotyczące wewnętrznych objawień i przeczuć, przenoszenia się i wędrówek myśli... gdyż jedna z nich, Lea, była głucha, a jednak prawie zawsze od razu wiedziała, o czym jest mowa.

Ponieważ Lea Gerhardt była głucha, zwykle czytała głośno na jerozolimskich wieczorach; panie były zdania, że czyta ona ładnie i z uczuciem. Wyjmowała ze swego worka prastarą książkę o śmiesznie nieproporcjonalnym, wydłużonym kształcie, na której umieszczony był ryty w miedzi wizerunek niebywale pyzatego jej przodka, i trzymając książkę w obu rękach, czytała; a chcąc chociaż trochę sama usłyszeć, dobywała tak straszliwego głosu, jak gdyby wichur huczał w kominie:

„Gdy szatan zechce połknąć mnie...”

„No – pomyślała Tonia

Gr~ulich. – Co za szatan zechce taką połknąć!” Nie odezwała się jednak, siedziała cicho przy swym puddingu i myślała o tym, czy też będzie kiedyś tak brzydka jak obie panny Gerhardt.

Nie czuła się szczęśliwa, nudziła się i złościła na pastorów i misjonarzy, których wizyty stały się po śmierci konsula chyba jeszcze częstsze i którzy według przekonania Toni za bardzo rozpanoszyli się w domu i dostawali za dużo pieniędzy. Ostatni punkt obchodził i Tomasza; on jednak milczał, Tonia zaś pomrukiwała od czasu do czasu o ludziach objadających wdowy i nakazujących długie modlitwy.

Z całej duszy nienawidziła owych czarnych jegomościów. Jako kobieta dojrzała i znająca życie, a nie żadna głupia gąska, nie potrzebowała wierzyć w ich świętość. – Matko! – mówiła – Boże drogi, nie należy mówić źle o bliźnich... wiem o tym dobrze! Ale to jedno muszę powiedzieć, a dziwiłabym się, gdyby życie i ciebie nie nauczyło tego samego, że nie każdy noszący długi tużurek i gadający ciągle:

„Panie, Panie!” musi być bez skazy!

Nie wiadomo, jak Tomasz odnosił się do tych prawd, które siostra jego tak dobitnie wygłaszała. Chrystian jednak nie miał o tym żadnego zdania; ograniczał się do przyglądania się tym panom ze zmarszczonym nosem, a następnie przedrzeźniania ich w klubie lub też w kółku rodzinnym...

Trzeba jednak przyznać, że Tonia najwięcej ze wszystkich cierpiała z powodu duchownych osób. Pewnego dnia zdarzyło się, że misjonarz imieniem Jonatan, który przebywał w Syrii oraz w Arabii, a miał duże oczy, spoglądające jakby z wyrzutem, i markotnie obwisłe policzki, podszedł do niej i ze smutną surowością zażądał odpowiedzi na pytanie, czy właściwie jej ukarbowane nad czołem loki dają się pogodzić z prawdziwie chrześcijańską pokorą... Ach, nie liczył się jednak ze złośliwym, pełnym sarkazmu sposobem mówienia Toni Gr~unlich. Milczała parę chwil i widać było, jak jej umysł pracuje. Potem powiedziała: – Czy mogłabym prosić pana pastora, by troszczył się o swoje własne loki?... – I odeszła z szelestem, podnosząc nieco ramiona, odrzucając w tył głowę i usiłując jednocześnie oprzeć brodę na piersi. – A, trzeba dodać, pastor Jonatan posiadał niezwykle mało włosów, można było powiedzieć, że ma łysą czaszkę!

Innym razem doznała jeszcze większego triumfu. Mianowicie pastor Trieschke, Tr~anen_Trieschke z Berlina – przewany tak dlatego, iż co niedzielę podczas kazania zaczynał we właściwym miejscu ronić łzy»* – Tr~anen_trieschke, odznaczający się bladą twarzą, czerwonymi oczami oraz prawdziwie końskimi policzkami, który przez osiem lub dziesięć dni pobytu u Buddenbrooków na przemian to rywalizował z Klotyldą w jedzeniu, to znów odprawiał nabożeństwa – zakochał się w Toni... bynajmniej nie w jej nieśmiertelnej duszy, o nie, lecz w jej górnej wardze, obfitych włosach, ładnych oczach i kwitnącej postaci! I ten boży człowiek, posiadający w Berlinie żonę i dużo dzieci, ośmielił się przesłać przez służącego Antoniego list do sypialni pani Gr~unlich na drugie piętro, list będący efektowną mieszaniną cytatów z Biblii oraz dziwnie przymilnej czułości... Znalazła go idąc do łóżka, odczytała i zszedłszy po schodach pewnym krokiem udała się na półpiętrze do sypialni konsulowej, gdzie przy świecy odczytała matce głośno, nie krępując się bynajmniej, pismo duszpasterza, tak że pobyt Tr~anen_trieschkego stał się odtąd na Mengstrasse niemożliwy.

Tr~anen w jęz. niemieckim – łzy.

–Wszyscy oni tacy sami! – rzekła pani Gr~unlich... – Ha! wszyscy są tacy sami! O, Boże, dawniej byłam głupią gąską, mam, ale życie odebrało mi zaufanie do ludzi. Większość – to oszuści... tak, niestety, tak jest. Gr~unlich! – Podnosząc nieco ramiona i spoglądając ku górze rzuciła przed siebie to nazwisko, które zabrzmiało jak fanfara, jak bojowy dźwięk trąbki.

Rozdział szósty

Sievert Tiburtius był to niewysoki, szczupły człowiek z dużą głową; nosił cienkie, ale długie rozdzielone bokobrody, które niekiedy odrzucał na ramiona. Okrągła jego czaszka pokryta była wielką ilością wełnistych, pierścieniowatych loczków. Muszle uszu miał duże, bardzo odstające, na brzegach mocno zawinięte do wewnątrz, na górze zaś spiczaste jak uszy lisa. Nos tkwił w jego twarzy jak mały, płaski guziczek, kości policzkowe uwydatniały się wyraźnie, oczy zaś, zazwyczaj przymknięte i nieco głupkowato mrugające, w pewnych momentach rozszerzały się w sposób nieprawdopodobny, stawały się coraz większe i większe, wyływały, niemal wyskakiwały...

Taki był pastor Tiburtius, który pochodził z Rygi, urzędował przez kilka lat w środkowych Niemczech, obecnie zaś, powracając do ojczyzny, gdzie trafiła mu się posada kaznodziei, zatrzymał się po drodze w mieście. Zaopatrzony w polecenie kolegi, który również niegdyś jadał na Mengstrasse żółwiową zupę oraz szynkę z szalotkowym sosem, złożył uszanowanie konsulowej, został przez nią zaproszony w gościnę na czas swego pobytu w mieście, co miało trwać zaledwie parę dni, i zamieszkał w pokoju gościnnym na pierwszym piętrze.

Pobyt jego przedłużał się jednak bardziej, niż się spodziewał. Minęło osiem dni, a ciągle jeszcze pozostawało do zwiedzenia wiele osobliwości – to „Taniec śmierci” i zegar z apostołami w kościele Panny Marii, to znów ratusz.

Towarzystwo Żeglarskie lub też słońce z ruchomymi oczami na katedrze. Po dziesięciu dniach wspomniął ponownie o swym wyjeździe; jednak po pierwszym słowie zachęcającym go do pozostania znów wyjazd odłożył.

Był on lepszym człowiekiem niż panowie Jonatan i Tr~anen_trieschke. Bynajmniej nie interesował się karbowanymi loczkami pani Antoniny ani też nie pisał do niej listów. Tym więcej jednak interesował się Klarą, młodszą i poważniejszą siostrą. W jej obecności, gdy ona mówiła, ukazywała się lub znikwała, zdarzyć się mogło, że oczy jego otwierały się w nieprawdopodobny sposób, stawały się coraz większe i większe, wypływały, niemal wyskakiwały... przebywał całymi dniami w jej towarzystwie, prowadził z nią duchowe oraz światowe rozmowy i czytywał jej głośno swym cienkim głosem, śmiesznie akcentowaną wymową swej bałtyckiej ojczyzny.

Zaraz pierwszego dnia

powiedział:

–Na miłość boską, pani konsulowo! Cóż to za skarb i błogosławieństwo boże posiada pani w córce swojej Klarze. To rzeczywiście nadzwyczajne dziecko!

–Ma pan rację – odrzekła konsulowa. Powtarzał to jednak tak często, że zaczęła obserwować go dyskretnie swymi błękitnymi oczami oraz wypytywać po trochu o pochodzenie, stosunki, jako też widoki. Okazało się, że pochodził z rodziny kupieckiej, że matka już odeszła do Boga, że nie posiada rodzeństwa oraz że ojciec żyje jako rentier ze skromnego mająteczku, który kiedyś przejdzie na jedyne go syna; zresztą stanowisko jego zapewnia mu dostateczne dochody.

Co do Klary Buddenbrook, to rozpoczęła ona obecnie dziewiętnasty rok życia, wyrosła zaś na młodą osobę surowej i oryginalnej urody: była wysoka i smukła, miała ciemne, gładko, z przedziałkiem uczesane włosy, surowe, a mimo to marzycielskie brunatne oczy, lekko garbaty nos i nieco zbyt mocno zaciśnięte usta. W domu żyła najbliżej ze swą ubogą oraz pobożną kuzynką Klotyldą, której ojciec umarł niedawno i która zamierzała etablować się, to jest zamieszkać gdzieś z utrzymaniem, odziedziczyła bowiem nieco grosza oraz trochę mebli... Oczywiście Klara nie miała w sobie nic z cierpliwej pokory wiecznie głodnej Tyldzi. Wprost przeciwnie, ton jej względem służących, a nawet względem rodzeństwa i matki miał w sobie coś despotycznego; już nawet sam altowy głos, umięający tylko obniżyć się w sposób dowodzący pewności siebie, nigdy zaś podnosić się pytająco, brzmiał jak rozkaz, w pewne zaś dni – gdy cierpiała na ból głowy – brzmiał twardo, niecierpliwie i wyniośle.

Zanim śmierć konsula okryła rodzinę żałobą, Klara, nieprzystępna i pełna godności, brała udział w towarzyskim życiu rodziców... Konsulowa obserwowała ją i nie mogła ukryć przed sobą, że z zameściem jej, mimo znacznego posagu, nie pójdzie łatwo. Nie mogła wyobrazić sobie przy boku poważnej panienci żadnego ze sceptycznych, chętnie pijących wino, jowialnych kupców z bliskiego otoczenia – myślała raczej o duchownym; ponieważ zaś myśl ta napełniała konsulową radosnym wzruszeniem, przeto słowa pastora Tiburtiusa znalazły u niej chętny i życzliwy odzew.

Istotnie sprawa rozwinęła się wielce pomyślnie. Pewnego ciepłego i bezchmurnego popołudnia lipcowego rodzina udała się na spacer. Konsulowa, Antonina, Chrystian, Klara, Tyldzia, Eryka Gr~unlich oraz panna Jungmann wyszli wraz z pastorem Tiburtiusem za miasto, by u gospodarza wiejskiego, za drewnianym stołem w ogrodzie, spożyć poziomki, zsiadłe mleko lub gryczaną kaszę, po podwieczorku rozproszono się po rozległym ogrodzie, który opadał aż do rzeki, w cieniu drzew owocowych, między krzakami porzeczek i agrestu, zagonami kartofli i szparagów.

Sievert Tiburtius i Klara Buddenbrook pozostali nieco w tyle. Pastor, dużo niższy od niej, odgarnąwszy faworyty na ramiona, zdjął z głowy czarny słomkowy kapelusz i od czasu do czasu ocierając czoło chusteczką i otwierając szeroko oczy prowadził z nią długą i łagodną rozmowę, podczas której raz zatrzymali się, a wówczas Klara spokojnym i poważnym głosem powiedziała „tak”.

Potem, po powrocie, gdy konsulowa wśród uroczystej ciszy niedzielnego popołudnia, nieco zmęczona i zgrzana, siedziała sama w pokoju pejzażowym – pastor Tiburtius przysiadł się do niej w blasku letniego wieczoru i z nią z kolei rozpoczął długą i łagodną rozmowę, na której zakończenie konsulowa rzekła: – Dość, kochany panie pastorze... propozycja pana odpowiada moim macierzyńskim pragnieniom, pan zaś ze swej strony nie uczyniłeś złego wyboru, mogę pana o tym zapewnić. Któż by mógł pomyśleć, że wejście i pobyt pański w naszym domu tak cudownie będą pobłogosławione!... Nie wypowiem dziś jeszcze mego ostatecznego słowa, gdyż mam obowiązek napisać przedtem do mego syna konsula, który, jak panu wiadomo, przebywa obecnie za granicą. Pan uda się jutro do Rygi, by objąć urzędowanie, my zaś mamy zamiar wyjechać na parę tygodni nad morze... Wkrótce otrzyma pan ode mnie wiadomość i, jeśli Bóg da doczekać, zobaczymy się znowu.

Rozdział siódmy

Amsterdam, 20 lipca 56

Hotel „Het Haasje”

Moja kochana Matko!

List Twój, pełen treści, otrzymałem i śpieszę podziękować Ci najserdeczniej za Twoje względy, za to, iż w wiadomej sprawie prosisz o moje przyzwolenie; oczywiście nie tylko udzielałam go, lecz zarazem przesyłam moje najradośniejsze życzenia szczęścia wraz z wyrazami zupełnej pewności, że obie, Ty jako też Klara, uczyniłyście trafny wybór. Piękne nazwisko Tiburtius nie jest mi obce i prawie jestem pewien, że Ojczulek był w stosunkach handlowych ze starym. W każdym razie Klara wejdzie w przyjemne środowisko, a pozycja żony pastora odpowiada jej usposobieniu.

A zatem Tiburtius wyjechał do Rygi i odwiedzi narzeczoną jeszcze w sierpniu? No, to istotnie będzie wesoło u nas na Mengstrasse – weselej jeszcze, niż sobie wyobrażacie, nie wiecie bowiem, z jakiego to dziwnego powodu tak radośnie uderzyła mnie wiadomość o zaręczynach panny Klary i jaki miły zbieg okoliczności ma tu miejsce. Tak, moja najszanowniejsza Pani Matko, jeśli wyrażam dziś moją uroczystą zgodę i przesyłam Klarze znad brzegów Amsteli nad Bałtyk życzenia doczesnego szczęścia, to dzieje się to po prostu pod warunkiem, że odwrotną pocztą otrzymam Twoją zgodę, dotyczącą podobnej okoliczności. Dałbym trzy guldeny, gdybym mógł ujrzeć teraz Twoją twarz, a zwłaszcza naszą dzielną Tonię w chwili, gdy to przeczytacie... ale do rzeczy.

Mieszkam w niewielkim czystym hoteliku z pięknym widokiem na kanał. Jest on położony w środku miasta, niedaleko giełdy, a interesy, dla których tu przyjechałem (idzie o nawiązanie nowych, cennych stosunków: wiesz, że takie rzeczy załatwiam najchętniej osobiście), rozwijały się pomyślnie od pierwszego dnia. Ponieważ znają mnie tu od dawna, tedy, mimo że wiele rodzin przebywa obecnie w nadmorskich miejscowościach kąpielowych, od razu wszedłem w ożywione życie towarzyskie. Byłem na mniejszych przyjęciach u van Henkdomów i u Moelensów, a zaraz na trzeci dzień po przyjeździe musiałem przywdziać strój galowy, by wziąć udział w obiedzie wydanym tak nie w sezonie przez mego dawnego pryncypała, pana van der Kellena, zdaje się, że na moją cześć. Do stołu prowadziłem... macie ochotę zgadywać? Pannę Arnoldsen, Gerdę Arnoldsen, Toni dawną koleżankę z pensji, której ojciec, wielki kupiec, a może jeszcze większy wirtuoz_skrzypek, jak również jego zamężna córka wraz z mężem także byli obecni.

Dobrze pamiętam, że Gerda – pozwólcie, że będę ją odtąd nazywał tylko po imieniu – już jako młoda panienka, w czasach gdy była uczennicą panny Weichbrodt na M~uhlenbrink, wywarła na mnie silne, nieprzemijające wrażenie. Teraz ujrzałem ją znowu: bardziej dorosłą, piękniejszą, rozumniejszą... Wybaczcie mi, że rezygnuję z opisu, który wypadłby może zbyt żywiołowo, ale w niedługim czasie ujrzycie ją na własne oczy!

Łatwo się domyślić, że podczas obiadu mieliśmy wiele tematów do rozmowy; zaraz jednak po zupie opuściliśmy dziedzinę wspomnień, by przejść do rzeczy poważniejszych i bardziej przykuwających. W muzyce nie mogłem dotrzymać jej placu, gdyż niestety my, Buddenbrookowie, niewielkie o niej mamy pojęcie; lepiej już poszło z malarstwem holenderskim, co zaś do literatury, to porozumieliśmy się doskonale.

Czas istotnie przeleciał jak na skrzydłach. Po obiedzie poprosiłem o przedstawienie mnie staremu Arnoldsenowi, który był dla mnie wyszukanie uprzejmy. Później, w salonie, odegrał kilka utworów, Gerda również wystąpiła. Wyglądała wspaniale, a chociaż nie mam żadnego pojęcia o grze na skrzypcach, odczułem jednak, że tak śpiewała na swym instrumencie (prawdziwy Stradiwarius), iż niejednemu łzy do oczu napłynęły.

Następnego dnia złożyłem wizytę u Arnoldsenów. Przyjęła mnie starsza osoba, dama do towarzystwa, z którą musiałem mówić po francusku; potem jednak weszła Gerda, z którą gawędziłem przez godzinę jak poprzedniego dnia: tylko że tym razem jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do siebie, jeszcze bardziej staraliśmy się zrozumieć i poznać wzajemnie. Znowu była mowa o Tobie, Mamo, o Toni, o naszym drogim, starym mieście i o mojej pracy... Już owego dnia powziąłem niezłomne postanowienie, które brzmiało:

Ta albo żadna, teraz albo nigdy!

Spotkałem ją jeszcze na garden_party u mego przyjaciela van Svidrena, następnie byłem na małym wieczorze muzycznym u Arnoldsenów, podczas którego spróbowałem wypowiedzieć coś w rodzaju wstępnych, próbnych oświadczeń; zostały one przyjęte w sposób zachęcający... – i oto pięć dni temu udałem się w przedpołudniowej porze do pana Arnoldsena, by poprosić o pozwolenie starania się o rękę córki. Przyjął mnie w swym prywatnym biurze. „Drogi konsulu – powiedział – nie miałbym nic przeciwko temu, pomimo że staremu wdowcowi ciężko będzie rozstać się z córką! Ale ona? Zawsze dotąd twierdziła stanowczo, że nie chce wyjść za mąż. Czy ma pan szanse?” Był niezmiernie zdziwiony, gdy odrzekł, że istotnie panna Gerda pozwoliła mi mieć niejaką nadzieję.

Pozostawił jej parę dni do namysłu, a jak mi się zdaje, odradzał jej nawet z nadmiernego egoizmu. Nic jednak nie pomogło: jestem wybrany, a od wczorajszego popołudnia zaręczyny są formalnie ogłoszone.

Nie, droga Mamo, nie proszę Cię o błogosławieństwo listowne, już bowiem pojutrze wyjeżdżam stąd; mam jednak obietnicę Arnoldsenów, że w sierpniu odwiedzą nas – ojciec, Gerda, jak również jej zamężna siostra, a wówczas przekonasz się sama, że jest to odpowiednia dla mnie żona. Gdyż nie jest to chyba przeszkodą w Twoich oczach, że Gerda jest tylko o trzy lata młodsza ode mnie? Mam nadzieję, że nie przypuszczałaś, iż ożenię się z podlotkiem ze sfer M~ollendorpf_langhals_kistenmaker_Hagenstr~om.

A co się tyczy „partii”?... Ach, prawie się lękam, że Stefan Kistenmaker i Herman Hagenstr~om, i Piotr D~ohlmann, i wuj Justus, i całe miasto będzie chytrze na mnie spoglądało, gdy dowie się o tej partii, gdyż mój przyszły teść jest milionerem... Boże drogi, cóż mam o tym powiedzieć? Tyle w nas jest cech, które mogą być tłumaczone w różny sposób. Entuzjastycznie czczę Gerdę Arnoldsen, nie mam jednak zamiaru dociekać zbyt głęboko, w jakim stopniu wielki posag, którego cyfrę dość cynicznie szepnięto mi na ucho w chwili prezentacji, przyczynił się do tego entuzjazmu. Kocham ją, a zarazem czuję, że moje szczęście i duma są tym większe, iż nazywając ją moją jednocześnie zdobywam dopływ kapitału dla naszej firmy.

Kończę mój list, droga Matko, zbyt długi wobec faktu, że za parę dni będziemy mogli rozmawiać osobiście o moim szczęściu. Życzę Ci przyjemnego i zdrowego pobytu nad morzem i proszę, byś zechciała pozdrowić ode mnie wszystkich najserdeczniej.

Zawsze kochający

i posłuszny syn T

Rozdział ósmy

Istotnie, owego roku radośnie i uroczyście spędzano okres późnego lata w Buddenbrookowskim domu. W końcu lipca Tomasz zjechał na Mengstrasse; jak i inni panowie, pozostający w mieście, odwiedził kilka razy rodzinę nad morzem; co się tyczy Chrystiana, to korzystał on tam z zupełnych wakacji, narzekał bowiem na nieokreślony ból w lewej nodze, na który doktor Grabow wcale nie umiał poradzić, skłaniało to Chrystiana do tym częstszych nad sobą rozmyślań...

–To nie jest ból... nie można tego tak nazwać – mówił z trudem, przesuwał ręką po nodze, marszcząc nos i wodząc oczami wokoło. – To jest cierpienie, bezustanne, lekkie, niepokojące cierpienie w całej nodze... i w całej lewej stronie, w tej stronie, gdzie jest serce... Dziwne... uważam, że to jest dziwne! Co ty o tym właściwie sądzisz, Tom?...

–Tak, tak... – mówił Tom. – Masz teraz spokój i kąpiele morskie...

A potem Chrystian szedł nad morze, by opowiadać anegdoty, aż całe wybrzeże rozbrzmiewało śmiechem, lub też udawał się do sali w domu zdrojowym, by grać w ruletkę z Piotrem D~ohlmannem, stryjem Justusem, doktorem Gieseke oraz kilkoma hamburskimi suitierami.

Konsul zaś wraz z Tonią odwiedzał, jak zwykle gdy był w Travem~unde, starych N~Schwarzkopfów nad rzeką. – Dzień dobry, pani Gr~unlich! – mówił szef pilotów dialektem, jak zawsze gdy był w dobrym humorze.

–Przeczekacie państwo

niepogody? Teraz jest brzydko, ale będziemy mieli jeszcze bardzo piękny czas... A nasz Morten jest już od dawna doktorem we Wrocławiu; smarkacz ma całkiem niezłą praktykę... – Pani N~Schwarzkopf krzątała się i przygotowywała kawę i spożywali podwieczorek na zielonej werandzie jak dawniej... tylko że wszyscy byli starsi o całe dziesięć lat, Morten i mała Meta, która wyszła za naczelnika gminy w Haffkrug, byli daleko, szef, zupełnie już siwy i nieco głuchy, przeszedł w stan spoczynku, żona jego miała w swej siatce również prawie same siwe włosy, a pani Gr~unlich przestała być gąską i poznała życie, co nie przeszkadzało jej bynajmniej pochłaniać dużych ilości miodu z plastra, gdyż, jak mówiła: „To jest czysty produkt natury, przynajmniej się wie, co się zjada!”

W początkach sierpnia

Buddenbrookowie, jak również i inne rodziny, powrócili do miasta, a potem nadeszła ważna chwila, gdy prawie jednocześnie zjechali pastor Tiburtius z Rosji i Arnoldsenowie z Holandii na dłuższy pobyt na Mengstrasse.

Była to bardzo piękna scena, gdy konsul wprowadził narzeczoną po raz pierwszy do pejzażowego pokoju i przedstawił matce, która wyszła jej naprzeciw z wyciągniętymi rękami i przechyloną na bok głową. Gerda kroczyła po dywanie ze swobodnym i dumnym wdziękiem, bardzo smukła, wysoka i pięknie zbudowana. Była to dwudziestosześcioletnia panna, elegancka, oryginalna, o urzekającej i nieco tajemniczej urodzie, miała ciężkie, ciemnorude włosy, blisko siebie osadzone, brunatne oczy, otoczone delikatnym, błękitnawym cieniem, duże, lśniące zęby widoczne w uśmiechu, prosty nos i cudne, szlachetnie zarysowane usta. Twarz jej była matowobiała i nieco wyniosła, pochyliła się jednak, gdy konsulowa z łagodną serdecznością ujęła jej głowę obiema rękami i pocałowała w śnieżne, nieskazitelne czoło. – A zatem pozdrawiam cię w naszym domu i w naszej rodzinie, moja kochana, piękna, błogosławiona córko – rzekła. – Będzie z tobą szczęśliwy... czyż już dziś nie widzę, że jest przy tobie szczęśliwy?

I prawą ręką przyciągnęła do siebie Tomasza, by go również ucałować.

Nigdy, chyba może za czasów dziadka, nie było weselej i bardziej rojno w dużym domu, który tak chętnie przyjmował pod swój dach gości. Tylko pastor Tiburtius wybrał sobie skromnie pokój za salą bilardową w tylnym budynku; pozostali zaś, pan Arnoldsen, ruchliwy, dowcipny człowiek, dobiegający już szóstego krzyżyka, z siwąwą, spiczastą bródką, pełen uroku, który ujawniał się w każdym jego ruchu, starsza jego córka, dama o chorowitym wyglądzie, jej mąż, elegancki światowiec, którego Chrystian oprowadzał po mieście i wprowadził do klubu, wreszcie Gerda – rozlokowali się w licznych pokojach na parterze, obok sali kolumnowej, na pierwszym piętrze...

Antonina Grunlich była rada, że Sievert Tiburtius był jedynym duchownym w rodzicielskim domu... więcej niż rada. Zaręczyny czczonego przez nią brata, fakt, że właśnie jej przyjaciółka Gerda była jego wybraną, splendor tej partii, która nową sławą opromieniła nazwisko rodzinne i firmę, trzysta tysięcy marek posagu, o których przebąkiwano, myśl o tym, co powie na to miasto, inne rodziny, a zwłaszcza Hagenströmowie... wszystko to wprawiało ją w stan ciągłego zachwyty. Przynajmniej trzy razy na godzinę namiętnie obejmowała przyszłą bratową...

–Och, Gerdo! – wołała. – Kocham cię, wiesz, zawsze cię kochałam! Wiem, że ty mnie nie cierpisz, żeś mnie zawsze nienawidziła, ale...

–Ależ proszę cię, Toni! – mówiła panna Arnoldsen. –

Jakżebyś mogła ciebie nienawidzić? Czy wolno mi zapytać, coś ty mi właściwie wyrządziła tak okropnego?

Z jakichś nieznanych powodów, zapewne z nadmiaru radości i samej potrzeby mówienia, Tonia dalej utrzymywała, że Gerda zawsze jej nienawidziła, ona zaś – i tu jej oczy napełniały się łzami – stale odplacała za tę nienawiść miłością. To znów brała Tomasza na stronę i mówiła mu: – Toś dobrze zrobił. Tom, ach Boże, jakie ty to dobrze zrobił! Że też ojciec tego nie dożył... doprawdy beczeć się chce! Tak, to wymazuje wiele... przede wszystkim osobę, której nazwisko niechętnie wymawiam...

–Potem wpadło jej do głowy zaciągnąć Gerdę do pustego pokoju i opowiedzieć jej z przerażającą dokładnością całą historię z Benedyktem Grunlichem. Rozmawiała też z nią godzinami o szkolnych czasach, o owych wieczornych pogawędkach, o Armgardzie von Schilling z Meklemburgii oraz o Ewie Ewers z Monachium... Sievert Tiburtius jako też zaręczyny jego z Klarą nic jej nie obchodziły, ale i oni wcale się o nią nie troszczyli. Najczęściej siedzieli cicho, trzymając się za ręce, i poważnie, łagodnie rozmawiali o pięknej przyszłości.

Ponieważ rok żałoby jeszcze nie upłynął, zaręczyny obchodzone były jedynie w kółku rodzinnym, pomimo to Gerda Arnoldsen dość szybko stała się znana w mieście, a jej osoba stanowiła główny temat rozmów na giełdzie, w klubie, w teatrze, w towarzystwach...

–Tip_top – mówili suitierzy mlaszcząc językiem, było to najnowsze hamburskie wyrażenie, które miało oznaczać coś w najlepszym gatunku, czy szło o markę czerwonego wina, czy też o cygaro, obiad lub o odpowiedzialność handlową. Ale wielu spośród solidnych, zacnych, statecznych obywateli kiwało głowami... – Dziwne... te toalety, te włosy, ta twarz... trochę już za dziwne. – Kupiec Sørensen wyraził się:

–Jest w niej coś takiego... – przy czym odwrócił się ze skrzywioną miną, jak gdyby zrobiono mu na giełdzie kiepską propozycję. Ale to był konsul Buddenbrook... i to było podobne do niego. Nieco pretensjonalny jest ten Tomasz Buddenbrook, nieco... inny, inny także niż jego przodkowie. Wiedziano, wiedział zwłaszcza właściciel składu sukna, Benthien, że nie tylko wszystkie jego eleganckie i modne ubrania – a posiadał ich niezmiernie wiele: palta, surduty, kapelusze, kamizelki, spodnie i krawaty – lecz nawet i bielizna pochodziły z Hamburga. Wiedziano nawet i o tym, że codziennie, a często i dwa razy na dzień zmienia bieliznę oraz że perfumuje chusteczkę i wąsy ułożone ~a la Napoleon III. A wszystkiego tego nie czynił bynajmniej dla prestiżu firmy lub reprezentacji – dom „Jan Buddenbrook” nie potrzebował tego – lecz z wrodzonej skłonności do wszystkiego, co najwytworniejsze i najbardziej arystokratyczne... bo i jak można było to określić, do stu diabłów! A do tego jeszcze i te cytaty z Heinego i innych poetów, jakie niekiedy wtrącał do zwykłych rozmów o sprawach kupieckich lub miejskich... No, a teraz ta kobieta... Tak, i w nim samym, w konsulu Buddenbrooku, także było „coś takiego”, co jednak należało przyjmować z całym szacunkiem, gdyż rodzina była wysoce ceniona, firma bezwzględnie solidna, a sam szef był rozumny i miłym człowiekiem, który kochał miasto i zapewne niejedno miał jeszcze dlań uczynić... A podobno to diabelnie dobra partia, mówiono o okrągłych stu tysiącach talarów... Jednakże... Również i między damami znajdowały się takie, które uważały Gerdę po prostu za „głupią”, przy czym nie należy zapominać, że wyraz „głupia” oznaczał bardzo dobitnie wyrażoną naganę.

Kto jednak, od chwili gdy po raz pierwszy ujrzał Gerdę na ulicy, czcił ją z niewygasającym zapalem, to makler Gosch. – Ha!

–powiedział w klubie czy może w Towarzystwie Żeglarskim, podnosząc w górę szklanekę ponczu i nadając straszliwy wyraz swej twarzy intryganta. – Co za kobieta, panowie! Hera i Afrodyta, Brunhilda i Meluzyna w jednej osobie... Ha, życie jest jednak piękne! – dodał; ale żaden z obywateli siedzących tam przy swych kuflach na ciężkich rzeźbionych ławach starego domu żeglarzy, pod zwieszającymi się od pułapu modelami żaglowców i dużych ryb – żaden nie zrozumiał, jakim wydarzeniem w skromnym życiu tęskniącego za niezwykłością maklera Goscha było pojawienie się Gerdy Arnoldsen...

Niewielkie towarzystwo z Mengstrasse, które, jak powiedziano wcześniej, nie miało obecnie obowiązku urządzania większych uroczystości, tym łatwiej mogło zżyć się z sobą.

Sievert Tiburtius, trzymając

rękę Klary w swojej, opowiadał o

swych rodzicach, o swej młodości

oraz swych planach na

przyszłość, Arnoldsenowie

opowiadali o swym rodzie

pochodzącym z Drezna, z którego

jedynie ich linia wywędrowała do

Niderlandów, wówczas pani

Gr~unlich prosiła o klucz od

sekretery w pokoju pejzażowym i

z powagą przynosiła tekę z

rodzinnymi papierami, w których

Tomasz zaznaczył i ostatnie

daty. Odczytywała z

namaszczeniem historię

Buddenbrooków, czytała o krawcu z Rostocka, który miał się bardzo dobrze, przytaczała stary wierszyk okolicznościowy:

Męska dzielność, trudy

szczerę,@ wdzięki, co się tulą

doń,@ znajdujemy tu Wenerę@ i

Wulkana silną dłoń...@

przy czym przesuwając językiem po górnej wardze, spoglądała na Toma i Gerdę; z uszanowania zaś dla historii nie przepuszczała tego okresu z dziejów rodziny, kiedy to wtargnęła do niej pewna osoba, której nazwisko właściwie niechętnie wymawiała...

We czwartki o czwartej po południu przychodzili zwykli goście: Justus Kr~oger ze swą słabowitą żoną, z którą żył w niezgodzie, gdyż nawet do Ameryki posyłała pieniądze nieudanemu i wydziedziczonemu synowi Jakubowi... oszczędzała po prostu na gospodarstwie, sama zaś z mężem jadała tylko gryczaną kaszę, nie było na to rady. Przychodziły panie Buddenbrook z Breitenstrasse, które musiały przecież być prawdomówne i stwierdzić, że Eryka Gr~unlich znowu nie przytyła, że stała się jeszcze podobniejsza do swego ojca oszusta oraz że narzeczona konsula nosi dosyć dziwaczną fryzurę... Przychodziła też Tetenia Weichbrodt, podnosiła się na palcach, całowała Gerdę w czoło, mówiąc ze wzruszeniem: – Bądź szczęśliwa, drogie dziecko!

Przy stole pan Arnoldsen wznosił bardzo dowcipne i pełne fantazji toasty na cześć narzeczonych, a potem, przy kawie, grał na skrzypcach jak Cygan, dziko, namiętnie, biegle... a i Gerda przynosiła swego Stradivariusa, z którym się nigdy nie rozstawiała, słodką kantyleną wtórowała jego pasażom i grali przepyszne duety w pokoju pejzażowym, przy fisharmonii, na tym samym miejscu, gdzie niegdyś dziadek konsula wygrywał na flecie swe drobne tęskne melodie.

–Jakież to wzniosłe! – mówiła Tonia, siedząc z daleka, zagłębiona w swym fotelu. – O Boże, jakie to wzniosłe! – I poważnie, powoli, z namaszczeniem, z oczami skierowanymi w górę, wywnętrzała się dalej: – Nie, wiecie państwo, jak to się plecie w życiu... nie każdy posiada przecież taki dar! Mnie odmówiło niebo talentu, wiecie państwo, choć niejedną raz błagałam je o to... Jestem tylko głupiotką gąską... Tak, Gerdo, wysłuchaj tego ode mnie... jestem starsza i poznałam życie... Powinnaś co dzień na kolanach dziękować Stwórcy, że jesteś tak obdarowaną istotą!...

–Obdarzoną – powiedziała Gerda i roześmiała się, przy czym ukazała swe duże, piękne, białe zęby.

Potem wszyscy skupili się razem, by pogadać o najbliższej przyszłości i spożyć galaretkę ponczową.

Postanowiono, że Sievert Tiburtius jak również Arnoldsenowie odjadą z końcem miesiąca lub w początkach września. ślub Klary miał się odbyć z całą okazałością w kolumnowej sali, zaraz po Bożym Narodzeniu, wesele w Amsterdamie zaś – na którym i konsulowa miała być obecna, „jeśli Bóg da doczekać” – musiało być odsunięte do początku przyszłego roku, by można było nieco wypocząć między jedną a drugą uroczystością. Nic nie pomogło, że Tomasz przeciwstawiał się temu postanowieniu. – Ja proszę!

–powiedziała konsulowa kładąc dłoń na jego ręce... – Sievert ma le pr~evenir.»*

Pastor oraz jego narzeczona zrzekli się poślubnej podróży. Za to Gerda i Tomasz postanowili pojechać przez północne Włochy do Florencji na osiem tygodni; przez ten czas Antonina z tapicerem Jacobsem z Fischerstrasse miała przygotować ładny, mały domek na Breitenstrasse; konsul nabył go ostatnio od pewnego starego kawalera, który przeniósł się do Hamburga.

–Och, Tonia będzie już umiała ładnie go urządzić!

–Będziecie urzędzeni

wytwornie! – powiedziała. I wszyscy byli tego pewni.

Chrystian zaś chodził na swych zgiętych, cienkich nogach po pokoju, w którym narzeczeni trzymali się za ręce i w którym o niczym innym nie mówiono, tylko o ślubie, wyprawie i podróży poślubnej. Czuł cierpienie, nieokreślone cierpienie w lewej nodze, i poważny, niespokojny i zamyślony wodził po wszystkich swymi małymi, okrągłymi, głęboko osadzonymi oczami. Wreszcie, naśladowując wymowę Marcelego Stengla, odezwał się do biednej kuzynki, która, postarzała, cicha i wychudzona, siedziała między szczęśliwymi, głodna nawet i po obiedzie: – No, Tyldziu, teraz i my się poženimy – to jest... każde oddzielnie!

Le pr~evenir (franc.) – tu użyte błędnie w znaczeniu: pierwszeństwo.

Rozdział dziewiąty

Mniej więcej w siedem miesięcy później konsul Buddenbrook wraz z małżonką powrócili z Włoch. Na Breitenstrasse leżał marcowy śnieg, gdy około piątej po południu dorożka zajechała przed skromną fasadę ich olejno pomalowanego domu. Kilkoro dzieci i osób dorosłych przystanęło na ulicy, by przyjrzeć się przybyszom.

Pani Antonina Grunlich, dumna ze swych przygotowań, stała we drzwiach, tuż obok zaś oczekiwały rozkazów dwie przyjęte przez nią służące w białych stroikach na głowie.

Podniecona pracą i radością, zbiegła spieszenie ze schodów i obejmując na przemian to Gerdę, to Tomasza, którzy otuleni w futra wyszli z obładowanego kuframi pojazdu, wciągnęła ich do sieni...

–Więc przyjechaliście!

Przyjechaliście, szczęśliwi, z dalekiej wędrówki! Widzieliście „ten gmach, gdzie wielkich sto podwoi?”... Gerdo, jesteś teraz jeszcze piękniejsza, chodź, niechże cię ucałuję... nie, w usta też... tak! Dzień dobry, stary, i ty dostaniesz całusa. Marcus mówił mi, że wszystko doskonale szło przez ten czas. Matka oczekuje was na Mengstrasse; ale przede wszystkim rozgośćcie się tutaj... Chcecie się napić herbaty? Wziąć kąpiel? Wszystko jest przygotowane. Nie będziecie się uskarżali. Jacobs wysilał się, ja też robiłam, co mogłam...

Podczas gdy służące wraz ze stangretem dźwigały rzeczy, Tonia mówiła:

–Pokojów tu na parterze nie będziecie tymczasem wiele używali... tymczasem – powtórzyła przesuając językiem po górnej wardze. – Ten jest ładny – i otworzyła drzwi na prawo tuż obok wejścia. – W oknach jest bluszcz... proste drewniane sprzęty... Dąb... Tam dalej, po drugiej stronie korytarza, znajduje się inny, większy. Tu na prawo jest kuchnia i spiżarnia... Ale wejdźmy na górę, ach, wszystko chcę wam pokazać!

Weszli po wygodnych schodach, wyłożonych szerokim ciemnoczerwonym chodnikiem. Na górze poza oszklonymi drzwiami znajdował się wąski korytarz. Mieścił się tam pokój jadalny; pośrodku stał duży okrągły stół, na którym kipiał samowar. Pod ścianami, okrytymi ciemnoczerwonym obiciem naśladowującym adamaszek, stały rzeźbione, orzechowe krzesła i masywny kredens. Wygodny gabinet, wybity szarym sukniem, oddzielony był tylko portierami od wąskiego salonu z wykuszem i z rypсовymi, zielonymi fotelami. Ale czwartą część całego piętra zajmowała sala o trzech oknach. Stąd przeszli do sypialni.

Leżała ona po prawej stronie korytarza; stały tam potężne mahoniowe łóżka, w oknach wisiały firanki w kwiaty. Tonia wyszła przez małe drzwiczki, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na kręte schody, prowadzące do suterenu: mieściła się tam łazienka oraz pokoje służbowe.

–Tu jest ładnie. Tu zostanę – rzekła Gerda opadając z westchnieniem na fotel stojący obok łóżka.

Konsul nachylił się nad nią i pocałował ją w czoło.

–Zmęczona? Ale to prawda, ja też mam ochotę trochę się odświeżyć...

–A ja przygotuję herbatę – rzekła pani Grunlich – czekam na was w jadalnym... – I wyszła z pokoju.

Gdy Tomasz wszedł, herbata dymiła już w miśnieńskich filiżankach.

–Otóż jestem – rzekł. – Gerda pragnie wypocząć jeszcze z pół godziny. Ma ból głowy. Potem pójdziemy na Mengstrasse... Wszystko tam w porządku, kochana Toni! Matka, Eryka, Chrystian?

–Ale przede wszystkim – mówił dalej bardzo serdecznie – oboje z Gerdą najgoręcej dziękujemy ci, kochanie! Tak ładnie wszystko urządziłaś! Niczego nie brakuje, prócz kilku palm do wykusza dla mej żony, rozejrzę się również za znośnymi obrazami olejnymi!... Ale opowiadaj! Co u ciebie słyhać, co porabiałaś przez ten czas?

Przyciągnął krzesło siostry do swojego, rozmawiając popijał wolno herbatę i zagryzał biszkoptem.

–Ach, Tom – odrzekła. – Cóż ja miałam robić? Życie moje jest poza mną...

–Głupstwa, Toni! Twoje życie... Ale nudzimy się mocno, nieprawda?

–Tak, Tom, nudzę się

okropnie. Czasem aż beczę z nudów. Urządzenie tego mieszkania sprawiło mi wiele przyjemności i nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, żeście już przyjechali... Ale w domu nie czuję się dobrze, niech mnie Pan Bóg skarże, jeśli to grzech. Mam już trzydzistkę, ale nie jest to jeszcze wiek odpowiedni do zawarcia przyjaźni z ostatnią z Himmelsb~urgerów albo z pannami Gerhardt, albo z którymś z tych czarnych ludzi, którzy objadają wdowy... Nie ufam im. Tom, to są wilki w owczej skórze... plemię jaszczurcze... Wszyscyśmy grzeszni i słabi, toteż gdy chcą patrzeć na mnie, biedne dziecię tego świata, ze współczuciem, śmieję się z nich. Zawsze byłam przekonana, że wszyscy ludzie są równi i że nie potrzeba pośredników między ludźmi a Panem Bogiem. Znasz też moje zapatrywania polityczne. Chcę, by obywatel względem państwa...

–Więc czujesz się

osamotniona, prawda? – zapytał Tomasz, by sprowadzić ją na właściwą drogę. – Ale słuchaj, masz przecież Erykę?

–Tak, Tom, i kocham ją z całego serca, chociaż pewna osobistość utrzymywała, że nie kocham dzieci... Ale widzisz... mówię z tobą otwarcie, jestem uczciwą kobietą, mówię, co mam na sercu, i nie dbam o piękne słowa...

–To bardzo ładnie z twojej strony, Toni.

–Krótko mówiąc, to dziecko za bardzo przypomina mi Gr~unlicha... kuzynki z Breitenstrasse też mówią, że ona jest bardzo podobna do niego... A przy tym, kiedy na nią patrzę, muszę ciągle myśleć: Jesteś starą kobietą, masz dużą córkę i twoje życie jest skończone. Kiedyś, dawno, żyłaś przez parę lat, ale teraz możesz doczekać siedemdziesięciu i osiemdziesięciu lat i będziesz tu siedziała i słuchała czytania Lei Gerhardt. Ta myśl jest dla mnie tak smutna, że utknęła mi tu w gardle i dusi. Gdyż czuję się jeszcze młoda, widzisz, i tęsknię do życia... I wreszcie: nie tylko w domu, ale nawet w mieście nie czuję się dobrze, niech ci się nie zdaje, że jestem porażona ślepotą, gdy chodzi o stosunki tutejsze, nie jestem już gąską i dobrze widzę. Jestem rozwódką, i dają mi to odczuć, to proste. Możesz mi wierzyć, Tom, ciągle leży mi to na sercu, że splamiłam nazwisko, choć nie z mojej

winy. Możesz robić, co chcesz, zarabiać masę pieniędzy, zostać pierwszym człowiekiem w całym mieście – ludzie zawsze i tak powiedzą:

„Tak, a poza tym jego siostra

jest rozwódką”. Julcia

Mollendorpf, z domu

Hagenstrom, nie kłania mi się... taka gęś! I tak jest ze wszystkimi rodzinami... A jednak nie mogę wyzbyć się nadziei, że wszystko jeszcze da się naprawić. Jestem jeszcze młoda... Czy nie jestem jeszcze dosyć ładna? Mama nie może mi już wiele dać, ale są to zawsze jeszcze pieniądze. A gdybym tak wyszła jeszcze raz za mąż? Mówiąc otwarcie. Tom, jest to moje najgorętsze pragnienie! Wszystko byłoby w porządku, plama byłaby wymazana... O Boże, gdybym mogła zrobić partię odpowiadającą naszemu nazwisku, na nowo się urządzić! Czy myślisz, że to jest tak zupełnie wykluczone?

–Co znowu, Toni! Ach, nigdy w życiu! Nigdy nie przestałem na to liczyć. Ale przede wszystkim wydaje mi się, że jest wskazane, byś trochę wyjrzała na świat, trochę rozweseliła się, nieco zmiany...

–O to właśnie idzie! – rzekła z zapalem. – Muszę ci coś opowiedzieć.

Bardzo zadowolony z tej propozycji Tomasz oparł się wygodnie o poręcz krzesła. Palił drugiego z kolei papierosa, zapadał zmierzch.

–A zatem podczas waszej nieobecności o mało nie przyjąłm posady, miejsca damy do towarzystwa w Liverpoolu! Czy uważałbys to za coś oburzającego? Ale zawsze za coś wątpliwego?... Tak, tak, zapewne byłoby to nieodpowiednie. Ale mnie właśnie o to chodziło, żeby wyjechać... No, i rozbiło się. Posłałam tej mistress moją fotografię, ale zmuszona była wyrzec się moich usług, gdyż jestem za ładna, ma ona w domu dorosłego syna. „Jest pani za ładna”, napisała... ha, nigdy się jeszcze tak nie ubawiła!

Oboje śmieli się serdecznie.

–Ale teraz powzięłam nowe postanowienie – ciągnęła dalej Tonia. – Dostałam zaproszenie, Ewa Ewers zaprosiła mnie do Monachium, zresztą teraz nazywa się ona Niederpaur, mąż jej jest dyrektorem browaru. Krótko mówiąc, prosiła, bym do niej przyjechała, i mam zamiar skorzystać z jej zaproszenia. Eryka, oczywiście, nie mogłaby pojechać ze mną. Oddałabym ją na pensję do Teteni Weichbrodt. Znalazłaby tam doskonałą opiekę.

Czy miałbys coś przeciwko temu?

–Nic a nic. W każdym razie to konieczne, byś dostała się w jakieś nowe otoczenie.

–Tak, o to właśnie idzie! – rzekła z wdzięcznością. – Ale teraz o tobie. Tom! Ciągłe mówię o sobie, jestem samolubna! Teraz ty opowiadaj. Boże, jaki ty musisz być szczęśliwy!

–Tak, Toniu! – powiedział z naciskiem. Zapadła cisza.

Wydechając dym, który snuł się ponad stołem, ciągnął dalej:

–Przede wszystkim cieszę się bardzo, że jestem żonaty i założyłem własny dom. Znasz mnie: nie nadawałbym się na kawalera, którego życie jest zawsze związane z samotnością i hulanką; jestem, jak wiesz, nieco ambitny. Kariery mojej nie uważam za skończoną. Ani w sensie handlowym, ani też, powiedzmy żartobliwie, politycznym... ale prawdziwe zaufanie świata zdobywa się dopiero, gdy się jest panem domu i ojcem rodziny. A jednak to wisiało na włosku, Toniu... Jestem nieco wybredny. Długi czas sądziłem, że będzie to dla mnie niemożliwością znaleźć na świecie odpowiednią towarzyszkę. Ujrzenie Gerdy przesądziło sprawę. Od razu pojąłem, że jest ona jedyną, właśnie ona... chociaż wiem, że wiele osób w mieście gniewa się na mnie i nie pochwała mego wyboru. Jest ona cudowną istotą, na pewno niewiele jest takich na ziemi. Oczywiście jest zupełnie inna niż ty, Toniu. Jesteś prostsza, jesteś też naturalniejsza... Moja pani siostra ma po prostu więcej temperamentu – mówił dalej przeszedłszy nagle na lżejszy ton. – Zresztą, że Gerda też posiada temperament, dowodzi tego naprawdę jej muzyka; umie jednak być czasem nieco zimna... Słowem, nie można mierzyć jej zwykłą miarą. Jest to artystyczna natura, istota oryginalna, zagadkowa, zachwycająca.

–Tak, tak – rzekła Tonia.

Słuchała brata uważnie i z powagą. Zapominając o lampie siedzieli tak wśród zapadającego zmierzchu.

Wówczas otworzyły się drzwi od korytarza i otoczona mrokiem stanęła przed nimi wyprostowana postać w fałdzistej sukni domowej ze śnieżnobiałej piki. Ciężkie ciemnorude włosy okalały białe oblicze, w kącikach blisko siebie osadzonych ciemnych oczu kładły się błękitnawe cienie. Była to Gerda, matka przyszłych Buddenbrooków.

Część szósta

Rozdział pierwszy

Tomasz Buddenbrook jadał pierwsze śniadanie zazwyczaj sam w swoim ładnym pokoju jadalnym, gdyż małżonka jego późno opuszczała sypialnię, często bowiem przed południem miewała migreny i w ogóle źle się czuła. Zaraz potem konsul udawał się na Mengstrasse, gdzie pozostały kantory firmy, spożywał drugie śniadanie na półpiętrze w towarzystwie matki, Chrystiana oraz Idy Jungmann, z Gerdą zaś spotykał się dopiero o czwartej przy obiedzie.

Na parterze, gdzie znajdowały się biura, po dawnemu panował ożywiony ruch; ale piętra dużego domu na Mengstrasse były bardzo puste i osamotnione. Małą Erykę oddano na pensję do panny Weichbrodt, biedna Klotylda wynajęła pokój wraz z tanim utrzymaniem u wdowy po nauczycielu gimnazjalnym i umieściła tam swoich pięć czy sześć sprzętów; nawet służący Antoni opuścił dom, by przejść do młodych państwa, gdzie był potrzebniejszy; gdy zaś Chrystian pozostawał w klubie, wówczas o godzinie czwartej przy okrągłym stole, którego wcale teraz nie rozsuwano i który ginął w obszernej świątyni jadalnej wśród posągów bóstw, siedziała jedynie konsulowa z panną Jungmann.

Wraz ze śmiercią konsula Jana Buddenbrooka zamarło na Mengstrasse życie towarzyskie, konsulowa bowiem, poza odwiedzinami tego lub owego duchownego, nie przyjmowała innych gości prócz członków rodziny, którzy pojawiali się w czwartki. Syn jej natomiast oraz jego małżonka wydali już pierwszy obiad proszony, do którego nakryto w pokoju jadalnym i w gabinecie, obiad z kuchmistrzynią, wynajętymi lokajami i kistenmakerowskimi winami – popołudniowe przyjęcie, które rozpoczęło się o piątej, a trwało wśród gwaru i woni potraw do jedenastej i dłużej jeszcze; byli na nim obecni wszyscy Langhalsowie, Hagenstr~omowie, Huneusowie, Kistenmakerowie, Oeverdieckowie i M~ollendorpfowie, kupcy i uczeni, małżeństwa i suitierzy; zakończono je wistem oraz muzyką i jeszcze w tydzień później mówiono o nim na giełdzie w najpochlebniejszy sposób. Istotnie, okazało się, że młoda pani konsulowa umie reprezentować... Owego wieczora konsul, pozostawszy z nią sam na sam w pokojach oświetlonych dopalającymi się świecami, wśród porostawianych w nieładzie mebli, wśród gęstej, słodkiej i ciężkiej woni dobrych potraw, perfum, win, kawy, cygar i kwiatów, uścisnął jej rękę i powiedział: – Świetnie, Gerdo! Nie mamy się czego wstydzić. Te rzeczy są bardzo ważne... Nie mam najmniejszej ochoty zajmować się balami i zapraszać tu młodych ludzi, aby sobie trochę poskakali, nie mamy też na to miejsca. Ale poważni ludzie muszą się u nas czuć dobrze. Taki obiad trochę więcej kosztuje... ale to niezła lokata.

–Masz rację – odpowiedziała wygładzając koronki, przez które pierś jej przeświecała jak marmur. – Ja też stokrotnie wolę obiady niż bale. Obiad działa tak nadzwyczajnie uspokajająco... Grałam dziś po południu i czułam się jakoś dziwnie... Teraz mózg mój jest tak martwy, że mógłby tu uderzyć piorun, a nie zbladłabym ani bym się nie zaczerwieniła...

Gdy tego dnia o wpół do dwunastej konsul zasiadł do stołu wraz z matką, ta odczytała mu następujący list:

Monachium,

2 kwietnia 1857 r.

Plac Panny Marii nr 5

Moja kochana Mamo!

Proszę o wybaczenie, to

doprawdy hańba, że dotąd jeszcze

nie napisałam, choć bawię tu już

od tygodnia; za bardzo jestem

przejęta wszystkim, co tu widzę

–ale o tym później. Na wstępie pytam, jak się wszyscy, drodzy moi, macie – Ty i Tom, i Gerda, i Eryka, i Chrystian, i Tyldzia, i Ida. To jest najważniejsze.

Ach, czego ja nie widziałam przez tych parę dni! Jest tu pinakoteka i gliptoteka, i nadworny browar, i

nadworny teatr, kościoły i wiele innych rzeczy. Muszę o tym ustnie opowiedzieć, gdyż zapisałabym się na śmierć. Odbyliśmy też już przejażdżkę do doliny Izary, a jutro zamierzamy urządzić wycieczkę nad Würmse. I tak bez przerwy. Ewa jest dla mnie bardzo uprzejma, a pan Niederpaur, dyrektor browaru, jest bardzo miłym człowiekiem. Mieszkamy w centrum miasta, na bardzo ładnym placu ze studnią pośrodku, jak u nas na rynku, a blisko naszego domu jest ratusz. Nigdy nie widziałam podobnego domu! Od góry do dołu pstro pomalowany, jest tam święty Jerzy zabijający smoka i dawni książęta bawarscy w całym przepychu. Wyobraźcie to sobie!

Tak, Monachium niezwykle mi się podoba. Powietrze tutejsze podobno wzmacnia nerwy, a z moim żołądkiem jest w tej chwili zupełnie dobrze. Z wielką przyjemnością pijam dużo piwa, tym bardziej że woda tutejsza nie jest zupełnie zdrowa, ale nie mogę przywyknąć do tutejszego jedzenia. Dają zbyt mało jarzyn a za dużo mąki, na przykład w sosach, nad którymi niech Pan Bóg się zlituje. Nie mają tu pojęcia, co to jest porządny comber cielęcy, gdyż rzeźnicy wcale nie umieją dzielić mięsa. I bardzo odczuwam brak ryb. I jeszcze, czy to nie wariactwo jeść ciągle sałatę z ogórków i kartofli i popijać piwem! Mój żołądek buntuje się przeciwko temu.

W ogóle do wielu rzeczy trzeba się dopiero przyzwyczaić, pojmujecie, jest się przecież w obcym kraju. Zupełnie inne są tu pieniądze, trudno jest porozumieć się z prostymi ludźmi, ze służbą, gdyż ja mówię dla nich za prędko, a oni znów szwargocą – no, a wreszcie jest katolicyzm; jak wiecie, nienawidzę go, nie mam dla niego żadnego szacunku...

Tu konsul roześmiał się i trzymając w ręku tartinkę z ziołowym serem oparł się o poręcz sofy.

–Tak, Tom, ty się śmiejesz – rzekła jego matka i stuknęła parę razy środkowym palcem w obrus. – Mnie się to bardzo w niej podoba, że trzyma się mocno wiary swych ojców i ma wstręt do nieewangelickich bzdurstw. Wiem, że we Francji i we Włoszech nabrałeś sympatii do Kościoła papieskiego; nie jest to u ciebie religijność, lecz coś innego, i ja to rozumiem; ale chociaż powinniśmy być cierpliwi, jednak bawienie się i igranie z tymi rzeczami jest wysoce karygodne i muszę prosić Boga, by tobie oraz twojej Gerdzie – gdyż wiem, że i ona nie należy do najgorliwszych – zesłał z latami powagę, z jaką należy do tych spraw przystępować. Wybaczysz matce tę uwagę.

Na studni – czytała dalej – którą widać z mojego okna, stoi figura Marii, którą czasem wieńczą, a potem prości ludzie klękają tam z różańcami i modlą się, co właściwie bardzo ładnie wygląda, ale przecież jest powiedziane: „Idź do twojej komory”. Często widzi się tu na ulicy mnichów, którzy bardzo czcigodnie wyglądają. Ale wystaw sobie, Mamo, wczoraj na Theatinerstrasse jechał karetą jakiś dygnitarz kościelny, może arcybiskup, starszy jegomość – i gdy przejeżdżał obok mnie, sygnął do mnie oko jak porucznik gwardii! Wiesz, Mamo, że niewiele robię sobie z Twoich przyjaciół misjonarzy i pastorów, ale Tr~anen_trieschke jest niczym w porównaniu z tym suitierem, księciem Kościoła...

–Fe – zgromiła konsulowa zatroskana.

–Prawdziwa Tonia! – rzekł konsul.

–Jak to. Tom?

–No, czyż ona nie

sprowokowała go po trochu... na próbę? Przecież znam Tonię! W każdym razie to „oko” świetnie ją ubawiło... co też było zapewne zamiarem starego pana.

Konsulowa nie odpowiedziała na to i czytała dalej:

Przedwczoraj wieczorem było przyjęcie u Niederpaurów, było bardzo przyjemnie, chociaż nie zawsze mogłam nadażyć za rozmową, a ton jej wydawał mi się czasem dosyć ~equivoque’u (dwuznaczny – franc.). Był nawet śpiewak operowy, który śpiewał pieśni, oraz młody malarz, który prosił, bym mu pozowała do portretu, alem mu odmówiła, gdyż uważam to za niestosowne. Najlepiej bawiłam się rozmawiając z pewnym panem, którego nazwisko brzmi Permaneder – czy pomyślałabyś kiedy, że ktoś może się tak nazywać? – właściciel handlu chmielem, miły, wesoły, stateczny człowiek w pewnym już wieku i kawaler. Siedziałam obok niego przy stole i trzymałam go się, gdyż był to jedyny protestant w całym towarzystwie, a chociaż jest obywatelem monachijskim, pochodzi jednak z Norymbergi. Zapewnia, że słyszał o naszej firmie, możesz sobie wyobrazić, Tom, jak cieszył mnie pełen szacunku ton, jakim to powiedział. Dowiadywał się też o nas dokładnie, ile nas jest rodzeństwa i temu podobne. Pytał też o Erykę, a nawet o Gr~unlicha. Przychodzi on czasem do Niederpaurów, jutro zaś pojedzie razem z nami na wycieczkę.

A teraz żegnaj, kochana Mamo, nie mogę więcej pisać. Pozostanę tu jeszcze trzy do czterech tygodni, a potem, jeśli Bóg da doczekać, jak Ty zawsze mówisz, opowiem Wam ustnie o Monachium, gdyż listownie nie wiem, od czego zacząć. Ale muszę przyznać, że bardzo mi się tu podoba, tylko należałoby nauczyć kucharkę przyrządzania przyzwoitych sosów. Widzisz, jestem starą kobietą, której życie jest skończone i która nie oczekuje już niczego na świecie, ale nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby kiedyś Eryka, jeśli Bóg da doczekać, wyszła tutaj za mąż, muszę to przyznać...

Tu konsul znów musiał przestać jeść i oparł się ze śmiechem na sofę.

–Ona jest nieoceniona, matko!

Kiedy zaczyna udawać, staje się nieporównana! Jestem tym zachwycony, że nawet na odległość tysiąca mil nie umie się maskować...

–Tak, Tom – powiedziała konsulowa – jest dobrym dzieckiem i zasługuje na to, żeby jej było dobrze. – Potem doczytała list do końca...

Rozdział drugi

W końcu kwietnia pani

Gr~unlich powróciła do domu, a pomimo iż znowu skończył się jeden odcinek jej życia, pomimo iż na nowo popłynęło wszystko poprzednim trybem, że znów musiała brać udział w modlitwach i słuchać czytania Lei Gerhardt podczas wieczorów jerozolimskich, jednakże najwidoczniej była wesoła i pełna nadziei.

Konsul przywiózł ją z dworca i

już po drodze, gdy przez

Holstentor wjeżdżali do miasta,

nie mógł się powstrzymać od

powiedzenia jej komplementu, że

–wraz z Klotyldą – jest najładniejsza z całej rodziny, na co odpowiedziała:

–O Boże, Tom, nienawidzę cię, jak można w ten sposób szydzić ze starej kobiety.

Miał jednak rację: pani

Gr~unlich doskonale się trzymała i gdy się patrzyło na jej bujne, popielate, gładko rozdzielone włosy, podniesione nad uszami i przytrzymane na czubku głowy szerokim szylkretowym grzebieniem – na miły wyraz, jaki zachowały jej szaroniebieskie oczy, na ładną górną wargę, subtelny owal i delikatną barwę twarzy, nie można by, pomimo jej trzydziestki, dać jej więcej niż dwadzieścia trzy lata. Nosiła bardzo eleganckie, długie, złote kolczyki, jakich w trochę innej formie używała w swoim czasie jej babka. Luźno leżący stanik z lekkiego, ciemnego jedwabiu z atlasowymi wyłogami i koronkami na ramionach dodawały jej biustowi zachwycającego powabu.

Była tedy w najlepszym humorze i w czwartki, gdy przychodził konsul Buddenbrook i panie Buddenbrook z Breitenstrasse, konsulostwo Kr~oger, Klotylda oraz Tetenia Weichbrodt z Eryką, najzabawniej opowiadała o Monachium, o piwie, knedlach, o malarzu, który chciał ją portretować, i o dworskich ekwipażach, które uczyniły na niej największe wrażenie. Wspominała też mimochodem o panu Permanederze, a gdy Fifi wtrącała, że wprawdzie taka podróż jest bardzo przyjemna, ale właściwie, zdaje się, nie przyniosła praktycznych korzyści, pani Gr~unlich bynajmniej nie odpowiadała, lecz z niewymowną godnością podnosiła głowę usiłując jednocześnie oprzeć brodę na piersi...

Poza tym nabrała zwyczaju wybiegać za każdym dzwonkiem na schody i patrzeć, kto idzie... Co by to mogło oznaczać? Wiedziała o tym jedynie wychowawczyni, a zarazem długoletnia powiernica Toni, Ida Jungmann, która od czasu do czasu tak mniej więcej do niej przemawiała: – Toniuchna, córuchno, zobaczysz, że przyjedzie! Nie będzie przecież takim jolopem.

Poszczególni członkowie rodziny byli wdzięczni Toni za jej wesołość; nastrój w domu wymagał bowiem odświeżenia, tym bardziej iż stosunki między szefem firmy a młodszym bratem nie tylko nie poprawiły się z biegiem czasu, lecz raczej pogorszyły się w sposób godny ubolewania. Matka ich, konsulowa, która z zatroskaniem patrzyła na ten stan rzeczy, z wielkim trudem próbowała jakoś między nimi pośredniczyć... Na jej namowy, by regularniej przychodził do kantoru, Chrystian odpowiadał roztargnionym milczeniem, wymówki zaś brata przyjmował z bardzo poważnym, niespokojnym i pełnym zamyślenia zawstydzaniem, bez sprzeciwu, po czym przez parę dni nieco gorliwiej odrabiał angielską korespondencję. W starszym bracie rosła jednak coraz bardziej pełna

rozdrażnienia pogarda dla młodszego brata, której nie zmniejszało nawet to, że Chrystian wszelkie jego wypowiedzi na ten temat przyjmował, nie broniąc się bynajmniej i patrząc na niego w zamyśleniu swymi niespokojnymi, rozbieganymi oczami.

Wyteżona praca Tomasza i stan jego nerwów nie pozwalały mu wysłuchiwać ze współczuciem lub choćby z uwagą szczegółowych opisów Chrystiana, dotyczących zmiennych objawów chorobowych, wobec matki zaś lub siostry nazywał je z niechęcią „głupimi wynikami wstrętnego wglądania w siebie”.

Cierpienie, nieokreślone cierpienie w lewej nodze ustąpiło od jakiegoś czasu pod wpływem pewnych środków zewnętrznych, trudności przy przełykaniu powracały jednak często podczas jedzenia, ostatnio zaś wystąpiła duszność, cierpienie astmatyczne, które Chrystian przez kilka tygodni brał za suchoty i którego charakter i objawy starał się szczegółowo opisywać, marszcząc przy tym nos. Zasięgnięto rady doktora Grabowa. Orzekł stanowczo, że tak serce, jak i płuca pracują prawidłowo, chwilowa duszność dowodzi lenistwa pewnych mięśni, i dla ułatwienia oddechu zalecił po pierwsze używanie wachlarza, poza tym zapisał zielonkawy proszek, który należało zapalać, a następnie wdychać jego dym.

Wachlarzem posługiwał się Chrystian także i w kantorze, a na uwagę szefa odpowiedział, że w Valparaiso każdy pracownik biura używał wachlarza, choćby z powodu upału. „Johnny Thunderstorm... Boże kochany!” Gdy jednak pewnego razu w kantorze, kręcąc się niespokojnie na krześle, wyjął swój proszek i zapaliwszy go spowodował tak silny i nieprzyjemnie pachnący dym, że kilku ludzi zaczęło mocno kaszleć, a pan Marcus nawet zupełnie zbladł... wybuchła awantura, skandal, obrzucano się wzajemnie straszliwymi wyrzutami, które doprowadziłyby do natychmiastowego zerwania, gdyby konsulowa nie była jeszcze raz wszystkiego zatuszowała przemawiając rozsądnie i starając się doprowadzić do zgody...

Ale nie o to tylko szło. Konsul miał wstręt do życia, jakie Chrystian prowadził poza domem, przeważnie w towarzystwie swego kolegi szkolnego adwokata Gieseke. Nie był on jednak świętoszkiem ani mrukiem. Dobrze pamiętał grzechy swej młodości. Wiedział też, że miasto rodzinne, owo portowe i handlowe miasto – w którym wysoce szanowni obywatele o statecznym wyglądzie chodzili po ulicach stukając laskami w trotuar – nie jest żadną miarą siedliskiem nieposzlakowanej moralności. Nie samym tylko mocnym winem i ostrymi potrawami wynagradzano sobie całodzienne ślęczenie w kantorze... Ale gruba zasłona zacnej solidności okrywała owe postęпки, i jeśli pierwszą zasadą konsula było „zachowywać les dehors”, to był on pod tym względem w zupełnej zgodzie z zapatrywaniami swych współobywateli. Adwokat Gieseke należał do „uczonych”, którzy dostosowywali się w zupełności do sposobu życia kupców, a zarazem i do notorycznych suitierów, co zresztą można było od razu po nim poznać. Ale równie jak inni zamożni światowcy umiał on zachowywać się odpowiednio, unikać nieprzyjemności i nadawać swym zawodowym oraz politycznym zapatrywaniom pozory solidności. Ostatnio dowiedziano się o jego zaręczynach z panną Huneus. Ożenek ten zapewniał mu miejsce w najlepszym towarzystwie, jako też znaczny posag. Podkreślał zawsze swoje zainteresowanie sprawami miejskimi i mówiono, że zerkał na krzesło w radzie miejskiej, w końcu zaś na stanowisko burmistrza, doktora Oeverdiecka.

Ale przyjaciel jego, Chrystian Buddenbrook, ten sam, który niegdyś podszedł zdecydowanym krokiem do mademoiselle Meyer de la Grange, wręczył jej bukiet i powiedział do niej: „Jak pani pięknie

grała!” – Chrystian, wskutek właściwości swego charakteru oraz długich lat podróży, został suitierem o wiele naiwniejszego i bardziej beztroskiego pokroju, nie był zaś skłonny, zarówno w sprawach sercowych, jak też i we wszystkich innych, do zadawania sobie przymusu, zachowywania dyskrecji, strzeżenia godności. O jego stosunku z pewną statystką z teatru letniego mówiło całe miasto, a pani Stuhł, ta sama, która bywała w najpierwszych domach, opowiadała każdemu, kto tylko chciał słuchać, że Chrystiana znowu widziano w biały dzień na ulicy z tą z „Tivoli”.

Nawet i tego nie brano mu jednak za złe... Towarzystwo bowiem składało się ze zbyt wielkich sceptyków, by mogli poważnie okazywać moralne oburzenie. Chrystiana Buddenbrooka i takiego na przykład Piotra ND~ohlmana, którego zupełnie podupadłe interesy pozwalały na podobne zaniedbywanie pracy, lubiano jako amuseurów,»* a męskie towarzystwo nie mogło się niemal bez nich obejść. Nie można ich jednak było brać na serio. W poważniejszych okolicznościach nie liczyli się; znamienne było, że w całym mieście, na giełdzie, w klubie, w porcie, znano ich jedynie z imienia: „Chrystian” i „Piotr”, i ludzie złej woli, jak na przykład Hagenstr~omowie, mogli swobodnie śmiać się nie tylko z anegdot i dowcipów Chrystiana, ale i z samego Chrystiana.

On jednak nie myślał o tym lub też, swoim zwyczajem, po chwili dziwnie niespokojnego zamyślenia przechodził nad tym do porządku. Ale brat jego, konsul, wiedział o tym; wiedział, że Chrystian stanowi punkt wyjścia zarzutów wysuwanych przez przeciwników rodziny, a... owych punktów wyjścia było już i tak zbyt wiele. Pokrewieństwo z Oeverdieckami było bardzo dalekie, zresztą ze śmiercią burmistrza straciłoby wszelką wartość.

Amuseur (z franc. amuser – bawić) – człowiek umiejący zabawić całe towarzystwo.

Kr~ogerowie nie odgrywali już żadnej roli, żyli w odosobnieniu i mieli brzydkie historie z synem... Mezalians nieboszczyka wuja Gottholda pozostał nadal czymś nieprzyjemnym... Siostra konsula była rozwódką, jakkolwiek nie należało tracić nadziei na powtórne zamęcie – jego brat zaś miał być człowiekiem śmiesznym, którego błazeństwami poważni panowie, śmiejąc się z zadowoleniem lub szyderstwem, wypełniali sobie wolne godziny, i który nadto robił długi, a przy końcu kwartału, będąc już bez pieniędzy, pozwalał się otwarcie utrzymywać przez doktora Gieseke... co już było zdecydowaną kompromitacją dla firmy...

Nienawistna pogarda, jaką Tomasz odczuwał względem brata, a którą tenże znośli z pełną zamyślenia obojętnością, uzewnętrzniała się w owych subtelnych drobiazgach, jakie występować mogą jedynie między niechętnymi sobie wzajemnie członkami rodziny. Gdy na przykład rozmowa schodziła na historię Buddenbrooków, Chrystian mógł nagle, wpadając w niezupełnie dla niego odpowiedni nastrój, zacząć mówić z powagą, miłością i podziwem o swym rodzinnym mieście oraz o przodkach. Konsul jakąś chłodną uwagą natychmiast ucinał rozmowę. Nie znośli tego. Tak bardzo pogardzał swym bratem, że nie pozwalał mu kochać tego, co sam kochał. Słuchałby o wiele chętniej, gdyby Chrystian mówił o tych rzeczach stylem Marcelego Stengla. Przeczytał pewną książkę, dzieło historyczne, które wywarło na nim silne wrażenie i które wychwalał z przejęciem. Chrystian, umysł mało samodzielny, który sam nie zwróciłby uwagi na tę książkę, wrażliwy jednak na wszelkie wpływy, a przy tym wymowny, przeczytał ją również, a ponieważ był odpowiednio przygotowany i nastawiony, uznał, że jest zupełnie wspaniała, i wrażeniom swoim dał możliwie dokładny wyraz... Tym samym dla Tomasza książka owa przestała istnieć. Mówił o niej zimno i obojętnie. Udawał, że zaledwie ją pamięta. Pozostawił bratu cały podziw...

Rozdział trzeci

Konsul Buddenbrook powrócił na Mengstrasse z „Harmonii”, czytelnik dla panów, gdzie przepędził godzinę po drugim śniadaniu. Przebył część posesji leżącą poza domem, szedł wzdłuż ogrodu wybrukowanym przejściem, które prowadząc między obrośniętymi murami łączyło dwa podwórza; przechodząc przez sień rzucił w stronę kuchni pytanie, czy brat jest w domu, i polecił, by go zawiadomiono, gdy przyjdzie. Przeszedł przez kantor, w którym siedzący przy biurkach ludzie na jego widok pochylili się niżej nad rachunkami, wszedł do swego prywatnego biura, odłożył kapelusz i laskę, wdział surdut, który zazwyczaj nosił przy pracy, i usiadł na swym miejscu przy oknie, na wprost pana Marcusa. Między jego jasnymi brwiami rysowały się dwie zmarszczki. Żółty ustnik rosyjskiego papierosa niespokojnie wędrował z jednego kącika ust do drugiego. Gdy wziął papier i pióro do ręki, ruchy jego były tak szybkie i ostre, że pan Marcus w zamyśleniu pogładził wąsy dwoma palcami i obrzucił współnika powolnym, badawczym spojrzeniem, a młodzi ludzie spojrzeli po sobie podnosząc do góry brwi. Szef był zły.

Po upływie pół godziny,

podczas której słychać było

tylko skrobanie piór po papierze

i zamyślane pochrząkiwanie pana

Marcusa, konsul wyjrzawszy przez

okno dostrzegł Chrystiana

idącego przez ulicę. Palił on

papierosa. Powracał z klubu,

gdzie zjadł śniadanie i pograł

trochę w petit_jeu. Kapelusz

nasunięty miał nieco na bakier i

wywijał laską pochodzącą z

drugiej półkuli; rączka jej

przedstawiała rzeźbione w

hebanie popiersie zakonnicy. Był

najwidoczniej w świetnym humorze

i dobrze się czuł. Wszedł do

kantoru nucąc jakiś song,

powiedział: – Dzień dobry panom

–i udał się na swoje miejsce, by „trochę popracować”. Ale konsul wstał i przechodząc rzekł nie patrząc na niego:

–Ach... pozwól na słówko, mój drogi.

Chrystian poszedł za nim. Szybkim krokiem przeszli przez sień. Tomasz splótł ręce z tyłu i Chrystian mimo woli uczynił to samo zwracając ku bratu swój duży, zagięty i kościsty nos, sterczący spomiędzy chudych policzków ponad zwieszającymi się z angielska wąsami.

Gdy przechodzili przez podwórze, Tomasz powiedział:

–Musisz przejść się ze mną po ogrodzie, przyjacielu.

–Doskonale – odrzekł

Chrystian. Potem znów nastąpiło dłuższe milczenie, a oni szli lewą stroną, zewnętrzną ścieżką, mijając rokokową fasadę altany, przez ogród, w którym widać już było pierwsze pąki. Wreszcie konsul szybko zaczerpnął tchu i rzekł głośno:

–Miałem dużą przykrość, i to z powodu twojego zachowania...

–Mojego...

–Tak. Opowiadano mi w

„Harmonii” o pewnej uwadze, jaką uczyniłeś wczorajszego wieczora w klubie, a która jest tak nie na miejscu, tak ponad wszelkie pojęcie nietaktowna, że nie znajduję słów... Kompromitacja nie dała długo na siebie czekać. Dostałeś załosną nauczkę.

Chcesz, żebym ci przypomniał?

–Ach... wiem, o co ci idzie.

Któż ci to opowiedział?

–To nie ma nic do rzeczy.

D~ohlmann. Oczywiście, takim głosem, ażeby ci, którzy nie znali dotąd tej historii, mogli się nią również nacieszyć...

–Tak, Tom, muszę ci

powiedzieć... Wstydziłem się za Hagenstr~oma!

–Wstydziliście się za... Ależ to jest... Słuchaj no! – zawołał konsul wyciągając przed siebie ręce i potrząsając obróconymi w górę dłońmi. – Mówisz w towarzystwie składającym się z kupców i z „uczonych”, tak że wszyscy mogą to usłyszeć: „W gruncie rzeczy, każdy kupiec, oglądany w świetle dziennym, jest oszustem...” ty, sam kupiec, należący do firmy, która ze wszystkich sił dąży do jak największej czystości, do nieskazitelnej solidności...

–Boże kochany, Tomaszu, przecież ja żartowałem!... Chociaż... właściwie – dodał Chrystian marszcząc nos i pochylając nieco ukośnie głowę naprzód... W tej pozycji przeszedł parę kroków.

–Żartowałeś! Żartowałeś!

Wyobrażam sobie, że znam się na żartach, ale widziałeś przecie, jak te żarty zostały zrozumiane! „Ja przynajmniej bardzo wysoko cenię swój zawód”, odpowiedział ci Herman Hagenstr~om... I tak tam siedziałeś jak próżniak pogardzający własnym zawodem...

–Tak, Tom, proszę cię, co ty na to! Zapewniam cię, że cała wesołość poszła od razu do diabła. Wszyscy się śmieli, jak gdyby przyznając mi rację. Siedzi ten Hagenstr~om i mówi strasznie poważnie: „Ja przynajmniej...” Głupi chłopak. Doprawdy wstydziliście się za niego. Jeszcze wczoraj w łóżku długo o tym myślałem z bardzo dziwnym uczuciem... Nie wiem, czy to znasz...

–Nie gadaj już, proszę cię, nie gadaj – przerwał konsul. Drżał cały z obrzydzenia. – Przyznaję ci... przecie przyznaję ci, że odpowiedź nie licowała może z nastrojem, że była niesmaczna. Ale ostatecznie wybiera się ludzi, którym się coś podobnego mówi... jeżeli to już konieczne musi być powiedziane... ale siebie samego nie wystawia się w swojej głupocie na tak bezczelną nauczkę! Hagenstr~om skorzystał z okazji, by nam... tak, nie tylko tobie, ale i nam ubliżyć, bo wiesz, co znaczyło to jego „Ja przynajmniej...”? „Więc takie zapatrywania wyrabiasz pan sobie w kantorze pańskiego brata, panie Buddenbrook?” To znaczyło, ty ośle!

–No... ośle... – powiedział Chrystian robiąc zakłopotaną i niespokojną minę...

–Nie za samego siebie

wreszcie odpowiadasz – mówił dalej konsul – ale pomimo to nic by mnie to nie obchodziło, gdybyś ośmieszał tylko samego siebie... a czymże ty się nie ośmieszasz? – wołał.

Był blady, a na jego wąskich skroniach, od których biegły odczesane w tył włosy, widać było wyraźnie błękitne żyłki. Jedna z jego jasnych brwi podniesiona była do góry, a nawet w sztywnych, długich, prostych wąsach było coś gniewnego, gdy mówił, szybko, nerwowo wymachując rękami i patrząc na wysypaną żwirem ścieżkę...

–Ośmieszasz się twymi

miłostkami, twymi arlekinadami, twymi chorobami, twymi środkami przeciwko nim...

–Och, Tomaszu – rzekł

Chrystian potrząsając poważnie głową i trochę niezgrabnie podniósł do góry wskazujący palec. – Co

do tego, to nie możesz tak zupełnie tego pojąć, widzisz... Rzecz ma się tak... Trzeba, że się tak wyrażę, być w porządku ze swoim sumieniem... Nie wiem, czy to znasz... Grabow zapisał mi maść na mięśnie gardła... więc słuchaj. Jeśli jej nie użyję, jeśli tego zaniedbam, to czuję się zupełnie stracony i bezradny, jestem niespokojny i niepewny, odczuwam strach i nie mogę łykać. Ale jeśli jej użyję, wówczas czuję, że spełniłem obowiązek i jestem w porządku, mam wtedy czyste sumienie, jestem spokojny i zadowolony i łykanie idzie wspaniale. To nie zależy od maści, zdaje mi się... ale idzie o to, że takie wyobrażenie, zrozum mnie dobrze, może być usunięte tylko przez inne wyobrażenie, przez wyobrażenie przeciwstawne... Nie wiem, czy to znasz...

–Ach, tak! Ach, tak! – wykrzyknął konsul i na chwilę chwycił się obiema rękami za głowę. – Rób, co chcesz! Czyń, jak chcesz! Ale nie mów o tym! Nie gadaj o tym! Daj innym ludziom spokój z twymi wstrętnymi finezjami! Także i tą nieprzyzwoitą gadaniną ośmieszasz się od rana do wieczora. Ale to ci mówię, to ci powtarzam: nic mnie to nie obchodzi, jak dalece robisz z siebie głupca; ale zabraniam ci, słyszysz? zabraniam ci kompromitować firmę w taki sposób, jak to uczyniłeś wczoraj!

Chrystian nic na to nie odpowiedział, przeciągnął powoli ręką po swoich już przerzedzonych rudawo_blonde włosach i z wyrazem niespokojnej powagi wodził oczami bezradnie i z roztargnieniem. Niewątpliwie myślał jeszcze nad tym, co przed chwilą powiedział. Zapadła cisza. Tomasz zbliżył się ku niemu z cichą rozpaczą.

–Wszyscy kupcy są oszustami, powiadasz – zaczął na nowo. – Dobrze! Masz dosyć twego zawodu? Żałujesz, żeś został kupcem?

Staraleś się wówczas o

pozwolenie ojca...

–Tak, Tom – rzekł w

zamyśleniu Chrystian – rzeczywiście lepiej by było, gdybym studiował! Na uniwersytecie, wiesz, musi być bardzo przyjemnie... Idzie się, gdy się ma ochotę, zupełnie dobrowolnie, siada się i słucha jak w teatrze...

–Jak w teatrze... Ach, idź do *café chantant** na błażna! Ja nie żartuję! To moje najzupełniej poważne

zapatrywanie, że taki jest właśnie twój ukryty ideał! – zapewniał konsul, a Chrystian bynajmniej nie zaprzeczył, patrzył w zamyśleniu w powietrze.

Rodzaj kabaretu (z franc.)

–I ty ośmielasz się robić takie uwagi, ty, który żadnego pojęcia... nawet żadnego pojęcia nie masz o tym, czym jest praca, ty, który przepędzasz życie na stwarzaniu sobie z teatru, z hulanki i błazeństw szeregu uczuć i wrażeń, które możesz obserwować i pielęgnować, o których możesz gadać w sposób bezwstydnym...

–Tak, Tom – rzekł Chrystian nieco zasmucony i zawstydzony i znów przesunął ręką po włosach.

–To prawda; bardzo właściwie to wyraziłeś. To jest różnica między nami, widzisz. Ty też chętnie chodzisz do teatru i tak samo miałeś kiedyś, mówiąc między nami, swoje miłostki, i przez pewien czas czytywałeś z przyjemnością romanse i wiersze, i podobne rzeczy... Ale ty zawsze tak dobrze umiałeś pogodzić wszystko z porządną pracą i powagą życia... Widzisz, ja tego nie umiem. Tamto, tamto wszystko zużywa mnie całkowicie i zupełnie, rozumiesz, i nie pozostaje mi już nic dla poważnych spraw... Nie wiem, czy mnie pojmujesz...

–A więc pojmujesz to! – zawołał Tomasz przystając i krzyżując ręce na piersi. – Przyznajesz się małodusznie do tego, a jednak pozostawiasz wszystko po staremu! Czyż jesteś psem, Chrystianie? Przecież ma się jakąś dumę, u Boga Ojca! Nie prowadzi się życia, którego nie umie się nawet usprawiedliwić! Ale właśnie ty taki jesteś! To jest twoja natura. Jeśli uznajesz to i rozumiesz, i umiesz opisać... Nie, moja cierpliwość skończyła się, Chrystianie! – Konsul szybko cofnął się o krok, wykonując ręką mocny ruch w kierunku poziomym. – Skończyła się, mówię ci! Zatrzymujesz prokurę, ale nie pokażesz się więcej w kantorze... O to nie będę się gniewał. Idź i przebłaznij życie, jak to dotąd robiłeś! Ale ty nas kompromitujesz, nas wszystkich, gdzie tylko pójdziesz czy staniesz! Jesteś naroślą, niezdrowym punktem na ciele naszej rodziny! Jesteś zakałą miasta i gdyby ten dom był moim, wypędziłbym cię z niego, tam, za drzwi bym cię wypędził! – krzyczał wskazując szerokim, dzikim ruchem ręki ogród, podwórze, sień. Nie panował nad sobą. Od dawna wzbierająca wściekłość wyładowała się...

–Co ci przychodzi do głowy, Tomasz! – powiedział Chrystian. Wpadł w gniew, co wyglądało dosyć szczególnie. Stał, zgiąwszy nieco kolana, w pozycji, jaką często przyjmują krzywonodzy, trochę na kształt znaku zapytania, z głową, brzuchem i kolanami podanymi naprzód, a jego okrągłe, głęboko osadzone oczy, które otworzył, jak mógł najszerzej, otoczone były czerwonymi obwódkami sięgającymi, tak jak u jego ojca, gdy był rozgniewany, aż do kości policzkowych.

–Jak ty do mnie mówisz! – powiedział. – Co ja ci zrobiłem! Już sam idę, nie masz potrzeby mnie wypędzać. Fe! – dodał ze szczerym wyrzutem, podkreślając to słowo ruchem ręki, którą wyciągnął naprzód, jak gdyby łapał muchę.

I co było dziwne, Tomasz nie odpowiedział na to, jeszcze gwałtowniej, lecz spuścił w milczeniu głowę i powoli poszedł z powrotem przez ogród. Wydawał się zadowolony, po prostu poczuł ulgę, gdy doprowadził wreszcie brata do gniewu... zmusił go w końcu do energicznej odpowiedzi, do protestu.

–Możesz mi wierzyć – rzekł spokojnie, zakładając znowu ręce na plecy – że ta rozmowa szczerze mnie boli, Chrystianie, była jednak konieczna. Takie sceny w rodzinie są straszne, ale musieliśmy się wreszcie raz wypowiedzieć... A teraz możemy zupełnie spokojnie mówić o tych rzeczach, mój chłopcze. Więc, jak widzę, nie podoba ci się twoje obecne stanowisko, nieprawda?...

–Nie, Tom, bardzo dobrze to odgadłeś. Słuchaj: przecież ja z początku byłem nadzwyczajnie zadowolony... i jest mi tu przecież lepiej niż w obcym biurze. Ale czego mi brak, to chyba samodzielności, zdaje mi się... Zawsze ci zazdrościłem, gdy widziałem, jak siedzisz i pracujesz, bo to właściwie nie jest dla ciebie żadna praca, nie dlatego pracujesz, że musisz, ale jako pan i szef, i każesz innym za siebie pracować, i robisz swoje obliczenia, i rządzisz, i jesteś wolny... To jest

zupełnie co innego...

–Dobrze, Chrystianie. Czyż nie mogłeś powiedzieć tego wcześniej? Przecież to tylko od ciebie zależy, jeśli chcesz usamodzielnic się zupełnie lub choćby trochę. Wiesz, że ojciec tak tobie, jak i mnie zapisał po pięćdziesiąt tysięcy marek tymczasowej schedy i że w każdej chwili gotów jestem wypłacić ci tę sumę, byś ją jakoś rozsądnie i solidnie ulokował. Istnieje przecież w Hamburgu albo i gdzie indziej dość dużo pewnych, choć niewielkich firm, do których mógłbyś przystąpić jako wspólnik... Rozważmy sobie jeszcze raz całą rzecz, każdy oddzielnie, a przy okazji pomówimy o tym z matką. Teraz jestem zajęty, a i ty mógłbyś przez te dni załatwiać korespondencję angielską, proszę cię...

–Co byś na przykład myślał o firmie „H.C.F. Burmeister Comp.” w Hamburgu? – zapytał jeszcze w sieni. – Import i eksport... Znam tego człowieka. Pewien jestem, że chętnie by się zgodził...

Było to pod koniec maja 57

roku. W początkach czerwca

pojechał Chrystian przez B~uchen

do Hamburga... Była to ciężka

strata dla klubu, teatru

miejscowego, dla „Tivoli” oraz

dla całego wesołego towarzystwa

w mieście. Wszyscy suitierzy, w

ich liczbie doktor Gieseke i

Piotr D~ohlmann, zegnali go na

dworcu, ofiarowali mu kwiaty, a

nawet cygara, śmieli się przy

tym do rozpuku... na pewno

wspominając historyjki, jakie

Chrystian im opowiadał. Na

zakończenie adwokat doktor

Gieseke wśród ogólnych wiwatów

przypiął mu do paltu duży
kotyliony order ze złotego
papieru. Order ów pochodził z
pewnego domu w pobliżu portu, z
pewnego zajazdu, który
wieczorami wywieszał nad
drzwiami czerwoną latarnię – z
miejsca swobodnych spotkań, w
którym zawsze panowała
wesołość... został zaś
ofiarowany odjeżdżającemu Chrystianowi za wybitne zasługi.

Rozdział czwarty

W sieni zabrzmiał dzwonek i pani Gr~unlich, zgodnie ze swym nowym zwyczajem, zjawiała się na schodach, by wyrzeć przez białą lakierowaną poręcz. Skoro jednak tylko otworzono drzwi, przechyliła się jeszcze bardziej przez poręcz, po czym rzuciła się w tył, jedną ręką przycisnęła do ust chusteczkę, drugą zaś zebrała fałdy sukni i nachylona nieco naprzód, pośpieszyła na górę... Na drugim piętrze spotkała pannę Jungmann, której szepnęła coś zamierającym głosem, na co Ida z radosnym przestraczem odpowiedziała coś po polsku, co brzmiało:

„Majboszekochany”.

W tym samym czasie konsulowa Buddenbrook siedziała w pokoju pejzażowym i na dwóch drewnianych drutach robiła szal, serwetę czy coś podobnego. Była to godzina jedenasta rano. Nagle przez kolumnową salę przeszła służąca, zapukała do szklanych drzwi i wręczyła konsulowej bilet wizytowy. Konsulowa wzięła bilet, poprawiła okulary, gdyż używała do roboty okularów, i przeczytała go. Następnie znowu spojrzała na czerwoną twarz służącej, odczytała bilet po raz drugi i znowu spojrzała na służącą. Wreszcie rzekła grzecznie, ale stanowczo:

–Co to znaczy, moja droga?

Słuchaj no, co to ma znaczyć?

Na bilecie było wydrukowane:

„X. Noppe Ska”. X. Noppe jednak, jak również znak były mocno przekreślone ołówkiem, tak że

pozostało tylko „Ska”.

–A to, pani konsulowo – rzekła służąca – tam przyszedł jeden pan, ale nie umie po niemiecku i jakoś wygląda inaczej...

–Poproś tego pana – rzekła konsulowa pojawiając się teraz, że to owa „Ska” pragnie się z nią zobaczyć. Służąca wyszła. Zaraz potem otworzyły się oszklone drzwi i weszła niewysoka postać, która zatrzymała się na chwilę w mrocznej głębi pokoju i wymówiła coś przeciągle, co brzmiało jak:

„Mam honor...”

–Dzień dobry! – rzekła konsulowa. – Zechce pan podejść bliżej? – Oparła się przy tym lekko ręką o poręcz sofy i uniosła się nieco, nie wiedząc właściwie, czy należało wstać zupełnie...

–Pozwalam sobie... –

odpowiedział znowu ów jegomość miłym, śpiewnym i przeciągłym tonem, po czym zrobiwszy dwa kroki, grzecznie nachylony, na nowo przystanął i rozejrzał się: czy to w poszukiwaniu krzesła, czy też miejsca, gdzie by mógł złożyć kapelusz i laskę, gdyż oba te przedmioty, i kapelusz, i laskę, której zakrzywiona rogowa rączka miała na pewno najmniej półtorej stopy długości, przyniósł ze sobą do pokoju.

Był to człowiek czterdziestoletni, niski i otyły; miał na sobie szeroko otwarty surdut z grubego brunatnego sukna, jasną, kraciastą kamizelkę, która tworzyła miękką wypukłość na jego brzuchu i na której wisiał złoty łańcuch z całym zbiorem breloków z rogu, kości, srebra oraz koralu – dalej spodnie nieokreślonego szarzielonego koloru, nieco przykrótkie i jak gdyby uszyte z niezwykle sztywnego materiału, gdyż brzegi ich, na dole okrągłe i bez fałd, otaczały cholewki krótkich i szerokich butów. – Jasnoblond skape, zwieszające się kosmykami wąsy sprawiały, iż okrągła głowa z krótkim nosem i rzadkimi, nie uczesanymi włosami nabierała pewnego podobieństwa do fokki. Kępka włosów, którą nieznajomy nosił między brodą a dolną wargą, sterczała nieco szorstkowsko w przeciwieństwie do wąsów. Niezwykle grube, tłuste i rozdęte policzki sięgały niemal aż do oczu, ścieśniając je w dwie zupełnie wąskie, jasnoniebieskie szparki i tworząc w ich kącikach zmarszczki, nadawało to obrzęklej twarzy wyraz jak gdyby irytacji i poczciwej, bezradnej, wzruszającej dobroduszości. Poniżej małego podbródka biegła stroma linia wąskiej, białej chustki na szyi... linia szyi z zaznaczonym wolem, szyi, która nie zniosłaby obecności sztywnego vaterm-ordera. Dolna część twarzy oraz szyja, tylna część głowy, tudzież kark, policzki i nos, wszystko to zlewało się bezkształtnie... Skóra na całej twarzy była wskutek tego nad miarę rozciągnięta i widać było w niektórych miejscach, jak na przykład u nasady uszu oraz po obu stronach nosa, szorstkie zaczerwienienia... Jegomość ów w jednej ze swych krótkich, białych i tłustych rąk trzymał laskę, w drugiej zaś zielony tyrolski kapelusik, ozdobiony kitką z koziej sierści.

Konsulowa zdjęła okulary i ciągle jeszcze na pół stojąc opierała się ręką o poręcz sofy.

–Czym mogę panu służyć? – zapytała grzecznie, ale stanowczo.

Wówczas jegomość zdecydowanym ruchem odłożył kapelusz i laskę na wieko fisharmonii, zatarł z

zadowoleniem oswobodzone ręce, spojrział pocziwie na konsulową swymi jasnymi, obrzękłymi oczkami i powiedział:

–Za pozwoleniem pani

dobrodziejki, przepraszam względem tego biletu, nie miałem innego pod ręką. Nazwisko moje jest Permaneder, Alojzy Permaneder z Monachium. Może też pani dobrodziejka słyszała już moje nazwisko od dobrodziejki córki.

Wszystko to powiedział głośno i dosyć prostackim tonem, swoim kanciastym dialektem, pełnym nagłych skrótów,»* mrugając zarazem poufale szparkami swych oczu, co miało oznaczać: „My się już rozumiemy...”

Konsulowa wstała zupełnie i przechylając na bok głowę podeszła do niego z wyciągniętymi rękami.

–Pan Permaneder? To pan?

Naturalnie, że córka opowiadała mi o panu. Wiem, jak bardzo pan się przyczynił do uprzyjemnienia jej pobytu w Monachium... Więc zabłąkał się pan do naszego miasta?

–Widzi mi się, patrz pani – rzekł pan Permaneder siadając obok konsulowej na fotelu, który wskazała mu wytwornym ruchem, i zaczął z zadowoleniem obiema rękami pocierać swe krótkie, okrągłe uda.

–Słucham? – zapytała

konsulowa.

–Widzi mi się, patrzcie państwo – odrzekł Permaneder przestając trzeć kolana.

–Doskonale! – rzekła

konsulowa nic nie rozumiejąc, po czym złożony ręce na piersiach z udanym zadowoleniem oparła się o poręcz sofy. Pan Permaneder jednak zauważył to, nachylił się zakreślając ręką, Bóg wie dlaczego, koła w powietrzu i rzekł głośno:

–A to dopiero dziw... pani dobrodziejko!

–Tak, tak, kochany panie Permaneder, to prawda! – odrzekła wesoło konsulowa, po czym nastąpiła pauza.

Aby ją wypełnić, pan Permaneder powiedział z westchnieniem:

–To ci dopiero krzyż pański.

–Hm... słucham? – zapytała konsulowa spoglądając nieco w bok swymi jasnoblękitnymi oczami.

–To jest krzyż pański! – powtórzył pan Permaneder niesłychanie głośno i prostackim tonem.

Pan Permaneder mówi dialektem bawarskiego ludu, zupełnie różnym od potocznego języka północnych Niemiec (przyp. tłum.).

–Doskonale – rzekła konsulowa uspokajająco, w ten sposób omówiony został i następny temat rozmowy.

–Czy wolno spytać – mówiła dalej – co sprowadziło pana tak daleko, drogi panie? Taka długa podróż z Monachium...

–Interesik – powiedział pan Permaneder wymachując w powietrzu swą krótką ręką – mały interesik z browarem w Walkm~uhle, pani dobrodziejko!

–Ach, prawda, pan handluje chmielem, drogi panie Permaneder! „Noppe Ska”, nieprawda? Proszę mi wierzyć, że o firmie pańskiej słyszałam od mego syna, konsula, wiele pochlebnych rzeczy – rzekła uprzejmie konsulowa.

Ale pan Permaneder odparł:

–Tak, tak. Nie ma o czym gadać. Co tam, najważniejsze, że wciąż myślałem o tym, żeby złożyć szacunek pani dobrodziejce i zobaczyć panią Gr~unlich.

–Dziękuję panu – rzekła uprzejmie konsulowa i znowu podała mu rękę odwracając swoim zwyczajem dłoń do góry. – Ale trzeba uprzedzić moją córkę – dodała wstając i podchodząc do haftowanego pasa od dzwonka, wiszącego obok oszklonych drzwi.

–Ej, do stu sakramentów, to będzie dopiero frajda! – zawołał pan Permaneder wykręcając się wraz z krzesłem w kierunku drzwi.

Konsulowa rozkazała służącej:

–Moja droga, niech pani Gr~unlich zejdzie na dół.

Po czym powróciła na sofę, a pan Permaneder znowu obrócił swe krzesło.

–To będzie dopiero frajda...

–powtórzył w roztargnieniu, oglądając obicia, duży kałamarz z sewrskiej porcelany, stojący na sekreterze, oraz meble. Potem powtórzył kilkakrotnie: – To ci krzyż pański!... A to dopiero krzyż pański... – przy czym tarł sobie kolana i bez widocznego powodu westchnął ciężko. Wypełniło to prawie cały czas aż do ukazania się pani Gr~unlich.

Najwyraźniej wystroiła się, włożyła jasną suknię i poprawiła fryzurę. Wyglądała bardziej świeżo i ładniej niż zwykle. Z kącika ust chytrze wyglądał koniec języka.

Skoro weszła, pan Permaneder zerwał się i podszedł do niej z niebywałym zapałem. Wszystko w nim zostało wprawione w ruch. Uchwycił obie jej ręce, potrząsnął nimi i wołał:

–A co, pani Gr~unlich! Co słyhać! Co tu pani porabiała przez ten czas? Jezu, a to ci frajda! Pamięta pani jeszcze miasto Monachium i nasze góry? Tośmy się tam bawili, co? Do stu diabłów. No, i przyjechałem. Kto by to pomyślał...

Tonia też serdecznie go powitała, przysunęła sobie krzesło i zaczęli wspominać jej pobyt w Monachium... Rozmowa płynęła łatwo, konsulowa zaś przysłuchiwała się przytakując zachęcająco panu Permanederowi, tłumaczyła sobie niektóre jego powiedzenia na poprawną niemczyznę, a za każdym razem, gdy coś zrozumiała, z zadowoleniem opierała się o poręcz sofy.

Pan Permaneder musiał jeszcze raz objaśnić pani Antoninie powód swego przyjazdu, nadawał jednak swemu „interesikowi” tak małe znaczenie, że wreszcie wyglądało to, jakby nie miał w mieście nic do załatwienia. Natomiast dowiadywał się z zajęciem o drugą córkę, jako też o synów konsulowej, i ubolewał serdecznie z powodu nieobecności Klary i Chrystiana, ponieważ „wciąż chciał” poznać „całą rodzinę”...

Nie dawał określonych odpowiedzi co do czasu trwania zamierzonego pobytu w mieście, gdy jednak konsulowa zauważyła:

–Lada chwila oczekuję mego syna, który jada z nami śniadanie, panie Permaneder; może zechce pan zrobić nam przyjemność i pozostać również?... – zgodził się na zaproszenie tak skwapliwie, jak gdyby tylko na to czekał.

Przyszedł konsul. Nie zastał nikogo w pokoju do śniadań, był w biurowym surducie, zmęczony i przeciążony pracą, śpieszył się chcąc naprędce coś przekąsić... Ale skoro spostrzegł nieznanego gościa z brelokami i w surducie z grubego sukna, jak również kapelusz z kozią kitką, leżący na fisharmonii, podniósł uważnie głowę, skoro zaś tylko wymówiono nazwisko, które często słyszał z ust pani Antoniny, spojrział szybko na siostrę i najuprzejmiej pozdrowił pana Permanedera... Nie usiadł wraz z nimi. Przeszli do pokoju na półpiętrze, gdzie panna Jungmann nakryła do stołu i nastawiła samowar, prawdziwy rosyjski samowar, podarunek od pastora Tiburtiusa i jego małżonki.

–Niezgorzej – rzekł pan Permaneder zasiadłszy do stołu i ujrawszy na stole obfity wybór zimnych dań.

–Nie jest to co prawda N”Hofbr~au”, panie Permaneder, ale bądź co bądź znośne, nasze miejscowe piwo.

I konsul nalał mu do szklanki ciemnego, pieniącego się porteru, jaki pijał w owych czasach.

–Bóg zapłać, panie sąsiedzie

–rzekł pan Permaneder z pełnymi ustami, nie dostrzegając przerażonego spojrzenia panny Jungmann. Porteru używał jednak tak wstrzemięźliwie, że konsulowa kazała podać butelkę czerwonego wina, po czym widocznie się rozpogodził i znów zaczął rozmawiać z panią Gr~unlich. Z powodu brzuszka musiał on siedzieć nieco oddalony od stołu, nogi miał szeroko rozstawione, jedna zaś z jego krótkich rąk była najczęściej przewieszona pionowo przez poręcz krzesła; przechylając na bok swą grubawą głowę z wąsami foki słuchał opowiadań Toni z wyrazem mrukliwego zadowolenia i dobroduszenie

mrużąc oczami.

Zgrabnym ruchem podsunęła mu ona potrawę z grzybów; nie bardzo co prawda wiedział, jak się do niej wziąć, ale wtórował jej z zapalem, gdy wypowiadała swoje uwagi o życiu.

–O Boże, jakie to smutne, panie Permaneder, że wszystko, co dobre i piękne w życiu, tak szybko mija! – powiedziała nawiązując do swego pobytu w Monachium, odłożyła na chwilę nóż i widelec i poważnie spojrzała w sufit. Poza tym czyniła śmieszne i nieudane próby mówienia bawarskim narzeczem...

Podczas jedzenia zapukano do drzwi, wszedł chłopiec z kantoru i podał konsulowi telegram. Konsul odczytał go muskając palcami długie końce wąsów, a chociaż widać było, że jest mocno zajęty treścią depeszy, zapytał jednak lekkim tonem: – Jak idą interesy, panie Permaneder?

–W porządku – rzekł zaraz potem do chłopca, który odebrawszy tę odpowiedź wyszedł.

–Ej, panie sąsiedzie – odrzekł pan Permaneder odwracając się do konsula niezgrabnie z powodu grubej i sztywnej szyi i przewieszając jednocześnie rękę przez poręcz krzesła. – Nie ma co gadać, to skaranie boskie! Widzisz pan, Monachium – nazwę swego rodzinnego miasta wymawiał tak, że zaledwie można było się domyślić, o czym mówi – Monachium to nie miasto do interesów... Tam każdy chce mieć tylko spokój i pełny kufel... a depesz nie czyta się tam przy jedzeniu, co to, to nie! A wy tu macie inny ład, do stu sakramentów!... Bóg zapłać, już ja sobie należę jeszcze szklaneczkę... Ale to krzyż pański! Mój wspólnik, ten Noppe, wciąż chciał do Norymbergi, bo tam mają giełdę i naród śmiały... ale ja nie wyjechałem z mojego Monachium... Co to, to nie! Ale to krzyż pański!... widzisz pan, tam okropna konkurencja, okropna konkurencja... a co do eksportu, to już śmiechu warte... Nawet w Rosji mają teraz mieć własny chmiel...

Ale nagle obrzucił konsula niezwykle szybkim spojrzeniem i powiedział:

–A wreszcie... ja nic takiego nie powiedziałem, panie sąsiedzie! To wcale niczego interesik! Robimy pieniądze na akcjach browaru, co to Niederpaur jest dyrektorem, wiecie! To było takie sobie małe towarzystwo, ale daliśmy im kredyt i gotówkę... na cztery procent, na hipotekę... żeby mogli powiększyć swoją fabrykę... A teraz robią interesy, a my mamy obrót i dochody... to już tam idzie! – zakończył pan Permaneder, podziękował za cygaro i papierosa i zapytawszy o pozwolenie wyjął z kieszeni rogową fajkę z długim cybuchem, po czym, otoczony dymem, zapuścił się w handlową rozmowę z konsulem, która wkrótce przeszła na politykę, potrąciła o stosunki Bawarii z Prusami, o króla Maksa i o cesarza Napoleona... rozmowę, którą pan Permaneder zaprawiał zupełnie niezrozumiałymi zwrotami i której pauzy wypełniał westchnieniami bez związku, jak na przykład: „To ci dopiero!” albo „Takie to historie!”

Panna Jungmann, nawet gdy miała pełne usta, ze zdziwienia ciągle zapominała zupełnie o jedzeniu i bez słowa przypatrywała się gościowi swymi ciemnymi, błyszczącymi oczami, przy czym nóż i widelec trzymała podług swego zwyczaju pionowo w powietrzu, poruszając nimi w obie strony. Takich słów nigdy jeszcze te pokoje nie słyszały, nigdy nie napełniały się takim dymem, obce im były te pomruki i swobodny brak form... Konsulowa, zapytawszy o prześladowania, jakim zapewne podlegała tak nieliczna gmina ewangelicka, otoczona samymi papistami, przyjaźnie słuchała dalszej

rozmowy nic nie rozumiejąc. Tonia zaś zdawała się wpadać chwilami w pewne zamyślenie czy też niepokój. Konsul jednak doskonale się bawił, namówił matkę, by kazała podać drugą butelkę czerwonego wina, i serdecznie zapraszał pana Permanedera na Breitenstrasse; żona jego będzie wielce rada...

W bite trzy godziny od chwili przyścia handlarz chmielu rozpoczął przygotowania do odejścia, wytrząsnął fajkę, opróżnił swoją szklankę, oznajmił jeszcze coś o „krzyżu pańskim” wstał.

–Mam honor, pani

dobrodziejko... Z Bogiem, pani Gr~unlich... Z Bogiem, panie Buddenbrook... Do widzenia... – rzekł zwracając się do panny Jungmann. Wychodząc powtórzył: – Do widzenia!

Konsulowa zamieniła spojrzenie z synem... Pan Permaneder miał zamiar powrócić do skromnego zajazdu nad rzeką, w którym się zatrzymał...

–Monachijska przyjaciółka mojej córki oraz jej małżonek są daleko – rzekła stara dama zwracając się do pana Permanedera – nie będziemy zapewne mieli okazji tak prędko odwdzińczyć się za ich gościnność. Gdyby jednak drogi pan zechciał zrobić nam tę przyjemność i zamieszkać u nas, dopóki pozostanie w mieście... bylibyśmy bardzo radzi...

Wyciągnęła do niego rękę i patrzcie państwo, pan Permaneder zgodził się bez namysłu, z tą samą gotowością, z jaką przyjął zaproszenie na śniadanie, po czym pocałował obie panie w rękę, co wyglądało u niego dość szczególnie, przyniósł z pejzażowego pokoju swój kapelusz i laskę, jeszcze raz przyrzekł przysłać szybko swój kuferek i być z powrotem o godzinie czwartej, po załatwieniu swych spraw, wreszcie zszedł ze schodów wraz z konsulem. Przy drzwiach jeszcze raz się odwrócił i powiedział kiwając z przejęciem głową:

–Co tu gadać, panie

sąsiedzie, wasza pani siostra to setna kobieta. Z Bogiem... – I znikł ciągle jeszcze kiwając głową.

Konsul czuł neodpartą potrzebę udania się jeszcze raz na górę i zobaczenia się z paniami. Ida Jungmann krzątała się po domu z bielizną pościelową, przygotowując pokój. Konsulowa pozostawała jeszcze ciągle przy stole i utkwivszy swoje jasne oczy w jakiejś plamce na suficie, lekko bębniła palcami po obrusie. Tonia zaś siedziała ze skrzyżowanymi rękami przy oknie i nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo, lecz prosto przed siebie, z miną pełną godności czy też nawet surowości. Panowało milczenie.

–No i cóż? – zapytał Tomasz stojąc we drzwiach i otwierając papierośnicę z „trojką”. Ramiona trzęsły mu się ze śmiechu.

–Miły człowiek – rzekła spokojnie konsulowa.

–Zupełnie podzielam ten pogląd! – Następnie szybkim, pełnym galanterii i z lekka humorystycznym ruchem zwrócił się w stronę Toni, jak gdyby zapytywał się z szacunkiem również o jej zapatrywanie. Milczała. Patrzyła prosto przed siebie.

–Zdaje mi się tylko, Tom, że nie powinien tak ciągle przeklinać – rzekła konsulowa nieco zakłopotana. – O ile mogłam zrozumieć, mówił w taki dziwny sposób o sakramencie i o krzyżu...

–O, to jest bez znaczenia, mamó, nie ma on przy tym nic złego na myśli...

–I może nieco za wiele nonszalancji w zachowaniu, Tom, nieprawda?

–Ach, Boże drogi, ci Niemcy z południa wszyscy są tacy! – rzekł konsul, wypuścił dym, uśmiechnął się do matki i spojrział ukradkiem na Tonię. Konsulowa nie dostrzegła tego.

–Przyjdziecie dziś z Gerdą na obiad, dobrze? Zróbcie to dla mnie!

–Chętnie, matko; z największą przyjemnością. Prawdę mówiąc, obiecuję sobie dużo przyjemności po tych odwiedzinach. A ty? Nareszcie coś innego niż twoi duchowni...

–Każdy ma swoje przyjemności, Tom.

–Doskonale! Pójdę już... ~a propos! – powiedział trzymając rękę na kłame. – Stanowczo wywarłaś na nim wrażenie, Toni! Ależ tak, niewątpliwie! Wiesz, co on o tobie powiedział na dole? „Setna kobieta!” – to są jego słowa.

Tu jednak pani Gr~unlich odwróciła się i rzekła głośno:

–Dobrze, Tom, powtarzasz mi to... nie można ci tego zabronić, nie wiem jednak, czy wypada, żebyś mi o tym donosił. To jedno wiem, a i muszę wypowiedzieć, że w życiu nie to jest najważniejsze, jak coś jest wyrażone i wymówione, ale to, jak jest pomyślane i odczute w sercu, i jeśli kpisz sobie z pana Permanedera... jeśli znajdujesz w nim coś śmiesznego...

–W kim? Ależ Toni, ani myślę o tym. O co ci idzie?

–Assez! – powiedziała

konsulowa i rzuciła synowi poważne, błagalne spojrzenie, które oznaczało: Nie dokuczaj jej!

–No, nie bądź zła, Toni! – powiedział. – Nie chciałem cię rozgniewać. A teraz idę zarządzić, żeby ktoś ze spichrza poszedł po kuferek... Do widzenia!

‘ty

Część szósta (cd.)

Rozdział piąty

Pan Permaneder wprowadził się na Mengstrasse, jadł nazajutrz obiad u Tomasza Buddenbrooka i jego małżonki, trzeciego zaś dnia, w czwartek, poznał Justusa Kr~ogera oraz jego żonę, panie Buddenbrook z Breitenstrasse, które orzekły, że jest strasznie komiczny... Tetenię Weichbrodt, która

potraktowała go dosyć surowo, jak również biedną Klotyldę i małą Erykę, której wręczył torebkę „bombonów”, to jest cukierków...

Był w niezmiernie dobrym humorze, ze swymi mrukliwymi westchnieniami, które nic nie wyrażały, a pochodziły z nadmiaru zadowolenia, ze swą fajką, swym zabawnym językiem, ze swą ociężałością, która sprawiała, że po jedzeniu długi czas nie ruszał się z miejsca, lecz jak najwygodniej siedząc palił, pił, gawędził, a chociaż w ciche życie starego domu wprowadził zupełnie nowy i obcy ton, chociaż całą swą osobą wniósł do tych pokojów coś zupełnie nie odpowiadającego ich stylowi, to jednak nie zamącił żadnego z istniejących zwyczajów. Był obecny na porannych i wieczornych modlitwach, poprosił o pozwolenie odwiedzenia raz niedzielnej szkoły konsulowej, zjawił się nawet na chwilę podczas jerozolimskiego wieczoru, by przedstawić się paniom, po czym jednak wyszedł zmieszany, skoro tylko Lea Gerhardt zaczęła czytać.

Szybko stał się postacią znaną w mieście, w lepszych domach zainteresowano się Buddenbrookowskim gościem z Bawarii; ponieważ jednak nie miał stosunków ani na mieście, ani na giełdzie, poza tym pora roku była spóźniona i po większej części wyjeżdżano już nad morze, przeto konsul Buddenbrook zrezygnował z wprowadzenia pana Permanedera do towarzystwa. Sam za to żywo i usilnie zajmował się gościem. Mimo rozmaitych obowiązków handlowych i publicznych znajdował czas na oprowadzanie go po mieście, pokazywanie mu wszystkich średniowiecznych osobliwości, kościołów, bram, studni, rynku, ratusza, Towarzystwa Żeglarskiego, na dostarczenie rozrywek, a nawet zapoznawał go na giełdzie z najbliższymi przyjaciółmi... gdy zaś matka jego, konsulowa, dziękowała mu przy okazji za jego ofiarność, odpowiedział sucho: – Ach, matko, czego to się nie robi...

Powiedzenie to pozostawiła konsulowa bez odpowiedzi, nawet się nie uśmiechnęła, spojrzała tylko w bok swymi jasnymi oczami i zapytała o coś zupełnie innego...

Była wobec pana Permanedera nieodmiennie serdeczna, czego jednak nie można było powiedzieć o jej córce.

Właściciel handlu chmielem był obecny już na dwu „czwartkach” – i pomimo że trzeciego czy czwartego dnia po swym przybyciu dawał do zrozumienia, że interes jego z browarem został już załatwiony, to jednak upłynęło od tego czasu prawie półtora tygodnia, podczas każdego z tych czwartkowych wieczorów, gdy pan Permaneder poruszał się i rozmawiał, pani Gr~unlich rzucała szybkie, nieśmiałe spojrzenia na rodzinne kółko, na wuja Justusa, kuzynki ŃBuddenbrook lub Tomasza, czerwieniła się, milczała przez dłuższy czas lub nawet opuszczała pokój...

Zielone zasłony w sypialni pani Gr~unlich na drugim piętrze lekko poruszał ciepły powiew jasnej czerwcowej nocy, gdyż oba okna były otwarte. Na nocnym stoliku, obok łóżka z kotarą, stała szklanka napełniona do połowy wodą, w której na warstwie oleju płonęło kilka knotów napełniając spokojnym, równym i słabym światłem duży pokój, zastawiony sztywnymi fotelami osłoniętymi szarym płótnem. Pani Gr~unlich leżała na łóżku. Ładna jej główka miękko spoczywała na poduszkach otoczonych szerokimi koronkowymi falbanami, ręce zaś trzymała złożone na kołdrze. Oczy jej, zbyt zamyślane, by mogły się zamknąć, wolno śledziły poruszenia dużej ćmy o długim odwłoku, kołującej nad światłem wśród miliona bezszelestnych drgań... Na ścianie nad łóżkiem, między dwoma starymi miedziorytami wyobrażającymi miasto za czasów średniowiecza, wisiała oprawiona w ramki

dewiza: „Zaufaj Panu...”, ale czyż to jest pociecha o północy, gdy leży się z otwartymi oczami i zupełnie samemu, bez niczyjej rady trzeba rozstrzygnąć: „tak” lub „nie” o swoim życiu i nie tylko o tym?

Było bardzo cicho. Słyszało się tylko tykanie zegara, a od czasu do czasu z pokoju, oddzielonego jedynie portierą od sypialni Toni, dolatywało pochrząkiwanie panny Jungmann. Tam było jeszcze jasno. Wierna Prusaczka siedziała wyprostowana przy rozsuwanym stole pod wiszącą lampą i cerowała pończoszki małej Eryki, której spokojny i głęboki oddech słyszeć było wyraźnie.

Wychowanki Teteni Weichbrodt miały bowiem wakacje i dziecko mieszkało obecnie na Mengstrasse.

Pani Gr~unlich uniosła się z westchnieniem i oparła głowę na rękę.

–Ido? – zapytała przyciszonym głosem – jeszcze siedzisz i cerujesz?

–Tak, tak, Toniuchna,

córuchno – dał się słyszeć głos Idy. – Śpij, śpij, jutro rano musisz wstąpić, będziesz niewyspana.

–Dobrze, dobrze, Ido. Więc obudzisz mnie jutro o szóstej?

–O wpół do siódmej to dosyć wcześnie, córuchno. Powóz zamówiony jest na ósmą. Śpij dalej, żebyś była ładna i wypoczęta.

–Ach, ja jeszcze wcale nie spałam!

–Ojej, Toniuchna, to

niedobrze. Nie chcesz przecież wyglądać strudzona w Schwartau? Wypij siedem łyków wody, obróć się na prawy bok i licz do tysiąca...

–Ach, Ido, proszę cię, przyjdź tu trochę! Nie mogę spać, powiadam ci, muszę ciągle myśleć, aż głowa mnie boli... zobacz no, zdaje się, że mam gorączkę, a przy tym znów ten żołądek; a może to blednica, bo żyły na skroniach są bardzo nabrzmięte i pulsują, że aż boli; ale to nie wyklucza, że w głowie może być za mało krwi...

Odsunięto krzesło i między portierami ukazała się koścista, krzepka postać w skromnej, niemodnej, ciemnej sukni.

–Ojej, Toniuchna, gorączka?

Pokaż no, córuchno... Położymy kompresik...

Podeszła swymi długimi, trochę męskimi krokami do komody i wyjęła z niej chusteczkę, zamoczyła ją w misce, znów podeszła do łóżka i ostrożnie położyła ją na czole Toni, wygładzając jeszcze nieco

rękami.

–Dziękuję, Ido, to pomaga...

Ach, usiądź trochę przy mnie, dobra, stara Ido, tu, na brzegu łóżka. Słuchaj, ja ciągle muszę myśleć o jutrze... Co ja mam robić? Kręci mi się w głowie.

Ida usiadła obok niej, wzięła znów do ręki igłę i naciągniętą na grzybek pończochę i pochylając swą gładko uczesaną siwą głowę, niezmordowanie wpatrując się w ścięgi, rzekła:

–Myślisz, że on jutro zapyta?

–Na pewno, Ido. Nie ulega wątpliwości. Nie straci okazji. Jakże to było z Klarą? Też na takiej wycieczce... Mogłabym tego uniknąć, widzisz. Mogłabym się trzymać razem ze wszystkimi i nie dać mu podejść... Ale wtedy wszystko by przepadło. Odjeżdża pojutrze, tak powiedział, i nawet nie mógłby zostać dłużej, jeśli jutro nic z tego nie będzie... Jutro musi się to rozstrzygnąć... Ale cóż ja mam odpowiedzieć, kiedy mnie zapyta? Nigdy nie byłaś zameżna, więc właściwie nie znasz życia, ale jesteś uczciwą kobietą i masz swój rozum, i czterdzieści dwa lata. Nie możesz mi poradzić? Tak potrzebuję rady...

Ida Jungmann opuściła

pończochę na kolana.

–Tak, tak, Toniuchna, sama dużo o tym myślałam. Ale co mi się zdaje, to że tu już nie ma co radzić, moje dziecko. On już wcale nie może wyjechać nie rozmawiając przedtem z tobą i z mamą, no, a jeśli tego nie chcesz, to trzeba było wcześniej go odesłać...

–Masz rację, Ido, ale nie mogłam tego zrobić, bo to przecież musi się stać! Ciągle sobie myślę: jeszcze mogę się cofnąć, jeszcze nie jest za późno! – I leżę tu, i męcę się...

–Lubisz go, Toniuchna?

Powiedz szczerze!

–Tak, Ido. Kłamałabym, gdybym się zapierała. Nie jest ładny, ale to nie jest najważniejsze w tym życiu, jest z gruntu dobry, niezdolny do złości, wierzaj mi. Kiedy myślę o Gr~unlichu... O Boże! Mówił ciągle, że jest ruchliwy i pomysłowy, i pokrywał tym chytrze swoje oszukaństwa... Permaneder nie jest taki, widzisz. Jest on na to, jeśli można tak powiedzieć, za wygodny, za łatwo bierze życie, co znów z drugiej strony nie jest dobre, gdyż milionerem na pewno nigdy nie zostanie; zaniedbuje się i lubi się szwarcować, jak oni tam mówią... Bo oni wszyscy tam są tacy, to właśnie chciałam powiedzieć, Ido, o to właśnie idzie. Że tam w Monachium, gdy był między takimi jak on sam, między ludźmi, którzy tak samo mówili i robili, polubiłam go, taki wydał mi się miły i serdeczny, i swobodny. I zaraz zauważyłam, że to jest obustronne – może dlatego, że uważa mnie za bogatą kobietę, bogatszą, niż jestem, obawiam się tego, gdyż matka nie może mi dać wiele, wiesz przecież... Ale to go nie zniechęci, jestem tego pewna. Tak dużo pieniędzy, to wcale nie w jego guście... Słowem... co to ja chciałam powiedzieć, Ido?

–W Monachium, Toniuchna, ale tu?

–Ale tu, Ido... Już

rozumiesz, co chcę powiedzieć. Tu, gdzie jest tak zupełnie wyrwany ze swojego otoczenia, gdzie wszyscy są inni, surowi i bardziej ambitni, i więcej mają godności... tutaj często muszę się za niego wstydzić, tak, przyznaję ci to otwarcie, Ido, jestem szczerą kobietą, wstydzę się za niego, choć to może brzydko z mojej strony! Widzisz... parę razy zdarzyło się, że powiedział „rozumię” zamiast „rozumiem”. Tam tak mówią, Ido, to się zdarza bardzo wykształconym ludziom, kiedy są w dobrym humorze, i to nikomu nie szkodzi, nikogo nie razi, nikogo nie dziwi. Ale tu matka zaraz patrzy w bok, a Tom podnosi brew do góry, a wuj Justus o mało nie parska śmiechem, jak zawsze Krögerowie, a Fifi Buddenbrook patrzy na swoją matkę albo na Fryderykę, albo na Henrykę, a ja się wtedy tak wstydzę, że najchętniej uciekłabym z pokoju, a potem nie mogę nawet pomyśleć, że mogłabym wyjść za niego...

–Co znowu, Toniuchna.

Przecież masz z nim mieszkać w Monachium.

–To masz rację, Ido. No, ale zaręczyny byłyby uroczyście obchodzone i proszę cię, jeśli mam się ciągle wstydzić przed rodziną i przed Kistenmakerami, i Mollendorpfami, i innymi, że on jest tak mało wytworny... Ach, Grunlich był wytworniejszy, ale za to w środku na pewno był czarny, jak podobno mawiał kiedyś pan Stengel... Ido, w głowie mi się mąci, proszę cię, zmień kompres.

–Przecież to w końcu musi się stać – zaczęła znowu, gdy Ida położyła jej na głowę świeży kompres – gdyż najważniejsze jest, że znów włożę czepeczek i nie będę już tu tkwiła jako rozwódka... Ach, Ido, ciągle przychodzą mi na myśl tamte dni, kiedy Grunlich zjawił się po raz pierwszy, i te sceny, które mi robił – skandaliczne, Ido! – a potem Travemünde, Schwarzkopfwie... – mówiła wolno, a oczy jej spoczywały przez chwilę marzycielsko na zacerowanej pończoszce Eryki...

–a potem zaręczyny i

Eimsbüttel, i nasz dom... było tam wytwornie, Ido; kiedy pomyślę o moich szlafrokach... Nie będę takich miała u Permanedera. Życie czyni człowieka coraz mniej wymagającym, wiesz, i doktor Klaassen, i dziecko, i bankier Kesselmeier... a potem koniec – to było straszne, nie masz najmniejszego pojęcia, a kiedy doświadczyło się w życiu takich okropnych rzeczy... Ale Permaneder nie będzie się wdawał w takie brudy, tego nigdy nie mogłabym o nim pomyśleć, a pod względem handlowym można mieć do niego zaufanie, zdaje mi się, że on razem z Noppem dosyć dużo zarabia w browarze u Niederpaura. A jak zostanę jego żoną, Ido, to zobaczysz, już się o to postaram, żeby był ambitniejszy i poszedł wyżej, i pracował ze wszystkich sił, i żeby mnie przyniósł zaszczyt i nam wszystkim, bo chyba bierze na siebie ten obowiązek żeniąc się z panną Buddenbrook.

Założyła ręce pod głowę i patrzyła w sufit.

–Tak, to już dobre dziesięć lat, od czasu jak wyszłam za Grunlicha... Dziesięć lat! I znów stoję w

tym samym miejscu, i muszę powiedzieć komuś „tak”. Wiesz, Ido, życie jest strasznie poważne!... cała różnica w tym, że wówczas robiono z tego wielką sprawę, wszyscy mężczyźni mnie i zmuszali, teraz wszyscy siedzą cicho i uważają to za zupełnie zrozumiałe, że powiem „tak”, bo trzeba ci wiedzieć, Ido, te zaręczyny z Alojzym – mówię już Alojzy, bo w końcu przecież to musi się stać – to nie jest nic uroczystego ani radosnego, i właściwie wcale tu nie idzie o moje szczęście, tylko wychodząc powtórnie za mąż naprawiam z całym spokojem i zrozumieniem pierwsze małżeństwo, gdyż jest to moim obowiązkiem wobec naszego nazwiska. Tak myśli matka i tak myśli Tom...

–Gdzie tam, Toniuchna. Jak go nie będziesz chciała i jak on nie ma cię uszczęśliwić...

–Ido, znam życie, nie jestem już gąską i dobrze widzę. Matka... możliwe, że nie zmuszałaby mnie do tego, gdyż odsuwa się ona od niepewnych rzeczy i mówi: Assez. Ale Tom życzy sobie tego. Chcesz mnie uczyć, jaki jest Tom! Wiesz, co Tom myśli? Myśli tak: „Każdy! każdy, który nie jest zupełnie nieodpowiedni! Gdyż teraz nie idzie już o świetną partię, tylko o naprawienie tamtego błędu”. Tak myśli. I kiedy tylko Permaneder przyjechał, Tom po cichutku zbierał o nim handlowe referencje, możesz być pewna, a ponieważ brzmiały dosyć pomyślnie i pewnie, rzecz była dla niego zakończona... Tom jest dyplomatą i wie, czego chce. Kto wysadził Chrystiana?... Chociaż to jest przykre słowo, ale tak jest. A dlaczego? Dlatego, że kompromitował firmę i rodzinę, a ja to samo robię w jego oczach, Ido, nie czynami albo słowami, ale samą egzystencją rozwódki. On chce, żeby to się skończyło, i ma rację, a ja, na Boga, nie kocham go za to mniej i mam nadzieję, że tak samo jest i z jego strony. Wreszcie ja sama pragnęłam przez te wszystkie lata wejść znowu w życie, gdyż nudzę się u matki, niech mnie Bóg skarże, jeśli to grzech, ale mam dopiero trzydzieści lat i czuję się młoda. Różnie w życiu bywa, Ido; ty byłaś siwa mając trzydzieści lat, to już u was rodzinne, twój wujek Prahł, który umarł na czkawkę...

Wypowiedziała owej nocy jeszcze kilka spostrzeżeń, rzekła parę razy: – Przecież to w końcu musi się stać – po czym przespała spokojnie i głęboko pięć godzin.

Rozdział szósty

Mgła wisiała nad miastem, ale pan Longuet, właściciel remizy na Johannisstrasse, który o ósmej rano we własnej osobie zajeżdżał na Mengstrasse krytym, lecz ze wszystkich stron otwartym omnibusem, powiedział:

–Za dobrą godzinę słońce się pokaże – tak że można było z pewnością oczekiwać pogody.

Konsulowa, Antonina, pan Permaneder, Eryka oraz Ida Jungmann spożyli wspólnie śniadanie i stawili się jedno po drugim w dużej sieni, gotowi do wyruszenia, w oczekiwaniu Gerdy i Toma. Pani Gr~unlich pomimo skróconego wypoczynku nocnego doskonale wyglądała w swej kremowej sukni z atlasową krawatką pod szyją. Wahania i wątpliwości widocznie ustąpiły, gdyż wyraz jej twarzy, podczas gdy rozmawiając z gościem powoli zapinała swe cienkie rękawiczki, był spokojny, pewny, niemal uroczysty... Odnalazła nastrój, znany jej dobrze z dawniejszych czasów. Napełniało ją przyspieszone bicie serca, poczucie własnej ważności, znaczenia decyzji, którą miała powziąć, świadomość, że znów nadszedł dzień, który żąda od niej, by poważnym postanowieniem zaważyła na dziejach rodziny.

Tej nocy widziała we śnie rodzinne papiery, w których zamierzała zaznaczyć fakt powtórnych zaręczyn... fakt, mający wymazać i unicestwić ową czarną plamę, jaką te kartki zawierały, teraz niecierpliwie oczekiwała chwili, gdy zjawi się Tom, a ona będzie mogła przywitać go poważnym skinieniem głowy...

Wreszcie zjawił się konsul wraz z małżonką, nieco opóźnieni, gdyż młoda konsulowa Buddenbrook nie miała zwyczaju tak wcześnie kończyć toalety. Tomasz wyglądał dobrze i świeżo w swym jasnym ubraniu w drobną kratkę, którego szerokie wyłogi odsłaniały brzeżek letniej kamizelki, oczy jego uśmiechnęły się, gdy dostrzegł pełną niezrównanej godności minę Toni. Ale Gerda, której subtelna i zagadkowa piękność tworzyła dziwny kontrast z ładną świeżością szwagierki, bynajmniej nie okazywała niedzielnego, wycieczkowego nastroju. Najprawdopodobniej nie wyspała się dobrze. Soczysta barwa lila, tworząca tło jej sukni i niezwykle oryginalnie harmonizująca z ciemnorudym tonem jej ciężkich włosów, sprawiała, że twarz jej wydawała się jeszcze bielsza, jeszcze bardziej matowa; ciemniej i głębiej niż zazwyczaj spoczywały w kąciakach jej blisko siebie osadzonych oczu błękitnawe cienie... Zimno pochylila przed świekrą czoło do pocałunku, z nieco ironicznym wyrazem podała rękę panu Permanederowi, gdy zaś pani Grunlich ujrzawszy ją klasnęła w ręce wołając: – Gerdo, o Boże, jakżeś ty dziś znowu piękna! – odpowiedziała jedynie niezbyt czułym uśmiechem.

Żywiła ona głęboką niechęć do przedsięwzięć w rodzaju dzisiejszego: zwłaszcza w lecie, a do tego w niedzielę. Ona, której apartamenty po większej części były osłonięte, pogrążone w półcieniu, lękała się słońca, kurzu, świątecznie wystrojonego drobnomieszczaństwa, zapachu kawy, piwa, tytoniu... ponad wszystko zaś nienawidziła zmęczenia, deranzowania się: – Mój drogi przyjacielu – rzekła do Tomasza, gdy omawiano wycieczkę do Schwartau i „Pod Wielki Krzak”, aby pokazać gościowi okolicę starożytnego miasta – wiesz przecież, Bóg mnie tak stworzył, że lubię spokój i dzień powszedni... w takich razach nie jest się skłonny do ruchu i do zmian. Uwzględnicie to, nieprawda?...

Nigdy nie poślubiłaby go, gdyby nie była pewna jego zgody w takich rzeczach.

–Tak, Boże drogi, masz oczywiście rację, Gerdo. Że człowiek bawi się w podobnych wypadkach, jest to najczęściej tylko urojenie. Ale bierze się w tym udział, gdyż nie chciałoby się uchodzić wobec ludzi, a nawet wobec siebie samego za dziwaka. Tę próżność posiada każdy, nieprawda? Inaczej bowiem człowiek wydaje się osamotniony i przygnębiony, co zmniejsza szacunek ludzki. A prócz tego, droga Gerdo... Wszyscy mamy powody okazywać nieco uprzejmości panu Permanederowi. Nie wątpię, że orientujesz się w sytuacji. Coś się zarysowuje i byłoby szkoda, po prostu szkoda, gdyby do tego nie doszło...

–Nie widzę, drogi

przyjacielu, jak dalece obecność moja... Skoro jednak sobie tego życzysz, niech i tak będzie. Znieśmy tę przyjemność.

–Będę ci szczerze

zobowiązany.

Wyszli na ulicę... Istotnie, słońce zaczęło się już przedzierać przez mgłę poranną, świętecznie brzmiały dzwony z kościoła Panny Marii, a świergot ptaków napełniał powietrze. Stangret zdjął kapelusz, a konsulowa z patriarchalną łaskawością, która chwilami nieco raziła Tomasza, rzuciła mu nader serdecznie: – Jak się ma, dobry człowieku!

–Zatem wsiadajmy, moi drodzy!

Teraz byłby czas na poranne kazanie, ale dziś już pochwalimy Pana Boga w sercach, pod gołym niebem, prawda, panie Permaneder?

–Co prawda, to prawda, pani konsulowo.

Weszli jedno po drugim po dwu blaszanych schodkach przez drzwiczki z tyłu wehikułu, który mógłby pomieścić dziesięć osób, i rozsiedli się wygodnie na ławkach, które zapewne na cześć pana Permanedera pomalowane były w niebieskie i białe pasy. Potem zatrzaśnięto drzwiczki, pan Longuet mlasnął językiem i począł wyrzucać z siebie rozmaite dźwięki: „wio” i „ho”, muskularne kasztany ruszyły z miejsca i wehikuł zaturkotał po Mengstrasse, wzdłuż rzeki, przez Holstentor, a potem na prawo po alei biegnącej ku Schwartau...

Pola, łąki, grupy drzew, zabudowania... W coraz lżejszym, wyższym, błękitniejszym przestworzu szukano skowronków, których głosy dawały się słyszeć. Tomasz z papierosem w ustach patrzył bacznie, gdy przejeżdżano obok łąnów zboża, i pokazywał je panu Permanederowi. Handlarz chmielu był w prawdziwie młodzieńczym humorze, nałożył trochę na bakier swój zielony kapelusz z kosią kitką, łaskę zakończoną olbrzymią rogową rączką kołysał na swej szerokiej białej dłoni, a nawet na dolnej wardze – sztuka, która, pomimo iż się ciągle nie udawała, miała wielkie powodzenie, zwłaszcza u małej Eryki – powtórzył też kilka razy: – To nie taka znów ważna wycieczka, ale zawsze trochę się ubawimy, to będzie frajda, do stu sakramentów, co, pani Gr~unlich?

Potem zaczął z temperamentem opowiadać o wyprawach w góry z plecakiem i kijem, na co konsulowa w dowód uznania powtórzyła kilka razy: – Patrzcie państwo! – wreszcie z jakichś powodów zaczął z przejęciem żałować, że nie ma Chrystiana, o którym słyszał, że jest bardzo wesołym człowiekiem.

–Różnie bywa – rzekł konsul.

–Ale w takich okazjach jest nieporównany, to prawda. – Będziemy jedli raki, panie Permaneder! – zawołał z ożywieniem. – Raki i kraby z Bałtyku! Parę razy próbował ich pan u matki, ale u mego przyjaciela Dieckmanna, właściciela gospody „Pod Wielkim Krzakiem”, są one zawsze w najlepszym gatunku! A orzechowe pierniki, chluba tych stron! Może sława ich nie dotarła dotąd do brzegów Izary? No, sam pan zobaczy.

Dwa lub trzy razy podczas jazdy pani Gr~unlich kazała zatrzymać powóz, chcąc zrywać maki i chabry, pan Permaneder zaś zapewniał gorliwie, że chciałby jej pomóc, ponieważ jednak obawiał się nieco wysiadania i wsiadania, zaniechał tego.

Eryka cieszyła się z każdej przelatującej wrony, podczas gdy Ida Jungmann, która jak zwykle, przy

najpiękniejszej nawet pogodzie, zabrała długi deszczowy płaszcz i parasol – przy tym jako prawdziwa wychowawczyni dzieci nie tylko umiała pojmwować dziecięce nastroje, lecz i odczuwać prawdziwie po dziecięcemu – wtórowała jej swym nieskrępowanym i jakby trochę podobnym do rżenia śmiechem;

Gerda, która nie patrzyła na to, jak Ida starzeje się stopniowo przy tej rodzinie, spoglądała na nią zimno i obserwowała ją ze zdziwieniem...

Byli teraz w Oldenburgii. Ukazały się bukowe lasy, omnibus przejechał przez miasteczko, przez mały rynek ozdobiony studnią, wyjechał znowu w otwarte pole, zaturkotał po moście przerzuconym przez rzeczkę Au, aż wreszcie zatrzymał się przed jednopiętrową gospodą „Pod Wielkim Krzakiem”. Była ona położona po jednej stronie płaskiego placu porośniętego trawą, poprzerzynanego piaszczystymi ścieżkami i wiejskimi zagonami, po drugiej zaś stronie tego placu amfiteatralnie wznosił się las. Poszczególne tarasy połączone były schodami, do których budowy użyto wystających korzeni i dużych kamiennych złomów, między drzewami rozstawiono białe pomalowane stoliki, ławki i krzesła.

Buddenbrookowie bynajmniej nie byli pierwszymi gośćmi. Kilka roślących dziewcząt (a nawet jeden kelner w zatłuszczonym fraku) biegało po placu, roznosząc zimne potrawy, lemoniadę, mleko oraz piwo do stolików, przy których z rzadka rozsiadło się kilka rodzin z dziećmi.

Pan Dieckmann, gospodarz, w żółtej haftowanej czapeczce i bez surduta, sam wyszedł pomóc państwu przy wysiadaniu; gdy Longuet odjechał wyprząc konie, konsulowa rzekła:

–Zatem najpierw przejdziemy się, drogi panie, a potem, za godzinę, półtorej, chcielibyśmy zjeść śniadanie. Proszę, niech pan każe podać po tamtej stronie... ale nie za wysoko; sędzę, że na drugim tarasie...

–Postaraj się pan – dodał konsul. – Mamy wymagającego gościa.

Pan Permaneder zaprotestował:

–Ale gdzie tam! Troszka piwa i syra...

Pan Dieckmann zaczął wymieniać z wielką biegłością:

–Co tylko mamy, panie

konsulu... raki, kraby, różne kiełbasy, różne sery, wędzony węgorz, wędzony łosoś, wędzony jesiotr.

–Doskonale, panie Dieckmann, pan już to przygotuje. A potem daj nam pan sześć szklanek mleka i kufel piwa, dobrze mówię, panie Permaneder?

–Piwo raz, mleko sześć razy... Słodkie mleko, maślanka, zsiadłe mleko, śmietana, panie konsulu...

–Pół na pół, panie Dieckmann; słodkie mleko i maślanka. Więc za godzinę.

I poszli przez plac.

–Przede wszystkim zwiedzimy „źródło”, panie Permaneder – rzekł Tomasz. – „Źródło”, to znaczy źródło rzeki Au, jest to mała rzeczka, nad którą leży Schwartau i nad którą w zamierzczłym średniowieczu leżało nasze miasto, dopóki się nie spaliło – widać kiepsko było zbudowane – a potem odbudowano je nad rzeką Travą. Z nazwą rzeczki związane są zresztą bolesne wspomnienia. Jako mali chłopcy uważaliśmy za bardzo dowcipne wzajemnie szczypać się i pytać: „Jak się nazywa rzeka pod Schwartau?” Oczywiście, ponieważ to bolało, wykrzykiwaliśmy mimo woli nazwę rzeki... No! – przerwał, gdy byli o dziesięć kroków od wzgórza – uprzedzono nas:

M~ollendorpfowie i

Hagenstr~omowie.

Istotnie, na górze, na trzecim leśnym tarasie siedzieli przy dwu zsuniętych stołach główni członkowie obu ustosunkowanych rodzin, żywo rozprawiając. Prezydował stary senator M~ollendorpf, błądy jegomość z rzadkimi, siwymi faworytami, był on chory na cukrzycę. Małżonka jego, z domu Langhals, posługiwała się lorgnon na długiej rączce, a jej siwe włosy były w nieładzie. Był tam ich syn August, jasnowłosy młody człowiek o eleganckim wyglądzie, mąż Julci z Hagenstr~omów, która siedziała między swymi braćmi, Hermanem i Maurycym – mała, ożywiona, z dużymi błyszczącymi, czarnymi oczami i prawie równie dużymi brylantami w uszach. Konsul Herman Hagenstr~om zaczynał bardzo tyć, gdyż żył wielce dostatnio, mówiono, że jada od rana pasztety z gęsich wątróbek. Miał krótką rudawoblond brodę, a nos jego – przypominający nos matki – zwieszał się dziwnie płasko nad górną wargą. Doktor Maurycy miał płaską pierś i żółtawą cerę, a gdy mówił, odsłaniał spiczaste, niezbyt ładne zęby. Obaj panowie byli ze swymi żonami, gdyż adwokat był od kilku lat żonaty z panną Puttfarken z Hamburga, osobą o włosach koloru masła i o niezmiernie mało wyrazistej, lecz niezwykle pięknej i regularnej twarzy; cieszący się opinią pięknoducha doktor Hagenstr~om nie mógł bowiem poślubić brzydkiej panny. Znajdował się też tam synek Maurycyego Hagenstr~oma i córeczka Hermana Hagenstr~oma, dwoje biało ubranych dzieci, które już dziś były prawie zaręczone z sobą ze względu na to, że majątki Huneusów i Hagenstr~omów nie powinny się rozdrabniać. – Wszyscy jedli jajecznicę z szynką.

Przywitano się dopiero wówczas, gdy Buddenbrookowie podeszli dość blisko. Konsulowa z roztargnieniem skinęła głową, jak gdyby nieco zdziwiona, Tomasz zdjął kapelusz poruszając lekko wargami, jak gdyby wymawiał coś uprzejmego a chłodnego, Gerda zaś skłoniła się obojętnie i sztywno. Ale gdy pan Permaneder, przejęty wchodzeniem pod górę, zaczął powiewać kapeluszem i zawołał głośno i wesoło:

–Życzę bardzo dobrego dnia – wówczas senatorowa M~ollendorpf podniosła do oczu lorgnon... Co się tyczy Toni, to uniosła nieco ramiona, odrzuciła w tył głowę, usiłując zarazem oprzeć ją na piersi, i ukłoniła się jak gdyby z niedostrzegalnej wysokości, przy czym przyjrzała się dokładnie dużemu i eleganckiemu kapeluszowi Julci M~ollendorpf... W owej chwili powzięła nieodwołalne i niezłomne postanowienie...

–Chwała i dzięki Bogu, Tom, że dopiero za godzinę będziemy tu jedli śniadanie! Nie chciałabym, żeby ta Julcia patrzyła mi na usta, rozumiesz... Zauważyłeś, w jaki sposób ona się ukłoniła? Prawie

wcale. Przy tym kapelusz jej, według mojego niemiarodajnego zdania, jest niezwykle mało gustowny.

–No, co się tyczy

kapelusza... A co do ukłonu, to i ty nie byłaś o wiele uprzejmiejsza, moja droga. Nie gniewaj się lepiej, od tego dostaje się zmarszczek.

–Gniewać się. Tom? Ach, nie!

Jeśli ci ludzie myślą, że oni są pierwsi, to można się z tego pośmiać i na tym koniec. Jaka jest różnica między tą Julcia a mną, chciałabym to wiedzieć! Że nie wyszła za oszusta, tylko za „jołopa”, jak mówi Ida, a gdyby znalazła się kiedy w mojej sytuacji, wtedy dopiero okazałoby się, czy umiałaby znaleźć sobie drugiego...

–Skąd wiadomo, czy ty

znajdziesz?

–Jołopa, Tomaszu?

–Lepsze to niż oszust.

–Może nie być ani jednym, ani drugim. Ale nie mówmy o tym.

–Słusznie. Zostaliśmy w tyle.

Pan Permaneder wspina się z zapalem...

Cienista droga wyrównała się i

wkrótce doszli do „źródła”,

ładnego, romantycznego miejsca z

drewnianym mostkiem,

przerzuconym nad małą

przepaścią, stromymi

rozpadlinami i zwieszającymi się drzewami o obnażonych korzeniach. Zanurzali srebrny składany kubeczek, który konsulowa zabrała ze sobą, i orzeźwiali się świeżą, żelazistą wodą z niewielkiego, kamiennego basenu, znajdującego się tuż przy wejściu, przy czym pan Permaneder wykazał dużo galanterii żądając, by sama pani Gr~unlich podała mu napój. Był pełen wdzięczności, powtarzał kilkakrotnie: – A, to bardzo ładnie! – i rozsądnie oraz uważnie gawędził z konsulową i Tomaszem, jak również z Gerdą i Tonią, a nawet z małą Eryką. Gerda, która dotąd z powodu wzrastającego upału źle się czuła, była milcząca, sztywna i jakaś zdenerwowana, teraz odżyła, gdy zaś skróconą

drogą powrócili do gospody i zasiedli na drugim stopniu leśnego tarasu do wspaniale zastawionego stołu, ona to właśnie w najuprzejmiejszy sposób wyraziła żal, że wyjazd pana Permanedera jest już tak bliski – teraz gdy się wzajemnie trochę poznano, gdy na przykład łatwo spostrzec, że nieporozumienia z powodu dialektu są z obu stron coraz radsze... Mogłaby się założyć, że jej przyjaciółka i szwagierka Tonia dwa lub trzy razy po mistrzowsku wymówiła: „do stu sakramentów”.

Pan Permaneder nie podchwycił słowa „wyjazd”, lecz poświęcił się tymczasem smakołykom, jakimi stół był zastawiony i jakie nieczęsto widywał po tamtej stronie Dunaju.

Spożywali powoli dobre rzeczy, przy czym małą Erykę najbardziej cieszyły bibułkowe serwetki, które wydawały jej się o wiele piękniejsze niż duże płócienne w domu i których kilka za zezwoleniem kelnera zabrała sobie na pamiątkę, potem siedzieli gawędząc ze swym gościem, przy czym pan Permaneder popijając piwo palił swoje czarne cygara, konsul zaś papierosy – szczególne jednak było, że nikt już nie myślał o wyjeździe pana Permanedera, nie mówiono też wcale o przyszłości. Dzielono się raczej wspomnieniami, omawiano polityczne wypadki ostatnich lat, pan Permaneder uśmiewiał się z anegdot z roku 48, które konsulowa powtarzała po swym nieboszczyku mężu, opowiadał o rewolucji w Monachium i o Loli Montez, którą pani Gr~unlich niezmiernie się interesowała. Potem zaś, o pierwszej po południu, gdy Eryka powróciła wraz z Idą z małej wyprawy obładowana stokrotkami, kwiatami mlecza oraz trawami i przypomniawszy, że należy jeszcze kupić orzechowe pierniczki, ruszono w drogę powrotną... przedtem jednak konsulowa, której gośćmi byli dziś wszyscy, wyrównała rachunek kilkoma małymi złotymi monetami.

W gospodzie wydano zarządzenie, żeby powóz był gotów za godzinę, przed obiadem bowiem chciano jeszcze nieco w mieście wypocząć, potem zaś skierowano się powoli – gdyż słońce paliło – ku niskim domkom miasteczka. Zaraz za mostem towarzystwo rozdzieliło się i podział ten zachowano już mimo woli przez całą drogę: przodem szła panna Jungmann, która stawiając duże kroki mogła nadążyć za bezustannie skaczącą i uganiającą się za motylami Eryką, następnie szli razem konsulowa, Tomasz i Gerda, a na końcu, nawet w pewnej odległości, pani Gr~unlich z panem Permanederem. Na przodzie było głośno, gdyż dziewczynka wykrzykiwała. Ida zaś wtórowała jej swym osobliwym, pocziwym rzeniem. Pośrodku milczeli wszyscy troje, gdyż Gerda znów uległa nerwowej depresji z powodu kurzu, a stara konsulowa jak również jej syn pogrążeni byli w myślach. W tyle też było cicho... jednak tylko pozornie, gdyż Tonia i gość z Bawarii prowadzili przytłumionym głosem intymną rozmowę. – O czym mówili? O panu Gr~unlichu...

Pan Permaneder uczynił trafną uwagę, że Eryka jest miłym i ładnym dzieckiem, pomimo iż wcale nie przypomina pani matki; na co Tonia odrzekła: – Jest ona zupełnie podobna do ojca i nie można powiedzieć, że dzieje się jej krzywda, gdyż Gr~unlich zewnątrznie był dżentelmenem – trzeba to przyznać. Miał na przykład złotożółte faworyty, zupełnie oryginalne, nigdy nie widziałam podobnych... – A potem dowiadywał się jeszcze raz o wszystko, pomimo iż Tonia już w Monachium opowiedziała mu dość dokładnie historię swego małżeństwa, i rozpytywał się drobiazgowo i z lęklwym, współczującym mruganiem o wszystkie szczegóły bankructwa...

–To był zły człowiek, panie Permaneder, inaczej ojciec nie zabrałby mnie od niego, może mi pan wierzyć. Nie wszyscy ludzie na świecie mają dobre serce, życie mnie tego nauczyło, choć jestem bardzo młoda jak na osobę, która od dziesięciu lat jest wdową czy czymś podobnym. Był niedobry, a Kesselmeier, jego bankier, który nadto był głupi jak osioł, był jeszcze gorszy. Ale to wcale nie

znaczy, żebym uważała siebie za anioła albo za wolną od wszelkiej winy... proszę mnie źle nie rozumieć! Gr~unlich zaniedbywał mnie, a jeśli już kiedy siedział przy mnie, to czytał gazetę, okłamywał mnie, kazał mi ciągle siedzieć na Eimsb~uttel, gdyż w mieście mogłabym była się dowiedzieć, w jakim on bagnie tkwi... Ale i ja jestem tylko słabą kobietą, i mam swoje wady, i na pewno nie zawsze tak postępowałam, jak należało. Na przykład dawałam mężowi powody do trosk i skarg, gdyż byłam lekkomyślna i rozrzutna, ciągle sprawiałam sobie nowe szlafroki... Ale muszę dodać na swoje usprawiedliwienie, że wychodząc za mąż byłam jeszcze dzieckiem, gąską, głuptaskiem. Czy da pan wiarę, iż dopiero przed samymi zaręczynami dowiedziałam się, że przed czterema laty zostały wznowione prawa dotyczące uniwersytetów i prasy? Piękne prawa zresztą!... Ach, to jest rzeczywiście bardzo smutne, że się tylko raz żyje, panie Permaneder, że nie można rozpocząć życia po raz drugi, niejedno inaczej by się urządziło...

Milczał i z przejęciem spoglądał na prowadzącą w dół drogę. Tonia podsunęła mu dość zręcznie punkt wyjścia, gdyż bardzo łatwo można było zrobić uwagę, że co prawda nie można rozpocząć życia zupełnie na nowo, ale przecież nie jest wykluczone zawarcie nowego, lepszego małżeństwa. Pan Permaneder jednak zaniedbał tej okazji ograniczając się do ganienia pana Gr~unlicha, przy czym kępka włosów nad okrągłą jego brodą zjeżyła się...

–A to gałgan! Gdybym ja tam był, już ja bym pokazał temu psu, temu łotrowi!

–Fe, panie Permaneder! Proszę przestać. Powinniśmy przebaczać i zapominać, a zemsta jest moja, powiedział Pan Bóg... niech pan zapyta matki. Broń Boże... ja nawet nie wiem, co się dzieje z Gr~unlichem ani jak mu poszło w życiu, ale życzę mu wszystkiego dobrego, choć może na to nie zasłużył...

Byli już na miejscu i stali przed małym domkiem, w którym znajdował się sklepik z piernikami. Zatrzymali się i nie zdając sobie z tego sprawy patrzyli roztargnionym wzrokiem, jak Eryka, Ida, konsulowa, Tomasz i Gerda wchodzili zgarbieni i znikali w śmiesznie niskich drzwiczkach: tak bardzo pogrążeni byli w rozmowie, chociaż mówili same niepotrzebne i niemądre rzeczy.

Stali obok płotu, wzdłuż którego biegła długa wąska grządka rezedy: pani Gr~unlich, pochylając nieco rozgorączkowaną twarz, grzebała końcem swej parasolki w czarnej ziemi. Pan Permaneder, którego zielony kapelusik z kocią kitką nasunął się na czoło, stał tuż obok niej i przyczyniał się swym kijem do rozgrzebywania grządki. I on również spuścił głowę, ale jego małe, jasnoniebieskie, obrzękłe oczy, teraz błyszczące i nawet nieco zaczerwienione, spoglądały na nią z dołu z mieszaniną oddania, zasmucenia i przejęcia, ten sam wyraz miały zwisające nad jego ustami, nastrzępione wąsy...

–A teraz – powiedział – pewnie ma pani okropnego stracha przed zameściami i nie życzyłaby sobie pani spróbować jeszcze raz, co, pani Gr~unlich?

„Jak niezgrabnie – pomyślała.

–Przecież powinnam to

potwierdzić?...” Odpowiedziała:

–Tak jest, kochany panie Permaneder, przyznaję panu szczerze, że trudno by mi było dać komuś słowo na całe życie, gdyż przekonałam się, widzi pan, jakie to jest strasznie poważne postanowienie... musiałabym chyba być mocno przekonana, że idzie o prawdziwie szlachetnego, dzielnego, dobrego z gruntu człowieka...

Tu pozwolił sobie zapytać, czy uważa go za takiego człowieka, na co odrzekła:

–Tak, panie Permaneder, uważam pana za takiego człowieka. – A potem nastąpiły jeszcze bardzo nieliczne, ciche i krótkie słowa wyrażające zgodę na zaręczyny oraz na zwrócenie się w domu do konsulowej i Tomasza...

Gdy pozostali członkowie towarzystwa znowu się ukazali, obładowani dużymi torbami, pełnymi orzechowych pierników, konsul dyskretnie skierował wzrok ponad głowy obojga, gdyż byli oni mocno zakłopotani, pan Permaneder nawet nie próbował tego ukryć. Tonia zaś przybrała maskę niemal majestatycznej godności.

Pośpieszono do powozu, gdyż niebo okryło się chmurami i spadły pierwsze krople deszczu.

Zgodnie z przypuszczeniami Toni, brat jej wkrótce po zjawieniu się pana Permanedera zebrał dokładne wiadomości, dotyczące jego sytuacji, brzmiały one, że „X. Noppe Ska” jest niewielką, lecz najzupełniej solidną firmą, która, współdziałając z browarem akcyjnym, kierowanym przez pana Niederpaura, przynosi niezły dochód, oraz że w połączeniu z siedemnastu tysiącami talarów Toni udział pana Permanedera wystarczy na przyzwoite utrzymanie bez zbytku. Konsulowa była o tym powiadomiona i podczas wyczerpującej rozmowy, jaka miała miejsce tegoż zaręczynowego wieczora między nią, panem Permanederem, Antoniną i Tomaszem, bez przeszkody uregulowano wszelkie kwestie, nie wyłączając sprawy małej Eryki, która na życzenie Toni oraz pełne wzruszenia przyzwolenie jej narzeczonego miała również jechać do Monachium.

Po dwu dniach właściciel handlu chmielem wyjechał – bo Noppe już tam będzie urągał – ale w lipcu pani Gr~unlich spotkała się z nim w jego rodzinnym mieście: przybyła tam wraz z Tomem i Gerdą, którym towarzyszyła w czasie pięcio_ czy sześciotygodniowego pobytu w badzie Kreuth, podczas gdy konsulowa wraz z Eryką oraz panną Jungmann pozostały nad Bałtykiem. Obie pary miały okazję obejrzeć dom, który pan Permaneder pragnął nabyć na Kaufingerstrasse – a zatem bardzo blisko Niederpaurów – i którego większą część chciał odnajmować, oryginalny, stary dom z wąskimi schodami, które zaraz od drzwi biegły w górę bez żadnego zakrętu, jak drabina, aż do pierwszego piętra, i dopiero stamtąd, kierując się w obie strony korytarza, dochodziło się do pokoiów położonych po stronie frontowej...

W połowie sierpnia Tonia wróciła do domu, aby podczas następnych tygodni poświęcić się staraniom o wyprawę. Wiele pozostało, co prawda, z pierwszego małżeństwa, trzeba jednak było to i owo dopełnić, pewnego zaś dnia przybył z Hamburga, skąd wiele sprowadzono, nawet szlafrok... oczywiście nie aksamitny, lecz tym razem przybrany sukiennymi kokardami.

Późną jesienią pan Permaneder znalazł się znowu na Mengstrasse; nie należało przeciągać sprawy... Co do uroczystości weselnych, to wszystko odbyło się tak, jak Tonia oczekiwała i pragnęła: nie robiono wielkich ceremonii. – Zostawmy wszelką pompę – powiedział konsul – znowu jesteście

mężatką, jest to prawie tak, jak gdybyś nigdy nie przestała nią być. – Rozesłano małą ilość zawiadomień – pani Grunlich nie zapomniała jednak przesłać karty Julci Mollendorpf – o podróży poślubnej mowy nie było, gdyż pan Permaneder nie cierpiał „takich szop”. Toni zaś, która zaledwie powróciła z letniego wypoczynku, nawet podróż do Monachium wydawała się zbyt daleka, na ślubie, który nie odbył się tym razem w kolumnowej sali, lecz w kościele Panny Marii, obecna była jedynie najbliższa rodzina. Tonia z godnością nosiła kwiaty pomarańczowe zamiast mirtu, a pastor Kolling wygłosił nieco cichszym głosem, ale zawsze jeszcze używając mocnych wyrażeń, kazanie o umiarkowaniu.

Z Hamburga przyjechał

Chrystian; ubrany był bardzo elegancko, wyglądał na nieco wycieńczonego, ale miał wesołą minę, opowiadał, że spółka jego z Burmeestrem jest „tip_top”, oznajmił, że on i Klodylda pożenią się zapewne dopiero „na tamym świecie” – „to znaczy: każde sobie...” i spóźnił się do kościoła, gdyż złożył wizytę w klubie. Wuj Justus był wielce wzruszony, okazał się, jak zawsze, pełen elegancji ofiarując nowożeńcom niezwykle piękną zastawę stołową z masywnego srebra... Oboje wraz z żoną przymierali prawie głodem, gdyż słaba matka, oszczędzając na gospodarstwie, regulowała długi od dawna wydziedziczonego i wyklętego syna, który chwilowo bawił w Paryżu. – Panie Buddenbrook z Breitenstrasse zauważyły: – No, miejmy nadzieję, że tym razem to się uda. – Nieprzyjemne było to, że wszyscy ogólnie wątpili, czy istotnie – mają one tę nadzieję... Ale Tetenia Weichbrodt uniosła się na palcach i pocałowała w czoło swą wychowankę, obecnie panią Permaneder, wypowiadając najserdeczniejsze słowa: – Bądź szczęśliwa, drogie dziecko!

Rozdział siódmy

Od samego rana, od ósmej godziny, konsul Buddenbrook zajmował się sprawami publicznymi. Wyszedłszy z łóżka, kierował się przez małe drzwiczki, po krętych schodkach do sutereny, gdzie brał kąpiel; gdy zaś znowu nakładał na siebie szlafrok, wówczas zjawiał się w pokoju kąpielowym pan Wenzel z czerwonymi rękami i inteligentną twarzą, golarz, a zarazem członek Komitetu Obywatelskiego, niosąc z kuchni garnek z gorącą wodą oraz inne przyrządy; podczas gdy konsul zasiadał na fotelu z przechyloną w tył głową, a pan Wenzel rozrabiał mydło, zawiązywała się najczęściej rozmowa, która zaczynając się od informacji dotyczących pogody, wydarzeń w wielkim świecie, przechodziła następnie na intymne wydarzenia w mieście i kończyła się zazwyczaj na sprawach ściśle handlowych jako też rodzinnych... Wszystko to wielce przedłużało procedurę, gdyż ile razy konsul mówił, pan Wenzel musiał oddalać brzytwę od jego twarzy.

–Jak zdróweczko, panie konsulu?

–Dziękuję, panie Wenzel.

Ładna dzisiaj pogoda?

–Mróz i trochę mgły, panie konsulu. Przed kościołem Świętego Jakuba chłopcy znowu mają ślizgawkę na dziesięć metrów, że mało mnie nie zabili, kiedy szedłem od burmistrza. Niech ich diabli porwą...

–Czytałeś pan już gazety?

–„Kuriera” i „Wiadomości Hamburskie”, tak. Wszystko tylko o bombach Orsiniego... Straszne. Po drodze do opery... Ładne towarzystwo...

–No, myślę, że nie ma to wielkiego znaczenia. I nie ma nic wspólnego z ludem; a wynik będzie taki, że wzmocni się policję, no i nacisk na prasę. Będzie się wystrzegał... Tak, jest tam ciągły niepokój, to musi być prawda, bo on zawsze jest skłonny do takich zarządzeń, by się utrzymać. A ja jednak mam dla niego duży szacunek. Z takimi tradycjami nie można być jolopem, jak mówi panna Jungmann, a na przykład taką kasą piekarzy albo i tymi zniżonymi cenami chleba wprost mi zaimponował. Bez wątpienia dużo robi dla ludu...

–Tak, pan Kistenmaker już mi to samo mówił.

–Stefan? Właśnie wczoraj mówiliśmy o tym.

–A z Fryderykiem Wilhelmem pruskim sprawy źle stoją, panie konsulu, z tego to nic nie będzie. Już powiadają że księżę nieodwołalnie ma zostać regentem...

–O, na to można być

przygotowanym. Już teraz, widać, że to liberalna głowa, ten Wilhelm, i na pewno nie przeciwstawia się konstytucji z takim tajonym wstrętem, jak jego brat... To tylko zgryzota tak go wyniszcza, biedaka... Co nowego z Kopenhagi?

–Nic a nic, panie konsulu.

Nie chcą. Próżno Związek tłumaczy, że wspólna konstytucja dla Holsztyna i Lauenburga jest niezgodna z prawem... Nie można ich skłonić, by ją zniesli...

–Tak, panie Wenzel, to niesłychane. Prowokują Bundestag do egzekucji i gdyby tylko okazał się on trochę żywotniejszy... Ach, ci Duńczycy! No, a teraz znowu z naszą bezpośrednią linią kolejową do Hamburga! Musieliśmy stoczyć wiele utarczek dyplomatycznych, a zapewne niejedna trudność jest jeszcze przed nami, zanim Kopenhaga da koncesję...

–Tak, panie konsulu, a co jest w tym najgłupsze, to że Towarzystwo Dróg Żelaznych Altona – Kilonia, a właściwie mówiąc to i cały Holsztyn jest temu przeciwny; burmistrz doktor Oeverdieck już dawno to mówił. Okropnie się tam boją rozkwitu Kilonii...

–Oczywiście, panie Wenzel.

Takie nowe połączenie między Bałtykiem a Morzem Północnym... I zobaczysz pan, Altona – Kilonia nie przestanie intrygować. Są oni gotowi zbudować kolej konkurencyjną:

Holsztyn wschodni – Neum~unster

–Neustadt, tak, nie jest to wykluczone. Ale nie powinniśmy się dać zastraszyć, a bezpośrednią

komunikację z Hamburgiem mieć musimy.

–Pan konsul zajmuje się tą sprawą gorąco.

–Tak... jak dalece leży to w mojej mocy i jak dalece sięgają moje wpływy... Interesuję się naszą polityką komunikacyjną, jest to tradycja, ojciec mój już od roku 51 był w dyrekcji kolei do B~uchen, dlatego też zapewne i ja, mając zaledwie trzydzieści dwa lata, zostałem tam wybrany; zasługi moje są, jak dotąd, nieznaczne...

–O, panie konsulu, po mowie pana konsula wówczas, w Komitecie Obywatelskim...

–Tak, wywarłem wtedy pewne wrażenie, a w każdym razie miałem dobrą wolę. Mogę być tylko wdzięczny memu ojcu, dziadowi i pradziadowi, że utorowali mi drogę i że wielka część tego uznania, jakie oni zdobyli sobie w mieście, została po prostu przeniesiona na mnie, gdyż inaczej nie miałbym tej swobody ruchów... Czegóż na przykład nie zdziałał mój ojciec dla zreformowania naszej poczty po roku 48 i w początkach tego dziesięciolecia! Przypomnij pan sobie, panie Wenzel, jak on nalegał w Komitecie Obywatelskim, by dylizansę z Hamburga połączono z pocztą; jak w roku 50 nawoływał w senacie, który był wówczas niezrozumiale powolny, do połączenia się z niemiecko_austriackim związkiem pocztowym... Jeśli mamy tanią opłatę pocztową, przesyłki pod opaską, jeśli mamy, powtarzam, znaczki, skrzynki pocztowe i połączenia telegraficzne z Berlinem i z Travem~unde, to zawdzięczamy je przeważnie jego staraniom, gdyby zaś wraz z kilku innymi nie był wywierał ciągłego nacisku na senat, na pewno bylibyśmy pozostali w tyle za pocztą Turn_taxis. No, a jeśli teraz ja wypowiadam moje zapatrywania na takie rzeczy, to słuchają mnie...

–To już pan konsul ma rację, Bóg świadkiem. A co do kolei hamburskiej, to nie dalej jak trzy dni temu powiedział mi burmistrz doktor Oeverdieck:

„Kiedy dojdziemy już do tego, że będzie można kupić w Hamburgu własne tereny pod budowę dworca, wtedy pošlemy tam konsula Buddenbrooka; konsul Buddenbrook lepszy jest do takich spraw niż niejeden prawnik...” To są własne jego słowa...

–No, to bardzo pochlebne dla mnie, panie Wenzel. Ale proszę, daj mi pan jeszcze trochę mydła tu na podbródek; tu trzeba jeszcze poprawić... Tak, krótko i węzłowato, powinniśmy się ruszać! Nie ubliżając Oeverdieckowi, jest on już trochę za stary, zdaje mi się, że gdybym ja był burmistrzem, wszystko by poszło prędzej. Wcale nie umiem wypowiedzieć, jaki jestem zadowolony, że rozpoczęły się roboty przy oświetleniu gazowym i że nareszcie znikną te fatalne olejne lampy na łańcuchach; muszę przyznać, że jest w tym trochę i mojej zasługi... Ach, ile tu jeszcze jest do zrobienia! Bo widzisz, panie Wenzel, czasy się zmieniają i mamy moc zobowiązań względem nowych czasów. Kiedy pomyślę o latach mojej wczesnej młodości... Wiesz pan lepiej ode mnie, jak tu wówczas wyglądało. Ulice bez trotuarów, a między kamieniami bruku rosła trawa wysoka na stopę, domy miały występy, podwyższenia i ławki... Nasze średniowieczne budynki szpecono przybudówkami i tak rozpadały się, bo chociaż pojedynczy ludzie byli zamożni i nikt z głodu nie umierał, ale państwo nic nie miało i wszystko tylko się szwarcowało, jak mówi mój szwagier Permaneder, a o odbudowie nie było wcale mowy. Były to zażywe i szczęśliwe pokolenia; przyjaciel mojego dziadka, pamięta pan, zacny Jean Jacques Hoffstede, przechadzał się po mieście i tłumaczył nieprzyzwoite wierszyki z francuskiego... ale długo nie mogło tak pozostać; dużo się już zmieniło, a zmieni się jeszcze

więcej... Nie mamy już dawnych trzydziestu siedmiu tysięcy mieszkańców, lecz pięćdziesiąt tysięcy, jak panu wiadomo, i charakter miasta jest inny. Mamy nowe domy i przedmieścia, które się rozszerzają, mamy dobre ulice i możemy restaurować pomniki z czasów naszej wielkości. Ale to wszystko jest jednak w końcu tylko zewnętrzne. Najważniejsze jest jeszcze przed nami, kochany panie Wenzel; i oto doszedłem znowu do ceterum censeo»* mojego ojca: unia celna, panie Wenzel, musimy przystąpić do unii celnej, to dziś już nie powinno być kwestią i wszyscy macie obowiązek dopomagać mi, gdy o to walczę... Jako kupiec, wierzaj mi pan, pojmuję to lepiej niż nasi dyplomaci, a strach, że utracilibyśmy naszą wolność i niezależność, jest śmieszny w tym wypadku. Centrum państwa, Meklemburgia i Szlezwik_holsztyn przyłączyłyby się do nas, byłoby to wielce pożądane, tym bardziej że nasze stosunki z północą mocno osłabły... Dostyc... proszę o ręcznik, panie Wenzel – zakończył konsul, a chociaż zamienili jeszcze parę słów o kursie żyta wynoszącym chwilowo pięćdziesiąt pięć talarów i zdradzającym, niestety, dalsze tendencje zniżkowe, jako też o jakimś wydarzeniu w mieście, to jednak pan Wenzel wkrótce opuścił suterene, by opróżnić na ulicy zawartość swej mydelniczki, konsul zaś wszedł po krętych schodach do sypialni, gdzie złożył pocałunek na czole Gerdy, która się już obudziła, po czym zaczął się ubierać.

Dostł. zaprawdę sądę, tu:

zwodnicze poglądy (łac.).

Te poranne rozmówki z roztropnym fryzjerem były wstępem do najruchliwszych i najbardziej ożywionych dni, wypełnionych pracą myśli, przemówieniami, zajęciami, obrachunkami, bieganiną... Dzięki swym podróżom, swym wiadomościom, swym zainteresowaniom, Tomasz Buddenbrook miał w całym swym środowisku najszerze poglądy, a zarazem był pierwszym, który odczuwał ciasnotę i małość warunków, w jakich pracował. Ale w ojczyźnie jego, po okresie rozkwitu życia politycznego, który przyniosły z sobą lata rewolucji, nastąpiły czasy senności, ciszy, reakcji, zbyt puste, by mogły zająć żywszy umysł, konsul posiadał jednak dość polotu, by przyswoić sobie i polubić ową sentencję, zgodnie z którą wszelkie poczynania ludzkie mają jedynie symboliczne znaczenie, i cały swój zapał, wszystkie siły, entuzjazm i żądzę czynu złożyć w ofierze małej społeczności, w której obrębie nazwisko jego było jednym z najpierwszych – jak również i samemu nazwisku oraz odziedziczonej firmie... dość polotu, by z uśmiechem, a jednocześnie z powagą brać własne ambitne dążenia do wielkości i potęgi, choćby w małych ramach.

Zaledwie spożył podane mu przez Antoniego śniadanie, natychmiast, ubrany do wyjścia, udawał się do kantoru na Mengstrasse. Nie pozostawał tam o wiele dłużej niż godzinę. Pisał dwa lub trzy pilne listy i telegramy, udzielał tej czy owej wskazówki, lekko popychał wielkie koło rozpędowe interesów, następnie zaś pozostawiał nadzór nad całością bacznemu wzrokowi pana Marcusa.

Pokazywał się i przemawiał na

zebraniach, przebywał na

giełdzie pod gotyckimi arkadami

na rynku, chodził na inspekcję

do portu, do spichrzów, jako
właściciel okrętów rozmawiał z
kapitanami... a potem
następowały po sobie różnorodne
prace, przerywane jedynie
krótkim śniadaniem ze starą
konsulową oraz obiadem z Gerdą,
po którym leżał pół godziny na
kanapie z cygarem i gazetą: były
to zajęcia związane z własnym
biurem lub też sprawy celne,
podatkowe, budowlane,
komunikacyjne, poczta,

dobroczynność, pracował nad wyrobieniem sobie poglądu również w dziedzinach właściwie mu
obcych, które z reguły interesowały tylko „uczonych”; zwłaszcza w dziedzinie finansów w krótkim
czasie wykazał wybitne uzdolnienia...

Nie zaniedbywał życia towarzyskiego. Punktualność jego w tych sprawach pozostawiała wprawdzie
dużo do życzenia; zazwyczaj dopiero w ostatniej sekundzie, gdy małżonka czekała już w
wieczorowej toalecie, a powóz od pół godziny stał na dole, zjawiał się ze słowami: – Pardon,
Gerdo; interesy... – i szybko narzucał na siebie frak. Ale w towarzystwie, na obiedzie, balu czy na
wieczornym przyjęciu umiał zainteresować się rozmową i okazać się miłym causeurem
(interesującym rozmówcą – franc.); wraz z małżonką nie pozostawali w tyle za innymi zamożnymi
domami, gdy szło o reprezentację; uważano, że kuchnia jego oraz piwnica są „tip_top”, ceniono go
jako uprzejmego, uważnego i baczego gospodarza, a dowcip jego toastów wznosił się nad
przeciętny poziom. Ciche wieczory spędzał jednak w towarzystwie Gerdy; paląc papierosa słuchał
jej gry lub też czytał razem z nią książkę, opowiadania niemieckie, francuskie lub rosyjskie, przez nią
wybrane...

Tak oto pracował i zdobywał sobie powodzenie, gdyż uznanie dla niego w mieście rosło, a pomimo
uszczerpień kapitału, spowodowanych etablowaniem się Chrystiana i drugim małżeństwem Toni,
firma przeżywała doskonale lata. Wbrew temu wszystkiemu istniały sprawy, które na krótki czas
paraliżowały jego odwagę, utrudniały swobodę myśli, mąciły spokój.

Były to przede wszystkim sprawy Chrystiana w Hamburgu; wspólnik jego, pan Burmeester, umarł nagle wiosną tegoż 58 roku na aneurizm serca. Spadkobiercy jego wycofali z firmy swe kapitały, toteż konsul stanowczo odradzał bratu dalsze prowadzenie interesu wiedząc dobrze, jak trudno jest wobec nagle zmniejszonych środków utrzymać firmę zakrojoną na większą miarę. Chrystian jednak parł ku zachowaniu swej samodzielności, przejął aktywa i pasywa firmy „H.C.F. Burmeester Ska”... można więc było oczekiwać nieprzyjemności.

Następnie siostra konsula, Klara, w Rydze... Mniejsza o to, że małżeństwo jej z pastorem Tiburtiusem było bezpotomne, gdyż Klara Buddenbrook nigdy nie życzyła sobie mieć dzieci i na pewno nie posiadała talentów macierzyńskich. Ale sądząc z jej listów, jako też z tego, co pisał jej mąż, zdrowie jej pozostawiało zbyt wiele do życzenia, a bóle głowy, na które cierpiała już jako mała dziewczynka, zaczęły występować periodycznie i stały się tak silne, że prawie nie do zniesienia.

Było to niepokojące. Trzecia troska polegała na tym, że i tu, na miejscu, nie było żadnej pewności, iż nazwisko rodzinne zostanie w dalszym ciągu zachowane. Gerda traktowała tę kwestię z wyniosłą obojętnością, która wyglądała na niechęć pełną odrazy. Tomasz milczał. Ale stara konsulowa ujęła sprawę w swoje ręce i wzięła na stronę doktora Grabowa. – Doktorze, mówiąc między nami, trzeba by na to coś zaradzić, prawda? Nieźle by zrobiło trochę górskiego powietrza w Kreuth i trochę morskiego powietrza w Glucksburgu albo w Travemünde. Co pan sądzi... – Grabow, którego ulubiona recepta:

„Ścisła dieta: kawałek gołąbka, trochę sucharków” – nie wystarczyłaby w tym wypadku, zalecił Pyrmont oraz Schlangenbad...

Takie oto były trzy troski. A Tonia? – Biedna Tonia!

Rozdział ósmy

Pisała ona:

„A kiedy mówię „pierożki”, to ona tego nie rozumie, bo tutaj mówią tylko „knedle”; a kiedy ona mówi „karbonadle”, to chyba niełatwo byłoby znaleźć duszę chrześcijańską, która by się domyśliła, że tak nazywa kotlety; a kiedy ja mówię „kaszka manna”, to dopóty krzyczy „czego?”, dopóki nie powiem „grysik”, gdyż tak to tutaj nazywają, a to „czego” ma znaczyć – „słucham?” Jest to już druga, gdyż pierwszą, imieniem Kaśka, pozwoliłam sobie odprawić, ponieważ ciągle była niegrzeczna; a może tak mi się tylko zdawało, może się myliłam, gdyż jak teraz widzę, tutaj nigdy nie wiadomo na pewno, czy ludzie mówią niegrzecznie, czy też są uprzejmi. Ta obecna, której na imię Babette, co się wymawia Babett, ma przynajmniej bardzo miłą powierzchowność, coś jakby już południowego, co się tu nieraz zdarza, ma czarne włosy i czarne oczy, a zęby takie, że można jej pozazdrościć. Jest ona chętna i przyrządza podług moich wskazówek niektóre nasze potrawy, jak na przykład wczoraj szczaw z rodzynkami, ale miałam z tego powodu duże zmartwienie, gdyż Permaneder wziął mi bardzo za złe tę jarzynę (choć wycierał widelcem rodzynki), tak że nawet przez całe popołudnie nie mówił ze mną, tylko mruczał pod nosem; mogę też powiedzieć, Matko, że życie moje nie zawsze jest łatwe.”

Jednakże nie same tylko „karbonadle” i szczaw zatruwały jej życie... Zaraz w miodowym miesiącu

spadł na nią cios, coś nieprzewidzianego, niepojętego, wydarzenie, które odebrało jej całą radość i któremu nie mogła zapobiec. Było to wydarzenie następujące.

Dopiero w parę tygodni po ślubie mógł konsul Buddenbrook przesłać zawarowane siostrze testamentem pięćdziesiąt jeden tysięcy marek; suma owa, zamieniona na guldeny, przesłana została w zupełnym porządku na ręce pana Permanedera, który zdeponował ją pewnie i korzystnie. Następnie jednak bez jakiegokolwiek wahania czy zawstydzenia oznajmił małżonce:

–Tońka – nazywał ją Tońką – Tońka, mamy dosyć. Nigdy nie będzie nam potrzeba więcej. Orałem całe życie, teraz chcę mieć spokój, u Boga Ojca. Odnajmiemy parter i drugie piętro, mamy ładne mieszkanie, możemy sobie jeść golonkę, nie ma potrzeby fatygować się albo pchać... a na wieczór mam piwiarnię. Nie jestem chytry na pieniądze, nie chcę robić majątku, chcę mieć spokój! Od jutra robię szlus i staję się rentierem.

–Permaneder! – zawołała po raz pierwszy tym szczególnym gardłowym głosem, jakim zazwyczaj wymawiała nazwisko pana Gr~unlicha. Ale on odpowiedział tylko: – A idź-że, cicho bądź! – po czym nastąpiła kłótnia tak poważna i ostra, że na zawsze musiała wstrząsnąć małżeńskim szczęściem... On pozostał zwycięzcą. Namiętny jej opór rozbił się o dążenie do „spokoju”, koniec zaś był taki, że pan Permaneder wycofał swój kapitał znajdujący się w przedsiębiorstwie, tak że Noppe mógł obecnie wymazać z karty wyraz „Ska”... Odtąd, jak większość jego przyjaciół, z którymi co wieczór grywał w piwiarni w karty oraz wypijał zwykle trzy litry piwa, małżonek Toni ograniczył swe czynności do podwyższania komornego, jako też skromnego i pogodnego obcinania kuponów.

Konsulowa została powiadomiona o tym w najprostszy sposób. Ale w listach, jakie pani Permaneder pisała do brata, wyrażał się ból, jaki odczuwała... Biedna Tonia! Rzeczywistość przeszła jej najgorsze obawy. Wiedziała ona z góry, że pan Permaneder nie ma w sobie zupełnie owej „ruchliwości”, jaka w zbyt wielkim stopniu cechowała pierwszego jej męża. Nie przypuszczała jednak, że tak całkowicie zawiedzie oczekiwania, jakie wyraziła w rozmowie z panną Jungmann jeszcze owego wieczoru przed zaręczynami, że tak zupełnie nie pozna się na swych obowiązkach wynikających z poślubienia panny Buddenbrook...

Musiała się z tym pogodzić i rodzina widziała z jej listów, że zrezygnowała. Żyła dość jednostajnie z mężem oraz Eryką, którą umieściła w szkole, prowadziła gospodarstwo, utrzymywała przyjazne stosunki z ludźmi, którzy odnajmowali parter i drugie piętro, jak również z Niederpaurami z placu Panny Marii, od czasu do czasu donosiła o bytności w teatrze w towarzystwie swej przyjaciółki Ewy, gdyż pan Permaneder nie lubił takich rzeczy; okazało się też, że przeżywszy z górami czterdzieści lat w swym „kochanym” Monachium nie był ani razu w Pinakotece.

Dni płynęły... Ale cała radość z nowego życia skończyła się dla Toni, odkąd pan Permaneder natychmiast po otrzymaniu sumy posagowej wycofał się z interesów. Nie było żadnej nadziei. Nigdy nie będzie mogła napisać do domu, że spotkało ich powodzenie albo że przedsiębiorstwo Permanedera świetnie się rozwija. Tak jak żyli obecnie – bez trosk, lecz bardzo skromnie i tak bardzo „niewytwornie”, tak miało już pozostać na zawsze, aż do końca życia. To jej ciążyło. I wyraźnie można było wyczytać z jej listów, że właśnie ten niezbyt wzniosły nastrój najbardziej utrudniał jej życie się z południowoniemieckimi stosunkami. Tkwilo to we wszystkim. Nauczyła się

porozumiewać ze służącymi oraz dostawcami, nazywać kotlety „karbonadkami” i nie podawać więcej mężowi owocowych zup, od czasu gdy nazwał je pewnego razu „świństwem”. Ale na ogół pozostała obca w swej nowej ojczyźnie, gdy i poczucie, że nazwisko Buddenbrook nie ma tutaj żadnego szczególnego znaczenia, było dla niej ciągłym, nieustannym upokorzeniem, gdy zaś opowiadała listownie, że na przykład jakiś murarz, trzymający w jednej ręce kufel, a w drugiej rzodkiew, zagadnął ją na ulicy słowami: „A która tam godzina, pani sąsiadko”, pod żartobliwym tonem wyczuwało się mocne oburzenie i można było mieć pewność, że odrzuciła wówczas głowę w tył i nie zaszczyciła owego człowieka ani odpowiedzią, ani nawet spojrzeniem... Raził ją zresztą i był jej niemiły nie tylko ów brak form i poczucia dystansu; nigdy nie weszła głębiej w monachijski tryb życia, choć przecież otaczało ją monachijskie powietrze, powietrze dużego miasta, pełnego artystów i próżniących mieszczan, powietrze nieco demoralizujące, którym nie umiała swobodnie oddychać.

Dni płynęły... Wreszcie zdawało się, że szczęście chce zawitać, to szczęście, którego na próżno oczekiwano na Breitenstrasse i Mengstrasse; wkrótce bowiem po dniu Nowego Roku 1859 nadzieja, że Tonia po raz drugi zostanie matką, zamieniła się w pewność.

Radość biła z jej listów, które tchnęły od dawna nie widzianą swobodą, były zarazem dziecinne i poważne. Konsulowa, która poza swymi letnimi wyjazdami nad morze nie lubiła już teraz podróżować, żałowała, że będzie w owym czasie daleko od córki, i zapewniała ją listownie, że Bóg się nią opiekuje, ale Tom wraz z Gerdą zapowiedzieli swoje przybycie na chrzciny i głowa Toni pełna była marzeń o wytwornym przyjęciu... Biedna Tonia! Przyjęcie owo miało być nieskończenie smutne, a owe chrzciny, które wyobrażała sobie jako zachwycającą uroczystość z kwiatami, cukrami i czekoladą, nie miały się w ogóle odbyć, gdyż dziecię – dziewczynka – po to jedynie miało ujrzeć światło dzienne, by po upływie pół godziny zakończyć swe istnienie, mimo wysiłków doktora, który na próżno starał się utrzymać życie w małym organizmie...

Gdy konsul Buddenbrook wraz z małżonką przybyli do Monachium, życiu samej Toni zagrażało jeszcze poważne niebezpieczeństwo. Przebieg był o wiele cięższy niż za pierwszym razem, a żołądek jej, który już poprzednio zdradzał od czasu do czasu nerwowe osłabienie, przez kilka dni nie mógł znieść żadnego pożywienia. Po kilku dniach cierpienie ustąpiło i Buddenbrookowie mogli wyjechać uspokojeni przynajmniej pod tym względem – gdyż z drugiej strony zwrócił ich uwagę fakt nie mogący ująć zwłaszcza baczości konsula, że nawet wspólne cierpienie nie zdołało zbliżyć do siebie małżonków.

Nie można było nic zarzucić dobremu sercu pana Permanedera... Był on szczerze wzruszony, na widok martwego dziecka duże łzy spłynęły z jego obrzękłych oczu na wystrzępione wąsy i z ciężkim westchnieniem powiedział kilka razy: – A to dopiero krzyż pański! To krzyż pański! Ojej! – Ale Tonia była przekonana, że „spokój” jego niedługo na tym cierpiał; po kilku dniach pozwoliły mu o tym zapomnieć wieczory w piwiarni i w dalszym ciągu „szwarcował się” z tym samym swobodnym, pocziwym, nieco mrukliwym i trochę tępym fatalizmem, jaki zawierał się w jego wyrażeniu: – A to dopiero krzyż pański!

Od tego czasu w listach Toni stale brzmiała nuta beznadziejności, a nawet skargi...

Ach, Matko – pisała – jakie ciosy na mnie spadają! Najpierw Gr~unlich i bankructwo, potem Permaneder jako rentier, a potem znów nieżywe dziecko. Czym zasłużyłam sobie na tyle nieszczęść!

Gdy konsul czytał takie zwierzenia, nie mógł pomimo wszystko powstrzymać się od uśmiechu, gdyż poza całym bólem, zawartym w tych wierszach, odczuwał w nich akcent niemal śmiesznej dumy i wiedział, że Tonia Buddenbrook, czy to jako pani Grunlich, czy też jako pani Permaneder, zawsze pozostała dzieckiem, przeżywając swe bardzo „dorosłe” przejścia z dziecinną powagą, dziecinnym poczuciem własnej ważności i dziecinną odpornością.

Nie pojmowała, czym zasłużyła na cierpienie; pomimo bowiem że żartowała z wielkiej pobożności swej matki, jednak sama była tak nią przejęta, że głęboko wierzyła w zasługę – i sprawiedliwość na ziemi... biedna Tonia! Śmierć drugiego dziecka nie była ani ostatnim, ani najcięższym ciosem, jaki miał w nią uderzyć...

Na schyłku roku 1859 stało się coś strasznego...

Rozdział dziewiąty

Było to pod koniec listopada, w zimny jesienny dzień, kiedy niebo jest mgliste i zdaje się zapowiadać śnieg, a poprzez mgłę tu i ówdzie przedziera się słońce, jeden z owych dni, kiedy przez portowe miasto ze złośliwym gwizdem przelatują ostre, północno_wschodnie wiatry uderzając w potężne narożniki kościołów i kiedy łatwo dostać można zapalenia płuc.

Gdy koło południa konsul Buddenbrook wszedł do pokoju, w którym jadano śniadania, ujrzał matkę w okularach, schyloną nad jakimś papierem.

–Tom – rzekła spoglądając na niego i trzymając obiema rękami ów papier, jak gdyby wahała się, czy ma go pokazać... – Nie przestrasz się... Coś nieprzyjemnego... Nie pojmuję... To z Berlina... Musiało się coś stać...

–Proszę! – rzekł krótko.

Zbladł, a na jego skroniach wystąpiły na chwilę żyły, gdyż zacisnął zęby. Wyciągnął rękę bardzo stanowczym ruchem, jak gdyby mówiąc: Tylko prędko, proszę, tylko bez przygotowań!

Odczytał papier stojąc, z podniesioną jedną brwią i wolno przeciągając między palcami długi koniec wąsa. Był to telegram, który brzmiał, jak następuje:

Nie przestraszcie się.

Przyjeżdżam odwrotnie z Eryką. Wszystko skończone. Wasza nieszczęśliwa Antonina.

–Odwrotnie... odwrotnie – rzekł z rozdrażnieniem i spojrział na matkę potrząsając głową. – Co to znaczy odwrotnie...

–To tylko takie wyrażenie.

Tom, to nie ma znaczenia.

Pewnie chce powiedzieć:

„natychmiast” lub coś w tym rodzaju...

–Ale z Berlina? Co ona robi w Berlinie? Skąd się wzięła w Berlinie?

–Nie wiem. Tom, nie pojmuję tego jeszcze, depesza nadeszła przed dziesięcioma minutami. Ale musiało się coś stać, musimy poczekać. Bóg da, że wszystko dobrze się skończy. Siadaj, synu, i jedz.

Usiadł i machinalnie nalał sobie do grubej, wysokiej szklanki porteru.

–Wszystko skończone –

powtórzył. – A potem „Antonina”.

Dzieciństwa...

Potem jadł i pił w milczeniu.

Po chwili konsulowa odważyła się zrobić uwagę:

–Czyżby to miało być coś z Permanederem, Tom?

Wzruszył tylko ramionami, nie patrząc.

Odchodząc rzekł z ręką na klamce:

–Tak, matko, musimy być przygotowani, że przyjedzie. Ponieważ zapewne nie będzie chciała wpaść nocą do domu, trzeba jej oczekiwać jutro w ciągu dnia. Proszę mnie zawiadomić...

Konsulowa czekała z godziny na godzinę. W nocy bardzo źle spała, zadzwoniła na Idę Jungmann, spijającą obecnie w ostatnim pokoju na półpiętrze, kazała sobie podać wody z cukrem i nawet przez dłuższy czas siedziała w łóżku z robótką. Następne przedpołudnie również przeszło w niepokojach. Konsul objaśnił podczas drugiego śniadania, że jeśli Tonia ma przyjechać, może przybyć z B~uchen jedynie o wpół do czwartej. O tej godzinie konsulowa siedziała w pokoju pejzażowym przy oknie i starała się czytać książkę, na której czarnej, skórzanej oprawie wyciśnięta była złocona gałązka palmy.

Dzień był taki jak wczoraj:

zimno, mgła i wiatr. W piecu za błyszczącą żelazną kratą trzaskał ogień. Ile razy dawał się słyszeć turkot, stara dama wyglądała z drzeniem przez okno. I oto o czwartej godzinie, gdy właśnie nie uważała i niemal zapomniała o córce, w domu na dole powstał ruch... Zwróciła się szybko ku oknu, koronkową chusteczką przetarła zapotniałą szybę, w istocie przed domem stała dorożka i ktoś już wchodził po schodach!

Uchwyciła się rękami poręczy krzesła, by powstać; ale namyśliła się, usiadła z powrotem i jedynie lekkim, jak gdyby obronnym ruchem zwróciła głowę ku córce, która weszła do pokoju szybkim, gwałtownym krokiem, podczas gdy Eryka Gr~unlich została przy szklanych drzwiach trzymając za

rękę Idę Jungmann.

Pani Permaneder miała na sobie płaszcz przybrany futrem i podróżny filcowy kapelusz z woalką. Była bardzo blada i mizerna, miała zaczerwienione oczy, a jej górna warga drżała jak dawniej, gdy Tonia płakała za dziecinnych lat. Podniosła ręce, opuściła je i padła przed matką na kolana, ukrywając twarz w fałdach sukni starej damy i gorzko szlochając. Wszystko to wyglądało tak, jak gdyby przypędziła w ten sposób bez tchu wprost z Monachium – i oto leżała teraz u celu swej ucieczki, wyczerpana i uratowana. Konsulowa milczała przez chwilę.

–Toni – rzekła z łagodnym wyrzutem, ostrożnie wyciągnęła z jej kapelusza długą szpilkę, odłożyła kapelusz na parapet i obiema rękami czule i uspokajająco głaskała obfite popielate włosy córki...

–Co to znaczy, moje

dziecko... Co się stało?

Ale należało uzbroić się w cierpliwość, gdyż trwało jeszcze dość długo, zanim usłyszano odpowiedź na to pytanie.

–Matko – rzuciła pani

Permaneder... – Mamo! – nie powiedziała nic więcej.

Konsulowa podniosła głowę ku oszklonym drzwiom i obejmując jedną ręką córkę, drugą wyciągnęła do wnuczki stojącej z palcem wskazującym przy ustach.

–Chodź no, dziecko, chodź i przywitaj się ze mną. Urosłaś, dobrze i zdrowo wyglądasz, dzięki Bogu. Ileż ty masz lat, Eryko?

–Trzyście, babciu...

–Patrzcie państwo! Dorosła panna... – Pocałowała dziewczynkę ponad głową Toni, a potem rzekła: – Idź na górę z Idą, moje dziecko, zaraz będzie obiad. Ale teraz mama musi porozmawiać ze mną, rozumiesz.

Zostały same.

–No, moja droga Toni? Nie przestaniesz płakać? Gdy Bóg zsyła próby, musimy je mężnie znosić. Powiedziane jest:

„Nieś swój krzyż...” Ale może i ty masz ochotę wejść najpierw na górę, wypocząć trochę i odświeżyć się, a potem zejść do mnie? Nasza poczciwa Ida przygotowała ci twój pokój... Dziękuję ci za telegram. Bardzo nas przestraszył... – tu przerwała, gdyż z fałd jej sukni dobyły się drżące i przytłumione słowa: – On jest nikczemny... to nikczemnik... nikczemny...

Nie mogła wyjść poza mocne słowo. Zdawało się opanowywać ją zupełnie. Przyciskała przy tym mocniej twarz do łona konsulowej i nawet dłoń zacisnęła w pięść.

–Czyżbyś miała na myśli twego męża, moje dziecko? – zapytała stara dama po chwili milczenia.

–Nie powinnam tak sądzić, wiem o tym; ale nie pozostaje mi nic innego, Toni. Czy Permaneder sprawił ci przykrość? Masz do niego jakiś żal?

–Babett... – wykrzyknęła pani Permaneder. – Babett!...

–Babette? – powtórzyła pytająco konsulowa. Po czym zagłębiła się w fotelu i spojrzała swymi jasnymi oczami przez okno. Wiedziała już, o co chodziło. Nastąpiła pauza, przerywana od czasu do czasu coraz rzadszymi szlochami Toni.

–Toni – rzekła po chwili konsulowa – widzę teraz, że masz istotnie troskę... że masz powody do skargi... Ale czyż trzeba było koniecznie tak burzliwie tę skargę wypowiadać? Czy potrzebna była ta podróż z Monachium wraz z Eryką, co w oczach ludzi, mniej rozsądnych niż my obie mogłoby wydawać się dowodem, że nie chcesz już powrócić do twego męża?

–Ja też nie chcę tego!...

Nigdy!... – zawołała pani Permaneder podnosząc nagle głowę, zapłakanymi oczami dziko spojrzała na matkę, a potem równie gwałtownie ukryła znów twarz w fałdach jej sukni. Konsulowa puściła mimo uszu ten okrzyk.

–Teraz jednak – dodała podniesionym głosem, kręcąc powoli głową w obie strony... – teraz jednak dobrze, że tu jesteś. Ulżysz swemu sercu, wszystko mi opowiesz, a potem zatroszczymy się, zobaczymy, pomyślimy, jak naprawić krzywdę.

–Nigdy – powiedziała jeszcze raz Tonia. – Nigdy! – A potem zaczęła opowiadać i choć nie wszystko można było zrozumieć, gdyż mówiła z fałdy sukiennej szaty konsulowej, opowiadanie jej miało charakter wybuchowy i przerywały je okrzyki najwyższego oburzenia, jednak wyjaśniło się, że sprawa przedstawiała się po prostu, jak następuje:

O północy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego bieżącego miesiąca pani Permaneder, która cierpiała tego dnia na nerwowy rozstrój żołądka i bardzo późno zasnęła, zbudziła się z lekkiego snu. Winien był temu przedłużający się szmer na schodach, niedostatecznie tłumiony, tajemniczy hałas, w którym rozróżniało się skrzywienie schodów, kaszlący chichot, zduszone odgłosy obrony oraz bardzo dziwne jęki i pomrukiwania... Nie można było mieć choćby na chwilę wątpliwości co do istoty tego szmeru. Zaledwie pani Permaneder, choć niezupełnie zbudzona, coś usłyszała, zaledwie to pojęła, poczuła, że cała krew spływa jej do serca, które zaczęło bić ciężko i boleśnie. Przez długą, okrutną chwilę leżała na poduszkach jak ogłuszona, jak sparaliżowana; potem jednak, gdy bezwstydnym szmerem nie przycichły, drżącymi rękami zapaliła światło, pełna rozpacz, zgryzoty i wstrętu wyszła z łóżka, otworzyła drzwi i w pantoflach oraz ze świecą w ręce pośpieszyła na schody, aż do miejsca, gdzie owa „drabina” prowadziła wprost od drzwi wejściowych, w górę. Tam to, na najwyższych stopniach tej drabiny, ujrzała w całej okazałości obraz, który oczyma duszy widziała już poprzednio w swej sypialni, słuchając niedwuznacznego szmeru... Było to szamotanie się, niedopuszczalna i nieprzyzwoita walka między kucharką Babett a panem Permanederem. Dziewczyna trzymając w ręku pęk kluczy i również jak Tonia świecę, prawdopodobnie bowiem była jeszcze o tej

porze czymś zajęta w domu, wykręcała się na wszystkie strony, by obronić się przed panem domu, który w kapeluszu zsuniętym na tył głowy obejmował ją wpół i próbował ciągle przycisnąć swoje wystrzępione wąsy foki do jej twarzy, co też mu się udawało... Ujrzawszy Antoninę Babettkę krzyknęła: – Jezus, Maria, Józefie święty! – Jezus, Maria, Józefie święty! – powtórzył pan Permaneder, puścił ją – i podczas gdy dziewczyna w tej samej chwili z niesłychaną zręcznością zniknęła bez śladu, on stał przed małżonką z opuszczonymi rękami, opuszczoną głową i opuszczonymi wąsami i bąkał bezmyślnie: – A to szopa!... A to krzyż pański!...

–Gdy odważył się podnieść oczy, nie było już jej tam, znalazł ją w sypialni; na pół leżąc, na pół siedząc na łóżku powtarzała wyraz: – Wstyd! – szlochając rozpaczliwie. Stał bezwładnie oparty o drzwi i robiąc ramieniem ruch, jakby chciał ją szturchnąć zachęcająco, powiedział: – Cicho bądź! A idźże, cicho bądź, Tońka! Widzisz, Franek Ramsauer zaprosił nas na swoje imieniny... wszyscyśmy się trochę popili... – Ale mocny zapach alkoholu, jaki rozszedł się po pokoju, doprowadził do szczytu jej egzaltację. Nie szlochała już, nie siedziała już słaba i opuszczona, poniósł ją temperament i w niepohamowanej rozpaczy rzuciła mu w twarz cały swój wstręt, całą odrazę... najgłębszą pogardę... Pan Permaneder nie pozostał jej dłużny. W głowie mu szumiało, gdyż na cześć swego przyjaciela Ramsauera pił nie tylko dużo „kufli”, ale i „szampańskie”, odpowiedział, i odpowiedział dziko, wywiązała się kłótnia o wiele straszniejsza niż wówczas, gdy pan Permaneder przestał pracować – pani Antonina zwinęła swoje rzeczy, by przejść do gabinetu... Ale wówczas na domiar wszystkiego zabrzmiało za nią słowo – słowo, którego nie mogłaby powtórzyć, które nigdy nie przeszłoby jej przez usta, takie słowo... takie słowo...

Taka była treść wyznań, jakie pani Permaneder wypowiedziała w fałdy matczynej sukni.

Przemilczała jednak „słowo”, to „słowo”, które przeraziło ją owej straszliwej nocy tak, że osłupiała, nie powtórzyłaby go, och, nie, na miłość boską, nie powtórzyłaby go i obstawała przy tym, choć konsulowa bynajmniej nie nalegała, tylko w zadumie wolno i prawie niedostrzegalnie kiwała głową, patrząc na piękne popielate włosy Toni.

–Tak, tak – powiedziała – smutne rzeczy opowiadasz, Toni. I wszystko dobrze rozumiem, moja biedna dziewczynko, gdyż jestem nie tylko twoją mamą, ale kobietą, tak jak i ty... Widzę teraz, że twój ból jest bardzo usprawiedliwiony, że mąż twój w chwili słabości zupełnie zapomniał, co jest ci winien...

–W chwili słabości! –

zawołała Tonia. Zerwała się, cofnęła o dwa kroki i gorączkowo osuszyła oczy. – W chwili słabości, mamę?... Zapomniał, zapomniał, co jest winien mnie i naszemu nazwisku... nie wiedział tego od początku! Człowiek, który z posagu żony idzie na emeryturę! Człowiek bez ambicji, bez dążeń, bez celów! Człowiek, który zamiast krwi ma w żyłach papkę ze słodu i chmielu... jestem tego pewna!... który pozwala sobie na takie podłości jak ta z Babettką, a na wymówki odpowiada takim słowem... takim słowem...

Znów zatrzymała się przy tym słowie, owym słowie, którego by za nic nie powtórzyła. Ale wtem podeszła bliżej i zapytała spokojnym, łagodnym tonem, pełnym zainteresowania:

–Jakie to milutkie. Skąd się to wzięło, mammo?

Wskazała brodą na niewielki pleciony koszyczek ozdobiony atlasowymi kokardkami, w którym konsulowa od pewnego czasu przechowywała swą robótkę.

–Sprawiłam to sobie –

odrzekła stara dama – było mi potrzebne.

–Wytworne! – rzekła Tonia przyglądając się z przechyloną głową koszyczkowi. Oczy konsulowej spoczywały również przez chwilę na przedmiocie, nie widząc go jednak, gdyż pogrążona była w myślach.

–No, moja droga Toniu – powiedziała w końcu jeszcze raz, wyciągając do córki rękę – cokolwiek się stanie, jesteś tutaj i cieszy mnie to serdecznie, moje dziecko. Gdy będziemy spokojniejsi, wszystko da się omówić... Rozbierz się w twym pokoju, rozgość się... Ido!? – zawołała podniesionym głosem. – Moja droga, proszę położyć nakrycie dla pani Permaneder i dla Eryki!

Rozdział dziesiąty

Zaraz po obiedzie Tonia przeszła do swej sypialni, gdyż konsulowa potwierdziła jej przypuszczenie, że Tomasz wie już o wszystkim... a niezbyt pragnęła spotkania z nim.

O szóstej po południu przyszedł konsul. Udał się do pokoju pejzażowego, gdzie miał długą rozmowę z matką.

–A jak ona się czuje? – zapytał. – Jak się zachowuje?

–Ach, Tom, obawiam się, że będzie nieprzejednana... Mój Boże, taka jest rozdrażniona... A w dodatku to słowo... Gdybym chociaż znała to słowo, które on jej powiedział...

–Idę do niej.

–Idź, Tom. Ale zastukaj lekko, żeby się nie przestraszyła, i bądź

wyrozumiały, słyszysz? Ma roztrzęsione nerwy... prawie nic nie jadła... z tym jej żołądkiem, wiesz przecież... Pomów z nią spokojnie.

Szybko, przeskakując ze zwykłym pośpiechem po dwa stopnie, wszedł na drugie piętro kręcąc w zamyśleniu wąsy. Ale już gdy pukał, twarz jego rozjaśniła się, postanowił bowiem traktować tę sprawę – dopóki będzie można – z humorem. Usłyszawszy smutno brzmiące „proszę” otworzył drzwi i znalazł panią Permaneder leżącą w sukni na łóżku, którego kotary były odsłonięte; flaszczyzna z kroplami stała obok na nocnym stoliku. Tonia obróciła się lekko, podparła głowę ręką i z nadąsanym uśmiechem spojrzała na niego. Pochylił się bardzo nisko, rozkładając ręce uroczystym ruchem.

–Szanowna pani!... Czemu mamy przypisać zaszczyt oglądania mieszkanek stolicy...

–Pocałuj mnie. Tom – rzekła prostując się, by nadstawić mu policzek, a następnie opadła z powrotem. – Dzień dobry, drogi chłopcze! Wcaleś się nie zmienił, jak widzę, od czasu waszego pobytu w Monachium!

–No, o tym nie możesz sądzić tutaj, przy spuszczonej roletach, moja droga. W każdym razie nie powinnaś sprzątać mi sprzed nosa komplementu, który właściwie tobie się należy...

Trzymając jej rękę w swojej przyciągnął krzesło i usiadł przy niej.

–Jak zawsze: ty i Klotylda...

–Fe, Tom!... A co słyszeć z Tyldią?

–Dobrze, rozumie się! Pani Krauseminz opiekuje się nią i dba o to, żeby nie była głodna. Co jednak nie przeszkadza temu, że Tyldzia objada się tu wyjątkowo w czwartki, jakby na zapas do przyszłego tygodnia...

Roześmiała się tak serdecznie, jak się już od dawna nie śmiała, zakończyła śmiech westchnieniem i zapytała:

–A jak idą interesy?

–Tak... radzimy sobie jakoś.

Trzeba być zadowolonym...

–O, Bogu dzięki, że

przynajmniej tutaj wszystko idzie, jak iść powinno! Ach, wcale nie jestem usposobiona do spokojnej pogawędki...

–Szkoda. Humor należy

zachowywać quand m~eme (mimo wszystko – franc.).

–Nie, to się skończyło. Tom.

Wiesz wszystko?

–Wiesz wszystko!... –

powtórzył puszczając jej rękę i odsunął w tył swoje krzesło. – Boże święty, jak to brzmi! „Wszystko!” Czegóż to nie ma w tym słowie „wszystko!” „Zawarłem tam swą miłość i swój ból zarazem” – co? Nie, słuchaj no...

Milczała. Spojrzała na niego z głębokim zdziwieniem i głębokim rozżaleniem.

–Tak, byłem przygotowany na tę minę – powiedział – gdyż bez tej miny nie byłabyś przecież teraz tutaj. Ale pozwól mi, droga Toniu, wziąć tę sprawę o tyle za lekko, o ile ty bierzesz ją za poważnie, a zobaczysz, że będziemy się doskonale dopełniali...

–Za poważnie, Tomaszu, za poważnie?...

–Tak, cóż u Boga, nie grajmy tragedii! Mówmy trochę spokojniej, nie: „Wszystko skończone” i „Wasza nieszczęśliwa Antonina”. Zrozum mnie, Toniu, wiesz przecież, że ja pierwszy cieszę się serdecznie z twego przybycia. Dawno już pragnąłem, byś nas kiedy odwiedziła bez męża, byśmy mogli być znowu tak zupełnie en famille (w rodzinie – franc.). Ale że przyjeżdżasz teraz i do tego tak przyjeżdżasz, pardon to jest głupstwo, moje dziecko... Tak... daj mi skończyć! Permaneder zachował się wielce nieodpowiednio, to na pewno prawda – i ja dam mu to do zrozumienia, możesz być przekonana...

–Jak on się zachował, Tomaszu

–przerwała prostując się i kładąc rękę na piersi – dałam mu to już do zrozumienia i nie tylko „do zrozumienia”, muszę ci powiedzieć. Dalsza dyskusja z tym człowiekiem jest – przynajmniej według mego poczucia taktu – zupełnie zbyteczna! – Powiedziawszy to znowu padła na poduszki, patrząc surowo i nieruchomo w sufit.

Nachylił się, jakby pod ciężarem jej słów, patrząc przy tym z uśmiechem na swoje kolana.

–No, więc nie napiszę mu ordynarnego listu: jak każesz. Jest to w końcu twoja sprawa i wystarcza w zupełności, jeśli ty mu zmyjesz głowę, jako żona jesteś do tego powołana. Patrząc na to przy dziennym świetle, nie można mu zresztą odmówić okoliczności łagodzących. Obchodził imieniny przyjaciela, wraca do domu w uroczystym nastroju, w nieco za dobrym humorze, i pozwala sobie na małe nadużycie, małe, niestosowne przeciągnięcie struny...

–Tomaszu – rzekła – nie pojmuję cię. Nie pojmuję tonu, w którym przemawiasz. Ty... Człowiek z twoimi zasadami... Ale tyś go nie widział! Jak on ją obejmował, pijany, jak on wyglądał...

–Wyobrażam sobie, że dość komicznie. Ale o to właśnie idzie, Toniu: bierzesz rzeczy z nie dość komicznej strony, jest to oczywiście wina twego żołądka. Przyłapałaś męża na słabostce, zobaczyłaś go, w chwili gdy był śmieszny... ale nie powinno cię to tak straszliwie oburzać, raczej trochę ubawić i jeszcze bardziej zbliżyć go do ciebie... Muszę ci coś powiedzieć: nie mogłaś oczywiście przyjąć

zachowania uśmiechem i

milczeniem, co znowu.

Wyjechałaś: była to

demonstracja, może nieco zbyt

jaskrawa, może zbyt surowa kara

–gdyż nie chciałbym widzieć, jak mu tam teraz smutno – ale w każdym razie sprawiedliwa. Proszę cię tylko o to, byś spojrzała na rzeczy z nieco mniejszym oburzeniem i z nieco bardziej politycznego punktu widzenia... rozumiemy się przecież. Muszę ci też zwrócić uwagę, że nie jest to w małżeństwie rzeczą bez znaczenia, po czyjej stronie jest... przewaga moralna... zrozum mnie, Toniu! Twój mąż skompromitował się, to nie ulega wątpliwości. Ośmieszył się trochę... ośmieszył właśnie dlatego, że zachowanie jego można wziąć tak lekko, tak mało poważnie... Słowem, godność jego przestała być nietykalna, przewaga jest obecnie stanowczo po twojej stronie i o ile potrafisz ją zręcznie wykorzystać, szczęście twoje jest zapewnione. Jeśli... powiedzmy za dwa tygodnie – tak, proszę, najmniej tyle żądamy dla siebie! – za dwa tygodnie powrócisz do Monachium, to sama zobaczysz...

–Nie wrócę do Monachium, Tomaszu.

–Co takiego? – zapytał krzywiąc się, przykładając rękę do ucha i pochylając się naprzód...

Leżała na plecach, z głową tak mocno wciśniętą w poduszki, że broda podniesiona była z wyrazem jak gdyby pewnej surowości.

–Nigdy – rzekła, po czym głośno odetchnęła i odchrząknęła długo i wyraziście – suche chrząknięcie, które stało się u niej nerwowym przyzwyczajeniem, związanym zapewne z jej cierpieniem żołądka. Nastąpiła pauza.

–Toniu – powiedział nagle, powstając i mocno opierając rękę o poręcz empirowego krzesła – nie róbże skandalu!...

Spojrzała z ukosa i zobaczyła, że jest blady i że nabrzmiały mu żyły na skroniach. Nie mogła leżeć dłużej. I ona była silnie podniecona, aby zaś ukryć strach przed nim, zaczęła mówić głośno i ze złością. Zerwała się, zsunęła nogi z łóżka i z zaczerwienionymi policzkami, ściągniętymi brwiami, szybko poruszając głową i rękami, mówiła:

–Skandal, Tomaszu?!... Możesz mi nakazywać, abym nie robiła skandalu, wówczas gdy okrywają mnie wstydem, plują mi po prostu w twarz?! Czy to jest godne brata?... Tak, musisz mi łaskawie wybaczyć to pytanie! Względy i takt, to dobre rzeczy, ani słowa! Ale istnieje granica w życiu, Tom – a znam życie równie dobrze jak ty – gdzie obawa przed skandalem zaczyna być tchórzostwem, tak! Dziwię się, że muszę ci o tym mówić, ja, głupia gęś... Tak, jestem nią i rozumiem dobrze, że Permaneder nigdy mnie nie kochał, gdyż jestem starą i brzydką kobietą – to możliwe, a Babett jest na pewno ładniejsza, ale to nie uprawniało do zapominania o tym, co winien jest mojemu pochodzeniu i mojemu wychowaniu, i mojemu uczuciu! Nie widziałeś, Tom, w jaki sposób zapomniał o tym, a kto tego nie widział, ten nic nie wie, gdyż tego nie można wypowiedzieć, jak on był wstrętny w tym stanie... I nie słyszałeś tego słowa, które on rzucił mnie, twojej siostrze, gdy zabierałam swoje rzeczy i wychodziłam z pokoju, żeby spać na sofie w gabinecie... Tak! Wtedy usłyszałam za sobą takie słowo z jego ust... takie słowo... takie słowo...! Krótko mówiąc, Tomaszu, to słowo było głównym powodem, który zmusił mnie do pakowania rzeczy w nocy, zbudzenia Eryki wczesnym rankiem i wyjazdu stamtąd, gdyż nie mogłam pozostać przy człowieku, po którym można się spodziewać podobnych słów, i nigdy w życiu, jak powiedziałam, nie powrócę do tego człowieka... chyba bym musiała upaść moralnie i nie mogłabym mieć szacunku dla siebie samej, i straciłabym wszelką podstawę w życiu!

–Czy zechcesz być tak dobra i powtórzyć mi to przeklęte słowo?

–Nigdy, Tomaszu! Nigdy moje usta nie wymówią go! Wiem, co jestem winna sobie i temu domowi...

–Więc nie ma co gadać z tobą!

–Możliwe; i chciałabym nigdy więcej o tym nie mówić...

–Co chcesz robić? Chcesz się rozwieść?

–Tak jest, Tomaszu. Jest to moje postanowienie. Wiem, co jestem winna sobie samej, memu dziecku i wam wszystkim.

–No, więc to jest nonsens – rzekł spokojnie, wykręcił się na obcasie i odszedł od niej, jak gdyby uważał rozmowę za skończoną.

–By otrzymać rozwód, trzeba mieć zgodę obu stron, moje dziecko; zabawne byłoby sądzić, że Permaneder tak od razu z przyjemnością przystanie na to...

–O, to już moja rzecz – powiedziała nie zbity z tropu. – Sądzisz, że on będzie się sprzeciwiał, i to z powodu siedemnastu tysięcy talarów; zresztą Gr~unlich też nie chciał, a zmuszono go, są na to środki, pójdę do doktora Gieseke; jest przyjacielem Chrystiana, pomoże mi... Oczywiście, wtedy było co innego, wiem, co chcesz powiedzieć. Wtedy była niezdolność męża do wyżywienia żony i rodziny – tak! widzisz zresztą, że znam się dobrze na tych rzeczach, a tymczasem zachowujesz się tak, jak gdybym się po raz pierwszy w życiu rozwodziła!... Ale to wszystko jedno, Tom. Przypuśćmy, że to jest niemożliwe i nie da się przeprowadzić – być może; może masz rację. Ale to nic nie zmieni. Nie zmieni to mego postanowienia. W takim razie niech sobie zatrzyma te parę groszy – są ważniejsze rzeczy w życiu! Ale nie zobaczy mnie więcej.

Odchrząknęła. Zeszła z łóżka, padła na fotel, oparła łokieć o poręcz i tak mocno wcisnęła brodę w dłoń, że cztery skurczone palce wpiły się w dolną wargę. Odwrócona w bok, zaczęła wpatrywać się w okno podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami. Konsul chodził po pokoju tam i z powrotem, wzdychał, potrząsał głową i wzruszał ramionami. Wreszcie stanął przed nią załamując ręce.

–Dzieciak z ciebie, Toniu – rzekł rozpaczliwie i błagalnie.

–Każde twoje słowo to

dzieciństwo! Czy nie chcesz zrobić tego, o co cię proszę, i choć przez jedną chwilę popatrzeć na rzeczy jak dorosły człowiek?! Czyż nie widzisz, że zachowujesz się, jak gdybyś przeżyła coś poważnego i ciężkiego, jak gdyby twój mąż oszukał cię okrutnie, okrył cię hańbą w oczach świata?! Ależ pomyśl tylko, że przecie nic się nie stało! Że żywa dusza nie wie o tej waszej głupiej historii na schodach! Że w niczym nie uchybisz swojej ani naszej godności, jeśli z całym spokojem, co najwyżej z drwiącą miną powrócisz do Permanedera... że – przeciwnie – tylko szkodzisz naszej godności nie postępując tak, gdyż w ten sposób właśnie wyolbrzymiasz tę bagatelę, właśnie wywołujesz skandal...

Szybko odjęła rękę od brody i spojrzała na niego.

–Teraz ty bądź cicho,

Tomaszu! Teraz na mnie kolej! Teraz ty słuchaj! Co? Więc tylko to jest w życiu wstydem i skandalem, co jest głośne i o czym wszyscy wiedzą? Ach, nie! Cichy skandal, który po kryjomu rani człowieka i odbiera szacunek względem siebie samego jest o wiele gorszy! Czyż my, Buddenbrookowie, jesteśmy ludźmi, którzy na zewnątrz chcą być „tip_top”, jak wy tu mówicie, a w swoich czterech ścianach połykają upokorzenia? Tom, dziwię ci się bardzo! Wyobraź sobie ojca, jak on by dziś postąpił, a potem sądz zgodnie z jego zapatrywaniami! Tak, czystość i jawność winna panować... Mógłbyś każdego dnia pokazać twoje księgi i powiedzieć: patrzcie... Każde z nas tak powinno postępować. Wiem, jak Bóg mnie stworzył. Niczego się nie boję! Niech Julcia Mollendorpf przejdzie obok mnie i nie ukłoni mi się! Niech Fifi Buddenbrook przyjdzie tu we czwartek i trzęsąc się ze złośliwej satysfakcji powie:

„No, to niestety już drugi raz, ale naturalnie zawsze z winy męża!” Czuję się tak nieskończenie wyższa ponad to, Tomaszu! Wiem, że postąpiłam tak, jak powinnam była postąpić. Ale łykać obelgi i dać sobie wymyślać w prostackim, pijackim dialekcie z obawy przed Julcią Mollendorpf i Fifi Buddenbrook... z obawy przed nimi pozostać przy takim człowieku, w takim mieście, w którym musiałabym przywyknąć do podobnych słów, podobnych scen, jak tamta na schodach, gdzie musiałabym zaprzeczyć się mego pochodzenia i mego wychowania, i wszystkiego, co jest we mnie, aby tylko wydawać się szczęśliwą i zadowoloną – to według mnie jest niegodne, to według mnie jest skandaliczne, wiedz o tym!...

Urwała, znowu wcisnęła brodę w dłoń i podniecona wpatrywała się w szybę. Zatrzymał się przed nią opierając się na jednej nodze, z rękami w kieszeniach spodni, pogrążony w myślach i patrząc na nią, lecz nie widząc jej, wolno kręcił głową w obie strony.

–Toni – rzekł – nie

powiedziałaś mi nic nowego. Wiedziałem to już przedtem, ale twoje ostatnie słowa zdradziły cię. Nie o męża tu idzie. Idzie o miasto. Wcale nie o to głupstwo na schodach. W ogóle o wszystko. Nie mogłaś się zaaklimatyzować. Bądź szczerą.

–O, to masz rację, Tomaszu! – zawołała. Zerwała się nawet z miejsca i wyciągnęła rękę prosto w kierunku jego twarzy. Była cała czerwona. Stała w wojowniczej pozie, trzymając się jedną ręką krzesła, a drugą gestykulując, i wygłosiła długą namiętą mowę, która płynęła niepowstrzymanym strumieniem. Konsul patrzył na nią zdumiony. Zaledwie starczyło jej tchu, tak wrzały i wybuchały coraz nowe wyrazy. Tak znajdowała słowa, wypowiadała cały wstręt, jaki nagromadził się w niej przez te lata: trochę chaotycznie i bezładnie, ale wypowiadała go. Była to eksplozja, wybuch pełen rozpaczliwej szczerości... Wyładowywało się tu coś, czego nie mógł odeprzeć, coś żywiołowego, o co nie można już było się sprzeczać...

–Masz rację, Tomaszu! Powtórz to jeszcze raz! Ha, mówię ci wyraźnie, że nie jestem już taka głupia i wiem, co myśleć o życiu. Nie dziwię się już, kiedy widzę, że nie zawsze wszystko pięknie idzie. Znałam ludzi takich, jak Tränen-trieschke, i miałam za męża Grunlicha, i znam naszych tutejszych

suitierów. Nie jestem świętą niewinnością, wiedz o tym, a sama historia z Babettnie byłaby mnie wypędziła, wierzaj mi! Ale cała rzecz w tym,

Tomaszu, że miara się przepełniła... a niewiele do tego brakowało, gdyż właściwie i tak była pełna... od dawna była pełna! Każda kropla mogła ją przepełnić, a cóż dopiero to! Świadomość, że nawet pod tym względem nie mogę polegać na Permanederze! To była korona wszystkiego! To oderwało ucho od dzbana! To sprawiło, że postanowienie wyjazdu z Monachium od razu dojrzało, a dojrzewało ono od dawna, od dawna, Tomaszu, gdyż ja nie mogę tam żyć, na Boga i Jego święte zastępy, nie mogę! Nie wiesz, jaka byłam nieszczęśliwa, ale wtedy gdyście przyjechali do Monachium, nie dałam nic poznać po sobie, nie, jestem taktowna, nie lubię zanudzać skargami i nie miałem bez potrzeby językiem; zresztą zawsze byłam skłonna do skrytości. Ale cierpiałam. Tom, cierpiałam, że tak powiem, całą moją istotą. Jak roślina, że użyję tego porównania, jak kwiat przesadzony w obcy grunt... chociaż zapewne pomyślisz, że to porównanie jest nieodpowiednie, gdyż jestem szkaradna... ale nie mogłam się dostać do bardziej obcego kraju i wolałabym już pojechać do Turcji! O, myśmy nigdy nie powinni stąd wyjeżdżać! Powinniśmy siedzieć nad naszą zatoką i odżywiać się przyzwoicie... Żartowaliście sobie czasem z mego upodobania do arystokracji... a ja w tych latach często myślałam o kilku słowach, które mi ktoś w dawnych czasach powiedział, pewien mądry człowiek: „Pani ma sympatię do szlachty – powiedział – mam pani powiedzieć, dlaczego? Bo pani sama jest szlachcianką! Ojciec pani jest wielkim panem, a pani jest księżniczką. Przepaść dzieli was od nas wszystkich, nie należących do waszego grona przodujących rodzin...” Tak, Tomaszu, czujemy się szlachtą, czujemy naszą wyższość i nie powinniśmy próbować osiąść nigdzie tam, gdzie nic o nas nie wiedzą i nie umieją ocenić, gdyż spotkamy się z samymi upokorzeniami i będą nas uważali za wyniosłych. Tak – wszyscy uważali mnie za śmiesznie wyniosłą. Nie mówiono mi tego, ale czułam to na każdym kroku i cierpiałam także i z tego powodu! Ha! Łatwo jest wydawać się wyniosłą w kraju, gdzie tort je się nożem i gdzie księżęta mówią złą niemczyzną, i gdzie uważają to za zaloty, gdy kawaler podniesie damie wachlarz! Zaaklimatyzować się! Nie, wśród ludzi bez godności, moralności, ambicji, wytworności i surowości, wśród ludzi źle wychowanych, niegrzecznych, zaniedbanych, jednocześnie leniwych i lekkomyślnych, gruboskórnych i powierzchownych... u takich ludzi zaaklimatyzować się nie umiem i nigdy nie będę umiała, jak jestem twoją siostrą! Ewa Ewers umiała... no tak! Ale Ewers to jeszcze nie Buddenbrook, a poza tym ona ma męża, który jest coś wart. Ale cóż ja miałam? Pomyśl tylko, Tomaszu, przypomnij sobie wszystko! Pojechałam stąd, z tego domu, gdzie ludzie dążą do czegoś, gdzie pracują i mają swoje cele, tam do Permanedera, który został rentierem z mojego posagu... tak, było to szczere, znamienne i prawdziwe, ale też to była jedyna pociecha. Cóż dalej? Ma się urodzić dziecko! Jakże ja się cieszyłam! Byłoby mi to zastąpiło wszystko inne! Cóż się dzieje? Umiera. Nie żyje. Nie było tu winy Permanedera, cóż znowu, nie. Robił, co mógł, a nawet przez dwa czy trzy dni nie poszedł do piwiarni, a jakże! Ale to też się przyczyniło, Tomaszu. Możesz sobie wyobrazić, że nie stałam się przez to szczęśliwsza. Zniosłam to i nie szemrałam. Byłam sama i niezrozumiana; i okrzyczana za wyniosłą, ale sobie mówiłam: „Powiedziałaś mu „tak” na całe życie. Jest leniwy i ociążały i zawiódł twoje nadzieje, ale jest poczciwy i serce jego jest czyste”. A potem musiałam jeszcze dożyć tego wszystkiego i zobaczyć go w owej wstrętnej chwili. Przekonałam się wtedy, że tak bardzo rozumie mnie i szanuje, że aż rzuca mi w twarz słowo, jakiego żaden z twoich portowych robotników nie rzuciłby swojemu psu! Wtedy pojęłam, że nic mnie nie trzyma i że byłoby wstydem zostać dłużej. A gdy jechałam tutaj z dworca przez Holstenstrasse, przechodził tragarz Nielsen i zdjął nisko cylinder, a ja mu się odkłoniłam, wcale nie wyniośle, tylko tak, jak ojciec kłaniał się ludziom... tak... ręką. A

teraz jestem tutaj. I możesz zaprząć dwa tuziny roboczych koni. Tom, nie wróćę do Monachium. A jutro idę do Giesekego!

Taka była mowa, którą Tonia wygłosiła, po czym dość wyczerpana opadła znów na fotel, oparła brodę na dłoni i wpatrzyła się w szybę.

Konsul stał przed nią przejęty, przestraszony, niemal wstrząśnięty i milczał. Potem odetchnął, podniósł ręce w górę i opuścił je na uda.

–Tak, cóż robić! – powiedział cichym głosem, cicho obrócił się na obcasie i podszedł ku drzwiom.

Patrzyła za nim z tą samą miną, jaką go przywitała – cierpiącą i nadąsaną.

–Tom? – spytała. – Gniewasz się na mnie? – Jedną ręką trzymał już owalną kłamkę, drugą wykonał zmęczony ruch zaprzeczenia.

–Ach, nie. Bynajmniej.

Wyciągnęła do niego rękę i pochyliła głowę na ramię.

–Chodź do mnie, Tom... Twojej siostrze nie jest bardzo dobrze w życiu... Wszystko się na nią wali... I nie ma nikogo, kto by jej teraz pomógł...

Wrócił i ujął jej rękę, z boku, jak gdyby obojętnie i słabo, nie patrząc na nią.

Nagle jej górna warga zaczęła drżeć...

–Teraz musisz sam pracować – powiedziała. – Z Chrystianem, zdaje się, nie jest dobrze, a ze mną to już koniec... wszystko się skończyło... nic już nie wymyślę... tak, będziecie musieli przyjąć mnie – niepotrzebną kobietę – na łaskawy chleb... Chciałam stanąć u twego boku, nie myślałam, że mi się tak zupełnie nie uda. Tom! Teraz musisz sam jeden pilnować, żeby Buddenbrookowie utrzymali swoje stanowisko... Bóg z tobą.

Dwie łzy, duże, jasne dziecięce łzy spłynęły po jej policzkach, na których poczęły już ukazywać się pierwsze zmarszczki.

Rozdział jedenasty

Tonia nie próżnowała, ujęła sprawę w swoje ręce. Konsul w nadziei, że się uspokoi, złagodnieje, zmieni zamiary, zażądał od niej tymczasem tylko jednego: by zachowywała się spokojnie i wraz z Eryką nie opuszczała wcale domu. Wszystko mogło jeszcze dobrze się skończyć... Przed wszystkim nikt w mieście nie powinien był o tym wiedzieć. Rodzinny „czwartek” został odwołany.

Ale zaraz pierwszego dnia po przybyciu Tonia napisała list do adwokata Gieseke, wzywając go na Mengstrasse. Przyjęła go sama w środkowym pokoju, na pierwszym piętrze, gdzie napalono w piecu i gdzie w niewiadomym celu poukładała na dużym stole masy białego papieru, kałamarz oraz przybory do pisania. Oboje zasiedli w fotelach...

–Panie doktorze! – rzekła krzyżując ręce na piersiach i z przechyloną w tył głową patrząc w sufit. – Pan zna życie zarówno jako człowiek, jak też i w związku ze swoim zawodem. Mogę z panem

pomówić otwarcie! – Po czym opowiedziała mu, jak to było z Babetta oraz w sypialni. Na co doktor Gieseke musiał jej z żalem wyjaśnić, że ani pożałowania godne wydarzenie na schodach, ani też pewna obelga, której przytoczenia odmawiała, nie przedstawiają dostatecznych podstaw do rozwodu.

–Dobrze – powiedziała. – Dziękuję panu.

Następnie poprosiła o

wyliczenie jej prawnych przyczyn

rozvodu i z wielkim

zainteresowaniem oraz

zrozumieniem wysłuchała prawniczego wykładu dotyczącego rozwodów, po czym serdecznie i poważnie pożegnała się z doktorem Gieseke.

Zeszła na dół i wywołała konsula do jego prywatnego biura.

–Tomaszu – powiedziała – proszę cię o niezwłoczne napisanie do tego człowieka... niechętnie wymawiam jego nazwisko. Co się tyczy moich pieniędzy, to jestem najdokładniej poinformowana. Niech on się wypowie. Tak czy inaczej, nie zobaczy mnie więcej. Jeśli zgodzi się na prawomocny rozwód, wówczas zajmiemy się obrachunkiem oraz zwrotem mego dot. Jeśli odmówi, wtedy także nie mamy powodu tracić nadziei, gdyż trzeba ci wiedzieć. Tom, że mój dot jest według prawa jego własnością – oczywiście, musimy się z tym liczyć – że jednak i ja zachowuję pewne prawa, chwała Bogu...

Konsul chodził tam i z powrotem, z rękami założonymi na plecach i nerwowo wzruszał ramionami; gdyż ton, jakim wymawiała wyraz dot; był już zbyt dumny.

Nie miał czasu. Był istotnie zawałony pracą. Powinna była mieć trochę cierpliwości i jeszcze przemyśleć sobie wszystko z pięćdziesiąt razy! W najbliższym czasie, to jest jutro rano, miał pojechać do Hamburga. Czekala go tam konferencja, przykra rozmowa z Chrystianem. Chrystian napisał był z prośbą o poparcie, o pomoc, której konsulowa była zmuszona odmówić swemu przysłemu spadkobiercy. Interesy jego były w rozpaczliwym stanie, mimo nieustannych trudności finansowych wydawało się, że bawi się wyśmieniem w restauracjach, teatrze, cyrku, sądząc zaś po jego długach, które teraz wyszły na jaw i które mógł zaciągnąć dzięki swemu dobrze brzmiącemu nazwisku, żył o wiele ponad stan. Na Mengstrasse jak również w klubie oraz w całym mieście wiedziano, kto najbardziej był temu winien. Była to pewna samotna dama, niejaka Alina Puvogel, posiadająca dwoje ładnych dzieci. Chrystian nie był jedynym spośród zamożnych mieszkańców Hamburga, utrzymującym z nią ściśle oraz kosztowne stosunki.

Słowem, prócz rozwodowych roszczeń Toni istniały też inne nieprzyjemne sprawy, wyjazd zaś do Hamburga był pilny.

Oczekiwano zresztą, że

Permaneder sam się odezwie...

Konsul pojechał i powrócił w smutnym i gniewnym nastroju. Ponieważ zaś z Monachium ciągle jeszcze nie było wiadomości, zmuszony był uczynić pierwszy krok. Napisał chłodno, rzeczowo i nieco z góry: Antoninę we współzyciu z Permanederem niezaprzeczenie spotkało smutne rozczarowanie... Pominąwszy drobiazgi, pod żadnym względem nie znalazła w tym małżeństwie oczekiwanego szczęścia... każdemu zdrowo patrzącemu na rzeczy jej pragnienie zerwania tego związku musi się wydać usprawiedliwione... Jej postanowienie niepowracania nigdy do Monachium wydaje się niestety niezłomne...

Następowało zapytanie, jak Permaneder zapatruje się na tę sprawę...

Dni naprężonego oczekiwania...

Potem Permaneder odpowiedział.

Odpowiedział tak, jak nikt nie przewidywał: ani doktor Gieseke, ani konsulowa, ani Tomasz, ani nawet sama Antonina.

Po prostu zgodził się na rozwód.

Napisał, że bardzo żałuje tego, co się stało, ale szanuje życzenie Antoniny, widzi bowiem, że ona i on „nie pasowali do siebie”. Jeśli było jej z nim źle, niechaj się postara zapomnieć i darować mu winę... Ponieważ zaś sądzi, że nie zobaczy więcej ani jej, ani Eryki, tedy życzy jej jako też i dziecku wszelakiego szczęścia... Alojzy Permaneder. – W przypisku zaofiarował natychmiastową restytucję posagu. Może on spokojnie żyć z tego, co posiada. Zwłoka jest zbyteczna, gdyż nie ma tu nic do przeprowadzenia, dom należy do niego, suma zaś może być natychmiast zrealizowana.

Tonia była niemal trochę zawstydzona i po raz pierwszy miała okazję pochwalić pana Permanedera za jego brak chciwości.

Wtedy zaczął działać doktor Gieseke, skomunikował się z małżonkiem w sprawie przyczyn rozwodu, przyjęto „obustronny nieprzezwyjężony wstręt” i proces się rozpoczął – drugi proces Toni, którego fazy śledziła z powagą, znajomością rzeczy oraz olbrzymim zapałem. Gdziekolwiek była, opowiadała o tym, tak że konsul nieraz się na nią gniewał. Po raz pierwszy nie mogła podzielać jego trosk. Była pochłonięta takimi pojęciami, jak „zyski”, „dochody”, „akcesy”, „sumy posagowe”, „ruchomości”, którymi posługiwała się bezustannie i nadzwyczaj biegle, odrzucając przy tym w tył głowę i podnosząc nieco ramiona. Ze wszystkich wyjaśnień doktora Gieseke najsilniejsze wrażenie wywarł na niej pewien paragraf, tyczący się ewentualnego „skarbu” znalezionej na terenie, stanowiącym część posagu; po zerwaniu małżeństwa „skarb” winien być zwrócony. O tym skarbie, który wcale nie istniał, opowiadała wszystkim:

Idzie Jungmann, wujowi

Justusowi, biednej Klotyldzie,

pannom Buddenbrook z

Breitenstrasse, które zresztą
usłyszawszy o wszystkim załamały
ręce na łonie i spojrzały po
sobie: osłupiałe, zdziwione, że
dożyły jeszcze i tego
zadośćuczynienia... Teteni
Weichbrodt, która znów teraz
kształciła Erykę Gr~unlich, a
nawet biednej pani Kethelsen,
która z wielu powodów nic a nic
z tego wszystkiego nie
zrozumiała...

Nadszedł dzień, w którym rozwód został uznany za prawomocny, w którym Tonia załatwiła ostatnią formalność zapisując w papierach rodzinnych nowe wydarzenie... teraz należało jeszcze tylko przywyknąć do zmienionej sytuacji.

Robiła to dzielnie. Z niewzruszoną godnością nie zauważała złośliwych ukłuc panien Buddenbrook, z niewypowiedzianym chłodem nie dostrzegała spotykanych na ulicy Hagenstr~omów i M~ollendorpfów i całkowicie zrezygnowała z życia towarzyskiego, które zresztą od lat przeniosło się do domu brata. Miała swych najbliższych: konsulową, Tomasza, Gerdę, miała Idę Jungmann, Tetenię Weichbrodt – swą opiekuńczą przyjaciółkę – Erykę, o której wytworne wychowanie bardzo dbała i w której złożyła, być może, swoje ostatnie tajemne nadzieje... Tak żyła i tak upływał czas.

Później w jakiś nigdy nie wyjaśniony sposób niektórzy członkowie rodziny dowiedzieli się „słowa”, tego fatalnego słowa, które wymknęło się owej nocy panu Permanederowi. Cóż on takiego powiedział? „Idź do diabła, ty parszywe ścierwo!”

Tak zakończyło się drugie małżeństwo Toni.

Część siódma

Rozdział pierwszy

Chrzcziny!... Chrzcziny na Breitenstrasse?

Wszystko, o czym w dni nadziei marzyła pani Permaneder, spełniło się co do joty: w jadalni przy stole – cicho i ostrożnie, by nie przeszkadzać uroczystości w sali – pokojówka nakłada krem w liczne filiżanki pełne wrzącej czekolady, ustawione jedna obok drugiej na wielkiej okrągłej tacy ze złożonymi rączkami w kształcie muszli... służący Antoni kraje na plasterki strzelisty sękacz, panna Jungmann, patrząc na wszystko krytycznie, z przechyloną na ramię głową i odgiętymi małymi palcami, układa cukierki i świeże kwiaty na srebrnych deserowych półmiskach...

Wszystkie te wspaniałości obniesione będą niezadługo, gdy państwo poroziadają się w salonie i gabinecie, a starczy ich na pewno, gdyż zebrana tu jest wprawdzie i dalsza rodzina, ale brak najdalszej, przez Oeverdiecków bowiem Buddenbrookowie są również spokrewnieni z Kistenmakerami, przez tych zaś z Mollendorpfami i tak dalej. Niepodobna byłoby zakreślić granicy! ...

Oeverdieckowie są jednak reprezentowani, i to nawet przez głowę rodziny, osiemdziesięcioletniego doktora Kaspra Oeverdiecka, piastującego obecnie urząd burmistrza.

Przyjechał on powozem i wszedł na schody wsparty na swojej lasce oraz na ramieniu Tomasza Buddenbrooka. Obecność jego podnosi powagę uroczystości, a uroczystość ta niewątpliwie godna jest najwyższej powagi!

Albowiem w sali przed ozdobionym kwiatami stolikiem służącym za ołtarz, za którym stojąc przemawia młody duchowny w czarnej todze i sztywnej, śnieżnobiałej kryzie, dobrze odżywiona kobieta przystrojona w czerwień i złoto kołysze na rękach coś maleńkiego, ginącego pod koronkami i kokardami... spadkobierca! pierworodny syn! Buddenbrook! Czy pojmujecie, co to znaczy?

Wyobrażacie sobie ów cichy zachwyt, z jakim wieść – pierwsze tajemnicze słowo nadziei – przeniesiona została z Breitenstrasse na Mengstrasse? Ów niemy entuzjazm, z jakim pani Permaneder uściskała wówczas matkę, brata i – ostrożniej – bratową? A teraz, gdy nadeszła wiosna, wiosna roku sześćdziesiątego pierwszego, jest już na świecie i przyjmuje sakrament chrztu świętego ten, w którym spoczywa tak wiele nadziei, o którym od dawna tak dużo się mówi, którego od tylu lat oczekiwano, za którym tęskniono, o którego błagano Pana Boga i zanudzano doktora Grabowa... jest na świecie i – wygląda wielce niepozornie.

Maleńkie rączki igrają ze złotymi sznureczkami stanika mamki, główka, okryta bladoniebieskim koronkowym czepeczkiem, lekceważąco odwrócona od pastora, leży na poduszce nieco na boku, oczy zaś mrugając badawczo, niemal dojrzałe, spoglądają na salę ku krewnym. W tych oczach o bardzo długich rzęsach błękit ojcowskich i brąz macierzyńskich tęczywek zamieniły się w jasny, nieokreślony, zmienny złotobrunatny kolor, kąciki ich po obu stronach nasady nosa są otoczone błękitnawymi cieniami. Nadaje to tej czterotygodniowej twarzyczce jakiś przedwcześnie charakterystyczny wyraz i bynajmniej nie zdoła jej; ale Bóg da, że znaki te nie będą miały żadnych złych następstw, takie same cienie leżą dokoła oczu matki, która jest wszak zupełnie zdrowa... Zresztą mniejsza o to: dziecko żyje, a fakt, że jest to chłopiec, był przed czterema tygodniami powodem najwyższej radości.

Żyje, a mogło być inaczej. Konsul nigdy nie zapomni owego uścisku dłoni, z jakim przed czterema tygodniami zacny doktor Grabow odchodząc wreszcie od matki i dziecka powiedział mu: – Podziękuj

pan Opatrzności, drogi przyjacielu, niewiele brakowało... – Konsul nie śmiał zapytać, do czego niewiele brakowało... Z przerażeniem odrzuca od siebie myśl, że z tym od dawna oczekiwanym maleńkim stworzeniem, które tak przedziwnie cicho przyszło na świat, mogło się tak stać, jak z drugą córeczką Antoniny... Wie jednak, że była to dla matki i dziecka rozpaczliwa godzina – owa godzina sprzed czterech tygodni – i szczęśliwy pochyla się czule nad Gerdą, która skrzyżowawszy lakierowane pantofelki na aksamitnej poduszce, siedzi przed nim zagłębiona w fotelu obok starej konsulowej.

Jaka ona wciąż jeszcze blada!

I jak niezwykle piękna w swej

bladości, z tymi ciężkimi

ciemnorudymi włosami i

zagadkowymi oczami,

spoczywającymi na kaznodziei z odcieniem subtelnej ironii. Kaznodzieją jest pan Andrzej Pringsheim, pastor marianus, który po nagłej śmierci K~ollinga został mimo młodego wieku mianowany naczelnym pastorem. Żarliwie złożył ręce tuż pod podniesioną brodą. Ma krótkie, jasne, kędzierzawe włosy i kościstą, gładko wygoloną twarz, której zmienna mimika wyraża to fanatyczną powagę, to znów promienną pogodę i wydaje się nieco teatralna. Pochodzi z Frankonii, gdzie opiekował się nieliczną luterańską gminą w okolicy zamieszkałej w ogromnej większości przez katolików, jego dialekt pod wpływem usilnych dążeń do czystej i patetycznej wymowy nabrał zupełnie szczególnego akcentu, samogłoski brzmią przeciągle i głęboko, kiedy indziej znów ostro, a dźwięk „r” wibrująco uderza o zęby.

Cichym, nabrzmiewającym, to znów mocnym głosem chwali Boga, a rodzina słucha jego mowy: pani Permaneder z uroczystą powagą, pod którą kryje się duma i zachwyt, Eryka Gr~unlich, już prawie piętnastoletnia, dobrze rozwinięta panienka, z upiętym warkoczem i różową cerą swego ojca, wreszcie Chrystian, który dziś rano przyjechał z Hamburga i rozgląda się na wszystkie strony swymi głęboko osadzonymi oczami... Pastor Tiburtius i jego małżonka nie ulękli się podróży z Rygi, by móc asystować przy dzisiejszej uroczystości. Sievert Tiburtius odrzucił końce swych rzadkich faworytów na ramiona; jego małe szare oczy od czasu do czasu niezwykle się rozszerzają, stają się coraz większe i większe, wypływają, nieomal wyskakują... Klara patrzy poważnie i surowo, chwilami dotyka ręką bolącej głowy... Przywieźli oni zresztą Buddenbrookom wspaniałą prezent:

potężnego, wypchanego brunatnego niedźwiedzia z otwartą paszczą, stojącego na dwu łapach, którego krewny pastora upolował gdzieś w głębi Rosji i który stoi obecnie w sieni na dole, trzymając między łapami tackę do kart wizytowych.

U Kr~ogerów bawi właśnie ich syn J~urgen, urzędnik poczty w Rostocku: cichy, skromnie ubrany człowiek. Gdzie znajduje się obecnie Jakub – nie wie nikt prócz matki, z domu Oeverdick, słabej kobiety, która w sekrecie wyprzedaje srebro, by posyłać pieniądze wydziedziczonemu synowi... Są również obecne panie Buddenbrook, mocno uradowane z powodu szczęśliwego wydarzenia w

rodzinie, co nie przeszkodziło jednak Fifi zauważyć, że dziecko wygląda dosyć niezdrowo, konsulowa, z domu St~uwing, oraz Fryderyka i Henryka musiały to, niestety, potwierdzić. Ale biedna Klotylda, szara, chuda i głodna, wzruszona jest słowami pastora Pringsheima oraz nadzieją czekolady z sękaczem... Z osób nie należących do rodziny obecni są: pan Fryderyk Wilhelm Marcus oraz Tetenia Weichbrodt.

Teraz pastor zwraca się do
ojców chrzestnych i mówi im o
ich obowiązkach. Jednym z ojców
jest Justus Kr~oger... Konsul
Buddenbrook z początku nie
chciał go prosić. – Nie
narażajmy starego na zbyteczne
wydatki – powiedział. – Ma on
codziennie najokropniejsze sceny
z żoną z powodu syna, reszta
jego majątności ginie, zaczyna
wreszcie z powodu zgryzot
zaniedbywać się w ubraniu! Ale
gdy poprosimy go na ojca
chrzestnego, cóż wam się zdaje?
daruje dziecku szczerozłoty
serwis i nie pozwoli sobie
dziękować! – Gdy jednak wuj
Justus dowiedział się, kto
będzie ojcem chrzestnym, a miał
nim być Stefan Kistenmaker,

przyjaciel konsula, tak był

dotknięty, że musiano go

poprosić, zresztą, ku

zadowoleniu Tomasza

Ó Buddenbrooka, ofiarowany przez niego złoty kielich nie jest zbyt ciężki.

A drugi ojciec chrzestny? Jest nim ów bielutki jak gołąb, dostojny stary jegomość w wysoko zawiązanym krawacie, w miękkim, czarnym surducie, z którego tylnej kieszeni zawsze wystaje róg czerwonej chustki do nosa; siedzi tu w najwygodniejszym fotelu, oparty na swej lasce: burmistrz doktor Oeverdieck. Jest to wydarzenie epokowe, walne zwycięstwo! Niektórzy nie pojmują, jak to się stało. Boże drogi, toż to za ledwie jakie takie pokrewieństwo!

Buddenbrookowie przyciągnęli starego za włosy... I w istocie jest to mała intryga, koncept, jaki konsul ułożył wraz z panią Permaneder. Właściwie w chwili pierwszej radości, gdy matka i dziecko wyszli z niebezpieczeństwa, był to żart.

–Chłopak, Toniu! Musi mieć burmistrza za ojca chrzestnego!

–zawołał konsul, ale ona podchwyciła to i nastawała poważnie, po czym i on całą sprawę rozważył i postanowił spróbować. Udali się do wuja Justusa, który posłał swą żonę do jej szwagierki, małżonki kupca drzewnego Oeverdiecka; ta ze swej strony miała przygotować sędziwego teścia. Wówczas pełna szacunku wizyta, jaką Tomasz Buddenbrook złożył głowie miasta, dokonała reszty.

Teraz mamka zdejmuje czepeczek dziecka, a pastor ostrożnie skrapla wodą ze srebrnej, wyłacanej od wewnątrz miseczki rzadkie włoski małego Buddenbrooka i wymienia powoli i z naciskiem imiona nadawane mu przy chrzcie: – Justus, Jan, Kasper. – Potem odmawia krótką modlitwę, a następnie krewni podchodzą, by złożyć na czole cichej i obojętnej istotki pocałunek wraz z życzeniami szczęścia... Teresa Weichbrodt podchodzi ostatnia i mamka zniża ku niej dziecko; Tetenia składa za to na jego czole aż dwa pocałunki i mówi: Ty drogie dziacko!

W parę minut potem rozmieszczono się w salonie i gabinecie; służba roznosi słodycze. Pastor Pringsheim wraz z innymi siedzi w swej kryzje i długiej todze, spod której widać szerokie wyglansowane buty, spija zimny krem z gorącej czekolady i z rozpromienioną twarzą prowadzi lekką rozmowę towarzyską, co robi szczególne wrażenie w zestawieniu z jego poprzednią mową. Z każdego jego ruchu można wyczytać: Patrzcie, mogę zrzucić z siebie skórę kapłana i być swobodnym, wesołym światowcem! Jest to człowiek zręczny i giętki. W rozmowie ze starą konsulową pełen jest namaszczenia, z Tomaszem i Gerdą mówi jak światowiec, do pani Permaneder zaś zwraca się z serdeczną i żartobliwą wesołością... Od czasu do czasu, jak gdyby się opamiętywał, krzyżuje ręce, podnosi głowę, marszczy brwi i robi poważną minę. Gdy się śmieje, wciąga ze świstem powietrze przez zęby.

Nagle na korytarzu powstaje ruch, słychać śmiechy służby i we drzwiach ukazuje się osobliwy

gratulant. To Grobleben; z cienkiego jego nosa stale, niezależnie od pory roku, zwiesza się podłużna kropla i nigdy nie spada. Jest to robotnik ze spichrza konsula; jego chlebodawca dostarczył mu ubocznego zarobku, polecając mu czyścić obuwie. Rankiem zjawia się na Breitenstrasse, bierze ustawione przed drzwiami obuwie i czyści je w sieni. Ale podczas uroczystości rodzinnych przychodzi świątecznie wystrojony i przynosi kwiaty; podłużna kropla chwieje mu się u nosa, on zaś płaczącym i pełnym namaszczenia tonem wygłasza mowę, za co otrzymuje wynagrodzenie. Ale nie dlatego to czyni!

Ubrał się w czarny surdut znoszony przez konsula, ale buty ma wysmarowane tłuszczem, a na szyi niebieski wełniany szalik. W chudej, czerwonej ręce trzyma duży bukiet białych przekwitłych róż, których płatki opadają na dywan. Małe, zaczerwienione oczy mrugają i zdają się nic nie widzieć... Staje we drzwiach, trzymając przed sobą bukiet, i natychmiast zaczyna mówić; konsulową po każdym słowie kiwa zachęcająco głową i dopomaga mu, dorzucając czasem słówko, konsul patrzy na niego, podnosząc swe jasne brwi, niektórzy zaś członkowie rodziny, jak na przykład pani Permaneder, zakrywają usta chusteczką.

–Jezdem»* biedny człowiek, moje państwo, ale mam czułe serce i cieszy mnie szczęście i radość mojego pana, konsula Buddenbrooka, którego zawsze jest dla mnie dobry, to przyszedłem, aby panu konsulowi i pani konsulowej, i całej szanownej familii powinszować z całego serca, i żeby dziecko zdrowo rosło, bo oni zasługują na to przed Bogiem i przed ludźmi, bo takich panów jak konsul Buddenbrook nie ma dużo, to szlachetny pan i Pan Bóg nagrodzi go za to...

Mowa Groblebena, jak również zdania, które mówi do niego konsul, w oryginale dialektem „platt” (przyp. tłum.).

–Dobra, Grobleben! Ładnie powiedziałaś! Dziękuję ci, Grobleben! A to co za róże?

Ale Grobleben nie skończył jeszcze, wyęcza swój płaczący głos i zagłusza konsula.

–...Pan Bóg nagrodzi go za to, powiadam, jego i całą szanowną rodzinę, gdy wszyscy staniemy przed Jego tronem, bo kiedyś wszyscy musimy położyć się do grobu, biedny i bogaty, to Jego święta wola i wyrok, a jednego kładą do pięknej trumny z mocnego drzewa, a drugiego do starej skrzyni, ale w proch obrócimy się wszyscy, wszyscy musimy obrócić się w proch... w proch... w proch...

–No, Grobleben! My tu mamy chrzciny, a ty ze swoim prochem!...

–A tu są kwiatki! – kończy Grobleben.

–Dziękuję ci, Grobleben! Ale to doprawdy za wiele! Po cóż robić sobie takie koszty, człowieku! Dawno nie słyszałem takiej mowy!... Weźże to! Użyj sobie za to. – I konsul kładzie mu rękę na ramieniu i daje talara.

–Macie, dobry człowieku! – mówi stara konsulowa. – A miłujecie naszego Zbawiciela?

–Miłuję z całego serca, pani konsulowo, żebym tak zdrow był... – Grobleben i od niej otrzymuje talara, trzeciego zaś od pani Permaneder, po czym oddała się wśród ukłonów, w zamyśleniu

zabierając ze sobą róże, które jeszcze nie zdążyły rozsypać się po dywanie...

Ale oto podniósł się burmistrz

–konsul sprowadził go do powozu

–jest to znak i dla reszty gości, gdyż Gerda Buddenbrook potrzebuje wypoczynku. W pokojach zapada cisza. Ostatnie wychodzą: stara konsulowa z Tonia, Eryką i panną Jungmann.

–Aha, Ido – mówi konsul – przyszło mi na myśl, a matka zgadza się ze mną, pani nas wychowała, a kiedy mały Jan będzie trochę starszy... teraz ma jeszcze mamkę, potem jednak będzie potrzebował wychowawczyni... Czy pani będzie miała ochotę zamieszkać u nas?

–Tak, tak, panie konsulu, jeśli małżonka się zgodzi...

Gerda również jest zadowolona z tego planu i w ten sposób projekt od razu zmienia się w postanowienie.

Ale pani Permaneder wraca jeszcze od drzwi. Całuje brata w oba policzki i mówi:

–To piękny dzień. Tom, jestem tak szczęśliwa, jak od dawna nie byłam! My, Buddenbrookowie nie zesłaliśmy jeszcze na psy. Bogu dzięki, a kto tak myśli, ten się grubo myli! Teraz, gdy jest na świecie mały Jan – jak to ładnie, że nazwaliśmy go znowu Janem – teraz wydaje mi się, że nadejdą zupełnie inne czasy!

Rozdział drugi

Chrystian Buddenbrook, właściciel firmy „H.C.F. Burmeister Ska” w Hamburgu, trzymając w ręku modny, szary kapelusz i żółtą laskę z popiersiem zakonnic, wszedł do gabinetu brata. Tomasz siedział tam wraz z Gerdą, czytając. Była godzina dziesiąta wieczorem, tego samego dnia, kiedy odbył się chrzest.

–Dobry wieczór – rzekł Chrystian. – Ach, Tomaszu, muszę z tobą pomówić w pilnej sprawie... Wybacz, Gerdo... To jest pilne, Tomaszu.

Przeszli do ciemnej jadalni, gdzie konsul zapalił jedną z gazowych lamp na ścianie i przyjrzał się bratu. Odwiedziny te nie wróżyły nic dobrego. Prócz pierwszego przywitania nie miał dotąd okazji mówienia z bratem; obserwował go jednak bacznie podczas dzisiejszej uroczystości i zauważył, że był on niezwykle poważny i niespokojny, a podczas mowy pastora Pringsheima z niewiadomych powodów nawet wyszedł na kilka minut z sali... Od owego dnia w Hamburgu, gdy na pokrycie długów wręczył Chrystianowi dziesięć tysięcy marek na rachunek przyszłej schedy, Tomasz nie napisał do niego ani słowa. – Postępuj tak w dalszym ciągu – powiedział konsul – a wkrótce nie będziesz miał ani grosza. Mam nadzieję, że nie wejdziemy sobie więcej w drogę. Przez te wszystkie lata wystawiałeś moją przyjaźń na zbyt ciężkie próby... – Po cóż przyszedł teraz? Musi go tu sprowadzać coś niecierpiącego zwłoki...

–No i cóż? – zapytał konsul.

–Ja już nie mogę –

odpowiedział Chrystian, opuszczając się na jedno z otaczających stół krzesel o wysokich oparciach i trzymając między chudymi nogami kapelusz oraz laskę.

–Czy wolno mi spytać, czego już nie możesz i co cię do mnie sprowadza? – zapytał konsul stojąc.

–Ja już nie mogę – powtórzył Chrystian, potrząsnął głową ze straszliwie niespokojną powagą i począł wodzić dokoła swymi małymi, okrągłymi, zapadniętymi oczami. Miał obecnie trzydzieści trzy lata, wyglądał jednak o wiele starzej. Rudawe włosy były tak przerzedzone, że widać było prawie całą czaszkę. Kości zapadniętych policzków uwydatniały się ostro, między nimi zaś garbił się długi, cienki, mocno zagięty nos...

–Gdybyż to tylko o to szło – ciągnął dalej, przesuając ręką w dół wzdłuż lewego boku, nie dotykając jednak ciała... – To nie jest ból, to jest cierpienie, wiesz, bezustanne, nieokreślone cierpienie. Doktor Dr~ogem~uller z Hamburga powiedział mi, że z tej strony wszystkie nerwy są za krótkie... Wyobraź sobie, wszystkie moje nerwy z lewej strony są za krótkie! To jest takie dziwne... czasem wydaje mi się, jak gdyby z tej strony musiał nastąpić jakiś skurcz, jakieś obezwładnienie na zawsze... Nie możesz sobie wyobrazić... zasypiam z wielkim trudem. Zrywam się, bo nagle przestaje mi bić serce i zdejmuje mnie okropne przerażenie... I tak się dzieje nie jeden raz, ale z dziesięć razy przed zaśnięciem... Nie wiem, czy to znasz... Opiszę ci to dokładnie... Jest to...

–Daj pokój – rzekł zimno konsul. – Nie przypuszczam, że przyszedłeś w tym celu, by mi to opowiedzieć?

–Nie, Tomaszu, gdyby tylko o to szło, ale to nie tylko to... Idzie o interes... Ja już nie mogę.

–Znowu jesteś w tarapatach? – Konsul nie podniósł nawet głosu. Zapytał zupełnie spokojnie, patrząc na brata z ukosa, zimno i ze znużeniem.

–Tak, Tomaszu. Prawdę mówiąc

–przecież to już wszystko jedno

–właściwie zawsze byłem w tarapatach, nawet wówczas mimo owych kilkudziesięciu tysięcy, sam o tym wiesz... Potrzebne mi były, abym nie musiał od razu zwinąć przedsiębiorstwa. Chodzi o to, że... Zaraz potem straciłem na kawie... i w związku z bankructwem w Antwerpii... to prawda. No, a potem właściwie już nic nie robiłem, siedziałem cicho. Ale trzeba przecież żyć... a tu są weksle i inne długi... pięć tysięcy talarów. Ach, ty wcale nie wiesz, jak ja upadłem! A do tego wszystkiego to cierpienie...

–A, nic już nie robiłeś! – krzyknął konsul w uniesieniu. W tej chwili stracił panowanie nad sobą. – Zostawiłeś wóz w błocie i zabawiałeś się w inny sposób! Myślisz, że ja nie wyobrażam sobie, jak tyś spędzał życie – w teatrze i w cyrku, i w klubach, i z kobietami bez czci!

–Myślisz o Alinie... Tak, nie masz zrozumienia dla tych rzeczy, a moim nieszczęściem jest może to właśnie, że mam dla nich za wiele zrozumienia, bo ty masz rację, że mnie to zbyt wiele kosztowało, a

jeszcze będzie kosztowało... muszę ci coś powiedzieć... tak między nami... To trzecie dziecko, mała półroczna dziewczynka... jest moje...

–Osioł.

–Nie mów tak, Tomaszu.

Powinieneś być sprawiedliwy, choć zły jesteś na nią i na... dlaczegoż nie miałyby być moje?

A jeśli chodzi o Alinę, to nie

jest ona wcale mniej warta niż

inne, tego nie możesz o niej

powiedzieć. Wcale nie jest jej

to obojętne, z kim żyje, a dla

mnie zerwała z konsulem Holmem,

który ma więcej pieniędzy, tyle

ma dla mnie uczucia... Nie, nie

masz najmniejszego pojęcia, co

to za wspaniała istota! Taka

zdrowa... taka zdrowa!... –

powtórzył Chrystian, odwracając

grzbietem na zewnątrz dłoń z

zakrzywionymi palcami i

podnosząc ją ku twarzy, podobnie

jak miał zwyczaj robić,

opowiadając o „That’s Maria” i o

rozpuście w Londynie. – Gdybyś

mógł zobaczyć jej zęby, kiedy

się śmieje! Nie widziałem

jeszcze takich zębów. Ani w

Valparaiso, ani w Londynie, na

całym świecie. Nigdy nie zapomnę

owego wieczoru, gdy ją

poznałem... w restauracji u

Uhlicha... Była wtedy z konsulem

Holmem; ale ja trochę

opowiadałem i trochę

pożartowałem z nią... A kiedy potem ją posiadałem... tak, Tomaszu! To jest zupełnie inne uczucie, niż kiedy się robi dobry interes... Ale ty nie lubisz słuchać o takich rzeczach i teraz widzę to po tobie, a zresztą to już skończone. Rozstaniemy się, chociaż z powodu dziecka będę musiał stykać się z nią... W Hamburgu chcę wyrównać wszystko, co jestem winien, rozumiesz, a potem zwinąć interes. Ja już nie mogę. Z matką już rozmawiałem, chce mi dać z góry pięć tysięcy talarów, żebym wszystko uporządkował, a ty pewnie zgodzisz się na to, bo przecież to lepiej, żeby mówili:

Chrystian Buddenbrook likwiduje i wyjeżdża za granicę... niż gdybym zbankrutował, sam przyznasz. Chcę mianowicie znowu pojechać do Londynu, Tomaszu, objąć posadę w Londynie. Samodzielność nie jest dla mnie, coraz jaśniej to widzę. Ta odpowiedzialność... Gdy się jest urzędnikiem, wraca się wieczorem spokojnie do domu... A w Londynie dobrze się czułem... Czy masz co przeciwko temu?

Podczas całej tej rozmowy konsul stał odwrócony od brata i trzymając ręce w kieszeniach kreślił nogą figury na podłodze.

–Doskonale, jedź zatem do Londynu – powiedział tylko. I nie obróciwszy się nawet w stronę Chrystiana, pozostawił go i wrócił do gabinetu.

Ale Chrystian poszedł za nim. Podeszedł do Gerdy, która siedziała tam sama z książką, i podał jej rękę.

–Dobranoc, Gerdo. Tak, Gerdo, a więc znowu jadę do Londynu. To ciekawe, jak losy rzucają człowieka w różne strony. I znowu na niewiadome, wiesz, do takiego wielkiego miasta, gdzie co krok to przygoda i gdzie tyle można przeżyć. Dziwne... znasz to uczucie? To tkwi tutaj, w okolicy żołądka... bardzo dziwne...

Rozdział trzeci

James Mollendorpf, najstarszy senator_kupiec, umarł w sposób okropny i groteskowy.

Diabetyczny ten starzec do tego stopnia zatracił instynkt samozachowawczy, że w ostatnich latach

swego życia coraz bardziej podlegał namiętności do tortów i ciastek. Doktor Grabow, który był również domowym lekarzem M~ollendorpfów, protestował z całą energią, na jaką mógł się zdobyć, stroskane zaś otoczenie z łagodną stanowczością odbierało głowie rodziny wszelkie słodycze. Cóż jednak uczynił senator? Jego władze umysłowe osłabły do tego stopnia, że wynajął sobie pokój, izdebkę na jakiejś nędznej uliczce, na Gr~opelgrube czy może w Engelswich, prawdziwą dziurę, dokąd zakradał się potajemnie, by spożywać torty... tam też znaleziono go nieżywego z ustami pełnymi jeszcze nie zżutego ciasta, którego resztki plamiły mu ubranie i porozrzucane były na nędznym stole. Śmiertelny atak ubiegł powolną ruinę.

Rodzina starała się w miarę możliwości utrzymać w tajemnicy odrażające szczegóły tej śmierci; rozeszły się jednak po mieście i stały się tematem rozmów na giełdzie, w „Klubie”, w „Harmonii”, w biurach, w Komitecie Obywatelskim oraz na balach, obiadach, przyjęciach, gdyż wypadek zdarzył się w lutym, w lutym 62 roku, podczas najbardziej ożywionego sezonu towarzyskiego. Nawet przyjaciółki konsulowej Buddenbrook na jerozolimskim wieczorze, gdy Lea Gerhardt robiła pauzę w czytaniu, opowiadały sobie o śmierci senatora M~ollendorpfa, nawet niedzielne uczennice, przechodząc z nabożeństwem przez Buddenbrookowską sień, szeptały o tym, a pan Stuht z Glockengiesserstrasse miał na ten temat poważną rozmowę ze swoją żoną, która bywała w najpierwszych domach.

Ogólne zainteresowanie nie mogło jednak pozostawać długo przy ubiegłych wypadkach. Jednocześnie z pierwszymi wieściami o zgonie starego senatora wypłynęło już owo ważne pytanie, a gdy go pochowano, pytanie to opanowało wszystkie umysły: – Kto będzie jego następcą?

Co za napięcie i jakże ożywiona podziemna robota! Człowiek obcy, który przybywa do miasta, by obejrzeć jego średniowieczne osobliwości i piękne położenie, nic nie dostrzeże; ale cóż tam za poruszenie pod powierzchnią! Jaka agitacja! Ścierają się trzeźwe, niewzruszone, nie tknięte żadnym sceptycyzmem poglądy, hałaśliwie wypowiedane przekonania, badają się wzajemnie, porozumiewają z wolna, z wolna. Burzą się namiętności. Po cichu drążą ambicje i próżnostki. Pogrzebane nadzieje poruszają się, powstają i znowu doznają zawodu. Stary kupiec Kurz na B~ackergrube, który przy każdych wyborach otrzymuje trzy lub cztery głosy, znowu w dniu wyborów będzie z drżeniem wyczekiwał w swym mieszkaniu; ale i tym razem nie zostanie wybrany; w dalszym ciągu będzie zadowolony z siebie i pocziwą miną stukał laską po trotuarze i zejdzie do grobu z tą tajemną zgryzotą, że nie został senatorem...

Gdy podczas czwartkowego obiadu u Buddenbrooków omawiano śmierć Jamesa M~ollendorpfa, pani Permaneder, wypowiedziawszy parę słów żalu, zaczęła przesuwając końcem języka po górnej wardze i spoglądać ukradkiem na brata, co sprawiło, że panie Buddenbrook zamieniły nieopisanie ironiczne spojrzenie, a potem wszystkie jak na komendę mocno zacisnęły oczy i usta. Konsul odpowiedział przelotnie na chytry uśmiech siostry i zwrócił rozmowę w innym kierunku. Wiedział on, że w mieście rzucono myśl, która napełniła Tonię radosnymżywieniem...

Wymieniano i odrzucano

nazwiska. Wybierano i

rozpatrywano inne. Henning Kurz na NB~ackergrube był za stary, pożądana była wreszcie młodsza

siła. Konsul Huneus, kupiec drzewny, którego miliony zresztą mocno ważyły na szali, był zasadniczo wykluczony, ponieważ brat jego był członkiem senatu. Konsul Edward Kistenmaker, kupiec winny, i konsul Herman Hagenstr~om zgłosili swe kandydatury. Ale od samego początku słyhać już było nazwisko: Tomasz Buddenbrook. A im bardziej zbliżał się dzień wyborów, tym stawało się jaśniejsze, że on oraz Herman Hagenstr~om mają największe szanse.

Herman Hagenstr~om miał niewątpliwie swych stronników i zwolenników. Jego zapał, gdy chodziło o sprawy publiczne, frapujące tempo rozwoju firmy „Strunck Hagenstr~om”, zbytkowne życie konsula, dom, jaki prowadził, oraz pasztety z gęsich wątróbek, które spożywał na śniadanie – wszystko to wywierało wrażenie. Ten duży, trochę za tłusty człowiek z rudawą, krótko przyciętą brodą i spłaszczonym nosem, człowiek, którego dziada nie znał tu nikt, nawet on sam, którego ojciec wskutek bogatego, ale wątpliwego małżeństwa nie mógł prawie brać udziału w życiu towarzyskim, a który spowinowaciwszy się z M~ollendorpfami i Huneusami

umieścił swoje nazwisko wśród
pięciu czy sześciu przodujących
rodzin – był w mieście postacią
niezaprzeczalnie wybitną i
wzbudzającą szacunek. Co w
osobie jego było nowe i
pociągające, co wyróżniało go i
w oczach wielu dawało mu
przodujące stanowisko, to ów
liberalny i tolerancyjny
charakter wszystkich jego
poczynań. Lekkość i
wielkoduszność, z jaką zarabiał
i wydawał pieniądze, różniła się
zdecydowanie od cierpliwej,
ciężkawej i uginającej się pod
brzemieniem odziedziczonych
zasad pracy jego współobywateli

–kupców. Człowiek ów nie był skępowany więzami tradycji lub pietyzmu dla przeszłości, stał na własnych nogach i wszystko, co staroświeckie, było mu obce. Nie zamieszkiwał żadnego ze starych patrycjuszowskich domów, przy których budowie bez sensu szafowano przestrzenią i gdzie białe lakierowane galerie biegły dokoła olbrzymich kamiennych sieni. Skromna fasada jego nowego domu na Sandstrasse, południowym przedłużeniu Breitenstrasse, pomalowana była olejno; rozkład pokoi był tam praktyczny, urządzenie zaś kosztowne, eleganckie, wygodne i nowoczesne, całkowicie pozbawione napuszonego stylu. Do tego domu zaprosił niedawno na większe przyjęcie pewną śpiewaczkę z teatru miejskiego, by po obiedzie śpiewała wobec towarzystwa, w którym znajdował się również jego brat prawnik, pięknoduch i miłośnik sztuki, i najwspanialej tę panią fetował. Nie był on człowiekiem, który w Komitecie Obywatelskim przemawiałby za zatwierdzeniem większych sum na restaurowanie i utrzymanie średniowiecznych zabytków. Było jednak faktem, że on

pierwszy, bezwzględnie pierwszy, zaprowadził oświetlenie gazowe w swym mieszkaniu, jak również w biurach. Jeśli konsul Hagenstr~om był wierny jakiejś tradycji, to jedynie sposobowi myślenia, przejętemu od ojca, starego Henryka Hagenstr~oma, owym poglądom postępowym, swobodnym, wyrozumiałym, wolnym od przesądów, które zapewniały mu uznanie.

Prestiż Tomasza Buddenbrooka był innego rodzaju. Nie szło tu jedynie o niego samego, czczono w nim niezapomniane postacie ojca, dziada i pradziada, niezależnie od osobistego powodzenia w interesach i życiu publicznym był on przedstawicielem stuletniej chwały mieszczaństwa. Oczywiście najważniejszą rzeczą był tu ów lekki, pełen smaku i zniewalająco miły wdzięk jego wystąpień; co go zaś wyróżniało, to zupełnie niezwykły nawet wśród najbardziej uczonych współobywateli stopień formalnego wykształcenia, które wszędzie, gdzie się objawiało, wzbudzało zarówno podziw, jak i respekt...

W czwartek u Buddenbrooków w obecności konsula zaledwie przelotnie wspomniano o wyborach, przy czym stara konsulowa dyskretnie spojrzała w bok swymi jasnymi oczyma. Pani Permaneder nie mogła sobie jednak odmówić tej przyjemności i zaczęła popisywać się trochę swą znajomością ustawy państwowej, której przepisy, obowiązujące przy wyborze członków senatu, przestudiowała równie wyczerpująco jak przed rokiem paragrafy dotyczące rozwodów. Mówiła o izbach wyborczych, o wyborach i głosach, wymieniała wszystkie możliwe ewentualności i bez zająknięcia zacytowała dosłownie tekst przysięgi, opowiadała o „rozmowach przygotowawczych”, które zgodnie z ustawą bywają podejmowane przez poszczególne izby wyborcze w związku z tymi, których nazwiska figurują na liście kandydatów, oraz wyraziła chęć uczestniczenia w „rozmowie przygotowawczej”, gdy będzie mowa o Hermanie Hagenstr~omie. Po chwili nachyliła się nad stołem i zaczęła liczyć pestki od śliwek na talerzyku brata: – Pan, kapitan, doktor, pastor, senator! – mówiła przerzucając pestki końcem noża na mały talerzyk... Ale po obiedzie, nie mogąc dłużej wytrzymać, odciągnęła konsula za rękę do okna.

–O Boże, Tom. Jeśli ty zostaniesz... jeśli nasz herb zawieszą w wojennej sali na ratuszu... ja umrę z radości! padnę nieżywa, zobaczysz!

–No, droga Toni! Proszę cię, trochę więcej godności i dobrego ułożenia! Przecież tego nie brak ci zazwyczaj? Czyż ja zabiegam jak Henning Kurz? I bez tytułu senatora mamy jeszcze jakieś znaczenie... Mam nadzieję, że w każdym razie zostaniesz przy życiu.

Agitacja, obrady, ścieranie się opinii trwało w dalszym ciągu. Konsul Piotr D~ohlmann, suitier, właściciel firmy, która egzystowała już tylko z imienia, oraz ojciec dwudziestosiedmioletniej córki, której spadek przejadł, również brał udział w obradach, a podczas obiadu wydanego przez Tomasza Buddenbrooka, jako też w czasie podobnego obiadu u Hermana Hagenstr~oma grzmiącym i potężnym głosem tytułował każdego z dwu gospodarzy „panem senatorem”. Ale Zygmunt Gosch, stary makler Gosch, błąkał się jak groźny lew i zobowiązał się zdusić każdego, kto by nie chciał głosować na konsula Buddenbrooka.

–Konsul Buddenbrook, moi panowie... ha! cóż to za człowiek! Stałem u boku jego ojca, gdy w roku 1848 jednym słowem ułagodził wściekłość tłumu... Gdyby była sprawiedliwość na świecie, już jego ojciec, jego dziad powinni byli zasiadać w senacie...

W gruncie rzeczy nie tyle osoba konsula Buddenbrooka rozpałała serce pana Goscha, ile raczej młoda pani konsulowa, z domu Arnoldsen. Nie znaczyło to, że makler zamienił z nią kiedykolwiek choćby jedno słowo. Nie należał on do grona bogatych kupców, nie jadał przy ich stołach i nie wymieniał z nimi kart wizytowych. Ale zaledwie Gerda Buddenbrook ukazała się w mieście, natychmiast wyszedł ją stęskniony za niezwykłością ponury wzrok maklera. Odgadł pewnym instynktem, że postać jej jest jakby na to stworzona, by wlać nieco treści w jego pustą egzystencję, i pomimo iż znał ją zaledwie z imienia, stał się jej niewolnikiem duszą i ciałem. Odtąd krążył w myślach dokoła tej nerwowej i niezmiernie zamkniętej w sobie damy, jak tygrys dokoła pogromcy: z tym samym zaciętym wyrazem twarzy, przybierając złośliwie pokorną postawę, w sposób najzupełniej dla niej nie oczekiwany zdejmował przed nią na ulicy swój jezuicki kapelusz... Pospolity szary świat nie dawał mu okazji popełnienia dla tej kobiety jakiegoś straszliwego czynu, za który, posępny, przygarbiony, owinięty w swój płaszcz, odpowiadałby z szatańską obojętnością. Nudne obyczaje świata nie dozwalały mu wznieść tej kobiety na cesarski tron za pomocą zbrodni, przestępstwa czy krwawego podstępu. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko głosować na ratuszu za jej głęboko czczonym małżonkiem i może kiedyś ofiarować jej swój przekład dramatów Lope de Vegi.

‘ty

Część siódma (cd.)

Rozdział czwarty

Każde opróżnione w senacie miejsce musi być zajęte przed upływem czterech tygodni; tak chce ustawa. Trzy tygodnie upłynęły od śmierci Jamesa Mollendorpfa i nadszedł dzień wyborów, był to dżdżysty dzień odwilży, przy końcu lutego.

Na Breitenstrasse, przed ratuszem o fasadzie z pokrytych glazurą cegieł, którego spiczaste wieże i wieżyczki wznoszą się na tle białoszarego nieba, kryte schody spoczywają na wysuniętych kolumnach, ostrołukowe arkady zaś odsłaniają widok na rynek wraz ze studniami... przed owym ratuszem o pierwszej w południe tłoczą się ludzie. Stoją niewzruszenie w roztajałym brudnym śniegu ulicy, który pod ich stopami zupełnie się rozplywa, spoglądają po sobie i wyciągając szyje patrzą znowu wprost przed siebie. Gdyż tam, poza portalem, w sali obrad, gdzie czternaście foteli stoi półkolem, zebranie wyborcze złożone z członków senatu i Komitetu Obywatelskiego oczekuje w tej chwili odczytania listy wyborczej...

Sprawa przeciąga się. Wygląda na to, jak gdyby debaty w izbach nie mogły się uspokoić, jak gdyby walka była uporczywa i jak gdyby zgromadzenie w sali obrad nie przedstawiło dotąd jednomyślnie kandydata, gdyż zostałby on natychmiast zatwierdzony przez burmistrza... Dziwne! Nikt nie wie, skąd pochodzą i gdzie powstają wieści przedostające się na ulicę. Może tam stoi pan Kaspersen, starszy z dwu woźnych ratusza, który sam nie nazywa siebie inaczej niż „urzędnikiem państwowym”, i nie patrząc na nikogo powtarza przez zaciśnięte zęby pochwycone wiadomości? Teraz powiadają, że sala posiedzeń otrzymała już listy i że każda z trzech izb proponuje innego kandydata; padają nazwiska Hagenstr~oma, Buddenbrooka, Kistenmakera. Dałby Bóg, żeby choć powszechne tajne głosowanie za pomocą kartek dało niezaprzeczoną większość! Kto nie ma ciepłych kaloszy, zaczyna przytupywać nogami, które bolą z zimna.

Ci, co tu stoją i czekają, są to ludzie ze wszystkich klas. Widać tu marynarzy z gołymi tatuowanymi szyjami, trzymających ręce w głębokich kieszeniach spodni, tragarzy zboża o niezwykle rzetelnych twarzach, w bluzach i krótkich spodniach z czarnego błyszczącego płótna, woźniców, którzy zleźli z wozów naładowanych worami żyta i przyszli tu z batem w rękę, by oczekiwać rezultatu wyborów; służące w chustkach na szyi, fartuchach, grubych pasiastych sukniach, w małych białych czepeczkach na głowie, z koszykami przewieszonymi przez obnażone ręce; handlarki ryb i jarzyn w słomianych budkach; jest nawet kilka ogrodniczek w holenderskich czepkach, krótkich spódniczkach i z długimi fałdzistymi, białymi rękawami, widocznymi spod suto haftowanych staników... Pośród nich mieszczanie, właściciele pobliskich sklepów, którzy wyszli bez kapeluszy i rozmawiają ze sobą, młodzi, porządnie ubrani kupcy, synowie, odbywający w kantorach ojców lub ich przyjaciół swą trzy_ lub czteroletnią praktykę, uczniowie z tornistrami i teczkami...

Z tyłu, za dwoma żującymi tytoń robotnikami o marynarskich bródkach, stoi pewna dama, która spogląda z wielkim wzruszeniem, chcąc między ramionami rosnących chłopów dojrzeć ratusz. Ma na sobie rodzaj długiego, ciemnego, futrem przybranego wieczorowego płaszcza, który przytrzymuje od wewnątrz, twarz jej zaś osłonięta jest całkowicie gęstą, ciemną woalką. Kalosze drepcą bez przerwy po roztopionym śniegu...

–U Boga Ojca,»* znowu go nie wybiorą, tego twojego pana Kurza – mówi jeden z robotników do drugiego.

–Co ty, stary głupcze, Amerykę odkryłeś? Przecie teraz wszyscy głosują na Hagenstr~oma, Kistenmakera i Buddenbrooka.

–To teraz tylko pytanie, któren przejdzie.

–Przestaniesz ty wreszcie gadać?

–Wiesz co? Pewnikiem wybiorą Hagenstr~oma.

–Widzisz go, jaki mądry...

Gadaj sobie zdrów. – Po czym wypluwa tytoń tuż obok siebie, gdyż tłok nie pozwala mu spluwać na odległość, obiema rękami podciąga spodnie i ciągnie dalej: – Hagenstr~om to stary żarłok, nie może wcale oddychać nosem, taki ci tłusty... E, jak mój pan Kurz nie ma znowu być, to już wolę Buddenbrooka. To ci taki fajny chłop...

–Gadaj sobie zdrów,

Hagenstr~om za to o wiele bogatszy...

–To nic nie znaczy. To nieważne.

–A ten Buddenbrook zawsze taki ci diabelnie elegancki, z tymi mankietami i z jedwabnym krawatem, a te wąsiska... Widziałeś, jak on chodzi? Zawsze ci tak kapkę podskakuje jak ten ptaszek...

Dialog poniższy prowadzony jest dialektem „platt” (przyp. tłum.).

–Ty stary głupcze, kto tam na to patrzy.

–Gadają, że on ma siostrę, co już od dwu mężów uciekła?

...Damę w płaszczu wieczorowym przenika dreszcz...

–Tak, była tam jakaś heca.

–Co my tam na to poradzimy, a i konsul tak samo nic nie pomoże.

„No, pewnie! Prawda?! – myśli zawołowana dama zaciskając ręce pod płaszczem... – Prawda? O, Bogu niech będą dzięki”.

–A tak samo – dodaje stronnik Buddenbrooka – tak samo burmistrz Oeverdieck trzymał do chrztu jego syna, a to już chyba ma znaczenie, powiadam ci...

„Prawda? – myśli dama. – Tak, Bogu dzięki, to zrobiło wrażenie...” – dygoce cała. Przedziera się nowa wieść, krąży w tłumie i przedostaje się aż do niej. Powszechne głosowanie nie dało wyniku. Wykluczono Edwarda Kistenmakera, który otrzymał najmniej głosów. Walka między Hagenstr~omem a Buddenbrookiem trwa dalej. Jakiś mieszczanin oznajmia z poważną miną, że jeśli liczba głosów okaże się równa, trzeba będzie wybrać pięciu „przedstawicieli”, którzy rozstrzygną większością głosów...

Nagle ktoś na przedzie blisko portalu woła:

–Heniek Seehase został wybrany!

ów Seehase to wiecznie pijany człowiek, rozwożący na ręcznym wózku chleb z piekarni parowej! Wszyscy się śmieją i stają na palcach, by dojrzeć dowcipnisia. Zawołowana damę również porywa nerwowy śmiech, który przez minutę wstrząsa jej ramionami. Ale po chwili opanowuje się czyniąc ruch, który oznacza: też wybrał się z żartami!... i znowu przygląda się ratuszowi między ramionami dwu robotników. W tej samej chwili ręce jej opadają tak, że płaszcz rozchyła się, i stoi z opuszczonymi ramionami, zgnębiona, zmiażdżona.

Hagenstr~om! – Wiadomość jest od razu na ustach wszystkich, nie wiadomo skąd, jak gdyby wyskoczyła spod ziemi lub spadła z nieba. – Rozstrzygnęło się nieodwołalnie: Hagenstr~om! – tak, tak, a więc to tak. Nie ma już na co czekać. Zawołowana dama mogła się tego spodziewać. Tak się to dzieje w życiu. Można sobie iść do domu. Czuje, że zbiera się jej na płacz...

Stan ów trwa zaledwie sekundę, po czym niespodzianie przez cały tłum przechodzi nagły wstrząs, ruch wstecz, pchnięcie, które każe stojącym na przedzie cofnąć się i oprzeć o dalsze rzędy, podczas gdy tam daleko, u głównego wejścia błyska coś jasnoczerwonego... To czerwone fraki obu woźnych ratusza, Kaspersena i Uhlefeldta, którzy zjawiają się jeden obok drugiego i w galowych strojach, w stosownych kapeluszach, krótkich białych spodniach, żółtych sztylpach, ze szpadami u boku kroczą wśród rozstępującego się tłumy. Idą jak przeznaczenie: milczący, poważni, zamknięci w sobie, nie oglądając się na prawo ani na lewo, ze spuszczonej oczami... i z nieubłaganą stanowczością kierują się w stronę, jaką wyznaczył i wskazał im wynik wyborów. A nie jest to kierunek ku

Sandstrasse, lecz idą na prawo, w dół Breitenstrasse!

Zawołowana dama nie wierzy własnym oczom. Ale wszyscy wokoło również to spostrzegają. Ludzie posuwają się za woźnymi, mówiąc: – Nie, nie, NBuddenbrook! Nie Hagenstr~om!... – a z ratusza wychodzą już wśród ożywionych rozmów panowie, skręcają i szybkim krokiem idą przez Breitenstrasse, by nie spóźnić się z gratulacją.

Wówczas i owa dama owija się płaszczem i biegnie. Biegnie, jak właściwie dama nie powinna biec. Woalka przesuwa się odsłaniając jej zgrzaną twarz, ale to jest obojętne. I pomimo iż jeden z jej obszytych futrem kaloszy ciągle się zsuwa i w nieznośny sposób przeszkadza, prześciga ona wszystkich. Pierwsza staje przed narożnym domem obok B~ackergrube, dzwoni jak na alarm, woła do otwierającej służącej: – Idą, Katarzyno, idą! – pędzi po schodach, wpada do gabinetu, gdzie brat jej, nieco blady, odkłada gazetę i wykonywa ręką jak gdyby obronny ruch... obejmuje go powtarzając: – Idą, Tom, idą! Ty jesteś wybrany, a Herman Hagenstr~om przepadł!

Było to w piątek. Zaraz następnego dnia senator Buddenbrook stanął w sali ratuszowej przed krzesłem zmarłego Jamesa M~ollendorpfa, gdzie wobec zgromadzonych ojców miasta oraz Komitetu Obywatelskiego złożył taką przysięgę:

–Pragnę sumiennie pełnić mój urząd, starać się ze wszystkich sił o dobro państwa, strzec wiernie jego praw, uczciwie zarządzać dobrem publicznym i podczas swego urzędowania, a więc także podczas wyborów, nie kierować się własną korzyścią ani przyjaźnią lub też pokrewieństwem. Pragnę bronić praw państwowych i wymierzać sprawiedliwość każdemu, tak bogatemu, jak biednemu. Pragnę zachowywać milczenie w każdej sprawie, gdzie milczenie jest wymagane, zwłaszcza też pragnę w tym dochowywać tajemnicy, w czym tajemnica polecona mi będzie. Tak mi, panie Boże, dopomóż!

Rozdział piąty

Pragnienia nasze i przedsięwzięcia wypływają z pewnych trudnych do określenia potrzeb naszych nerwów. To, co nazywano „próżnością” Tomasza Buddenbrooka – troska o wygląd zewnętrzny, zbytek, jaki przebijał w jego ubiorze – było w gruncie rzeczy czymś zupełnie innym. Początkowo było to tylko wyrazem dążeń człowieka czynu, pragnącego być zawsze poprawnym od stóp do głów i świadomym swej nieskazitelności, która daje pewność siebie. Ale wymagania, jakie on sam sobie stawiał i jakie inni stawiali jego zdolnościom, rosły. Zawalony był obowiązkami prywatnymi i publicznymi. Na posiedzeniu rady miejskiej, przy rozdawaniu resortów członkom senatu, jemu przypadły sprawy podatkowe. Zaprzątnęła go jednak również kolej żelazna, opłaty celne oraz inne zagadnienia natury państwowej, podczas tysiącznych posiedzeń rady nadzorczej lub zarządzającej, którym wypadło mu prezydować od chwili swego wyboru, musiał wykazać całą swą ostrożność, umiejętność postępowania i elastyczność, by bezustannie oszczędzać drażliwość o wiele starszych od siebie, pozornie podporządkowywać się ich długoletniemu doświadczeniu, a mimo to zachować władzę w swym ręku. Jeśli można było jednocześnie zauważyć, iż w zadziwiający sposób wzrasta jego „próżność”, to jest owa potrzeba zewnętrznego odświeżania się, odnawiania, zmieniania ubioru kilka razy na dzień, oznaczało to po prostu, że pomimo iż Tomasz Buddenbrook liczył zaledwie trzydzieści siedem lat, czuł, że jego sprężystość zaczyna zużywać się i słabnąć...

Gdy zacny doktor Grabow prosił go, by żył trochę spokojniej, odpowiadał: – O, mój kochany doktorze! Nie mogę sobie jeszcze na to pozwolić. – Chciał przez to powiedzieć, że musi niesłuchanie dużo pracować nad sobą, zanim może kiedyś osiągnie moment, gdy dopiąwszy celu będzie mógł zażywać spokoju i bez troski. W rzeczywistości nie bardzo wierzył w taki moment. Pchało go coś naprzód i nie dawało mu spokoju. Nawet wówczas, kiedy pozornie wypoczywał, na przykład po obiedzie, gdy zabierał się do gazet i ruchem powolnym uporczywie kręcił koniec wąsa, a na bladych jego skroniach uwydatniały się żyły – nawet wówczas tysiące planów przebiegało mu przez głowę. I z taką samą powagą zastanawiał się nad manewrem handlowym lub mową publiczną, z jaką postanawiał odświeżyć zapas bielizny osobistej, by przynajmniej pod tym względem mieć na jakiś czas porządek i spokój!

Takie zakupy i odświeżanie dostarczało mu pewnego przelotnego zadowolenia i spokoju, mógł zaś śmiało pozwolić sobie na te wydatki, gdyż interesy firmy szły w owych czasach doskonale, tak jak może tylko za czasów dziadka. Zyskiwała ona coraz większy rozgłos nie tylko w mieście, ale i w świecie, w republice zaś uznanie, jakim się cieszył Tomasz, ciągle wzrastało. Jedni z zazdrością, inni z przyjaznym zainteresowaniem obserwowali jego zręczność i gorliwość, podczas gdy on sam na próżno usiłował zachować pogodę, systematyczność i porządek w swej pracy, czując bezustannie, że wobec swej wybiegającej daleko naprzód twórczej fantazji ciągle jest rozpaczliwie zapóźniony.

Nie było to więc z jego strony zarozumiałością, jeśli w lecie owego roku 1863 rozmyślał nad projektem zbudowania sobie nowego, dużego domu. Ten, kto czuje się szczęśliwy, pozostaje na miejscu. Parł go ku temu niepokój, współobywatele mieli prawo przypisać te projekty jego „próżności”, gdyż istotnie tak to wyglądało. Nowy dom, radykalna zmiana życia zewnętrznego, przenosiny i instalowanie się na nowo, odrzucenie wszystkiego, co stare i niepotrzebne, wymazanie z pamięci braków ubiegłych lat: wszystkie te plany dawały mu poczucie czystości, nowości, odświeżenia, nieskazitelności, wzmocnienia... a widocznie czuł potrzebę tego, gdyż chwycił się ich z zapalem i nawet zwrócił oko na pewien określony punkt.

Na dosyć obszernym placu w dolnej części Fischergrube było do sprzedania dość zrujnowane, szare ze starości domostwo, którego właścicielka, bardzo stara panna, zamieszkująca je samotnie, ostatni potomek zapomnianej rodziny, niedawno zmarła. Na placu tym senator chciał dla siebie zbudować dom i idąc do portu często przechodził obok niego, badając go wzrokiem. Sympatyczne sąsiedztwo jego stanowiły poczciwe mieszczańskie domy o spiczastych dachach, najskromniej spośród nich przedstawiało się vis_~a_vis: wąski budynek z małą kwaciarenką na parterze.

Z całą energią zajął się tym przedsięwzięciem. Sporządził przybliżony kosztorys, a chociaż przewidywana suma nie była mała, wydało mu się, że bez uszczerbku może ją poświęcić. Jednak trwożyła go myśl, że może wszystko to jest w gruncie rzeczy zbyteczne, i przyznawał sobie, że obecny jego dom jest właściwie aż nadto obszerny dla niego samego, jego żony, dziecka oraz służby. Ale na pół tylko uświadomione jego potrzeby były silniejsze, toteż pragnąc wzmocnić i usprawiedliwić swe pragnienia, podzielił się nimi z siostrą.

–Słowem, Toni, jak się na to zapatrujesz? Te kręte schodki do łazienki są bardzo zabawne, ale w gruncie rzeczy wszystko to razem – to po prostu pudełko. Nie dość reprezentacyjne, prawda? A teraz, gdy okazałaś tego, że zostałem senatorem... A zatem: czy powinienem sobie na to pozwolić...?

Ach, mój Boże, na cóż on nie powinien był sobie pozwolić w oczach pani Permaneder! Pełna była powagi i zapału.

Skrzyżowała ręce na piersiach i podnosząc nieco ramiona chodziła po pokoju z odrzuconą w tył głową.

–Masz rację. Tom! O Boże, jeszcze jak masz rację! Nie widzę tu żadnej przeszkody, zwłaszcza dla kogoś, kto poślubił pannę Arnoldsen ze stu tysiącami talarów... Taka jestem dumna, że mnie pierwszą wtajemniczyłeś, jak to ładnie z twojej strony!... Ale jeżeli już to zrobisz, to musi być wytwornie, pamiętaj...!

–Ależ tak, jestem tego samego zdania, wyłożę na to coś niecoś. Voigt będzie mi budował i z góry cieszę się, że będziemy razem z tobą rozpatrywali plany. Voigt ma wiele smaku...

Następną przychylną opinią, jaką Tomasz usłyszał, było zdanie Gerdy. Stanowczo pochwaliła projekt. Zamęt przeprowadzki nie będzie przyjemny, ale uszczęśliwiała ją perspektywa dużego pokoju muzycznego z dobrą akustyką. Co do starej konsulowej, to była ona gotowa widzieć w tej budowie logiczny związek z innymi szczęśliwymi wydarzeniami, napełniającymi ją wdzięcznością wobec Boga. Od czasu narodzin spadkobiercy i wyboru konsula na senatora jej macierzyńska duma wyrażała się jeszcze jawniej niż przedtem, zwrot: „mój syn, senator” wymawiała ona w sposób, który wielce irytował panie Buddenbrook z Breitenstrasse.

Starzejące się panny nie miały jednak wiele do powiedzenia wobec znakomitego wznoszenia się poziomu życia Tomasza. Małą pociechą było szydzić w czwartki z biednej Klotyldy; co się zaś tyczy Chrystiana – który dzięki staraniom dawnego szefa, pana Richardsona, dostał w Londynie posadę i który niedawno, ku oburzeniu konsulowej, telegrafował stamtąd, że chce się ożenić z panną Puvogel – to ponieważ spadł on po prostu do jednego rzędu z Jakubem Krögerem, temat ten był sprawą skończoną. Tak więc zadowalały się słabostkami konsulowej tudzież pani Permaneder, naprowadzając, na przykład, rozmowę na fryzury, konsulowa umiała z najniewinniejszą miną w świecie odezwać się, że czesze skromnie „swoje” włosy... podczas gdy każdy, kogo Bóg obdarzył zdrowym rozumem, przede wszystkim zaś panie Buddenbrook, dobrze wiedział, że niezmiennie rudawej fryzury pod czepkami starej damy od dawna nie można nazwać „jej” włosami. Jeszcze bardziej opłacało się prowokować kuzynkę Tonię do wypowiedzania się na temat osób, które odegrały tak fatalną rolę w jej życiu. Tr~anen_trieschke! Gr~unlich! Permaneder!

Hagenstr~omowie!... Nazwiska owe, które Tonia, gdy była rozdrażniona, wyrzucała z siebie niby małe fanfary obrzydzenia, brzmiały bardzo przyjemnie w uszach córek stryja Gottholda.

Poza tym nie ukrywały przed

sobą i bynajmniej nie

zobowiązywały się tego

przemilczeć, że mały Jan niepokojąco trudno uczy się chodzić i mówić. Miały w tym dużo racji, trzeba bowiem przyznać, że Hanno – tak nazywała syna pani senatorowa Buddenbrook – w czasach,

gdy już umiał poprawnie nazywać wszystkich członków rodziny, ciągle jeszcze nie mógł wyraźnie wymawiać imion Fryderyki, Henryki ani Fifi. Co się tyczy chodzenia, to mając pięć kwartałów nie uczynił jeszcze ani jednego samodzielnego kroku; w tym właśnie czasie panie Buddenbrook orzekły kiwając głowami, że to dziecko pozostanie na całe życie niemową i kaleką.

Smutne to proroctwo musiały później uznać za pomyłkę, nie można było jednak zaprzeczyć, że Hanno był nieco zapóźniony w rozwoju. Już w najwcześniejszych okresach życia organizm jego staczał ciężkie walki i całe otoczenie było w bezustannej trwodze. Przyszedł na świat jako dziecko ciche i słabe, zaraz zaś po chrzcie silny rozstrój kiszek, który trwał trzy dni, o mało nie zatrzymał na zawsze małego serca, które z trudem zmuszono do działania. Pozostał tedy przy życiu, a zacy doktor Grabow, stosując najstaranniejszą opiekę oraz odżywianie, wynajdywał z kolei zapobiegawcze środki przeciw kryzysowi żółtkowatemu. Zaledwie jednak zaczął wyrzynać się pierwszy biały kielek, gdy nastąpiły konwulsje, które ponawiały się w sposób przerażający. Znow nadeszła chwila, kiedy stary lekarz milcząco ścisnął rodzicom ręce... Dziecko leżało najzupełniej wyczerpane, a nieruchome, w bok skierowane spojrzenie głęboko ocienionych oczu świadczyło o tym, że i mózg był zaatakowany. Należało już niemal pragnąć końca.

A jednak Hanno znow odzyskał siły, wzrok jego zaczął obejmować przedmioty i chociaż przebyte trudy opóźniły postępy w mówieniu i chodzeniu, to jednak życiu jego nie zagrażało już żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Hanno był smukły i jak na swój wiek dość wysoki. Jasnobrązowe, bardzo miękkie włosy zaczęły w tym czasie bardzo szybko rosnać i lekko falując opadały na ramiona jego fałdzistej sukieneczki. Podobieństwa rodzinne wyraźnie już można było określić. Od początku miał zupełnie wyraźnie buddenbrookowskie ręce – szerokie, nieco za krótkie, ale pięknie ukształtowane; jego nos zaś był dokładnie taki jak ojca i pradiadka, jakkolwiek nozdrza wydawały się jeszcze delikatniejsze. Ale podłużna, wąska dolna szczęka nie przypominała ani Buddenbrooków, ani Krögerów, lecz rodzinę matki – równie jak i usta; wcześniej, już teraz, skłonne do zaciskania się w sposób bolesny i trwożliwy... z wyrazem, do którego coraz bardziej dostosowywało się spojrzenie jego oryginalnych, złotobrunatnych oczu...

Rozpoczął życie pod pełnym
tajonej czułości wzrokiem ojca,
otoczony pieczołowitą opieką
matki, która doglądała jego
sukienek oraz pielęgnacji,
ubóstwiany przez ciotkę
Antoninę, obdarowywany
żołnierzami i bąkami przez

konsulową i wuja Justusa, gdy

zaś jego ładny, mały wózek

ukazywał się na ulicy,

spoglądano nań z

zainteresowaniem i nadzieją. Co się tyczy wielce godnej wychowawczyni, pani Decho, która obecnie jeszcze pełniła przy nim obowiązki, to było rzeczą postanowioną, że do nowego domu przejdzie zamiast niej Ida Jungmann, konsulowa zaś będzie musiała rozejrzeć się za inną pomocnicą...

Senator Buddenbrook urzeczywistniał swoje plany. Kupno placu przy Fischergrube nie przedstawiało żadnych trudności; dom na Breitenstrasse, przy którego sprzedaży makler Gosch gotów był pośredniczyć, miał zakupić dla siebie pan Stefan Kistenmaker, rodzina jego powiększała się, on zaś z bratem zarabiał na winie dużo pieniędzy. Pan Voigt podjął się budowy i wkrótce można już było na czwartkowym rodzinnym zebraniu rozwinać starannie nakreślony plan i zawczasu obejrzeć fasadę: wspaniałą budowlę z surowej cegły z kariatydami z piaskowca, które podtrzymywały wykusz, z płaskim dachem, o którym Klodylda zauważyła przeciągle i uprzejmie, że można tam będzie pijać popołudniową kawę... Nawet sprawa pomieszczeń parterowych na Mengstrasse szybko została rozwiązana, zdawało się, że będą musiały zostać puste, gdyż senator zamierzał przenieść także swoje kantory na Fischergrube; okazało się jednak, że miejskie Towarzystwo Ubezpieczeń od Ognia pragnie wynająć je na biura.

Nadeszła jesień, szare mury zwały się w gruzy, zima nadciągnęła i minęła, a nad obszernymi piwnicami począł wyrastać nowy dom Tomasza Buddenbrooka. Nie było w mieście bardziej pociągającego tematu rozmów! Był to najpiękniejszy dom na całą okolicę, był naprawdę tip_top! Czy może w Hamburgu są piękniejsze? Musi być jednak okropnie kosztowny i stary konsul nigdy by się tak nie szastał... Sąsiedzi, mieszczanie z domów o spiczastych dachach, siedzieli w oknach, przypatrywali się robotnikom pracującym na rusztowaniach, cieszyli się, że budowa postępuje, i starali się odgadnąć, kiedy nadejdzie uroczysty dzień ukończenia budowy.

Nadszedł wreszcie ów dzień i obchodzony był z wszelkimi ceremoniami. Na górze, na płaskim dachu, stary majster murarski wygłosił mowę, po czym cisnął za siebie butelkę szampana, a wśród chorągwi ciężko zakołysał się na wietrze ogromny wieniec z róż, zielonych liści i różnobarwnych wstążek. Następnie w pobliskiej gospodzie urządzono dla wszystkich robotników ucztę, długi stół zastawiono piwem, butersznytami i cygarami, senator Buddenbrook zaś wraz z małżonką i synkiem, spoczywającym na ręku pani Decho, przechodzili przez niski pokój między stołami i dziękowali za wznoszone na ich cześć wiwaty.

Na ulicy ułożono małego Jana z powrotem w wózku, Tomasz zaś z Gerdą przeszli przez jezdnię, by spojrzeć jeszcze raz na czerwoną fasadę z białymi kariatydami. Naprzeciwko, przed małą kwiaciarenką o wąskich drzwiczkach i skromnej wystawie, na której ustawione było parę doniczek z cebulkowymi roślinami, stał Iwersen, właściciel sklepu, jasnowłosy olbrzym w wełnianej kurtce, a obok niego o wiele szczuplejsza żona o ciemnym południowym typie. Trzymała ona za rękę cztero- lub pięcioletniego chłopczyka, drugą zaś popychała wolno tam i z powrotem wózek, w którym

drzemało mniejsze dziecko, widać było, że jest znów przy nadziei.

Iwersen skłonił się głęboko i niezgrabnie, podczas gdy żona jego, popychając wciąż wózek tam i z powrotem, spokojnie i uważnie przypatrywała się swymi ciemnymi, podłużnymi oczami senatorowej, która zbliżyła się do niej, wsparta na ramieniu małżonka.

Tomasz zatrzymał się i wskazał laską wieniec na dachu domu.

–Ładnieś pan to zrobił, panie Iwersen!

–To nie ja, panie senatorze.

To robota mojej żony.

–A! – rzekł krótko senator, odrzucając trochę w tył głowę. Przez sekundę patrzył bystro, mocno i przyjaźnie w oczy pani Iwersen i nie dodając ani słowa więcej pożegnał ich uprzejmym skinieniem ręki.

Rozdział szósty

Pewnej niedzieli w początkach

lipca – cztery tygodnie upłynęło

od czasu, kiedy senator

Buddenbrook przeniósł się do

nowego domu – pani Permaneder

zjawiła się u brata przed

wieczorem. Przeszła chłodny,

kamienny westybul, ozdobiony

płaskorzeźbami kopiowanymi z

Thorvaldsena, i zadzwoniła do

drzwi, które można było otworzyć

z kuchni za pociśnięciem gumowej

gałki, w przedpokoju, gdzie przy

głównych schodach stał

niedźwiedź, podarunek

Tiburtiusów, dowiedziała się od służącego Antoniego, że senator jeszcze pracuje.

–Doskonale – rzekła –

dziękuję, Antoni. Pójdę do niego.

Ale przedtem przeszła jeszcze obok wejścia do kantoru, nieco na prawo, tam gdzie otwierała się ogromna klatka schodowa, utworzona na pierwszym piętrze z przedłużenia żelaznej balustrady schodów przekształcała się na drugim w szeroką, złocisto_białą kolumnadę, podczas gdy z zawrotnej wysokości „szklanego sufitu” zwieszał się potężny złożony żyrandol...

–Wytwornie! – rzekła pani

Permaneder cicho i z zadowoleniem, patrząc na ten olśniewający przepych, wyrażający w jej oczach potęgę, świetność i triumf Buddenbrooków. Potem jednak przypomniała sobie, że przychodzi w przykrew sprawie, i powoli zwróciła się ku wejściu do kantoru.

Tomasz był zupełnie sam; siedział na swoim miejscu przy oknie i pisał list. Spojrzał podnosząc jedną brew, i wyciągnął do siostry rękę.

–Dobry wieczór, Toniu. Co dobrego?

–Ach, niewiele dobrego.

Tom!... Ta klatka schodowa jest zupełnie cudowna!... Ale ty tu siedzisz po ciemku i piszesz...

–Tak... pilny list... Więc nic dobrego? W każdym razie możemy przejść się trochę po ogrodzie, tak będzie przyjemniej. Chodź.

Gdy przechodzili przez sień, z pierwszego piętra dobiegły drżące dźwięki adagia skrzypcowego.

–Posłuchaj! – powiedziała pani Permaneder i przystanęła na chwilę... – Gerda gra. Jak niebiańsko! O Boże, ta kobieta... to czarodziejka! Co porabia Hanno, Tom?

–Zapewne je teraz kolację z Idą. Źle, że w chodzeniu nie robi żadnych postępów...

–To samo przyjdzie. Tom, samo przyjdzie! Jesteście zadowoleni z Idy?

–O, jakże byśmy mogli nie być zadowoleni... Przeszli przez dalej położoną kamienną sień, pozostawiając za sobą na prawo kuchnię, i przez szklane drzwi zeszli po dwu stopniach do ślicznego, pachnącego ogrodu pełnego kwiatów.

–A więc? – zapytał senator.

Było ciepło i cicho. Zapachy starannie utrzymanych grządek wypełniały wieczorne powietrze, a

otoczona liliowymi, wysokimi irysami fontanna z cichym pluskiem wysyłała promienie wody w ciemniejące niebo, na którym już rozbłyskiwać zaczęły pierwsze gwiazdy. W głębi małe stopnie, ozdobione po bokach dwoma niskimi obeliskami, prowadziły na wzniesiony, żwirowany plac, na którym znajdował się drewniany pawilon: pod opuszczoną markizą stało tam kilka ogrodowych krzeseł. Z lewej strony plac oddzielony był murem od sąsiedniego ogrodu, z prawej zaś ściana przylegającego domu przybrana była kratą, która w przyszłości miała się pokryć pnącymi roślinami. Po obu stronach stopni rosły krzaki porzeczek i agrestu; było tam pod murem jedno jedyne duże drzewo, włoski orzech.

–Chodzi o to – odrzekła z wahaniem pani Permaneder chodząc z bratem po żwirowanej ścieżce dokoła placu... – Tiburtius pisze...

–Klara?! – zapytał Tomasz...

–Proszę cię, krótko i bez wstępów!

–Tak, Tomasz, leży, źle z nią, doktor obawia się, że to tuberkuły... tuberkuloza... mózgu... z trudem przychodzi mi mówić o tym. Patrz, oto list, który jej mąż pisze do mnie. Ten dodatek adresowany jest do matki; jest w nim podobno to samo, mamy jej go oddać, gdy najpierw nieco ją przygotujemy. A tu jeszcze jeden dodatek, też do matki od samej Klary, pisany ołówkiem bardzo niepewną ręką. I Tiburtius mówi, jakoby ona sama powiedziała, że jest to jej ostatni list, bo właśnie to jest najsmutniejsze, że ona nie stara się wcale o powrót do zdrowia. Zawsze przecież tęskniła za niebem... – zakończyła pani Permaneder ocierając oczy.

Senator chodził milcząc, z założonymi na plecach rękami i z opuszczoną głową.

–Milczysz, Tomasz... I masz rację. Cóż tu można powiedzieć? I to właśnie teraz, gdy Chrystian także leży chory w Hamburgu...

Była to prawda. „Cierpienie” Chrystiana w lewym boku stało się w ostatnich czasach w Londynie tak mocne, a wreszcie przekształciło się w tak dokuczliwe bóle, że zapomniał przy tym o wszystkich swoich mniejszych dolegliwościach. Nie mógł sobie z tym poradzić, napisał do matki, że musi powrócić do domu, by go pielęgnowała, porzucił posadę w Londynie i wyjechał. Zaledwie wszakże przybył do Hamburga, musiał położyć się do łóżka, lekarz stwierdził reumatyzm stawów i polecił Chrystiana przenieść z hotelu do szpitala, gdyż dalsza podróż okazała się niemożliwa. Leżał więc i dyktował swemu pielęgniarzowi wysoce smutne listy...

–Tak – odrzekł cicho senator

–wydaje się, jak gdyby jedno pociągało za sobą drugie.

–Ale nie powinienes się poddawać, Tom! Nie masz do tego najmniejszego prawa! Powinienes być dobrej myśli...

–Tak, Bogiem a prawdą, to by mi się przydało!...

–Jak to, Tom?... Powiedz no, dlaczego właściwie byłeś przedwczoraj, przez całe czwartkowe

popołudnie, taki milczący, jeśli wolno spytać?

–Ach... Interesy, moje dziecko. Niezbyt małą partię żyta musiałem nie bardzo korzystnie... no, więc, krótko i węzłowato: dużą partię żyta musiałem sprzedać bardzo niekorzystnie...

–O, to się zdarza, Tom! To się może dziś zdarzyć, a jutro wszystko może się poprawić. Psuć sobie humor z tego powodu...

–Źle mówisz, Toniu –

powiedział potrząsając głową. – Nie dlatego humor mój jest pod psem, że spotykają mnie niepowodzenia. Wprost przeciwnie. Takie jest moje przekonanie i dlatego też się to sprawdza.

–Ale co się stało z twoim humorem? – zapytała zdziwiona i przestraszona. – Zdawałoby się... że powinieneś być zadowolony, Tom! Klara żyje... wszystko dobrze pójdzie z boską pomocą! A poza tym? Chodzimy po twoim ogrodzie, wszędzie taki miły zapach... Tam jest twój dom – marzenie; Herman Hagenstr~om mieszka w chałupie w porównaniu z tym! Sam doszedłeś do tego wszystkiego...

–Tak, to prawie aż zbyt piękne, Toniu. Powiedziałbym, że to jest za nowe. Jeszcze trochę mi to przeszkadza, stąd też może zły humor, który szkodzi mi teraz na każdym kroku. Cieszyłem się bardzo na myśl o tym wszystkim, ale owa radość z góry była, jak zresztą zawsze, najlepsza z wszystkiego, gdyż to, co jest dobre, przychodzi zawsze za późno, zawsze za późno jest gotowe – wtedy gdy nie można się już tak bardzo z tego cieszyć...

–Nie można się już cieszyć, Tom? Jesteś tak młody!

–Człowiek jest tak młody albo tak stary, jak się czuje. A kiedy to, co jest dobre i czego się tak pragnęło, przybywa wreszcie powoli i z opóźnieniem, to przybywa obciążone wszelkimi drobiazgami, przeszkodami, przykrościami, przepojone pyłem rzeczywistości, z którą fantazja wcale się nie liczyła, a która drażni... drażni...

–Tak, tak... Chociaż człowiek jest tak młody albo tak stary, jak się czuje, Tom?

–Tak, Toniu. To może

przejsć... chwilowy rozstrój, zapewne. Ale czuję się ostatnio starszy niż jestem. Mam kłopoty handlowe, a wczoraj podczas posiedzenia rady nadzorczej drogi żelaznej do B~uchen konsul Hagenstr~om po prostu powalił mnie, prawie wystawił na pośmiewisko... Wydaje mi się że dawniej nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć. Wydaje mi się, jak gdyby coś zaczynało mi się wymykać, jak gdybym tego nieokreślonego „czegoś” nie trzymał już w rękach tak mocno jak dawniej... Czymże jest powodzenie? Tajemną siłą, nie dającą się opisać, bacznością, gotowością... świadomością, że samym moim istnieniem wywieram nacisk na otaczające życie... Wiarą w to, że życie samo układa się dla mnie korzystnie... Szczęście i powodzenie tkwią w nas samych. Musimy je trzymać, mocno, głęboko. Skoro tylko wewnątrz nas coś zaczyna się załamywać, rozpręgać, męczyć, natychmiast wszystko dokoła nas popuszcza wodze, opiera się nam, buntuje, uchyla się od naszych wpływów...

Jedno wypływa z drugiego, porażka następuje po porażce i wszystko jest skończone. W ostatnich dniach często myślałem o pewnym przysłowiu tureckim, które gdzieś wyczytałem: „Gdy dom jest gotów, nadchodzi śmierć”. No, więc to niekoniecznie musi być zaraz śmierć. Ale cofanie się... osuwanie... początek końca... Widzisz, Toni – ciągnął dalej, wsuwając rękę pod ramię siostry, a głos jego stał się jeszcze cichszy: – Gdyśmy chrzcili Jana, przypominasz sobie?

Powiedziałaś: „Wydaje mi się, jak gdyby teraz miały się zacząć zupełnie inne czasy?” Słyszę to jeszcze wyraźnie, a potem wszystko układać się poczęło tak, jak gdybyś trafnie przewidywała, przyszły wybory do senatu, poszczęściło mi się, a tu wyrastał z ziemi dom. Ale „senator” i dom – to pozory, a ja wiem coś, o czym tyś jeszcze nigdy nie pomyślała, wiem o tym z życia i z historii. Wiem, że często zewnętrzne, widoczne i uchwytnie oznaki i symbole szczęścia i wznoszenia się wzwyż zjawiają się dopiero wtedy, kiedy w istocie wszystko już zmierzcha. Owe zewnętrzne oznaki potrzebują nieco czasu na to, by się ukazać, są jak światło gwiazdy, o której nie wiemy, czy nie zaczyna gasnąć, czy już nie zgasła, wówczas gdy najjaśniej nam świeci...

Umilkł i szli przez chwilę bez słowa, a w ciszy słychać było plusk fontanny i lekki szum korony włoskiego orzecha. Potem pani Permaneder odetchnęła tak ciężko, że zabrzmiało to jak szloch.

–Jak ty smutno mówisz, Tom!

Tak smutno, jak jeszcze nigdy! Ale to lepiej, że się wygadałeś, teraz będzie ci lżej, wybijesz sobie to wszystko z głowy.

–Tak, Toni, muszę spróbować, o ile mi się uda. A teraz daj mi te oba listy, od Klary i od pastora. Lepiej dla ciebie, żebym sam wziął w ręce tę sprawę i jutro w południe pomówił z matką. Biedna matka! Ale jeżeli to jest tuberkuloza, trzeba się z tym pogodzić.

Rozdział siódmy

–I nie pytasz mnie?! Pomijasz mnie?!

–Postąpiłam, jak postąpić musiałam!

–Postąpiłaś jak najgorzej i najnierozsądniej!

–Rozsądek nie jest

najważniejszą rzeczą na ziemi!

–O, bez frazesów!... Idzie tu o zwykłą sprawiedliwość, o której zapomniałaś w sposób oburzający!

–Zwracam ci uwagę, synu, że ty ze swej strony zapominasz o uszanowaniu, któreś mi winien!

–A ja odpowiem ci, kochana matko, że o uszanowaniu tym jeszcze nigdy nie zapomniałem, że jednak moje uczucia synowskie schodzą na ostatni plan, skoro występuję w sprawach firmy i rodziny jako jej głowa i zastępuję ojca!...

–Rozkazuję ci milczeć, Tomaszu!

–O nie! nie będę milczał, dopóki nie uznasz swojego postępuku za dowód słabości i bezgranicznego nierozsądku!

–Rozporządzam moim majątkiem, jak mi się podoba!

–Słuszność i rozsądek powinny stanowić hamulec dla twych zachcianek!

–Nigdy nie myślałam, że będziesz mógł tak mnie obrazić!

–Nigdy nie myślałem, że będziesz mogła wymierzyć mi taki policzek!...

–Tom!... Ależ Tom! – dał się słyszeć przestraszony głos pani Permaneder. Siedziała, załamując ręce, przy oknie w pokoju pejzażowym, jej brat chodził po pokoju straszliwie wzburzony, a pełna gniewu i bólu konsulowa siedziała na sofie, jedna jej ręka spoczywała na poręczy, druga na stole, o który uderzała dłonią przy każdym mocniejszym słowie. Wszyscy troje nosili żałobę po Klarze, której nie było już na świecie, i wszyscy troje byli bladzi i wzburzeni...

Co się stało? Coś straszliwego, przerażającego, coś, co nawet zainteresowanym wydawało się potworne i nieprawdopodobne! Kłótnia, pełna gorzkości rozprawa między matką a synem!

Działo się to w pewne parne sierpniowe popołudnie. W dziesięć dni potem, gdy senator z całą przecznością przekazał matce listy Sieverta i Klary Tiburtius, musiał podjąć się ciężkiego obowiązku zawiadomienia starej damy o śmierci Klary. Potem pojechał na pogrzeb do Rygi, wrócił razem ze szwagrem, który spędził parę dni z rodziną żony, a także odwiedził Chrystiana w hamburskim szpitalu... teraz zaś, gdy pastor od dwu dni znowu był w swojej ojczyźnie, konsulowa z wyraźnym wahaniem uczyniła senatorowi to wyznanie...

–Sto dwadzieścia siedem tysięcy pięćset marek! – zawołał i splecionymi dłońmi potrząsnął tuż przed twarzą. – Gdyby choć sam posag! Mógł przecież zatrzymać osiemdziesiąt tysięcy, pomimo że nie ma dziecka! Ale scheda! Przyrzec mu schedę Klary! I nie pytasz się mnie! Pomijasz mnie!...

–Tomaszu, na miłość

Chrystusa! Pozwól mi się usprawiedliwić! Czyż mogłam inaczej? Czyż mogłam?!... Ona, która jest już u Boga, z dala od tego wszystkiego, pisze mi z łoża śmierci... ołówkiem... drżącą ręką... „Matko – pisze – nigdy się tu więcej nie zobaczymy, a to są, czuję to wyraźnie, moje ostatnie słowa... Resztką świadomości piszę, że memu mężowi należy się... Bóg nie pobłogosławił nas dzieckiem, ale pozwól, aby gdy ty podążysz za mną tam, on otrzymał to, co należałoby do mnie, gdybym była Ciebie przeżyła – by mógł dożywać z tego korzystać! Matko, jest to moja ostatnia prośba... prośba umierającej... Nie odmówisz mi...” Nie, Tomaszu! nie odmówiłam jej; nie mogłam! Zadepeszowałam do niej i umarła spokojnie... – Konsulowa wybuchnęła gwałtownym płaczem.

–I mnie nie mówi się z tego wszystkiego ani słowa! Trzyma się wszystko w tajemnicy! Pomija się mnie! – powtórzył senator.

–Tak, milczałam, Tomaszu: czułam, że muszę spełnić ostatnią prośbę umierającego dziecka... a wiem, że byłbyś próbował zabronić mi tego!

–Tak! Bóg świadkiem!

Zabroniłbym!

–A nie miałbyś do tego prawa, gdyż troje moich dzieci zgadza się ze mną!

–O, sądzę, że moje zdanie przeważałoby zdania dwu dam i jednego głupca...

–Równie bez uczucia mówisz o swym rodzeństwie, jak twardo przemawiasz do mnie?

–Klara była to kobieta pobożna, ale nieświadoma, matko! A Tonia jest dzieckiem i także o niczym dotąd nie wiedziała, bo gdyby wiedziała, byłaby się wygadała wcześniej, nieprawda? A Chrystian? ... Tak, zdobył sobie przyzwolenie Chrystiana ten Tiburtius... któż by mógł oczekiwać po nim czegoś podobnego?!... Czyż jeszcze nie wiesz, jeszcze nie rozumiesz, kim jest ten sprytny pastor? Jest nikkzemnikiem! Podłą kreaturą, co obławia się na posagach!

–Zięciowie zawsze są

oszustami – rzekła głuchym głosem pani Permaneder.

–Podła kreatura! Cóż on czyni? Jedzie do Hamburga, siada przy łóżku Chrystiana i naciera na niego. „Dobrze! – mówi Chrystian. – Dobrze, mój szwagrze, wola boska. Czy może pan sobie wyobrazić moje cierpienie w lewym boku?...” O, głupota i złość sprzysięgły się przeciw mnie! – I oparłszy się o żelazną kratę pieca senator w uniesieniu przycisnął splecione dłonie do czoła.

Ten paroksyzm wzburzenia był niewspółmierny z okolicznościami, jakie go pozornie wywołały! Nie, to nie owe sto dwadzieścia siedem tysięcy pięćset marek wprowadziło go w stan, w jakim go dotąd nikt nie widział! Wypadek ów, godząc w jego już poprzednio urażoną wrażliwość, dołączył się raczej do łańcucha porażek i upokorzeń, jakich w ostatnich miesiącach doznał w firmie i na mieście... Nic już się nie składało! Nic już nie szło podług jego woli! Czyż miało jeszcze dojść do tego, by w domu jego przodków „pomijano go” w najważniejszych sprawach...? By jakiś ryzyk pastor kpił sobie z niego?... Mógł nie dopuścić do tego, ale nie skorzystano wcale z jego pomocy! Wydarzenia popłynęły bez jego udziału własnym trybem. Ale wydawało mu się, że dawniej nie byłoby się to stało, że dawniej nie byłoby śmiało się stać! Było to nowe zachwianie wiary we własne szczęście, własną potęgę, własną przyszłość... To tylko jego wewnętrzna słabość i rozpacz wybuchły wobec matki i siostry podczas tej sceny.

Pani Permaneder wstała i objęła go.

–Tom – rzekła – uspokójże się! Opamiętaj się! Czyż jest tak źle? Rozchorujesz się przecie! Tiburtius nie będzie wiecznie żył... a po jego śmierci scheda wraca do nas! A jeśli sobie życzysz, to przecie można to jeszcze zmienić. Czy nie można tego zmienić, mammo?

Konsulowa odpowiedziała jedynie łkaniem.

–Nie... ach, nie! – rzekł senator, opanowując się i wykonując ręką słaby ruch przeczenia. – Co się stało, to się nie odstanie. Myślicie, że będę latał po sądach i procesował się z matką, by do rodzinnego skandalu dorzucić publiczny? Niech się dzieje, co chce... – zakończył i podszedł bezsilny do oszklonych drzwi, przy których jeszcze raz się zatrzymał.

–Ale nie myślcie, że nasza sytuacja jest wesoła – rzekł przytłumionym głosem. – Tonia straciła osiemdziesiąt tysięcy marek... a Chrystian, prócz swych pięćdziesięciu tysięcy posagu, które przepuścił, zużył już z górą trzydzieści tysięcy... suma ta jeszcze się zwiększy, gdyż nie zarabia, prócz tego zaś wydaje na kurację w ~oynhausen... Teraz nie tylko przepada na zawsze posag Klary, ale i jej część spadkowa odchodzi od rodziny na czas nieograniczony... A interesy idą źle, idą rozpaczliwie, odkąd włożyłem przeszło sto tysięcy w mój dom... Nie, nie jest dobrze z rodziną, w której istnieją powody do takich scen jak dzisiejsza. Możecie mi wierzyć, wierzajcie mi: gdyby ojciec teraz żył, gdyby tu był z nami, złożyłby ręce i poleciłby nas łasce Opatrzności.

Rozdział ósmy

Wojna i zgiełk wojenny, kwaterunki i bieganina!

Pruscy oficerowie kręcą się po ciągnących się w amfiladzie pokojach nowego domu senatora Buddenbrooka, całują rączki pani domu, Chrystian, który powrócił z ~oynhausen, wprowadza ich do klubu, podczas gdy na Mengstrasse panna Severin, Frydzia Severin, nowa „panna” konsulowej, ściąga stos materaców do starej altany w ogrodzie, w której pełno jest żołnierzy.

Wszędzie narzekania, zamieszanie, napięcie! Wojska wychodzą z miasta, inne wkraczają, zalewają miasto, jedzą, śpią, napełniają uszy obywateli warkotem bębnow, sygnałami trąbek, okrzykami komendy i znowu odchodzą. Powitania książąt krwi, przemarsz za przemarszem. Potem cisza i oczekiwanie.

Późną jesienią i wiosną zwycięskie wojska powracają, kwaterują się na nowo i wśród wiwatów oddychających wreszcie swobodniej mieszczan odchodzą. – Pokój. Krótki, brzemienny wypadkami pokój sześćdziesiątego piątego roku...

A między dwiema wojnami, bezpieczny i spokojny, w swej fałdzistej sukieneczce i w swych miękkich lokach mały Hanno bawi się odpowiednio do swoich czterech i pół lat... bawi się w ogrodzie koło fontanny lub w „altanie”, która wyłącznie dla niego oddzielona jest kolumnami od westybulu drugiego piętra... Zabawy, których głębokiego sensu ani czaru nie pojmuje nikt z dorosłych i do których nie potrzeba nic więcej, tylko trzech kamyczków lub kawałka drewna, ozdobionego może kwiatkiem lwiej paszczy zamiast hełmu – ale przede wszystkim potrzeba czystej, mocnej, szczerzej, niewinnej fantazji, niezachwianej i niezmaconej strachem fantazji owego szczęśliwego wieku, w którym życie oszczędza nas jeszcze, nie śmie nałożyć na nas obowiązku ani winy, gdy wolno nam widzieć, słyszeć, śmiać się, dziwić i marzyć, nie oddając światu usług... gdy niecierpliwość tych, których wszakże chcielibyśmy kochać, nie domaga się jeszcze od nas oznak ani pierwszych dowodów, że jesteśmy gotowi gorliwie spełniać owe usługi... Ach, już niezadługo, jakże ciężko i przemożnie zwali się na nas wszystko, by nas opanować, ćwiczyć, ukrócać, wyprostowywać, niszczyć.

Podczas gdy Hanno się bawił, spełniały się wielkie rzeczy. Wojna rozgorzała, szala zwycięstwa wahała się i przechylała, a rodzinne miasto Jana Buddenbrooka, które mądrze trzymało z Prusakami, spoglądało nie bez uczucia satysfakcji na bogaty Frankfurt, który płacąc za swą wiarę w Austrię przestał istnieć jako wolne miasto.

W związku z bankructwem pewnej wielkiej firmy frankfurckiej, w lipcu, bezpośrednio przed rozejmem, dom handlowy „Jan Buddenbrook” stracił od razu okrągłą sumę dwudziestu tysięcy talarów.

Część ósma

Rozdział pierwszy

Gdy pan Hugo Weinschenk, od

niejakiego czasu dyrektor

miejskiego Towarzystwa

Ubezpieczeń od Ognia,

przechodził swym kołyszącym się, pewnym siebie krokiem przez obszerną sień, by z frontowych pomieszczeń biurowych udać się do położonych w tyle, wyglądał na czynnego, dobrze sytuowanego, imponującego człowieka. Nosił szczelnie zapięty surdut, a cienkie, czarne jego wąsy poważnie i po męsku porastały kąty ust, dolna warga była nieco obwisła; chodząc trzymał przed sobą obie pięści i lekko poruszał łokciami.

Eryka Gr~unlich, obecnie dwudziestoletnia panna, była dużą, rozwiniętą i świeżą dziewczyną, tryskającą siłą i zdrowiem. Jeśli przypadkiem znalazła się na schodach właśnie wtedy, gdy przechodził pan Weinschenk – a przypadki takie zdarzały się nierzadko – wówczas dyrektor zdejmował cylinder odsłaniając swe krótkie czarne włosy, które na skroniach zaczynały już siwieć, silniej kołysał się w biodrach i pozdrawiał młodą pannę pełnym podziwu spojrzeniem swych śmiało patrzących ciemnych oczu... po czym Eryka uciekała, siadała gdzieś przy oknie i ze zmieszania oraz bezradności całą godzinę płakała.

Panna Gr~unlich dorosła pod opieką Teresy Weichbrodt i myśli jej nie wybiegały daleko. Płakała wspominając cylinder pana Weinschkena, sposób, w jaki na jej widok podnosił i znów opuszczał brwi, jego wysoce królewską postawę oraz kołyszące się pięści. Jednakże matka jej, pani Permaneder, patrzyła dalej.

Przyszłość córki od dawna już była przedmiotem jej troski, gdyż Eryce w porównaniu z innymi dorastającymi panienkami działa się krzywda. Pani Permaneder nie tylko nie bywała w towarzystwie, ale była z nim nawet we wrogich stosunkach. Przypuszczenie, że w najlepszych kołach uważają ją z powodu jej dwóch rozwodów za coś niższego, stało się u niej po prostu id~ee fixe pogardę i niechęć dostrzegała tam, gdzie zapewne nie było nic poza obojętnością. Na przykład taki konsul Herman Hagenstr~om, którego bogactwo czyniło wesołym i życzliwym dla całego świata, na

pewno klaniałby jej się na ulicy, gdyby mu tego najsurowiej nie zabraniała swoją odrzuconą w tył głową oraz spojrzeniem prześlizgującym się obok jego twarzy, „twarzy podobnej do pasztetu z wątróbek”, której, jak się dosadnie wyrażała, „unikała jak morowej zarazy”. Z tych powodów Eryka również pozostawała z dala od sfery, w jakiej obracał się jej wuj_senator, nie chodziła na bale i miała niewiele okazji do zawierania znajomości z mężczyznami.

Najgorętszym jednak życzeniem pani Antoniny, zwłaszcza odkąd, jak mówiła, „skończyła ze sobą”, było, aby córka spełniła nadzieje, jakie ją, matkę, zawiodły: pragnęła, by zawarła ona korzystne i szczęśliwe małżeństwo, które przyniosłoby zaszczyt rodzinie i pozwoliło zapomnieć o przejściach matki. Przede wszystkim pragnęła Tonia dowieść starszemu bratu, który w ostatnich czasach okazywał tak mało otuchy i radości życia, że szczęśliwe czasy rodziny jeszcze się nie skończyły, że rodzina bynajmniej nie zbliża się do upadku... Drugi jej posag, siedemnaście tysięcy talarów, które pan Permaneder tak elegancko zwrócił, leżał przygotowany dla Eryki i skoro tylko bystra i doświadczona pani Antonina zauważyła czuły stosunek, jaki zawiązał się między jej córką a dyrektorem, zaczęła wznosić modły do nieba, by pan Weinschenk złożył wizytę w ich domu.

Uczył to. Zjawił się na pierwszym piętrze, został przyjęty przez trzy panie, babkę, córkę i wnuczkę, rozmawiał przez dziesięć minut i obiecał przyjść znowu na swobodną pogawędkę po południu.

I to również się spełniło i poznano się wzajemnie. Dyrektor pochodził ze Śląska, gdzie też żył jeszcze jego stary ojciec; wydawało się jednak, jak gdyby rodzina jego nie liczyła się, a Hugo Weinschenk był raczej self_made manem»* i posiadał właściwą temu typowi ludzi pewność siebie, która nie była wrodzona ani mocno ugruntowana, lecz kryła w sobie trochę przesady i nieufności, a formy jego nie były bez zarzutu, rozmowa zaś wzruszająco nieporadna. Poza tym surdut jego miał krój mocno prowincjonalny i widać było na nim wytarte miejsca, mankiety z bursztynowymi spinkami nie odznaczały się nieskazitelną świeżością i czystością, a paznokieć na środkowym palcu lewej ręki był, wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, zupełnie martwy i czarny... widok niezbyt przyjemny, niemniej jednak pan Weinschenk był człowiekiem godnym szacunku, pracowitym, energicznym, posiadającym dwanaście tysięcy marek dochodu rocznego, a w oczach Eryki Gr~unlich nawet pięknym.

Człowiek, który się wybił o własnych siłach (ang.).

Pani Permaneder szybko rozejrzała się w sytuacji i oceniła ją. Wypowiedziała się też szczerze wobec konsulowej i senatora. Było jasne, że wzajemne interesy spotykały się tu i dopełniały. Dyrektor Weinschenk, podobnie jak i Eryka, nie brał udziału w życiu towarzyskim; oboje byli jakby stworzeni dla siebie i przeznaczeni sobie przez Boga.

Jeśli zbliżający się do

czterdziestki dyrektor, którego

włosy zaczynały lekko siwieć,

pragnął założyć dom

odpowiadający jego stanowisku i

warunkom, to związek z Eryką

Grünlich otwierał mu drzwi do

jednej z pierwszych rodzin

miasta oraz umacniał jego

pozycję. Co zaś do przyszłości

Eryki, to pani Permaneder mogła

sobie obiecywać, że przynajmniej

powtórzenie się jej własnych

losów jest w tym wypadku

wykluczone. Hugo Weinschenk nie

okazywał najmniejszego

podobieństwa do Jana

Permanedera, a od Benedykta Grünlicha odróżniało go to, że był solidnie sytuowanym urzędnikiem na pewnym stanowisku, nie wykluczającym dalszej kariery.

Słowem: z obu stron było dużo dobrej woli, popołudniowe wizyty pana Weinschenska często się powtarzały, a w styczniu roku 1867 pozwolił sobie po męsku, w krótkich i prostych słowach prosić o rękę Eryki.

Odtąd należał do rodziny, brał udział w rodzinnych „czwartkach” i przyjmowany był z uprzedzającą uprzejmością przez otoczenie narzeczonej. Wyczuł bez wątpienia szybko, że jest między nimi niezupełnie w swojej sferze; maskował jednak to uczucie tym śmielszym zachowaniem, podczas gdy konsulowa, wuj Justus, senator Buddenbrook – panie Buddenbrook z Breitenstrasse w o wiele mniejszym stopniu – gotowi byli okazywać pełną taktu pobłażliwość temu dzielnemu, lecz towarzysko niewyrobnemu człowiekowi pracy.

Względy owe były konieczne:

często bowiem okazywała się potrzeba spłoszenia zręcznym słowem ciszy, jaka zapadała w sali jadalnej, gdy na przykład dyrektor zbyt żywo interesował się policzkami i ramionami Eryki, gdy w toku rozmowy dowiadywał się, czy marmolada pomarańczowa jest leguminą – wymawiał śmiało „legominą” – lub gdy wyrażał zapatrywanie, że „Romeo i Julia” jest to sztuka Schillera... Wypowiadał to wszystko z wielką swobodą i stanowczością i rozpierając się niedbale na krześle

zacierał wesoło ręce.

Najlepiej porozumiewał się z senatorem, który tak umiejętnie kierował polityczną i handlową rozmową, że obywało się bez katastrofy. Natomiast stosunek jego do Gerdy Buddenbrook ułożył się zupełnie rozpaczliwie. Osoba tej pani zdumiewała go do tego stopnia, że nie miał pojęcia, o czym z nią rozmawiać choćby przez dwie minuty. Ponieważ wiedział, że gra na skrzypcach, co wywierało na nim duże wrażenie, ograniczył się do zadawania jej każdego czwartku tego samego żartobliwego pytania: – Jak się mają skrzypce? – Senatorowa za trzecim razem przestała jednak na to odpowiadać.

Chrystian ze swej strony miał zwyczaj przyglądać się ze zmarszczonym nosem nowemu powinowatemu, a nazajutrz naśladować dokładnie jego zachowanie oraz sposób mówienia. Młodszy syn nieboszczyka konsula ŃBuddenbrooka wyleczył się w ~oynhausen ze swego reumatyzmu stawów; nie pozbył się jednak bynajmniej pewnej sztywności członków ani powracającego okresami „cierpienia” po lewej stronie – tam gdzie „wszystkie nerwy były za krótkie” – jak również innych swoich dolegliwości: trudności przy oddychaniu i przełykaniu, nieprawidłowości serca tudzież skłonności do objawów bezwładu czy też lęku przed nim. Nie można było powiedzieć, że wyglądał na człowieka, któremu brakowało jeszcze kilku lat do czterdziestki. Czaszka jego była zupełnie łysa; jedynie na tyle głowy oraz na skroniach sterczało jeszcze trochę rzadkich rudawych włosów; małe okrągłe oczy, którymi wodził z niespokojną powagą, zapadły się jeszcze głębiej. Za to tym potężniej wystawał pomiędzy chudych, zapadłych policzków wielki kościsty nos, zakrzywiony nad gęstymi rudymi wąsami... Na jego chudych i krzywych nogach wisiały spodnie z mocnego, eleganckiego angielskiego materiału.

Od powrotu zajmował jak dawniej pokój z korytarza na pierwszym piętrze domu matki, przebywał jednak więcej w „klubie” niż na Mengstrasse, gdyż nie miał tam teraz przyjemnego życia. Frydzia Severin bowiem, następczyni Idy Jungmann, mająca obecnie nadzór nad służącymi konsulowej i całym gospodarstwem, dwudziestosiedmioletnia osoba ze wsi, niskiego wzrostu, z czerwonymi pucołowatymi policzkami i wydętymi wargami, odgadła swym chłopskim rozumem, że nie trzeba sobie wiele robić z tego bezczynnego dowcipnisa, który był albo głupi, albo nieszczęśliwy i na którego senator, najważniejsza osoba, spoglądał tylko przelotnie i z pogardliwym wzniesieniem brwi: toteż najzwyczajniej w świecie zaniedbywała jego potrzeby. – E, panie Buddenbrook! – mówiła. – Nie mam czasu dla pana. – Wówczas Chrystian przyglądał jej się ze zmarszczonym nosem, jak gdyby chciał powiedzieć: Jak ci nie wstyd?... i odchodził na swych zeszywniałych nogach.

–Myślisz może, że zawsze mam na noc świecę? – skarżył się Toni... – Rzadko kiedy! Najczęściej muszę rozbierać się przy zapałce... – Albo też oznajmiał, ponieważ matka nie mogła mu dawać wiele na drobne wydatki: – Złe czasy!... Tak, dawniej było inaczej! Co ty myślisz?... Często muszę pożyczać sobie pięć szylingów na proszek do zębów!

–Chrystian! – wołała pani Permaneder. – To jest niegodne! przy zapałce! pięć szylingów! Nie mów o tym przynajmniej! – Była wzburzona, przerażona, dotknięta w najświętszych uczuciach; sytuacji to jednak nie zmieniało...

Pięć szylingów na proszek do zębów pożyczał sobie Chrystian od swego dawnego przyjaciela Andrzeja Giesekego, doktora obojga praw. Przyjaźń ta była jego szczęściem, przynosiła mu zaszczyt; adwokat Gieseke bowiem, ów umięjący zachowywać pozory suitier przeszłej zimy po łagodnej

śmierci starego Kaspra Oeverdiecka, którego urząd objął doktor Langhals, wybrany został senatorem. Nie wywarło to jednak wpływu na jego tryb życia. Wiedziano ogólnie, że posiadając od czasu swego małżeństwa z panną Huneus obszerny dom w śródmieściu, jednocześnie był właścicielem niewielkiej, wygodnie urządzonej willi na przedmieściu Świętej Gertrudy; jedyną lokatorką owej willi była pewna młoda jeszcze i niezwykle ładna dama nie ustalonego pochodzenia. Nad drzwiami błyszczał ozdobny złocony napis „Quisisana” i w całym mieście miły, opleciony zielenią domek znany był pod tą nazwą, którą wymawiano jakoś szczególnie miękko. Chrystian Buddenbrook, najlepszy przyjaciel senatora Gieseke, uzyskał dostęp do Quisisany i osiągnął tam powodzenie w ten sam sposób jak w Hamburgu u Aliny Puvogel i w podobnych okolicznościach w Londynie, Valparaiso, jako też w tylu innych punktach świata. „Trochę opowiadał”, „trochę pożartował”, a potem bywał w zielonym domku równie regularnie jak sam senator Gieseke. Nie wiadomo, czy działo się to z wiedzą i w porozumieniu z tym ostatnim; pewne jest jednak, że Chrystian Buddenbrook znajdował tam za darmo te same miłe rozrywki, za jakie senator Gieseke musiał płacić słono pieniędzmi swej małżonki.

Wkrótce po zaręczynach Hugona Weinschenka z Eryką Gr~unlich dyrektor zaproponował szwagrowi posadę w biurze ubezpieczeń; i istotnie Chrystian pracował przez dwa tygodnie w kasie Towarzystwa. Niestety jednak okazało się, że nie tylko „cierpienie” w lewym boku, ale i inne trudne do określenia dolegliwości pogorszyły się wskutek tego, że dyrektor był nadzwyczaj wymagającym zwierzchnikiem, który z powodu pewnej pomyłki nie zawahał się nazwać swego szwagra „foką”... i Chrystian zmuszony był opuścić i tę posadę również.

Co się tyczy pani Permaneder, to czuła się szczęśliwa; radosny jej nastrój objawiał się w uwagach, jak na przykład, że ziemski żywot miewa jednak od czasu do czasu swoje dobre strony. Rzeczywiście rozkwitła na nowo w owych tygodniach, które ożywioną działalnością, różnorodnymi planami, kłopotami mieszkaniowymi i gorączkowym przygotowaniem wyprawy zbyt wyraźnie przypominały czasy jej pierwszych zaręczyn, by mogła nie czuć się odmłodzoną i pełną bezgranicznej nadziei. Jej zachowanie i ruchy nabrały znów pełnej wdzięku radosnej pustoty dziewczęcych lat, a nawet nastrój jednego z jerozolimskich wieczorów sprofanowany został tak rozhukaną wesołością Toni, że sama Lea Gerhardt opuściła książkę swego przodka i rozglądała się po sali dużymi, nieświadomymi i nieufnymi gołębimi oczami...

Postanowiono, iż Eryka nie rozstanie się z matką. W porozumieniu z dyrektorem, a nawet na jego życzenie, zdecydowano, że pani Antonina – przynajmniej na pewien czas – zamieszka u Weinschenków, by pomagać niedoświadczonej Eryce w gospodarstwie... i to właśnie stwarzało owo cudowne uczucie, jak gdyby Benedykt Gr~unlich ani Alojzy Permaneder nigdy nie egzystowali, jak gdyby wszystkie rozczarowania, niepowodzenia i cierpienia jej życia rozwiąły się w nicość, jak gdyby ze świeżą nadzieją miała jeszcze raz rozpoczynać wszystko od początku. Upominała wprawdzie Erykę, by dziękowała Bogu, iż daje jej za męża ukochanego człowieka, podczas gdy ona sama, matka, musiała niegdyś stłumić z obowiązku i rozsądku swą pierwszą serdeczną skłonność, wprawdzie drżącą z radości ręką wypisała w rodzinnych papierach imię Eryki obok imienia dyrektora... ale właściwą narzeczoną była ona sama. Tonia Buddenbrook. Ona to jeszcze raz badała doświadczoną dłonią dywany i portiery, jeszcze raz szperała po składach mebli i urządzeń, jeszcze raz oglądała wytworne mieszkania! Ona to miała jeszcze raz opuścić obszerny i pobożny dom rodzicielski i utracić nazwę rozwódki, jeszcze raz pojawiła się możliwość podniesienia głowy do góry,

rozpoczęcia nowego życia, zwrócenia na siebie uwagi świata i odzyskania szacunku rodziny... Ach, czyż to było snem? Nawet szlafroki pojawiły się na widowni! Dwa szlafroki, dla niej i dla Eryki, z miękkiej tkaniny, z długimi trenami i gęstymi rzędami aksamitnych kokard od zapięcia przy szyi aż do rąbka!

Tygodnie upływały i okres zaręczyn Eryki Gr~unlich zbliżał się ku końcowi. Młoda para złożyła wizyty w niewielu tylko domach, gdyż dyrektor, człowiek poważny i niedoświadczony w sprawach towarzyskich, pragnął poświęcić wolne godziny domowemu życiu... Na zaręczynowym obiedzie w dużej sali na Pischergrube obecni byli prócz senatora, Gerdy oraz młodej pary także Fryderyka, Henryka i Fifi Buddenbrook oraz najbliżsi przyjaciele senatora i znowu wydawało się dziwne, że dyrektor nie przestawał klepać wydekoltowanej szyi Eryki... A oto zbliżał się czas wesela.

Jak niegdyś, gdy pani Gr~unlich miała na głowie mirtowy wieniec, ślub odbył się w sali kolumnowej. Pani Stuh z Glockengiesserstrasse, ta sama, która bywała w najpierwszych domach, pomagała przy układaniu fałd białej atlasowej sukni i upinaniu wianka, pannę młodą prowadził senator Buddenbrook oraz przyjaciel Chrystiana, senator Gieseke, druhami były dwie szkolne przyjaciółki Eryki; dyrektor Weinschenk wyglądał poważnie i okazale i po drodze do zaimprovizowanego ołtarza nie więcej niż jeden raz nadepnął na powłóczysty welon Eryki, pastor Pringsheim z rękami złożonymi pod brodą celebrował we właściwy sobie uroczysty i promienny sposób i wszystko odbyło się jak należy i z godnością. Gdy zamieniono obrączki i w ciszy zabrzmiał raz grubym, raz cienkim głosem wypowiedziany wyraz: – Tak – przy czym oba głosy były nieco zachrypnięte – pani Permaneder, do głębi poruszona przeszłością, terażniejszością i przyszłością, wybuchnęła głośnym płaczem – był to zawsze jeszcze jej szczery i niepowstrzymany, dziecinny płacz – a panie Buddenbrook – Fifi dla uczczenia tego dnia nosiła przy pince_nez złoty łańcuszek – uśmiechały się nieco kwaskowato, jak zwykle w podobnych okolicznościach... Co zaś do m_lle Weichbrodt, Teresy Weichbrodt, która w ostatnich latach stała się jeszcze o wiele mniejsza niż dawniej – Tetenia, nosząca na cienkiej szyjce owalną broszkę z podobizną matki, wyrzekła zbyt mocnym tonem, mającym maskować głębokie wewnętrzne wzruszenie: – Bądź szczęśliwa, drogie dziecko.

Potem w kręgu białych postaci bóstw, spoglądających niezmiennie z błękitnego tła tapet, odbyła się równie uroczysta jak solidna uczta, pod koniec której nowożeńcy zniknęli, by udać się w podróż poślubną do kilku większych miast... Było to w połowie kwietnia; podczas najbliższych dwu tygodni pani Permaneder wykonała z pomocą tapicera Jacobsa jedno ze swych arcydzieł, wytworne urządzenie owego obszernego pierwszego piętra, wynajętego w środkowej części B~ackergrube, którego pokoje, obficie ozdobione kwiatami, miały powitać powracającą parę.

I rozpoczęło się trzecie małżeństwo Toni.

Tak, było to trafne określenie i senator sam pewnego czwartku, gdy Weinschenkowie byli nieobecni, wynalazł tę nazwę, przyjętą przez panią Permaneder z zadowoleniem. W istocie, spadły na nią wszystkie gospodarskie kłopoty, ale wraz z nimi zagarnęła także całą radość i dumę, toteż gdy pewnego dnia spotkała się niespodziewanie na ulicy z konsulową Julią M~ollendorpf z Hagenstr~omów, spojrzała na nią tak triumfalnie i wyzywająco, iż pani M~ollendorpf od razu zrozumiała, że powinna się pierwsza ukłonić... Gdy oprowadzała krewnych po nowym mieszkaniu, duma i radość bijąca z jej miny i postawy ustępowała miejsca poważnemu, uroczystemu nastrojowi,

podczas gdy sama Eryka Weinschenk zachowywała się, jak gdyby była jednym z podziwiających gości.

Ciągnąc za sobą tren szlafroka, odrzucając głowę nieco w tył, a ramiona podnosząc lekko w górę, w rękę trzymając koszyczek do kluczy, ozdobiony atłasowymi kokardami – przepadała bowiem za kokardami z atłasu – pani Permaneder pokazywała gościom meble, portiery, przezroczystą porcelanę, błyszczące srebro, duże obrazy olejne, nabyte przez dyrektora – same martwe natury i nieubrane kobiety, takie bowiem upodobania miał Hugon Weinschenk – a ruchy jej zdawały się mówić:

Patrzcie, tego dokazałam jeszcze w życiu. Jest tu prawie tak wytwornie jak u Gr~unlicha, a na pewno wytworniej niż u Permanedera!

Przyszła stara konsulowa w jedwabnej sukni w szare i czarne pasy, roztaczając dokoła dyskretną woń paczuli, spokojnie obejrzała wszystko i nie okazując głośno podziwu wyraziła pełne uznania zadowolenie. Przyszedł senator z żoną i dzieckiem, żartował wraz z Gerdą z uszczęśliwionej miny Toni i ledwie uratował od uduszenia małego Hanno, którego kochająca ciotka opychała ciastem z rodzynkami i portwajnem. Przyszły panie Buddenbrook i jednogłośnie zauważyły, że jest tu zbyt pięknie, aby tak skromne panny, jak one, chciały tu zamieszkać... Przyszła biedna Klotylda, siwa, cierpliwa i chuda, pozwoliła wyśmiewać się z siebie i wypła cztery filiżanki kawy, po czym przeciągając po swojemu, uprzejmie wszystko pochwaliła... Od czasu do czasu, nie zastawszy nikogo w klubie, przychodził też Chrystian, nalewał sobie kieliszek benedyktyнки, opowiadał, że ma zamiar przyjąć agenturę szampana i koniaku – zna się bowiem na tym, jest to łatwa i przyjemna praca: od czasu do czasu popisz się trochę w notesie i za jednym zamachem zarabia się trzydzieści talarów – po czym pożyczał od pani Permaneder czterdzieści szylingów, by móc ofiarować bukiet pierwszej amantce z miejskiego teatru. Bóg wie, dzięki jakim skojarzeniom myśli zaczynał mówić o „Marii” i „rozpuście” w Londynie, przechodził do historii o parszywym psie, który w pudle jechał z Valparaiso do San Francisco, a ponieważ był w nastroju, mówił z taką inwencją, werwą, komizmem, że mógłby ubawić pełną salę.

Zapalał się, przemawiał

różnymi językami, mówił po

angielsku, hiszpańsku, dialektem

„platt” i po hambursku, opisywał

chilijskie awantury nożowe i

złodziejskie afery z

Whitechapel, sięgał do

repertuaru kupletów i śpiewał lub raczej mówił ze wzorową mimiką i gestykulacją zdradzającą talent plastyczny:

Idę wesół i rad,@ gwizdząc na

cały świat@ po Placu Esplanad',@

wtem dziewczę mignie mi,@

sukienka z dala lśni,@ cóż za

paryska cu!@ Kapelusz wielki

drży na główce jej -@ więc

mówię: dziecię me,@ tak słodką

widząc cię@ czy mogę iść pod

rękę z tobą wraz?@ Zgrabnie

obraca się i mówi: ani śmieję,@

do domu idź, chłopczyku, bo już

czas!”@

I za ledwie skończył, rozpoczynał sprawozdanie z cyrku Renza i odtwarzał całkowite entr~ee angielskiego kłowna w taki sposób, że istotnie miało się złudzenie cyrkowego przedstawienia. Słysząc było krzyki za zasłoną: – Otwórzcie mi drzwi! – sprzeczkę ze stajennym, a następnie szereg historii, opowiadanych rozlazłym, płaczącym tonem, na pół po angielsku, na pół po niemiecku. Była tam anegdota o człowieku, który przez sen połknął mysz, udał się do weterynarza, ten zaś radził mu połknąć z kolei kota... historia o „mojej babce – kobiecie starej, ale jarej”, w której to historii owa babka napotyka po drodze na dworzec tysiące przeszkód, aż wreszcie tej starej, ale jarej kobiecie pociąg ucieka sprzed nosa, po czym Chrystian przerywał puentę triumfalnym: – Muzyka, panie kapelmajster! – i jak gdyby przebudzony, sam zdawał się dziwić, że nie ma muzyki...

Potem nagle urywał, twarz mu się zmieniała, ruchy stawały się powolne. Małe, okrągłe, zapadnięte oczy zaczynały z niespokojną powagą wędrować na wszystkie strony, przeciągnął ręką wzdłuż lewego boku, zdawał się wsłuchiwać w swoje wnętrze, gdzie działy się dziwne rzeczy... Wypijał jeszcze jeden kieliszek likieru, ożywiał się na chwilę, próbował opowiedzieć jeszcze jedną historyjkę i wreszcie dosyć zdeprimowany odchodził.

Pani Permaneder, która w owych czasach była niezmiernie skłonna do śmiechu, odprowadzała brata na schody wielce rozbawiona i rozdokazywana. – Adieu, panie agencie! – mówiła. – Trubadurze w ośleję skórze! Przyjdź znowu! – I śmiejąc się na całe gardło, wracała do mieszkania.

Ale Chrystian Buddenbrook bynajmniej nie czuł się dotknięty; nic nie słyszał, był bowiem pograżony w swoich myślach. No, mówił sobie, teraz pójdę trochę do Quisisany. Po czym, nasunawszy kapelusz nieco na bakier, opierając się na swej lasce z popiersiem zakonnicy, powoli, sztywno i trochę utykając schodził ze schodów.

Rozdział drugi

Wiosną roku sześćdziesiątego ósmego pani Permaneder zjawiała się pewnego wieczoru około dziesiątej na pierwszym piętrze domu na Fischergrube. Senator Buddenbrook siedział sam w gabinecie, przy okrągłym stole, otoczonym rypсовymi fotelami oliwkowego koloru, w świetle zwieszającej się z sufitu gazowej lampy. Rozłożył przed sobą „Berlińską Gazetę Giełdową” i czytał, lekko pochylony nad stołem. Między wskazującym a środkowym palcem trzymał papierosa, na nosie zaś miał złote binokle, których od pewnego czasu musiał używać przy pracy. Usłyszał w jadalni kroki siostry, zdjął szkła i z natężeniem patrzył w ciemność, dopóki Tonia nie ukazała się między portierami w kręgu światła.

–Ach, to ty. Dobry wieczór.

Powróciłaś z P~oppenrade? Co słysząc u twoich przyjaciół?

–Dobry wieczór. Tom!

Dziękuję, Armgarda jest zdrowa... Jesteś tu sam?

–Tak, bardzo się cieszę, żeś przyszła. Dziś wieczorem musiałem jeść sam jak papież; panna Jungmann nie liczy się jako towarzystwo, ponieważ co chwila zrywa się, żeby zobaczyć, co robi Hanno... Gerda jest w kasynie. Tamayo gra tam dziś na skrzypcach. Chrystian ją odprowadził...

–Patrzcie państwo! jak mówi matka. Tak, zauważyłam w ostatnich czasach, że Gerda i Chrystian dobrze się czują ze sobą.

–Ja też to zauważyłem. Odkąd przyjechał na stałe, polubiła jego towarzystwo. Bardzo uważnie słucha, gdy on opowiada o swoich cierpieniach... Mój Boże, bawi ją to. Ostatnio rzekła mi: – „On nie jest mieszczaninem, Tomaszu! Jest jeszcze mniej mieszczaninem niż ty!”...

–Mieszczaninem...

mieszczaninem, Tomaszu? Ha, zdaje się, że na całym świecie nie ma lepszego obywatela miasta niż ty.

–No, tak; ale to należy rozumieć inaczej!... Rozbierz się trochę, moje dziecko. Wyglądasz wspaniale. Dobrze ci zrobiło wiejskie powietrze?

–Doskonale! – powiedziała odkładając mantylkę i kapturek z lila wstążkami i zasiadając majestatycznie na jednym z foteli otaczających stół...

–Żołądek i sen, wszystko mi się poprawiło przez ten krótki czas. To mleko prosto od krowy i te szynki, i kiełbasy... Wszystko tam rośnie i rozwija się, jak bydło i zboże. A ten świeży miód, Tom – zawsze go uważałam za jeden z najlepszych pokarmów. To jest czysty produkt natury! Przynajmniej się wie, co się zjada! Tak, to było naprawdę ładnie ze strony Armgardy, że przypomniała sobie o naszej staraj przyjaźni i zaprosiła mnie. A pan von Maiboom był tak niezwykle uprzejmy... Prosił mnie usilnie, bym pozostała jeszcze parę tygodni, ale przecież wiesz: Eryka niełatwo daje sobie radę

beze mnie, zwłaszcza teraz, odkąd jest na świecie mała Elżbieta...

—a propos, jak się ma dziecko?

—Dziękuję, Tom, rozwija się, dobrze wygląda na swoje cztery miesiące, chociaż Fryderyka, Henryka i Fifi uważają ją za niezdolną do życia...

—A Weinschenk? Jakże się czuje w roli ojca? Widuję go właściwie tylko w czwartki...

—O, ten się nie zmienia!

Widzisz, jest to dzielny i pracowity człowiek, a poniekąd też wzór mężów, gdyż pogardza piwiarniami, wraca prosto z biura do domu i wolny czas spędza razem z nami. Ale idzie o to, Tom, możemy przecież mówić z sobą otwarcie: wymaga on od Eryki ciągłej wesołości, chciałby, żeby bezustannie mówiła i żartowała, pragnąłby, aby żona zabawiała go w lekki i pogodny sposób, gdy wraca do domu zmęczony i w złym humorze; uważa, że kobiety po to są na świecie...

—Głupiec! — mruknął senator.

—Co?... Najgorsze jest, że Eryka ma trochę skłonności do melancholii. Tom, musiała to po mnie odziedziczyć. Od czasu do czasu jest poważna, milcząca i zamyślona, a wtedy on krzyczy na nią i używa wyrazów, które, prawdę powiedziawszy, nie zawsze są delikatne. Widać aż nazbyt wyraźnie, że nie pochodzi z dobrej sfery i niestety, nie otrzymał tego, co nazywamy wytwornym wychowaniem. Tak, wyznam ci szczerze: jeszcze parę dni przed moim wyjazdem do P~oppenrade rozbił o ziemię pokrywę od wazy, gdyż zupa była przesolona...

—A to ślicznie!

—Nie, wprost przeciwnie. Ale nie potępiajmy go za to. Mój Boże, wszyscy mamy swoje słabostki, a to taki dzielny, pracowity, porządny człowiek... co tu gadać... Nie, Tom, szorstka powłoka i szlachetne wnętrze — to nie jest jeszcze najgorsze. Tam, skąd teraz powracam, są smutniejsze warunki, wierzaj mi. Kiedyś były same, Armgarda gorzko płakała...

—Co ty mówisz?... Pan von Maiboom?...

—Tak, Tom, o tym właśnie chciałam pomówić. Siedzimy tu i gawędzimy, ale właściwie przychodzę dziś w bardzo ważnej i poważnej sprawie.

—A więc? Cóż tedy pan von Maiboom?

—Ralf von Maiboom jest miłym człowiekiem, Tom, ale to trzpiot, letkiewicz. Gra w Rostocku, gra w Warnem~unde, a długów ma jak piasku w morzu.

Trudno w to uwierzyć, gdy się

mieszka przez parę tygodni w

P~oppenrade! Dwór jest wytworny,

wszystko dokoła rośnie, nie brak

mleka, szynki i kiełbas. W

tych dobrach czasami nie ma

się pojęcia o faktycznej

sytuacji... Słowem, w

rzeczywistości oni są

zrujnowani, jak wyznała mi z płaczem Armgarda.

–To smutne, smutne.

–Możesz to jeszcze raz powtórzyć. Ale idzie o to, że – jak mi się wydaje – ci ludzie zaprosili mnie niezupełnie bezinteresownie.

–Jak to?

–Powiem ci. Tom. Pan von Maiboom potrzebuje pieniędzy, potrzebuje natychmiast większej sumy, a ponieważ wiedział o starej przyjaźni między swoją żoną a mną i wiedział, że jestem twoją siostrą, więc w swym ciężkim położeniu zwrócił się do żony, która znów zwróciła się do mnie... pojmujesz?

Senator przeciągnął palcami po włosach i skrzywił się lekko.

–Zdaje się, że tak –

powiedział. – Twoja ważna sprawa wydaje mi się zmierzać do zadatku na p~oppenradzkie zbiory, jeśli się nie mylę? Ale w takim razie zwróciliście się, ty i twoi przyjaciele, w niewłaściwym kierunku, jak sądzę. Po pierwsze, nigdy nie byłem w stosunkach z panem von Maiboom, a to byłoby dosyć oryginalne nawiązanie stosunków. Po wtóre, my wszyscy, pradziadek, dziadek, ojciec i ja, dawaliśmy niekiedy zadatki rolnikom, gdy ich stanowisko albo stosunki stanowiły jakieś zabezpieczenie. Ze względu jednak na stosunki oraz osobę pana Maibooma, jak go scharakteryzowałaś przed dwiema minutami, nie może tu być mowy o jakimkolwiek zabezpieczeniu...

–Jesteś w błędzie, Tom.

Pozwoliłam ci się wypowiedzieć, ale jesteś w błędzie. Nie może tu być mowy o jakimkolwiek zadatku. Maiboom potrzebuje trzydziestu pięciu tysięcy marek...

–Tam do licha!

–Trzydziestu pięciu tysięcy marek, płatnych w ciągu dwu tygodni. Ma nóż na gardle, a mówiąc ściśle: musi sprzedać już teraz, natychmiast.

–Na pniu? Ach, biedak! – I senator, który w zamyśleniu przesuwał po stole binokle, potrząsnął głową. – Wydaje mi się, że to jednak dosyć niezwykły wypadek, jak na nasze stosunki – rzekł. – O podobnych interesach słyszałem w Hesji, gdzie znaczna część rolników jest w rękach Żydów... Kto wie, w czyje lichwiarskie sieci dostał się pan von Maiboom...

–Żydzi? Lichwiarskie sieci? – zawołała nadzwyczaj zdziwiona pani Permaneder... – Ależ tu jest mowa o tobie, Tom, o tobie!

Nagle Tomasz Buddenbrook odrzucił binokle, tak że potoczyły się po gazecie i odwrócił się gwałtownie ku siostrze. – O mnie? – zapytał poruszając bezdźwięcznie wargami, a potem dodał głośno: – Idź spać, Toni! Jesteś, widać, strasznie przemęczona.

–Tak, Tom, tak mówiła nam zawsze wieczorem Ida Jungmann, właśnie wtedy, kiedy zaczynało być najweselej. Ale upewniam cię, że nigdy nie byłam bardziej wypoczęta i przytomna niż teraz, gdy przychodzę do ciebie mimo nocy i słoty, by przedstawić ci propozycję Armgardy, a właściwie pośrednio Ralfa von Maibooma...

–A więc uważam tę propozycję za dowód twojej naiwności oraz beznadziejnej sytuacji Maiboomów.

–Beznadziejna sytuacja?

Naiwność? Nie pojmuję cię, Tomaszu, jestem niestety daleka od tego! Zdarza ci się okazja spełnienia dobrego uczynku i jednocześnie zrobienia najlepszego interesu w twoim życiu...

–Ach, co tam, moja droga, mówisz same głupstwa! – zawołał senator rzucając się niecierpliwie w tył. – Wybacz, ale twoja naiwność może człowieka wyprowadzić z równowagi! Czyż nie pojmujesz, że doradzasz mi coś wysoce niegodnego, jakieś brudne manipulacje? Wykorzystać trudne położenie tego ziemianina, uderzyć bezbronny? Zmusić go do odstąpienia całorocznego plonu za połowę ceny, by zagarnąć lichwiarski zysk?

–A więc tak zapatrujesz się na tę sprawę – rzekła pani Permaneder zatrwożona i zamyślona. I znowu zaczęła żywo:

–Ale nie trzeba, doprawdy, nie trzeba tak się na to zapatrywać! Zmusić go? Ależ to on przychodzi do ciebie. Potrzebuje pieniędzy i chciałby załatwić tę sprawę po przyjacielsku, od ręki, cichutko. W tym celu odnowił znajomość z nami i w tym celu ja zostałam zaproszona!

–Słowem, myli się on co do mnie i co do charakteru mojej firmy. Mam swoje tradycje. Takiego interesu nie przeprowadzaliśmy ani razu w ciągu stu lat i nie mam zamiaru zapoczątkowywać

podobnych manewrów.

–Oczywiście, Tom, masz swoje tradycje i zachowuję dla nich cały szacunek! Naturalnie ojciec nie wdałby się w to, co znowu, któż temu zaprzecza?... Ale mimo że jestem taka głupia, wiem, że ty jesteś zupełnie innym człowiekiem niż ojciec, że gdy przejąłeś interesy, zapanował zupełnie inny duch i że niejednym razem postąpiłeś tak, jak on by nie postąpił. Od tego jesteś młody i przedsiębiorczy. Ale ciągle się obawiam, że w ostatnich czasach straciłeś odwagę wskutek jednego czy dwu niepowodzeń... i jeśli nie pracujesz teraz z równym powodzeniem jak dawniej, pochodzi to stąd, że wskutek twej trwożliwej skrupulatności i ostrożności wyslizgują ci się dobre posunięcia...

–Ach, proszę cię, kochane dziecko, drażnisz mnie! – rzekł ostrym głosem senator, obracając się to w jedną, to w drugą stronę. – Mówmy o czym innym!

–Tak, jesteś rozdrażniony, Tomaszu, widzę to dobrze. Od początku byłeś rozdrażniony i właśnie dlatego mówiłam dalej, aby ci dowieść, że niesłusznie czujesz się dotknięty. Ale jeśli się zastanowię, dlaczego jesteś rozdrażniony, muszę sobie powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie jesteś tak zupełnie zdecydowany odrzucić tę sprawę. Chociaż jestem tylko głupią kobietą, jednak i z własnego doświadczenia, i od innych wiem, że jakaś propozycja oburza nas i drażni tylko wtedy, jeżeli nie jesteśmy pewni, czy potrafimy dość mocno jej się przeciwstawić, a właściwie czujemy, że łatwo moglibyśmy dać się skusić.

–Ileż w tym subtelności – powiedział senator, przygryzł ustnik papierosa i umilkł.

–Subtelności? Ha, ha, jest to po prostu doświadczenie, jakie dało mi życie. Ale niech i tak będzie, Tom. Nie chcę wywierać nacisku. Czyż mogę cię przekonać do takiej rzeczy? Nie, brak mi do tego umiejętności. Jestem za głupia... Szkoda... No, trudno. Bardzo mnie to zainteresowało. Z jednej strony byłam zmartwiona i przykro mi było ze względu na Maiboomów, z drugiej zaś cieszyłam się ze względu na ciebie. Myślałam sobie: Tom jest od pewnego czasu bez humoru. Przedtem skarżył się, teraz już się nawet nie skarży. Kilka razy poniósł straty, czasy się pogorszyły, i to właśnie wtedy, kiedy moje położenie poprawiło się z boską pomocą i czuję się szczęśliwa. Pomyślałam sobie: to jest coś dla niego, dobre posunięcie, szczęśliwy połów. Będzie mógł powetować sobie straty i dowieść ludziom, że firma „Jan Buddenbrook” nie straciła dawnego szczęścia. I gdybyś się był na to zgodził, byłabym bardzo dumna, że pośredniczyłam w tej sprawie, wiesz bowiem, było to zawsze moim marzeniem i zawsze pragnęłam przysłużyć się naszemu nazwisku... A zatem... sprawa jest załatwiona. Co mnie jednak gniewa, to myśl, że Maiboom musi w każdym razie sprzedać na pniu i kiedy rozejrzy się po mieście, to na pewno znajdzie kogoś... a będzie to na pewno Herman Hagenstr~om – ten spryciarz...

–O tak, wątpliwe, czy on wypuściłby to z rąk – powiedział gorzko senator; a pani Permaneder odrzekła trzy razy z rzędu: – A widzisz, a widzisz, a widzisz?

Nagle Tomasz Buddenbrook potrząsnął głową i zaczął się gniewnie śmiać.

–Jakie to głupie... mówimy tu z całą powagą – przynajmniej z twojej strony – o czymś zupełnie nieokreślonym, po prostu zawieszonym w powietrzu! O ile wiem, nie zapytałem cię nawet, o co tu właściwie idzie, co właściwie pan Maiboom ma do sprzedania... przecież ja wcale nie znam

P~oppenrade...

–O, musiałbyś tam oczywiście pojechać! – rzekła z zapałem. – Do Rostocka stąd bliźiutko, a stamtąd to się już nie liczy! Co ma do sprzedania? P~oppenrade jest to wielki majątek... Wiem na pewno, że daje z górą tysiąc worków pszenicy... Ale nie wiem nic bliższego. Jak przedstawia się sprawa z żytem, owsem i jęczmieniem? Czy jest tego wszystkiego po pięćset worków? Mniej czy więcej? Nie wiem tego. Wszystko wygląda wspaniale, to mogę powiedzieć. Ale nie mogę ci służyć cyframi. Tom, przecież ze mnie taka gąska. Musiałbyś oczywiście pojechać...

Nastąpiła pauza.

–A więc nie warto nawet mówić o tym – rzekł krótko i stanowczo senator, wziął szkła, schował je do kieszeni kamizelki, zapiął surdut, podniósł się i zaczął chodzić po pokoju szybkimi, mocnymi, dużymi krokami, a w jego ruchach nie było już ani śladu zamyślenia.

Potem zatrzymał się przy stole i nachylając się nieco ku siostrze rzekł, uderzając zakrzywionym palcem w blat stołu: – Opowiem ci pewną historyjkę, moja droga Toni, która ci objaśni, jak zapatruję się na tę sprawę. Znam twój faible (słabość – franc.) do szlachty, a zwłaszcza do meklemburskiej arystokracji, i dlatego proszę cię o cierpliwość, jeśli w mojej historyjce jeden z tych panów otrzyma odpowiednie świadectwo... Wiesz, że są między nimi tacy, którzy nie okazują kupcom zbytniego szacunku, pomimo że potrzebują ich w równej mierze, jak kupcy ich, zaznaczają oni zbyt dobitnie społeczną wyższość – do pewnego stopnia istotną – producenta nad pośrednikiem, słowem, patrzą na kupca mniej więcej jak na Żyda handlującego starzyzną, któremu oddaje się znoszone ubranie z przeświadczeniem, że padło się ofiarą oszustwa. Pochlebiam sobie, że nigdy nie wywierałem na tych panach wrażenia nisko pod względem moralnym stojącego wyzyskiwacza, ja zaś spotykałem wśród nich o wiele skąpszych handlarzy, niż sam jestem. By jednak zbliżyć się towarzysko do jednego z nich, musiałem uciec się do następującego aktu gwałtu. Był to pan na Gross_poggendorf, o którym zapewne słyszałaś i z którym przed laty miałem wiele do czynienia: hrabia Strelitz, człowiek o zapatrywaniach wysoce feudalnych, z czworokątnym szkiełkiem w oku... nie mogłem nigdy pojąć, w jaki sposób nie przeciął sobie powieki... nosił lakierowane buty ze sztylpami i szpicrutę ze złotą gałką. Miał zwyczaj spoglądać na mnie z niepojętej wysokości z na wpół otwartymi ustami i przymrużonymi oczyma... Pierwsza moja wizyta u niego była charakterystyczna. Po przeprowadzeniu wstępnej korespondencji pojechałem do niego i zameldowany przez lokaja wszedłem do jego gabinetu. Hrabia Strelitz siedział przy biurku. Na mój ukłon odpowiedział unosząc się nieco na krześle, dokończył listu, zwrócił się do mnie, zaledwie patrząc w moją stronę, i zaczął mówić o swym towarze. Opieram się o stół, krzyżuję ręce i nogi, i świetnie się bawię. Rozmawiamy tak przez pięć minut. Po następnych pięciu minutach siadam na stole machając nogą w powietrzu. Nasza rozmowa trwa dalej, a po upływie kwadransa on mówi od niechcenia z wielce łaskawym ruchem ręki: „Może zechce pan usiąść?” „Jak to? – mówię... – O, to zbyteczne! Siedzę od dawna”.

–Powiedziałeś? Powiedziałeś tak? – zawołała z zachwytem pani Permaneder... Przejęta tą anegdotą, od razu zapomniała o całej poprzedniej rozmowie. – Siedziałeś od dawna! To doskonałe!

–Ależ tak; i upewniam cię, że od tej chwili hrabia zupełnie zmienił swoje zachowanie, podawał mi rękę, kiedy przychodziłem, podsuwał mi krzesło... i bardzośmy się zaprzyjaźnili. W jakim celu

jednak ci to opowiadam? Aby cię zapytać: czy mógłbym mieć serce, prawo i tyle wewnętrznej pewności, aby dać podobną nauzkę panu von Maiboom, gdyby pertraktując ze mną o ryczałtową cenę swych plonów zapomniał... wskazać mi krzesło?

Pani Permaneder umilkła.

–Dobrze – powiedziała

wstając. – Masz rację, Tom, i jak powiedziałam, nie chcę wywierać nacisku. Sam wiesz najlepiej, co powinieneś robić, a co odrzucić, i kropka. Jeśli mi wierzysz, że mówiłam w dobrej myśli... Skończone! Dobranoc, Tom!... Albo nie, poczekaj. Muszę jeszcze ucałować twój Hanna i przywitać się z pocziwą Idą... Jeszcze tu zajrzę...

I wyszła z pokoju.

Rozdział trzeci

Weszła na drugie piętro, pozostawiła za sobą leżącą na prawo „altankę”, minęła galerię z białą, złoconą balustradą i przeszła przez przedpokój, z którego otwarte drzwi prowadziły na korytarz, drugie zaś wyjście na lewo do garderoby senatora. Potem nacisnęła ostrożnie klamkę drzwi położonych na wprost i weszła.

Był to niezwykle obszerny pokój o oknach osłoniętych fałdzistymi firankami w duże kwiaty. Ściany były trochę puste. Poza bardzo dużym sztychem w czarnej ramie, wiszącym nad łóżkiem panny Jungmann i przedstawiającym Giacomo Meyerbeera w otoczeniu postaci z jego oper, wisiało tam tylko kilka angielskich kolorowych obrazków, przedstawiających żółtowołosie bobasy w czerwonych sukienkach, obrazki te poprzypinane były do ścian szpilkami. Ida Jungmann siedziała pośrodku pokoju przy dużym rozsuwanym stole i cerowała pończoszki Hanna. Wierna Prusaczka rozpoczynała szósty krzyżyk, ale pomimo iż bardzo wcześnie zaczęła siwieć, jej gładko zaczesane włosy nie były jeszcze dotąd białe, zachowały swą szpakowatą barwę, wyprostowana zaś postać była tak krzepka, ciemne oczy tak żywe, czyste i niezmordowane jak przed dwudziestu laty.

–Dobry wieczór, Ido, dobra duszo! – rzekła pani Permaneder przytłumionym, ale wesołym tonem, gdyż opowiadanie brata wprowadziło ją w jak najlepszy nastrój. – Jak się masz, ty stare pudło?

–Ojej, Toniuchna; pudło, córuchno? Jeszcze tu jesteś, tak późno?

–Tak, byłam u brata... w sprawach nie cierpiących zwłoki... Niestety, wszystko się rozbiło... śpi? – zapytała, wskazując brodą łóżeczko Hanna, stojące pod lewą ścianą, wezglowie, zasłonięte zieloną firanką, przytykało do wysokich drzwi prowadzących do sypialni senatora i jego małżonki.

–Tsss – rzekła Ida – tak, śpi. – I pani Permaneder na palcach podeszła do łóżeczka, ostrożnie odsunęła firankę i pochyłona przypatrywała się śpiącemu bratankowi.

Mały Jan Buddenbrook leżał na plecach, obrócił jednak na bok jasną kędzierzawą główkę i lekko sapał w poduszkę. Jedną ręką, której palce zaledwie widać było z długiego i szerokiego rękawa nocnej koszuli, leżała na piersi, druga zaś na kołdrze; skurczone palce od czasu do czasu lekko

drgały. Na pół rozchylone wargi również poruszały się niekiedy, jak gdyby próbując składać wyrazy. Chwilami przez całą twarzyczkę przebiegał bolesny dreszcz, rozpoczynający się lekkim drżeniem brody, przelatywał przez usta, wprawiał w wibrację delikatne nozdrza i poruszał mięśnie wąskiego czoła... Długie rzęsy nie zakrywały niebieskawych cieni w kącikach oczu.

–Coś mu się śni – rzekła pani Permaneder wzruszona. Po czym nachyliła się nad dzieckiem, pocałowała leciutko ciepły od snu policzek, starannie zasunęła firankę i podeszła znowu do stołu, gdzie Ida w żółtym świetle lampy naciągała na grzybek nową pończoszkę, badała dziurę i zabierała się do cerowania.

–Cerujesz, Ido. Dziwne, właściwie nie mogę sobie wyobrazić ciebie inaczej.

–Tak, tak, Toniuchna... Co ten chłopczyk nadrze, od czasu jak chodzi do szkoły!

–Ale to przecie takie ciche i dobre dziecko?

–Tak, tak... A jednak...

–Czy chętnie chodzi do szkoły?

–Nie, nie, Toniuchna! Wolałby się jeszcze przy mnie uczyć. A i ja też bym wolała, córuchno, bo przecie ci panowie nie znają go tak od małości jak ja i nie wiedzą, jak się z nim trzeba obchodzić przy nauce... Czasem trudno mu uważać i męczy się prędko...

–Biedactwo! Czy dostał już kiedy lanie?

–Skądże znowu!

Majboszekochany... Przecie nie mogliby być tak bez serca! Kiedy chłopczyk spojrzy na nich...

–Jak to właściwie było z tym pójściem do szkoły? Płakał za pierwszym razem?

–Tak, płakał. Tak łatwo płacze... Nie głośno, ale tak do środka... I trzymał się pana za surdut, i ciągle prosił, żeby z nim został...

–Ach, więc to brat go

zaprowadził?... Tak, to jest ciężka chwila, wierzaj mi, Ido. Pamiętam jak dziś! Wyłam, mówię ci, wyłam jak pies na łańcuchu, okropnie się czułam. A dlaczego? Dlatego, że w domu było mi dobrze, tak jak i temu małemu. Wszystkie dzieci z wytwornych domów płakały, zaraz to zauważyłam, a wszystkie inne nic sobie z tego nie robiły i tylko wytrzeszczały na nas oczy i szczyrzyły zęby... Boże! co mu jest, Ido?

Ręka, którą chciała wykonać jakiś ruch, zawisła w powietrzu i Tonia przestraszona obróciła się w stronę łóżeczka, skąd przerwał jej paplaninę krzyk, krzyk trwogi, który powtórzył się po chwili jeszcze boleśniejszy, pełen jeszcze większego przerażenia, a następnie zabrzmiał po raz trzeci, czwarty, piąty... – O! o! o! – pełen przerażenia, wzburzenia, rozpaczy, rozgłośny protest zwrócony

przeciwno czemuś okropnemu, co się ukazywało lub działo... Po chwili mały Jan stał już na łóżku i mamrotał jakieś niezrozumiałe wyrazy, a jego szeroko otwarte, oryginalne, złotobrunatne oczy, nie zauważając otaczającej rzeczywistości, wpatrzone były w zupełnie inny świat...

–Nic – rzekła Ida. – To pavor. Ach, czasem bywa o wiele gorzej...

I najspokojniej odłożyła robotę, podeszła swymi dużymi, ciężkimi krokami do Hanna i przemawiając głębokim, uspokajającym głosem, ułożyła go z powrotem i otuliła kołdrą.

–Ach, tak, pavor... –

powtórzyła pani Permaneder. – Czy on się budzi?

Ale Hanno wcale się nie obudził, chociaż oczy jego pozostały szeroko otwarte, a wargi poruszały się w dalszym ciągu...

–Co? Tak... tak... Nie gadajmy już... Co ty mówisz? – pytała Ida; pani Permaneder również podeszła i przysłuchiwała się niespokojnemu jękaniu i mruczeniu.

–Pójdę... do ogródka... – z trudem wymówił Hanno – kwiatuszki podlewać...

–Mówi wierszyki – objaśniła Ida Jungmann potrząsając głową.

–No, no, dosyć, śpij,

syneczku!...

–Tam stoi... garbaty

człowiek... i kicha... że aż strach... – powiedział Hanno i westchnął. Nagle zmienił mu się wyraz twarzy, oczy przymknęły się do połowy, głowa zaczęła kołysać się na poduszce, a on ciągnął cichym, bolesnym głosem:

Księżyc świeci,@ płacze

dziecię,@ północ bije z wieży@

niech Bóg wszystkich chorych

strzeże...@

Ale wypowiadając te słowa zaszlochał głęboko, łzy ukazały mu się na rzesach, spłynęły wolno po policzkach... i to go rozbudziło. Objął Idę, rozejrzał się mokrymi od łez oczami, wymruczał coś z zadowoleniem o „cioci Toni”, poprawił się w łóżeczku i spokojnie zasnął.

–To dziwne! – powiedziała pani Permaneder, gdy Ida zasiadła znów przy stole.

–To są wierszyki z jego elementarza – odrzekła panna Jungmann – a nad nimi jest wydrukowane: „Zaczarowany róg chłopczyka”. Dziwne wierszyki... Kazano mu wyuczyć się tego przed paru dniami i ciągle mówił o tym człowieczku. Znasz to?...

Doprawdy straszne. Wszędzie stoi

ten garbaty człowieczek: tłucze

garnek, zjada marmoladę, kradnie

drzewo, psuje kołowrotek,

wyśmiewa się... a potem jeszcze

prosi, żeby się za niego

pomodlić! Tak, synek bardzo się

tym przejął. Dzień i noc myślał

nad tym. Wiesz, co on mówił? Ze

trzy razy powiedział: „Prawda,

Ido, on tego nie robi ze złości

–prawda, że nie ze złości?...

On to robi ze smutku, a potem jest mu jeszcze smutniej... Jak się kto pomodli, to on nie będzie musiał tego więcej robić”. A dziś wieczór, kiedy mama przyszła mu powiedzieć dobranoc, zanim poszła na koncert, pytał, czy on też ma się modlić za garbatego człowieczka...

–No, i modlił się?

–Głośno nie, ale pewnie po cichu... Ale o drugim wierszyku, „Zegar piastunki”, nawet wcale nie mówił, tylko płakał. Tak łatwo płacze i wcale nie można go uspokoić...

–Ale cóż tam znów takiego smutnego?

–Albo ja wiem... Nigdy nie może powiedzieć więcej, tylko sam początek... do tego miejsca, nad którym, nawet teraz, przez sen płakał... a potem znowu płakał nad woźnicą, co to już o trzeciej z rana musi zrywać się ze słomianego posłania...

Pani Permaneder roześmiała się wzruszona, a potem zrobiła poważną minę.

–Ale mówię ci, Ido, to niedobrze, uważam to za niedobry objaw, że tak się wszystkim przejmuje. Woźnica wstaje o trzeciej – no więc. Boże drogi, od tego jest woźnicą! Już ja wiem – dziecko

skłonne jest do zbytniego przejmowania się wszystkim, za bardzo wszystko bierze do serca... To go rujnuje, wierzaj mi. Warto by pomówić raz poważnie z Grabowem... Ale cóż – ciągnęła dalej, krzyżując ręce i z przechyloną głową stukając z niezadowoleniem końcem bucika o podłogę. – Grabow starzeje się, a poza tym, chociaż to taki zacny, dzielny człowiek... ale jeśli chodzi o jego zdolności lekarskie, to nie mam do nich wielkiego zaufania; niech mi Bóg wybaczy, jeśli się mylę. Na przykład, co się tyczy niepokojów Hanna, zrywania się po nocy, napadów strachu we śnie... Grabow wie o tym, ale nic na to nie robi, tylko mówi nam, co to jest i jak się to nazywa po łacinie: pavor nocturnus (strach, lęk nocny – łac.). Boże drogi, w istocie to bardzo pouczające... Tak, to doskonały człowiek, dobry przyjaciel domu, wszystko prawda, ale orłem nie jest. Wybitny człowiek inaczej wygląda i już od młodości widać, że coś z niego będzie. Grabow przeżył rok czterdziesty ósmy; był wówczas młodym człowiekiem. Ale czy myślisz, że zapalał się kiedykolwiek do wolności, sprawiedliwości, do obalenia przywilejów i samowoli? Jest człowiekiem wykształconym, ale przekonana jestem, że niesłychane ówczesne prawa dotyczące uniwersytetów i prasy nic go nie obchodziły. Nigdy nie okazał się odważnym, nigdy nie przebrał miary... Miał zawsze tę swoją pociągłą, łagodną twarz, zawsze przepisywał gołąbka i sucharki, a w poważniejszych wypadkach łyżkę mikstury... Dobranoc ci, Ido... ale wydaje mi się, że są na świecie zupełnie inni lekarze!... Szkoda, że już nie zobaczę się z Gerdą... Tak, dziękuję, na korytarzu jest jeszcze światło... Dobranoc.

Gdy pani Permaneder otworzyła w przejściu drzwi do jadalni, by pożegnać się z bratem, zobaczyła, że pokoje były oświetlone i że Tomasz, założywszy ręce na plecach, chodził tam i z powrotem.

Rozdział czwarty

Gdy senator został sam, usiadł z powrotem przy stole, wyjął z kieszeni binokle i chciał w dalszym ciągu czytać gazetę. Ale już po upływie dwu minut podniósł oczy znad zadrukowanego papieru i nie zmieniając pozycji długo wpatrywał się przez portierey w ciemności salonu.

Gdy tak sam siedział, jakże

zmieniła się jego twarz! Mięśnie

ust i policzków, ćwiczone i

zmuszane do posłuszeństwa

nieustannym wysiłkiem woli,

teraz odprężyły się i obwisły

bezwładnie, jak maska opadł z

tej twarzy od dawna już

sztucznie utrzymywany wyraz

czujności, baczności,

uprzejmości i energii,

pozostawiając jedynie pełne

troski znużenie, oczy, zwrócone

na jakiś przedmiot z tęnym i

mętnym wyrazem, nie widząc go,

poczęły się czerwienić i łzawić

–i nie mając już odwagi oszukiwać samego siebie, ze wszystkich myśli, jakie ciężko, chaotycznie, bez chwili spokoju przepelniały jego głowę, zatrzymał tylko tę jedną, rozpaczliwą, że Tomasz Buddenbrook w czterdziestym drugim roku życia jest już człowiekiem zmęczonym.

Głęboko wciągając powietrze

powoli przesunął dłoń po czole i

oczach, machinalnie, chociaż

wiedział, że mu to szkodzi,

zapalił nowego papierosa i dalej

poprzez dym patrzył w

ciemność... Co za kontrast

między tym cierpiącym wyrazem

znużonej twarzy a elegancko,

niemal po oficersku

wypielegnowaną głową –

uperfumowanymi prostymi wąsami, gładko wygoloną brodą i policzkami, staranną fryzurą, ukrywającą w miarę możliwości początki łysiny na czubku głowy, włosy zaczesane w tył od delikatnych skroni, rozdzielone pośrodku wąskim przedziałem, nie wiły się nad uszami jak dawniej, lecz były krótko ostrzyżone, by ukryć rozpoczynającą się w tych miejscach siwiznę... On sam odczuwał ten kontrast i dobrze wiedział, że niczyjej uwagi w mieście nie mogła ujść sprzeczność między jego ruchliwą, sprężystą działalnością a znużonym wyrazem bladej twarzy.

Tam, w świecie, nie był on

dotychczas ani o odrobinę mniej

ważną i niezbędną osobą niż

dawniej. Przyjaciele powtarzali

–a zawistni nie mogli temu zaprzeczyć – że burmistrz doktor Langhals jeszcze o wiele energiczniej potwierdzał opinię swego poprzednika Oeverdiecka, iż senator Buddenbrook jest prawą ręką burmistrza. Jednak wróble na dachu świergotały o tym, że firma „Jan Buddenbrook” nie jest już tym, czym była niegdyś, tak że pan Stuhl z Glockengiesserstrasse mógł opowiadać o tym swojej żonie, jedząc z nią na obiad zupę ze słoniną... i Tomasz Buddenbrook cierpiał z tego powodu.

A przecież on sam przyczynił się najbardziej do rozpowszechnienia tej opinii. Był człowiekiem bogatym i żadna z poniesionych strat, nie wyłączając nawet poważnej straty w roku sześćdziesiątym szóstym, nie mogła zachwiać stanowiska firmy. Nie przestał wprawdzie prowadzić życia reprezentacyjnego i wydawać obiadów złożonych, zgodnie z tradycją, z wielu dań, niemniej jednak owo przekonanie – będące raczej wewnętrznym przeświadczeniem, aniżeli opartą na realnych faktach rzeczywistością – że szczęście i powodzenie opuściły go, odebrało mu w tak rozpaczliwy sposób odwagę i pewność siebie, że zaczął liczyć się z pieniędzmi i w niemal pedantycznie drobiazgowy sposób oszczędzać w życiu prywatnym. Setki razy przeklinał kosztowną budowę domu, który przyniósł mu, jak sądził, same zmartwienia. Wyjazdy letnie zostały zniesione i mały ogródek w mieście musiał zastąpić pobyt na morskim wybrzeżu lub w górach. Posiłki przyjmowane wspólnie z małżonką i małym Janem stały się na jego kilkakrotnie ponawiane surowe żądania tak skromne, że w przeciwstawieniu do wielkiej wspaniałej jadalni ze zbyt wysokim plafonem i kosztownymi dębowymi meblami wywierało to prawie komiczne wrażenie. Przez dłuższy czas deser dozwolony był tylko w niedzielę... Zewnętrzna jego elegancja nie uległa zmianie, ale długoletni służący Antoni opowiadał w kuchni, że senator zmienia obecnie koszulę tylko raz na dwa dni, gdyż pranie niszczy cienkie płótno... Wiedział on coś więcej jeszcze. Wiedział, że prawdopodobnie zostanie odprawiony. Gerda protestowała. Troje służby z trudem może utrzymać w porządku tak duży dom. Nic nie pomogło:

Antoni, który od tak dawna zasiadał na koźle, gdy Tomasz Buddenbrook jechał do senatu, odprawiony został za odpowiednim wynagrodzeniem.

Z zarządzeniami takimi szło w parze niezbyt radosne tempo, w jakim posuwały się obecnie interesy firmy. Nic nie pozostało z owego świeżego, ożywczego powiewu, jaki wniósł niegdyś Tomasz Buddenbrook, wspólnik zaś jego, pan Fryderyk Wilhelm Marcus, który wstąpił do firmy z nieznacznym tylko kapitałem, nie mógłby w żadnym razie mieć decydującego głosu, był bowiem z natury oraz temperamentu pozbawiony wszelkiej inicjatywy.

Z biegiem lat pedantem jego wzmogła się aż do dziwactwa. Zużywał cały kwadrans na obcięcie cygara, co skuteczniał pochrzäkując, gładząc wąsy, w zamyśleniu spoglądając na bok i w końcu chował koniuszek cygara do sakiewki. Wieczorem kiedy gazowe lampy oświetlały jasno każdy kąt kantoru, nie zapominał nigdy postawić sobie na biurku zapalanej świecy stearynowej. Co pół godziny wstawał z miejsca i oblewał sobie wodą głowę pod wodociągiem. Pewnego popołudnia pod biurkiem jego leżał nieporządnie rzucony pusty worek, chciał on do tego worka złapać kota i z towarzyszeniem przekleństw usiłował wypędzić go, ku ogólnej wesołości wszystkich urzędników... Nie, nie był to człowiek, który by przeciwstawiając się tracącemu energię wspólnikowi, silną ręką mógł uchwycić ster interesów. I często, tak jak teraz oto, gdy zmęczonym wzrokiem wpatrywał się w

ciemności salonu, uprzytomniając sobie nieznaczące obroty i drobne interesy, do jakich w ostatnich czasach zniżala się firma „Jan Buddenbrook”, opanowywał senatora wstyd i rozpaczliwe zniecierpliwienie.

Ależ czyż z tym wszystkim było istotnie tak źle? Przychodzi czas i na nieszczęście – myślał sobie. Czyż nie było wskazane zachowywać się cicho, podczas gdy ono nas opanowuje, nie ruszać się, przeczekać i spokojnie zbierać wewnętrzne siły? Po cóż zwrócono się teraz do niego z tą propozycją, by przed czasem wytrącić go z mądrej rezygnacji i rzucić na pastwę wątpliwości i rozmyślań? Czy czas już nadszedł? Czy był to znak ostrzegawczy? Czyż miał się ożywić, podźwignąć i zdobyć na krok decydujący? Z całą stanowczością, jaką zdołał nadać swemu głosowi, odrzucił propozycję: ale czyż od chwili, gdy Tonia przerwała rozmowę, wszystko było skończone? Wydawało się, że nie, gdyż siedział tu i przemyślał. – Tylko taka propozycja oburza nas, co do której nie jesteśmy pewni, czy potrafiemy jej się przeciwstawić...

Diabelnie chytra osóbką, ta mała Tonia!

Cóż on jej przeciwstawił? O ile sobie przypomina, powiedział to bardzo dobrze i dobitnie:

Brudne manipulacje... Łowić ryby w mętnej wodzie... Brutalny wyzysk... Uderzyć bezbronego...

Lichwiarskie zyski... –

doskonale! Zadawał sobie jednak

pytanie, czy była to właściwa

okazja do wytaczania takich

wielkich słów. Konsul Herman

Hagenstr~om nie byłby ich szukał

i nie byłby ich też znalazł. Czy

Tomasz Buddenbrook był

człowiekiem interesów,

swobodnego czynu, czy też osobnikiem trwożliwym i pełnym skrupułów?

O tak, to było pytanie, jakie stawiał sobie zawsze, jak sięgnął pamięcią. Życie było twarde, a życie handlowe było w swym bezwzględnym i pozbawionym sentymentu biegu jak gdyby odbiciem całego życia. Czy Tomasz Buddenbrook stał w tym życiu praktycznym i twardym pewnie, obiema nogami, jak jego przodkowie? Często i od dawna miał powody wątpić o tym! Często już od młodości musiał naprawiać swe błędy w odczuwaniu owego żyda... Być bezwzględnym, znosić bezwzględność nie odczuwając jej jako bezwzględność, lecz jako coś zupełnie zrozumiałego – czyż nigdy już nie miał się tego nauczyć?

Przypomniawszy sobie wrażenie,

jakie wywarła na nim katastrofa 1866 roku, wywoływał w pamięci niewypowiedziane bolesne uczucia, jakie go wówczas opanowały. Stracił wielką sumę pieniędzy... ach, nie to było najtrudniejsze do zniesienia! Ale po raz pierwszy doznał w całej pełni i na własnej skórze okrutnej brutalności handlowego życia, w którym wszystkie dobre, łagodne, miłe uczucia kurczą się przed nagim, surowym, rozkazującym instynktem samozachowawczym i w którym doznane nieszczęście nie wzbudza u przyjaciół, u najlepszych przyjaciół, współczucia, lecz – nieufność, zimną, obojętną nieufność. Czyż o tym nie wiedział? Czyż miał się temu dziwić? Jak bardzo wstydził się później, w lepszych, mocniejszych godzinach, że wówczas w bezsenne noce oburzał się i buntował, pełen wstrętu, dotknięty i urażony szpetnym i bezwstydnym okrucieństwem życia!

Jakie to było głupie! Jakże śmieszne były zawsze te odruchy! Jak było to w ogóle możliwe, że w nim powstawały?

I znowu: czy był człowiekiem praktycznym, czy też przeczulonym marzycielem?

Ach, tysiące razy zadawał już sobie to pytanie i odpowiadał sobie na nie inaczej w chwilach ufności i wiary we własne siły, a inaczej w chwilach zmęczenia. Był jednak zbyt wnikliwy i uczciwy, by w końcu nie wyznać przed samym sobą, że jest połączeniem jednego i drugiego.

Przez całe życie uchodził

przed światem za człowieka

czynu, ale jeśli słusznie za

takiego uchodził, czyż nie było

to w nim świadomie wyrozumowane

i wynikające z poczucia

wyższości – zgodnie z owym

Goethowskim powiedzeniem, które

przyswoił sobie jako ulubioną,

wybraną prawdę? Odnosił niegdyś

sukcesy... ale czyż nie

wypływały one z entuzjazmu, z

owej siły napędowej, jaką

zawdzięczał refleksji? A teraz,
gdy był powalony, gdy siły jego
wydawały się – oby Bóg dał, nie
na zawsze – wyczerpane, czyż nie
było to koniecznym następstwem
owego nienaturalnego stanu, owej
niepowstrzymanej i
wyniszczającej walki

wewnętrznej?... Czy ojciec jego, dziadek, pradziad byliby zakupili p~oppenradzkie zbiory na pniu? Mniejsza z tym!... Mniejsza z tym!... Ale że byli oni ludźmi praktycznymi, że byli nimi w sposób pełniejszy, mocniejszy, swobodniejszy i prostszy niż on, to nie ulegało wątpliwości!...

Opanował go wielki niepokój, potrzeba ruchu, przestrzeni i światła. Odsunął krzesło, przeszedł do salonu i zapalił w żyrandolu nad stołem kilka gazowych płomieni. Zatrzymał się, kręcił wolno i kurczowo długi koniec wąsa i rozglądał się, nic nie widząc, po tym pokoju urządzonej ze zbytkiem. Wraz z gabinetem zajmował on cały front domu, zastawiony był jasnymi giętymi meblami, duży zaś koncertowy fortepian, na którym leżało pudło ze skrzypcami Gerdy, etażerka wypełniona nutami, rzeźbiony pulpit oraz płaskorzeźby wyobrażające amorki grające na różnych instrumentach nadawały mu wygląd sali muzycznej. W wykuszu stało mnóstwo palm.

Senator Buddenbrook stał tak przez dwie lub trzy minuty bez ruchu. Potem ocknął się, przeszedł z powrotem do gabinetu, wszedł do jadalni, gdzie również zapalił światło. Zakrzętnął się koło kredensu, wypił szklankę wody, by nieco uspokoić serce lub raczej by w ogóle uczynić cośkolwiek, potem z rękami założonymi na plecach przeszedł szybko w głąb mieszkania. Palarnia umeblowana była ciemno i wykładana drzewem. Machinalnie otworzył szafkę z cygarami, zamknął ją z powrotem, podniósł pokrywkę małej dębowej skrzyneczki, zawierającej karty do gry, notesy i podobne drobiazgi. Przesypał na dłoń klekoczące kościane sztony, z powrotem zatrzasnął skrzyneczkę i znowu począł chodzić.

Do palarni przylegał niewielki gabinet z okienkiem o różnobarwnych szybkach. Mieściło się tam jedynie kilka stoliczków wsuniętych jeden w drugi, na których stała taca z likierami. Stamtąd wchodziło się do sali ozdobionej wspaniałą posadzką, o czterech osłoniętych czerwonymi portierami wysokich oknach, skąd rozciągał się widok na ogród. Sala owa również zajmowała całą szerokość domu. Stało tam kilka dużych niskich sof, czerwonych jak zasłony u okien, a pod ścianami kilka krzeseł o wysokich oparciach i godnym wyglądzie. Był kominek z leżącymi za kratą sztucznymi węglami, które zdawały się płonąć dzięki poukładanym pasmom czerwono_żółtego glansowanego papieru. Na marmurowej płycie przed lustrem stały dwie chińskie wazy...

Teraz cała amfilada pokojów oświetlona była światłem gazowych lamp, jakby po uroczystości, po

odejściu ostatniego gościa. Senator przemierzał salę wzdłuż, zatrzymał się u okna naprzeciwko gabinetu i wyjrzał na ogród.

Wysoko na niebie mały księżyc przemykał się wśród postrzępionych chmur, a wodotrysk szemrał pod zwieszonymi konarami włoskiego orzecha. Tomasz popatrzył na pawilon zamykający ogród w głębi, na mały, błyszczący białą taras z obeliskami, na symetryczne zwirowane ścieżki, na okopane grządki i trawniki... ale cała owa ozdobna i niczym nie zakłócona symetria, zamiast uspokoić, zniecierpliwiła go i rozdrażniła. Uchwycił za klamkę okna, położył na niej czoło i oddał się na nowo dręczącym rozmyślaniom.

Co się z nim działo?

Przypomniała mu się uwaga, którą wypowiedział wobec siostry i która rozgniewała go, ledwie ją wymówił, jak gdyby powiedział coś zbyt celnego. Mówił o hrabi von Strelitz, o ziemiaństwie i przy tej okazji dobitnie i jasno wyraził przekonanie, że należy uznać społeczną wyższość producenta nad pośrednikiem. Było to trafne? Ach, mój Boże, wszak to tak niesłychanie obojętne, czy to było trafne! Ale czyż był powołany do wypowiedzenia tej myśli, do zastanowienia się nad nią, w ogóle do powzięcia jej? Mógłżeby wyobrazić sobie swego ojca, dziadka, któregośkolwiek ze swych współobywateli, rozważającego tę myśl, wypowiadającego ją? Człowiek uprawiający swój zawód pewnie, mocno, bez zwątpień, nie zna nic ponadto, nie chce wiedzieć, nie ceni nic ponadto...

Nagle poczuł, że krew napływa mu do głowy, poczuł, że zaczerwienił się cały pod wpływem innego, dawniejszego wspomnienia. Ujrzał siebie chodzącego wraz z bratem Chrystianem po ogrodzie na Mengstrasse; była to owa kłótnia, jeden z owych nieszczęsnych, drażliwych sporów... Wobec liczego towarzystwa Chrystian wyraził wówczas we właściwy sobie niedyskretny i kompromitujący sposób łajdacką opinię, która oburzyła go, dotknęła w najwyższym stopniu i doprowadziła do wybuchu. Właściwie, powiedział Chrystian, właściwie i w gruncie rzeczy każdy kupiec jest jednak oszustem... Ale czyż ta niesmaczna licha gadanina była bardzo daleka od uwagi, na jaką pozwolił sobie przed chwilą wobec siostry? Oburzał się wtedy, doprowadzony do wściekłości protestował... Ale jak to powiedziała ta chytra mała Tonia? Kto się oburza...

–Nie! – powiedział nagle głośno senator, podniósł gwałtownie głowę, puścił klamkę okna, prawie odskoczył i równie głośno wymówił: – Koniec! – Potem odchrząknął, by otrząsnąć się z przykrego wrażenia, jakie wywarł na nim jego własny samotny głos, obrócił się i zaczął chodzić po wszystkich pokojach z opuszczoną głową i rękami założonymi na plecach.

–Koniec! – powtórzył. – Trzeba z tym skończyć!

Rozleniwiam się, niedołącznieję, staję się głupszy niż Chrystian!

O, było to nieskończenie ważne, że dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim działo! Od niego tylko zależało, by się poprawić! Wszystkimi siłami!... Czekać no... jakąż to mu zrobiono propozycję? Zbiory... P~oppenradzkie zbiory na pniu? – Kupuję – powiedział namiętym szeptem i nawet potrząsnął ręką z wyciągniętym wskazującym palcem. – Kupuję!

Przecież było to tak zwane posunięcie? Mówiąc, po prostu, okazja bez mała podwojenia kapitału

wynoszącego, powiedzmy, czterdzieści tysięcy marek?... Tak, to był palec boży, znak, by się podźwignąć! Szło o początek, o pierwsze uderzenie, związane zaś z nim ryzyko było jedną odpowiedzią więcej na wszystkie skrupuły moralne. Gdyby się udało, stanąłby znowu na nogi, odzyskałby odwagę, znowu zdołałby owymi wewnętrznymi, elastycznymi klamrami utrzymać szczęście i potęgę...

Nie, ten połów nie stanie się zdobyczą panów Struncka i Hagenstr~oma! Istnieje tu na miejscu firma, która dzięki stosunkom osobistym ma w tej sprawie pierwszeństwo!...

Istotnie, momentem decydującym

były tu stosunki osobiste. Nie

był to zwykły interes, dający

się załatwić na chłodno, w

sposób ogólnie przyjęty. W tej

formie, w jakiej mu go

przedstawiono, dzięki

wstawiennictwu Toni, miał on raczej charakter sprawy prywatnej, którą należało traktować z całą dyskrecją oraz uprzejmością. Ach, nie, Herman Hagenstr~om nie bardzo by się do tego nadawał! Tomasz wyzyskiwał, jako kupiec, koniunkturę, a Bóg świadkiem, że potrafi ją wyzyskać także i przy sprzedaży! Niezależnie od tego jednak wybawiał ziemianina z ciężkiego położenia, wyświadczał mu przysługę, do której był niejako obowiązany dzięki przyjaźni Toni z panią von Maiboorn. Zatem napisać... napisać jeszcze dziś wieczorem, nie na papierze firmowym, ale na arkusiku prywatnym, na którym było jedynie wydrukowane „Senator NBuddenbrook” – napisać w sposób pełen dyskrecji, zapytując, czy mógłby złożyć wizytę w najbliższych dniach. Sprawa bądź co bądź drażliwa. Grunt nieco śliski, należałoby poruszać się na nim z niejaką zręcznością... Tym odpowiedniejszy dla niego!

I kroki jego stały się jeszcze szybsze, oddech głębszy. Usiadł na chwilę, zerwał się i znowu wędrował po pokojach. Jeszcze raz przemyślał wszystko, pomyślał o panu Marcusie, o Hermanie Hagenstr~omie, Chrystianie i Toni, ujrzał kołyszące się na wietrze p~oppenradzkie zbiory, pomarzył o tym, jak po tym kroku podniesie się firma, odrzucił z gniewem wszystkie wątpliwości, potrząsnął ręką i rzekł: Zrobię to!

Pani Permaneder otworzyła drzwi jadalni i zawołała: – Dobranoc! – Odpowiedział nie zdając sobie z tego sprawy. Weszła Gerda, którą Chrystian odprowadził do bramy, jej dziwne, blisko siebie osadzone ciemne oczy błyszczały owym zagadkowym blaskiem, jakiego im użyczała muzyka. Senator machinalnie zatrzymał się przed nią, machinalnie zapytał o hiszpańskiego wirtuoza, o przebieg koncertu i oznajmił, że również pragnie wkrótce udać się na spoczynek.

Nie udał się jednak na spoczynek, lecz na nowo rozpoczął swą wędrówkę. Myślał o workach żyta, pszenicy, owsa i jęczmienia, mających napełnić wszystkie spichrze, „Lwa”, „Wieloryba”, „Dąb”, i

„Lipę”, myślał o cenach – o, bynajmniej nie lichwiarskich – jakie zamierzał zaofiarować, o północy zszedł po cichu do kantoru, gdzie przy stearynowej świecy pana Marcusa napisał jednym tchem list do pana von Maibooma na P~oppenrade, gdy rozgorączkowany i przemęczony odczytał ów list, wydało mu się, że jest to najlepszy i najbardziej taktowny list, jaki kiedykolwiek w życiu napisał.

Było to w nocy na 27 maja. Następnego dnia lekko, z humorem oznajmił siostrze, że rozpatrzył sprawę ze wszystkich stron, że nie może dać odprawy panu von Maiboomowi i wydać go na łup pierwszego lepszego lichwiarza. 30 tegoż miesiąca wybrał się w podróż do Rostocka, skąd wynajętym powozem pojechał do majątku.

Podczas następnych dni był w wyśmienitym humorze, miał swobodne, elastyczne ruchy i pogodny wyraz twarzy. Drażnił się z Klotyldą, śmiał się serdecznie z Chrystiana, żartował z Tonia, w niedzielę przez całą godzinę bawił się z Janem w „altance” na drugim piętrze, pomagał synowi wciągać worki zboża do małego spichrza z czerwonej cegły i naśladował przeciągłe okrzyki robotników... 3 lipca na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego podczas debaty nad najnudniejszą w świecie rzeczą, jakąś kwestią podatkową, wygłosił tak doskonałą i dowcipną mowę, że wszyscy przyznali mu rację, a oponent jego, konsul Hagenstr~om, został wyśmiany.

Rozdział piąty

Czy to przez zapomnienie, czy też umyślnie, senator omal nie przeoczył pewnego ważnego faktu, fakt ów jednak dzięki pani Permaneder, zajmującej się z całym oddaniem rodzinnymi papierami, podany został do ogólnej wiadomości: dzień 7 lipca 1768 roku był mianowicie podług dokumentów dniem założenia firmy, a zatem wkrótce przypadała setna rocznica owego dnia.

Wydawało się niemal, że Tomasz czuł się niemile dotknięty, gdy Tonia wzruszonym głosem oznajmiła mu o tym. Jego dobry humor nie trwał długo.

Bezpośrednio po owej rozmowie wpadł w przygnębienie, może jeszcze głębsze niż poprzednio. Zdarzało się, że podczas godzin pracy wychodził z kantoru i opanowany niepokojem samotnie błąkał się po ogrodzie, chwilami zaś zatrzymywał się w miejscu jak wryty i z westchnieniem zakrywał oczy dłonią. Nic nie mówił, nie wypowiadał się... Bo i przed kim? Pan Marcus – był to moment niezwykły – usłyszawszy od współnika o interesie z P~oppenrade uniósł się po raz pierwszy w życiu i oświadczył, że uchyla się od wszelkiej odpowiedzialności oraz udziału. Jednak pewnego razu na ulicy Tomasz zdradził się przed siostrą, panią Permaneder, gdy ta, żegnając się z nim, zrobiła aluzję do p~oppenradzkich zbiorów, uścisnął tylko mocno jej rękę, mówiąc po cichu, lecz gwałtownie: – Ach, Toniu, chciałbym już to zlikwidować! – Nagle urwał, odwrócił się i odszedł, pozostawiając panią Antoninę niemile dotkniętą i zdumioną... Ten nagły uścisk dłoni miał w sobie coś z wybuchającej rozpacz, te wyszeptane słowa coś z długo tajonego lęku... Gdy jednak Tonia spróbowała przy okazji powrócić do tego tematu, nie odpowiedział, zachowywał nieprzeniknione milczenie, jak gdyby wstydząc się słabości, której na chwilę uległ, i pełen goryczy, iż sam przed sobą nie potrafi usprawiedliwić swej bezradności...

Teraz zaś powiedział ociężale i cierpko:

–Ach, moja droga, chciałbym, żebyśmy to po prostu zignorowali!

–Zignorować, Tom? Niemożliwe!

Niedopuszczalne! Myślisz, że mógłbyś ukryć tę rocznicę? Myślisz, że miasto mogłoby zapomnieć o znaczeniu tego dnia?

–Nie mówię, że to jest możliwe, mówię, że wolałbym cicho obchodzić ten dzień. Ładnie jest składać hołd przeszłości, jeśli teraźniejszość i przyszłość dobrze się przedstawiają... Przyjemnie jest wspominać przodków, jeśli postępujemy po ich myśli, zgodnie z ich zasadami... Gdyby ten jubileusz wypadł w odpowiednim czasie... Słowem, nie jestem usposobiony do obchodzenia uroczystości.

–Nie mów tak, Tom. Sam tak nie myślisz i dobrze wiesz, że byłoby wstydem, prawdziwym wstydem, pozwolić, by setny jubileusz firmy „Jan Buddenbrook” minął bez echa! Jesteś obecnie trochę zdenerwowany i wiem, dlaczego... chociaż właściwie nie masz do tego powodów... Ale gdy ów dzień nadejdzie, będziesz tak wzruszony, jak my wszyscy...

Miała rację, dnia owego nie można było pominąć milczeniem. Wkrótce ukazała się w gazecie wstępna wzmianka, zawierająca w związku z jubileuszem dokładne streszczenie historii ogólnie poważanego domu handlowego – była ona jednak prawie zbyt cenna, jeśli chodziło o zwrócenie uwagi prześwietnego kupiectwa. Co się tyczy rodziny, to Justus Kröger pierwszy na czwartkowym przyjęciu zaczął o tym mówić, a pani Permaneder po uprzątnięciu deseru nie omieszkała rozłożyć na stole czcigodnej teki z rodzinnymi dokumentami, by na wstępie do uroczystości zająć się datami z życia świętej pamięci Jana Buddenbrooka, prapradziada małego Jana. Kiedy przeszedł jaglicę, a kiedy prawdziwą ospę, kiedy spadł z trzeciego piętra do suszarni, a kiedy dostał ataku furii – wszystko to odczytywała z religijnym namaszczeniem. Nie zadowolona się tym, cofnęła się aż do XVI wieku, do najdawniejszych znanych Buddenbrocków, tego, który był rajcą w Grabau, i tego innego, krawca z Rostocka, „który miał się bardzo dobrze” – co było podkreślone – i spłodził bardzo dużo żywych i martwych dzieci... – Cóż to za wspaniały człowiek! – zawołała, po czym zabrała się do odczytywania starych, pożółkłych listów i okolicznościowych wierszy...

Pierwszym gratulantem 7 lipca był, rozumie się, pan Wenzel.

–Tak, tak, panie synatorze, sto lat! – powiedział, a brzytwa i rzemień do ostrzenia migwały tylko w jego czerwonych rękach.

–Bez mała połowę tego czasu, jak golę w szanownej rodzinie, a to już się człowiek pozna, kiedy się z nimi zawsze od samego rana rozmawia... Nieboszczyk, pan konsul, tak samo rano bywał najrozmowniejszy, pytał się zawsze: Panie Wenzel, powiada, co pan sądzisz o pszenicy? Czy mam sprzedać, czy też myślisz pan, że ceny pójną w górę?...

–Istotnie, panie Wenzel, nie mogę sobie wyobrazić przeszłości bez pana. Zawód pański, jak już nieraz panu mówiłem, ma w sobie wiele uroku. Kiedy rano ukończysz swój obchód, jesteś mędrzy niż wszyscy inni, gdyż do tego czasu goliłeś pan szefów prawie wszystkich największych firm i wiesz, w jakim są humorze, a tego każdy z nich może panu pozazdrościć, jest to bowiem bardzo zajmujące.

–To prawda, panie synatorze.

Ale co się tyczy humoru pana synatora, jeśli wolno spytać... pan synator dzisiaj znowu coś jakby trochę błady?

–Doprawdy? Tak, mam ból głowy i zdaje się, że nie przejdzie mi to tak łatwo, myślę, że wezmą mnie dziś w obroty.

–Mnie się też tak zdaje, panie synatorze. Wszyscy biorą udział w uroczystości. Niech pan synator wyjrzy potem przez okno. Pełno flag! A na wodzie, przed Fischergrube, stoją pod pełną banderą „Wullenwewer” i „Fryderyka Oeverdieck”...

–A zatem żywo, panie Wenzel, nie mam czasu do stracenia.

Senator nie włożył dzisiaj swej biurowej kurtki, lecz do jasnych spodni przywdział od razu czarny, otwarty surdut, pod którym widoczna była biała pikowa kamizelka. Należało już przed południem oczekiwać wizyt.

Spojrzał po raz ostatni w

lustro, przypiekl jeszcze raz

szczypcami długie końce wąsów i

z krótkim westchnieniem zwrócił

się ku drzwiom. Rozpoczął się

taniec... Gdybyż ten dzień minął

jak najprędzej! Czy będzie mógł

choć przez chwilę pozostać sam,

choć na chwilę rozluźnić napięte

mięśnie twarzy? Przez cały dzień

przyjęcia, gratulacje, setki

ludzi, których należy przyjmować

z godnością i taktem, znajdować

dla każdego odpowiednie odcienie

słów pełnych szacunku,

poważnych, uprzejmych,

ironicznych, żartobliwych, wyrozumiałych, serdecznych... a po południu do późnego wieczora męski obiad w ratuszowej winiarni...

W istocie nie miał bólu głowy. Był tylko zmęczony i zaledwie minął krótki okres porannego spokoju nerwów, znów poczuł ową nieokreśloną zgryzotę... Dlaczego skłamał? Czyż nie było to, jak gdyby w stosunku do swego złego samopoczucia miał nieczyste sumienie? Dlaczego? Dlaczego?... Ale nie była to odpowiednia chwila do roztrząsań.

Gdy wszedł do jadalni, Gerda żywo podeszła ku niemu. I ona była już w wizytowej toalecie. Miała na sobie gładką szkocką spódnicę, białą bluzkę oraz cienką, jedwabną żuawkę ciemnoczerwonego koloru, zbliżonego do barwy jej obfitych włosów. Ukazywała w uśmiechu swe równe, szerokie, białe zęby, bielsze jeszcze niż jej piękna twarz, oczy zaś jej, owe blisko siebie osadzone, zagadkowe, brązowe oczy, otoczone błękitnymi cieniami, również uśmiechały się dzisiaj.

–Od dawna już jestem na nogach, możesz z tego wnosić, jak entuzjastyczne są moje życzenia.

–No, no! Czyżby te sto lat wywierały na tobie takie wrażenie?

–Jak najgłębsze!... Zresztą możliwe, że w ogóle ten uroczysty nastrój... Cóż to za dzień! Na przykład to – i wskazała na stół nakryty do śniadania i przyozdobiony kwiatami z ogródka – dzieło panny Jungmann... Mylisz się zresztą sądząc, że będziesz mógł teraz wypić herbatę. W salonie czekają już na ciebie najważniejsi członkowie rodziny z upominkiem, w którym nie brak też i mego udziału. Słuchaj no, Tomaszu, jest to oczywiście dopiero początek korowodu wizyt, jaki się potem rozwinie. Do południa wytrwam, ale potem usunę się, uprzedzam cię o tym. Pomimo że barometr opadł nieco, niebo jest bezwzględnie błękitne, co wprawdzie harmonizuje z flagami... gdyż całe miasto jest udekorowane... wygląda to bardzo ładnie... wróży jednak straszliwy upał... Zejdź teraz na dół. Śniadanie musi zaczekać. Powinieneś być wstać wcześniej. A tak musisz przebyć pierwsze wzruszenie o pustym żołądku...

Konsulowa, Chrystian,

Klotylda, Ida Jungmann, pani Permaneder i Hanno byli w salonie, dwoje ostatnich z trudem trzymało upominek rodzinny, wielką tablicę pamiątkową... Konsulowa z głębokim wzruszeniem objęła najstarszego syna.

–Mój kochany synu, jest to piękny dzień... piękny dzień...

–powtórzyła. – Nie powinniśmy nigdy przestać dziękować Bogu za wszystkie łaski... za wszystkie łaski... – Płakała.

W objęciu tym senator uległ na chwilę słabości. Jak gdyby mu w duszy coś roztajało i uszło z niego. Wargi jego zadrżały. Opanowało go bezsilne pragnienie, by pozostać tak z zamkniętymi oczami w ramionach matki, na jej piersiach, w delikatnym zapachu perfum, ulatniającym się z miękkiego jedwabiu jej sukni, nie widzieć nic więcej, móc milczeć... Pocałował ją i wyprostował się, by wyciągnąć rękę do brata, który uścisnął ją z miną na pół roztargnioną, a na pół zakłopotaną, właściwą mu podczas wszelkich uroczystości. Klotylda przeciągając powiedziała parę miłych słów.

Co się tyczy panny Jungmann, to ograniczyła się ona do bardzo głębokiego ukłonu, przy czym palce jej bawiły się srebrnym łańcuszkiem od zegarka, wiszącym na jej płaskiej piersi...

–Przybliź się, Tom – rzekła mdlejącym głosem pani Permaneder – nie możemy już oboje z Janem dłużej trzymać. – Prawie własnymi siłami trzymała tablicę, gdyż ręce Jana były zbyt słabe, i pełen zapału wysiłek nadawał jej wygląd zachwyconej męczennicy. Oczy miała wilgotne, policzki mocno zaczerwienione, język przesuwiał się po górnej wardze z trochę rozpaczliwym a trochę figlarnym wyrazem...

–A więc teraz do was! – rzekł senator. – Cóż to takiego? Chodźcie, postawcie to, oprzemy o ścianę. – Postawił tablicę pod ścianą obok fortepianu i stanął przed nią, otoczony rodziną.

Ciężka, rzeźbiona, orzechowa rama otaczała karton, zawierający pod szkłem wizerunki czterech właścicieli firmy „Jan Buddenbrook”, pod każdym wypisane było złotymi literami imię oraz daty. Widniała tam, wykonana podług starego olejnego portretu, podobizna Jana Buddenbrooka, założyciela firmy:

był to chudy, poważny stary pan, patrzący surowo i stanowczo sponad swego żabotu, obok widać było szerokie, jowialne oblicze Jana Buddenbrooka, przyjaciela Jeana Jacques’a Hoffstede, konsul Buddenbrook z podbródkiem ukrytym w vaterm-orderze, o szerokich ściągniętych ustach i dużym, zagiętym nosie, spoglądał na widza swymi uduchowionymi oczami, wyrażającymi skłonność do religijnych rozmyślań; wreszcie Tomasz Buddenbrook z nieco młodszych lat...

Stylizowany złoty kłos biegł między podobiznami, pod którymi umieszczone były, również złoczone, pełne znaczenia cyfry 1768 i 1868. Ponad wszystkim jednak widniała dewiza wypisana wysokimi, gotyckimi literami, charakterem pisma tego, który przekazał ją swym następcom:

„Synu mój, pilnuj za dnia twych interesów, bacz atoli, byś się takich nie imał, które by ci nocą sen mąciły”.

Senator, założywszy ręce na plecach, długo przyglądał się tablicy.

–Tak, tak – powiedział nagle z dosyć drwiącym akcentem – niezakłócony spoczynek nocny to dobra rzecz...

–Potem zwracając się do obecnych dodał poważnie, choć nieco spieszenie: – Dziękuję wam serdecznie, moi kochani! Jest to bardzo piękny, rozumny podarunek!... Jak myślicie – gdzie go zawiesimy? W prywatnym biurze?

–Tak, Tom, nad twoim

biurkiem! – odrzekła pani Permaneder, obejmując brata, potem zaciągnęła go do wykusza i wskazała na ulicę.

Pod ciemnym błękitem nieba powiewały na wszystkich domach dwubarwne flagi – wzdłuż całej Fischergrube i od Breitenstrasse aż do portu, gdzie dla uczczenia swego właściciela stały pod pełną banderą „Wullenwewer” i „Fryderyka Oeverdick”.

–Tak wygląda całe miasto! – rzekła pani Permaneder drżącym głosem... – Przechadzałam się już po ulicach,

Tomaszu. I Hagenstr~omowie wywiesili flagi! Ha, nie mogli inaczej postąpić... Wybiłabym im szyby...

Uśmiechnął się, siostra zaś poprowadziła go z powrotem do pokoju.

–A tu są telegramy, Tom... dopiero pierwsze, prywatne naturalnie, od przebywającej daleko rodziny. Od klienteli oddawane są do kantoru...

Otworzył parę depezb: z Hamburga, z Frankfurtu, od pana Arnoldsena wraz z rodziną z Amsterdamu, od J~urgena Kr~ogera z Wismaru... Nagle pani Permaneder mocno się zaczerwieniła.

–Na swój sposób jest to jednak dobry człowiek – rzekła podając bratu depezbę, którą w tej chwili otworzyła. Była ona podpisana: „Permaneder”.

–Ale czas upływa – rzekł senator spoglądając na zegarek.

–Chciałbym napić się herbaty.

Będziecie mi towarzyszyli? Potem będzie tu jak w gołębniku...

Małżonka, której Ida Jungmann dała znak, powstrzymała go jednak.

–Jedną chwilę, Tomaszu...

Wiesz przecie, Hanno idzie zaraz na lekcję... Chciałby ci powiedzieć wiersz... Chodź no tu, Hanno. Tak jak gdyby nikogo nie było. Bez wzruszeń!

Mały Jan musiał nawet podczas ferii – w lipcu były bowiem letnie wakacje – brać prywatne lekcje arytmetyki, by móc nadążyć za klasą. Gdzieś na przedmieściu Świętej Gertrudy, w gorącym, niezbyt mile pachnącym pokoiku czekał na niego człowiek z rudą brodą i brudnymi paznokciami, by ćwiczyć go w nieszczęsnej tabliczce mnożenia. Przedtem jednak musiał wyrecytować ojczulkowi wiersz, starannie przygotowany razem z Idą w „altance” na drugim piętrze...

Ubrany w swoje kopenhaskie ubranko marynarskie, z szerokim płóciennym kołnierzem, białym wkładem i grubym marynarskim krawatem, skrzyżował szczupłe nogi, oparł się o fortepian, odchylając nieco w tył głowę i górną połowę ciała ruchem pełnym nieśmiałości i nieświadomej gracji. Dwa czy trzy tygodnie temu obcięto mu długie włosy, gdyż w szkole wyśmiewali się z nich nie tylko koledzy, ale nawet i nauczyciele. Na głowie jednak wiły się one miękko w dalszym ciągu, głęboko zarastając skronie i delikatne czoło. Powieki miał opuszczone, tak że długie, ciemne rzęsy przesłaniały błękitnawe cienie pod oczami, a zamknięte wargi były trochę skrzywione.

Wiedział dobrze, co się stanie. Rozplacze się, nie będzie mógł dokończyć tego wiersza, przy, którym serce się ścisnęło, jak w niedzielę, gdy pan Pf~uhl, organista, grał na organach w jakiś przejmująco

uroczysty sposób... rozplącze się, jak to się zawsze zdarzało, gdy wymagano od niego, by się popisywał, gdy go egzaminowano, badano jego zdolności i przytomność umysłu, jak ojczulek to lubił. Gdyby chociaż mama nie była nic powiedziała o wzruszeniu! Chciała mu dodać odwagi, ale to było chybione, czuł to dobrze. Stali tam i patrzyli na niego. Obawiali się i oczekiwali, że się rozplącze... Czy można było się nie rozpląkać? Podniósł rzęsy i poszukał oczu Idy, która bawiła się łańcuszkiem od zegarka i kiwała mu głową ze zwykłym, pocziwie kwaskowatym uśmiechem. Poczul niezwalczoną potrzebę przytulenia się do niej, by wyniosła go stąd – nie słyszeć nic, prócz jej głębokiego, uspokajającego głosu: Cicho, Januchna, synuchna; nie potrzebujesz nic deklamować...

–A zatem słuchamy, mój synu – rzekł krótko senator. Zasiadł w fotelu przy stole i czekał. Bynajmniej się nie uśmiechał – jak zresztą nigdy w podobnych okolicznościach. Poważnie, podnosząc w górę brew, mierzył postać małego Jana badawczym, a nawet zimnym spojrzeniem.

Hanno wyprostował się.

Przeciągnął dłonią po gładkim, polerowanym drzewie fortepianu, powiódł bojaźliwym wzrokiem po obecnych i ośmielony nieco łagodnością wzroku babci i ciotki Toni wymówił cichym, nieco smutnym tonem:

–„Niedzielna pieśń

pasterza”... Uhlanda.

–O, mój kochany, to do niczego! – zawołał senator. – Nie wolno opierać się o fortepian i nie składa się rąk na brzuchu... Prosto stać! Swobodnie mówić! To przede wszystkim. Stań tu między portierami! Do góry głowa... a ręce trzymać spokojnie spuszczone...

Hanno stanął na progu gabinetu i opuścił ręce. Posłusznie podniósł głowę, ale rzęsy miał spuszczone tak nisko, że oczu wcale nie było widać. Na pewno łyzy się już w nich kręciły.

–Oto dzień Pana – powiedział zupełnie cicho i tym mocniej zabrzmiał głos ojca, który mu przerwał:

–Deklamację rozpoczyna się od ukłonu, mój synu! I o wiele głośniej. Proszę jeszcze raz! Niedzielna pieśń pasterza...

Było to okrutne i senator dobrze wiedział, że w ten sposób odbiera dziecku resztę odwagi i odporności. Ale chłopak nie powinien dać jej sobie odebrać! Powinien nabrać mocy i męskości... – „Niedzielna pieśń pasterza”!... – powtórzył nieubłaganie i zachęcająco...

Ale już było po wszystkim. Głowa Hanna opadła na pierś, prawa zaś jego ręka, wyglądająca z obcisłego, granatowego rękawka ozdobionego kotwicą, blada i z niebieskimi żyłkami, kurczowo ścisnęła brokat portier. Powiedział jeszcze: – Samotny stoję na polu – po czym urwał ostatecznie. Nastrój wiersza przeniknął go do głębi. Przemożne współczucie dla siebie samego sprawiło, że głos zdecydowanie odmówił mu posłuszeństwa, a spod rzęs popłynęły łzy. Ogarnęła go nagle tęsknota za pewnymi nocami, gdy leżał w łóżku trochę chory, z bólem gardła i lekką gorączką, a Ida dawała mu pić i łagodnie kładła mu na głowę świeży kompres... Przechylił się na bok, położył głowę na dłoni

ściskającej portierę i zaszlochał.

–No, to wcale nie jest przyjemne! – powiedział senator wstając. – Czego płaczesz? Płakać można by nad tym, że nawet w takim dniu, jak dzisiejszy, nie możesz się zdobyć na tyle energii, by mi sprawić radość. Czy jesteś małą dziewczynką? Co z ciebie będzie, jeśli taki zostaniesz? Czy później także masz zamiar kąpać się zawsze we łzach, ilekroć będziesz musiał przemawiać do ludzi?...

„Nigdy – myślał z rozpaczą Hanno – nigdy nie będę przemawiał do ludzi!”

–Pomyśl nad tym dziś po południu – zakończył senator i przeszedł do jadalni, podczas gdy Ida, klękawszy przy swym wychowanku, ocierała mu oczy, przemawiając do niego na pół z wyrzutem, a na pół pocieszająco.

Tomasz szybko spożywając

śniadanie zebrał się z

konsulową, Klotyldą i

Chrystianem. Mieli oni przybyć tu dziś na obiad do Gerdy, wraz z Krögerami, Weinschenkami i paniami Buddenbrook, senator zaś musiał być na obiedzie w ratuszowej winiarni, nie zamierzał jednak długo tam przebywać i spodziewał się zastać jeszcze wieczorem u siebie rodzinę.

Przy uwieńczonym stole wypił ze spodka gorącą herbatę, prędko zjadł jajko; już na schodach pociągnął parę razy papierosa. Grobleben, w swym wełnianym szalu na szyi pomimo letniego gorąca, z butem nałożonym na lewą rękę, ze szczotką do czyszczenia w prawej i zwieszającą się z nosa podłużną kroplą, wyszedł z głębi sieni i podszedł do swego pana u wejścia na schody, tam gdzie stał brunatny niedźwiedź z tacką do kart wizytowych.

–Tak, panie synatorze, sto lat... a jeden to jest biedny, a drugi bogaty...

–Doskonale, Grobleben, już dobrze! – I senator wsunął pieniądz w rękę ze szczotką, po czym przebył sieni i pierwszy pokój biurowy. W głównym pokoju wybiegł mu naprzeciw kasjer, wysoki człowiek o pocziwych oczach, by w starannie dobranych wyrazach złożyć życzenia w imieniu całego personelu. Senator podziękował krótko i zajął swe miejsce pod oknem. Ale zaledwie rzucił okiem na przygotowane gazety i zaczął przeglądać pocztę, zapukano do drzwi prowadzących do sieni i ukazali się gratulanci.

Była to delegacja pracowników spichrzy, sześciu ludzi, którzy weszli ciężkimi krokami, jak niedźwiedzie, z ogromnie pocziwym wyrazem twarzy i mieli w rękach swe czapy. Przewodnik ich wypluł na podłogę sok żółtego tytoniu, podciągnął spodnie i strasznie przejętym głosem mówił o „stu latach” i „wielu jeszcze setkach lat”... Senator obiecał im znacznie podwyższyć zapłatę w tym tygodniu i pożegnał się z nimi.

Przyszli urzędnicy wydziału podatkowego, by w imieniu resortu powinszować swemu dyrektorowi. Wychodząc spotkali się we drzwiach z marynarzami, którzy pod przewodnictwem kilku sterników przysłani zostali z obu stojących w porcie okrętów, „Wullenwewera” i „Fryderyki Oeverdick”.

Przyszła również deputacja tragarzy zboża, w czarnych bluzach, krótkich spodniach i cylindrach. W trakcie tego przewinęło się kilku mieszczan. Zjawił się majster krawiecki Stuht z Glockengiesserstrasse, w czarnym tuzurku na wełnianej koszuli. Winszował ten i ów z sąsiadów, właściciel kwaciarni Iwersen. Stary listonosz z białą brodą, kolczykami w uszach i kaprawymi oczami, oryginalna figura, którego w dobrych czasach senator miał zwyczaj zagadywać na ulicy, nazywając „naczelnikiem poczty”, wołał narzeczem już od drzwi: – Ja nie po to przychodzę, panie senatorze, nie po to przychodzę! Wiem ja dobrze, wszyscy to opowiadają, że tu każdy coś dostanie... ale ja nie po to...

–Pomimo to z wdzięcznością przyjął wynagrodzenie... Nie było temu końca. O wpół do jedenastej pokojówka zameldowała, że pani senatorowa przyjmuje w salonie pierwszych gości.

Tomasz Buddenbrook opuścił kantor i wszedł po schodach na górę. Przed wejściem do salonu zatrzymał się na chwilę przed lustrem, poprawił krawat i przyłożywszy do nosa chusteczkę wciągnął zapach wody kolońskiej. Był blady, chociaż ciało miał spocone; ale stopy jego i dłonie były zimne... Przyjmowanie wizyt w kantorze prawie zupełnie go wyczerpało... Odetchnął i wszedł, aby w zalanym słońcem pokoju powitać konsula Huneusa, hurtownika drzewnego i posiadacza pięciu milionów, jego małżonkę oraz córkę ich wraz z mężem, panem senatorem doktorem Gieseke. Państwo ci przybyli razem z Travemünde, gdzie wraz z innymi najlepszymi rodzinami przerwali lipcową kurację nad morzem jedynie w celu uczczenia jubileuszu Buddenbrookowskiego domu.

Nie upłynęły trzy minuty od chwili, gdy zasiedli w jasnych wygodnych fotelach, kiedy wszedł konsul Oeverdieck, syn zmarłego burmistrza, wraz z małżonką z Kistenmakerów; konsul Huneus zaś wychodząc spotkał się ze swym bratem, który wprawdzie posiadał o jeden milion mniej, ale za to był senatorem.

Teraz dopiero rozwinął się korowód. Wielkie białe drzwi, ozdobione rzeźbionymi amorkami grającymi na różnych instrumentach, prawie wcale się nie zamykały i ciągle odsłaniały widok na tonącą w dziennym świetle oszkloną klatkę schodową oraz główne schody, po których bez przerwy wchodzili i schodzili goście. Salon był obszerny, ludzie przystawali grupkami i rozmawiali, przychodzących zaś było o wiele więcej niż wychodzących, wkrótce tedy nie poprzestano na pokoju, lecz zwolniwszy służącą od obowiązku otwierania i zamykania drzwi, otworzono je na oścież i zbierano się również na korytarzu. Huczący i hałaśliwy gwar męskich i kobiecych głosów, ukłony, uściski dłoni, żartobliwe słowa i głośny, swobodny śmiech rozlegały się między kolumnami klatki schodowej i odbijały od wielkiej tafli oszklonego plafonu.

Senator Buddenbrook przyjmuje życzenia to stojąc na progu, to znów w głębi, u wejścia do wykusza, jedne uroczyste i poważne, inne znów głośnie i kordialne. Burmistrz doktor Langhals, wytworny tęgi jegomość, ukrywający wygoloną brodę w białej chustce, o krótkich siwawych faworytach i znużonym spojrzeniu dyplomaty, witany jest z ogólnym uszanowaniem. Przybył kupiec winny, konsul Edward Kistenmaker, wraz z małżonką z Mollendorpfów, jak również brat jego i wspólnik, Stefan, najwierniejszy stronnik i przyjaciel senatora Buddenbrooka, z nadzwyczaj zdrowo wyglądającą żoną, córką ziemianina. Owdowiała senatorowa Mollendorpf króluje w salonie pośrodku sofy, podczas gdy jej dzieci, pan konsul August Mollendorpf z małżonką Julcią z Hagenströmów, właśnie wchodzą, składają gratulacje i witając się przechodzą pośród gości. Konsul Herman Hagenström opiera się całym ciężarem o balustradę schodów i z trudem oddychając przez swój spłaszczony nos,

który zwiesza się nad górną wargą, gawędzi z panem senatorem doktorem Cremerem, naczelnikiem policji, którego łagodnie i chytrze uśmiechniętą twarz otaczają siwobrunatne faworyty. W innym kącie adwokat doktor Maurycy Hagenström, przybyły wraz z piękną żoną z Puttfarkenów z Hamburga, pokazuje w uśmiechu swe spiczaste, rzadkie zęby. Przez chwilę widać, jak stary doktor Grabow trzyma w obu swoich dłoniach rękę senatora Buddenbrooka, by za chwilę ustąpić miejsca architektowi Volgtowi. Pastor Pringsheim, w świeckim ubraniu, zaznaczając swą godność jedynie nieco dłuższym tużurkiem, wychodzi na schody z rozpostartymi rękami i niezmiernie rozpromienioną twarzą. Ci z panów, którzy reprezentują jakieś stowarzyszenie – senat, obywatelstwo. Izbę Handlową przyszli we frakach. Godzina wpół do dwunastej. Upał stał się bardzo silny. Pani domu oddaliła się przed kwadransem...

Nagle z dołu od bramy daje się słyszeć odgłos szurgania nogami i tupania, jak gdyby wielu ludzi naraz wchodziło do sieni, a jednocześnie rozlega się hałaśliwy i przenikliwy głos, który napęnia cały dom... Wszyscy tłoczą się do balustrady; zatrzymują się na korytarzu, przed drzwiami salonu, przed jadalnią, palarnią i spoglądają w dół. Ustawia się tam orszak z piętnastu czy dwudziestu ludzi z instrumentami muzycznymi, pod wodzą jakiegoś pana w ciemnej peruce, z siwą marynarską brodą i sztucznymi żółtymi zębami, które odsłania krzyżąc głośno... Co się tu dzieje? Konsul Piotr Dohlmann wkracza z kapelą z teatru miejskiego! Oto sam triumfalnie wchodzi na schody, wywijając ręką ze zwitkiem programów!

I wśród tej niemożliwej i bezmiernej akustyki, w której dźwięki zlewają się, akordy wzajemnie pochłaniają i zatracają sens i gdzie wszystko zagłusza rozgłośny, chrapliwy pomruk wielkiej trąby – a dmie w nią jakiś gruby jegomość ze zrozpaczonym wyrazem twarzy – rozpoczyna się serenada ułożona na cześć jubileuszu Buddenbrookowskiego domu; rozpoczyna się ona od chorału „Wszyscy dziękujemy Bogu”, po którym natychmiast następuje parafraza z „Pięknej Heleny” Offenbacha, po czym rozlegają się dźwięki potpourri z ludowych piosenek... Program jest dość obszerny.

Dobry pomysł miał Dohlmann! Winszują mu i nikt już nie ma zamiaru odejść, dopóki koncert się nie skończy. Stoją i siedzą w salonie i na korytarzu, słuchają i gawędzą...

Tomasz Buddenbrook stał wraz ze Stefanem Kistenmakerem, senatorem doktorem Gieseke i budowniczym Volgtem po drugiej stronie głównych schodów, przed drzwiami palami, niedaleko wejścia na drugie piętro. Oparty o ścianę, wtrącał od czasu do czasu słówko do rozmowy i w milczeniu poprzez balustradę spoglądał w próżnię. Upał wzmógł się jeszcze bardziej, stał się jeszcze bardziej przytłaczający, deszcz nie był jednak wykluczony, gdyż sądząc po cieniach, padających przez oszklony strop, niebo musiało się zachmurzyć. Cienie owe były tak częste i tak szybko po sobie następowały, że to bezustannie zmieniające się, drgające oświetlenie klatki schodowej wywoływało w końcu ból oczu. Co chwila przygasał blask złożonych stiuków, mosiężnego żyrandola i blaszanych instrumentów na dole, by zaraz potem na nowo zabłysnąć... Tylko raz cień pozostał nieco dłużej niż zwykle i wówczas usłyszano w pewnych odstępach lekki trzask, który powtórzył się sześć czy siedem razy, jak gdyby coś uderzyło w oszklony strop: na pewno kilka ziaren gradu.

Potem blask słońca napęlnił znowu cały dom od góry do dołu.

Istnieje pewien stan depresji, w którym wszystko, co by nas w normalnych warunkach rozgniewało, wywołując zdrową reakcję niezadowolenia, przytłacza tępą, głuchą, milczącą zgryzotą... Tak gryzł

się Tomasz zachowaniem małego Jana, tak przytłaczały go uczucia, które obudziła w nim ta uroczystość, a jeszcze bardziej te, do jakich mimo najszczerzej chęci czuł się niezdolnym. Usiłował otrząsnąć się, rozjaśnić wzrok i wmówić w siebie, że jest to piękny dzień, który powinien napełniać go wzniosłym i radosnym nastrojem. Ale pomimo iż hałas instrumentów, gwar głosów i widok wielu ludzi wstrząsały jego nerwami i wraz ze wspomnieniami przeszłości, ze wspomnieniem ojca, budziły chwilami słabe wzruszenie, to jednak przemagało wrażenie śmieszności i niesmaku, jaki tkwił dla niego w tym wszystkim: w tej lichej, akustycznie zniekształconej muzyce, w tym banalnym zgromadzeniu ludzi gadających o kursach i proszonych obiadach, a owo połączenie wzruszenia i wstępu napełniało go głuchą rozpaczą...

O godzinie dwunastej minut piętnaście, gdy program teatralnej orkiestry zaczynał się wyczerpywać, zaszedł pewien wypadek, który wprawdzie nie naruszył przebiegu uroczystości, lecz skutek swego handlowego charakteru zmusił pana domu do opuszczenia gości na kilka minut. Mianowicie w chwili gdy muzyka właśnie się urwała, po głównych schodach wszedł, straszliwie zmieszany z powodu tak liczego zgromadzenia, w jakim się nagle znalazł, najmłodszy z praktykantów kantoru, mały, mocno ułomny człowiek, twarz czerwoną ze zmieszania wciskał między ramiona głębiej, niż musiał, chcąc zaś nadać sobie pozory pewności siebie, w przesadny sposób wymachiwał jedną ze swych cienkich, nienaturalnie długich rąk, podczas gdy w drugiej trzymał złożony papier – telegram. Wchodząc na schody, ukradkiem szukał oczyma szefa, a gdy go odnalazł, począł przedzierać się przez tamujący mu drogę tłum gości, szybko mamrocząc jakieś usprawiedliwienia.

Zawstydzienie jego było zupełnie niepotrzebne, nikt bowiem nie zwracał na niego uwagi. Nie patrząc, nie przerywając rozmowy, nieznacznym ruchem robiono mu miejsce i zaledwie przelotnie dostrzeżono, że z ukłonem wręczył telegram senatorowi Buddenbrookowi, po czym tenże wraz z nim oddalił się nieco od Kistenmakera, Giesekego i Volgta, by otrzymaną wiadomość odczytać. Dzisiaj również, gdy przecie ogromną większość telegramów stanowiły powinszowania, każda depesza, która nadchodziła w godzinach biurowych, powinna była natychmiast być doręczona.

Tuż przy wejściu na drugie piętro korytarz skręcał i ciągnął się równoległe z salą aż do kuchennych schodów, obok których znajdowały się drzwi do sali. Na wprost schodów, wiodących na drugie piętro, mieścił się otwór windy, którą przesyłano z kuchni półmiski, obok niego zaś stał pod ścianą dosyć duży stół, na którym służąca czyściła zazwyczaj srebro. Tu zatrzymał się senator i obrócony plecami do garbatego praktykanta rozdarł depeszę.

Nagle oczy jego rozszerzyły się tak bardzo, że każdy, kto by go teraz ujrzał, odskoczyłby przerażony; jednym jedynym krótkim, kurczowym wysiłkiem tak gwałtownie wciągnął powietrze, że w tej samej chwili gardło mu wyschło, co pobudziło go do kaszlu.

Zdołał wymówić: – W porządku.

–Ale gwar głosów zagłuszył jego słowa. – W porządku – powtórzył; ale zabrzmiały tylko dwie pierwsze sylaby: ostatnia była już tylko szeptem.

Ponieważ senator nie poruszył się, nie odwrócił, nie uczynił nawet żadnego znaku, praktykant stał przez chwilę, przestępując niepewnie z nogi na nogę. Potem wykonał jeszcze raz swój dziwaczny ukłon i zszedł kuchennymi schodami.

Senator Buddenbrook stał dalej przy stole. Ręce, w których trzymał otwartą depeszę, zwieszały się ociężale i ciągle jeszcze ciężko i krótko oddychał w półotwartymi ustami, przy czym górna połowa jego ciała poruszała się z wysiłku w tył i naprzód; jak gdyby tknięty paraliżem, wciąż machinalnie trząśł głową, powtarzając bez sensu: – Trochę gradu... trochę gradu... – Potem jednak oddech jego stał się głębszy i spokojniejszy, ruchy wolniejsze, zmęczone, w półotwarte oczy wyrażały niemal rozpacz i senator ciężko kiwając głową obrócił się w bok.

Otworzył drzwi do sali i wszedł. Kroczył wolno, ze spuszczoną głową po lustrzanej posadzce wielkiego pokoju i opadł na jedną z ciemnozielonych sof w głębi pod oknem. Było tu cicho i chłodno. Słysząc było szmer wodotrysku w ogrodzie, mucha z brzękiem uderzała o szybę, z westybulu dochodził tylko przytłumiony hałas.

Wyczerpany, położył głowę na oparciu i zamknął oczy. – Tak dobrze, tak dobrze – mrucał półgłosem, a potem, odetchnąwszy głęboko, uspokojony, oswobodzony, powtórzył jeszcze raz: Tak bardzo dobrze!

Leżał tak przez pięć minut, wygodnie i z zadowolonym wyrazem twarzy. Potem wyprostował się, złożył telegram, wsunął go w kieszeń surduta na piersiach i wstał, by wrócić do gości.

Ale w tej samej chwili z jękiem wstrętu opadł z powrotem na sofę. Muzyka... Muzyka rozpoczęła się na nowo błazeńskim hałasem mającym oznaczać galopadę; kotły i bębny markowały rytm, nie dotrzymywany przez inne, przyśpieszone lub opóźnione, wzajemnie zagłuszające się masy dźwięków, powstała jakaś natrętna i w swej naiwnej swobodzie nieznośnie drażniąca wrzawa, skrzyp, trzask i szcęk, rozdarty oszalałym gwizdem pikolo.

‘ty

Część ósma (cd.)

Rozdział szósty

–Bach, Sebastian Bach,

najłaskawsza pani! – zawołał pan Edmund Pf~uhl, organista kościoła Panny Marii, mierząc salon wielkimi krokami, podczas gdy Gerda siedziała przy fortepianie, uśmiechając się, z głową opartą na rękę, Hanno zaś przycupnął na krześle zasłuchany, obejmując rękami kolano... – Istotnie... jak pani powiada... dzięki niemu harmonia odniosła zwycięstwo nad kontrapunktem... on to stworzył współczesną harmonię, istotnie. Ale dzięki czemu? Pytam, dzięki czemu? Dzięki postępującemu rozwojowi stylu kontrapunktycznego, pani wie o tym równie dobrze jak ja! Cóż więc było zasadą pobudzającą ów rozwój? Harmonia? O nie! W żadnym razie! Jedynie kontrapunkt, najłaskawsza pani! Kontrapunkt!... Do czego, pytam, doprowadziłyby absolutne eksperymenty harmonii?

Ostrzegam... dopóki mój język nie odmówi mi posłuszeństwa, będę ostrzegał przed wyłącznością eksperymentów harmonii!

Podczas podobnych rozmów wpadał w wielki zapał, którego nie starał się hamować, w salonie tym

czuł się bowiem jak u siebie w domu. W każdą środę po południu zjawiał się na progu, wysoki, niezgrabny, o nieco zbyt wysokich ramionach, ubrany w kawowy surdut, którego poły sięgały prawie kolan, i w oczekiwaniu partnerki z lubością otwierał fortepian Bechsteina, porządkował na rzeźbionym pulpicie partię skrzypcową, a następnie przez chwilę lekko i subtelnie brał akordy, z zadowoleniem przechylając głowę to na jedno, to na drugie ramię.

Zadziwiająco bujne włosy,

splątana masa drobnych, mocnych brunatnorudych i siwawych loczków sprawiała, że głowa ta wydawała się niezwykle duża i ciężka, chociaż osadzona była swobodnie na wynurzającej się z niskiego kołnierza długiej szyi o bardzo dużej grdyce. Nie uczesane, odstające wąsy tejże barwy co włosy uwydatniały się bardziej niż mały, gruby nos... Oczy, otoczone nabrzmiałą i workowatą obwisłą skórą, były okrągłe, ciemne i błyszczące, ich spojrzenie zaś podczas gry zdawało się marzycielsko przenikać przedmioty i spoczywać gdzieś poza nimi... Twarz nie była charakterystyczna, bynajmniej nie nosiła piętna mocnej i rozbudzonej inteligencji. Powieki miał zazwyczaj na pół zamknięte, wygolona zaś broda często opuszczała się ociężale i bezwolnie, wargi jednak nie rozchylały się, co nadawało ustom miękkie, zamknięte, tępy i zrezygnowany wyraz, jaki widać na twarzy człowieka drzemiącego słodko...

Z ową zewnętrzną miękkością dziwnie kontrastowała surowość i godność jego charakteru. Edmund Pf~uhl był wysoce cenionym organistą, a sława jego kontrapunktycznej uczoneści nie ograniczała się do murów rodzinnego miasta. Napisaną przez niego książeczkę o muzyce kościelnej polecano do studiowania w kilku konserwatoriach, fugi zaś jego oraz opracowania chorałów grywano w wielu miejscach, gdzie ku chwale bożej rozbrzmiewały organy. Kompozycje te, jak również fantazje, jakie wykonywał w niedziele w kościele Panny Marii, były nieskazitelne, bez zarzutu, pełne nieubłaganej, imponującej moralno_logicznej godności ścisłego układu. Istota ich obca była wszelkiemu ziemskiemu powabowi, a to, co wyrażały, nie poruszało czysto ludzkiej wrażliwości laika. Przemawiała z nich, triumfowała w nich zwycięsko technika, urastająca już tu do rozmiarów ascetycznej religii, wiedza podniesiona do godności celu samego w sobie, do świętości absolutnej. Edmund Pf~uhl lekcewazył wszystko, co miłe i przyjemne, i trzeba przyznać, że wyrażał się obojętnie o pięknej melodii. Ale – choć to się może wydawać zagadkowe – nie był on jednak człowiekiem suchym i skostniałym. „Palestrina!” – mówił z miną kategoryczną i wzbudzającą strach. Ale zaraz potem, gdy wydobywał z instrumentu dźwięki archaicznych utworów, twarz jego wyrażała samą miękkość, rozmarzenie, oderwanie od spraw ziemskich, jak gdyby dostrzegał bezpośrednio działającą ostateczną konieczność wszelkiego stawania się, a spojrzenie spoczywało w dali... Owo spojrzenie muzyka, na pozór mętne i bez wyrazu, gdyż przebywa w państwie logiki głębszej, czystszej i doskonalszej aniżeli nasze słowami wyrażalne pojęcia i myśli.

Ręce miał duże, miękkie, jakby bez kości i pokryte piegami. Gdy Gerda Buddenbrook uchylając portierę wchodziła do gabinetu, witał ją, mówiąc głosem miękkim i głuchym, jakby mu kęs tkwił w gardle:

–Sługa łaskawej pani!

Podczas gdy unosząc się nieco z siedzenia, z pochyloną głową, pełen uszanowania ujmował podaną sobie rękę, lewą mocno i czysto wygrywał już kwinty. Gerda zaś brała swego Stradivariusa i szybko,

pewnie stroiła struny.

–Koncert g_moll Bacha, panie Pf~uhl. Zdaje mi się, że całe adagio szło jeszcze dosyć kulawo...

I organista zaczynał. Zaledwie jednak zabrzmiało parę pierwszych akordów, zdarzało się zazwyczaj, że drzwi od korytarza cichutko się otwierały i mały Jan ostrożnie i bez szmeru przemykał się po dywanie do fotela. Zasiadał, obiema rękami obejmował kolana, zachowywał się cicho i przysłuchiwał się dźwiękom, jak również temu, co mówiono.

–No cóż, Hanno, chcesz skosztować trochę muzyki? – pytała podczas pauzy Gerda, spoglądając na niego swymi blisko siebie osadzonymi, ocienionymi oczami, w których gra zapaliła wilgotne błyski...

Wówczas wstawał i z milczącym ukłonem podawał rękę panu Pf~uhlowi, który powoli i serdecznie głaskał jasnobrązowe włosy Hanna, wijące się tak miękko i wdzięcznie nad czołem.

–Słuchaj dobrze, mój synu! – mówił z łagodnym naciskiem, a dziecko nieśmiało obserwowało dużą, poruszającą się przy mówieniu grdykę organisty, po czym cicho i szybko powracało na swoje miejsce, jak gdyby nie mogło się doczekać dalszego ciągu gry i rozmowy.

Wykonywano fragment kompozycji Haydna, kilka stron Mozarta, sonatę Beethovena. Potem jednak, gdy Gerda trzymając skrzypce pod pachą szukała nowych nut, zachodziło coś niespodzianego, pan Pf~uhl, Edmund Pf~uhl, organista kościoła Panny Marii, grając tymczasem swobodnie, z wolna przechodził w bardzo dziwny styl, przy czym w zapatrzonym jego spojrzeniu lśniło jak gdyby szczęście pełne zawstydzienia... Pod palcami jego coś wznosiło się, wysnuwało, wzbierało, zakwitało, śpiewało – a z tego najpierw cicho i zwiewnie, potem coraz przejrzyściej i wyraźniej, w kunsztownym kontrpunkcie wzbijał się staroświecki, potężny, dziwacznie okazały motyw marsza... Wzmaganie się, splątanie, przejście... i w rozwiązaniu przyłączały się fortissimo skrzypce.

Rozbrzmiewał wstęp do „Śpiewaków Norymberskich”.

Gerda Buddenbrook była namiętą wielbicielką nowej muzyki. Natrafiła jednak w panu Pf~uhlu na przeciwnika pełnego tak dziwnego oburzenia, że w początkach zwątpiła zupełnie o możliwości przejednania go.

W dniu gdy po raz pierwszy położyła mu na pulpicie fortepianowe fragmenty z „Tristana i Izoldy” prosząc, by je przegrał, po dwudziestu pięciu taktach zerwał się, po czym z oznakami najwyższego wstrętu zaczął spieszenie chodzić od fortepianu do wykusza i z powrotem.

–Nie będę tego grał, łaskawa pani, jestem jej najniższym sługą, ale tego nie będę grał! To nie jest muzyka... proszę mi wierzyć... zawsze miałem przekonanie, że znam się trochę na muzyce! To jest chaos! To jest demagogia, bluźnierstwo i szaleństwo! To jest uperfumowana, błyszcząca błaga! Zanik wszelkiej moralności w sztuce! Nie będę tego grał!

Przy tych słowach opadł z powrotem na krzesło i przełykając, pokaszlując, poruszając grdyką wykonał dalsze dwadzieścia pięć taktów, by następnie zamknąć fortepian.

–Fe! – wołał – nie. Panie Boże, tego już za wiele. Przepraszam najszanowniejszą panią, mówię tak otwarcie... Pani wynagradza mnie, od roku płaci za moje usługi... a jestem skromnie sytuowanym człowiekiem. Ale składam swój urząd, wyrzekam się go, jeśli pani zechce mnie zmuszać do tych bezeceństw! A to dziecko, tam oto siedzi na krześle dziecko! Przyszło tu cicho, by słuchać muzyki! Czyż pani chce zupełnie zatruć jego ducha?...

Ale pomimo tych straszliwych gestów przeciągnęła go powoli, krok za krokiem, namową i siłą przyzwyczajenia na swoją stronę.

–Panie Pf~uhl – mówiła – bądź pan sprawiedliwy i rozważ sprawę spokojnie. Wyprowadza pana z równowagi niezwykle sposób używania harmonii przez Wagnera... W porównaniu z tym znajduje pan, że Beethoven jest czysty, jasny i naturalny. Ale niech pan sobie tylko przypomni, jakie oburzenie wywołał Beethoven u współczesnych, wychowanych na dawnych wzorach... a sam Bach, Boże drogi, wszak zarzucano mu brak dźwięczności i czystości!... Mówi pan o moralności... ale jak pan pojmuje moralność w sztuce? Jeśli się nie mylę, jest ona przeciwieństwem wszelkiego hedonizmu? No to zgoda, istnieje on tutaj. Tak zresztą jak i u Bacha. Potężniejszy, bardziej świadomy, bardziej pogłębiony niż u Bacha. Wierzej mi pan, panie Pf~uhl, ta muzyka jest w istocie swej mniej panu obca, niż pan przypuszcza!

–Kuglarstwo i sofizmaty – za przeproszeniem – mruknął pan Pf~uhl. Ale ona miała rację:

muzyka owa była mu w gruncie

rzeczy mniej obca, niż

początkowo sądził. Z „Tristanem”

co prawda, nigdy się w

zupełności nie pogodził,

jakkolwiek na prośbę Gerdy

ułożył wreszcie bardzo zręcznie

„Śmierć Izoldy” na skrzypce i

fortepian. Pewne partie

„Śpiewaków Norymberskich”

pierwsze zyskały jego uznanie...

i odtąd miłość do tej muzyki

zaczęła wzrastać w nim

niepohamowanie. Niemal

przestraszony, nie przyznawał się do tego i wypierał się mrukliwie. Ale partnerka jego nie potrzebowała odtąd zmuszać go, by po złożeniu hołdu starym mistrzom skomplikował swe uderzenia i z owym spojrzeniem, wyrażającym szczęście pełne zawstydzienia, niemal gniewu, przeszedł do snucia lejtmotywów. Po grze rozpoczynał się być może dawny zatarg o stosunek owego stylu do ścisłego kontrpunktu, lecz pewnego dnia pan Pf~uhl oznajmił, że pomimo iż ów przedmiot nie obchodzi go osobiście, jednak poczuwa się do obowiązku dołączenia do owej książki o stylu kościelnym dodatku „o zastosowaniu starych tonacyj w kościelnej ludowej muzyce Ryszarda Wagnera”.

Hanno siedział cichutko,

obejmując rękami kolana i ocierając język o jeden z trzonowych zębów, wskutek czego usta jego trochę się wykrzywiały. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w matkę i pana Pf~uhla. Przysłuchiwał się ich grze oraz ich rozmowom i tak się stało, że odkąd zaczął stawiać swe pierwsze kroki na drodze życia, uwaga jego zwrócona została na muzykę jako na rzecz niezwykle poważną, doniosłą i głęboką. Zaledwie od czasu do czasu rozumiał jakieś słowo z tego, co mówiono, rozbrzmiewające zaś tu dźwięki przerastały po większej części jego dziecięcy umysł. Jeśli jednak pomimo to powracał i nie nudząc się, godzinami siedział bez ruchu na swym krześle, to sprawiały to wiara i pełna czci miłość.

Miał zaledwie siedem lat, gdy po raz pierwszy na własną rękę spróbował powtórzyć na fortepianie pewne połączenia dźwięków, które wywarły na nim wrażenie. Matka przyglądała się temu z uśmiechem, poprawiała jego uderzenia, które dobierał z niemym zapałem, i objaśniała mu, czemu tego właśnie tonu nie powinno brakować, by z danego akordu mógł powstać inny. A słuch jego potwierdzał to, co ona mówiła.

Gerda Buddenbrook pozostawiwszy go przez jakiś czas samemu sobie, doszła do przekonania, że należy go zacząć uczyć gry na fortepianie.

–Sądzę, że on nie nadaje się na solistę – mówiła do pana Pf~uhla – i przyznaję, że cieszę się z tego, gdyż ma to swoje ciemne strony. Nie mówię już o zależności solisty od akompaniamentu, chociaż w pewnych warunkach może ona być bardzo przykra – gdybym na przykład nie miała pana... Ale zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że wpadnie się w mniej lub więcej doskonałą wirtuozerię... Widzi pan, wiem o tym coś niecoś. Otwarcie panu wyznam, jestem zdania, że dla solisty muzyka zaczyna się dopiero na bardzo wysokim stopniu umiejętności. Wytężone ześrodkowanie się na głosie górującym, jego frazowanie i kształtowanie – przy czym polifonia dociera do świadomości jedynie jako coś mglistego i ogólnego – może bardzo łatwo wywołać u średnio uzdolnionego muzyka zanik poczucia harmonii, zanik, który potem bardzo trudno naprawić. Kocham skrzypce i w grze na nich zaszłam dość daleko, ale właściwie wyżej stawiam fortepian... Chcę tylko powiedzieć, że doskonałe opanowanie fortepianu jako środka wyrażania tonów w ich najróżnorodniejszej i najbogatszej postaci, jako nieprześcignionego środka odtwórczości muzycznej, oznacza dla mnie intymniejszy, czystszy i dalej sięgający stosunek do muzyki... Widzi pan, panie Pf~uhl, chciałabym zaraz porozumieć się z panem co do Jana, bądź pan tak dobry! Wiem, że tu w mieście znalazłyby się dwie lub trzy osoby płci żeńskiej nauczające muzyki, ale są to właśnie nauczycielki muzyki... pan mnie

pojmuję...

Nie idzie o to, by być

tresowanym w grze na

instrumencie, ale raczej o to, by trochę zrozumieć muzykę, nieprawda?... Na panu polegamy w zupełności. Pan bierze sprawę poważniej. I zobaczy pan, będziesz z niego zadowolony. Ma buddenbrookowskie ręce... Wszyscy Buddenbrookowie obejmują nony i decymy... Ale nigdy nie przywiązywali do tego żadnej wagi – zakończyła ze śmiechem, pan Pf~uhl zaś okazał gotowość uczenia małego Jana.

Odtąd przychodził również w poniedziałkowe popołudnia, by pracować z małym Janem, podczas gdy Gerda siedziała w gabinecie. Lekcje owe nie szły pospolitym trybem, czuł bowiem, że niememu i namiętnemu zapałowi dziecka winien dać więcej niż trochę suchej umiejętności gry na fortepianie. Zaledwie przeszli pierwsze, elementarne wiadomości, natychmiast zaczął w przystępny sposób teoretyzować, objaśniać uczniowi podstawy harmonii. I Hanno pojmował, gdyż było to jedynie potwierdzenie tego, co właściwie zawsze wiedział.

Jeśli tylko było możliwe, pan Pf~uhl zaspokajał pełne tęsknoty dążenia dziecka naprzód. Z czułą troskliwością starał się ująć mu ciężarów, którymi materia pęta nogi fantazji i dojrzewającemu talentowi. Przy ćwiczeniu gam nie domagał się zbyt surowo wielkiej sprawności palców, nie była ona dla niego celem owych ćwiczeń. Tym, do czego dążył i co szybko osiągnął, była raczej jasna, daleko sięgająca i wnikliwa znajomość wszystkich tonacji, głębokie wniknięcie w ich wzajemne powinowactwa i związki, z którego w niedługim czasie zrodził się ów szybki rzut oka na wiele możliwości kombinacyjnych, owo intuicyjne poczucie władcy klawiatury, prowadzące do fantazjowania i improwizacji... Ze wzruszającą subtelnością ocenił duchowe potrzeby tego małego, rozpieszczonego słuchaniem muzyki ucznia, które skierowane były ku poważnemu stylowi. Nie rozpraszał owego głębokiego i urozystego nastroju wygrywaniem banalnych piosenek. Kazał mu grać chorały i ani razu nie zdarzyło się, by nie objaśnił mu prawa, z którego wynikało, iż jeden akord przechodzi w inny.

Poza portierą Gerda, siedząc nad robótką lub nad książką, śledziła kierunek nauki.

–Przechodzi pan wszelkie moje oczekiwania – rzekła przy okazji do pana Pf~uhla. – Ale czy nie idzie pan za daleko? Czy nie za daleko pan prowadzi? Metoda pańska jest, o ile mi się wydaje, wybitnie twórcza... Czasem doprawdy próbuje on już fantazjować. Ale jeśli nie zasługuje na metodę pańską, jeśli nie jest do niej dość zdolny, w takim razie niczego się nie nauczy...

–Zasługuje na nią –

powiedział pan Pf~uhl kiwając głową. – Czasem obserwuję jego oczy... tyle się w nich maluje, ale usta ma zamknięte. Później w życiu, które może coraz mocniej zaciskać mu będzie usta, powinien znaleźć możliwość wypowiedzenia się...

Spojrzała na niego, na tego niezgrabnego muzyka w rudej peruce, z workami pod oczami, z

nastroszonymi wąsami i dużą grdyką, po czym podała mu rękę mówiąc:

–Dziękuję, panie Pf~uhl, postępuje pan słusznie i wcale jeszcze nie wiemy, co pan z niego zrobi.

A wdzięczność małego Jana dla tego nauczyciela, oddanie się jego przewodnictwu było nieporównane. On, który w szkole pomimo wszystkich pomocniczych lekcji tępo i bez nadziei zrozumienia ślęczał nad swymi rachunkami, przy fortepianie pojmował wszystko, co mówił pan Pf~uhl; pojmował i przyswajał sobie tak, jak można sobie tylko przyswoić rzecz z dawna znaną. A Edmund Pf~uhl w swym długopółym surducie wydawał mu się wielkim aniołem, który co poniedziałek po południu brał go w ramiona, by z całej nędzy codziennego życia uprowadzić w dźwięczną krainę łagodnej, słodkiej, kojącej powagi...

Czasem lekcje odbywały się w domu pana Pf~uhla, obszernym, starym domu o spiczastym dachu, z wielu chłodnymi korytarzami i zakątkami, który organista zamieszkiwał sam jeden ze starą gospodynią. Czasem znów, w niedzielę, pozwalano małemu Buddenbrookowi podczas nabożeństwa w kościele Panny Marii pozostawać na górze przy organach, a było to zupełnie coś innego, niż siedzieć na dole w nawie razem ze wszystkimi. Wysoko ponad wiernymi, ponad pastorem Pringsheimem na kazalnicy, siedzieli obaj pośród szumu potężnych dźwięków, które wspólnie rozpętywali i opanowywali, gdyż nauczyciel pozwalał czasem małemu Janowi pomagać przy poruszaniu rejestrów. Gdy jednak po ucichnięciu chórów przebrzmiał finał, gdy pan Pf~uhl powoli odejmował palce od klawiszów, przedłużając jeszcze tylko ciche i uroczyste brzmienie głównego i basowego tonu, kiedy wówczas po umyślnej nastrojowej pauzie spod daszka kazalnicy dawał się słyszeć modulowany głos pastora Pringsheima, zdarzało się często, że pan Pf~uhl zaczynał po prostu żartować sobie i śmiać się ze stylizowanej frankońskiej wymowy pastora, z jego długich, niewyraźnych lub też ostro akcentowanych samogłosek, z jego westchnień oraz nagłej zmiany wyrazu twarzy, która stawała się to ponura, to rozpromieniona. Wtedy i Hanno śmiał się również, cicho, bardzo rozweselony, gdyż nie patrząc na siebie i nie mówiąc sobie tego, obaj byli głęboko przekonani, że to kazanie jest dosyć sobie głupią gadaniną, właściwym zaś nabożeństwem jest to, co pastor, a wraz z nim cała gmina uważali zapewne jedynie za uświetniający dodatek: mianowicie muzyka.

Tak jest, małe zrozumienie, jakie mieli dla jego pracy ci wszyscy na dole, w nawie, owi senatorowie, konsulowie, obywatele z rodzinami, było nieustanną troską pana Pf~uhla, dlatego też lubił mieć przy sobie swego małego ucznia, któremu przynajmniej mógł zwrócić uwagę, że to, co odegrał przed chwilą, było szczególnie trudne. Wdawał się w najdziwaczniejsze próby techniczne. Stworzył „imitację odwróconą”, skomponował melodię, która mogła być odczytywana od początku i od końca, potem zaś zbudował całą fugę „na wspak”. Gdy skończył, ze smutnym wyrazem twarzy skrzyżował ręce na piersiach. – Nikt tego nie zauważył – powiedział, beznadziejnie potrząsając głową. A potem, podczas kazania pastora Pringsheima, szepnął: – To była „imitacja odwrócona”, Janie. Ty jeszcze nie rozumiesz, co to jest... jest to naśladowanie jednego tematu od końca do początku, od ostatniej nuty do pierwszej... dosyć trudna rzecz. Później dowiesz się, co to znaczy naśladowanie w ścisłym kontrapunkcie... Fugami „na wspak” nie będę cię nigdy męczył, nigdy cię do tego nie zmuszę... Nie potrzeba tego umieć. Ale nie wierz tym, którzy nazwą to sztuczkami bez wartości muzycznej. Znajdziesz kompozycję „na wspak” u wielkich kompozytorów wszystkich czasów. Tylko obojętni i przeciętni odrzucają takie ćwiczenia z wrodzonej pychy. Godzi się być

pokornym, zapamiętaj to sobie, Janie.

15 kwietnia roku 1869, w ósmą rocznicę swoich urodzin, Jan odegrał wraz z matką wobec zgromadzonej rodziny swoją własną małą fantazję, prosty motyw, który wymyślił, uważał za ciekawy i trochę rozbudował. Oczywiście pan Pf~uhl, któremu go powierzył, skorygował niejedno.

–Cóż to za teatralne

zakończenie, Janie! Przecież to wcale nie odpowiada całości! Z początku wszystko idzie bardzo porządnie, ale chciałbym wiedzieć, w jaki sposób wpadasz tu nagle z H-dur w kwart_sekstowy akord czwartego stopnia z obniżoną tercją? To są figle. I jeszcze do tego tremolujesz. Musiałeś to gdzieś złapać... Skąd się to wzięło? Już wiem. Za uważnie słuchałeś, gdy musiałem przegrywać twej mamie pewne rzeczy... Zmień zakończenie, dziecko, a wtedy będzie to bardzo ładny utworek.

Ale właśnie największą wagę przykładał Hanno do owego akordu moll i owego zakończenia, matkę zaś jego tak bardzo to bawiło, że wszystko pozostało tak, jak było. Wzięła skrzypce, zagrała wraz z nim melodię, a następnie, podczas gdy Hanno po prostu powtarzał temat, urozmaicała głos sopranowy do końca w biegnikach trzy razy wiązanych. Brzmiało to po prostu wspaniale, Hanno ucałował ją ze szczęścia, tak też odegrali utwór 15 kwietnia wobec rodziny.

Dnia tego, dla uczczenia urodzin małego Jana, konsulowa, pani Permaneder, Chrystian, Klotylda, konsul Kr~oger z żoną, państwo Weinschenk, jak również panie Buddenbrook z Breitenstrasse oraz panna Weichbrodt, byli o czwartej na obiedzie u senatora; obecnie siedzieli w salonie i patrzyli na dziecko, siedzące przy fortepianie w swym marynarskim ubranku, oraz na oryginalną i elegancką postać Gerdy, która najpierw odegrała na strunie G przepyszną kantylenę, potem zaś z nieomylną biegłością rozpętała potok perlistych, pieniących się kadencji. Srebrny drucik przy rączce smyczka błyskał w świetle gazowych płomieni.

Hanno, błądzący z podniecenia, nie mógł prawie nic jeść podczas obiadu; teraz zaś tak był pochłonięty swym dziełem, które, ach, za dwie minuty miało już być skończone, że zapomniał o wszystkim innym. Ten mały, melodyjny utwór był natury raczej harmonicznego niż rytmicznego i szczególnie powabny leżał w kontraście między prymitywnymi podstawowymi, dziecięcymi środkami muzycznymi a poważnym, namiętnym, niemal wyrafinowanym sposobem, w jaki owe środki były akcentowane i uwydatniane. Ukośnym ruchem głowy pochylającej się ku przodowi podkreślał Hanno znacząco każdy dźwięk przejściowy i siedząc na brzeжку krzesła usiłował za pomocą prawego lub tłumiącego pedału nadać uczuciową wartość każdemu nowemu akordowi. Istotnie, kiedy mały Jan osiągał efekt – choćby tylko dla siebie samego – to efekt ów był natury raczej uczuciowej niż wrażeniowej. Jakiś zupełnie prosty harmoniczny pomysł dzięki poważnemu i przeciągłemu akcentowaniu nabierał nagle tajemniczego i kunsztownego znaczenia. I podczas gdy Hanno podnosił brwi, a górną połowę ciała wykonywał wznoszący, kołyszący ruch, jakiś akord, nowa harmonia czy wstawka, rozbrzmiewająca naraz głucho, wywierała niezwykle denerwujące i zadziwiające wrażenie... Wreszcie przyszło zakończenie, ukochane zakończenie małego Jana, które swą prymitywną wzniosłością wieńczyło całość utworu. Cichy, czysty jak dzwonek akord e_moll tremolował pianissimo, otoczony perlistymi pasażami skrzypcowymi... Wzrastał, potężniał, wzbierał powoli, powoli, w forte podciągnął Hanno dysonujące, prowadzące do głównej tonacji Cis i podczas gdy Stradivarius falując i dźwięcząc otoczył szumem i owo Cis, ze wszystkich sił wzmógł dysonans aż do fortissimo. Wzbraniał sobie

rozwiązania, odwlekał je dla siebie samego i dla słuchaczy. Czymże będzie to rozwiązanie, owo oszołamiające i wyzwalaające pogrążenie się w H-dur? Szczęściem nieporównanym, zadośćuczynieniem pełnym niesłychanej słodyczy.

Uspokojeniem! Błogością! Niebem!... Jeszcze nie... jeszcze nie! Jeszcze jedna chwila wlotu, opóźnienia napięcia, które musiało być nie do zniesienia, by tym cenniejsze stało się zaspokojenie... Jeszcze jedno ostatnie, ostateczne doznanie tego przenikającego, gwałtownego pragnienia, tego pożądania całej istoty, tego największego, kurczowego napięcia woli, które jednak wzbrania sobie spełnienia i wyzwolenia – wie bowiem: szczęście jest tylko jedną chwilą... Górna połowa ciała Hanna wyprostowała się powoli, oczy rozszerzyły się, zamknięte wargi drgnęły, z urywanym drżeniem wciągał nosem powietrze... a potem nie można już było powściągnąć rozkoszy. Nadeszła, opanowała go i nie opierał jej się dłużej. Mięśnie jego słabły, wyczerpana i omdlała głowa opadła na ramiona, oczy zamknęły się i żaloszny, niemal bolesny uśmiech niewypowiedzianej błogości zagrał na jego ustach, wówczas to, wraz z prawym oraz tłumiącym pedałem, otoczone szeptem, osnute falistym szmerem skrzypcowych biegników, tremolo jego, do którego dołączył teraz basowe pasażę, prześliznęło się w H-dur, podniosło bardzo szybko aż do fortissimo, a następnie urwało krótko, burzliwie i bez echa.

Było rzeczą niemożliwą, by wrażenie, jakie gra wywierała na samym Janie, rozciągało się i na słuchaczy. Pani Permaneder, na przykład, nic a nic nie zrozumiała z całego tego przepychu. Dostrzegła jednak uśmiech dziecka, ruchy jego ciała, błogie skłonienie małej ukochanej głowy... i widok ów przeniknął aż do głębi jej tak łatwo ulegającej wzruszeniom, dobrodusznej natury.

–Jak ten chłopiec gra! Jak to dziecko gra! – zawołała pośpieszając ku niemu prawie z płaczem i chwytając go w objęcia.

–Gerdo, Tomaszu, toż to przyszedł Mozart, przyszedł NMeyerbeer, przyszedł... – i w braku trzeciego podobnego nazwiska, którego nie mogła sobie na razie przypomnieć, ograniczyła się do obcałowowania bratanka, który złożywszy ręce na piersiach, ciągle jeszcze siedział wyczerpany i jakby nieobecny.

–Dosyć, Toniu, dosyć – rzekł cicho senator. – Proszę cię, nie przewracaj mu w głowie...

Rozdział siódmy

Tomasz Buddenbrook nie był w gruncie rzeczy zadowolony z usposobienia i rozwoju małego Jana.

Niegdyś, na przekór nieufnym minom filistrów, wprowadził do swego domu Gerdę Arnoldsen, czuł się bowiem dość silny i wolny, by móc bez szkody dla swej mieszczańskiej tężyzny okazać smak bardziej wybredny niż gusty ogółu. Ale czyż dziecko, ów długo na próżno oczekiwany potomek, który przecie nosił w sobie niejedną z cech ojcowskiej rodziny, miał należeć tak najzupełniej i jedynie do tej matki? Czyż ten, o którym myślał, że kiedyś szczęśliwszą i pewniejszą ręką poprowadzi pracę jego życia, miał przeciwstawić się całemu otoczeniu, wśród którego będzie w przyszłości żyć i działać, a nawet ojcu, któremu czuł się wewnątrz i z natury swojej szczególnie obcy? Gra Gerdy na skrzypcach oznaczała dotąd dla Tomasza jeszcze jeden czarujący dodatek do jej oryginalnej osobowości, do dziwnych oczu, które kochał, do jej obfitych ciemnorudych włosów, do całego tego

niezwykłego zjawiska; teraz jednak, gdy widział, jak obca mu namiętność do muzyki już tak wcześnie, tak od początku i od podstaw opanowała jego syna, zmieniła się ona dla niego we wroga siłę stającą między nim a dzieckiem, z którego pragnął przecież stworzyć prawdziwego Buddenbrooka, mocnego, praktycznie myślącego człowieka o silnych, zdobywczych, ekspansywnych dążeniach do potęgi. I w obecnym jego rozdrażnieniu wydawało mu się, że owa wroga siła może sprawić, iż stanie się obcy we własnym domu.

Nie umiał zbliżyć się do owej muzyki, jaką uprawiała Gerda i jej przyjaciel, ów pan Pf~uhl. Gerda zaś, w rzeczach sztuki ekskluzywna i niewyrozumiała, utrudniała mu jeszcze to zbliżenie w sposób istotnie okrutny.

Nigdy by nie przypuszczał, że istota muzyki jest rodzinie jego aż tak obca, jak to teraz widział. Dziadek jego chętnie grywał na flecie, on zaś sam zawsze lubił słuchać ładnych melodii, pełnych lekkiego wdzięku, spokojnego smutku albo wesołości i ożywienia. Gdy jednak wyrażał swe upodobanie dla jakiegoś utworu tego rodzaju, mógł być pewien, że Gerda wzruszy ramionami i powie z pobłażliwym uśmiechem: – Czyż to możliwe, mój przyjacielu! Rzecz tak zupełnie pozbawiona wszelkiej wartości muzycznej...

Nienawidził owej „wartości muzycznej”, wyrażenia, z którym wiązało się dla niego jedynie pojęcie chłodnej pychy... Korciło go, by zbuntować się przeciwko niemu w obecności małego Jana. Niejeden raz zdarzało się, że w takim wypadku uniósł się i krzyknął:

–Ach, moja kochana, to wydobywanie „muzycznej wartości”, to ciągle szermowanie tym atutem wydaje mi się dosyć niesmaczną zarozumiałością!

Ona zaś odpowiadała:

–Tomaszu, musisz zrozumieć to raz na zawsze, że o muzyce jako o sztuce nigdy nie będziesz miał żadnego pojęcia i chociaż jesteś tak inteligentny, nigdy nie zrozumiesz, że jest ona czymś więcej niż małą rozrywką po obiedzie i uciechą dla uszu. W muzyce brak ci zmysłu wyczucia banalności, jaki posiadasz w innych dziedzinach... a to jest właśnie kryterium zrozumienia sztuki. Jak bardzo obca ci jest muzyka, możesz wnosić choćby z tego, że przecież twój smak muzyczny zupełnie nie odpowiada innym twoim potrzebom i zapatrywaniom. Co w muzyce sprawia ci przyjemność? Nastrój pewnego rodzaju mdłego optymizmu, który, gdybyś go znalazł w książce, odrzuciłbyś z gniewnym rozbawieniem albo oburzeniem. Szybkie spełnienie każdego ledwie odczutego pragnienia... Natychmiastowe uprzejme zaspokojenie zaledwie pobudzonej woli... Czy może w życiu dzieje się tak jak w twojej ładnej melodii... To głupkowaty idealizm...

Rozumiał ją, rozumiał, co mówiła. Ale nie umiał podążyć za nią uczuciem ani pojąć, dlaczego melodie, które go rozweselały lub wzruszały, są zerem i niczym, utwory zaś, które wydawały mu się przykre i zagmatwane, miały posiadać najwyższą wartość muzyczną. Stał przed świątynią, od której progu Gerda odtrącała go nieprzejednanym gestem... i pełen troski patrzył, jak wraz z dzieckiem znikają tam sprzed jego oczu.

Nie dawał poznać po sobie zmartwienia, z jakim patrzył na obcość, rosnącą coraz bardziej między nim a jego małym synem, zabieganie zaś w sposób widoczny o względy dziecka byłoby dla niego

czymś strasznym. W ciągu dnia miał przecież zbyt mało czasu na stykanie się z chłopcem, ale podczas posiłków traktował go z przyjacielską serdecznością, z odcieniem pewnej zachęcającej surowości. – No, jak tam, przyjacielu – mówił poklepując go kilka razy po głowie i siadał obok niego przy stole, naprzeciw żony... – Co słyszeć! Cośmy robili! Uczyliśmy się?... I graliśmy na fortepianie? To doskonale! Ale nie za dużo, bo nie będziemy mieli ochoty na inne rzeczy i zostaniemy na drugi rok! – Żaden mięsień w jego twarzy nie zdradzał pełnego troski zaniepokojenia, z jakim oczekiwał, jak Hanno przyjmie jego przywitanie, jak na nie odpowie; nic nie zdradzało bolesnego rozczarowania, gdy chłopiec rzucał mu jedynie onieśmielone spojrzenie swych złotobrunatnych, ocienionych oczu, spojrzenie, które nawet nie dosięgało jego twarzy – i pochylał się milcząco nad talerzem.

Byłoby przesadą martwić się o

tę dziecinną nieporadność. Gdy

byli razem, na przykład podczas

przerw obiadowych, gdy zmieniano

talerze, miał obowiązek zająć

się nieco chłopcem, wybadać go

trochę, wypróbować jego

praktyczność i zmysł

rzeczywistości... Ilu

mieszkańców ma miasto? Jakie ulice prowadzą od rzeki do górnej części miasta? Jak się nazywają należące do firmy spichrze? Odpowiadać żywo i jasno! – Ale Hanno milczał. Nie z przekory, nie, aby zmartwić ojca. Ale mieszkańcy, ulice, a nawet spichrze, które w zwykłych okolicznościach były mu nieskończenie obojętne, teraz, jako przedmiot egzaminu, napełniały go rozpaczliwym wstrętem. Mógł być poprzednio wesoły, mógł nawet rozmawiać z ojcem, ale skoro tylko rozmowa przybierała choć w przybliżeniu charakter małego egzaminu, humor jego zniknął od razu, odporność załamywała się najzupełniej. Oczy jego mąciły się, usta przybierały trwożliwy wyraz i opanowywał go wielki, bolesny żal, iż ojczulek mógł być tak nieostrożny, choć przecie na pewno wiedział, że w ten sposób zepsuje obiad sobie samemu i wszystkim. Pełnymi łez oczami patrzył w talerz. Ida szturchała go i szeptała mu... nazwy ulic, spichrzów. Ależ było to zbyteczne, zupełnie zbyteczne! Nie pojmowała go. Znał zupełnie dobrze nazwy, po części przynajmniej, i byłoby tak łatwo zadowolić do pewnego stopnia życzenia ojczulka, gdyby mógł się przewyciężyć, gdyby nie przeszkadzało mu w tym coś niepokonanie smutnego... Surowe słowa ojca, stukanie widelcem w trzonek noża przerażały go. Spoglądał na matkę i na Idę i usiłował mówić, ale zaraz pierwsze sylaby przerywało szlochanie, i na to nie było rady. – Dosyć! – wołał gniewnie senator. – Milcz! nie chcę nic więcej słyszeć! Nie mów nic więcej! Możesz sobie zostać przez całe życie milczącym głupcem! – I obiad kończył się w przykrej ciszy.

Ale owa marzycielska słabość, ten płacz, ten zupełny brak żywości i energii był właśnie punktem wyjścia zarzutów senatora przeciwko namiętności, z jaką Hanno oddawał się muzyce.

Zdrowie miał Hanno zawsze delikatne. Zwłaszcza zęby jego były od dawna przyczyną wielu bolesnych zaburzeń i kłopotów. Wyrzynaniu się mlecznych zębów towarzyszyła gorączka i konwulsje, czego o mało nie przypłacił życiem, potem zaś dżięsła jego okazywały zawsze skłonność do stanów zapalnych i wrzodów, które gdy się już uformowały, panna Jungmann przekłuwała szpilką. Teraz, w okresie wypadania mlecznych zębów, cierpienia były jeszcze ostrzejsze. Nadeszły bóle prawie przerastające siły małego Jana, przepędzał bezsennie całe noce, cicho jęcząc i płacząc w lekkiej gorączce, spowodowanej wyłącznie owym bólem. Zęby, pozornie równie białe i piękne jak zęby matki, przy tym jednak nadzwyczaj słabe i wrażliwe, rosły nieprawidłowo, wypierały się wzajemnie, by zaś zapobiec wszystkim owym biedom, musiał mały Hanno zapoznać się już w zaraniu życia ze strasznym człowiekiem – panem Brechtem, dentystą z M~uhlenstrasse.

Już samo nazwisko tego człowieka w sposób wstrętny przypominało ów odgłos powstający w szczęce, gdy ciągnie się, skręca i podważa korzenie zęba, aby je wreszcie wyłamać, sprawiało ono, że serce Hanna ścisnęło się z trwogi, jaką odczuwał, gdy siedząc naprzeciwko wiernej Idy Jungmann, kulił się w fotelu w poczekalni pana Brechta i, wdychając ostrą woń owego mieszkania, przeglądał ilustracje, dopóki na progu gabinetu nie ukazał się dentysta ze swym grzecznym, lecz budzącym grozę: – Proszę...

Poczekalnia owa posiadała osobliwy urok, jakąś siłę przyciągającą: była tam pstra papuga ze złośliwymi, małymi oczami, siedząca w mosiężnej klatce w kącie pokoju i z niewiadomych powodów zwana Jozafatem. Miała ona zwyczaj mówić głosem rozwścieczonej starej baby: – Proszę usiąść... Momencik... – a chociaż w danych okolicznościach brzmiało to jak szkaradne drwiny, Hanno Buddenbrook był do niej przywiązany miłością połączoną ze zgrozą. Papuga... duży różnobarwny ptak, zwany Jozafatem, który umiał gadać! Czyż nie umknął on jakby z zaczarowanego lasu, z książki z bajkami Grimma, którą Ida w domu głośno czytywała?... Również owo „proszę”, z którym pan Brecht otwierał drzwi, Jozafat powtarzał jak najwyraźniej, tak że – i to było najdziwniejsze – do gabinetu dentystycznego wchodziło się ze śmiechem i zasiadało się w dużym, nieprzyjemnie skonstruowanym fotelu przy oknie, obok którego stała maszyna dentystyczna.

Co się zaś tyczy pana Brechta, to był on zupełnie podobny do Jozafata, gdyż nad szpakowatymi wąsami nos jego był równie twardo i krzywo zagięty jak dziób papugi. Ale najgorsze ze wszystkiego, a właściwie najstraszniejsze było to, że on sam nie dorósł nerwowo do cierpień, do których zadawania zmuszał go jego zawód. – Musimy przystąpić do usunięcia, proszę pani – mówił do Idy Jungmann, blednąc. Gdy Hanno, okryty zimnym potem, z rozszerzonymi straszliwie oczami, niezdolny do protestu, niezdolny do ucieczki, w stanie nie różniącym się niczym od stanu skazańca, widział pana Brechta przystępującego z kleszczami w rękawie, mógł zauważyć, że na łysym czole dentysty perlily się małe krople potu oraz że usta jego również wykrzywione były ze strachu... A po okropnym przejściu, gdy Jan, blady, drżący, ze łzawiącymi oczami i zmienioną twarzą, wypływał krew do niebieskiej miseczki, wówczas pan Brecht musiał na chwilę usiąść, otrzeć czoło i napić się trochę wody...

Zapewniano małego Jana, że ten człowiek wyświadcza mu dużo dobrego i chroni go przed wielu jeszcze gorszymi cierpieniami, ale gdy Hanno porównywał ból, sprawiany mu przez pana Brechta, z

pozytywną i namacalną korzyścią, jaką mu zawdzięczał, to uczucie bólu przeważało tak dalece, że musiał on wizyty na M~uhlenstrasse zaliczać do najgorszych ze wszystkich niepotrzebnych męczarni. W przewidywaniu mających się kiedyś wykluć zębów mądrości musiały być usunięte cztery trzonowe, które właśnie wyrosły, białe, piękne i zupełnie zdrowe, ponieważ zaś nie chciano nadużywać sił dziecka, ciągnęło się to przez cztery tygodnie. Co to był za okres! Strach przed tym, co miało nastąpić, opanowywał go wówczas, gdy jeszcze trwało wyczerpanie po tym, co przeszedł; nie kończące się katusze przebrały wreszcie miarę. Po usunięciu ostatniego zęba Hanno leżał przez cały tydzień chory z samego wyczerpania.

Poza tym owe przejścia z zębami miały wpływ nie tylko na jego usposobienie, lecz również i na funkcje niektórych organów. Trudności przy żuciu wywoływały zawsze zaburzenia w trawieniu, a nawet napady gorączki gastrycznej, a owe rozstroje żołądka związane były z przejściowymi atakami przyspieszonego lub zwolnionego nieprawidłowego pulsu i zawrotami głowy. Przy wszystkich tych objawach w dalszym ciągu niezmiennie występowało, a nawet powiększało się owo szczególne cierpienie, które doktor Grabow nazywał pavor nocturnus. Rzadko mijała noc, by mały Jan nie zrywał się raz lub dwa razy i załamując ręce nie wołał o pomoc i zmiłowanie ze wszystkimi objawami najwyższego przestachu, jak gdyby stał w płomieniach, jak gdyby go duszono, jak gdyby działo się coś niewypowiedzianie przerażającego... Rano już o tym nie pamiętał. Doktor Grabow próbował złagodzić to cierpienie polecając pić wieczorami sok z czarnych jagód, co jednak wcale a wcale nie pomagało.

Trudności te, którym podlegał organizm małego Jana, bóle, jakich doświadczał, wytworzyły w nim owo poważne uczucie przedwczesnego doświadczenia, nazywane mądrością nad wiek; chociaż nie uzewnętrzniało się ono natrętnie, jak gdyby powściągane wrodzonym taktem, to jednak od czasu do czasu wypowiadało się w formie żalostnej dojrzałości...

–Jak się masz, Hanno? – pytał ktoś z krewnych: babcia, panie Buddenbrook z Breitenstrasse... a jedyną odpowiedzią było małe, zrezygnowane ściągnięcie ust, wzruszenie ramion, okrytych niebieskim marynarskim kołnierzem.

–Lubisz chodzić do szkoły?

–Nie – odpowiadał Hanno spokojnie i ze szczerością, jak gdyby wobec daleko poważniejszych spraw nie uważał za potrzebne kłamać w takich okolicznościach.

–Nie? O! Ale przecież trzeba się nauczyć pisać, czytać, rachować.

–I tak dalej – mówił mały Jan.

Nie, nie lubił chodzić do starej szkoły, owej dawnej klasztornej szkoły z krużgankami i klasami o gotyckich sklepieniach. Nie dopomagała mu w naukach nieobecność z powodu choroby ani zupełna nieuwaga wówczas, gdy myśli jego pozostawały przy jakimś połączeniu harmonicznym lub nie rozwikłanym dotąd muzycznym cudzie, zasłyszonym od matki lub pana Pf~uhla, młodszy nauczyciele oraz seminarzyści, którzy uczyli go w owych niższych klasach i w których wyczuwał niższość towarzyską, ubóstwo duchowe, jako też niechlujstwo fizyczne, prócz strachu przed karą wzbudzali w nim tajoną pogardę. Pan Tietge, nauczyciel rachunków, mały starzec w zatłuszczonym, czarnym

surducie, nauczający w zakładzie jeszcze od czasów Marcelego Stengla, zezujący zaś tak nieprawdopodobnie, że starał się ukryć to za okularami okrągłymi i grubymi jak okienka okrętowe – pan Tietge co godzina przypominał małemu Janowi, jaki to pilny i bystry był w rachunkach jego ojciec... Silne ataki kaszlu zmuszały pana Tietge do ciągłego plucia na podłogę.

Mali koledzy Hanna byli mu na ogół zupełnie obcy, jego stosunek do nich miał charakter wyłącznie zewnętrzny, z jednym tylko zbliżył się bardzo, i to od pierwszego dnia w szkole, a był to niejaki hrabia M~olln, imieniem Kaj – dziecko arystokratycznego pochodzenia, choć o wyglądzie zupełnie zaniedbanym.

Był to chłopiec wzrostu Hanna, nie chodził jednak, jak tamten, w ubraniu duńskiego marynarza, lecz w biednym odzieniu nieokreślonego koloru, przy którym brakowało guzików, i z dużą łątą na siedzeniu. Ręce jego, wystające ze zbyt krótkich rękawów, były niezmiennie jasnoszarej barwy, pokryte kurzem i ziemią, lecz niezwykle subtelnie ukształtowane, z długimi palcami i długimi, wąsko zakończonymi paznokciami. Rękom tym zaś najzupełniej odpowiadała głowa, która pomimo iż źle utrzymana, nieuczesa i niezbyt czysta, obdarzona była przez naturę wszystkimi oznakami czystej i szlachetnej rasy. Lekko rozdzielone rudawożółte włosy odrzucone były z alabastrowego czoła, pod którym głęboko i zarazem bystro błyszcząły oczy. Kości policzkowe były nieco wystające, a nos o delikatnych nozdrzach i wąskim, ledwie wygiętym grzbiecie, jak również usta z nieco podniesioną górną wargą posiadały już teraz swoiste piętno.

Hanno Buddenbrook widział małego hrabiego ze dwa razy jeszcze przed pójściem do szkoły, mianowicie na przechadzkach, jakie odbywał z Idą za północną bramą miasta. Tam oto, daleko za miastem, w pobliżu pierwszej wsi leżała gdzieś mała zagroda, maleńkie, niewiele warte gospodarstwo bez nazwy. Dostrzegało się tam gnojowisko, trochę kur, psią budę oraz nędzny budynek w rodzaju chaty z głęboko opuszczonym czerwonym dachem. Był to dwór, tam też mieszkał ojciec Kaja, Eberhard hrabia M~olln.

Był to dziwak nie widujący prawie nikogo, zajęty hodowlą kur, psów tudzież jarzyn; oddalił się on od wszystkiego i zagrzebał w swym małym dworku. Był to człowiek wysokiego wzrostu, w sztylpach, w zielonej kurtce z kuczbał, z łysą głową, olbrzymią posiwiąłą brodą, ze szpicrutą w ręku, chociaż nie posiadał ani jednego konia; pod krzaczastą brwią miał nasadzony monokl. Prócz niego oraz jego syna nie było w całym kraju ani jednego hrabiego M~olln.

Poszczególne gałęzie tej niegdyś możnej, dumnej i potężnej rodziny uschły, wymarły i zbutwiały; obecnie żyła jeszcze tylko jedna ciotka Kaja, z którą jednak ojciec jego nie utrzymywał żadnej korespondencji. Pod dziwacznym pseudonimem ogłaszała ona romanse w tygodnikach. Co się zaś tyczy hrabiego M~olln, to przypominano sobie, że po zamieszkaniu w dworku za miastem, aby się ustrzec przed wszelkiego rodzaju nachodzeniem go, rozpytywaniem, propozycjami i żebractwem, na dłuższy przeciąg czasu wywiesił na swoich niskich drzwiach kartkę, na której można było wyczytać:

„Tu mieszka hrabia M~olln zupełnie sam, nic nie potrzebuje, nic nie kupuje i nie ma nic do oddania”. Gdy kartka spełniła swe zadanie i nikt już nie zaglądał do niego, usunął ją z drzwi.

Bez matki – gdyż hrabina

umarła przy jego urodzeniu, a
gospodarstwo prowadziła jakaś
podstarzała kobieta – mały Kaj
wzrósł tutaj dziko jak zwierzę,
między kurami i psami, i tutaj
też, z daleka i ku wielkiemu
swemu zdumieniu, zobaczył go
Hanno Buddenbrook skaczącego w
kapuście jak królik, turlającego
się ze szczeniakami i
straszącego kury swymi
koziołkami.

Spotkał go znowu w szkole i zdumienie jego z powodu zdiczatego wyglądu hrabiego trwało dalej. Lecz wkrótce pewnym instynktem przeniknął źle utrzymaną powłokę, zwrócił uwagę na to białe czoło, wąskie usta, jasnobłękitne podłużne oczy, patrzące z wyrazem jak gdyby gniewnego zdziwienia, i poczuł wielką sympatię dla tego jedyne go spośród wszystkich kolegów. Był on jednak o wiele za nieśmiały, by odważyć się na podjęcie pierwszych przyjacielskich kroków, i gdyby nie bezwzględna inicjatywa małego Kaja, byłiby pozostali sobie obcy. Namiętne tempo, z jakim Kaj zbliżył się do niego, początkowo nawet przstraszyło małego Jana. Ten zaniedbany kolega sięgnął z tak burzliwie agresywną męską energią po względy cichego, elegancko ubranego Hanna, że wcale nie można się było jej oprzeć. Co prawda nie mógł być mu pomocą w nauce, gdyż dla jego nieokiełznanego, swobodnie błąkającego się umysłu i tabliczka mnożenia była czymś równie okropnym jak dla zatopionego w marzeniach małego Buddenbrooka, ale obdarował go wszystkim, co miał: szklanymi kulkami, drewnianymi bąkami, a nawet małym, zakrzywionym ołowianym pistoletem, chociaż była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał... Podczas przerw, trzymając go za rękę, opowiadał mu o swym domu, o psach i kurach, w południe zaś, pomimo iż Ida Jungmann czekała zawsze na swego wychowanka z paczką tartinek, by zabrać go ze szkoły na spacer, towarzyszył mu, jak mógł najdalej. Dowiedział się, że małego Buddenbrooka nazywają w domu „Hanno”, i natychmiast zaczął używać tego zdrobnienia, by odtąd nigdy inaczej nie nazywać przyjaciela.

Pewnego razu zażądał, by Hanno zamiast na M~uhlenwall poszedł z nim do posiadłości jego ojca i obejrzał świeżo urodzone świnki morskie; panna Jungmann przystała w końcu na prośbę chłopców. Powędrowali do hrabiowskiego gospodarstwa, obejrzel i gnojowisko, jarzyny, psy, kury i morskie świnki, wreszcie weszli do domu, gdzie w niskim, długim pokoju na parterze hrabia Eberhard M~olln, obraz przekornego osamotnienia, siedział czytając przy dużym chłopskim stole i szorstko

zapytał, czego sobie życzą...

Idy Jungmann nie można było namówić do powtórzenia tej wizyty; obstawała ona raczej przy tym, by, jeśli chłopcy zechcą być razem, Kaj odwiedzał Hanna; i mały hrabia wszedł po raz pierwszy, ze szczerym podziwem, lecz bez trwogi, do wspaniałego domu rodziców przyjaciela. Od tego czasu przychodził często i coraz częściej, tak że wreszcie tylko grubo leżący śnieg mógł powstrzymać go w zimie od odbycia po raz drugi dalekiej drogi, by przepędzić parę godzin z małym Janem Buddenbrookiem.

Siedzieli razem w dużym dzieciennym pokoju na drugim piętrze i odrabiali lekcje. Mieli do rozwiązania długie zadania arytmetyczne, które po wypełnieniu szyfrowych tabliczek dodawaniem, odejmowaniem, mnożeniem i dzieleniem powinny były dać w rezultacie zero, jeśli wypadało inaczej, to tkwił gdzieś błąd, którego należało szukać, szukać, aż wreszcie owo małe złośliwe zwierzątko odnajdywano i niszczone, dobrze jeszcze, gdy nie tkwiło ono zbyt wysoko, gdyż w przeciwnym razie trzeba było wszystko jeszcze raz pisać. Następnie należało się zająć gramatyką, nauczyć się sztuki stopniowania i wypisać bardzo szybko i prosto, jedno pod drugim, na przykład takie spostrzeżenie: „Róg jest przezroczysty, szkło jest przezroczystsze, powietrze jest najprzezroczystsze”. Po czym brało się kajet z dyktandem, by studiować, na przykład, następujące zdania: „Nasz Henryk jest chudy jak chart, ale w nogach ma hart, grywa on chętnie w szachy i huśta się w hamaku”. Przy owym ćwiczeniu pełnym pokus i zasadzek przewidywano napisanie przez ch wyrazów:

Henryk, huśta i hamak, przez h zaś: chudy, chętnie i szachy, co też chłopcy skwapliwie uczynili, obecnie więc należało przeprowadzić korektę. Gdy wszystko to było skończone, pakowali książki i zasiadali na parapecie okna, by słuchać czytania Idy.

„Dobra dusza” czytała o „stoliczku, nakryj się”, o Janku, co to nie znał strachu, i o Żabim Królu; czytała głębokim, cierpliwym głosem i z na pół zamkniętymi oczami, gdyż baśnie te, które wiele razy w swoim życiu czytała, umiała już prawie na pamięć, odwracała przy tym machinalnie kartki zwilżonym palcem.

Przy tych rozrywkach okazało

się jednak, że w małym Kaju

zaczęła się odzywać i

kształtować potrzeba

naśladowania książki i

opowiadania samemu, co było tym bardziej pożądane, że stopniowo poznano wszystkie drukowane baśnie i że Ida mogła sobie wtedy trochę odpocząć. Historie Kaja początkowo były proste i krótkie, potem jednak stały się odważniejsze i bardziej skomplikowane, przy tym były bardzo interesujące dzięki temu, że nie bujały tak zupełnie w powietrzu, lecz wypływały z rzeczywistości i ukazywały ją w dziwnym i tajemniczym świetle... Najchętniej słuchał Hanno opowieści o złym, ale niezwykle potężnym czarowniku, który więził u siebie w postaci barwnego ptaka pewnego pięknego i bardzo

dzielnego księcia imieniem Jozafat i męczył wszystkich ludzi swymi złośliwymi sztuczkami. Ale dorastał już gdzieś daleko wybraniec, który kiedyś na czele niezwyciężonego wojska, złożonego z psów, kur i morskich świnek, nieustraszenie wyruszy przeciw niemu i walcząc z nim na szable wybawi od niego cały świat, a przede wszystkim zaczarowanego księcia i Hanna Buddenbrooka. Potem wolny i odczarowany książę powróci do swego państwa, zostanie królem, a Hanno wraz z Kajem otrzymają bardzo wysokie godności...

Senator Buddenbrook, który przechodząc czasem przez pokój dziecinny widział dwu przyjaciół, nie miał nic przeciwko temu stosunkowi, było bowiem widoczne, że obaj mieli wzajemnie na siebie dobry wpływ. Hanno oddziaływał łagodząco, uśmierzająco i, mówiąc po prostu, uszlachetniająco na Kaja, który kochał go czule, podziwiał białość jego rąk i by mu dogodzić, pozwalał panie Jungmann szorować sobie ręce mydłem i szczoteczką. Jeśli natomiast Hanno przyjmował od małego hrabiego nieco rzeźkości i dzikości, było to bardzo pocieszające, gdyż senator Buddenbrook zdawał sobie sprawę, że wyłącznie kobieca opieka, pod jaką chłopiec wzrastał, nie przyczyniała się do wyrobienia w nim cech męskich.

Wierność i oddanie poczciwej Idy, która już przeszło trzy dziesiątki lat pracowała u Buddenbrooków, były nie do opłacenia. Poprzednie pokolenie piastowała i pielęgnowała z poświęceniem, ale Hanna nosiła na rękach, otaczała czułością i troskliwością, ubóstwiała i w niezłomnej wierze w jego absolutnie uprzywilejowane stanowisko dochodziła często do absurdu. Gdy szło o niego, ujawniała zadziwiająco i nieraz przykre zuchwalstwo. Na przykład kupując coś w cukierni, nie omieszkała nigdy sięgnąć bezceremonialnie do którejś z tac, by wziąć dla małego Jana coś ze słodyczy nie płacąc za to – czyż bowiem nie był to zaszczyt dla cukiernika? Przed obłożoną zaś wystawą sklepową od razu zaczynała swym wschodniopruskim dialektem uprzejmie, ale zdecydowanie prosić, by zrobiono miejsce dla jej wychowanka. Zapatrywania jej były tak oryginalne, że żadnego dziecka nie uważała za godne zetknięcia się z Janem. Co do małego Kaja, to wzajemne przywiązanie chłopców było silniejsze niż jej nieufność; nazwisko też zrobiło swoje. Gdy jednak na M~uhlenwall siadała wraz z Hannem na ławce, a jakieś inne dziecko ze swą opiekunką chciało dołączyć się do nich, panna Jungmann w tej samej chwili podnosiła się i pod pozorem spóźnionej pory lub przeciągu odchodziła stamtąd. Objasnienia, jakich udzielała małemu Janowi, mogły obudzić w nim wyobrażenie, że wszyscy jego rówieśnicy są silnie obarczeni skrofulami i „złą krwią” – wszyscy prócz niego. A to w żadnym razie nie mogło wpłynąć na wzmocnienie jego i tak słabej ufności do ludzi ani też na bezpośredni stosunek do nich.

Senator Buddenbrook nie wiedział o tych drobiazgach; widział jednak, że syn jego ani w naturalnym swym rozwoju, ani też jeśli chodzi o wpływy zewnętrzne nie podążał tymczasem w kierunku, jakiego by on sobie życzył. Gdybyż mógł ująć w swoje ręce jego wychowanie, dzień za dniem, godzina za godziną oddziaływać na niego! Ale nie miał na to czasu i z bólem patrzył, jak żałośnie rozbijały się jego dorywcze w tym kierunku usiłowania, których jedyny skutek był taki, że stosunek między ojcem a dzieckiem stawał się coraz zimniejszy i bardziej obcy. Stał mu przed oczyma pewien obraz, według którego pragnął ukształtować syna: obraz pradziadka małego Hanna z czasów własnego dzieciństwa, otwarta głowa, jowialny, prosty, pełen humoru i siły... Czyż Hanno nie mógłby stać się takim?

Dlaczego?... Gdybyż choć mógł zdławić i wygnać muzykę, która oddalała chłopca od praktycznego życia, z pewnością nie dopomagała jego rozwojowi fizycznemu i absorbowała jego zdolności! Nie

graniczyłoż niekiedy jego rozmarzenie z niepoczytalnością?

Pewnego popołudnia, na trzy kwadransy przed obiadem, który jadano o czwartej, Hanno zszedł sam na pierwsze piętro, przez chwilę grał na fortepianie, potem zaś pozostawał beczynnie w gabinecie. Na pół leżąc na szezlongu, rozwiązywał i zawiązywał marynarski krawat na piersi i podczas gdy roztargniony jego wzrok błędził po pokoju, dojrzał na orzechowym biurku matki otwartą skórzaną teczkę – tekę z rodzinnymi papierami. Oparł łokieć na poręcz, a brodę na dłoni i przez chwilę przyglądał się jej z daleka. Bez wątpienia ojczulek przeglądał teczkę po drugim śniadaniu i pozostawił ją tak, by do niej powrócić. Niektóre papiery tkwiły w tezcze, inne przyciśnięte były na stole metalową linią; obok leżał otwarty duży zeszyt ze złożonymi brzegami, pełen różnorodnych papierów.

Hanno ześliznął się niedbale z otomany i podszedł do biurka. Księga otwarta była w tym miejscu, gdzie pismem kilku jego przodków, na końcu zaś pismem jego ojca przedstawione było genealogiczne drzewo Buddenbrooków z klamrami, rubrykami i widocznymi datami. Klękawszy jedną nogą na krześle przed biurkiem, odgarniając ręką falujące jasnobrązowe włosy przyglądał się Hanno rękopisowi nieco z boku, ze znużoną, krytyczną oraz zupełnie obojętną powagą, kręcąc jednocześnie w drugiej ręce obsadkę mamy z hebanu i złota. Oczy jego wędrowały po tych wszystkich męskich i kobiecych imionach, wypisanych tutaj jedne pod drugimi i jedne przy drugich, po większej części staroświeckim charakterem pisma z zakrętami i długimi ogonami, pożółkłym lub mocno czarnym atramentem, na którym pozostały resztki złotego piasku... Na samym końcu wyczytał też, wypisane drobnym pośpiesznym pismem ojczulka, pod imionami swoich rodziców własne imię – Justus, Jan, Kasper ur.»15 kwietnia 1861»r. – co sprawiło mu pewną przyjemność; po czym wyprostował się nieco, niedbałym ruchem wziął do ręki linijkę i pióro, położył linijkę pod swoim imieniem, przebiegł jeszcze raz wzrokiem po całym genealogicznym tłumie... i wówczas, ze spokojną miną i bezmyślną starannością, machinalnie i w zamyśleniu, przeciągnął złotym piórem podwójną linię poziomo przez cały arkusz, górną linię przyciskając nieco mocniej niż dolną, tak jak musiał zdobić każdą stronicę swego zeszytu do arytmetyki... Potem z przechyloną na bok głową przyglądał się przez chwilę swojemu dziełu i odszedł.

Po obiedzie senator zawołał go do siebie i ze zmarszczonymi brwiami mierzył go wzrokiem.

–Co to jest? Skąd to się wzięło? Czyś ty to zrobił?

Musiał się przez chwilę zastanowić, czy on to zrobił, potem zaś powiedział nieśmiało i trwożliwie: – Tak.

–Co to znaczy! Co ty sobie myślisz! Cóż to za wybryki! – zawołał senator uderzając lekko zwiniętym zeszytem w policzek Hanna.

A mały Jan, cofając się i podnosząc rękę do policzka, wyjąkał:

–Myślałem... myślałem... że tam już nic więcej nie będzie...

Rozdział ósmy

Od pewnego czasu, gdy rodzina, otoczona spokojnie uśmiechniętymi posągami bóstw wymalowanych na tapetach, siadywała we czwartki przy obiedzie, przybył nowy bardzo poważny temat rozmowy, wywołujący na twarzach pań Buddenbrook z Breitenstrasse wyraz zimnej powściągliwości, a w minach i gestach pani Permaneder niesłychane podniecenie. Z podniesioną głową, wznosząc ręce do góry lub wyciągając je przed siebie, perorowała z gniewem, ze szczerym i głębokim oburzeniem. Od danego konkretnego wypadku, będącego tematem rozmowy, przechodziła do uogólnień, mówiła o złych ludziach i przerywając sobie suchym nerwowym chrząkaniem, które pozostawało w związku z jej dolegliwościami żołądkowymi, wyrzucała właściwym jej w chwilach gniewu gardłowym głosem jakby krótkie okrzyki bojowe wstrętu i odrazy, brzmiące jak:

Tr~anen_trieschke! – Gr~unlich!

–Permaneder!... – Co było jednak dziwne, to nowy okrzyk, który przyłączył się do tamtych i który wydawała z nieopisaną pogardą i nienawiścią. Brzmiał on: „Prokurator!”

Gdy następnie wchodził do sali dyrektor Hugo Weinschenk, jak zawsze spóźniony, gdyż był zawalony pracą, i balansując pięściami oraz kołysząc się niezwykle żywo kierował się do swego miejsca, ukazując swój mały wąsik i zwisającą z wyrazem zuchwałości dolną wargę, wówczas milkły rozmowy, przykra ciężka cisza zalegała wokoło stołu, dopóki senator nie wybawiał wszystkich z zakłopotania, zapytując lekkim tonem, jak gdyby szło o zupełnie zwykły interes, co słyhać ze sprawą. A Hugo Weinschenk odpowiadał, że wszystko dobrze, że wszystko oczywiście jak najlepiej... po czym swobodnie i wesoło zaczynał mówić o czym innym. Był on o wiele bardziej ożywiony niż dawniej, rozglądał się z jakimś niezwykłym podnieceniem i kilka razy zapytywał Gerdę Buddenbrook, jak się mają skrzypce, na co jednak odpowiedzi nie otrzymywał. Mówił w ogóle dużo i wesoło, nieprzyjemne było to, że w swej prostoduszności nie dosyć liczył się ze słowami i w nadmiernie dobrym humorze przytaczał czasem niezupełnie odpowiednie anegdoty. Na przykład jedna z jego historyjek dotyczyła pewnej mamki, która wskutek wiatrów, na jakie cierpiała, wyrządzała szkodę zdrowiu powierzonego jej dziecka; w sposób, jaki z pewnością uważał za humorystyczny, naśladował lekarza wołającego: – Kto tu tak śmierdzi? Któż to tutaj tak śmierdzi! – i zbyt późno lub też wcale nie dostrzegając, że małżonka jego mocno się czerwieniła, że konsulowa, Tomasz i Gerda siedzieli bez ruchu, panie Buddenbrook zamieniały spojrzenia, a nawet Frydzia Severin przy końcu stołu wyglądała na obrażoną – co najwyżej tylko stary konsul Kr~oger parsknął cicho...

Cóż takiego działo się z

dyrektorem Weinschenkiem? Ten

poważny i czynny człowiek, który

poza słabymi zaletami

towarzyskimi i szorstką powłoką

zewnątrzną był człowiekiem

wiernie oddanym swym obowiązkom

–ten człowiek podobno stał się winny ciężkiego przekroczenia, popełnionego nie jeden raz, lecz kilkakrotnie, ba, był on oskarżony, sędownie oskarżony o stosowanie w interesach pewnego manewru, który można już było nazwać nie wątpliwym, lecz brudnym i przestępczym, i wytoczono mu proces, którego wyników niepodobna było przewidzieć! – Cóż mu zarzucano? W kilku miejscowościach zdarzyły się znaczne pożary; mogłyby one dużo kosztować towarzystwo, w którym dotknięci tym nieszczęściem byli ubezpieczeni. Dyrektor Weinschenk miał jakoby, ściągnawszy przez swoich agentów szybkie informacje o wypadkach, poczynić reasekuracje w innym towarzystwie i w ten sposób narazić je na szkody. Obecnie sprawa spoczywała w rękach prokuratora, prokuratora doktora Maurycego Hagenstr~oma...

–Tomaszu – rzekła konsulowa w poufnej rozmowie z synem – proszę cię... ja nic nie rozumiem. Co mam myśleć o tej sprawie?

On zaś odrzekł:

–Cóż, kochana matko... Co tu można powiedzieć? Czy wszystko tutaj jest w porządku, w to muszę niestety wątpić. Ale żeby Weinschenk był winien w takim stopniu, jak tego chcą niektórzy – uważam również za nieprawdopodobne. We

współczesnym życiu handlowym istnieje tak zwana usance, utarty zwyczaj... Usance, uważasz, jest to manewr niezupełnie bez zarzutu, niezupełnie zgodny z prawem, przez laika poczytywany za nieuczciwy, w świecie handlowym jednak przyjęty na zasadzie milczącej umowy. Byłoby bardzo trudno określić granicę między usance a czymś gorszym... Bądź co bądź... Jeśli Weinschenk dopuścił się wykroczenia, to z pewnością nie postąpił gorzej niż wielu jego kolegów, którzy wyszli z tego cało... Ale... nie mam żadnej nadziei na pomyślne zakończenie procesu. W wielkim mieście byłby może uniewinniony; tutaj jednak, gdzie wszystko zależy od kliki i od motywów osobistych... Powinien był o tym pomyśleć przy wyborze obrońcy. Nie mamy tu w mieście wybitnego adwokata, obdarzonego przekonywającą, znakomitą wymową, kutego na cztery nogi i obznajmionego z ryzykowniejszymi sprawami. Ale za to nasi panowie prawnicy trzymają się razem, są ze sobą związani wspólnymi interesami, obiadekmi, możliwie często pokrewieństwami i mają dla siebie wszelkie względy. Moim zdaniem byłoby mądrze, gdyby Weinschenk wziął sobie któregoś z tutejszych adwokatów.

Ale czy tak postąpił? Uważał za

pożądane – mówię pożądane, a to

każe wątpić o czystości jego

sumienia – zamówić sobie obrońcę

z Berlina, doktora Breslauera,

istnego czarta, szczwanego

mówcę, wyrafinowanego krętacza,
którego poprzedziła sława, iż
wydostał z więzienia tyłu a tyłu
zbankrutowanych oszustów. Ten na
pewno za wysokie honorarium
bardzo sprytnie poprowadzi
sprawę... Ale czy to wiele
pomoże? Już widzę, jak nasi
dzielni prawnicy będą się
bronili rękami i nogami, by nie
dać sobie zaimponować, jak
przychylnie nasz trybunał będzie
słuchał plaidoyer (mowa obrończa
–franc.) doktora
Hagenstr~oma... A świadkowie? Co
do jego współpracowników
biurowych to nie sądzę, by
szczególnie przychylnie mieli za
nim świadczyć. To, co my,
życzliwi – a zdaje się, że i on
sam także – nazywamy w nim
szorstką zewnętrzną powłoką, na
pewno nie przysporzyło mu wielu
przyjaciół... Słowem, matko, nie

przewiduję nic dobrego. Byłoby
źle dla Eryki, gdyby spotkało ją
to nieszczęście, ale najbardziej
żałowałbym Toni. Pojmujesz, ma
ona rację, gdy mówi, że
Hagenstr~om z satysfakcją wziął
tę sprawę w swoje ręce. Obchodzi
ona wszystkich i wynik hańbiący
dotyczyłby całej rodziny, której
Weinschenk jest przecież
członkiem. Co do mnie,
przechodzę nad tym do porządku
dziennego. Wiem, jak mam się
zachować. Muszę oficjalnie
trzymać się z daleka od tej
całej sprawy, nie mogę brać
udziału w rozprawach –
jakkolwiek Breslauer

interesowałby mnie – i choćby dla uniknięcia wszelkich zarzutów, iż usiłuję wywierać jakiś nacisk, w ogóle nie powinienem się do niczego wtrącać. Ale Tonia? Trudno sobie wyobrazić, jak smutny byłby dla niej skazujący wyrok. Dość posłuchać, ile lęku przebija z jej głośnych protestów przeciwko oszczerstwom i zawistnym intrygom... ile lęku, że po wszystkich nieszczęściach, jakie sama zniosła, utraci jeszcze i to jedyne, co pozostało, zaszczytne stanowisko, przyzwoity dom córki... Ach, zobaczysz, będzie ona tym głośniejsz obstawiała za niewinnością Weinschenska, im bardziej będzie zmuszona o niej wątpić... Ale może on również zostać uniewinniony, zapewne, zupełnie uniewinniony... Musimy czekać, matko, i być taktowni względem niego i Toni, i Eryki.

Ale nie przewiduję nic
dobrego...

W takich oto warunkach nadeszły tego roku święta Bożego Narodzenia i mały Hanno z bijącym sercem śledził zbliżanie się nieporównanej chwili, zaglądając do małego ściennego kalendarzyka, który sporządziła dla niego Ida i na którego ostatniej stronie wyrysowana była choinka.

Oznaki mnożyły się... Już od początku adwentu w sali jadalnej u babci wisiał kolorowy obraz wyobrażający świętego Mikołaja naturalnej wielkości. Pewnego ranka Hanno ujrzał, że kołdra jego, zasłony łóżka i ubranie przysypane były złotym szychem. W parę dni później, po południu w gabinecie, gdy ojczulek leżał na szezlongu, a Hanno przeglądał właśnie w „Palmowych liściach” Geroka wiersz o czarownicy z Endoru, zameldowano jak co roku i równie niespodziewanie jakiegoś staruszka”, który „pytał o małego”. Poproszono do pokoju tego staruszka i wszedł powłócząc nogami, w długim futrze odwróconym do góry włosem i okrytym złotymi nićmi oraz płatkami śniegu, w futrzanej czapce, z czarnymi kresami na twarzy i olbrzymią białą brodą, która, równie jak i nienaturalnie grube brwi, obsypana była błyszczącym proszkiem. Jak co roku grzmiącym głosem oznajmił, że w tym oto worku, na lewym ramieniu, są jabłka i złocone orzechy dla grzecznych dzieci, które umieją pacierz, ale ta oto różga, na prawym ramieniu, przeznaczona jest dla niegrzecznych dzieci... Był to święty Mikołaj. To jest, naturalnie, nie taki zupełnie prawdziwy, właściwie może tylko golarz Wenzel w odwróconym futrze ojczulka, ale o ile święty Mikołaj w ogóle może istnieć, był to on, Hanno, tym razem znowu szczerze wstrząśnięty, odmówił pacierz, zaledwie raz czy dwa razy przerywany nerwowym i na wpół nieświadomym szlochem, po czym pozwolono mu sięgnąć do worka grzecznych dzieci, którego zresztą staruszek zapomniał potem w ogóle zabrać ze sobą...

Rozpoczęły się ferie i dość szczęśliwie przeszła chwila, gdy ojczulek odczytał cenzurę, jaką i na Boże Narodzenie musiano koniecznie wystawić... Duża sala była już tajemniczo zamknięta, na stole zjawily się marcepany i pierniki, w mieście czuło się Boże Narodzenie. Spadł śnieg, chwycił mróz i w ostrym, czystym powietrzu zabrzmiały skoczne lub żalosalne melodie włoskich kataryniarzy, którzy przyszedli na święta w swych aksamitnych kurtkach i z czarnymi wąsikami. W oknach sklepów zajaśniały wspaniałe świąteczne wystawy. Wokoło gotyckiej studni na rynku rozstawiono jaskrawe budy jarmarczne, pełne świątecznych atrakcji. Gdziekolwiek się poszło, wdychało się wigilijny aromat wystawionych na sprzedaż choinek.

Potem nadszedł wreszcie wieczór dwudziestego trzeciego grudnia, a wraz z nim Gwiazdka w sali domu na Fischergrube. Gwiazdka w najbliższym kółku, będąca tylko początkiem, wstępem, przygrywką, wieczór wigilijny należał bowiem do konsulowej, która zapraszała całą rodzinę, tak że przed wieczorem dwudziestego czwartego zebrało się w pokoju pejzażowym całe czwartkowe towarzystwo, a prócz tego jeszcze Jürgen Kröger z Wismaru oraz Teresa Weichbrodt z madame Kethelsen.

Stara dama przyjmowała gości odziana w suknię z grubego jedwabiu w czarne i szare pasy, owiana delikatnym zapachem paczuli, cała zaczerwieniona i z rozgorączkowanymi oczami, a wśród milczących uścisków cicho dźwięczały jej złote bransoletki. Aż drżała tego wieczoru z niewypowiedzianego, niemego podniecenia.

–Boże drogi, ależ ty masz gorączkę, matko! – powiedział senator, przyszedłszy wraz z Gerdą i małym Janem... – Przecież wszystko pójdzie doskonale.

Wtedy całując wszystkich troje szepnęła:

–Ku chwale Jezusa... I mój drogi nieboszczyk Jean...

W istocie, uświęcony program, zaprowadzony przez zmarłego konsula, musiał być zachowany w całej pełni; poczucie odpowiedzialności za godny przebieg tego wieczoru, który powinien być odbyć się w nastroju głębokiej, poważnej i żarliwej radości, nie pozwoliło jej spocząć ani na chwilę, z sali kolumnowej, gdzie zebrani już byli chłopcy z kościoła Panny Marii, biegła do sali jadalnej, gdzie Frydzia Severin kończyła przybierać drzewko i stół z podarkami, dalej aż na korytarz, w którym nieśmiało i trwożliwie stało kilku obcych staruszków, biedaków, którzy również mieli wziąć udział w Gwiazdce, i znów z powrotem do pokoju pejzażowego, gdzie milczącym, ukośnym spojrzeniem karciała każde zbyteczne słowo. Było tak cicho, że słyszało się dźwięki oddalonej katarynki, czyste i delikatne, które dolatywały tutaj z jakiejś zaśniewanej ulicy. Chociaż bowiem w pokoju znajdowało się około dwudziestu osób, cisza była większa niż w kościele i – jak senator cichutko szepnął wujowi Justusowi – nastrój przypominał ceremonię pogrzebową.

Nie groziło zresztą niebezpieczeństwo, iż komuś przyjdzie na myśl przerwać ten nastrój jakimś wybuchem młodzieńczej swawoli.

Wystarczyłoby jednego spojrzenia, by się przekonać, że niemal wszyscy członkowie zgromadzonej tu rodziny byli w wieku, w którym objawy życia od dawna przybrały stateczne formy. Senator Tomasz Buddenbrook, którego bladość zadawała kłam ożywionemu, energicznemu, a nawet pełnemu humoru wyrazowi twarzy, Gerda, jego małżonka, siedząca nieruchomo na fotelu, ze wzniesioną do góry białą piękną twarzą, z blisko siebie osadzonymi, ocienionymi, dziwnie błyszczącymi oczami, utkwionymi w migoczących kryształach żyrandola, jego siostra, pani Permaneder, kuzyn Jürgen Kröger, cichy, skromnie ubrany urzędnik, kuzynki: Fryderyka, Henryka i Fifi, dwie pierwsze jeszcze bardziej chude i długie, ostatnia zaś mniejsza i bardziej otyła niż dawniej, wszystkie trzy o wspólnym stereotypowym wyrazie twarzy, ich złośliwy i nieżyczliwy uśmiech, nieufnie zwrócony przeciwko wszystkim i wszystkiemu, zdawał się nieustannie mówić: – Doprawdy? a my jakoś w to nie bardzo wierzymy... – wreszcie biedna, poszarzała Klotylda, której myśli zwrócone były z pewnością w kierunku kolacji – wszyscy oni przekroczyli czterdziestkę, podczas gdy pani domu wraz ze swym bratem Justusem i jego żoną, jak również mała Teresa Weichbrodt byli już dość dawno po sześćdziesiątce, a stara konsulowa Buddenbrook z domu Stüwing i zupełnie głucha madame Kethelsen miały już przeszło siedemdziesiąt lat.

W rozkwicie młodości znajdowała się właściwie tylko jedna Eryka Weinschenk, ale gdy swymi jasnyniebieskimi oczami – oczami pana Grunicha – spoglądała na męża dyrektora, którego ostrzyżona, siwiejąca na skroniach głowa z cienkimi, wrośniętymi w kąty ust wąsami rysowała się na tle idyllicznych krajobrazów na tapetach, można było zauważyć, że pełna jej pierś wznosiła się w ciężkim, bezgłośnym oddechu... Zapewne przepełniały ją trwożliwe i skłębione myśli o przekroczeniach, prowadzeniu ksiąg, świadkach, prokuratorze, oskarżycielu i sędzi, a nie było chyba w pokoju nikogo, kogo by nie zaprzątały te niewigilijne myśli. Stan oskarżenia, w jakim pozostawał zięć pani Permaneder, przeświadczenie wszystkich o obecności wśród nich członka rodziny, obwinionego o wykroczenie przeciwko prawu, porządkowi państwowemu, jako też kupieckiej uczciwości – może nadto zagrożonego hańbą i więzieniem – nadawały zgromadzeniu najzupełniej obce, potworne piętno. Wigilia u Buddenbrooków... a między nimi ktoś, członek rodziny, kto jest oskarżony!... Pani Permaneder siedziała w głębi fotela z tym surowszym majestatem, uśmiech pań

Buddenbrook z Breitenstrasse stał się jeszcze złośliwszy...

A dzieci? A owo niezbyt liczne potomstwo? Czy i ono odczuwało grozę tych zupełnie nowych, nieznanych okoliczności? Co do małej Elżbiety, zupełnie niepodobna było sądzić o stanie jej uczuć. W sukience, której duże atłasowe kokardy zdradzały gust pani Permaneder, dziecko siedziało na ręku bony, zaciskając jej wielkie palce w swoich małych piąstkach ssąco język, spoglądało przed siebie nieco wylupiastymi oczami, od czasu do czasu wydawało krótki, piskliwy dźwięk i wówczas dziewczyna huśtała je przez chwilę. Hanno zaś siedział na podnóżku u stóp matki, spoglądając tak jak ona ku kryształom żyrandola...

Brakowało Chrystiana! Gdzież był Chrystian? Dopiero teraz, w ostatniej chwili, zauważono jego nieobecność. Ruchy konsulowej, właściwy jej gest, jakim miała zwyczaj przeciągać ręką od kąta ust do fryzury, jak gdyby chcąc doprowadzić do porządku opadający promień włosów, stały się jeszcze bardziej gorączkowe... Wydała szybkie rozporządzenie pannie Severin, która przeszła przez kolumnową salę, obok chłopców z chóru, minęła biedaków stojących na korytarzu i zapukała do pokoju pana Buddenbrooka.

Zaraz potem zjawił się

Chrystian. Na swych chudych, krzywych nogach, nieco sztywnych od czasu reumatyzmu stawów, wszedł z całym spokojem do pejzażowego pokoju, pocierając ręką łyse czoło.

–Do licha, moje dzieci – powiedział – o mało co byłbym o tym zapomniał!

–Byłbyś o tym... – powtórzyła konsulowa i osłupiała...

–Tak, o mało co byłbym zapomniał, że dzisiaj jest Boże Narodzenie... Siedziałem i czytałem... książkę o podróżach, o Ameryce Południowej... Boże kochany... Przepędzałem ja już inaczej święta Bożego Narodzenia... – dodał i już miał zamiar rozpocząć opowiadanie o pewnym wieczorze wigilijnym, spędzonym w Londynie w tingel_tanglu piątego rzędu, gdy nagle przeniknęła go panująca w pokoju kościelna cisza i ze zmarszczonym nosem, na palcach przeszedł na swoje miejsce.

–Raduj się, córo Syjonu! – zaśpiewali chłopcy; i mimo że dopiero przed chwilą dość głośno błaznowali za drzwiami, że aż senator musiał stanąć w progu, by przywołać ich do porządku, teraz śpiewali przepięknie. Owe wysokie głosy, dobyte z głębi piersi, wznoszące się czysto, triumfalnie, pochwalnie, porwały wszystkie serca, sprawiły, że uśmiech starych panien złagodniał, starzy wejrzeni w siebie, wspominając przeszłość, ci zaś, którzy byli w pełni życia, zapomnieli na chwilę o swych troskach.

Hanno puścił kolana, które dotąd obejmował. Był bardzo blady, bawił się frędzlami podnóżka i z na pół otwartymi ustami ocierał język o ząb z takim wyrazem twarzy, jak gdyby marzył. Od czasu do czasu czuł, że musi głęboko odetchnąć, gdyż teraz, gdy w powietrzu drżał ten śpiew, ów czysty jak dzwonek śpiew a capella, serce jego cisnęło uczucie niemal bolesnego szczęścia. Boże Narodzenie... Przez szpary wysokich, biało lakierowanych, teraz jeszcze zamkniętych drzwi do sali przenikał słodki zapach choinki, budząc wyobrażenie cudów, których oczekiwało się co roku z bijącym sercem, ich niepojętej, nieziemskiej wspaniałości... Cóż tam będzie dla niego? To, czego sobie życzył, oczywiście, gdyż dostawało się to zawsze z największą pewnością, chyba że już poprzednio wyperswadowano mu to jako niemożliwość! Teatr na pewno od razu wpadnie mu w oczy i wskaże drogę do miejsca, gdzie leżą prezenty dla niego – upragniony teatr marionetek, który był wypisany i mocno podkreślony na samej górze kartki, sporządzonej dla babci, i który od czasu „Fidelia” stanowił jedyny niemal przedmiot jego myśli.

Tak jest, w nagrodę za pewną wizytę u pana Brechta Hanno niedawno był po raz pierwszy w teatrze miejscowym, gdzie w pierwszym rzędzie, obok matki, mógł z zapartym tchem chłonać dźwięki oraz przebieg akcji „Fidelia”. Od tego czasu śnił jedynie o operze i powziął dla sceny namiętność, która prawie spać mu nie dawała. Z niewypowiedzianą zazdrością patrzył na ulicy na ludzi, którzy, jak jego stryj Chrystian, znani byli jako bywalcy teatralni. Konsul D~ohlmann, makler Gosch... Cóż to za niepojęte szczęście móc być tam każdego wieczoru! Gdyby mógł choć raz na tydzień ujrzeć tę salę przed rozpoczęciem przedstawienia, usłyszeć strojenie instrumentów i bodaj przez chwilę popatrzeć na zapuszczoną kurtynę! Kochał bowiem w teatrze wszystko: zapach gazu, fotele, muzyków, kurtynę...

Czy jego teatr marionetek będzie duży? Duży i szeroki? Jaka będzie kurtyna? Trzeba będzie jak najprędzej wyciąć małą dziurkę, gdyż w kurtynie teatru miejskiego również była dziurka do zaglądania... Czy babcia albo panna Severin – bo babcia nie mogła wszystkim się zająć – znalazły wszystkie dekoracje, potrzebne do „Fidelia”. Od razu jutro zamknie się gdzie i zupełnie sam urządzi przedstawienie... Już słyszał w uchu śpiew swoich marionetek, gdyż muzyka i teatr stały się dla niego natychmiast jak najściślej ze sobą związane...

–Raduj się, Jerozolimmo! – zakończył chór chłopców, a głosy, które dotąd rozbrzmiewały obok siebie jak w fudze, odnalazły się w ostatniej sylabie zgodnie i radośnie. Wysoki akord przebrzmiał i głęboka cisza zaległa salę kolumnową oraz pokój pejzażowy, pod jej wrażeniem wszyscy pochylili głowy, tylko dyrektor Weinschenk spoglądał dokoła śmiało i swobodnie, a pani Permaneder sucho odchrząknęła, gdyż chrząkania tego nie mogła powstrzymać. Konsulowa podeszła wolno do stołu i otoczona rodziną usiadła na sofie, która nie stała już oddzielnie, jak w dawnych czasach. Poprawiła lampę i przyciągnęła wielką Biblię w wyblakłej ze starości, niezwykle szerokiej złoczonej oprawie. Potem nałożyła okulary, odpięła dwie skórzane klamry, na które kolosalna księga była zamknięta, otworzyła założone miejsce – ukazała się gruba, sztywna, żółtawa karta, pokryta ogromnym drukiem – i przełknąwszy łyk wody z cukrem zaczęła odczytywać rozdział o Bożym Narodzeniu.

Dawne, dobrze znane słowa odczytywała powoli, w sposób prosty, płynący do serca, a wzruszony jej głos rozbrzmiewał czysto i pogodnie w zbożnej ciszy. – Pokój ludziom dobrej woli – powiedziała. Zaledwie umilkła, w kolumnowej sali zabrzmiała na trzy głosy pieśń „Cicha noc, święta noc”, do której dołączyły się głosy rodziny w pokoju pejzażowym. Zabrano się do śpiewu z pewną ostrożnością, większość obecnych była bowiem niemuzyczna i od czasu do czasu rozbrzmiewał w zespole głęboki, zupełnie niewłaściwy ton... Ale nie zmniejszało to wrażenia tej pieśni... Pani Permaneder śpiewała ją drżącymi wargami, gdyż najśłodziej i najboleśniej wzrusza na serca tych, którzy mają za sobą burzliwe życie i w krótkiej, spokojnej, uroczystej chwili spoglądają wstecz... Madame Kethelsen płakała cicho i gorzko, choć prawie nic z tego wszystkiego nie słyszała.

A potem konsulowa powstała. Ujęła rękę swego wnuka Jana i prawnuczki Elżbiety i przeszła przez pokój. Starzy państwo poszli razem z nią, młodszy za nimi, w sali kolumnowej przyłączyła się służba i biedni i szli śpiewając chórem starą pieśń do choinki „O, Tannenbaum”, przy czym stryj Chrystian kroczył przed dziećmi i pobudzał je do śmiechu, wyrzucając przy chodzeniu nogi jak pajac i śpiewając jak głupi:

„chojenka – wujenka”, i tak olśnieni, z uśmiechem na twarzy, przez szeroko otwarte białe drzwi weszli wprost do nieba.

Cała komnata, napełniona zapachem osmalonych gałęzi choinki, błyszcząca i lśniła od niezliczonych małych płomieni, a błękitny tapet z białymi posągami bóstw jeszcze bardziej rozjaśniał wielką salę. Płomyki świec w głębi między ciemnoczerwonymi zasłonami u okien, okrywające potężne, wznoszące się aż do sufitu drzewo, przybrane w srebro i białe lilie, z połyskującym u szczytu aniołem i małą stajenką u stóp, migotały w tej powodzi światła jak dalekie gwiazdy. Na białym nakrytym stole, bardzo długim, ciągnącym się od okien prawie aż do drzwi i obładowanym podarkami, ustawiony był szereg małych, obwieszonych cukierkami drzewek, również rozblaskujących światłem woskowych świec. Paliły się też gazowe kinkiety na ścianach i płonęły grube świece w złoconych kandelabrach we wszystkich czterech rogach sali. Duże przedmioty, podarki, które nie mieściły się na stole, stały na podłodze. Mniejsze stoliki, również białe nakryte i ozdobione płonącymi drzewkami, stały po obu stronach drzwi: była to gwiazdka dla służby i biednych.

Olśnieni i przejęci uczuciem obcości w tej starej, dobrze znanej sali, wędrowali ze śpiewem przez cały pokój, przedfilowali przed żłobkiem, w którym woskowe Dzieciątko Jezus zdawało się czynić znak krzyża, a następnie, zauważywszy po drodze poszczególne przedmioty, zatrzymali się przy

swoich miejscach.

Hanno był odurzony. Zaraz gdy wszedł, jego gorączkowo szukające oczy dostrzegły teatr... teatr, który wznosząc się tam, na stole, wyglądał tak okazale i szeroko, iż przewyższał wszelkie najśmielsze jego wyobrażenia. Ale znajdował się w innym miejscu niż podarki, które otrzymał w zeszłym roku, i to sprawiło, że w zdumieniu swym Hanno zwątpił poważnie, czy ów bajeczny teatr przeznaczony jest dla niego. Do tego jeszcze u stóp sceny, na podłodze, stało coś dużego, nieznanego, coś, czego nie zapisał na kartce z życzeniami, jakiś sprzęt, przedmiot przypominający komodę... czyż miało to być dla niego?

–Chodź no tu, dziecko, i przypatrz się temu – rzekła konsulowa i otworzyła wieko. –

Wiem, że lubisz grywać chorały... Pan Pf~uhl udzieli ci wskazówek... trzeba ciągle naciskać pedały... czasem mocniej, a czasem słabiej... a rąk wcale nie podnosić, tylko palce zmieniać tak peu ~a peu... (powoli – franc.)

Była to fisharmonia, mała, ładna fisharmonia, brunatno polakierowana, z metalowymi rączkami po obu stronach, z kolorowymi pedałami i ozdobnym obracającym się krzeselkiem. Hanno wziął akord... odezwał się łagodny dźwięk organów, wszyscy podnieśli głowy znad podarków... Hanno objął babcię, która przycisnęła go czule do siebie, a potem odeszła, by odebrać inne podziękowania.

Zwrócił się do teatru.

Fisharmonia była oszołamiającym

marzeniem, ale tymczasem nie

mógł zająć się nią bliżej. Był

to nadmiar szczęścia, w którym

okazując się niewdzięcznym dla

poszczególnych rzeczy,

wszystkiego dotyka się

przelotnie, by najpierw poznać się ze wszystkim... O, była tam budka dla suflera, za którą szeroko i majestatycznie podnosiła się czerwono_żłota kurtyna. Na scenie, w kształcie muszli, ustawiona była dekoracja ostatniego aktu „Fidelia”. Biedni więźniowie składali ręce. Don Pizarro w ogromnych bufiastych rękawach stał gdzieś w kącie w straszliwej pozie. A z głębi, cały w czarnych aksamitach, szybkim krokiem zbliżał się minister, by wszystko obrócić na dobre. Było to jak w prawdziwym teatrze i niemal jeszcze piękniej. W uszach Jana zabrzmiał chór radości, finał; usiadł przed fisharmonią, aby spróbować zagrać ten kawałek, który zachował w pamięci. Ale zaraz znów wstał, by wziąć książkę, upragnioną książkę o mitologii greckiej, w czerwonej oprawie ze złotą Pallas_Ateną na okładce. Zajadał ze swego talerzyka cukierki, marcepany i pierniki, oglądał mniejsze przedmioty, przybory do pisania, zeszyty szkolne i na chwilę zapomniał o wszystkim innym

na widok obsadki: tkwiło w niej maleńkie czarodziejskie szkiełko, przez które, gdy się je trzymało tuż przy oku, można było dojrzeć rozległy krajobraz szwajcarski...

Teraz panna Severin wraz z pokojówką obnosiły herbatę i biszkopty i Hanno, zanurzając biszkopt w herbacie, czuł się zbyt ociężały, by wstać z miejsca. Niektórzy stali koło stołu, inni chodzili wzdłuż niego, rozmawiali i śmieli się, pokazując sobie nawzajem swoje podarki i podziwiając inne. Były to najróżniejsze przedmioty: z porcelany, niklu, ze srebra, ze złota, z drzewa, z jedwabiu i sukna. Duże pierniki, ozdobione symetrycznie migdałami i cykatą, leżały na stole długim szeregiem na przemian z ciężkimi, świeżymi, wilgotnymi jeszcze w środku chlebami z marcepanu. Podarki wykonane lub zdobione przez panią Permaneder, worek do robótek, poduszka pod nogi, podstawa na doniczki, udekorowane były dużymi atłasowymi kokardami.

Od czasu do czasu podchodził ktoś do małego Jana, kładł rękę na jego marynarskim kołnierzu i oglądał jego prezenty z ironicznym, przesadnym podziwem, jaki zazwyczaj okazuje się wobec dziecięcych wspaniałości. Jeden tylko stryj Chrystian nie miał w sobie owej wyniosłości dorosłych i gdy z otrzymanym dziś od matki brylantowym pierścieniem na palcu zbliżył się do Hanna, radość jego z teatru marionetek... równała się radości jego bratanka.

–Do licha, to zabawne! – powiedział podnosząc i opuszczając kurtynę i odstępując o krok, by ocenić scenę.

–Życzyłeś sobie tego?... Tak, więc tego sobie życzyłeś? – rzekł nagle, przez chwilę wodząc wokoło oczami, pełnymi niespokojnych myśli i dziwnej powagi. – Dlaczego? Skąd ci to przyszło do głowy? Byłeś już kiedy w teatrze?... Na „Fideliu”? Tak, dobrze to wystawiają... A teraz chcesz to naśladować, co? Naśladować, sam wystawić operę?... Takie wrażenie wywarło to na tobie?... Widzisz, dziecko, posłuchaj mojej rady, nie zaprzataj sobie zbytnio myśli takimi rzeczami...

Teatr... i tak dalej... To nic

niewarte, wierzaj stryjowi. Ja

także zawsze za bardzo

interesowałem się tym wszystkim

i dlatego do niczego nie

doszedłem. Dużo błędów

popelniłem, trzeba ci

wiedzieć...

Powiedział to bratankowi poważnie i dobitnie, a Hanno patrzył na niego z zaciekawieniem. Potem jednak, po przerwie, podczas której koścista i zapadnięta jego twarz rozjaśniała się, w miarę jak przyglądał się teatrowi, nagle zaczął przesuwać jedną z figur na przód sceny i zaśpiewał głuchym, ochryplym i tremolującym głosem: – Ha, cóż za zbrodnia straszliwa! – po czym przysunął sobie przed

teatr krzeselko od fisharmonii, usiadł i zaczął przedstawiać operę, śpiewając i gestykułując, naśladowując na przemian to ruchy kapelmistrza, to znów osób działających. Za jego plecami zebrało się parę osób, śmiano się, bawiono i kiwano głowami. Hanno przypatrywał mu się ze szczerą uciechą. Ale po chwili, zupełnie niespodziewanie, Chrystian urwał. Umilkł, twarz jego nabrała wyrazu niespokojnej powagi, przeciągnął ręką po czaszce i wzdłuż lewego boku na dół, po czym ze zmarszczonym nosem i zatroskaną miną zwrócił się do publiczności.

–Tak, widzicie, znów się skończyło – powiedział – znowu nadchodzi kara. To się zaraz mści, jak tylko pozwolę sobie kiedy trochę pożartować. To nie jest ból, wicie, to jest cierpienie... nieokreślone cierpienie, bo tu wszystkie nerwy są za krótkie. Po prostu wszystkie są za krótkie...

Ale krewni brali te skargi równie mało poważnie, jak jego żarty – nic nie odpowiadali. Rozproszyli się obojętnie, a Chrystian siedział jeszcze jakiś czas samotnie i milcząco przed teatrem, obserwował go mrugając oczami i w zamyśleniu, po czym wstał.

–No, dziecko, baw się tym – rzekł gładząc włosy Hanna. – Ale nie za dużo... i nie zapominaj przy tym o poważnej pracy, słyszysz? Dużo błędów popełniłem... Ale teraz już pójdę do klubu... Idę trochę do klubu! – zawołał do starszych. – Tam także obchodzą dzisiaj wilię. Do widzenia. – I na swoich sztywnych, krzywych nogach wyszedł przez salę kolumnową.

Wszyscy jedli dziś obiad trochę wcześniej i dlatego obficie pochłaniali herbatę z biszkoptami. Ale zaledwie skończyli, obniesiono duże kryształowe misy, pełne żółtej ziarnistej masy. Był to krem migdałowy, mieszanina jajek, tartych migdałów i olejku różanego, co smakowało wyśmienicie, ale jeśli zjadło się łyżeczkę za wiele, powodowało okropną niestrawność. Pomimo to i chociaż konsulowa prosiła, by pozostawili sobie troszeczkę miejsca na kolację, wszyscy raczyli się do woli. Klotylda dokazywała cudów. Cicho i z wdzięcznością zjadała krem migdałowy, jak gdyby to była gryczana kasza. Dla orzeźwienia podano też ponczową galaretkę w filiżankach, a do niej angielskie „plum_cake”. Powoli wszyscy przeszli do pokoju pejzażowego i zasiedli z talerzykami dokoła stołu.

Hanno został sam w sali, małą Elżbietę bowiem odniesiono do domu: on zaś miał w tym roku po raz pierwszy pozostać na kolacji na Mengstrasse, służące oraz biedacy oddalili się ze swymi prezentami, a Ida Jungmann rozmawiała w sali kolumnowej z Frydzą Severin, chociaż będąc wychowawczynią dbała o zachowanie ścisłego dystansu towarzyskiego i trzymała się zazwyczaj z daleka od „tej panny”. Światła na dużej choince wypaliły się i pogasty, tak że stajenka pogrążona była w ciemnościach, płonęły jeszcze niektóre świece na małych drzewkach na stole, od czasu do czasu z cichym trzaskiem zapalała się gałązka, potęgując panujący w sali zapach. Za każdym powiewem poruszającym gałęzie choinki, drżały z cichutkim, metalicznym szmerem promienie uczeplonego na nich złotego szychu. I znowu było tak cicho, że słyszało się przytłumione dźwięki katarynki, dolatujące w ów mroźny wieczór z odległej ulicy.

Hanno wchłaniał w siebie

wigilijne wonie i dźwięki. Z

głową opartą na ręku czytał

swoją mitologię, jedząc

machinalnie – ponieważ należało

to do programu – cukierki,

marcepany, krem migdałowy i

ciasto z rodzynkami, a

ociężałość spowodowana

przepełnionym żołądkiem wraz z miłym podnieceniem budziła w nim uczucie żalosnej błogości. Czytał o walkach, jakie musiał staczać Zeus, by dojść do władzy, a od czasu do czasu przysłuchiwał się rozmowie w pokoju pejzażowym, gdzie omawiano przyszłość cioci Klotyldy.

Klotylda była tego wieczoru stanowczo najszczęśliwsza ze wszystkich. Powinszowania i żarciki, jakich jej nie szczędzono, przyjmowała z uśmiechem, który rozjaśniał jej poszarzałą twarz; głos jej załamywał się z radosnego wzruszenia. – Została umieszczona w klasztorze świętego Jana. Senator szybko załatwił w zarządzie jej przyjęcie, chociaż niektórzy szemrali po cichu na nepotyzm. Rozmawiano o tej chwalebnej instytucji, odpowiadającej podobnym klasztorom dla szlacheńek w Meklemburgii, w Dobberthien i Ribnitz, których celem było zabezpieczenie starości niezamożnym pannom z zasłużonych i starych rodzin. Biednej Klotyldzie zapewniano małą, ale pewną rentę, która z biegiem lat miała wzrastać, a na starość, gdy dojdzie do najwyższej klasy, możliwi jej nawet ciche i czyściutki mieszkanko w klasztorze...

Mały Hanno posiedział trochę ze starszymi, ale potem wrócił do sali, która nie rozjaśniona tyloma światłami nie onieśmiała go już swą wspaniałością i nabrała teraz nowego uroku. Była to szczególna przyjemność, jak gdyby się chodziło po tonącej w półmroku scenie po skończonym przedstawieniu i zaglądało za kulisy: przypatrywać się z bliska liliiom z dużej choinki, ich pręcikom, brać w rękę zwierzęta i figurki ze stajenki, odszukać świeczkę, która oświetlała przezroczystą gwiazdę betlejemską, podnieść długi obrus, by zobaczyć stopy tekturowych pudełek i papierów, które tam poukładano...

Ale rozmowa w pokoju pejzażowym stawała się coraz mniej zajmująca. Stopniowo z nieodpartą koniecznością zaczęto mówić o owej niemiłej okoliczności, którą przemilczano dotąd podczas uroczystości tego wieczoru, a która jednak nie przestała ani na chwilę zajmować wszystkich: o procesie dyrektora Weinschenka. Sam Hugo Weinschenk właśnie o tym mówił, przy czym ton jego i gesty zdradzały silne podniecenie. Informował o szczegółach przerwane go z powodu świąt przesłuchania świadków, mocno potępiał zbyt widoczne uprzedzenie prezesa, doktora Philandera, i z pełną wyższości ironią krytykował szydery ton, jaki prokurator, doktor Hagenstr~om, uważał za stosowne przybrać wobec niego, jako też względem świadków zeznających na jego korzyść. Breslauer obalił zresztą bardzo dowcipnie pewne obciążające zeznania i zapewnił go solennie, że tymczasem nie ma mowy o skazaniu. Senator z grzeczności zadawał od czasu do czasu jakieś pytanie, a pani Permaneder, siedząc z podniesionymi ramionami na sofie, mruzczała chwilami straszne przekleństwa pod adresem Maurycego Hagenstr~oma. Reszta towarzystwa zachowywała milczenie.

Milczenie tak głębokie, że dyrektora także stopniowo opuszczała werwa, i podczas gdy tam w sali małemu Janowi czas upływał przyjemnie jak w niebie, w pokoju pejzażowym zalegała ciężka, dręcząca, trwożliwa cisza, która panowała jeszcze wówczas, gdy o wpół do dziewiątej Chrystian wrócił z klubu z wigilii kawalerów i suitierów.

W ustach jego tkwił wygasły niedopałek cygara, a zapadłe policzki były zaczerwienione. Przeszedł przez salę i wchodząc do pokoju pejzażowego, rzekł: – Wiecie, moi drodzy, że sala jest dzisiaj śliczna! Panie Weinschenk, właściwie powinniśmy byli sprowadzić tu Breslauera, czegoś równie pięknego pewno nigdy jeszcze nie widział.

Konsulowa skierowała na niego karcące spojrzenie. Odpowiedział na nie swobodną i niewinnie pytającą miną.

O dziewiątej udano się do stołu.

Jak co roku, i tego wieczoru nakryto w sali kolumnowej. Konsulowa serdecznie wypowiedziała tradycyjną modlitwę:

Słodki Jezu, zstąp do nas

sam,@ pobłogosław, coś zesłał

nam...@

1 1 67 0 0 108 1 ff 1 32 1 do której, jak również chce zwyczaj tego wieczoru, dołączyła krótkie napomnienie, wzywające do pomyślenia o tych, którzy nie przepędzają tego świętego wieczoru tak dostatnio jak rodzina Buddenbrooków. Po dopełnieniu tego z czystym sumieniem zasiedli do długo ciągnącej się uczy, którą rozpoczęły karpie z masłem oraz stare wino reńskie.

1 1 67 0 2 108 1 ff 1 32 1 Senator wsunął do portmonetki parę rybich łusek, żeby przez cały rok były w niej pieniądze, Chrystian jednak smutno zauważył, że przecież to nic nie pomaga, konsul Kr~oger zaś zrzekł się tych środków ostrożności, ponieważ jak się wyraził, nie potrzebuje się już obawiać wahań kursu, a posiadając w majątku półtora szylinga, jest już od dawna zabezpieczony. Stary pan siedział możliwie daleko od swojej żony, z którą już od dawna prawie nie rozmawiał, gdyż nie przestawała ona potajemnie przysyłać pieniędzy wydziedziczonemu Jakubowi, pędzącemu awanturnicze i wykolejone życie w Londynie, Paryżu czy Ameryce – tylko ona dokładnie wiedziała, gdzie. Zmarszczył ponuro czoło, gdy podczas drugiego dania rozmowa zesłała na nieobecnych członków rodziny i gdy ujrzał, że czuła matka ociera oczy. Wspominano kuzynów z Frankfurtu i z Hamburga, pomyślano bez urazy o pastorze Tiburtusie z Rygi, a senator po cichu trącił się ze swą siostrą Tonią za zdrowie pana Gr~unlicha tudzież Permanedera, którzy w pewnym sensie też przecież należeli do rodziny...

Indyk nadziewany kasztanami,

rodzynkami i jabłkami zyskał ogólną pochwałę. Robiono porównanie z przeszłorocznym i okazało się, że równie dużego nie było od bardzo dawna. Podano do niego smażone kartofle, dwa rodzaje

jarzyn oraz kompotów, krążące zaś dokoła salatory były tak pełne, jak gdyby zawierały nie dodatek i przyprawę, lecz posiłek, którym wszyscy mogliby się nasycić. Pito stare czerwone wino z firmy Mollendorpf.

Mały Jan siedział pomiędzy
rodzicami i z trudem ładował do
żołądka kawałek nadziewanej
piersi indyczej. Nie mógł już
dłużej dotrzymać kroku w
jedzeniu cioci Tyldzi, czuł się
zmęczony i nie bardzo zdrowy,
dumny był z tego, że siedzi przy
stole ze starszymi oraz że w
jego kunsztownie złożonej
serwetce również leżała taka
dobra maślana bułeczka z makiem,
a przy jego nakryciu tak samo
jak u starszych stały trzy
kieliszki, podczas gdy zazwyczaj
pijał z małego złotego kubka,
podarowanego mu przez
chrzestnego ojca, wuja

Krögera... Ale później, gdy wuj Justus zaczął rozlewać do najmniejszych kieliszków żółte jak oliwa greckie wino, gdy ukazały się bezy z lodami, czerwone, białe i brązowe, poprawił mu się apetyt. Pomimo że czuł przy tym nieznośny ból zębów, zjadł białą, potem połowę czerwonej, wreszcie musiał spróbować brązowej, napełnionej czekoladowymi lodami, chrupał przy tym wafle, maczał usta w słodkim winie i przysłuchiwał się stryjowi Chrystianowi, który zaczął coś opowiadać.

Mówił o wili w klubie, która była bardzo wesoła. – Boże kochany! – powiedział tonem, jakim zazwyczaj mówił o Johnny Thunderstormie. – Te łobuzy piły szwedzki poncz jak wodę!

–Fe – stwierdziła krótko konsulowa spuszcżając oczy.

Ale Chrystian nie zwrócił na to uwagi. Oczy jego zaczęły błędzić, a myśl i wspomnienia były w nim tak żywe, że przepływały przez zapadniętą twarz jak cienie.

–Czy kto z was wie – zapytał

–co się czuje, gdy wypije się za dużo szwedzkiego ponczu? Nie mówię o upiciu się, tylko o tym, co się dzieje następnego dnia, o skutkach... są one szczególne i ohydne... Tak, zarazem szczególne i ohydne.

–Dostateczny powód, by je dokładnie opisywać – rzekł senator.

–Assez, Chrystianie, nas to bynajmniej nie interesuje – rzekła konsulowa.

Ale nie dosłyszzał tego. To była już jego właściwość, że w podobnych momentach żadne perswazje doń nie trafiały. Milczał przez chwilę, potem nagle wydało się, jak gdyby musiał już wypowiedzieć to, co go nurtowało.

–Łazisz i czujesz się

niedobrze – powiedział, zwracając się ze zmarszczonym nosem do brata. – Ból głowy i rozstrój kiszek... no tak, to się zdarza i w innych wypadkach. Ale czujesz się brudny – i Chrystian z zupełnie wykrzywioną twarzą tarł sobie ręce – czujesz się brudny na całym ciele i nie umyty. Myjesz ręce, ale to nic nie pomaga, pozostają wilgotne i nie umyte, paznokcie są jakby zatłuszczone... Kąpiesz się, ale wszystko na nic, całe ciało wydaje ci się lepkie i nieczyste. Całe twoje ciało irytuje cię, drażni cię, sam sobie wydajesz się wstrętny... Znasz to, Tomaszu, znasz to?

–Tak, tak! – powiedział senator, jakby oganiając się ręką.

Ale z dziwnym brakiem taktu,

który ujawniał się u Chrystiana

z biegiem lat coraz mocniej, nie

pozwalając mu zauważyć, że to

opowiadanie wywierało na

wszystkich obecnych przykre

wrażenie, że było nie na miejscu

w tym otoczeniu i tego wieczora

–opisywał on w dalszym ciągu nieprzyjemny stan po nadużyciu szwedzkiego ponczu, dopóki nie

zdawało mu się, że go dostatecznie scharakteryzował, po czym z wolna milkł.

Zanim podano masło i sery, konsulowa wypowiedziała jeszcze jedną krótką mowę do swych najbliższych. – Jeśli nie wszystko – mówiła – w tym roku tak się układało, jakbyśmy sobie krótkowzrocznie i nierozsądnie życzyli, to jednak zawsze jeszcze pozostaje tyle widomego błogosławieństwa, że serca nasze powinny być przepełnione wdzięcznością. Właśnie owe następujące po sobie kolejno okresy szczęścia i ciężkich prób dowodzą, że Bóg nie odwrócił się od rodziny, lecz że kieruje jej losami według głębokich zamierzeń, których nie wolno nam zgłębiać. A teraz z sercem pełnym nadziei wypijmy za pomyślność rodziny, za jej przyszłość, ową przyszłość, która nadejdzie wtedy, gdy starzy i starsi spośród obecnych tutaj od dawna spoczywać będą w chłodnej ziemi... za dzieci, do których właściwie należy dzisiejsze święto...

Ponieważ zaś nie było już córeczki dyrektora Weinschenka, mały Jan musiał sam jeden obejść cały stół i podczas gdy starsi przepijali wzajemnie do siebie, trącić się ze wszystkimi, począwszy od babci, a skończywszy na pannie Severin. Gdy podszedł do ojca, senator, zbliżywszy swój kielich do kieliszka dziecka, łagodnie podniósł w górę brodę Hanna, by spojrzeć mu w oczy... Nie spotkał jego wzroku, gdyż długie, ciemnobrązowe rzęsy małego opuściły się nisko, nisko, aż na niebieskie cienie pod jego oczami.

Ale Teresa Weichbrodt ujęła oburącz jego głowę, pocałowała go w oba policzki i rzekła tak serdecznym tonem, że Pan Bóg nie mógłby jej się oprzeć: – Bądź szczęśliwy, drogie dziacko!

W godzinę później Hanno leżał w swym łóżku, umieszczonym obecnie w pokoju, do którego wchodziło się z korytarza drugiego piętra i który z lewej strony przylegał do garderoby senatora. Leżał na wznak ze względu na żołądek, który dotąd nie pogodził się z tym wszystkim, co musiał zmieścić tego wieczora, i podnieconymi oczyma patrzył na poczciwą Idę, która już w nocnym kaftanie wyszła ze swego pokoju ze szklanką wody, potrząsając nią w powietrzu. Szybko wypił rozpuszczoną sodę, skrzywił się i opadł z powrotem.

–Zdaje się, że będę musiał wymiotować, Ido.

–Ej, nie, Januchna. Tylko leżeć spokojnie na wznak... A widzisz? A kto dawał ci znaki? A kto nie chciał słuchać? Synuchna...

–Tak, może przejdzie... Kiedy przyniosą rzeczy?

–Jutro rano, synuchna.

–Niech je tutaj wniosą! Żebym je zaraz miał!

–Dobrze, dobrze, Januchna,

ale trzeba się przespać. – Pocałowała go, zgasiła światło i poszła.

Został sam i poddając się dobroczynnemu działaniu sody znów ujrzał przed sobą blask przestronnej sali. Zobaczył swój teatr, fisharmonię, książkę o mitologii i skądś z dala usłyszał chłopców śpiewających:

„Raduj się, Jerozolimie”. Wszystko migotało. W głowie szumiała lekka gorączka, a ucisk przepełnionego żołądka sprawiał, że trochę niespokojne serce biło wolno, mocno i nierówno. Nie czując się zbyt dobrze, długo tak leżał zmęczony, pełen niepokoju, podniecenia i szczęścia i nie mógł zasnąć.

Nazajutrz miała się odbyć trzecia wilia, gwiazdka u Teresy Weichbrodt, i cieszył się z tego jak z zabawnego przedstawienia. Teresa Weichbrodt w przeszłym roku odstąpiła komuś swoją pensję i obecnie madame Kethelsen mieszkała na piętrze, a ona, zupełnie sama, zajmowała parter małego domku na M~uhlenbrink. Dolegliwości jej drobnego organizmu powiększyły się z latami; z chrześcijańską gotowością i pokorą Terenia Weichbrodt pojęła, że zbliża się jej koniec. Dlatego też od kilku już lat uważała każde Boże Narodzenie za ostatnie swoje święta i starała się nadać uroczystości urządzonej w swych małych, okropnie przegrzanych pokojach tyle świetności, na ile tylko pozwalały jej ograniczone środki. Ponieważ nie mogła wiele kupować, rozdarowywała co roku część swego skromnego mienia i układała pod choinką wszystko, bez czego mogła się obejść: figurki, przyciski, poduszeczki do szpilek, szklane wazony i części swojej biblioteki – stare książki w oprawach dziwnego formatu: „Poufny dziennik badacza własnego ja”, „Poematy alemańskie” Hebla, „Przypowiadki” Krummachera... Hanno posiadał już od niej stare wydanie „Pens~ees de Blaise Pascal”, tak maleńkie, że bez szkła powiększającego nie można go było czytać.

Przysmak Teteni, chłodny poncz, lał się strumieniami, a przyrządzone przez nią pierniczki z imbirem były niezwykle smaczne. Ale dzięki niesłychanemu przejęciu, z jakim panna Weichbrodt przystępowała co rok do owej ostatniej wili, wieczór ów nigdy nie obszedł się bez jakiegoś wydarzenia, jakiejś małej katastrofy, pobudzającej do śmiechu gości i potęgującej ciche zdenerwowanie gospodyni. To przewrócił się dzbanek z ponczem i oblał wszystko czerwonym, słodkim, mocnym płynem... Albo przystrojone drzewko spadło z drewnianej podstawy właśnie w chwili, gdy przestępowano próg pokoju... Zасыpiając Hanno miał przed oczami wypadek z przeszłego roku: było to tuż przed rozdaniem podarków. Teresa Weichbrodt odczytywała rozdział o Bożym Narodzeniu z takim przejęciem, że wszystkie samogłoski pozmieniały miejsca, a następnie cofnęła się do drzwi, by stąd wypowiedzieć krótką przemowę. Stała na progu, maleńka, garbata, trzymając swe stare ręce złożone na dziecinnej piersi, zielone jedwabne wstążeczki czepka opadały na kruche ramiona, a nad jej głową, we drzwiach, zawieszony był transparent opleciony gałązkami choiny:

„Chwała Panu na wysokościach!” I Tetenia mówiła o dobroci Pana Boga, wspominała, że jest to ostatnia jej wilia, wreszcie zakończyła, wzywając wszystkich do radości słowami apostoła, przy czym cała jej drobna postać zadrżała od stóp do głów, tak bardzo przejęła się tym wezwaniem. – Radujcie się! – powiedziała przechylając głowę na bok i mocno nią potrząsając.

–Powiadam wam: radujcie się! – Ale w tej samej chwili cały transparent nad jej głową stanął w ogniu i spłonął z hukiem i trzaskiem, tak że panna Weichbrodt z lekkim okrzykiem przestachu i z nadspodziewaną i malowniczą zwinnością musiała jednym skokiem umknąć przed opadającym na nią deszczem iskier...

Hanno przypomniał sobie ten skok starej panny i przejęty, podniecony i nerwowo rozbawiony, przez chwilę cicho chichotał tłumiąc śmiech w poduszce.

Rozdział dziewiąty

Pani Permaneder szła przez Breitenstrasse, szła pośpiesznym krokiem. Ruchy jej znamionował jakiś brak opanowania, a w sposobie trzymania ramion i głowy zaledwie znać było ową majestatyczną godność, cechującą zazwyczaj jej postawę na ulicy. Strapiona, gnana najwyższym pośpiechem, zdołała zachować zaledwie małą cząstkę owej godności, podobnie jak pobity król gromadzi przy sobie resztki swej armii, by rzucić się z nimi do ucieczki...

Ach, nie wyglądała dobrze! Jej górna warga, owa nieco wysunięta i sklepiona górna warga, która niegdyś tak zdobiła jej twarz, teraz drżała, oczy rozszerzone były z lęku i mrużyły się z egzaltacją, jak gdyby wybiegając naprzód wprost przed siebie... Spod kapturka widać było fryzurę w nieładzie, kolor jej twarzy przybrał ów matowożółty odcień, występujący wówczas, gdy pogarszał się stan jej żołądka.

Tak, w owych czasach źle było z jej żołądkiem; zebrana rodzina mogła co czwartek obserwować pogorszenie. Choćby się nie wiem jak chciało ominąć tę rafę podwodną, zawsze trzeba się było natknąć wreszcie na proces Hugona Weinschenka; pani Permaneder sama nieodparcie tak kierowała rozmowę, a potem wzywając Boga i obecnych na świadków, zapytywała, jak to jest możliwe, by prokurator Maurycy Hagenstr~om mógł spokojnie spać w nocy! Nie pojmowała tego, nigdy tego nie pojmie... a rozdrażnienie jej potęgowało się z każdym słowem.

–Dziękuję, nic nie będę jadła

–mówiła i odsuwała od siebie talerze, a podnosząc ramiona i odrzucając w tył głowę zasklepiła się w swym

rozgoryczeniu, piła jedynie zimne bawarskie piwo, do którego przyzwyczała się była w czasach swego monachijskiego małżeństwa, wlewała je do pustego podenerwowanego żołądka, co mściło się na niej okrutnie. Pod koniec posiłku musiała wstawać, schodzić do ogrodu lub na podwórze i tam, wsparta na ramieniu Idy Jungmann lub Frydzy Severin, przechodziła najstraszniejsze ataki mdłości. Żołądek jej pozbywał się swej zawartości, a potem nadal kurczył się boleśnie i w tym stanie skurczu pozostawała długie chwile; nie mogąc nic więcej oddać, krztusiła się i męczyła...

Było to około trzeciej po południu, pewnego dżdżystego i wietrznego dnia styczniowego. Gdy pani Permaneder doszła do rogu Fischergrube, skręciła i pośpieszyła stromą ulicą w dół, do domu brata. Zapukawszy śpiesznie, weszła z przedsionka do kantoru, spojrzała poprzez biurka na miejsce senatora pod oknem i skinęła głową tak błagalnie, że Tomasz Buddenbrook niezwłocznie odłożył pióro i podszedł do niej.

–No cóż? – zapytał, podnosząc brew...

–Na chwilę, Tomaszu... coś pilnego... nie cierpiącego zwłoki...

Otworzył obite skórą drzwi do swego prywatnego gabinetu, zamknął je, gdy weszli, i spojrzał pytająco na siostrę.

–Tom – rzekła niepewnym głosem, zaciskając ręce, które trzymała w mufce – musisz to ofiarować... tymczasowo wyłożyć... ja cię proszę, musisz dać kaucję... Nie mamy... Skądbyśmy teraz wzięli dwadzieścia pięć tysięcy marek?... Odbierzesz je w całości... ach, pewnie aż za prędko... rozumiesz... stało na tym, że Hagenstr~om zażądał albo kaucji, albo natychmiastowego aresztowania. A Weinschenk daje ci słowo honoru, że zostanie na miejscu...

–Więc doszło aż do tego – rzekł senator, kiwając głową.

–Tak, do tego doprowadzili ci nędznicy, te łotry!... – i ze szlochem bezsilnego gniewu pani Permaneder opadła na stojący obok, ceratą obity fotel. – I doprowadzą dalej, Tom, doprowadzą do końca...

–Toni – powiedział i

siadając bokiem do mahoniowego biurka, założył nogę na nogę i oparł głowę na rękę... – Powiedz szczerze, czy wierzysz jeszcze w jego niewinność?

Zaszlochała parę razy i odpowiedziała cicho i z rozpaczą:

–Ach, nie. Tom... Jakżebym mogła? Właśnie ja, która tak wiele złego w życiu doznałam! Od samego początku nie wierzyłam, choć tak bardzo chciałam. To robi życie, że tak strasznie trudno jest wierzyć w czyjąkolwiek niewinność... Ach, nie, mnie już od dawna męczyły wątpliwości co do jego dobrej wiary, a nawet sama Eryka... ona po prostu straciła rozum przez niego... wyznała mi to z płaczem... straciła rozum przez jego zachowanie się w domu. Milczałyśmy oczywiście... Stawał się coraz bardziej szorstki... I coraz surowiej domagał się, żeby Eryka była wesoła i rozpraszała jego troski, i tłukł naczynia, kiedy była poważna. Nie wyobrażasz sobie wcale, co to było, kiedy zamykał się późnym wieczorem i godzinami przesiadywał nad aktami... a gdy się zapukało, to słychać było, jak zrywał się i krzyczał: „Kto tam! co tam!”...

Umilkła.

–Ale przypuśćmy, że jest winien! Przypuśćmy, że zawinił!

–zaczęła na nowo pani

Permaneder, a głos jej nabrzmiał łzami. – Przecież nie dla własnej korzyści, ale dla Towarzystwa, a zresztą... Boże drogi, przecież można mieć pewne względy w życiu, Tom! Skoro wszedł do naszej rodziny... należy do nas... Przecież nikogo z nas nie można wsadzić do więzienia, na miłość boską! ...

Wzruszył ramionami.

–Wzruszasz ramionami. Tom...

Więc zgadzasz się na to, chcesz ścierpieć, żeby ta hołota ośmieliła się doprowadzić to do skutku! Przecież trzeba coś zrobić! On nie może być skazany!... Przecież jesteś prawą ręką burmistrza... Boże mój, czyż senat nie mógłby ułaskawić go natychmiast?... Powiem ci coś... przed chwilą, zanim

przysłałam do ciebie, chciałam pójść do Cremera i błagać go na wszystkie sposoby, żeby interweniował, zajął się tą sprawą... Jest przecież naczelnikiem policji...

–Och, dziecko, co za

niedorzeczności.

–Niedorzeczności, Tom? A Eryka?! A dziecko? – rzekła i błagalnie podniosła ku niemu mufkę, w której trzymała obie dłonie. Potem umilkła na chwilę i opuściła ręce, usta jej rozszerzyły się, broda ściągnęła się i zaczęła drzeć, a gdy spod opuszczonych rzęs popłynęły dwie duże łzy, dodała:

–A ja...?

–Och, Toniu, odwagi! – powiedział senator, a wzruszony i przejęty jej bezradnością, przysunął się do niej i zaczął pocieszająco gładzić jej włosy.

–Jeszcze nie wszystko stracone, przecież jeszcze go nie skazali. Przecież wszystko może się dobrze skończyć. Teraz dam kaucję, oczywiście nie odmawiam. A zresztą. Breslauer jest taki sprytny... – Płacząc potrząsnęła głową.

–Nie, Tom, nie skończy się dobrze, nie wierzę w to. Wydadzą na niego wyrok, wsadzą go do więzienia, a potem nadejdą ciężkie czasy dla Eryki i dla dziecka, i dla mnie. Jej posag już nie istnieje, wszystko poszło na wyprawę, meble, obrazy... a przy sprzedaży osiąga się najwyżej ćwierć wartości... A pensję zawsze się zjadało... Weinschenk nic nie odkładał. Znowu zamieszkamy u matki, jeśli się na to zgodzi, dopóki go nie uwolnią... a potem będzie chyba jeszcze gorzej, bo i dokąd się udamy?... Będziemy siedzieli na kamieniach – rzekła szlochając.

–Na kamieniach?

–No tak, to taki zwrot... obrazowy... Ach, nie, to się nie skończy dobrze. Za dużo się na mnie zważyło... nie wiem, czym na to zasłużyłam, ale nie mogę już mieć nadziei. Teraz Erykę spotyka to, co mnie spotkało z Gr~unlichem i Permanederem... Ale teraz sam widzisz, sam możesz osądzić z bliska, jak się to dzieje, jak to przychodzi, jak spada na człowieka! Co tu można zrobić? Tom, proszę cię, co tu można zrobić – powtórzyła niepocieszona i pytająco spojrzała na senatora wielkimi oczami pełnymi łez. – Wszystko, do czego się wzięłam, rozbijało się i obracało się ku złemu... A miałam takie dobre intencje. Bóg to widzi!... Zawsze tak serdecznie pragnęłam doprowadzić do czegoś w życiu i przyczynić się do splendoru... Teraz i to także się rozpada. Tak się to kończy... Ostatni cios...

I oparta o jego ramię, którym ją łagodnie objął, płakała nad swym zmarnowanym życiem, w którym zgasły już ostatnie nadzieje.

W tydzień później dyrektor Hugo Weinschenk skazany został na karę trzech i pół lat więzienia i natychmiast aresztowany.

Na posiedzeniu sądu, na którym miały być ogłoszone oba plaidoyers, napływ ludzi był bardzo wielki, a adwokat, doktor Breslauer z Berlina, miał taką mowę, jakiej dotąd nigdy jeszcze nie

słyszano. Makler Zygmunt Gosch przez całe tygodnie z zachwytem powiadał o tej ironii, tym patosie, tym wzruszeniu, Chrystian Buddenbrook zaś, który był również na rozprawie, stanął w klubie za stołem, położył przed sobą stos gazet jako akta i stworzył doskonałą kopię obrońcy. Poza tym oznajmił w domu, że prawo jest najpiękniejszym zawodem, ba, że byłby to zawód stworzony dla niego... Sam prokurator Hagenström, który był przecież pięknoduchem, oświadczył prywatnie, że mowa Breslauera sprawiła mu prawdziwą przyjemność. Talent słynnego adwokata nie przeszkodził jednak temu, by miejscowi adwokaci poklepalili go po plecach i oznajmili mu dobrodusznie, że nie pozwolą sobie zamydlić oczu...

Potem, po ukończeniu sprzedaży, jakich należało koniecznie dokonać po aresztowaniu dyrektora, powoli zapomniano w mieście o Hugonie Weinschenku. Ale panie Buddenbrook z Breitenstrasse przyznały się w czwartek w rodzinnym kółku, że jak tylko po raz pierwszy ujrzały tego człowieka, poznały po jego oczach, że nie wszystko tam jest w porządku, że charakter jego musi być pełen skaz i że on źle skończy. Względy, których obecnie żałowały, kazały im wówczas przemilczeć to smutne przeświadczenie.

Część dziewiąta

Rozdział pierwszy

Z obu panami, starym doktorem Grabowem i młodym doktorem Langhalsem, należącym do rodziny Langhalsów, który od roku praktykował w mieście, senator Buddenbrook przeszedł z sypialni konsulowej do pokoju śniadaniowego i zamknął za sobą drzwi.

–Czy mogę panów prosić... na chwilę – powiedział i zaprowadził ich o piętro wyżej, przez korytarz i salę kolumnową do pokoju pejzażowego, w którym z powodu wilgotnego i zimnego jesiennego wiatru było już napalone. – Pojmują panowie mój niepokój... proszę, spocznicie. Proszę mnie uspokoić, jeśli to możliwe!

–Co znowu, drogi panie senatorze – odrzekł doktor Grabow; z brodą ukrytą w krawacie rozparł się wygodnie, obiema rękami przyciskając do żołądka kapelusz, podczas gdy doktor Langhals, tęgi brunet ze spiczastą brodą, sterczącymi włosami, ładnymi oczami i wyrazem twarzy zdradzającym próżność, postawił cylinder obok siebie na dywanie i zaczął oglądać swe niezwykle małe, czarno owłosione ręce... – Tymczasem bezwarunkowo nie ma powodu do poważnego zaniepokojenia, proszę pana... pacjentka o takiej odporności, jak nasza szanowna pani konsulowa... jako stary doradca znam jej odporność. Jak na te lata naprawdę zadziwiająca... powiadam panu.

–Tak, właśnie, w tych

latach... – rzekł niespokojnie senator i zaczął kręcić długi koniec wąsa.

–Nie mówię oczywiście, że droga matka pańska jutro już będzie mogła iść na spacer – mówił łagodnie doktor Grabow. – Sam pan chyba nie odniósł tego wrażenia. Nie można zaprzeczyć, że w ciągu dwudziestu czterech godzin katar przybrał niepożądaną formę. Wczorajsze dreszcze wcale mi się nie podobały, a dziś istotnie wystąpiło lekkie klucie w boku i przyśpieszony oddech. Jest też lekka gorączka... o, nieznaczna, ale zawsze gorączka. Słowem, kochany senatorze, muszę

skonstatować jako fakt lekkie zajęcie płuca...

–Więc zapalenie płuc? – zapytał senator spoglądając to na jednego, to na drugiego.

–Tak jest, pneumonia – rzekł doktor Langhals z poważnym i poprawnym ukłonem.

–Tak, lekkie zapalenie prawego płuca – odrzekł domowy lekarz – które musimy bardzo troskliwie zlokalizować...

–Więc jednak są powody do poważnych obaw? – Senator umilkł i nie spuszczał oka z mówiącego.

–Obawa? O... musimy, jak powiedziałem, troszczyć się o to, by choroba się nie rozszerzyła, by złagodzić kaszel, przeciąć gorączkę... chinina zrobi już swoje... I jeszcze coś, kochany senatorze... nie przerażać się poszczególnymi objawami, dobrze? Gdyby na przykład duszność się powiększyła albo wystąpiła w nocy maligna, albo jutro rano ukazały się plwociny... wie pan, takie czerwono-brunatne plwociny, w których jest trochę krwi... Wszystko to jest zupełnie logiczne, należące do rzeczy, normalne. Proszę, by pan również przygotował naszą drogą, szanowną panią Permaneder, która z takim oddaniem pielęgnuje chorą... ~a propos, jak się ona czuje? Zupełnie zapomniałem zapytać, jak było w ostatnich dniach z żołądkiem...

–Jak zwykle. Nie wiem nic nowego. Troska o jej zdrowie schodzi teraz oczywiście na drugi plan...

–Rozumie się. Poza tym... przyszło mi coś na myśl. Siostra pana potrzebuje spokoju, zwłaszcza w nocy, a panna Severin sama nie podołałaby... gdyby tak wziąć pielęgniarkę, kochany senatorze? Mamy przecie nasze dobre szarytki katolickie, którym okazywał pan zawsze tyle przychylności... Matka przełożona byłaby rada, gdyby mogła czymś przysłużyć się panu.

–Więc to jest potrzebne?

–Ja tylko proponuję. To takie przyjemne... Siostry są nieocenione. Swym doświadczeniem i przytomnością umysłu tak uspokajająco oddziałują na chorego... właśnie w tych chorobach, z którymi, jak mówię, związane są rozmaite przykre objawy... Więc powtarzam: zachować zimną krew, prawda, kochany senatorze? Poza tym zobaczmy... Dziś wieczorem znowu porozmawiamy...

–Z całą pewnością – rzekł doktor Langhals, wziął cylinder i podniósł się jednocześnie ze starszym kolegą. Ale senator nie wstał, nie skończył jeszcze, chciał zadać jeszcze jedno pytanie, jeszcze wy badać...

–Panowie – powiedział – jeszcze słówko... Mój brat Chrystian jest nerwowy, krótko mówiąc: mało odporny... Czy radzicie mi, panowie, zawiadomić go o chorobie matki? Może... napomknąć mu o powrocie?

–Brata pańskiego nie ma w mieście?

–Nie, chwilowo jest w

Hamburgu. O ile mi wiadomo, udał się tam za interesami...

Doktor Grabow spojrzal na kolege; potem ze smiechem potrzasnal ruka senatora, mowiac: – Wiecej zostawmy go spokojnie przy interesach. Po coz go niepotrzebnie przerazac? Gdyby zaszedl w stanie chorej zwrot wymagajacy jego obecności, powiedzmy dla uspokojenia pacjentki, by poprawic jej samopoczucie... no, to zawsze jeszcze bedzie dosc czasu... zawsze bedzie dosc czasu.

Przeszedl z powrotem przez sale kolumnowa i korytarz zatrzymali sie przez chwile na schodach, rozmawiajac o czym innym, o polityce, o krytycznych momentach i przebiegu zaledwie ukozczonej wojny...

–A zatem nadejda dobre czasy, panie senatorze? Pieniadze w panstwie... i jak kraj dlugi i szeroki – nowe ustroje.

I senator potwierdzil czesciowo te przypuszczenia. Stwierdzil, ze wybuch wojny wzmogl w znacznym stopniu przywóz zboza z Rosji, i wspomnial o rozmiarach, jakie osiagnal import owsa na dostawy dla wojska. Zyski jednak rozlozily sie bardzo nierowno.

Lekarze poszli, a senator wrócił jeszcze na chwile do pokoju chorej. Poczal rozmyslac nad tym, co powiedzial Grabow. Bylo w tym tak wiele rzeczy nie dopowiedzianych... Czulo sie, ze doktor nie chcial powiedziec nic stanowczego. Jedynym wyraźnym slowem byla diagnoza: „zapalenie pluc”, a wyraz ow nie stawal sie bardziej pocieszajacy przez to, ze doktor Langhals przetlumaczył go na jezyk nauki. Zapalenie pluc w wieku konsulowej... Juz samo to, ze przychodzili az dwaj lekarze, stwarzalo pozory czegos niepokojacego. Grabow zaaranzowal to zupełnie mimochodem, prawie niedostrzegalnie. Zamierzal on w krótkim czasie przestac praktykowac, jak mowil, ze zas mlody Langhals obejmie po nim praktyke, tedy on, Grabow, lubi od czasu do czasu juz teraz go wciagnac i wprowadzac...

Gdy senator wszedl do na pol ciemnej sypialni, wygladal pogodnie i z zachowania jego przebijala energia. Byl on tak przyzwyczajony do ukrywania troski i zmeczenia pod pozorami spokojnej pewności siebie, ze gdy otwieral drzwi, wystarczylo nieznacznego wysilku woli, by przybrac ow maskę.

Pani Permaneder siedziala przy lozku, ktorego kotary byly odsloniete, trzymajac ruka matki; konsulowa, wsparta na poduszkach, zwróčila glowe ku wchodzacemu synowi i spojrzala na niego badawczo swymi jasnoniebieskimi oczami. Bylo to spojrzenie pelne opanowanego spokoju i napiętej, neodpartej przenikliwosci, poniewaz zas skierowane bylo z ukosa, mialo w sobie cos ze spojrzenia szpiega. Poza bladoscia cery, przez ktora przebijalo sie na policzki kilka plam goraczkowej czerwieni, twarz jej nie zdradzala bynajmniej ani zmeczenia, ani oslabienia. Stara dama miala uwage bacznie zwróconą na wszystko, co dotyczyło choroby, bardziej niz cale otoczenie, gdyz badz co badz jej to dotyczyło najblizej. Nie ufala tej chorobie, wcale nie miala zamiaru dac za wygraną i zrezygnowac z walki...

–Co oni powiedzieli, Tomaszu?

–zapytala tak zywym i pewnym glosem, ze natychmiast chwycil ja silny kaszel, który na próżno starala sie powstrzymac zamykajac usta, po czym przycisnela ruka do prawego boku.

Gdy atak przeszedł, senator odrzekł gładząc jej rękę:

–Powiedzieli, że nasza kochana matka za parę dni podniesie się z łóżka. To, że tymczasem jeszcze nie wolno ci wstać, pochodzi, widzisz, stąd, że ten głupi kaszel oczywiście osłabił nieco płuca... nie jest to właściwie zapalenie płuc – rzekł widząc, że spojrzenie jej stało się jeszcze bardziej przenikliwe – chociaż nie byłoby w tym jeszcze nic strasznego, ach, bywają gorsze rzeczy. Słowem, jedno płuco jest trochę podrażnione, jak obaj mówią, i możliwe, że mają rację... Gdzie jest panna Severin?

–Poszła do apteki – rzekła pani Permaneder.

–No, patrzcie, znowu jest w aptece, ty zaś, Toni, wyglądasz, jak gdybyś miała lada chwila zasnąć. Nie, tak nie może trwać dłużej. Choćby to miało być tylko na parę dni... Musimy tu mieć pielęgniarkę, nie zdaje wam się? Czekaście, zapytam przełożonej szarytek, czy jest tam obecnie która wolna...

–Tomaszu – rzekła konsulowa ostrożnym głosem, by nie wywołać znów napadu kaszlu – wierzaj mi, że tym ciągłym protegowaniem sióstr katolickich, z pominięciem protestanckich, budzisz powszechne zgorszenie. Okazałeś tamtym wiele dobrego, a dla tych nic nie robisz. Zapewniam cię, że pastor Pringsheim uskarżał się przede mną ostatnio bardzo wyraźnie...

–Być może, ale nic tym nie wskóra. Jestem przekonany, że szarytki są bardziej oddane, bardziej zdolne do poświęceń aniżeli siostry protestanckie. Do tych protestanckich nie mam zaufania. Każda myśli tylko o tym, by się wydać za męża przy pierwszej okazji... Krótko mówiąc, mają one wzrok skierowany jedynie ku sprawom ziemskim, są egoistyczne, pospolite... Szarytki są szczerze, z całą pewnością są one bliższe nieba. I właśnie dlatego, że mają względem mnie dług wdzięczności, są tym bardziej pożądane. Jakież usługi oddała nam siostra Leandra, gdy Hanno przechodził konwulsje przy ząbkowaniu! Mam nadzieję, że jest wolna...

I siostra Leandra przyszła. Cichutko odłożyła swoją torebkę, zasłonę i szary czepiec, który nosiła na białym, i pełna łagodności i życzliwości przystąpiła do pracy, podczas gdy paciorki wiszącego u jej paska różańca cicho klekotały. Dzień i noc pielęgnowała wymagającą i nie zawsze cierpliwą chorą, a potem milcząco i prawie wstydząc się ludzkiej słabości, jakiej podlegała, odchodziła, zastąpiona przez inną z sióstr, by przespać się nieco i znów powrócić.

Konsulowa bowiem wymagała nieustannych usług. Im bardziej pogarszał się jej stan, tym więcej wszystkie jej myśli, całe zainteresowanie zwracało się ku chorobie, którą obserwowała z lękiem i widoczną, naiwną nienawiścią. Niegdyś światowa dama, pełna wrodzonego i niezmiennego przywiązania do przyjemności życia i w ogóle do życia, ostatnie lata poświęciła pobożności i dobroczynności... dlaczego? Może nie tyle z pietyzmu względem zmarłego męża, ile raczej z nieświadomej potrzeby, by przebłagać niebo za swoją mocną żywotność, a jednocześnie, by uprosić je, mimo niezmiennego przywiązania do życia, o zesłanie jej lekkiej śmierci... Nie mogła jednak umrzeć tak łatwo. Pomimo wielu tak bolesnych przejść postać jej nie przygarbiła się, a spojrzenie pozostało pogodne. Lubiła dobrze zjeść, ubrać się wytwornie i strojnie, przykre sprawy, jakie działy się w pobliżu niej, starała się zatrzeć lub ominąć i z satysfakcją przyjmowała na siebie część owego poważania, jakim powszechnie się cieszył jej starszy syn. Choroba ta, owo zapalenie płuc, wdarła się do jej zdrowego organizmu nie przygotowanego żadną uprzednią pracą duchową, która by

ułatwiła jej poddanie się dziełu zniszczenia – ową podkopującą pracą cierpienia, która powoli i wśród bólów oddała nas od życia i choćby od warunków, w jakich nas zastała, budząc słodką tęsknotę za końcem, za odmiennymi warunkami, za spoczynkiem... Nie, stara konsulowa czuła dobrze, że mimo chrześcijańskiego trybu życia ostatnich lat, właściwie nie jest przygotowana do śmierci; i nieokreślona myśl, że jeśli to ma być jej ostatnia choroba, to choroba owa musi sama w ostatniej godzinie i z okropnym pośpiechem złamać cierpieniem jej opór i sprowadzić poddanie się – myśl ta nappełniała ją trwogą.

Dużo się modliła, ale częściej jeszcze, gdy tylko była przytomna, badała swój stan, mierzyła temperaturę, zwalczała kaszel... Puls jednak był niedobry, gorączka, jeśli chwilami spadała, tym wyżej się potem wznosiła, przyprowadzając chorą o dreszcze, to znów o gorączkową malignę, kaszel, powodujący bóle i krwawe plwociny, przybierał na sile, a duszność przejmowała ją trwogą... Wszystko to pochodziło stąd, że teraz już nie tylko płat prawego płuca ogarnięty był chorobą, lecz całe prawe płuco, a nawet, jeśli można było wierzyć licznym symptomom, już i w lewym zauważało się ślady procesu, który doktor Langhals, oglądając swoje paznokcie, nazwał „hepatyzacją”, a co do którego doktor Grabow wolał nie wypowiadać się... gorączka nękała ją bez przerwy. Żołądek zaczynał odmawiać posłuszeństwa. Wolno i niepowstrzymanie postępował upadek sił.

Śledziła swój stan gorliwie,
przyjmowała, o ile tylko mogła,
podawane jej posiłki, baczniej
niż pielęgniarka pilnowała
godzin zażywania lekarstw i tak
była tym wszystkim przejęta, że
rozmawiała już prawie wyłącznie
z lekarzami, a przynajmniej
tylko w rozmowie z nimi
okazywała szczere
zainteresowanie. Gości, którym
początkowo pozwolono składać
wizyty – przyjaciółki,
uczestniczki jerozolimskich
wieczorów, stare panie z

towarzystwa i małżonki pastorów

–przyjmowała apatycznie, z roztargnioną serdecznością i prędko się zegnała. Najbliższym przykra była owa obojętność, z jaką ich traktowała, wyglądało to na rodzaj lekceważenia wyrażającego: – Przecież nie możecie mi pomóc. – Nawet małego Jana, którego wpuszczono w jakiejś lepszej chwili, tylko przelotnie pogładziła po policzku i odwróciła się. Wyglądało to, jak gdyby chciała powiedzieć: – Dzieci, jesteście wszyscy bardzo mili, ale ja może umrę! „

Natomiast obu lekarzy witała z żywą i pełną zajęcia serdecznością, by następnie obszernie konferować z nimi...

Pewnego dnia zjawily się stare panie Gerhardt, potomkinie Pawła Gerhardta. Wracały od swych biednych, przyszły w mantylkach, w kapeluszach kształtu talerzy i z woreczkami na prowianty i nie można było nie wpuścić ich do chorej przyjaciółki. Zostawiono ją z nimi samą i Bóg jedynie wie, o czym jej mówiły siedząc przy łóżku. Gdy stamtąd wyszły, oczy ich i twarze były jeszcze bardziej rozjaśnione, łagodne i nieprzeniknione, konsulowa zaś leżała z takim samym wyrazem twarzy i oczu, zupełnie spokojna, spokojniejsza niż kiedykolwiek, oddech jej był wolny i najwidoczniej coraz bardziej traciła siły. Pani Permaneder, mruknawszy za odchodzącymi paniami Gerhardt jakieś dosadne słówko, posłała natychmiast po lekarzy i zaledwie obaj panowie zjawili się, w konsulowej zaszła najzupełniejsza, uderzająca zmiana. Ocknęła się, wpadła w podniecenie, prawie podniosła się na łóżku. Widok tych ludzi, tych dwu średnio wykształconych medyków, od razu wrócił ją ku ziemi. Wyciągnęła do nich obie ręce i zaczęła: – Witam panów. Sprawy przedstawiają się tak, że dziś, w ciągu dnia...

Ale już od dawna nie można było ukryć faktu, że zapalenie objęło i drugie płuco.

–Tak jest, drogi panie senatorze – rzekł doktor Grabow ująwszy Tomasza Buddenbrooka za obie ręce... – Nie mogliśmy temu zapobiec, jest obustronne zapalenie, a to zawsze jest niebezpieczne, pan to wie równie dobrze jak ja, nazywam rzeczy po imieniu... Czy pacjent ma dwadzieścia lat, czy osiemdziesiąt, bierzemy to zawsze poważnie i gdyby pan dzisiaj mnie zapytał, czy należy napisać do pana Chrystiana, czy może posłać mu mały telegram, to nie odradzałbym, bardzo bym się zastanawiał, czy powinienem powstrzymać pana... Jak mu się wiedzie w ogóle? Dowcipny człowiek, zawsze lubiłem go serdecznie... Na miłość boską, proszę nie wyciągać przesadnych wniosków z tego, co mówię, kochany senatorze! Nie ma mowy o bezpośrednim niebezpieczeństwie... ach, cóż znowu, głupiec ze nie, że wymówiłem to słowo. Ale w tych warunkach, sam pan wie, należy się zawsze liczyć z nieprzewidzianymi wypadkami... Jesteśmy nadzwyczajnie zadowoleni z szanownej matki pana jako pacjentki. Dzielnie nam pomaga, nie robi nam trudności... tak, tak, bez komplementów, pacjentka z niej nieporównana! A zatem proszę nie tracić nadziei, kochany panie senatorze, nie tracić nadziei! Zawsze być najlepszej myśli.

Ale nadchodzi chwila, kiedy nadzieje najbliższego otoczenia stają się czymś sztucznym i nieszczerym. W chorym następuje jakaś zmiana, w zachowaniu jego pojawia się coś, co jest obce temu człowiekowi, jakiego znaliśmy dawniej. Z ust jego wychodzą jakieś dziwne słowa, na które nie mamy odpowiedzi i które zarazem przecinają mu odwrót i zobowiązują go niejako wobec śmierci. I gdyby nawet był to ktoś najdroższy, nie możemy już po tym wszystkim pragnąć, by wstał i chodził. Gdyby jednak tak się stało, wzbudzałby wokoło grozę, jak ktoś, kto wy dostał się z trumny...

Zaczęły ukazywać się okropne oznaki końca, choć silną wolą podtrzymywane organy jeszcze pracowały. Ponieważ od chwili, kiedy konsulowa z powodu kataru położyła się do łóżka, upłynęło wiele tygodni, na ciele jej od długotrwałego leżenia utworzyły się rany, które nie chciały się goić i dokuczały coraz bardziej. Nie sypiała już, po pierwsze dlatego, że przeszkadzały jej bóle, kaszel i duszności, a następnie, że sama broniła się przed snem i wszelkimi siłami starała się podtrzymać stan czuwania. Tylko na krótkie chwile zanikała jej świadomość w gorączce; ale nawet będąc przytomną rozmawiała z dawno zmarłymi osobami. Pewnego razu o zmierzchu powiedziała nagle silnym, nieco trwożliwym, lecz serdecznym głosem: – Tak, mój drogi Jean, idę już. – I bezpośredniość tej odpowiedzi była tak ludzka, że wydawało się potem, iż słyszano głos zmarłego konsula, który ją wołał.

Przybył Chrystian; przyjechał z Hamburga, gdzie, jak mówił, miał do załatwienia interesy, zresztą krótko tylko przebywał w pokoju chorej; prędko wyszedł stamtąd, pocierając sobie czoło i mówiąc z błędnym wyrazem oczu:

–Jakie to straszne... Jakie to straszne... Ja już nie mogę.

Zjawił się również pastor Pringsheim, rzucił zimne spojrzenie na siostrę Leandrę i śpiewnym głosem pomodlił się przy łóżku konsulowej.

A potem nastąpiła krótka poprawa, ostatni błysk, obniżenie temperatury, złudny powrót sił, złagodzenie bólów, kilka słów pogodnych i pełnych nadziei, które otoczeniu wycisnęły łzy radości...

–Uratujemy ją, zobaczycie,

uratujemy ją mimo wszystko – powiedział Tomasz Buddenbrook. – Będzie z nami na Boże Narodzenie i nie pozwolimy, żeby się przy tym męczyła jak zwykle...

Ale już następnej nocy, zaledwie Gerda oraz jej małżonek położyli się, zostali wezwani przez panią Permaneder na Mengstrasse, ponieważ chora walczy ze śmiercią. Wiatr zaczął zimnym deszczem i miotał nim ze świstem o szyby.

Gdy senator wraz z żoną weszli do pokoju, oświetlonego płonącymi w dwu kandelabrach świecami, byli tam już obaj doktorzy. Sprowadzono również Chrystiana, który siedział teraz odwrócony tyłem do łóżka i ukrywał czoło w obu dłoniach. Oczekiwano brata chorej, konsula Justusa Krögera, po którego również posłano. Pani Permaneder i Eryka Weinschenk stały łkając cicho w nogach łóżka. Siostra Leandra oraz panna Severin nie miały już nic do roboty i smutno spoglądały w twarz umierającej.

Konsulowa leżała na wznak na kilku poduszkach, a obie jej dłonie, te piękne, poprzecinane matowobłękitnymi żyłkami dłonie, teraz tak wychudzone, gładziły kołdrę szybko i bezustannie, z drżącym pośpiechem. Głowa jej, w białym czepku nocnym, obracała się bez przerwy, przerażająco rytmicznie, to w jedną, to w drugą stronę. Jej usta, których wargi wydawały się ściągnięte na bok, otwierały się i zamykały chwytając z trudem powietrze, a zapadnięte oczy błędziły wokoło, jak gdyby szukając pomocy i zatrzymując się od czasu do czasu z wstrząsającym wyrazem zazdrości na obecnych, którzy byli ubrani i mogli oddychać, do których należało życie i którzy nie mogli jej dać

nic, prócz ofiary miłości, polegającej na wpatrywaniu się w ten smutny widok. A noc posuwała się nie przynosząc żadnej zmiany.

–Jak długo może to trwać? – zapytał cicho Tomasz Buddenbrook i pociągnął doktora Grabowa w głąb pokoju, podczas gdy doktor Langhals robił chorej jakiś zastrzyk. Podeszła też do nich pani Permaneder trzymając przy ustach chusteczkę.

–Nie wiadomo, kochany

senatorze – odpowiedział doktor Grabow. – Matka pana może za chwilę już wydać ostatnie tchnienie, a może też żyć jeszcze parę godzin... nie mogę panu nic powiedzieć. Mamy tu do czynienia z tak zwanym obrzękiem płuc... obrzękiem...

–Wiem – powiedziała pani Permaneder i kiwnęła głową w chusteczkę, podczas gdy łzy spływały po jej policzkach. – To się często zdarza przy zapaleniach płuc... W

pęcherzykach płuc zbiera się wtedy taka wodnista ciecz, a gdy następuje pogorszenie, to nie można już oddychać... Tak, wiem...

Senator złożony ręce spojrzał w stronę łóżka.

–Jak ona strasznie musi cierpieć! – szepnął.

–Nie – powiedział również cicho, ale stanowczo doktor Grabow, a na jego długiej, łagodnej twarzy wystąpiły głębokie bruzdy... – To złudzenie, wierzaj mi, drogi przyjacielu, to złudzenie! Świadomość jest bardzo przyćmiona... To, co pan widzi, są to po większej części odruchy... Proszę mi wierzyć...

–Dałby Bóg, żeby tak było – odrzekł Tomasz. Ale dziecko nawet mogłoby poznać po oczach konsulowej, że jest zupełnie przytomna i wszystko czuje...

Usiedli znowu... Nadszedł konsul Kröger i, zgarbiony nad gałką swej laski, siedział z zaczerwienionymi oczami przy łóżku.

Ruchy chorej stawały się coraz gwałtowniejsze. Wydawało się, że straszliwy niepokój, niewypowiedziany lęk i męka, nieodparte uczucie opuszczenia i bezgranicznej bezradności wypełniają od stóp do głów skazane na śmierć ciało. Jej oczy, te biedne, błagalne, skarżące się i szukające oczu, przy ruchach głowy zamykały się niekiedy z łamiącym serce wyrazem lub rozszerzały się tak bardzo, że widać było wyraźnie krwawe niteczki gałki ocznej. A omdlenie nie następowało.

Wkrótce po trzeciej Chrystian wstał.

–Ja już nie mogę – powiedział i opierając się o stojące po drodze sprzęty wyszedł utykając.

Eryka Weinschenk, jak również panna Severin, zapewne ukołysane jednostajnymi jękami, zasnęły na swych krzesłach i były całe zaróżowione od snu.

O czwartej stan chorej znowu się pogorszył. Podparto ją i ocierano pot z czoła. Groziła jej zupełna utrata tchu i lęk się wzmógł. – Coś na sen! – wyjąkała. – Środek!... Ale lekarze byli dalecy od tego, by dać coś na sen.

Nagle znowu zaczęła odpowiadać na coś, czego inni nie słyszeli, jak to już raz czyniła. – Tak, Jean, już niedługo...

–I zaraz potem: – Tak, kochana Klaro, idę!...

A potem walka rozpoczęła się na nowo... Byłaż to jeszcze walka ze śmiercią? Nie, walczyła teraz z życiem o śmierć. – Ja tak chcę... – dyszała... – nie mogę... Coś na sen!... Panowie, litości! coś na sen!...

Ten okrzyk: „litości” sprawił, że pani Permaneder głośno zapłakała, a Tomasz jęknął cicho, chwyciwszy się na chwilę oburącz za głowę. Ale lekarze znali swój obowiązek. Szło bezwzględnie o to, by utrzymać dla bliskich to życie jak można najdłużej, podczas gdy środek uspokajający spowodowałby natychmiastowe oddanie ducha bez walki. Lekarze nie po to są na świecie, by sprowadzać śmierć, ale by za wszelką cenę podtrzymywać życie. Przemawiały za tym również pewne względy religijne oraz moralne, o których wiele słyszeli na uniwersytecie, jeśli nawet chwilowo nie uprzytomniali ich sobie... Wprost przeciwnie, różnymi środkami wzmacniali serce, a teraz przez wywołanie wymiotów sprowadzili kilka razy chwilową ulgę.

O piątej walka stała się rozpaczliwa. Konsulowa, wyprężona i z szeroko otwartymi oczami, wyrzucała przed siebie ramiona, jak gdyby szukając punktu oparcia lub dłoni, które się do niej wyciągały, i bez przerwy odpowiadała na wszystkie strony na wołania, które ona jedynie słyszała, a które wydawały się coraz liczniejsze i bardziej naglące. Było to tak, jak gdyby byli tu gdzieś obecni nie tylko jej zmarły mąż i córka, ale również rodzice, teściowie i inni krewni, którzy ją wyprzedzili, imiona, które wymawiała, brzmiały jak obce i nikt z obecnych w pokoju nie wiedział zrazu, jakich to zmarłych konsulowa przywołuje.

–Tak! – wołała obracając się na wszystkie strony... – Teraz idę... natychmiast... Jeszcze chwilę... tak... Nie mogę... Jakiś środek, panowie...

Około szóstej nadszedł moment

spokoju. A potem naraz przez jej

postarzale i poorane cierpieniem

rysy przeszło drżenie, nagła i

jakby oderwana radość, głęboka,

drżąca, pełna lęku tkliwość,

potem nagle otworzyła ramiona i

–z tak gwałtowną i bezpośrednią szybkością, że czuło się, iż między tym, co usłyszała, a jej odpowiedzią nie upłynęła ani jedna chwila – zawołała głośno, z wyrazem najzupełniejszego posłuszeństwa i bezgraniczną, pełną trwogi i miłości uległością i oddaniem: – Oto jestem... – i skonała.

Wszyscy byli wstrząśnięci. Cóż to było? Kto ją zawołał, że tak natychmiast podążyła?

Ktoś rozsuwał zasłony u okien i gasił świece, podczas gdy doktor Grabow łagodnie zamykał oczy zmarłej.

W bladym świetle jesiennego poranku wszyscy dygotali z chłodu, który napełnił pokój. Siostra Leandra zasłoniła chustką lustro toalety.

Rozdział drugi

Przez otwarte drzwi widać było w pokoju zmarłej klęczącą, zatopioną w modlitwie panią Permaneder. Była sama i rozłożywszy dokoła siebie fałdy żałobnej sukni, klęczała trzymając splecione ręce na krześle i szeptała modlitwy z pochyloną głową... Słyszała, że brat z bratową weszli do sąsiedniego pokoju i mimo woli zatrzymali się, by poczekać, aż skończy modlitwę; nie śpieszyła się jednak zbyt, na zakończenie odchrząknęła sucho, zebrała wolno i uroczyście fałdy sukni, podniosła się i bez śladu zdenerwowania, z doskonałą godnością w postawie, poszła im naprzeciw.

–Tomaszu – rzekła doń twardym głosem – co się tyczy panny Severin, to zdaje się, że matka hodowała zmię na swym łonie.

–Jak to?

–Jestem na nią oburzona.

Można doprawdy stracić panowanie nad sobą i zapomnieć się... Czy ta osoba ma prawo zatruwać mi w tak ordynarny sposób boleść tych dni?

–Ależ o co idzie?

–Po pierwsze jest niemożliwie chciwa. Idzie do szafy, wyjmuje jedwabne suknie matki, przewiesza je sobie przez ramię i chce z nimi odejść. – Frydziu

–mówię – dokąd to? Pani konsulowa obiecała mi te suknie.

–Kochana panno Severin! – mówię i z całym spokojem zwracam jej uwagę na niewłaściwość takiego pośpiechu. Myślisz, że to co pomogło? Zabiera nie tylko te suknie, ale jeszcze i pakę bielizny, i idzie. Nie mogę się z nią bić, prawda? Ale nie tylko ona... dziewczyny także... Wynoszą z domu kosze od bielizny pełne sukien i płócien... Służba obdziela się w moich oczach, gdyż ta panna Severin ma klucze od szaf. – Panno Severin – mówię – proszę o klucze. – Cóż mi odpowiada? Oznajmia wyraźnie i gburowato, że nie mam prawa zwracać jej uwag, że nie jest u mnie w służbie, nie ja ją przyjmowałam, a klucze zachowa, dopóki nie odejdzie.

–Masz klucze od srebra?

Dobrze. Daj pokój ze wszystkim innym. Takie rzeczy są nieuniknione, kiedy przestaje istnieć dom, w którym i tak szło wszystko niezbyt skrupulatnie. Nie chcę teraz robić hałasu. Bielizna jest stara i zniszczona... Zresztą zobaczymy, co tam pozostało. Masz spis? Na stole? Dobrze. Zaraz zobaczymy.

Weszli do sypialni, by postać przez chwilę przy łóżku, podczas gdy pani Permaneder zdjęła białą chustkę z oblicza zmarłej. Konsulowa była już w jedwabnej sukni, w której dziś po południu miano ją włożyć do trumny. Dwadzieścia osiem godzin temu wydała ostatnie tchnienie. Ponieważ nie miała teraz sztucznych zębów, usta i policzki zapadły się starczo, a broda uwydatniała się ostro i kanciasto. Wszyscy troje, patrząc z bólem na te nieubłagane i mocno zamknięte powieki, starali się rozpoznać w tej twarzy rysy matki. Ale pod czepcem, który stara dama nosiła zwykle w niedzielę, widniały, jak za życia, rudawe, gładko zaczesane włosy, z których tak często wyśmiewały się panie Buddenbrook z Breitenstrasse... Na kołdrze rozsypane były kwiaty.

–Już przyszły najwspanialsze wieńce – rzekła cicho pani Permaneder. – Od wszystkich rodzin... ach, po prostu można powiedzieć – od wszystkich! Kazałam je zanieść na korytarz. Musicie obejrzeć, Gerdo i Tomaszu. Jest to smutne i piękne. Atłasowe wstęgi tej wielkości...

–A jak z salą? – zapytał senator.

–Zaraz będzie gotowa. Już prawie wszystko skończone. Tapicer Jacobs niezmiernie się starał. A... – tu przełknęła...

–a trumna też już nadeszła. Ale rozbierzcie się, kochani – mówiła dalej i ostrożnie nasunęła białą chustkę na poprzednie miejsce. – Tu jest zimno, ale w pokoju śniadaniowym trochę napalono... pozwól, że ci pomogę, Gerdo; z tak wspaniałym okryciem trzeba uważnie się obchodzić... Można cię ucałować? Wiesz przecież, że cię kocham, pomimo że ty mnie zawsze nie cierpiałaś... Nie, nie, nie zepsuję ci fryzury zdejmując kapelusz... Twoje piękne włosy! Takie same włosy matka miała w młodości. Nigdy nie była taka cudowna jak ty, ale w swoim czasie, a byłam już wtedy na świecie, była naprawdę ładna. A teraz... Czyż to nieprawda, co wasz Grobleben zawsze mówi? Wszyscy musimy obrócić się w proch. Choć to taki prosty człowiek... Tak, Tom, tu masz najważniejsze spisy.

Przeszli tymczasem do sąsiedniego pokoju i zasiedli przy okrągłym stole; senator wziął papiery, które zawierały spis przedmiotów do podziału między najbliższych spadkobierców. Pani Permaneder nie spuszczała oczu z brata, badała go z podnieconym i wzburzonym wyrazem twarzy. Istniało pewne ważne, nieuniknione pytanie, na którym ześrodkowane były wszystkie jej myśli, a które miało się rozstrzygnąć w najbliższych godzinach...

–Zdaje się – zaczął senator – że zachowamy tradycyjną zasadę, iż podarunki się zwraca, tak więc...

Jego żona przerwała mu.

–Wybacz, Tomaszu, wydaje mi się... Chrystian... gdzież on jest?

–Ach, tak, Boże drogi, Chrystian! – zawołała pani Permaneder. – Przecież zapominamy o nim.

–Słusznie – rzekł senator opuszczając papiery. – Dlaczegoż go nie zawołają?

Pani Permaneder podeszła do dzwonka. Ale w tej samej chwili Chrystian sam otworzył drzwi i wszedł. Wszedł do pokoju dość szybkim krokiem, niezupelnie cicho zamknął drzwi i zatrzymał się ze ściągniętymi brwiami, nie patrząc na nikogo, lecz wodząc na wszystkie strony swymi małymi, okrągłymi, głęboko osadzonymi oczami, pod wystającymi rudawymi wąsami usta jego otwierały się i zamykały niespokojnie. Wydawał się niezmiernie podrażniony.

–Słyszę, że jesteście tutaj – rzekł krótko. – Jeśli ma być mowa o rzeczach, to przecież powinienem też być zawiadomiony.

–Właśnie mieliśmy zamiar – odrzekł obojętnie senator. – Siadaj.

Oczy jego zatrzymały się na białych guzikach, na które zapięta była koszula Chrystiana. On sam był w nieskazitelnym żałobnym ubiorze, na koszuli, która olśniewającą bielą odcinała się od czarnego surduta, zawiązana była szeroka czarna kokarda krawata i widniały czarne guziki zamiast zwykłych złotych. Chrystian zauważył to spojrzenie, gdyż przysunąwszy sobie krzesło i usiadłszy na nim, dotknął ręką piersi i odezwał się:

–Wiem, że mam białe guziki.

Nie mogłem sobie dotąd kupić czarnych lub raczej dałem sobie z tym spokój. W ostatnich latach musiałem często pożyczać sobie pięć szylingów na proszek do zębów, a rozbierałem się przy zapałce... Nie wiem, czy to ja wyłącznie jestem temu winien. Zresztą białe guziki nie są najważniejszą rzeczą na świecie. Nie lubię zewnętrznych oznak. Nigdy nie przykładałem do tego żadnej wagi.

Podczas gdy to mówił, Gerda przyglądała mu się, a teraz roześmiała się cicho. Senator zauważył:

–Nie możesz chyba postępować w dalszym ciągu w myśl ostatniej twojej uwagi, mój kochany.

–Istotnie? Może ty wiesz lepiej, Tomaszu. Mówię tylko, że nie przykładam wagi do takich rzeczy. Za dużo świata widziałem, żyłem ze zbyt różnorodnymi ludźmi i wśród zbyt różnorodnych obyczajów, bym miał... Zresztą jestem dorosłym człowiekiem – rzekł nagle głośno – mam obecnie czterdzieści trzy lata, jestem panem swojego losu i wolno mi zabronić każdemu wtrącania się do moich spraw.

–Zdaje mi się, że leży ci coś na sercu, mój przyjacielu – rzekł senator ze zdziwieniem. – Co się tyczy guzików, to o ile się nie mylę, dotąd nie powiedziałem o nich ani słowa. Obmyślaj według własnego gustu swoją żałobną toaletę, nie wyobrażaj sobie tylko, że twoja tania pogarda dla przesądów wywiera na mnie wrażenie...

–Bynajmniej nie pragnę wywierać na tobie wrażenia...

–Tom... Chrystian... – odezwała się pani Permaneder. – Nie przybierajmy rozdrażnionego tonu... dzisiaj... i to tutaj, gdzie obok nas... Mów dalej, Tomaszu. Więc podarunki zostaną zwrócone? To jest raczej słuszne.

I Tomasz mówił dalej.

Rozpoczął od większych

przedmiotów, przyznając sobie te, które mogły się przydać w jego domu: kandelabry z sali jadalnej, dużą rzeźbioną skrzynię, stojącą w sieni. Pani Permaneder była niezmiernie przejęta, skoro zaś tylko wynikały wątpliwości co do przyszłego właściciela jakiegoś przedmiotu, mówiła niezrównanym tonem:

–A zatem jestem gotowa przyjąć to... – z taką miną, jak gdyby swoją gotowością do usług zobowiązywała wszystkich do wdzięczności. Otrzymała ona dla siebie, córki oraz wnuczki większą część umeblowania.

Chrystianowi dostało się kilka sprzętów, stołowy zegar empirowy, a nawet fisharmonia; był też z tego zupełnie zadowolony. Ale gdy rozpoczęło się dzielenie srebra i bielizny stołowej, jak również serwisów, począł ku ogólnemu zdziwieniu okazywać zapał graniczący z chciwością.

–A ja? A ja? – pytał. – Proszę nie zapominać o mnie.

–Któż o tobie zapomina?

Przecież, patrz tylko, przeznaczyłem dla ciebie cały serwis do herbaty wraz ze srebrną tacą. Co do złoczonego serwisu niedzielnego, to ten chyba tylko u nas może znaleźć zastosowanie i...

–Ten codzienny z wzorem cebulowym ja jestem gotowa przyjąć – powiedziała pani Permaneder.

–A ja? – zawołał Chrystian z oburzeniem, które opanowywało go niekiedy i tak dziwnie u niego wyglądało: policzki jego wydawały się wówczas jeszcze bardziej zapadnięte... – Chciałbym jednak mieć udział w nakryciach. Ileż łyżek i widelców ja otrzymuję?... Widzę, że prawie nic!...

–Ależ mój drogi, co ty właściwie zamierzasz z tym robić? Przecież nie masz na to zastosowania! Nie pojmuję... Przecież lepiej, żeby takie rzeczy pozostały do użytku rodzinnego...

–Choćby jako pamiątka po matce – rzekł Chrystian przekornie.

–Mój przyjacielu – odrzekł dość niecierpliwie senator – nie jestem usposobiony do żartów... ale sądząc z twych słów, zdaje się, że pragniesz sobie postawić na komodzie wazę do zupy jako pamiątkę po matce? Proszę, byś nie myślał, że chcemy cię skrzywdzić. Jeśli otrzymujesz mniej przedmiotów domowych, zostanie ci to wynagrodzone w innej formie. To samo dotyczy bielizny stołowej...

–Nie pragnę pieniędzy, pragnę bielizny i nakryć...

–Ależ po co, na miłość boską?

Tu Chrystian dał odpowiedź, która sprawiła, że Gerda Buddenbrook szybko zwróciła się w jego stronę i zaczęła przypatrywać mu się z zagadkowym wyrazem oczu, senator zdjął pośpiesznie binokle

i spojrział mu prosto w twarz, a pani Permaneder nawet złożyła ręce.

Powiedział mianowicie:

–No, jednym słowem, mam zamiar wkrótce się ożenić.

Wymówił to dosyć cicho i prędko, z krótkim ruchem ręki, jak gdyby poprzez stół rzucił coś bratu, po czym oparł się o krzesło i zaczął błędzić wokoło oczami z miną nadąsaną, zarazem obrażoną i zadziwiająco roztargnioną. Zapanowało dłuższe milczenie. Wreszcie senator powiedział:

–Trzeba przyznać,

Chrystianie, że plany te przychodzą nieco późno... oczywiście, jeśli są to plany istotne i wykonalne, nie tego rodzaju, jakie już raz nierozważnie przedstawiłeś nieboszczce matce...

–Moje zamiary pozostały te same – odrzekł Chrystian, ciągle jeszcze nie patrząc na nikogo i ciągle z tym samym wyrazem twarzy.

–To chyba niemożliwe.

Czekałeś na śmierć matki, by...

–Miałem pewne względy, tak.

Sądzisz, zdaje się, że ty jeden masz monopol na takt i delikatność uczuć...

–Nie wiem, co cię upoważnia do tego sposobu mówienia. Zresztą podziwiam rozległość tych twoich względów. Nazajutrz po śmierci matki chcesz okazywać nieposłuszeństwo wobec jej woli...

–Ponieważ rozmowa zeszła na ten temat. A zresztą najważniejsze jest to, że matka nie może się już zdenerwować z powodu mego kroku. Tak samo dziś, jak za rok... Boże wielki, Tomaszu, przecie matka nie miała bezwzględnej racji, lecz tylko ze swego punktu widzenia, z którym liczyłem się, dopóki żyła. Była starą kobietą, kobietą z innych czasów, z innymi poglądami...

–A więc zwracam ci uwagę, że mój pogląd na tę sprawę jest taki sam...

–To mnie nie obchodzi.

–Będzie cię to obchodziło, mój przyjacielu.

Chrystian spojrział na niego.

–Nie! – zawołał. –

Niemożliwe! Skoro ci mówię, że to niemożliwe?... Wiem, jak mam postępować. Jestem dojrzałym człowiekiem...

–Ach, ta twoja „dojrzałość”, to rzecz czysto zewnętrzna! Wcale nie wiesz, jak masz postępować...

–Przeciwnie!... Po pierwsze,

postępuję jak człowiek honoru... Nie myślisz o tym, jak sprawy stoją, Tomaszu! Tutaj są Tonia i Gerda... nie możemy szczegółowo o tym rozmawiać. Ale przecież mówiłem ci, że mam zobowiązania! Ostatnie dziecko, mała Gizela...

–Nie wiem i nie chcę wiedzieć o żadnej małej Gizeli! Jestem przekonany, że cię okłamują. W każdym razie wobec takiej osoby jak ta, o której myślisz, nie masz innych zobowiązań oprócz prawnych, a te możesz wypełniać tak jak dotąd...

–Osoby, Tomaszu? Osoby?

Mylisz się co do niej! Alina...

–Milcz! – zawołał senator Buddenbrook piorunującym głosem. Obaj bracia patrzyli teraz na siebie przez stół: Tomasz blady i drżący z gniewu, Chrystian rozszerzając gwałtownie swe małe, okrągłe, głęboko osadzone oczy, których powieki zaczerwieniły się teraz, i otwierając ze wzburzenia usta, tak że chude policzki wydawały się zupełnie zapadnięte. Pod oczami ukazało się kilka czerwonych plam... Gerda spoglądała z dość drwiącą miną to na jednego, to na drugiego, a Tonia załamywała ręce mówiąc błagalnie: – Ależ Tom... Ależ Chrystianie... Matka leży obok...

–Jesteś tak pozbawiony wszelkiego uczucia wstydu – mówił dalej senator – że możesz się zdobyć... nie, że cię to nic nie kosztuje, by na tym miejscu i w tych okolicznościach wymawiać to imię! Twój brak taktu jest nienormalny, jest chorobliwy...

–Nie pojmuję, dlaczego nie miałbym wymawiać imienia Aliny!

–Chrystian był tak niezwykle podniecony, że Gerda obserwowała go ze wzrastającą uwagą.

–Wymawiam je zupełnie

zwyczajnie, tak jak je słyszysz, Tomaszu, mam zamiar ożenić się z nią, gdyż tęsknię za domowym ogniskiem, za ciszą i spokojem, i wypraszam obie, słyszysz, wszelkie wtrącanie się z twojej strony! Jestem wolny, jestem panem swego losu...

–Głupcem jesteś! Dzień otwarcia testamentu nauczy cię, jak dalece jesteś panem swego losu! Postarano się o to, rozumiesz, byś nie roztrwonił schedy po matce, jak już roztrwonileś trzydzieści tysięcy marek. Będę zarządzał resztą twego majątku i nigdy nie dostaniesz do ręki więcej niż miesięczną pensję, przysięgam ci na to...

–Cóż, sam wiesz najlepiej, kto skłonił matkę do powzięcia takiego postanowienia. Dziwię się jednak, że nie poradziła się w tej sprawie raczej kogoś innego, bliższego mi i bardziej oddanego niż ty... – Chrystian stracił zupełnie panowanie nad sobą, zaczął mówić rzeczy, jakich nigdy dotąd nie wypowiadał. Nachylił się nad stołem, stuknął bezustannie w blat końcem zakrzywionego wskazującego palca i z najeżonymi wąsami i

zaczerwienionymi oczami wpatrywał się w brata, który siedząc wyprostowany, lady i z na pół opuszczonymi powiekami również patrzył na niego.

–Serce twoje pełne jest chłodu, niechęci i pogardy względem mnie – ciągnął dalej Chrystian, a głos jego był zarazem głuchy i skrzeczący... –

Odkąd mogę zapamiętać, okazywałeś mi tyle chłodu, że zawsze marzył w twojej obecności... tak, może być, że to jest dziwaczne określenie, ale skoro ja to tak odczuwam?... Odpychasz mnie... odpychasz mnie, kiedy tylko na mnie patrzysz, ale i tego nie robisz prawie nigdy. Co cię do tego upoważnia? Jesteś także człowiekiem i masz swoje słabostki! W oczach rodziców byłeś zawsze lepszym synem, ale jeśli rzeczywiście jesteś im tak bliski, to powinieneś przejąć się nieco ich chrześcijańskim sposobem myślenia i jeśli miłość braterska jest ci zupełnie obca, to można by oczekiwać po tobie śladu miłości chrześcijańskiej... Ale jesteś tak obojętny, że mnie nawet nie odwiedzasz... ani razu nie odwiedziłeś mnie w sanatorium, kiedy leżałem w Hamburgu z reumatyzmem stawów...

–Mam na głowie poważniejsze zmartwienia niż twoje choroby. Poza tym moje własne zdrowie...

–Nie, Tomaszu, twoje zdrowie jest doskonałe! Nie siedziałbyś tu tak, jak siedzisz, gdybyś się czuł tak jak ja...

–Jestem może bardziej chory niż ty.

–Ty miałbyś być... Nie, tego już za wiele! Toni! Gerdo! On mówi, że jest bardziej chory niż ja! Co! Może to ty leżałeś w Hamburgu śmiertelnie chory na reumatyzm stawów?! To ty odczuwałeś po każdym najdrobniejszym niewłaściwym poruszeniu nieopisane cierpienie w całym ciele? Może to nerwy w twoim lewym boku są za krótkie?! Autorytety zapewniały mnie, że to właśnie u mnie ma miejsce! Może to tobie zdarzają się takie rzeczy, że gdy o zmierzchu wchodzisz do swego pokoju, widzisz u siebie na sofie człowieka, który na ciebie kiwa, chociaż nikogo takiego tam nie ma?!

–Chrystian! – krzyknęła przerażona pani Permaneder. – Co ty mówisz!... Boże mój, o co wy się właściwie kłócicie? Jak gdyby to było zaszczytem być bardziej chorym! Gdyby o to szło, to niestety Gerda i ja miałybyśmy też słówko do powiedzenia!... A matka leży obok...

–I ty tego nie pojmujesz – zawołał namiętnie Tomasz Buddenbrook – że wszystkie te ohydy to następstwa i wytwory twoich występków, twej bezczynności, twego wglądania w siebie?! Pracuj! Przestań zajmować się twymi stanami i gadać o nich!... Jeśli zwariujesz – a mówię ci wyraźnie, że nie jest to niemożliwe – nie będę w stanie uronić nad tobą jednej łzy, gdyż będzie to twoja wina, wyłącznie twoja...

–O nie, nie uronisz ani jednej łzy, nawet kiedy umrę.

–Przecież ty nie umrzesz – rzekł pogardliwie senator.

–Ja nie umrę? Dobrze, więc ja nie umrę! Zobaczmy jeszcze, który z nas dwu wcześniej umrze!... Pracuj! A jeżeli nie mogę? Jeśli nie mogę dłuższy czas pracować, na Boga jedyne?! Nie mogę

robić długo jednego i tego samego, choruję z tego! Jeśli ty mogłeś i możesz, to ciesz się z tego, ale nie sądz innych; bo to nie twoja zasługa... Bóg jednemu daje siły, a drugiemu nie... Ale ty już taki jesteś, Tomasz – mówił dalej, pochylając się nad stołem z coraz bardziej wykrzywioną twarzą i stukając coraz mocniej w blat stołu. – Jesteś zarozumiały... ach, czekaj, nie to chciałem powiedzieć i nie to mam ci do zarzucenia... Ale nie wiem, od czego zacząć, a to, co będę mógł powiedzieć, to zaledwie tyśiączna część... ach, milionowa część tego, co mam na sercu przeciwko tobie! Zdobyłeś sobie miejsce w świecie, poważne stanowisko, i stoisz dumnie, i z całą świadomością odpychasz wszystko, co mogłoby cię na chwilę zachwiać i uszkodzić twoją równowagę, gdyż równowaga

–to jest dla ciebie

najważniejsza sprawa. Ale to nie jest najważniejsze, Tomasz, to nie jest wszystko w oczach Boga! Jesteś egoistą, tak, jesteś egoistą! Jeszcze wolę, gdy wymyślasz i depreczujesz, i piorunujesz. Ale najgorsze ze wszystkiego jest twoje milczenie, najgorsze jest, kiedy na to, co ci powiedziano, nagle milkniesz i usuwasz się, i uchylasz się od wszelkiej odpowiedzialności, wytworny i nieskazitelny, i pozostawiasz tamtego własnemu wstydowi... Jesteś tak pozbawiony współczucia, miłości i pokory... Ach! – zawołał nagle potrząsając rękami nad głową, a potem wyrzucając je przed siebie, jak gdyby wszystko od siebie odpychał... – Jak ja mam dosyć tego wszystkiego, tego taktu i tej subtelności uczuć, i równowagi, tej postawy i godności... jak śmiertelnie dosyć!... – I ten ostatni okrzyk był tak szczery, wybuchnął tak wprost z serca, pełen takiego wstrętu i znudzenia, że miał w sobie rzeczywiście coś druzgocącego, a Tomasz cofnął się trochę i przez chwilę bez słowa patrzył ze znużoną miną przed siebie.

–Stałem się takim, jakim jestem – rzekł w końcu, a głos jego brzmiał wzruszeniem – gdyż nie chciałem zostać takim jak ty. Jeśli cię wewnętrznie unikałem, to było tak dlatego, że muszę się przed tobą strzec, że cały twój sposób życia jest dla mnie niebezpieczeństwem... mówię prawdę.

Milczał przez chwilę, a potem mówił dalej mocniejszym i bardziej stanowczym tonem: – Zresztą oddaliliśmy się bardzo od przedmiotu. Miałeś do mnie przemowę o mym charakterze... Przemowę nieco chaotyczną, która może zawierała w sobie ziarno prawdy. Ale nie o mnie idzie w tej chwili, lecz o ciebie. Nosisz się z zamiarem małżeństwa, a ja pragnąłbym przekonać cię możliwie dokładnie, że wykonanie tych zamiarów w sposób planowany przez ciebie jest niemożliwe. Po pierwsze odsetki, które będę mógł ci wypłacać, nie są zachęcająco wysokie...

–Alina odłożyła trochę.

Senator przełknął ślinę i opanował się.

–Hm... odłożyła. Więc

zamierzasz schedę po matce połączyć z oszczędnościami tej pani...

–Tak. Tęsknię za domowym ogniskiem i za kimś, kto będzie mi współczuł w chorobie. Poza tym bardzo sobie odpowiadamy.

Oboje jesteśmy trochę

wykolejeni...

–Następnie zamysłasz

adoptować dzieci; a nawet... zalegalizować je?

–Tak jest.

–Tak że twój majątek

przejdzie po twej śmierci na tych ludzi? – Gdy senator powiedział to, pani Permaneder położyła rękę na jego ramieniu i szepnęła błagalnie: – Tomaszu!... Matka leży obok!...

–Tak – odrzekł Chrystian – tak przecież należy zrobić.

–A więc nie zrobisz tego wszystkiego! – zawołał senator zrywając się z miejsca. Chrystian również wstał, cofnął się za swe krzesło, ujął je ręką i przycisnąwszy brodę do piersi spoglądał na brata na pół podejrzliwie a na pół gniewnie.

–Nie zrobisz tego... – powtórzył Tomasz Buddenbrook prawie nieprzytomny z gniewu, blady, drżący, nie panując już nad swoimi konwulsyjnymi ruchami. – Dopóki ja żyję, to się nie stanie... przysięgam ci!... Strzeż się... pilnuj się... Dość pieniędzy przepadło dzięki nieszczęściu, głupocie i nikczemności, byś się upierał rzucić tej kobiecie i jej bękartom czwartą część majątku matki!... I to po tym, kiedy już inną ćwierć wyłudził Tiburtius. Dostyc kompromitacji przyniosłeś rodzinie, człowieku, by trzeba jeszcze było wchodzić w pokrewieństwo z kurtyzaną i dawać jej dzieciom nasze nazwisko. Zabraniam ci tego, słyszysz? Zabraniam ci tego! – zawołał takim głosem, że pokój zatrzęsł się, a pani Permaneder wcisnęła się z płaczem w kąć sofy. – A nie waż się postępować wbrew temu zakazowi, radzę ci! Dotąd pogardzałem tobą tylko, nie zwracałem na ciebie uwagi... ale jeśli przeciągniesz strunę, jeśli doprowadzisz mnie do ostateczności, to zobaczymy, kto wygra! Mówię ci, strzeż się! Nie mam już żadnych względów! Ubezwłasnowolnię cię, każę cię zamknąć, unicestwię cię! Unicestwię! Rozumiesz mnie?!...

–A ja ci mówię... – zaczął Chrystian...

I to wszystko przeszło w kłótnię, w urywaną, marną, godną pożałowania kłótnię, bez właściwego przedmiotu, bez innego celu niż wzajemne obelgi, wzajemne ranienie się słowami do krwi. Chrystian powrócił do charakteru brata i wyciągał z dawnej przeszłości poszczególne rysy, przykre historie, mające dowieść egoizmu Tomasza, historie, których Chrystian nigdy nie zapomniał, lecz nosił je w sobie i nasyczał żółcią. A senator odpowiadał mu wyrazami przesadnej pogardy i pogróżek, których po dziesięciu minutach żałował. Gerda oparła lekko głowę na rękę i obserwowała obu z nieokreślonym wyrazem przymglonych oczu. Pani Permaneder powtarzała w kółko z rozpaczą: – A matka leży obok... A matka leży obok...

Chrystian, który już podczas ostatnich replik chodził po pokoju, opuścił wreszcie plac bitwy.

–Dobrze! Zobaczymy! – zawołał i z wąsami w nieładzie, z czerwonymi oczami, rozpiętym surdudem i chustką do nosa w zwieszanej dłoni, rozgorączkowany i podniecony wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

W ciszy, jaka nagle zapanowała, senator stał jeszcze przez chwilę wyprostowany, patrząc na drzwi, za którymi znikł jego brat. Potem usiadł w milczeniu, wziął szybkim ruchem papiery i sucho powiedział, co zostało jeszcze do powiedzenia, po czym oparł się na krześle i przebierając palcami w wąsach zamyślił się głęboko.

Serce pani Permaneder mocno biło ze strachu. Nie można już było odsuwać wielkiego zapytania, musi je wymówić, on będzie musiał odpowiedzieć... ale ach, czyż w tym nastroju mógł poddać się działaniu miłości, pietyzmu?

–A... Tom – zaczęła

spuszczając najpierw oczy, a następnie nieśmiało próbując czytać w jego twarzy... – Meble... Oczywiście wszystko już rozważyłeś... Rzeczy, należące do nas, to jest do Eryki, do małej i do mnie... zostają tu... z nami... krótko mówiąc... co będzie z domem? – zapytała załamując ukradkiem rękę.

Senator zrazu nie odpowiedział, lecz jeszcze przez chwilę kręcił wąsy zapatrzony w głąb siebie, w smutnym zamyśleniu. Potem odetchnął i wyprostował się.

–Dom? – rzekł... – Należy oczywiście do nas wszystkich, do ciebie, Chrystiana i do mnie... a także komicznym zbiegiem okoliczności do pastora Tiburtiusa, gdyż część należy do schedy Klary. Ja sam nie mogę niczym rozporządzić, potrzebne jest wasze przyzwolenie. Ale rozumie się, że pożądana jest jak najszybsza sprzedaż – zakończył wzruszając ramionami. Po twarzy jego przemknęło coś, jak gdyby sam przestraszył się swoich słów.

Głowa pani Permaneder opadła nisko, rozluźniła uścisk rąk, opadły nagle bezwładnie.

–Nasze przyzwolenie! – powtórzyła po chwili milczenia smutno i nawet z pewną goryczą.

–Boże drogi, dobrze wiesz przecież, Tom, że uczynisz, co będziesz uważał za słuszne, i że my wszyscy nie możemy ci długo odmawiać przyzwolenia!... A jeśli możemy dorzucić słowo... prosić ciebie – ciągnęła dalej prawie bezdźwięcznie, a górna jej warga zaczęła drżeć... –

Dom! Dom matki! Nasz rodzicielski dom! Byliśmy w nim tacy szczęśliwi! Mamy go sprzedać...

Senator znowu wzruszył

ramionami.

–Wierzaj, dziecko, wszystko to, co możesz mi przypomnieć, wzrusza mnie tyleż co i ciebie... Ale nie są to argumenty, lecz sentymenty. To, co trzeba zrobić, jest nieodwołalne. Mamy tu wielki plac... na co on nam teraz? Od wielu lat, już od śmierci ojca, cały tylny budynek się wali. W sali bilardowej żyje sobie swobodnie rodzina kotów, a gdy się ujdzie parę kroków, podłoga grozi zawaleniem... Tak, gdyby nie mój dom na Fischergrube! Ale mam go i co mam z nim robić? Może lepiej tamten sprzedać? Osądź sama... komu? Straciłbym niemal połowę pieniędzy, które włożyłem. Ach, Toniu, placów mamy dosyć, o wiele za dużo! Spichrze i dwa duże domy! Wartość placów jest zupełnie

nieproporcjonalna do kapitału ruchomego! Tylko sprzedać, tylko sprzedać!

Ale pani Permaneder nie słuchała. Pochylona i zamknięta w sobie, siedziała patrząc przed siebie wilgotnymi oczami.

–Nasz dom! – szeptała... – Pamiętam jeszcze, jakeśmy go poświęcali... Byliśmy wtedy tacy mali. Cała rodzina była zebrana. A wujek Hoffstede odczytał wiersz... Leży w tece... Umiem go na pamięć... Wenera... Pokój pejzażowy! Sala jadalna! Obcy ludzie...

–No tak, Toni, podobnie zapewne myśleli ci, którzy musieli opuścić ten dom wówczas, gdy dziadek go kupował. Stracili pieniądze, musieli się wyprowadzić, wymarli i wyginęli. Na wszystko przychodzi czas. Cieszymy się i dziękujemy Bogu, że z nami nie jest jeszcze tak źle jak wtedy z Ratenkampfi i że żegnamy się z tym domem w lepszych warunkach niż oni...

Przerwało mu bolesne, powolne szlochanie. Pani Permaneder tak była przejęta swym zmartwieniem, że nie myślała o ocieraniu łez spływających po jej policzkach. Siedziała zgarbiona i pochylona naprzód, nie zwracając uwagi na ciepłe krople, które spadały na ręce, bezwładnie spoczywające na łonie.

–Tom – rzekła, z trudem nadając swemu niemal zdławionemu przez łyzy głosowi brzmienie cichej, wzruszającej stanowczości. – Nie wiesz, jak ja się w tej chwili czuję, nie możesz tego wiedzieć. Niedobrze układało się życie twojej siostrze, źle się jej działo.

Wszystko się na mnie waliło, co

tylko można wymyślić... nie

wiem, czym na to zasłużyłam. Ale

wszystko przyjmowałam nie tracąc

nadziei. Tom – i tamto z

Gr~unlichem, i tamto z

Permanederem, i to z

Weinschenkiem. Bo nigdy, kiedy Bóg na nowo łamał mi życie, nie byłam jednak zupełnie zgubiona. Było takie miejsce, że tak powiem bezpieczny port, w którym czułam się w domu i ukryta przed wszystkim, gdzie mogłam się schronić przed niedolą życia... Jeszcze nawet i teraz, kiedy przecie wszystko się skończyło, kiedy prowadzono Weinschenka do więzienia... – Matko – powiedziałam – możemy się przenieść do ciebie? – Tak, dzieci, przyjdźcie... – Kiedyśmy byli mali i bawili się w wojnę, była zawsze „meta”, oddzielone miejsce, dokąd można było biec, gdy groziło niebezpieczeństwo, gdzie nikt nas nie odtrącał, gdzie można było wypocząć w spokoju. Dom matki, ten dom był moją „meta” życiową. Tom... A teraz... a teraz... sprzedać...

–Odchyliła się w tył na krześle, ukryła twarz w chusteczce i gorzko płakała.

Odjął jedną jej rękę i

zatrzymał w swoich.

–Wiem, kochana Toniu,

wszystko wiem. Ale bądźmy teraz troszeczkę rozsądni... Droga matka odeszła... nie przywołamy jej z powrotem. Co dalej? Zatrzymanie tego domu jako martwego kapitału nie miałoby sensu... muszę o tym pamiętać, prawda? Mamy z niego uczynić koszary do wynajęcia? Myśl, że mają tu mieszkać obcy ludzie, jest ci przykra, ale przecież lepiej, żebyś tego nie widziała, lecz wynajęła dla siebie i swoich mały ładny domek albo mieszkanie gdziekolwiek, na przykład za miastem... Czyż byłoby ci przyjemniej pozostać tutaj i mieszkać razem z lokatorami?... A rodzinę masz przecież w dalszym ciągu, Gerdę i mnie, i kuzynki z Breitenstrasse, i Krögerów, i mademoiselle Weichbrodt... nie wspominając o Klotyldzie, o której nie wiem, czy pragnie teraz utrzymywać z nami stosunki, odkąd zamieszkała w klasztorze, stała się nieco ekskluzywna...

Westchnęła, co brzmiało po trosze jak śmiech, i odwróciła się przyciskając mocniej chusteczkę do oczu, nadąsana jak dziecko, które chcą pocieszyć zarcikiem. Potem jednak odsłoniła twarz z determinacją i wyprostowała się odrzucając głowę w tył – jak zawsze, gdy chciała pokazać godność i charakter – usiłując jednocześnie przycisnąć brodę do piersi.

–Tak, Tom – rzekła mrugając zapłakаныmi oczami i patrząc w stronę okna z poważnym i spokojnym wyrazem twarzy – ja też chcę być rozsądna... już nią jestem. Przebacz mi... a i ty, Gerdo... że płakałam. To się może przytrafić... to ze słabości. Ale to jest czysto zewnętrzne, wierzajcie. Sami wiecie, że jestem zahartowana przez życie... Tak, Tom, pojmuję dobrze to o tym martwym kapitale, tyle rozumu jeszcze mam. Mogę tylko powtórzyć, że powinieneś tak postąpić, jak uważasz za słuszne. Musisz za nas wszystkich myśleć i działać, gdyż Gerda i ja jesteśmy kobietami, a Chrystian... co tam. Bóg z nim!... Nie możemy ci się przeciwstawiać, gdyż to, co możemy przytoczyć, to nie są argumenty, ale sentymenty, to jasne. Komu sprzedasz, Tom? Myślisz, że to pójdzie łatwo?

–Ach, dziecko, gdybym mógł to wiedzieć... W każdym razie... dziś rano zamieniłem o tym parę słów z Goschem, starym maklerem Goschem, sądzę, że zgodziłby się wziąć tę sprawę w swoje ręce...

–To by było dobrze, tak, to by było bardzo dobrze. Zygmunt Gosch ma oczywiście swoje słabostki... Z tymi tłumaczeniami z hiszpańskiego, o czym słyszałam – nie pamiętam nazwiska tego poety – to jest trochę dziwne, trzeba przyznać. Ale był on jeszcze przyjacielem ojca i jest z gruntu uczciwym człowiekiem. I wszyscy wiedzą, że ma dobre serce. Zrozumiałe, że nie idzie tu o zwykłą sprzedaż, o pierwszy lepszy dom... Jak myślisz. Tom, ile zażadasz? Chyba najmniej sto tysięcy marek, prawda?

–Sto tysięcy marek to już chyba najmniej. Tom! – powiedziała jeszcze raz, stojąc we drzwiach, gdy braterstwo schodzili już ze schodów. Potem, zostawszy sama, stanęła pośrodku pokoju i splatając zwieszona ręce w ten sposób, że dłonie zwrócone były na dół, spojrzała dokoła siebie dużymi bezradnymi oczami. Jej głowa w czarnym koronkowym stroiku, którą ciągle lekko potrząsała, opadała pełna ciężkich myśli coraz niżej i niżej na ramię.

‘ty

Rozdział trzeci

Małemu Janowi kazano pożegnać się z doczesną powłoką babki, tak rozporządził jego ojciec, a on nie wyrzekł ani słowa sprzeciwu, chociaż się bał.

Nazajutrz po śmierci konsulowej senator wypowiedział przy stole, w obecności syna i, jak się wydawało, tylko mimochodem, kilka ostrych słów o zachowaniu stryja Chrystiana, który wtedy, gdy chora najgorzej się czuła, poszedł sobie spać. – To nerwy, Tomasz – powiedziała Gerda; ale Tomasz spojrzawszy na Hanna, co nie uszło uwagi dziecka, odparł surowo, że tak bardzo cierpiała, iż wstyd było patrzeć na to bez współczucia i odsuwać od siebie tę odrobinę cierpienia, jakie mógł wywołać widok jej śmiertelnych zmagañ. Hanno wywnioskował z tego, że nie uda mu się uniknąć obejrzenia babki w otwartej trumnie.

Gdy w przeddzień pogrzebu wszedł do owej dużej sali wraz z rodzicami, wydała mu się ona równie obca jak w wieczór wigilijny. Na wprost drzwi, śród ciemnej zieleni wielkich roślin doniczkowych, tworzących półkole wraz z wysokimi, srebrnymi kandelabrami, jaśniała na czarnym postumencie kopia Thorvaldsenowskiego Chrystusa błogosławiącego, która zazwyczaj stała w korytarzu. Na ścianach za każdym powiewem poruszała się czarna krepa, pokrywająca zarówno błękitne tapety, jak i uśmiechnięte posągi bóstw, które w tej samej sali przyglądały się nieraz wesołym ucztom. I otoczony krewnymi, z szeroką żałobną opaską na rękawie swego marynarskiego ubranka, odurzony zapachami płynącymi z kwiatów i wieńców, z którymi mieszał się bardzo lekki i odczuwalny tylko od czasu do czasu jakiś inny, obcy, a jednak dziwnie bliski zapach, stał przy trumnie mały Hanno spoglądając na nieruchomą postać, leżącą tam wśród białych atłasów i wyprostowaną surowo i uroczyście...

Nie była to babcia. Był to jej odświętny czepek z białymi jedwabnymi wstążeczkami, a pod nim jej rudawe, rozdzielone włosy. Ale ten zaostriżony nos, te wciągnięte w głąb wargi, wystająca broda, te żółte, przezroczyste, złożone ręce, po których widać było, że są zimne i sztywne, nie należały do niej. Była to jakaś obca woskowa lalka, a w owym wystawianiu jej i składaniu hołdu tkwiło coś przerażającego. I Hanno patrzył w stronę pokoju pejzażowego, jak gdyby za chwilę miała się tam ukazać prawdziwa babcia... Nie ukazała się jednak. Umarła. Śmierć przemieniła ją na zawsze w tę woskową figurę, której powieki i usta były tak nieubłagane, tak nieprzystępnie mocno zamknięte...

Stał opierając się na lewej nodze, z prawym kolanem zgiętym w ten sposób, że stopa kołysała się lekko; jedną ręką trzymał swój marynarski krawat, druga zwisała bezwładnie. Głowa, okryta kędzierzawymi, jasnobrązowymi, opadającymi na skronie włosami, pochylona była na bok, mrużąc swe złotobrunatne oczy, otoczone niebieskawymi cieniami, patrzył na twarz trupa z wyrazem badawczej odrazy. Oddychał wolno i ociągając się, gdyż za każdym oddechem oczekiwał zapachu, owego obcego, a jednak tak dziwnie bliskiego zapachu, który nie zawsze zagłuszyć mogły fale kwiatowych woni. A gdy go jednak poczuł, wtedy brwi jego ściągały się mocniej, a przez wargi przebiegało drżenie... Wreszcie westchnął, zabrzmiało to niby suchy szloch, pani Permaneder schyliła się ku niemu, pocałowała go i zabrała stamtąd.

W ciągu wielu godzin senator wraz z żoną oraz pani Permaneder i Eryka Weinschenk przyjmowali w

pejzażowym pokoju kondolencje miasta, a potem odbył się pogrzeb Elżbiety z Kr~ogerów Buddenbrook. Przybyli krewni z Frankfurtu i Hamburga i po raz ostatni zostali gościnnie przyjęci na Mengstrasse. I gdy przy płonących świecach u wezłowia trumny stanął majestatycznie wyprostowany pastor Pringsheim z kościoła Panny Marii, którego wygolona twarz przybierała wyraz to ponurego fanatyzmu, to znów łagodnego rozpromienienia, i wznosząc głowę nad szeroko karbowaną kryzą oraz splótszy ręce tuż pod brodą, wygłosił mowę pogrzebową – tłumy uczestników wypełniły salę oraz pokój pejzażowy, salę kolumnową i korytarz. W płynnych, dźwięcznych słowach wychwalał pastora zalety zmarłej, jej wytworność i pokorę, pogodę i pobożność, dobroczynność i usłużność. Wspominał o wieczorach jerozolimskich, o szkółce niedzielnej, a całe to długie, bogate i szczęśliwe życie ziemskie jeszcze raz ukazał w blasku swej dialektyki... ponieważ zaś wyraz „koniec” musi mieć jakieś określenie, mówił tedy wreszcie o jej spokojnym końcu.

Pani Permaneder wiedziała, jak dalece godną i reprezentacyjną postawę winna jest w tej chwili sobie oraz całemu zgromadzeniu. Zajęła ona wraz z córką Eryką i wnuczką Elżbietą najwidoczniejsze honorowe miejsca tuż obok pastora, u wezłowia okrytej wieńcami trumny, podczas gdy Tomasz, Gerda, Chrystian, Klotylda i mały Jan, jak również siedzący na krześle stary konsul Kr~oger, nie mieli nic przeciwko temu, by asystować przy ceremonii na skromniejszych miejscach, tak jak krewni drugiego stopnia.

Stała wyprostowana, z nieco
podniesionymi ramionami,
trzymając w rękach batystową
chusteczkę z czarnym brzegiem, a
duma z głównej roli, jaka
przypadła jej w tej
uroczystości, była tak wielka,
że chwilami zupełnie
przyćmiewała i zacierała ból
zdając sobie sprawę z tego, że
wystawiona jest na ciekawe
spojrzenia całego miasta, oczy
trzymała spuszczone, nie mogła
sobie jednak od czasu do czasu

odmówić satysfakcji rzucenia

okiem na tłum, w którym

dostrzegała również Julcię z

Hagenstr~omów M~ollendorpf wraz

z małżonkiem... Tak, wszyscy oni

musieli przyjść,

M~ollendorpfowie,

Kistenmakerowie, Langhalsowie i Oeverdieckowie! Zanim Tonia Buddenbrook opuści dom rodzicielski, musieli się oni raz jeszcze wszyscy stawić, by bez względu na Gr~unlicha, Permanedera i Hugona Weinschenka złożyć jej tutaj wyrazy czci pełnej współczucia!...

A pastor Pringsheim jątrzył swą mową pogrzebową ranę, którą zadała śmierć, ukazywał każdemu oddzielnie, co wskutek tej śmierci stracił, umiał wycisnąć łzy nawet tam, gdzie same by nie popłynęły, a ci, których wzruszył, byli mu za to wdzięczni. Gdy wspomniał o jerozolimskich wieczorach, wszystkie przyjaciółki zmarłej zaczęły szlochać z wyjątkiem nic nie słyszającej i zapatrzonej w przestrzeń z typowym wyrazem osoby głuchej madame Kethelsen oraz stojących razem w kąci sióstr Gerhardt, potomkiń Pawła Gerhardta, śmierć przyjaciółki sprawiała im radość, a jeśli jej nie zazdrościły, to jedynie dlatego, że zazdrość obca była ich sercu. Co do mademoiselle Weichbrodt, to bezustannie wycierała nos krótkim i energicznym gestem. Ale panie Buddenbrook z Breitenstrasse nie płakały; nie było to w ich zwyczaju. Twarze ich, mniej złośliwe niż zwykle, wyrażały ciche zadowolenie z bezstronnej sprawiedliwości śmierci...

Potem, gdy przebrzmiało ostatnie „Amen” pastora Pringsheima, weszli czterej ludzie w stosownych kapeluszach, cicho, a jednak tak szybko, że wydymały się ich czarne płaszcze, i podeszli do trumny. Byli to znani wszystkim czterej wynajmowani lokaje, którzy zawsze na proszonych obiadach w najlepszych domach roznosili ciężkie półmiski i wypijali na korytarzach m~ollendorpfowskie wino. Ale byli również nieodzowni na każdym pogrzebie pierwszej i drugiej klasy, a zręczność ich w tej robocie była wielka. Wiedzieli oni, że swoim taktem i sprawnością muszą pomóc bliskim w przetrwaniu chwili, kiedy obcy ludzie wynoszą spośród nich i zabierają na zawsze trumnę. Dwoma czy trzema szybkimi, bezgłośnymi i silnymi ruchami podnieśli trumnę z katafalku na ramiona i zaledwie ktoś zdążył uprzytomnić sobie okropność tej chwili, już, okryta kwiatami, zakołysała się i wyniesiona natychmiast, a jednak w miarowym tempie, znikła w sali kolumnowej.

Panie zaczęły podchodzić ostrożnie, by uścisnąć rękę pani Permaneder i jej córce, przy czym ze spuszczonej oczami wymawiały sakramentalne wyrazy, jakie zazwyczaj mówi się w podobnych chwilach, panowie zaś kierowali się ku wyjściu, by zająć miejsca w swych powozach...

I w rozciągniętym, powolnym pochodzie ruszył długi, czarny kondukt przez szare, wilgotne ulice, za bramę miasta, wzdłuż nagiej, drżącej w drobnym, zimnym deszczu alei, aż do cmentarza, gdzie przy

dźwiękach rozbrzmiewającego zza obnażonych krzewów marsza żałobnego szło się za trumną rozmiękłymi drózkami do miejsca, gdzie na skraju wznosiła się zakończona krzyżem z piaskowca gotycka tablica Buddenbrookowskiego grobowca... Kamienna płyta grobu, ozdobiona rodzinnym herbem, leżała obok czarnego, otoczonego wilgotną zielenią otworu.

Było to miejsce przygotowane dla nowego przybysza. Senator dopilnował w ostatnich dniach, by wszystko na tym miejscu doprowadzono do porządku, a szczątki dawnych Buddenbrooków usunięto na bok. Przy dźwiękach muzyki opuszczono na sznurach trumnę do obmurowanego grobu; z przytłumionym łoskotem oparła się o dno, a pastor Pringsheim, naciągnawszy mitenki, znowu zaczął mówić. W chłodnym i cichym jesiennym powietrzu wyćwiczony jego głos czysto, barwnie i nabożnie rozbrzmiewał nad otwartym grobem i opuszczonymi lub rzewnie pochylonymi na bok głowami obecnych panów. W końcu pochylił się nad grobem, przemówił do zmarłej, wymieniając jej imię i nazwisko i błogosławiąc ją znakiem krzyża. Gdy umilkł, a wszyscy panowie, pogrążeni w cichej modlitwie, w czarno odzianych dłoniach trzymali przed twarzami cylindry, ukazało się słońce. Deszcz ustał, a wśród szmeru kropel, opadających z drzew i krzewów, odezwał się tu i ówdzie krótki, delikatny i jak gdyby pytający świergot ptaków.

A potem każdy starał się uścisnąć jeszcze raz rękę synom i bratu zmarłej.

Tomasz Buddenbrook w grubym, ciemnym palcie, zroszonym drobnymi srebrnymi kroplami, stał między bratem Chrystianem a wujem Justusem. Utył on nieco w ostatnich czasach, co w jego starannie utrzymanej powierzchowności było jedyną oznaką, iż się starzeje. Policzki jego, na których rysowały się cienko zakończone wąsy, były trochę zaokrąglone, ale blade i białe, bez krwi i życia. Lekko zaczerwienione oczy patrzyły z wyrazem chłodnej grzeczności na każdego z panów, którego rękę trzymał przez chwilę w swojej.

Rozdział czwarty

W tydzień później w prywatnym gabinecie senatora Buddenbrooka siedział obok biurka, na fotelu obitym skórą, mały, gładko wygolony starzec z białymi włosami, zaczesanymi głęboko na czoło i skronie. Siedział przygarbiony, trzymając obie ręce na białej gałce swej laski i opierając wystającą brodę na rękach. Jego brzydkie, chytre i przenikliwe spojrzenie utkwione było w senatorze, a wargi miał tak złośliwie zaciśnięte i kąty ust ściągnięte ku dołowi, że wydawało się niezrozumiałe, dlaczego senator nie unikał raczej styczności z takim człowiekiem. Ale Tomasz Buddenbrook, wygodnie rozparty na krześle, z całym spokojem rozmawiał z tą niemiłą i demoniczną postacią jak ze zwykłym człowiekiem... Były to obrady między właścicielem firmy „Jan Buddenbrook” a maklerem Zygmuntem Goschem dotyczące sumy sprzedażnej starego domu na Mengstrasse.

Trwały one dość długo, gdyż wymieniona przez pana Goscha suma dwudziestu ośmiu tysięcy talarów wydawała się senatorowi zbyt niska, podczas gdy makler klął się na piekło, że nie może dodać ani grosza, gdyż byłby to czyn człowieka szalonego. Tomasz Buddenbrook mówił o centralnym położeniu i o niezwykłej rozległości placu, pan Gosch jednak, wykrzywiając usta i gestykulując w sposób budzący przerażenie, wypowiedział syczącym, zduszonym i zawziętym głosem przemowę o olbrzymim ryzyku, na jakie się waży – którą dzięki jego żywości i przenikliwości można by nazwać raczej poematem... Ha! Kiedy, komu, za ile będzie mógł ten dom odstąpić? Kiedyż w ciągu toczących się wieków nadejdzie popyt na takie place? Czy może szanowny jego przyjaciel i

dobrodziej wie o jakimś nababie, który nadjedzie jutro z Indii wprost przez B~uchen, by przyjrzeć się Buddenbrookowskiemu domostwu? On, Zygmunt Gosch, zostanie z tym na koszu... na koszu z tym zostanie, a potem będzie zgubionym, zdruzgotanym człowiekiem, który nie zdoła się już podnieść, wybije jego godzina, otworzy się przed nim grób, grób się przed nim otworzy... I zachwycony widocznie tym zwrotem mruknął jeszcze coś o czyhających lemurach i o grudkach ziemi, padających głucho na grobową płytę.

Senatora nie zadowoliło to jednak. Mówił o doskonałych warunkach placu, kładł nacisk na odpowiedzialność w stosunku do rodzeństwa i obstawał przy sumie trzydziestu tysięcy talarów, by następnie z uczuciem przyjemności i zdenerwowania jednocześnie wysłuchać dobrze skomponowanej odpowiedzi pana Goscha. Rozmowa trwała około dwu godzin, podczas których pan Gosch miał okazję poruszyć wszystkie rejestry swej sztuki odtwarzania charakterów. Odgrywał podwójną rolę, grał chytrego złoczyńcę. – Zgódź się pan, mój młodzieńczy łaskawco... osiemdziesiąt cztery tysiące marek... jest to propozycja starego, uczciwego człowieka! – mówił słodkim głosem, przechylając na bok głowę, wykrzywiając w szczerym, prostodusznym uśmiechu swą twarz zniekształconą grymasem i wyciągając dużą białą dłoń o długich i drżących palcach. Ale było to kłamstwo i obłuda! Dziecko nawet mogło być przejrzeć tę chytrą maskę, spod której wylaniało się ukryte szkaradne łotrostwo tego człowieka...

W końcu Tomasz Buddenbrook oznajmił, że zanim zgodzi się na dwadzieścia osiem tysięcy talarów, musi się jeszcze namyślić i porozumieć z rodzeństwem, jest to jednak wątpliwe. Przeniósł rozmowę na grunt neutralny; pytał o interesy pana Goscha, o jego zdrowie...

Panu Goschowi źle się powodziło; pięknym, szerokim ruchem ręki zaprzeczył wyrażonemu przez Tomasza zapatrywaniu, że powinien uważać się za szczęśliwego. Zbliżała się uciążliwa starość, właściwie już nadeszła i, jak poprzednio nadmienił, grób był już przed nim otwarty. Wieczorem nie może podnieść do ust szklanki grogu, żeby połowy nie wylać, tak diabeł trzęsie jego ręką. Nic tu nie pomagają przekleństwa... Wola już nie triumfuje... A jednak! Ma poza sobą życie, tak jest, życie niezupełnie ubogie. Bacznie przyglądał się światu. Przeszumiały wojny i rewolucje, a ich burzliwy nurt przeszedł również przez jego serce... jeśli można się tak wyrazić. Ha, do licha, inne były to czasy, gdy podczas historycznego posiedzenia Komitetu Obywatelskiego uśmierzał przy boku ojca senatora, konsula Buddenbrooka, wściekłość tłumu! Najstraszliwszą ze strasznych... Nie, życie jego również i wewnątrz nie było ubogie. Do licha, czuł w sobie siły, a jakie siły, taki ideał – mówi Feuerbach. I jeszcze teraz... teraz jeszcze... dusza jego nie zubożała, serce pozostało młode, nigdy nie przestał, nigdy nie przestanie odczuwać potężnych przeżyć, nie sprzeniewierzy się swym ideałom... Zabierze je do grobu, tak, z pewnością! Ale czyż po to są ideały, by je osiągać i urzeczywistniać? Żadną miarą! Nie pożąda się gwiazd, ale nadzieja... o, nadzieja, nie spełnienie, jest najcenniejsza w życiu. *L'esp~erance, toute trompeuse qu'elle est, sert au moins ~a nous mener ~a la fin de la vie par un chemin agr~eable.*»* Tak powiedział La Rochefoucauld i to jest piękne, prawda? ... Cóż, jego szanowny przyjaciel i łaskawca nie wie nic o takich rzeczach! Kogo uniósł na swych ramionach nurt rzeczywistego życia, czyje czoło opromienia szczęście, ten nie zaprzęta sobie myśli takimi rzeczami. Ale kto samotnie marzy w głębokich ciemnościach, temu ich potrzeba!...

–Pan jest szczęśliwy – powiedział nagle, kładąc dłoń na kolanie senatora i patrząc na niego rozmarzonym wzrokiem. – ...O tak! Niech pan nie grzeszy przecząc! Pan jest szczęśliwy. Trzyma pan

szczęście w ramionach! Wyruszył pan i zdobył mocnym ramieniem... mocną ręką!

–poprawił się nie mogąc znieść powtórzenia wyrazu „ramię”. Potem umilkł i nie dosłyszawszy protestującej i zrezygnowanej odpowiedzi senatora mówił dalej, patrząc na niego z wyrazem smutnej zadumy. Nagle wstał.

–Ale my tu gawędzimy – rzekł

–a przecież zeszliśmy się, by mówić o interesach. Czas to pieniądz – nie traćmy go na rozważania! Niech pan posłucha... Ponieważ to jest pan... Pojmuje pan? Ponieważ...

–Zdawało się, że pan Gosch chce znowu pograć się w pięknych myślach, ale opamiętał się i zawołał z szerokim, pełnym rozmachu i entuzjastycznym gestem: – Dwadzieścia dziewięć tysięcy talarów... Osiemdziesiąt siedem tysięcy marek za dom matki pana! Zrobione?...

I senator Buddenbrook zgodził się.

Pani Permaneder, jak to było do przewidzenia, uznała tę sumę za śmiesznie małą. Gdyby ktoś ze względu na jej związane z domem wspomnienia położył na stół milion, uznałaby to za ledwie za przyzwoity sposób postępowania – nic więcej. Oswoiła się jednak szybko z wymienioną przez brata cyfrą, zwłaszcza że myśli jej pełne były planów na przyszłość.

Nadzieja, mimo iż zwodnicza, pomaga nam przynajmniej dojść do końca życia przyjemną drogą, (franc., przeł.

T.»Żeleński_boy).

Cieszyła się serdecznie z licznych, wygodnych sprzętów, które przypadły jej w udziale, a chociaż nikt dotąd nie pomyślał o wyrzuceniu jej z rodzicielskiego domu, z zapałem zajęła się wyszukaniem nowego mieszkania dla siebie i swoich. Pożegnanie będzie smutne... zapewne, myśl o nim wyciskała jej łzy z oczu. Ale z drugiej strony przewidywane zmiany i nowości miały jednak swój urok... Czyż nie było to prawie jak gdyby nowe, czwarte etablowanie się? Znowu oglądała mieszkania, znowu konferowała z tapicerem Jacobsem, znowu rozprawiała w sklepach o dywanach i portierach... Serce jej biło, doprawdy, serce tej starej, zawiedzionej przez życie kobiety biło żywiej!

Tak mijały tygodnie, cztery, pięć i sześć tygodni. Spadł pierwszy śnieg, nadeszła zima, w piecach trząskał ogień, a Buddenbrookowie smutno rozmyślali, jak tym razem upłyną święta... Ale nagle nastąpiło coś dramatycznego, coś ponad wszelką miarę niespodziewanego, sprawy wzięły obrót wzbudzający ogólne zainteresowanie; zaszło pewne wydarzenie... Spadło ono niespodziewanie i sprawiło, że pani Permaneder oderwała się od swych interesów i osłupiała!

–Tomaszu – mówiła – czy ja oszalałam? Może Goschowi coś się przywidziało? Przecież to niemożliwe! To jest zbyt absurdalne, nie do pomyślenia, to jest zbyt... – Umilkła i przycisnęła obie ręce do skroni. Ale senator wzruszył ramionami.

–Drogie dziecko, nic nie jest jeszcze rozstrzygnięte; ale wyłoniła się ta myśl, ta możliwość, a po spokojnym zastanowieniu sama uznasz, że nie ma w tej sprawie nic nadzwyczajnego. Zapewne jest to

nico zaskakujące. Ja też cofnąłem się o krok, gdy mi to Gosch powiedział. Ale nie do pomyślenia? Cóż tu stoi na przeszkodzie?...

–Ja tego nie przeżyję – powiedziała i usiadła bez ruchu na krześle.

Co właściwie zaszło? – Znalazł się już nabywca lub raczej osoba, która objawiła zainteresowanie dla tej sprawy i wyraziła życzenie gruntownego obejrzenia wystawionej na sprzedaż nieruchomości celem podjęcia dalszych pertraktacji. A tym „kimś” był pan Herman Hagenstr~om, kupiec hurtowy i konsul królewsko_portugalski.

Gdy pierwsza wieść doszła do pani Permaneder, obezwładniła ją ona, oszołomiła, wprawiła w takie osłupienie, że nie mogła uwierzyć, nie była zdolna objąć tej myśli w całej pełni. Teraz jednak, gdy sprawa zarysowała się coraz wyraźniej, gdy odwiedziny konsula Hagenstr~oma na Mengstrasse mogły nastąpić w każdej chwili, opamiętała się i życie w nią wstąpiło. Nie protestowała, lecz buntowała się. Znajdowała płomienne, siekące wyrazy i rzucała je jak pochodnie i topory wojenne.

–To się nie stanie, Tomaszu!

Dopóki ja żyję, to się nie stanie! Kiedy się sprzedaje swego psa, to zważa się na to, w jakie ręce go się oddaje. A dom matki! Nasz dom! Pokój pejzażowy!...

–Ależ pytam się ciebie, co tu właściwie stoi na przeszkodzie?

–Co stoi na przeszkodzie?

Wielki Boże, co stoi na

przeszkodzie? Gdybyż góry stały

na przeszkodzie temu

tłusciochowi, Tomaszu! Góry! Ale

on nie zauważyłby ich! Nie

troszczyłby się o to. Żadnego

uczucia! Czyż to jest

człowiek?... Od wieków

Hagenstr~omowie są naszymi przeciwnikami... Stary Henryk szykanował naszego dziadka i ojca, a jeśli Herman nie mógł ci dotąd uczynić nic złego, jeśli nie rzucał ci kamieni pod nogi, to tylko dlatego, że nie miał jeszcze okazji... Kiedyśmy byli dziećmi, spoliczkowałam go na ulicy, ku czemu miałam swoje powody, a jego rozkoszna siostra Julcia podrapała mnie za to prawie na śmierć. To są dzieciństwa... dobrze! Ale gdy spadały na nas nieszczęścia, patrzył na to urągliwie, sprawiało im to zawsze wielką radość, a przeważnie ja dostarczałam im tej przyjemności... Wola boska... Ale jak

dalece konsul szkodził ci w interesach, jak bezwstydnie cię prześcigał, to sam wiesz najlepiej. Tom, ja nie mogę cię o tym pouczać. A gdy na koniec Eryka dobrze wyszła za mąż, dręczyło ich to tak długo, aż wreszcie dopięli swego i wykreślili dyrektora z Towarzystwa, i zamknęli go przy pomocy brata, tego szatana, tej hieny adwokackiej... A teraz są tak bezczelni, że chcą... ale nie ośmielą się...

–Słuchaj, Toni, po pierwsze niewiele już mamy tu do powiedzenia, gdyż zawarliśmy umowę z Goschem i teraz od niego zależy, z kim zakończy interes. Nie przeczę, że jest w tym pewna ironia losu...

–Ironia losu? Może być, Tom, to jest twój sposób wyrażania się! Ale ja nazywam to hańbą, uderzeniem pięścią w twarz i tak naprawdę jest!... Czy nie zdajesz sobie sprawy, co to oznacza! Pomyśl nad tym, co by to mogło oznaczać! Będzie to oznaczało: Buddenbrookowie są ostatecznie skończeni, wynoszą się, a Hagenstr~omowie z hukem i trzaskiem zajmują ich miejsce... Nigdy, Tomaszu, nigdy nie przyczynię się do tego przedstawienia! Nigdy nie przyłożę ręki do tej nikczemności! Niech on tylko tu przyjdzie, niech tylko odważy się przyjść obejrzeć dom. Ja go nie przyjmę, wierzaj mi! Zamknę się na klucz razem z moją córką i wnuczką i zabronię mu wstępu, tak postąpię...

–Postąpisz tak, jak będziesz uważała za stosowne, moja kochana, ale przedtem może zastanowisz się, czy nie byłoby wskazane zachować przyzwoite formy towarzyskie.

Prawdopodobnie wyobrażasz sobie, że konsul Hagenstr~om będzie się czuł bardzo dotknięty twym zachowaniem? Jesteś w błędzie, moje dziecko. Aniby go to ucieszyło, ani zmartwiło, co najwyżej byłby zdziwiony, chłodno i obojętnie zdziwiony... Cała rzecz w tym, że podejrzewasz go o to, iż żywi względem nas uczucia podobne do tych, jakie ty żywisz względem niego. Mylisz się, Toni! On cię bynajmniej nie nienawidzi. Za cóż miałby cię nienawidzić? Nie nienawidzi nikogo. Nurza się w szczęściu i powodzeniu i pewien jest pogody i wesołości, wierzaj mi. Więcej niż dziesięć razy upewniałem cię, że najuprzejmiej kłaniałby ci się na ulicy, gdybyś się choć raz przewyciężyła i nie patrzyła przed siebie tak wojowniczo i wyniośle. Dziwi się temu, przez dwie minuty odczuwa spokojne i nieco drwiące zdziwienie, niezdolne wyprowadzić z równowagi człowieka, któremu nie można nic zarzucić... Co ty mu zarzucasz? Jeśli pod względem handlowym mocno mnie prześcignął, a od czasu do czasu występuje przeciwko mnie z powodzeniem w sprawach publicznych – doskonale, jest tedy zapewne zdolniejszym kupcem i lepszym politykiem niż ja... Nie masz bynajmniej powodu śmiać się z taką wściekłością! Powracając do kwestii domu, to przecież dla rodziny nie ma on już od dawna istotnego znaczenia, stopniowo przeszło ono na mój dom... mówię to, by cię pocieszyć. Z drugiej strony to zupełnie jasne, w jaki sposób konsul Hagenstr~om wpadł na pomysł kupna domu. Ci ludzie dopiero wypłynęli, rodzina ich się powiększa, są spowinowaceni z M~ollendorpfami, a pod względem majątku i znaczenia zrównali się z pierwszymi w mieście. Dotąd jednak brakowało im czegoś, czegoś zewnętrznego, z czego dotychczas rezygnowali, pełni wyższości i nie żywiący przesądów... Sankcja historii, że tak powiem, legalizacja... Zdaje się, że teraz nabrali apetytu na to i zakupując taki dom jak ten, zdobywają trochę tych rzeczy... Zobaczysz, konsul zachowa tu, co tylko będzie można, nic nie przebuduje, zostawi również „Dominus providebit” nad drzwiami, chociaż należy mu oddać sprawiedliwość, że nie Pan Bóg, lecz jedynie on sam doprowadził firmę „Strunk Hagenstr~om” do tak znacznego rozkwitu...

–Brawo, Tom! Ach, jak to przyjemnie usłyszeć choć raz od ciebie coś złośliwego o nim! To jest

właściwie wszystko, czego chcę! Mój Boże, gdybym miała twój rozum, dopiero bym mu pokazała! Ale ty tylko stoisz tu...

–Sama widzisz, że mój rozum nie na wiele mi się przydaje.

–Ale ty tylko stoisz tu, jak powiadam, i mówisz o tym z niezrozumiałym spokojem i objaśniasz mi postępowanie Hagenstr~oma... Ach, mów, co chcesz, masz serce tak samo jak ja i po prostu nie wierzę, że jesteś w głębi duszy tak spokojny, jak udajesz... Odpowiadasz mi na moje skargi... a może tylko sam chcesz się pocieszyć...

–Teraz stajesz się

niedyskretna, Toni. Jeżeli udaję, to tak być powinno – i wypraszam to sobie! To już nikogo nie obchodzi.

–Powiedz mi tylko to jedno.

Tom, błagam cię: czy nie byłoby to jak majaczenie w malignie?

–Najzupełniej.

–Zmora?

–I to możliwe.

–Rozpaczliwa tragikomedია?

–Dosyć! Dosyć!

I konsul Hagenstr~om zjawił się na Mengstrasse, przybył z panem Goschem, ten zgarbiony, ze swoim jezuickim kapeluszem w ręku, rozglądając się zdradziecko, przeszedł za konsulem obok pokojówki, która przyniosła była ich bilety, teraz zaś otwarła przed nimi oszklone drzwi...

Herman Hagenstr~om, w długim, grubym, ciężkim odpiętym futrze, spod którego widać było zimowe ubranie z żółtozielonego, włochatego angielskiego materiału, był postacią wielkomięską, imponującym typem giełdjarza. Był tak niezwykle tłusty, że nie tylko podbródek, ale i cała dolna część twarzy była podwójna, nie zakrywała tego krótka jasna broda, a ostrzyżona skóra czaszki przy niektórych ruchach tworzyła nawet na czole i brwiach grube fałdy. Nos jego zwieszał się nad górną wargą, jeszcze bardziej płaską niż dawniej, i z trudem wydychał powietrze w wąsy, od czasu do czasu usta musiały jednak przychodzić z pomocą, otwierając się w szerokim oddechu. I zawsze jeszcze dawał się przy tym słyszeć łagodny mlaskający odgłos, wywołany powolnym odrywaniem się języka od podniebienia.

Pani Permaneder przybladła usłyszawszy ten odgłos, znany jej z dawnych czasów. Ukazała jej się wizja maślanej bułki z truflową kielbasą i sztrasburskim paszтетem z gęsich wątróbek i na mgnienie oka o mało nie zachwiała kamienną godnością jej postawy... W żalobnym czepeczku na gładko przyczesanych włosach, w doskonale leżącej czarnej sukni, obszytej falbanami od stanu aż do dołu,

siedziała na sofie ze skrzyżowanymi rękami, podniósłszy nieco ramiona, i w chwili gdy panowie wchodzili do pokoju, rzuciła obojętną i spokojną uwagę bratu, senatorowi, który nie miałby nic na swoje usprawiedliwienie, gdyby ją w owej chwili zawiódł... Siedziała jeszcze i wówczas, gdy senator podszedł ku gościom, zamieniając z maklerem Goschem serdeczne, z konsulem zaś poprawnie grzeczne powitanie, po czym i ona wstała, lekko skłoniła się obu jednocześnie i za przykładem brata, choć bez zbytniego zapału, wskazała panom miejsca, prosząc, by łaskawie usiedli. Oczy jej, pełne niewzruszonej obojętności, były prawie zupełnie zamknięte.

Podczas zajmowania miejsc i

przez następne kilka minut

mówili na przemian konsul i

makler. Pan Gosch z odpychająco

sztuczną pokorą, za którą w

sposób widoczny dla wszystkich

czaiła się chytryść,

najuprzejmiej prosił o

wybaczenie, że przeszkadzają, jednak pan konsul Hagenstr~om pragnie obejrzeć dom, ponieważ ewentualnie reflektowałby na kupno... A potem konsul, głosem, który znowu przypomniiał pani Permaneder maślane bułki, powtórzył to samo innymi słowami. Tak jest, istotnie, przyszło mu to na myśl, a myśl zmieniła się w pragnienie, które ma nadzieję urzeczywistnić dla siebie oraz swej rodziny, oczywiście, o ile pan Gosch nie będzie chciał zrobić przy tym zbyt dobrego interesu, ha, ha! ... Nie wątpi też, że sprawa zostanie załatwiona ku ogólnemu zadowoleniu.

Zachowanie jego było swobodne, beztroskie, pogodne i światowe, co nie pozostało bez wrażenia na pani Permaneder, zwłaszcza że z kurtuazji zwracał się prawie ciągle do niej. Zapuścił się nawet w dokładniejsze motywowanie swych pragnień, mówiąc z odcieniem usprawiedliwienia:

–Przestrzeń! więcej

przestrzeni! Mój dom na Sandstrasse... nie uwierzyłaby łaskawa pani ani pan, panie senatorze... staje się istotnie za ciasny, czasem nie możemy się tam ruszyć. Nie mówię już o przyjęciach... broń Boże. Wystarczy, by zebrała się rodzina, Huneusowie, M~ollendorpfowie, krewni mego brata Maurycego... byśmy się czuli jak śledzie w beczce. Więc dlaczegoż... nieprawda?

Mówił tonem lekkiego oburzenia, wyraz jego twarzy i ruchy mówiły: pojmują państwo... po cóż mam to znosić... chyba byłbym głupi... skoro, chwała Bogu, nie brak środków, by sobie poprawić warunki...

–Chciałem czekać – ciągnął dalej – chciałem czekać, aż Zerlinie i Bobowi będzie potrzebny dom, i

dopiero wtedy oddać im własny, a samemu rozejrzeć się za czymś większym, ale... państwo wiedzą – przerwał sobie – że moja córka Zerlina i Bob, najstarszy syn brata, adwokata, od wielu lat są zaręczeni... Ślubu nie można już zbyt długo odkładać... Najwyżej jeszcze ze dwa lata... Są młodzi... tym lepiej! Ale jednym słowem, po cóż mam na nich czekać i tracić dobrą okazję, gdy się nadarza? Rzeczywiście, nie miałyoby to sensu...

Wszyscy byli tegoż zdania i rozmowa obracała się przez chwilę wokół owej rodzinnej sprawy projektowanego małżeństwa; ponieważ zaś korzystne małżeństwa między kuzynostwem nie były w mieście niczym niezwykłym, nikt się temu nie dziwił. Dowiadywano się o plany państwa młodych, plany, które dotyczyły już nawet podróży poślubnej... Mieli zamiar pojechać na Riwierę, do Nicei itd. Mieli na to ochotę, więc dlaczego by nie, nieprawda?... Wspomniano również o młodszych dzieciach i konsul, wzruszając ramionami, mówił o nich lekko, z zadowoleniem i przyjemnością. On sam miał pięcioro dzieci, a jego brat, Maurycy, czworo: synów i córki... Tak, bardzo dziękuję; wszyscy czują się doskonale. Dlaczegoż właściwie nie mieliby się doskonale czuć, nieprawda?

Słowem, dobrze im się powodzi. A

zatem znowu zaczął opowiadać o

przeszłości rodziny i ciasnocie

domu... – Tak, ten to zupełnie

co innego! – powiedział. –

Mogłem to już zauważyć wchodząc

tutaj. Ten dom to perła, perła

bez wątpienia, jeśli można użyć

takiego porównania przy tych

rozmiarach, ha, ha!... Choćby

same tapety... przyznam się

szanownej pani, że podczas

naszej rozmowy ciągle

podziwiałem te tapety.

Zachwycający pokój.

Rzeczywiście! Gdy pomyślę... tutaj spędziliście państwo całe życie...

–Z pewnymi przerwami... tak – rzekła pani Permaneder owym gardłowym głosem, który był jej niekiedy właściwy.

–Z przerwami... tak –

powtórzył konsul z uprzedzającym uśmiechem. Potem rzucił okiem na senatora Buddenbrooka i pana Goscha, że zaś obaj panowie zajęci byli rozmową, przysunął się z krzesłem do siedzącej na sofie pani Permaneder i nachylił się do niej tak, że teraz słyszała jego ciężkie sapanie tuż przy swej twarzy. Zbyt grzeczna, by się odwrócić i usunąć poza obręb jego oddechu, siedziała sztywno i możliwie prosto, spoglądając na niego z góry spod spuszczonej powiek. Ale on bynajmniej nie zauważył jej wymuszonej i niewygodnej pozycji.

–Jakże to tam było, łaskawa pani – rzekł... – zdaje mi się, że już kiedyś mieliśmy ze sobą do czynienia? Wówczas szło oczywiście tylko... o co to właściwie? Łakocie, cukierki, co?... A teraz o cały dom...

–Nie przypominam sobie – powiedziała pani Permaneder prostując się jeszcze bardziej, gdyż twarz jego znajdowała się nieprzyzwoicie i nieznośnie blisko...

–Pani sobie nie przypomina?

–Nie, prawdę powiedziawszy,

nic nie wiem o cukierkach. Majaczy mi się coś o maślanej bułce z tłustą kiełbasą... o dosyć obrzydliwym śniadaniu... Nie pamiętam, czy należało ono do mnie, czy do pana... Byliśmy wtedy dziećmi... Ale dzisiaj, z domem, jest to przecież wyłącznie sprawa pana Goscha...

Rzuciła bratu szybkie, pełne wdzięczności spojrzenie, zrozumiał bowiem jej przykrość i pośpieszył z pomocą zapytując uprzejmie, czy nie zechcieliby panowie przede wszystkim obejrzeć dom. Panowie chętnie przyjęli propozycję i tymczasem pożegnali panią Permaneder, mieli bowiem miłą nadzieję ujrzenia jej jeszcze... a następnie senator wyprowadził gości przez salę jadalną.

Prowadził ich na górę i na dół, pokazał pokoje na drugim piętrze, jak również sąsiadujące z korytarzem pierwszego piętra, potem parter, a nawet kuchnię i piwnicę. Co się tyczy pomieszczeń biurowych, to zaniechano zwiedzania ich, ponieważ były to godziny pracy. Zamieniono parę słów o nowym dyrektorze, konsul Hagenstr~om dwukrotnie wyraził się o nim jako o człowieku z gruntu uczciwym, na co senator odpowiedział milczeniem.

Przeszli potem przez nagi, pokryty na pół roztopionym śniegiem ogród, rzucili okiem na altanę i powrócili na podwórze, tam gdzie położona była pralnia, by następnie wąskim wybrukowanym chodnikiem przejść między murami przez drugie podwórze, gdzie rósł dąb, aż do tylnego budynku. Panowało tu zaniedbanie i ruina. Między kamieniami bruku rosła trawa i mech, schody domu były rozwalone i tylko przelotnie, otwierając drzwi, zaniepokojono rodzinę kotów, gdyż podłoga zbyt była niepewna, by można było wejść do sali bilardowej.

Konsul Hagenstr~om był milczący i widocznie zajęty rozważaniami i planami. – No tak – powtarzał ciągle obojętnie i bez pochwały, okazując tym, że gdyby on został tu panem, wszystko to oczywiście nie mogłoby tak dalej wyglądać. Z takim samym wyrazem twarzy zatrzymał się na chwilę na twardej gliniastej ziemi, spoglądając w górę ku pustym spichrzom. – No tak – powtórzył, wprawił na chwilę w ruch wahadłowy grubą linę z zardzewiałym hakiem do wciągania zboża, wiszącą tu od wielu lat beczynnie, i obrócił się na obcasie.

–Tak, dziękuję serdecznie, że pan się fatygował, panie senatorze; to już chyba wszystko – powiedział i odtąd już milczał niemal bez przerwy, gdy szybko powracali do frontowego budynku, a także w pokoju pejzażowym, gdzie obaj goście, nie siadając już, pożegnali się z panią Permaneder, po czym Tomasz Buddenbrook sprowadził ich ze schodów przez sień. Zaledwie się jednak pożegnali i zaledwie konsul Hagenstr~om, wychodząc na ulicę, zwrócił się do swego towarzysza, maklera Goscha, można było zauważyć, że od razu zawiązała się między nimi niezmiernie żywa rozmowa...

Senator wrócił do pejzażowego pokoju, gdzie na swoim miejscu przy oknie siedziała pani Permaneder, wyprostowana i z surową miną, robiąc na dwóch drewnianych drutach czarną wełnianą sukienkę dla swej wnuczki, małej Elżbiety, i od czasu do czasu rzucając okiem w kierunku okna.

–Pozostawiłem go maklerowi – powiedział – trzeba poczekać, co z tego wyniknie. Sądzę, że kupi całość, tu od frontu zamieszka, a tylne zabudowania inaczej zużytkuje...

Nie spojrziała na niego, nie zmieniła wyprostowanej postawy i nie przestała poruszać drutami; wprost przeciwnie, szybkość, z jaką migały w jej rękach, widocznie się zwiększyła.

–O, na pewno kupi, kupi całość – rzekła swym gardłowym głosem, jakiego czasem używała.

–Dlaczegoż nie miałby kupić, nieprawda? Nie miałoby to rzeczywiście sensu.

I podniósłszy brwi sponad swych binokli, których musiała używać teraz przy robocie, ale których zupełnie nie umiała nakładać, spojrziała sztywno i surowo na druty, które migały teraz z zawrotną szybkością i cichym klekotem.

Nadeszły święta Bożego

Narodzenia – pierwsze święta bez konsulowej. Wieczór wigilijny obchodzono w domu senatora, bez pań Buddenbrook z Breitenstrasse i bez starych Krögerów; gdyż tak jak skończyły się rodzinne „czwartki”, tak samo Tomasz Buddenbrook nie miał ochoty gromadzić i obdarowywać u siebie wszystkich krewnych, których konsulowa przyjmowała tego wieczora. Zaproszono jedynie panią Permaneder z Eryką Weinschenk i małą Elżbietą, Chrystiana, Klotyldę, klasztorną damę, oraz mademoiselle Weichbrodt, która następnego wieczora nie omieszkała urządzić w swych mocno ogrzanych pokoikach zwykłej gwiazdki połączonej z nieszczęśliwymi wypadkami.

Brakowało biednych, którzy na Mengstrasse otrzymywali w podarku obuwie i wełniane rzeczy, nie było też chóru chłopców. W salonie odśpiewano jedynie „Cichą noc”, po czym, zastępując senatorową, która nieosobliwie to lubiała, Teresa Weichbrodt odczytała jak najdokładniej rozdział o Bożym Narodzeniu; potem zaś, śpiewając półgłosem pierwszą strofkę starej pieśni „O, Tannenbaum”, przewędrowano przez amfiladę pokoi do dużej sali.

Nie miano szczególnego powodu do radosnych obchodów. Twarze nie promieniały szczęściem, a rozmowy niezbyt były radosne. O czymże mieli gawędzić? Nie było bardzo wesoło na świecie. Wspominano nieboszczkę matkę, mówiono o sprzedaży domu, o jasnym mieszkaniu, które pani Permaneder wynajęła za Holstentor w miłym domku na wprost Lindenplatz, jako też o tym, jak to będzie, gdy Hugo Weinschenk zostanie uwolniony... Mały Jan odegrał na fortepianie parę utworów, które wyćwiczył z panem Pfuhlem, oraz z pewnymi błędami, ale bardzo dźwięcznie akompaniował matce wykonując wraz z nią sonatę Mozarta. Wychwalano go i całowano, zaraz potem jednak Ida Jungmann zaprowadziła go do łóżka, wydawał się bowiem dziś bardzo blady i zmęczony po dopiero co przebyłym rozstroju kiszek.

Nawet Chrystian, który od owego starcia w pokoju śniadaniowym nie oświadczył nic nowego o swych matrymonialnych zamiarach i po staremu był z bratem w niezbyt zaszczytnych dla siebie stosunkach, nie miał ochoty do rozmowy ani do żartów. Błądząc oczami wokoło, próbował wzbudzić w obecnych nieco współczucia dla swego „cierpienia” w lewym boku i wcześniej poszedł do klubu, by powrócić dopiero na tradycyjną kolację. I oto mieli już Buddenbrookowie za sobą wieczór wigilijny, z czego się prawie cieszyli.

W początkach siedemdziesiątego drugiego roku dom zmarłej konsulowej został zlikwidowany. Służące odeszły, a pani Permaneder dziękowała Bogu, że panna Severin, która w sposób niemożliwy

do zniesienia do końca kwestionowała jej autorytet w gospodarstwie, również sobie poszła wraz z zabranymi jedwabnymi sukniami i sztukami bielizny. Na Mengstrasse zajechały wozy meblowe i rozpoczęło się opróżnianie starego domu. Wielka rzeźbiona skrzynia, złożone kandelabry oraz inne rzeczy, które dostały się senatorowi i jego małżonce, zostały przeniesione na Fischergrube, Chrystian wprowadził się ze swoimi rzeczami do trzypokojowej garsoniery, położonej w pobliżu klubu, a nieliczna rodzina Permaneder_ weinschenk przeniosła się do widnego i urządzonego nie bez pretensji do wytworności mieszkania przy Lindenplatz. Było to nieduże, ładne mieszkanie, na którego drzwiach widniał wyryty na miedzianej tabliczce napis:

„A. Permaneder_ buddenbrook,
wdowa”.

Zaledwie jednak dom na

Mengstrasse opustoszał, zjawiała się na miejscu gromada robotników, którzy zaczęli rozbierać tylny budynek, aż ciemny pył ze starego wapna zasnuł powietrze... Plac przeszedł ostatecznie na własność konsula Hagenstr~oma. Nabył go, zdawało się, że kupno to było jego punktem honoru, natychmiast bowiem podbił cenę, jaką panu Zygmuntowi Goschowi zaproponowano z Bremy, teraz zaś zaczął rozporządzać swym domem z pomysłowością, jaką od dawna u niego podziwiano. Zaraz na wiosnę wprowadził się wraz z rodziną do frontowego budynku, pozostawiając wszystko po dawnemu tam, gdzie tylko to było możliwe, prócz niewielkiego remontu i pewnych niezwłocznie uskuteczniionych zmian, odpowiadających nowszemu czasom, tak na przykład skasowano wszystkie sznurki od dzwonek i dom otrzymał wyłącznie elektryczne instalacje...

Znikł też z powierzchni ziemi tylny budynek, miejsce zaś jego zajęła nowa budowla, ozdobna i przestronna, z frontem zwróconym ku B~ackergrube, zawierająca wysokie i obszerne pomieszczenia na sklepy i magazyny.

Pani Permaneder niejednokrotnie przysięgała bratu swemu, Tomaszowi, że odtąd żadna ziemską siłą nie zmusi jej do spojrzenia choć raz na dom rodzicielski. Przysięgi tej jednak niepodobna było dotrzymać, od czasu do czasu musiała bowiem przechodzić obok szybko i korzystnie wynajętych sklepów i wystaw tylnego budynku lub też czcigodnej spiczastej fasady, gdzie obecnie pod napisem „Dominus providebit” widniało nazwisko konsula Hermana Hagenstr~oma. Wtedy jednak, na ulicy, wobec tak licznych przechodniów, pani Permaneder_ buddenbrook zaczynała po prostu głośno płakać. Odrzucała w tył głowę, podobnie jak ptak, który zaczyna śpiewać, przykładając do oczu chusteczkę i wydawała raz po raz bolesne jęki, wyrażające zarazem protest i skargę, po czym nie zwracając żadnej uwagi na przechodniów ani też napomnienia córki, zalewała się łzami. Był to jeszcze ciągle jej łatwy, orzeźwiający, dziecięcy płacz, który pozostał jej wierny we wszystkich burzach i niepowodzeniach życia.

Część dziesiąta

Rozdział pierwszy

Często, gdy nadchodziły złe chwile, Tomasz Buddenbrook zadawał sobie pytanie, czym on jeszcze

właściwie jest, co go właściwie jeszcze upoważnia do cenienia się choć trochę wyżej od któregoś z jego zwykłych, poczciwych, małomieszczańsko ograniczonych współobywateli. Pełen fantazji polot, pogodny idealizm jego młodości od dawna przeminął. Pracować bawiąc się i bawić się pracując, z na pół poważnie, a na pół żartobliwie pojętą ambicją dążyć do celów, którym przyznaje się jedynie alegoryczne znaczenie – do takich pogodnie sceptycznych kompromisów i dowcipnych połowiczności potrzeba wiele świeżego zapachu, humoru i odwagi, a Tomasz Buddenbrook czuł się niewypowiedzianie zmęczony i zniechęcony.

Co tylko mógł osiągnąć, to osiągnął, i dokładnie zdawał sobie sprawę, że dawno przekroczył moment szczytowy swego życia, jeśli w ogóle, jak sam w duchu dodawał, w tak przeciętnym i pospolitym życiu może być mowa o momencie szczytowym.

Co się tyczyło strony czysto handlowej, to majątek jego uważany był ogólnie za mocno zmniejszony, a firma stopniowo traciła znaczenie. A jednak, jeśli doliczyć schedę po matce, udział w domu na Mengstrasse i placu, majątek ten wynosił przeszło sześćset tysięcy marek. Ale kapitał obrotowy leżał beczynnie od wielu lat, drobne interesy, na które senator narzekał w czasach p~oppenradzkich zbiorów, nie tylko nie poprawiły się po ciosie, jaki wówczas poniósł, lecz pogorszyły, teraz zaś, gdy wszystko ożywiło się dzięki zwycięstwu, gdy od czasu przystąpienia miasta do unii celnej nawet małe przedsiębiorstwa mogły w ciągu niewielu lat stać się poważnymi hurtowniami, teraz firma „Jan Buddenbrook” spoczywała beczynnie nie wyciągając żadnych korzyści z osiągniętych zdobyczy; zapytywany o interesy, szef odpowiadał ze znużonym ruchem ręki: – Ach, niewiele z tego pociechy... – Pewien bardziej ruchliwy konkurent, przyjaciel Hagenstr~omów, wyraził się, że Tomasz Buddenbrook pełni na giełdzie jeszcze tylko funkcję dekoracji, i żarcik ten, aluzja do starannie wypielegnowanego wyglądu senatora, był ogólnie podziwiany i cieszył się powodzeniem jako niestychany dowód zręcznej dialektyki.

O ile jednak znużenie

wewnętrzne i doznane

niepowodzenia obezwładniały senatora w jego pracy dla dobra starej firmy, której niegdyś służył z tak wielkim entuzjazmem, o tyle rola, jaką odgrywał w publicznym życiu miasta, dosięgła granic, których niepodobna już było przekroczyć. Od wielu lat, już od czasu powołania go do senatu, osiągnął i na tym polu wszystko, co tylko mógł osiągnąć. Można było jeszcze tylko zachować swe stanowiska i piastować urzędy, ale nic już więcej nie było do zdobycia i istniała jedynie terażniejszość i rzeczywistość, nie było już jednak przyszłości ani ambitnych planów. Umiał wprawdzie rozszerzyć zasięg swego działania w mieście bardziej, niż zdołałby to uczynić kto inny na jego miejscu, i przeciwnicy jego z trudem tylko mogliby zaprzeczyć, że jest on „prawą ręką burmistrza”, burmistrem jednak Tomasz Buddenbrook zostać nie mógł, był bowiem kupcem, nie zaś „uczonym”, nie uczęszczał do gimnazjum klasycznego, nie był prawnikiem i w ogóle nie posiadał akademickiego wykształcenia. On jednak, który wolne swe chwile z dawna wypełniał historyczną i literacką lekturą, który zarówno duchem, jak i rozumem, wewnętrzną i zewnętrzną kulturą czuł się wyższy ponad całe swoje otoczenie, nie ukrywał gniewu, iż brak wymaganych kwalifikacji uniemożliwiał mu zajęcie najwyższego stanowiska w małym państwie, do którego należał. – Jacyśmy byli głupi – mówił do swego przyjaciela i admiratora Stefana Kistenmakera, ale mówiąc „my”, myślał jedynie o sobie – żeśmy tak wcześnie wstąpili do kantoru, zamiast ukończyć szkoły!

odpowiadał: – Tak, rzeczywiście masz rację... Właściwie dlaczego?

Senator pracował teraz po większej części sam w swym prywatnym gabinecie przy mahoniowym biurku, przede wszystkim dlatego, że nikt tam nie widział, jak opierał głowę na rękę i zamknąwszy oczy pogrążał się w zadumie, ale głównie z tego powodu, że straszliwa pedanteria, z jaką jego wspólnik, pan Fryderyk Wilhelm Marcus, porządkował swoje przybory i gładził wąsy, wygnała go z jego miejsca przy oknie w głównym kantorze.

Drobiazgowa dokładność starego pana Marcusa zmieniła się z biegiem lat w zupełną manię, co jednak w ostatnich czasach czyniło ją dla Tomasza Buddenbrooka czymś nieznośnie drażniącym i odrażającym, to okoliczność, że ku swemu przerażeniu dostrzegał u siebie samego coś podobnego. Tak jest, również i w nim, niegdyś tak dalekim od wszelkiej małostkowości, rozwinął się pewien rodzaj pedanterii, jakkolwiek powstawała ona na innym podłożu psychicznym i wpływała z innego usposobienia.

Czuł w sobie pustkę, nie widział przed sobą żadnych pobudzających go planów, żadnej przykuwającej pracy, której mógłby się poświęcić z zadowoleniem i radością. Nie utracił jednak swej aktywności; pęd do czynu, rzutkość umysłu, ruchliwość, będąca czymś z gruntu innym aniżeli wrodzona, wytrwała pracowitość przodków, była właściwie czymś sztucznym, wysiłkiem nerwów, środkiem odurzającym, tak jak owe małe, mocne rosyjskie papierosy, których nie przestawał palić... nie opuszczała go ona, opanowała mocniej niż kiedykolwiek, zawładnęła nim i rozpraszać się na błahostki zmieniała się w torturę. Prześladowały go tysiące marnych drobiazgów, dotyczących po części odświeżania domu lub garderoby, które ze wstrętem od siebie odsuwał, których głowa nie mogła prawie pomieścić i z którymi nie mógł dojść do ładu, gdyż myślał o nich za wiele i zabierały mu nieproporcjonalnie dużo czasu.

To, co w mieście nazywano jego „próżnością”, wzrosło do tego stopnia, że od dawna zaczął się wstydić, nie mogąc wyzbyć się związanych z tym przyzwyczajzeń, jakie się w nim rozwinęły. Od chwili gdy obudziwszy się z nie tyle niespokojnego, ile raczej ciężkiego i nie pokrzepiającego snu, zjawiał się w narzuconym szlafroku w ubieralni, gdzie oczekiwał go stary golarz pan Wenzel – było to około godziny dziewiątej, dawniej zaś wstawał o wiele wcześniej – mijało nie mniej niż półtorej godziny, zanim czuł się gotów i zdecydowany rozpocząć dzień, schodząc na pierwsze piętro na herbatę. Toaleta jego była tak drobiazgowa, a zarazem w kolejnym następstwie poszczególnych punktów, od zimnego prysznicy w łazience aż do usunięcia ostatniego pyłku na surducie i ostatecznego przesunięcia szczypców po wąsach, tak trwale i niezmiennie uregulowana, że owe bezustannie powtarzające się, niezliczone drobne manipulacje wprawiały go co chwila w rozpacz. A jednak nie zdołałby opuścić ubieralni ze świadomością, że czegoś zaniedbał lub wykonał zbyt powierzchownie, nie pozwoliłby mu na to lęk, że zawiedzie go owo uczucie świeżości, spokoju i nieskazitelności, które jednak i tak znikało po jednej jedynej godzinie i wymagało koniecznie odnowienia.

Oszczędzał na wszystkim, o ile

było to możliwe bez narażania

się na obmowę – prócz jednej
tylko dziedziny, to jest
garderoby, którą zamawiał u
najelegantszego krawca w
Hamburgu i na której utrzymanie
i kompletowanie nie szczędził
kosztów. Drzwi, które zdawały
się prowadzić do innego pokoju,
w rzeczywistości ukrywały
obszerną niszę, wmurowaną w
ścianę jego ubieralni, gdzie na
długim szeregu haków wisiały
drewniane wieszaki, a na nich
żakiety, smokingi, surduty,
fraki na wszystkie pory roku i
wszelkie odcienie przyjęć oraz
uroczystości, na krzesłach zaś
leżały starannie ułożone
spodnie. W komodzie, której
ogromna lustrzana płyta pokryta
była grzebieniami, szczotkami
oraz preparatami do
pielęgnowania włosów i zarostu,
umieszczony był zapas

różnorodnej bielizny,

bezustannie zmienianej, pranej, zużywanej i kompletowanej...

W owym gabinecie przepędzał on długie chwile nie tylko rano, lecz również przed każdym proszonym obiadem, posiedzeniem senatu, słowem zawsze, ilekroć miał iść między ludzi, a nawet przed zwykłymi posiłkami w domu, podczas których prócz niego obecni byli jedynie jego żona, mały Jan oraz Ida Jungmann. I gdy wychodził stamtąd, wówczas świeża bielizna na ciele, umyta twarz, zapach brylantyny na wąsach i cierpkochłodny smak eliksiru wywoływały w nim uczucie zadowolenia i doskonałego przygotowania, z jakim aktor, obmyśliwszy sobie wykończoną we wszystkich szczegółach maskę, udaje się na scenę... Doprawdy! Egzystencja Tomasza Buddenbrooka była już tylko egzystencją aktora, takiego jednak, którego całe życie, aż do najmniejszych, najbardziej codziennych drobiazgów, stało się jedną jedyną rolą – rolą, z wyjątkiem nielicznych krótkich momentów samotności i wypoczynku, bezustannie absorbującą i pochłaniającą wszystkie siły... Zupełny brak jakiegoś szczerego, gorącego zainteresowania, które by go potrafiło ożywić, zubożenie i spustoszenie jego duszy – spustoszenie tak silne, że prawie ciągle odczuwane jako ciężka, nieokreślona troska, przy tym połączone z nieubłaganym wewnętrznym nakazem i niewzruszonym postanowieniem zachowania za wszelką cenę godnej postawy, ukrywania wszelkimi sposobami swej słabości, przestrzegania pozorów – wszystko to wytworzyło ową sztuczną, obmyślaną, wymuszoną egzystencję, sprawiło, że każde słowo, każdy ruch, każda najdrobniejsza czynność w obecności ludzi stawała się wyteżoną i wyniszczającą grą aktora.

Przyłączyły się do tego szczególne objawy, osobliwe potrzeby, które sam rozpatrywał ze zdziwieniem i odrazą. W przeciwieństwie do ludzi, którzy sami nie odgrywają żadnej roli, lecz pragną, niezauważeni i ukryci przed spojrzeniami, oddać się samotnym spostrzeżeniom, nie lubił mieć światła za sobą i sam pozostając w cieniu patrzeć na ludzi przed sobą w pełnym świetle; raczej, na pół oślepiiony padającym w oczy światłem, pragnął widzieć przed sobą masę pozostających w cieniu ludzi, swoją publiczność, na którą miał oddziaływać jako uprzejmy światowiec lub ruchliwy człowiek interesu i „reprezentujący” szef firmy, albo też przemawiający publicznie mówca... jedynie to dawało mu poczucie dystansu i pewności, owo budzące się podczas „produkcowania się” ślepe upojenie, w jakim osiągał swoje sukcesy. Tak jest, właśnie ów stan upojenia, w jakie wprawiało go działanie, stał się dla niego stopniowo czymś najbardziej znośnym. Gdy z kieliszkiem wina w ręku stał przy stole i z uprzejmymi ruchami, miłym wyrazem twarzy, zręcznie dobierając zwroty, wypowiadał toast wzbudzający poklask i wesołość, mógł jeszcze, mimo swej bladości, wydawać się dawnym Tomaszem Buddenbrookiem; o wiele trudniej było mu zachować władzę nad sobą w chwilach beczynnego milczenia. Wtedy podnosiło się w nim znużenie i zniechęcenie, mącąc jego wzrok i odbierając mu panowanie nad mięśniami twarzy i postawą. Miał wówczas tylko jedno pragnienie: poddać się tej bezsilnej rozpacz, uciec i złożyć głowę na chłodnej poduszce.

Pani Permaneder była na kolacji na Fischergrube; córka, mimo iż zaproszona, nie towarzyszyła jej, odwiedziła bowiem po południu swego męża w więzieniu i, jak zwykle w takich wypadkach, czuła się zmęczona i rozstrojona, toteż pozostała w domu.

Pani Antonina mówiła przy stole o Hugonie Weinschenku, który znajdował się jakoby w stanie godnym pożałowania, potem zastanawiano się, kiedy należy złożyć do senatu prośbę o ułaskawienie, by mieć jakieś widoki powodzenia. Siedzieli we troje w gabinecie przy okrągłym stole pod dużą

lampą gazową. Gerda Buddenbrook i jej szwagierka zajęte były robótką. Senatorowa schylała nad haftem swą piękną białą twarz, a obfite jej włosy zdawały się płonąć w tym oświetleniu ciemnym płomieniem; pani Permaneder, z binoklami nałożonymi krzywo i nieprawidłowo, starannie przyszywała dużą, czerwoną, atlasową kokardę do maleńkiego żółtego koszyka. Miał to być urodzinowy podarunek dla którejś ze znajomych. Senator siedział w głębokim fotelu z odchylnym oparciem i założywszy nogę na nogę czytał gazetę, zaciągając się od czasu do czasu rosyjskim papierosem i wydychając następnie poprzez wąsy jasnoszary kłęb dymu.

Był ciepły niedzielny wieczór letni. Przez wysokie otwarte okno wpadało do pokoju nagrzane, trochę wilgotne powietrze.

Siedząc przy stole, dostrzegało
się ponad szarymi szczytami
przeciwległych domów gwiazdy
wyzierające spomiędzy wolno
przepływających obłoków. Na
wprost paliło się jeszcze
światło w małej kwiaciarni
Iwersena. Dalej, w cichej ulicy
ktoś grał dość fałszywie na
harmonii, zapewne jeden z
parobków furmana Dankwarta. Od
czasu do czasu dolatywały głośnie
rozmowy. Przeciągała grupa
marynarzy, którzy śpiewając i
paląc powracali z podejrzaney
portowej gospody, by w
świętecznym nastroju powędrować
do innej, jeszcze bardziej
podejrzaney. Chrypliwe ich głosy

i kołyszące się kroki

przycichały w jakiejś

przecznicy.

Senator odłożył na stół gazetę, wsunął binokle do kieszeni kamizelki i przeciągnął dłonią po czole i oczach.

–Słabe, bardzo słabe te „Wiadomości”! – powiedział. – Zawsze mi się przy nich przypomina, co dziadek mawiał o mdłych potrawach: Smakuje, jak gdyby się wywiesiło język przez okno... Trzy minuty nudów – i wszystko już przeczytane. Zupełnie nic w nich nie ma...

–Tak! Bóg widzi, że masz rację. Tom! – rzekła pani Permaneder opuszczając swą robotę i patrząc bokiem spoza binokli na brata... – Cóż ma w nich być? Zawsze to mówiłam, już jako młoda, głupia dziewczyna: te miejscowe gazety to nędzne pisemka! Oczywiście, ja też je czytam, bo przecież przeważnie nie ma pod ręką nic innego... Ale że na przykład hurtownik, konsul taki a taki, zamierza obchodzić srebrne wesele, nie jest to moim zdaniem zbyt wstrząsająca wiadomość.

Należałoby czytać inne pisma:

„Gazetę Królewiecką” albo „Gazetę Reńską”. Wtedy by... – urwała, wzięła gazetę, rozwinęła ją i podczas gdy mówiła, lekceważąco błędziła wzrokiem po szpaltach. Nagle jednak spojrzenie jej zatrzymało się na jakimś miejscu, na krótkiej, kilkuwierszowej notatce... Umilkła, poprawiła jedną ręką szkła i otwierając powoli usta odczytała notatkę do końca, po czym wydała dwa okrzyki przestachu, przyciskając obie ręce do policzków i odsuwając od siebie łokcie...

–Niemożliwe!... To

niemożliwe... Nie, Gerda... Tom... Jak mogłeś to przeoczyć!... To straszne... Biedna Armgarda! Że też ją to musiało spotkać...

Gerda podniosła głowę znad

roboty, a Tomasz przestraszony

obrócił się ku siostrze. I pani

Permaneder, bardzo przejęta,

odczytała drżącym głosem,

akcentując wyraziście, ową

wiadomość z Rostocka,

opiewającą, że wczorajszej nocy

właściciel ziemski Ralf von

Maiboom w gabinecie

p~oppenradzkiego dworu

wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. „Zdaje się, że powodem czynu były trudności finansowe. Pan von Maiboom pozostawił żonę oraz troje dzieci”. Tak zakończyła, po czym opuściła gazetę na kolana, znów przechyliła się w fotelu, dotykając plecami oparcia i zmieszana, żalnymi oczami w milczeniu spojrzała na brata i bratową.

Tomasz Buddenbrook odwrócił się od niej jeszcze wówczas, gdy czytała, i zaczął patrzeć gdzie indziej, między portiery, w ciemności salonu.

–Z rewolweru? – zapytał po kilku minutach ciszy. I znowu po jakimś milczeniu powiedział cicho, powoli i drwiąco: – Tak, tak, taki szlachcic! – Potem na nowo zapadł w zadumę. Szybkość, z jaką kręcił w palcach koniec węża, dziwacznie kontrastowała ze zmaconą, osłupiałą i nieokreśloną nieruchomością spojrzenia.

Nie zwracał uwagi na ubolewanie siostry ani na przypuszczenia, jakie robiła co do dalszego życia przyjaciółki. Nie zauważył też, że Gerda, nie obracając ku niemu głowy, utkwiała w nim mocne i badawcze spojrzenie swych ciemnych, otoczonych niebieskawymi cieniami, blisko siebie osadzonych oczu.

Rozdział drugi

Tomasz Buddenbrook nigdy nie mógł patrzeć w przyszłość małego Jana z tym bezsilnym smutkiem, z jakim oczekiwał życia, które jemu samemu jeszcze pozostało. Nie pozwalał mu na to jego zmysł rodzinny, owo odziedziczone i wpojone, dotyczące zarówno przeszłości, jak i przyszłości, pełne pietyzmu zainteresowanie dla historii rodziny, a także pełne miłości lub ciekawości oczekiwanie, z jakim przyjaciele i znajomi, siostra, a nawet panie Buddenbrook z Breitenstrasse obserwowały jego syna, wywierało wpływ na jego myśli. Mówił sobie z satysfakcją, że choć czuje się tak wyniszczony i pozbawiony nadziei w stosunku do siebie samego, to jednak gdy chodzi o jego małego potomka, zdolny jest do ożywczych marzeń o przyszłości, rojeń o praktycznej i swobodnej pracy, o powodzeniu, potędze, bogactwach i zaszczytach... że na tym jedynym punkcie jego wyziębłe i sztuczne życie staje się ciepłą i szczerą troską, lękiem i nadzieją.

A gdyby tak jeszcze kiedyś, na starość, miał ujrzeć ze swego spokojnego kącika nawrót dawnych czasów, czasów pradziadka małego Hanno? Muzykę uważał za swą nieprzyjaciółkę, ale czyż istotnie niebezpieczeństwo to było tak poważne? Przypuśćmy, że zamiłowanie chłopca do komponowania świadczyło o trochę niezwykłych skłonnościach – lecz za to w normalnej nauce z panem Pf~uhlem nie uczynił on przecież bynajmniej nadzwyczajnych postępów. Muzyka – to niewątpliwie wpływ matki, nic przeto dziwnego, że w pierwszych latach dzieciństwa wpływ ten przeważał. Ale zbliżał się czas, kiedy ojciec też będzie miał okazję oddziaływania na syna, będzie mógł przeciwnie go na swoją stronę i swoją męską postawą zneutralizować kobiece wpływy. A senator był zdecydowany nie pomijać żadnej tego rodzaju okazji.

Na Wielkanoc Hanno, obecnie jedenastoletni, podobnie jak jego przyjaciel, hrabia M~olln, przeszedł z trudem do następnej klasy z dwiema poprawkami z rachunków i geografii. Było postanowione, że pójdzie do oddziału realnego, gdyż nie podlegało dyskusji, że ma zostać kupcem i kiedyś w przyszłości przejąć firmę, a na zapytanie ojca, czy czuje w sobie ochotę do wykonywania przyszłego zawodu, odpowiadał „tak”. Krótkie, nieco nieśmiałe „tak” bez komentarzy, które senator próbował rozwijać i ożywiać dalszymi naglącymi pytaniami – najczęściej jednak bezskutecznie.

Gdyby senator Buddenbrook miał dwu synów, młodszego na pewno posłałby do gimnazjum. Ale firma potrzebowała następcy, a niezależnie od tego sądził, że wyświadcza małemu dobrodziejstwo, oszczędzając mu zbytecznych trudów nad greką. Był zdania, że nauka w szkole realnej łatwiejsza jest do opanowania i że Hanno, który często miewał trudności z niektórymi przedmiotami z powodu swej marzycielskiej nieuwagi, a wskutek wątpliwości zmuszony był nieraz opuszczać lekcje, lepiej i z mniejszym wysiłkiem da sobie radę w szkole realnej. Jeśli mały Jan Buddenbrook miał w przyszłości zająć się tym, do czego był powołany i czego wymagało od niego otoczenie, to przede wszystkim należało dbać o to, by oszczędzać jego niezbyt silny organizm, a następnie wzmacniać racjonalnym pielęgowaniem i hartowaniem.

Dzięki swym ciemnym włosom, które teraz czesał z rozdziałkiem na boku i ukośnie odgarniał z czoła, a które zawsze miały skłonność do zwijania się w miękkie loki na skroniach, dzięki swym długim ciemnym rzęsom i złotobrunatnym oczom, Jan Buddenbrook mimo swego kopenhaskiego marynarskiego ubranka wyglądał nieco oryginalnie wśród swych jasnowłosych i błękitnookich towarzyszy o skandynawskim typie. W ostatnich czasach znacznie urósł, lecz nogi jego w czarnych pończochach i ręce w bufiastych wystebnowanych rękawach były szczupłe i miękkie jak ręce dziewczyny, a oczy, tak jak u matki, ciągle jeszcze otoczone niebieskawymi cieniami, spoglądały, zwłaszcza gdy zwrócone były na bok, z wyrazem nieśmiałości i lęku, usta zawsze jeszcze zaciskały się w bolesny sposób, gdy zaś Hanno w zamyśleniu ocierał koniec języka o podejrzaną ząb, wyglądał wskutek skrzywienia wargi, jak gdyby marzył...

Jak wyjaśniał doktor Langhals, który objął całą praktykę starego doktora Grabowa i był domowym lekarzem Buddenbrooków, niezadowolający stan sił Hanna, jako też bladość jego cery miały swą uzasadnioną przyczynę, tę mianowicie, że organizm małego nie wytwarzał niestety dostatecznej ilości czerwonych ciałek krwi. By zapobiec temu niedomaganiu, doktor Langhals polecił zażywać duże ilości pewnego znakomitego środka; był to tran, dobry, żółty, tłusty i gęsty tran z wątróbek dorsza, który należało pić porcelanową łyżką dwa razy dziennie; i na stanowczy rozkaz senatora Ida Jungmann z czułą surowością dbała o punktualne wypełnianie tego obowiązku. Wprawdzie z początku Hanno wymiotował po każdej łyżce i zdawało się, że żołądek nie będzie mógł znieść dobrego tranu, lecz przyzwyczaił się i gdy natychmiast po przełknięciu, powstrzymując oddech, przegryzał kawałkiem razowego chleba, uczucie wstrętu zacierało się nieco.

Wszystkie inne niedomagania pochodziły również z owego braku czerwonych ciałek – „objawy wtórne”, jak mówił doktor Langhals oglądając swe paznokcie. Ale owe „objawy wtórne” należało również zaatakować z całą bezwzględnością. By doglądać zębów, plombować je lub w miarę potrzeby usuwać – w tym celu mieszkał na M~uhlenstrasse pan Brecht ze swoim Jozafatem; a do ułatwienia trawienia istniał na świecie olej rycynowy, dobry, gęsty, błyszczący jak srebro olej rycynowy, który, brany łyżką stołową, prześlizgiwał się przez gardło jak jaszczurka, a potem przez

trzy dni, gdziekolwiek się szło czy stało, czuło się w gardle jego smak i zapach... Ach, czemu wszystko to było tak nieodparcie wstrętne? Tylko jeden raz – Hanno leżał wówczas w łóżku bardzo chory, a serce jego wykazywało szczególne nieprawidłowości – doktor Langhals z niejakim zdenerwowaniem zapisał pewien środek, który małemu Janowi sprawił przyjemność i niesłuchanie pomógł: były to pigułki arsenikowe. Często później, zniewolony niemal tkliwą potrzebą, pytał o te małe, słodkie, błogosławione pigułki. Nie dostał ich jednak więcej.

Tran oraz olej rycynowy były to dobre rzeczy, ale doktor Langhals utrzymywał zgodnie z senatorem, że nie wystarczą one, by uczynić z małego Jana dzielnego i odpornego człowieka, jeśli on sam się do tego nie przyczyni. Były na przykład lekcje gimnastyki, prowadzone w lecie raz na tydzień za miastem przez nauczyciela gimnastyki, pana Fritschego, które miejscowej męskiej młodzieży dawały pole do wykazywania i wyrabiania odwagi, siły, zręczności i przytomności umysłu.

Ale ku gniewowi ojca, Hanno okazywał wobec tych zdrowych rozrywek jedynie wstręt, milczący, powściągliwy, niemal wyniosły wstręt... Czemu nie miał on tak zupełnie żadnego kontaktu ze swymi kolegami i rówieśnikami, z którymi kiedyś będzie musiał stykać się i współpracować? Dlaczego siedział ciągle tylko z tym małym, niedomytym Kajem, dobrym wprawdzie dzieckiem, ale zawsze prowadzącym nieco podejrzaną tryb życia, a już w żadnym razie nieodpowiednim na przyjaciela w przyszłości? Chłopiec powinien umieć jakoś zdobyć sobie od samego początku zaufanie i szacunek otoczenia, które wzrasta z nim razem i od którego opinii zależny będzie przez całe życie. Byli dwaj synowie konsula Hagenstr~oma: czternasto_ i dwunastoletni, chłopcy na schwał, tężdy, mocni i swawolni, którzy w okolicznych zaroślach urządzali prawidłowe pojedynki na pięści, w szkole byli najlepszymi gimnastykami, pływali jak foki, palili cygara i zawsze gotowi byli do brzydkich figłów. Obawiano się ich, lubiano i szanowano. Ich kuzynowie, dwaj synowie adwokata doktora Maurycego Hagenstr~oma, delikatniejszej budowy i łagodniejszych obyczajów, wyróżniali się w dziedzinie umysłowej i byli wzorowymi uczniami; byli to chłopcy ambitni, gorliwi i pracowici, pełni jakiejś wibrującej czujności i niemal pożerani żądzą uzyskania najlepszych stopni i miana prymusa. Uzyskiwali je i cieszyli się poważaniem głupszych i bardziej leniwych towarzyszy. Cóż jednak niezależnie od swych nauczycieli mogli koledzy myśleć o małym Janie, który był bardzo przeciętnym uczniem, a poza tym mazgajem stroniącym lękliwie od wszystkiego, co miało związek z odwagą, siłą, zręcznością i rzeškością? A gdy senator Buddenbrook, udając się do swej ubieralni, przechodził obok pokoju zajmowanego na drugim piętrze przez Hanna, odkąd ten urósł i przestał sypiać razem z Idą, słyszał tony fisharmonii lub przyciszony i tajemniczy głos Kaja, opowiadającego bajkę...

Co się tyczy Kaja, to unikał on lekcji gimnastyki, gdyż nie znosił dyscypliny i przestrzegania ustanowionego porządku.

–Nie, Hanno – mówił – ja nie pójdę. Może ty? Niech to porwą kaci... wszystko, co by się chciało tam robić, jest zabronione. – Zwroty, jak:

„niech to porwą kaci”, przejął od ojca, ale Hanno odpowiadał:

–Gdyby ten pan Fritsche chociaż raz pachniał czymś innym niż potem i piwem, to można by o tym pogadać... daj pokój, Kaj, i mów dalej. Jeszcze wcale nie skończyłeś o pierścieniu, który znalazłeś w bagnie...

–Dobrze – mówił Kaj – ale kiedy kiwnę, to musisz grać. – I Kaj opowiadał dalej.

Jeśli można mu było wierzyć, to niedawno szedł parną nocą poprzez obcą, nieznaną okolicę i ześliznąwszy się po spadzistym zboczach dotarł do niezmiętej przepaści, na której dnie w bladym i migotliwym świetle błędnych ogników ujrzał czarne bagno, z głuchym pluskiem tworzyły się na nim bez przerwy lśniące jak srebro bańki. Ale jedna z nich, blisko brzegu, która ciągle ukazywała się i pękała, miała kształt pierścienia i po długich i niebezpiecznych wysiłkach udało mu się ją złapać, i bańka owa nie pękła, lecz dała się włożyć na palec jak gładka i mocna obrączka. On zaś, słusznie wierząc w cudowne właściwości pierścienia, wydostał się z jego pomocą ze stromej i śliskiej przepaści i nie opodal ujrzał w czerwonej mgłę czarny, pogrążony w śmiertelnej ciszy i straszliwie strzeżony zamek, wszedł tam i – ciągle z pomocą pierścienia – dokonał najchwalebniejszych odczarowań i wyzwoleń... W najdziwniejszych momentach opowiadania Hanno wydobywał z fisharmonii szeregi słodkich akordów... Opowiadania te wystawiano też z towarzyszeniem muzyki w teatrze lalek, jeśli nie stały temu na przeszkodzie niemożliwe do przewyciężenia trudności inscenizacji... Ale na gimnastykę chodził jedynie na wyraźny i surowy rozkaz ojca, a wtedy towarzyszył mu mały Kaj.

Nie inaczej było ze ślizgawką w zimie i z kąpielami w drewnianej pływalni pana Asmussena, w dole nad rzeką, w lecie... – Kąpać się! Pływać! – powiedział doktor Langhals. – Chłopak musi kąpać się i pływać!

–I senator najzupełniej podzielał jego zdanie. Co jednak głównie wpływało na to, że Hanno trzymał się, o ile mógł, najdalej od kąpiei, jak również od jazdy na łyżwach i gimnastyki, to okoliczność, że obaj synowie konsula Hagenstr~oma, którzy we wszystkich tych rzeczach zaszczytnie się wyróżniali, przyczepiali się do niego i pomimo iż przecie mieszkali w domu jego babci, nie pomijali żadnej okazji, by upokarzać go i dręczyć swoją siłą. Szczypali i wyszydzały go podczas gimnastyki, popychali na zwały śniegu podczas ślizgawki, zaczepiali go i wygrażali mu podczas kąpiei w basenie. Hanno nie próbował uciekać, co zresztą nie na wiele by się przydało. Stał ze swymi dziewczęcymi rękoma, zanurzony po brzuch w dość mętnej wodzie, na której powierzchni gdzieś pływały zielone kępy rzęsy, i ze ściągniętymi brwiami, krzywiąc trochę wargi patrzył ponurym wzrokiem z dołu, jak pewni swej zdobyczy zbliżali się ku niemu długimi skokami, rozpryskując wodę. Muskularne ramiona mieli ci dwaj Hagenstr~omowie – i obejmowali go nimi, i zanurzali go, trzymali tak bardzo długo, aż nałykał się dosyć dużo brudnej wody, i długo potem, obracając się w różne strony, chwytał oddech... Jeden tylko raz został pomszczony.

Mianowicie pewnego popołudnia, właśnie gdy Hagenstr~omowie trzymali go pod wodą, jeden z nich wydał nagle okrzyk wściekłości i bólu i podniósł swą mięsistą nogę, po której wielkimi kroplami spływała krew. Obok niego ukazał się nagle hrabia M~olln, który zaopatrzony w jakiś sposób w pieniądze na wejście, niepostrzeżenie podpłynął pod wodą i ugryzł młodego Hagenstr~oma – wszystkimi zębami ugryzł go w nogę jak wściekły piesek. Błękitne jego oczy przeświecały przez mokre, zwisające rudawoblond włosy... Ach, postępek ten nie wyszedł na dobre młodemu hrabiemu, który opuścił basen wielce poturbowany. Ale silny syn konsula Hagenstr~oma mocno kulał idąc do domu...

Odżywcze środki i ćwiczenia fizyczne wszelkiego rodzaju – była to podstawa troskliwych zabiegów senatora o zdrowie syna. Równie bacznie dbał on jednak o to, by wpływać na niego duchowo i

dostarczać mu żywych wrażeń z praktycznego świata, dla którego był przeznaczony.

Zaczął wprowadzać go po trochu w krąg przyszłej jego działalności, zabierał go ze sobą do portu, by był obecny, gdy na wybrzeżu ojciec rozmawiał z robotnikami mieszaniną duńskiego z dialektem „platt”, gdy konferował z urzędnikami w małych, ciemnych kantorach spichrzów lub wydawał rozkazy ludziom, którzy nawołując się głucho i przeciągle, windowali worki ze zbożem... Dla samego Tomasza Buddenbrooka ten kątek obok portu, wśród statków, szop i spichrzy, gdzie pachniało masłem, rybami, wodą, smołą i naoliwionym żelazem, był od dzieciństwa najmiłszym i najbardziej zajmującym miejscem na świecie; ponieważ zaś syn jego nie zdradzał w tym kierunku pociągu ani zainteresowania, należało starać się o ich rozbudzenie... Więc jakie nazwy mają parowce płynące do Kopenhagi? „Najada”...

„Haimstadt”... „Fryderyka NOverdieck”... – No, że przynajmniej to wiesz, chłopcze, to już jest coś. Potem poznasz i inne... Patrz, niektórzy z tych ludzi, co tam windują worki, noszą twoje imię, mój stary, bo chrzczono ich na cześć twego dziadka. A swoim dzieciom dają często moje imię... a także mamy... Co rok dostają jakiś drobny upominek... Tak, a obok tego spichrza przejdziemy i nie będziemy rozmawiali z ludźmi; nic tu nie mamy do powiedzenia; to konkurent...

–Chcesz iść ze mną, Hanno? – pytał kiedy indziej... – Nowy statek spuszczają dziś z naszej stoczni. Ja go będę chrzczył... masz ochotę?

I Hanno powiedział, że ma ochotę. Poszedł i słuchał mowy ojca przy chrzcie okrętu, widział, jak ojciec rozbił butelkę szampana o dziób statku, i obojętnie patrzył na okręt, który po wysmarowanej szarym mydłem równi pochyłej ześliznął się do wzburzonej wody...

Kilka razy do roku – w Palmową Niedzielę, gdy odbywały się konfirmacje, lub też w dzień Nowego Roku – konsul Buddenbrook składał wizyty w szeregu domów, z którymi utrzymywał stosunki towarzyskie, ponieważ zaś małżonka jego wymawiała się zazwyczaj od tych obowiązków migreną lub zdenerwowaniem, przeto zabierał ze sobą Hannę. A Hanno miał również i na to ochotę. Wsiadał z ojcem do dorożki, siedział obok niego w różnych salonach, milcząc i obserwując jego swobodne, taktowne, a tak zróżnicowane, tak starannie wycieniowane zachowanie względem różnych ludzi. Widział, jak z wyrazem uprzejmego oburzenia kładł rękę na ramieniu komendanta okręgu, pułkownika von Rinningen, gdy ten przy pożegnaniu zaznaczył, że umie cenić zaszczyt tych odwiedzin, jak gdzie indziej podobną uwagę przyjął poważnie i ze spokojem, na trzeciej zaś wizycie odparował ją ironicznie przesadzonym komplementem... A wszystko to czynił z doskonałym opanowaniem słowa i gestu, pragnąc najwyraźniej wywołać podziw syna i wpoić mu podobne maniery.

Ale mały Jan widział więcej,

niż powinien był widzieć, a oczy

jego – te nieśmiałe,

złotobrzazowe, otoczone

błękitnymi cieniami oczy – obserwowały zbyt dobrze. Widział on nie tylko pewną siebie uprzejmość,

jaką ojciec okazywał wszystkim, widział również – widział dziwnym, męczącym, bystrym spojrzeniem – jak strasznie ciężko było to robić, jak po każdej wizycie ojciec, coraz bledszy i bardziej milczący, wciskał się w kąt powozu przymykając oczy o zaczerwienionych powiekach, i z przerażeniem w sercu patrzył, jak na progu następnego domu znowu maska okrywała to oblicze i nagła elastyczność przenikała na nowo ruchy tej zmęczonej postaci... Reprezentacja, mówienie, maniery i postępowanie z ludźmi nie ukazywały się małemu Janowi jako naiwna, naturalna i na pół świadoma, wspólna wszystkim dbałość o praktyczne interesy, w których chce się prześcignąć innych, lecz jako rodzaj celu samego w sobie, sztucznego i świadomego wysiłku, przy którym zamiast prostego i szczerego odruchu wewnętrznego występować musi straszliwie trudna i wyczerpująca, a doprowadzona do doskonałości umiejętność trzymania się i prostowania kręgosłupa. I na myśl, że oczekiwano po nim, iż w przyszłości i on będzie występował na zgromadzeniach publicznych, poruszał się i przemawiał pod ciężarem spojrzeń, Hanno przymykał oczy z dreszczem lękliwego obrzydzenia...

Ach, nie takich rezultatów swego wpływu na syna oczekiwał Tomasz Buddenbrook! Raczej swoboda, bezwzględność, rozbudzenie prostego zmysłu praktycznego – na to tylko zwrócone były wszystkie jego myśli.

–Zdaje się, że lubisz dobrze zjeść, mój drogi – mówił, gdy Hanno brał drugą porcję deseru lub prosił o pół filiżanki kawy po obiedzie... – Musisz w takim razie zostać dzielnym kupcem i zarabiać dużo pieniędzy! Chcesz tego? – A mały Jan odpowiadał: – Tak.

Czasem, gdy rodzina była na

obiedzie u senatora i ciocia

Antonina lub stryj Chrystian

zaczynali sobie dawnym zwyczajem

żartować z biednej cioci

Klotyldy i mówić do niej w

sposób pokornie uprzejmy,

przeciągając wyrazy, tak jak to

ona czyniła, zdarzało się

czasem, że Hanno pod wpływem

mocniejszego niż zazwyczaj wina

również przybierał podobny ton i

zwracał się z drwinką do cioci

Klotyldy. Wówczas Tomasz

Buddenbrook śmiał się – głośnym,

serdecznym, zachęcającym

śmiechem, prawie z

wdzięcznością, jak człowiek,

który doznał jakiegoś

niezmiernie radosnego

zadośćuczynienia, a nawet zaczynał pomagać synowi i sam brać udział w żartach; a przecież od dawna porzucił ów ton wobec biednej krewnej. Było to takie łatwe, tak zupełnie bezpieczne – okazywać swą wyższość ograniczonej, pokornej, chudej i zawsze głodnej Klotyldzie, że mimo całej niewinności tego dokuczania odczuwał, iż jest ono nieodpowiednie. Odczuwał to ze wstrętem, z owym rozpaczliwym wstrętem, jaki co dzień przeciwstawiać musiał swej skrupulatnej naturze, gdy znowu, jeszcze raz nie mógł pojąć, nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego, jak można poznawszy sytuację, przejrząwszy ją, pomimo to bezwstydnie ją wykorzystać...

Ale wykorzystywanie sytuacji bez uczucia wstydu, mówił sobie, jest właśnie życiową prężnością!

Ach, jakże szczęśliwy, pełen nadziei, zachwycony czuł się wskutek najdrobniejszych bodaj oznak owej prężności życiowej u małego Jana!

Rozdział trzeci

Od kilku już lat

Buddenbrookowie odzwyczaili się od dalszych podróży letnich, jakie dawniej corocznie odbywali, a nawet ubiegłej wiosny, gdy senatorowa wyraziła życzenie odbycia podróży do Amsterdamu, aby odwiedzić starego ojca i po tak długiej przerwie odegrać z nim znowu parę duetów, małżonek w dość skąpych słowach dał jej swe przyzwolenie. Jednak na czas letnich wakacji, ze względu na zdrowie Hanna, Gerda wraz z małym i panną Jungmann corocznie z reguły wyjeżdżała do domu zdrojowego w Travemünde.

Wakacje nad morzem! Czy można sobie wyobrazić, co to za szczęście? Po ciężkiej, pełnej trosk jednostajności niezliczonych szkolnych dni – cztery tygodnie spokojnego, beztroskiego odosobnienia, pełnego zapachu trawy morskiej i łagodnego szumu morza... Cztery tygodnie, okres, którego początkowo nie można przeniknąć ani zmierzyć, myśleć o jego końcu wydaje się niemożliwością, a mówić – brutalnym bluźnierstwem. Mały Jan nigdy nie mógł pojąć, jak ten i ów nauczyciel mógł zdobyć się przy końcu roku szkolnego na takie zwroty w swej pożegnalnej mowie, jak na przykład: – Po wakacjach rozpoczniemy od tego miejsca i przejdziemy do tego i tego... – Po wakacjach! I jeszcze wyglądał, jakby się z tego cieszył, ten niepojęty człowiek w wyświechtanym kamgarnowym surducie! Po wakacjach! Czy podobna w ogóle myśleć w ten sposób! Tak cudownie przesłonięte

było szarą dalą wszystko, co leżało poza tymi czterema tygodniami!

Cóż to za przebudzenie pierwszego ranka – nazajutrz po otrzymaniu złej lub dobrej cenzury i jeździe naładowaną dorożką – w jednym z dwu szwajcarskich domków, które połączone wąską budowlą, tworzyły prostą linię z „cukiernią” i głośnym budynkiem domu zdrojowego! Przestraszyło go nieokreślone uczucie szczęścia, jakie obudziło się w nim i ścisnęło mu serce... otworzył oczy i chciwym, uszczęśliwionym spojrzeniem objął starofrankońskie sprzęty czystego pokoiku. Sekunda upojnego, rozkosznego oszołomienia – a potem pojął, że jest w Travemünde, na cztery niezmierzone tygodnie w Travemünde! Nie poruszał się; leżał cicho na wznak w wąskim łóżku z żółtego drzewa, na białej ze starości niezwykle cienkiej i miękkiej, od czasu do czasu znowu zamykał oczy i czuł, jak jego pierś głęboko, swobodnie oddycha drżąc z niepokoju i szczęścia.

Pokój tonął w żółtawym świetle dnia, wpadającym już przez pasiaste rolety, podczas gdy dokoła wszystko jeszcze spoczywało, a Ida Jungmann i mama spały jeszcze. Nic nie było słyhać prócz równomiernego, spokojnego odgłosu – to służący grabił żwir zdrojowego ogrodu – oraz brzęczenia muchy uderzającej wesoło o szybę i rzucającej długie zygzakowate cienie na roletę... Cisza! Samotny odgłos grabi i monotonne brzęczenie! I ta łagodna ożywiona cisza od razu napełniła małego Jana rozkosznym poczuciem odosobnienia owego spokojnego, starannie utrzymanego, dystyngowanego zdrojowiska, które tak ponad wszystko kochał. Nie, Bogu dzięki, tutaj nie przyjeżdżał żaden z wyświechtanych kamgarnowych surdutów, reprezentujących na świecie regułę trzech i gramatykę – żaden z nich, było tu bowiem dość drogo...

W napadzie radości wyskoczył z łóżka i podbiegł boso do okna. Podniósł roletę, otworzył lufcik odsunawszy biało polakierowany haczyk i popatrzył na muchę, która uleciała nad wysypanymi żwirem ścieżkami i grządkami róż.

Muszla dla orkiestry, otoczona półkolem bukszpanu, stała jeszcze pusta i cicha na wprost budynków hotelu. Leuchtenfeld, plac zwany tak od wznoszącej się gdzieś na prawo latarni morskiej, rozciągał się pod białawym niebem, a porastająca go krótka, poprzerwana kawałkami nagiej ziemi trawa przechodziła w wysokie nadbrzeżne zarośla i piasek tam, gdzie dostrzegało się szeregi małych, drewnianych prywatnych pawilonów i zwróconych ku morzu koszów. Morze leżało w ciszy i świetle poranka, pokryte ciemnozielonymi i niebieskimi smugami, to gładkie, to znów pomarszczone, a między czerwonymi, wskazującymi drogę beczkami płynął z Kopenhagi statek parowy, o którym nie trzeba było wiedzieć, czy nazywa się „Najada”, czy też „Fryderyka Oeverdick”. I Hanno Buddenbrook znowu wciągnął głęboko i z uczuciem cichej błogości balsamiczne powietrze, jakie morze mu przesyłało, i pozdrowił je spojrzeniem, pozdrowieniem milczącym, pełnym miłości i wdzięczności.

A potem rozpoczął się dzień,

pierwszy z tych marnych

dwudziestu ośmiu dni, które

wydawały się z początku wieczną

błogością, gdy zaś pierwsze
minęły, inne płynęły tak
rozpaczliwie szybko... Śniadanie
jadano na balkonie albo pod
wielkim kasztanem, który rósł
przy placu zabaw dziecięcych,
tam gdzie wisiała duża huśtawka

–i wszystko: zapach upranego naprędce obrusa, gdy kelner go rozkładał, bibułkowe serwetki, dziwny chleb, jak również i to, że jajka jadło się nie jak w domu kościanymi łyżeczkami, lecz zwykłymi od herbaty i w metalowych kieliszkach – wszystko zachwycało małego Jana.

A to, co następowało potem, było swobodnie i lekko rozłożonym, cudownie beczynnym i dobrze obmyślonym rozkosznym życiem, płynącym spokojnie i beztrąsko: przedpołudnie na wybrzeżu, podczas gdy orkiestra zdrojowa wykonywała program poranny, leżenie i wypoczywanie u stóp kosza, piesszczotliwe i marzycielskie igranie z miękkim nie brudzącym piaskiem, łatwe i bezbolesne błędzenie i gubienie się oczu w zielonej i błękitnej nieskończoności, od której swobodnie i bez przeszkód z łagodnym szelestem przyptywał świeży, mocno pachnący powiew, otaczał uszy wywołując przyjemny zawrót głowy, jak gdyby lekkie ogłuszenie; cicho, błogo zanikała w nim świadomość czasu i przestrzeni, a także wszystkiego, co ciasne i ograniczone... Potem kąpiel, miłsza tutaj niż w zakładzie pana Asmussena, nie było bowiem „rzęsy”, tylko jasnozielona, kryształowo czysta woda, pieniąca się, gdy się ją poruszało; zamiast oślizłego dna z desek – miękki, falisty piasek gładkał stopy, a synowie konsula Hagenstr~oma byli daleko, bardzo daleko, w Norwegii lub w Tyrolu. Konsul lubił odbywać w lecie dalsze podróże – dlaczegoż by nie miał sobie na to pozwolić, nieprawdaż?... Przechadzka, dla rozgrzania się, wzdłuż wybrzeża aż do „Skały Mew” lub „Świątyni Morza”, krótki posiłek obok kosza – i już zbliżał się czas, kiedy wypoczywało się godzinę przed ubieraniem się do table d’h~ote. Table d’h~ote był wesoły; miejscowość była w rozkwicie, wiele osób, rodzin zaprzyjaźnionych z Buddenbrookami jak również przyjezdnych z Hamburga, a nawet Anglików i Rosjan, zapełniało wielką salę domu zdrojowego; przy uroczystie nakrytym stole czarno ubrany pan rozlewał zupę ze srebrnej wazy, roznoszono dużo potraw smaczniejszych, pikantniejszych, w każdym razie jakoś odświeżniejszych przyrządzonych niż w domu, w wielu zaś miejscach długiego stołu pito szampana.

Często przyjeżdżali z miasta samotni panowie, którzy nie chcieli zagrzebywać się na cały tydzień w interesach, którzy lubili się bawić; po obiedzie grywali oni w ruletkę: konsul Piotr D~ohlmann, który zostawił córkę w domu i donośnym głosem opowiadał dialektem tak swobodne dowcipy, że hamburskie damy kaszły ze śmiechu i prosiły o chwilę przerwy, senator doktor Cremer, stary naczelnik policji; stryj Chrystian i jego kolega szkolny, senator Gieseke, który również przyjeżdżał bez rodziny i zawsze płacił za Chrystiana Buddenbrooka... Później, gdy dorośli przy dźwiękach muzyki pili kawę na tarasie cukierni, Hanno siedział niezmordowanie na krzeselku przed muszlą dla

orkiestry i słuchał... Na popołudnie też było dużo rozrywek. W parku zdrojowym znajdowała się strzelnica, na prawo zaś od szwajcarskich domków mieściły się stajnie z końmi, osiołkami i krowami, których ciepłe, spienione, aromatyczne mleko piło się na podwieczorek. Można było iść na spacer do miasteczka, wzdłuż rzeki, stamtąd przepłynąć łodzią do miejsca, gdzie na wybrzeżu znajdowało się bursztyny, można też było na placu zabaw wziąć udział w partii krokieta lub zasiąść na ławce porośniętego lasem wzgórza, za hotelem, gdzie wisiał duży dzwon wzywający do table d'hôte i słuchać czytania Idy Jungmann... A jednak najmądrzej było powrócić nad morze i jeszcze w półmroku, z twarzą zwróconą w stronę otwartego horyzontu, usiąść na szczycie mola, powiewać chustką przepływającym dużym statkom i słuchać, jak małe fale z cichym rozgwarem uderzają o kamienne bloki; cała dal wokoło przepelniona była tym łagodnym i wspaniałym szumem, który dobrotliwie przemawiał do małego Jana i skłaniał go, by w bezmiernym zadowoleniu zamknął oczy.

Ale potem Ida Jungmann mówiła:

–Chodź, Januchna, trzeba już iść, czas na kolację; rozchorujesz się, jak będziesz tu za długo siedział... – Jak uspokojone i zaspokojone, jak dobroczynnie i prawidłowo bijące serce czuł w sobie zawsze powracając znad morza! A gdy spożył w swym pokoju wieczerzę z ciepłym mlekiem lub piwem słodowym – matka zasiadała do stołu później, na oszklonej werandzie, w licznych towarzystwie – zaledwie znów otulił się w cienkie od starości płótna pościeli, a już w rytm łagodnych i pełnych uderzeń zaspokojonego serca i stłumionych tonów wieczornego koncertu ogarniał go sen bez strachów i gorączki.

W niedzielę zjawiał się senator wraz z innymi panami, których sprawy zatrzymywały w mieście przez cały tydzień, i pozostawał do poniedziałkowego ranka. Ale pomimo iż podawano wówczas do table d'hôte lody i wino szampańskie, pomimo iż urządzano jazdy na osiołkach i przejażdżki żaglówkami, mały Jan niezbyt lubił owe niedziele. Zakłócony był wówczas spokój i odosobnienie kąpieliska. Masy ludzi z miasta, zupełnie tutaj nieodpowiednich, „jednodniowe muchy ze średniej klasy”, jak z dobrodusznym lekceważeniem wyrażała się o nich Ida Jungmann, zaludniały po południu park zdrojowy i wybrzeże, by popijać kawę, słuchać muzyki, kąpać się, a Hanno byłby najchętniej w zamkniętym pokoju przeczekał ten napływ świątecznie wystrojonych intruzów... Tak, był zadowolony, gdy w poniedziałek wszystko wracało do dawnego trybu i gdy nie było już oczu ojca, owych oczu, od których oddalony był przez sześć dni, a które – czuł to dobrze – przez całą niedzielę spoczywały na nim krytycznie i badawczo...

I przeszły dwa tygodnie, a Hanno mówił sobie i zapewniał każdego, kto chciał słuchać, że teraz pozostało jeszcze tyle czasu, ile trwają całe ferie na świętego Michała. Była to jednak zwodnicza pociecha, gdyż skoro upłynęła już połowa wakacji, to następna połowa aż do końca przelatowała tak szybko, tak okropnie szybko, że chciałoby się zawisnąć na każdej godzinie, by nie dać jej przeminąć, by nie strwonić niebacznie szczęścia.

Ale czas mijał niepowstrzymanie, po deszczu następowało słońce, po wietrze lądowym – morski, po cichym ciepłe hałaśliwe burze, które zdawały się nie mieć końca. Bywały dni, gdy czarnozielone bałwany, gnane północno-wschodnim wiatrem nanosiły na brzeg trawę morską, muł, muszle i meduzy, zagrażając pawilonom. Wtedy ciemne zmacone morze jak okiem sięgnąć pokryte było pianą. Wielkie, potężne fale toczyły się z nieubłaganym i przerażającym spokojem, kłoniły się majestatycznie, zaokrąglone, ciemnozielone, połyskujące, a potem z hukiem, sykiem i szumem

zlewały się po piasku... Kiedy indziej zachodni wiatr pędził fale, szeroko odsłaniając delikatnie sfałdowane dno morza i nagie ławice piasku. Niebo, ziemia i woda zlewały się razem, podczas gdy wichur wraz z deszczem uderzał w szyby, z których spływały już nie krople, ale potoki, tak że szyby stawały się zupełnie mętne. Wówczas Hanno przebywał zwykle w sali domu zdrojowego przy pianinie, które wprawdzie rozstrojone było walcami i polkami, wygrywanymi na reunionach, i nie można było na nim tak dźwięcznie improwizować jak na fortepianie w domu, ale miało ton stłumiony i bulgotliwy, dający niezmiernie zajmujące efekty... A potem znów następowały inne dni, rozmarzone, błękitne, zupełnie bez wiatru, upalne, podczas których błękitne muchy z brzękiem latały w słońcu nad „Placem Latarni”, a morze rozpościerało się milczące i przejrzyste, bez powiewu i bez ruchu. A gdy przeszły jeszcze trzy dni, Hanno mówił sobie i tłumaczył każdemu, że teraz będzie jeszcze tyle czasu, ile trwają całe ferie na Zielone Świątki. Ale pomimo iż te obliczenia były nieomyślne, sam w nie już nie wierzył, a serce jego od dawna opanowała świadomość, że człowiek w wyświeconym kamgarnowym surducie mimo wszystko miał rację, że te cztery tygodnie jednak się skończą i że trzeba będzie rozpocząć od owego miejsca i przejść do tego i tego...

Obładowana dorożka stała przed domem zdrojowym. Nadszedł przecież ów dzień. Wczesnym rankiem Hanno pożegnał się z morzem i wybrzeżem, następnie z kelnerami, którzy otrzymali napiwki, z muszlą dla orkiestry, grządkami róż i całym tym latem. A potem dorożka ruszyła, podczas gdy personel hotelu składał ukłony. Minęła aleję prowadzącą do miasteczka, jechała wzdłuż rzeki... Hanno wcisnął głowę w kąt powozu i wyjrzał przez okno. Ida Jungmann siedziała naprzeciwko, krzepka, białowłosa i koścista. Poranne niebo pokryte było chmurkami, a rzeka toczyła drobne fale, szybko uciekające przed wiatrem. Od czasu do czasu krople deszczu uderzały o szyby. Na skraju ulicy Nadrzecznej ludzie siedzieli na progach domostw, naprawiając sieci: podbiegały bose dzieciaki i ciekawie patrzyły na powóz. Oni pozostawali tutaj...

Gdy minęli ostatnie domy, Hanno wychylił się, by spojrzeć jeszcze raz na latarnię morską; potem znów oparł się o poduszki powozu przymykając oczy.

–Na przyszły rok przyjedziemy znowu, Januchna – powiedziała

Ida Jungmann głębokim, pocieszającym tonem, ale brakowało tylko tych słów, by broda jego zaczęła drżeć, a łzy puściły się spod długich rzęs.

Twarz jego i ręce opalone były od wiatru; ale jeśli celem tego pobytu nad morzem było wzmocnienie jego energii, rzeźkości, odporności, to nadzieje owe zostały okrutnie zawiedzione; pełen był tego rozpaczliwego przeświadczenia. W ciągu tych czterech tygodni spokoju i zadumy nad morzem serce jego stało się jeszcze o wiele bardziej marzycielskie, wydelikaczone, wrażliwsze i jeszcze o wiele mniej zdolne do zachowania odwagi wobec reguły trzech pana Tietge; jeszcze trudniej będzie nie wpadać w rozpacz na myśl o uczeniu się na pamięć dat historycznych i gramatycznych prawideł, o rozpaczliwie lekkomyślnym odrzucaniu książek i o potrzebie głębokiego snu przynoszącego zapomnienie, o porannym lęku przed lekcjami, o katastrofach, o zaczepkach Hagenströmów, jak również o wymaganiach stawianych mu przez ojca.

Potem jednak dodała mu nieco

odwagi jazda wzdłuż przydrożnych

rowów, wśród porannego świergotu

ptaków. Pomyślał o niedalekim

spotkaniu z Kajem, o panu

Pf~uhlu, o lekcjach muzyki, o

fortepianie i swojej

fisharmonii. Zresztą jutro miała

być niedziela, pierwszy zaś

dzień szkoły, pojutrze, nie był

jeszcze niebezpieczny. Ach, czuł

jeszcze trochę nadmorskiego

piasku w bucikach... Poprosi

starego Groblebena, by zostawił

go tam na zawsze... Niech tam

się wszystko rozpocznie na nowo,

kamgarnowe surduty,

Hagenstr~omowie i inne

zmartwienia. A on co ma, to ma. Gdy wszystko zwali się na niego, będzie sobie wspominał morze i park zdrojowy, a sama myśl o szmerze, z jakim małe fale, przyływające z oddali pogrążonej w tajemniczym śnie, z pluskiem uderzały w wał nadbrzeżny, pocieszy go i zabezpieczy przed wszystkimi przeciwnościami...

Potem jechali promem, przebyli Israelsdorferallee, Jerusalemsberg, Burgfeld, zbliżyli się do bramy miasta: na prawo wznosiły się mury więzienia, w którym siedział wuj Weinschenk; pojazd potoczył się po Burgstrasse i przez Koberg, pozostawiając za sobą Breitenstrasse i hamując zjechał po opadającej w dół Fischergrube... I oto już ujrzano czerwoną fasadę z wykuszem i białymi kariatydami, a gdy z gorącej ulicy weszli wolno do chłodnego kamiennego przedsionka, z kantoru wyszedł im naprzeciw senator z piórem w rękę, by ich powitać...

I z wolna, z wolna, potajemnie roniąc łzy, przyzwyczajali się mały Jan żyć bez morza, bać się i nudzić straszliwie, ustawicznie wystrzegać się Hagenstr~omów i pocieszać się Kajem, panem Pf~uhlem i muzyką.

Panie Buddenbrook z Breitenstrasse i ciocia Klotylda, skoro tylko go zobaczyły, zaraz zapytały, jak smakuje szkoła po wakacjach, mrugając przy tym filuternie, co miało oznaczać współczucie dla jego położenia, z ową szczególną pychą dorosłych, traktujących żartobliwie i powierzchownie wszystko, co dotyczy dzieci; i Hanno stawiał czoło tym zapytaniom.

W trzy czy cztery dni po przyjeździe zjawił się na Fischergrube doktor Langhals, by zbadać rezultaty pobytu nad morzem.

Gdy odbył dłuższą konferencję z senatorową, wezwano Hanna, by na wpół rozebranego poddać go szczegółowemu badaniu – aby zaprezentował swój „status praesens” (obecny stan (zdrowia –łac.)), jak wyraził się doktor

Langhals oglądając swe paznokcie. Obejrzał skromną muskulaturę Jana, szerokość klatki piersiowej i zbadał działanie serca, wchodził we wszelkie szczegóły, wreszcie za pomocą strzykawki z igiełką wydobyl kroplę krwi ze szczupłej ręki Hanna, by w domu zrobić analizę; w ogóle nie wydawał się bardzo zadowolony.

–Opaliliśmy się trochę – rzekł obejmując stojącego przed nim chłopca; położył na jego ramieniu swoją czarną, owłosioną rękę i spojrzal na senatorową i pannę Jungmann – ale ciągle jeszcze mamy smutną minę.

–Tęskni za morzem – zauważyła Gerda Buddenbrook.

–Tak, tak... więc tak lubisz morze?! – zapytał doktor Langhals spoglądając na małego Jana swymi pustymi oczami... Hanno zbladł. Co oznaczało to pytanie, na które doktor Langhals najwidoczniej oczekiwał odpowiedzi? Zbudziło się w nim bezrozumne i fantastyczne przekonanie, że wbrew wszystkim ludziom w kamgarnowych surdutach dla Pana Boga nie ma nic niemożliwego.

–Tak... – wyrzekł utkwivszy w doktorze swe rozszerzone oczy. Ale doktor Langhals nie miał na myśli nic szczególnego zadając to pytanie.

–No tak, rezultaty kąpieli i powietrza przyjdą później, przyjdą później! – powiedział klepiąc po ramieniu małego Jana, odsunął go i kiwnął głową senatorowej oraz Idzie Jungmann owym pełnym wyższości, pobłażliwym i pocieszającym gestem wszechwiedzącego doktora, którego zdania słucha się z zapartym tchem, po czym wstał i zakończył konsultację...

Największe zrozumienie dla swej tęsknoty za morzem, owej tak trudno zablizniającej się i tak łatwo

krwawiącej i bolesnej rany, znalazł Hanno u cioci Antoniny, słuchającej z widoczną przyjemnością opowiadań o życiu w Travemünde i całym sercem wtórującej jego tęsknym pochwałam.

–Tak, Hanno – mówiła – co prawda, to prawda, piękny jest pobyt w Travemünde! Do końca życia, wiesz, będę z rozkoszą wspominała letnie tygodnie, które spędziłam tam jako młoda koza. Mieszkałam u ludzi, których lubiłam, a którzy mnie także kochali, jak mi się zdaje, był wtedy ze mnie przecie dobry latawiec – teraz jako stara kobieta mogę już to powiedzieć – a zawsze byłam w dobrym humorze. Byli to zacni ludzie, mówię ci, pracowici, poczciwi i prawdomówni, a przy tym tak rozumni, uczeni i pełni zapału, jakich już nigdy potem w życiu nie spotkałam. Tak, obcowanie z nimi było nadzwyczaj zajmujące. Jeżeli chodzi o poglądy i wiadomości, to nauczyłam się tam wiele na całe życie i gdyby nie były stały na przeszkodzie różne rzeczy, różne wydarzenia... słowem, jak to bywa w życiu... ja, koza, mogłabym tam wiele jeszcze skorzystać. Wiesz, jaka byłam wtedy głupia? Chciałam wydobyć z meduz różnobarwne gwiazdki, znosiłam do domu całe ich masy w chustce do nosa, rozkładałam je ładnie na balkonie, na słońcu, aby wyparowały... Myślałam, że wtedy zostaną same gwiazdki! Wyobraź sobie... Potem, kiedy do nich zaglądałam, znajdowałam tylko dużą, mokrą plamę, która pachniała trochę zgniłą trawą morską...

Rozdział czwarty

Na początku roku 1873 podano do senatu prośbę o ułaskawienie Hugona Weinschenka i były dyrektor został wypuszczony na wolność na pół roku przed upływem terminu.

Gdyby pani Permaneder miała być szczerą, to musiałaby przyznać, że wydarzenie to nie sprawiło jej żadnej radości i że wolałaby, aby wszystko pozostało po staremu. Żyła spokojnie z córką i wnuczką na Lindenplatz, utrzymując stosunki z domem na Fischergrube i ze swą przyjaciółką, Armgardą z Schillingów von Maiboom, która od śmierci męża mieszkała w mieście. Od dawna wiedziała, że poza murami rodzinnego miasta nigdzie właściwie nie byłaby na swoim miejscu, i pod wpływem monachijskich wspomnień, coraz słabszego żołądka i wzrastającej potrzeby spokoju obawiała się myśli o przeniesieniu się na stare lata do któregośkolwiek z miast Zjednoczonej ojczyzny czy może nawet za granicę.

–Drogie dziecko – rzekła do córki – muszę cię o coś zapytać, o coś poważnego!... Czy jeszcze ciągle kochasz męża z całego serca? Kochasz go tak, że dokądkolwiek udałby się teraz, podążyłabyś za nim z dzieckiem, bo przecież dalszy jego pobyt tutaj jest, niestety, niemożliwy?

A ponieważ pani Eryka z Grunlichów Weinschenk, zalewając się łzami, które wszystko mogły oznaczać, odpowiedziała zupełnie tak samo zgodnie z obowiązkiem, jak Tonia niegdyś w podobnych warunkach odpowiedziała ojcu w swej willi pod Hamburgiem, zaczęto liczyć się z możliwością bliskiego rozstania...

Był to dzień prawie równie straszny jak ów, w którym aresztowano dyrektora Weinschenka, gdy pani Permaneder zamkniętą dorożką sprowadziła swego zięcia z więzienia. Przywiozła go do mieszkania na Lindenplatz, bezradny, zmieszany, przywitał się z żoną i dzieckiem, a potem przesiadywał w pokoju, który mu przygotowano, osiwiwały i złamany, paląc od rana do nocy cygara i nie śmiejąc wyjść na ulicę, a nawet zazwyczaj oddzielnie przyjmując posiłki.

Życie w więzieniu nie zdołało zaszkodzić jego zdrowiu, gdyż organizm Hugona Weinschenka zachował całą swą odporność, stan jego był jednak bardzo smutny. Straszny był widok tego człowieka – który najprawdopodobniej nie popełnił nic ponad to, co inni jego koledzy codziennie odważnie popełniają, i który gdyby nie został schwytany, niewątpliwie chodziłby z podniesioną głową i czystym sumieniem – straszny był widok człowieka całkowicie złamanego swym upadkiem, faktem wyroku sądowego i tymi trzema latami więzienia. Z najgłębszym przekonaniem zapomniał w sądzie, a biegli mu to potwierdzili, że śmiała manipulacja, jaką przeprowadził dla swego Towarzystwa oraz dla własnej korzyści, może być uważana jako usance, jako rzecz dopuszczalna. Prawnicy jednak, panowie, którzy podług jego zdania nie rozumieli się na tych rzeczach, którzy żywili inne pojęcia i zapatrywania, zasądzi go za oszustwo, a orzeczenie to, poparte przez władze państwowe, do tego stopnia zachwiało jego wiarę w siebie, że nie śmiał już nikomu spojrzeć w oczy. Dawny elastyczny chód, energiczne kołysanie się w biodrach, balansowanie pięściami i toczenie wzrokiem wokoło, niezwykła naiwność, z jaką z wyżyn swej nieświadomości i niewykształcenia zadawał pytania i przytaczał anegdoty – wszystko to minęło! Minęło do tego stopnia, że groza ogarniała najbliższe otoczenie na widok tego przygnębienia, tchórzostwa i niegodnego otepienia.

Po ośmiu czy dziesięciu dniach, w czasie których zajęty był wyłącznie paleniem, pan Hugo Weinschenk zaczął czytać gazety i pisać listy. Po czym po upływie następnych ośmiu czy dziesięciu dni oznajmił w sposób dość nieokreślony, iż zarysowuje się przed nim możliwość nowej posady w Londynie, musi jednak najpierw sam pojechać, by osobiście załatwić tę sprawę, a dopiero gdy wszystko będzie postanowione, wezwać żonę z dzieckiem.

Zamkniętą dorożką udał się na dworzec w towarzystwie Eryki i pojechał nie zobaczywszy się z nikim z krewnych.

Po paru dniach napisał z Hamburga list do żony, w którym zawiadamiał, że nie połączy się z nią i dzieckiem, a nawet nie odezwie się do nich, dopóki nie będzie mógł zapewnić im odpowiedniej egzystencji. I to był ostatni znak życia, jaki otrzymała od Hugona Weinschenka. Od tej chwili nikt o nim nie słyszał. Pomimo iż później pani Permaneder z właściwym sobie doświadczeniem i energią czyniła kilkakrotne próby odnalezienia zięcia, by, jak mówiła, uzyskać pełne umotywowanie skargi rozwodowej na podstawie złośliwego opuszczenia, wszelki ślad po nim zaginął i w ten sposób Eryka Weinschenk pozostała nadal u matki na Lindenplatz.

Rozdział piąty

Małżeństwo, które wydało na świat małego Jana, nigdy nie przestało być ponętym tematem rozmów w mieście. Równie pewne jak to, że każde z małżonków ma w sobie coś niezwykłego i zagadkowego, było to, że i samo małżeństwo nasuwa wiele wątpliwości. Wyświetlić nieco tę sprawę i niezależnie od nikłych faktów zewnętrznych wybadać trochę grunt wydawało się zadaniem trudnym, które jednak warto było podjąć. I im mniej wiedziano o Gerdzie i Tomaszu Buddenbrookach, tym więcej rozprawiano o nich w gabinetach, sypialniach, w klubach i kasynach, a nawet na giełdzie.

Jak odnalazło się tych dwoje i jakie były ich wzajemne stosunki? Przypominano sobie nagłą stanowczość, z jaką przed osiemnastu laty trzydziestoletni wówczas Tomasz Buddenbrook przystąpił do rzeczy. – Ta albo żadna – tak się wyraził, a podobnie musiało być i z Gerdą, gdyż w Amsterdamie do dwudziestego siódmego roku życia rozdawała kosze, tego zaś konkurenta od razu przyjęła. A

zatem małżeństwo z miłości, myśleli ludzie na swój sposób, gdyż, niechętnie wprawdzie, musieli jednak przyznać, że trzysta tysięcy posagu odegrało tu jedynie drugorzędną rolę. Jednak miłości – tego, co pojmuje się pod mianem miłości – od samego początku niewiele znać było u obojga. Od początku nie konstатовano nic innego, jak tylko wzajemną uprzejmość, uprzejmość poprawną, pełną szacunku, zupełnie niezwykłą między małżonkami, zdającą się w niezrozumiały sposób wpływać nie z wewnętrznej obcości i oddalenia, lecz ze swoistej, milczącej i głębokiej wzajemnej zażyłości i znajomości, bezustannej wzajemnej uwagi i względów. Lata nic w tym nie zmieniły. Zmiana, jaką przyniosły, polegała jedynie na tym, że teraz różnica wieku, jakkolwiek tak nieznaczna, zaczęła uwydatniać się w sposób jaskrawy...

Przyglądano się im obojgu i mówiono, że małżeństwo to składa się z mocno podstarzałego, nieco już otyłego męża i młodej żony. Mówiono, że Tomasz Buddenbrook posunął się – tak, mimo jego nieco komicznej „próżności”, w jaką się stroił, było to jedyne właściwe słowo – podczas gdy Gerda prawie wcale się nie zmieniła w ciągu tych osiemnastu lat. Wydawała się jak gdyby zakonserwowana w nerwowym chłodzie, w którym żyła i który z niej promieniował. Jej ciemnorude włosy zachowały dawną barwę, piękna biała twarz nie straciła dawnych proporcji, a cała postać pozostała równie smukła i wytworna. W kątach nieco za małych i nieco zbyt blisko siebie osadzonych ciemnych oczu zawsze jeszcze leżały niebieskawe cienie... Oczy te nie wzbudzały zaufania. Spojrzenie ich było dziwne, nie można go było odgadnąć. Ta kobieta, tak chłodna, tak zamknięta w sobie, powściągliwa i nieprzystępna, która jedynie w muzyce zdawała się okazywać nieco ciepła i życia, wzbudzała nieokreślone podejrzenia. Ludzie czerpali z dawno wyschniętego źródła swojej znajomości ludzi i zaśniedziałe prawdy życiowe obracali przeciwko małżonce senatora Buddenbrooka. Cicha woda często brzegi rwie. Nie każdy jest taki niewinny, na jakiego wygląda. A ponieważ pragnęli poznać nieco lepiej całą sprawę i w ogóle cośkolwiek wiedzieć i rozumieć, skromna fantazja przywiodła ich do przypuszczenia, że nie może to być nic innego jak tylko to, że piękna Gerda trochę zdradzała swego starzejącego się męża.

Zaczęli przyglądać się baczniej i wkrótce zgodzili się na to, że Gerda Buddenbrook w swym stosunku do pana porucznika von Throty, wyrażając się łagodnie, przekracza granice obyczajności.

René Maria von Throta, rodem z Nadrenii, był porucznikiem w batalionie infantem, którego załoga stała w mieście. Czerwony kołnierz dobrze odcinał się od jego czarnych włosów, rozdzielonych na boku i szczesanych na prawą stronę białego czoła, gdzie tworzyły wysoki, gęsty, falujący czub. Ale pomimo iż był wysoki i dobrze zbudowany, cała jego postać, ruchy, jak również sposób mówienia i milczenia wywierały wysoce niewojskowe wrażenie. Często zakładał rękę za guziki swej na pół odpiętej kurtki lub też siedział opierając policzek na grzbiecie dłoni; ukłony jego pozbawione były wszelkiej sztywności, nie słychać było nawet przy tym stuknięcia obcasów, a uniform nosił na swym muskularnym ciele tak niedbale i kapryśnie, jak gdyby to było ubranie cywilne. Nawet cienki, ukośnie ku kątom ust opadający młodzieńczy wąsik, nie nadający się do zaostżenia ani do podkręcenia, wzmacniał owo ogólne niemarsowe wrażenie. Ale najbardziej zadziwiające były oczy: wielkie, niezwykle błyszczące i tak czarne, że wydawały się niezgłębionymi, płomiennymi przepaściami – oczy spoczywające na przedmiotach i twarzach marzycielsko, poważnie i lśniąc...

Niewątpliwie wstąpił do wojska

wbrew swej woli lub też bez

zamiłowania, gdyż mimo siły
fizycznej nie był gorliwy w
służbie ani lubiany przez
kolegów, których zainteresowań i
zabaw nie podzielał –
zainteresowań i zabaw młodych
oficerów, którzy niedawno
powrócili ze zwycięskiej
wyprawy. Uchodził za
nieprzyjemnego dziwaka,
uprawiającego samotne
przechadzki, nie lubiącego koni
ani polowania, ani gry, ani
kobiet, całe jego
zainteresowanie zwrócone było w
kierunku muzyki, grał bowiem na
kilku instrumentach i ze swymi
płomiennymi oczami i
niewojskowym, zarazem
zaniedbanym i aktorskim wyglądem chodził na wszystkie opery i koncerty, gardząc klubem i kasynem.
Tak czy owak złożył najkonieczniejsze wizyty w najlepszych rodzinach, uchylał się jednak od
wszelkich zaproszeń i bywał właściwie wyłącznie u Buddenbrooków... zbyt często, jak ogólnie
sądzono, zbyt często, jak sądził sam senator...

Nikt się nie domyślał, co działo się w duszy Tomasza Buddenbrooka; nikt nie powinien był się
domyślać – a właśnie to: ukryć przed wszystkimi swoją nieświadomość, zgryzotę, swoją nienawiść,
było tak straszliwie trudno! Ludzie zaczęli uważać go za nieco śmiesznego, ale być może, iż niejeden
poczułby współczucie i stłumił drwiące docinki, gdyby choć w najdrobniejszej części domyślał się, z

jak drażliwym lękiem Tomasz Buddenbrook wystrzegał się śmieszności, jak od dawna ją widział i przeczuwał jej obecność, zanim jeszcze komukolwiek z nich przyszło coś takiego do głowy. Próżność jego, owa tylokrotnie wyszydzana próżność, wpływała po większej części z tej troski. On pierwszy, pełen nieufności, zauważył kontrast występujący między jego własną postacią a dziwną niezmiennością wyglądu Gerdy, której nie tknęły lata; teraz zaś, gdy pan Throta wszedł do jego domu, zmuszony był resztkami sił przewycięzać i ukrywać swe obawy, zmuszony był do tego, by przez ujawnienie obaw nie wystawić imienia swego na powszechne szyderstwo.

Gerda Buddenbrook i młody oryginalny oficer odnaleźli się oczywiście na terenie muzyki.

Pan von Throta grał na

fortepianie, na skrzypcach, na

altówce, na wiolonczeli i na

flecie – na wszystkim doskonale

–i senator często już z góry wiedział o odwiedzinach, obwieszczał je bowiem ordynans pana von Throty, który przechodził obok okna prywatnego gabinetu senatora, dźwigając na plecach pudło z wiolonczelą...

Wówczas Tomasz Buddenbrook siedział przy swym biurku i czekał, póki nie ujrzał przez okno także i jego samego, przyjaciela swej żony, wchodzącego do jego domu, póki ponad nim w salonie nie rozpętały się harmonie, które wśród śpiewów, skarg i nadludzkich okrzyków radości wznosiły się jakby z kurczowo wyciągniętymi, złożonymi rękami, a po wszystkich obłądnych i mglistych ekstazach, wśród omdleń i łkań zapadały w noc i milczenie. Niechby huczały i wyły, płakały i krzyczały, wybuchając i obejmując się wzajemnie, niechby brzmiały nadludzko, ile by tylko chciały! Najgorszą, najistotniejszą udręką było milczenie, które następowało po nich i trwało potem w salonie tak długo, długo, a było zbyt głębokie i martwe, by nie wzbudzać grozy. Ani jeden krok nie wstrząsnął sufitem, nie odsunęło się żadne krzesło; była to nieszczera, niesamowita, milcząca, przemilczająca cisza... Wówczas Tomasz Buddenbrook trwożył się tak bardzo, że niekiedy aż jęczał cicho.

Czego się bał? Znowu ludzie widzieli pana von Throtę wchodzącego do jego domu i niby ich oczami, tak, jak im się to przedstawiało, ujrzał ów obraz: siebie samego, starzejącego się, zniszczonego i zdziwaczałego człowieka, siedzącego w kantorze przy oknie, podczas gdy na górze jego piękna żona grała – i nie tylko grała – ze swym kawalerem... Tak, w takim świetle widziano to od zewnątrz, dobrze o tym wiedział. A jednak wiedział również, że wyraz „kawaler” był bardzo złym określeniem dla pana von Throty. Ach, czułby się niemal szczęśliwy, gdyby tak mógł go nazwać, gdyby mógł pogardzać nim jako głupim, pustym i pospolitym chłopakiem, który uprawiając trochę sztuki, wyraża jednocześnie normalną dozę swojej zarozumiałości zdobywając w ten sposób serca kobiet. Na wszystkie sposoby próbował uczynić z niego taką figurę. Jedyne i wyłącznie w tym celu wywoływał w sobie instynkty przodków: nieufność osiadłego i oszczędnego kupca wobec płoczej, żadnej przygód, niesolidnej kasty wojowników. Tak w myślach, jak i w rozmowach tonem lekceważącym nazywał pana von Throtę „porucznikiem”, czuł przy tym aż nazbyt dobrze, że tytuł ten najgorzej ze

wszystkich określał charakter tego młodego człowieka...

Czegóż się bał Tomasz

Buddenbrook? Niczego... Niczego, co dałoby się określić. Ach, gdybyż musiał wystrzegać się czegoś namacalnego, prostego i brutalnego! Zazdrościł owym ludziom prostego poglądu, jaki wyrobili sobie o tej sprawie, podczas gdy on, siedząc tutaj z głową opartą na rękach, wiedział aż nadto dobrze, że „zdrada małżeńska” – to nie było określenie ujmujące we właściwy sposób owe śpiewane i przepastnie ciche sprawy, które działy się na górze.

Niekiedy, gdy spoglądał na szare, ostre szczyty domów, na przechodniów, gdy oczy jego spoczywały na wiszącej przed nim tablicy pamiątkowej, podarunku jubileuszowym, na portretach przodków, gdy myślał o historii swej rodziny, wówczas mówił sobie, że to jest koniec wszystkiego, że brakowało jeszcze tylko tego, co się teraz dzieje. Tak, tego tylko brakowało, by na domiar wszystkiego osoba jego stała się pośmiewiskiem, a jego nazwisko, życie rodzinne znalazło się na ustach wszystkich ludzi... Ale myśl ta działała na niego prawie uspokajająco, gdyż wydawała mu się prosta, jasna i zdrowa, możliwa do pomyślenia i wypowiedzenia w porównaniu z tym ślęczeniem nad ową sromotną zagadką, tym tajemniczym skandalem nad jego głową...

Nie mógł znieść tego dłużej, odsunął krzesło, wyszedł z kantoru i wszedł na górę. Dokąd miał się zwrócić? Do salonu, by swobodnie i nieco z góry przywitać pana von Throtę, zaprosić go na kolację i, jak miało to już miejsce kilka razy, usłyszeć odpowiedź odmowną? Gdyż właściwie najbardziej nie do zniesienia było to, że porucznik unikał go najzupełniej, nie przyjmował prawie żadnego oficjalnego zaproszenia i pragnął zachować jedynie prywatne stosunki z senatorową...

Czekać? Gdziekolwiek, może w palarni, czekać, aż sobie pójdzie, a potem stanąć przed Gerdą i pomówić z nią, zmusić ją do mówienia? – Z Gerdą nie można było pomówić ani też zmusić jej do mówienia. O czym? Związek z nią ugruntowany był na wzajemnym zrozumieniu, oględności i milczeniu. Po co się jeszcze i przed nią ośmieszać? Grać rolę zazdrosnego – znaczyło to przyznawać rację ludziom, wywoływać skandal, rozgłaszać go... Czy ucuwał zazdrość? O kogo? O co? Ach, daleki był od tego! Coś tak mocnego zdołałoby nakłonić do czynów, może błędnych, nieroztropnych, ale stanowczych i przynoszących ulgę. Ach, nie, odczuwał wobec tego wszystkiego jedynie nieco lęku, nieco dręczącego i niespokojnego lęku...

Poszedł do swojej ubieralni, by przetrzeć czoło wodą kolońską, a potem znowu zeszedł na pierwsze piętro, zdecydowany przerwać za wszelką cenę milczenie w salonie. Ale gdy trzymał już w dłoni czarnożłotą klamkę białych drzwi, nagle znowu rozpoczęła się burzliwa muzyka i cofnął się.

Po schodach dla służby zeszedł na dół, przeszedł przez sień i chłodny dziedziniec do ogrodu, znowu powrócił, zatrzymał się w sieni przed wypchanym niedźwiedziem, potem u dolnego zakrętu głównych schodów, przed basenem ze złotymi rybkami, nie mogąc uspokoić się, słuchając, pełen wstydu i zgryzoty, przybity i pędzony tą trwogą przed tajemniczym i publicznym skandalem...

W pewnej chwili, gdy na drugim piętrze oparł się o balustradę i spojrział w dół widnej klatki schodowej, gdzie wszystko pogrążone było w milczeniu, mały Jan wyszedł ze swego pokoju, przeszedł po stopniach „altany” i przez korytarz, udając się w jakiejś sprawie do Idy Jungmann.

Szedł, przesuując niesioną w rękę książką po ścianie i chciał z opuszczonymi oczami i lekkim ukłonem przejść obok ojca, ale senator przemówił do niego.

–No, Hanno, co porabiasz?

–Pracuję, ojczulku, chcę z Idą przetłumaczyć...

–Jak ci idzie? Co masz zadane?

I z ciągle opuszczonymi rzęsami, ale szybko i starając się widocznie dać poprawną, jasną i przytomną odpowiedź, Hanno odrzekł, prędko przełknąwszy ślinę:

–Mamy preparację Neposa,

przepisać rachunek handlowy, gramatykę francuską, rzeki Ameryki Północnej... poprawić wypracowanie niemieckie...

Umilkł, nieszczęśliwy, iż nie wstawił „i” oraz nie zniżył głosu na zakończenie, nie miał bowiem nic więcej do powiedzenia i cała odpowiedź znów była urwana i niedokończona. – Więcej nic – powiedział najpewniej, jak mógł, nie patrząc jednak na ojca. Ale ojciec zdawał się nie zwracać na to uwagi. Trzymał w dłoniach wolną rękę Hanna, bawił się nią z roztargnieniem i, jak się wydawało, nie dosłyszawszy wcale jego odpowiedzi, bezwiednie dotykał delikatnych stawów i milczał.

A potem nagle usłyszał Hanno coś, co nie miało żadnego związku z właściwą rozmową – cichy, pełen wzruszenia i lęku, prawie zaklinający głos, jakiego nigdy dotąd nie słyszał; a jednak był to głos ojca, który mówił: – A porucznik jest już od dwu godzin u mamy... Hanno...

I oto na ten dźwięk Hanno otworzył szeroko swe złotobrunatne oczy i utkwiał je, duże, jasne i pełne miłości, jak nigdy dotąd, w twarzy ojca, w tej twarzy o zaczerwienionych powiekach pod jasnymi brwiami, o białych, trochę nabrzmiątych policzkach, pod którymi sterczały końce prostych wąsów. Bóg wie, ile z tego zrozumiał. Ale jedno było pewne, i obaj to czuli, że w owych sekundach, gdy spojrzenia ich złączyły się, zginęła między nimi wszelka obcość i chłód, wszelki przymus i niechęć, że Tomasz Buddenbrook, tak teraz jak i zawsze, gdy nie będzie mowy o energii, dzielności i pogodnej rzeźkości, lecz o trwodze i cierpieniu, może być pewien zaufania i miłości syna.

Nie zważał na to, odwracał się od tego uporczywie. W tych czasach surowiej niż kiedykolwiek wciągał Hanna w praktyczne ćwiczenia, które miały go przygotować do przyszłego czynnego życia, badał jego siły umysłowe, z naciskiem domagał się zdecydowanych zapewnień, iż ma ochotę wykonywać ten zawód, i wybuchał gniewem z powodu każdej oznaki oporu i znużenia... Bo oto sprawy wyglądały tak, że Tomasz Buddenbrook, mając lat czterdzieści osiem, coraz bardziej uważał swe dni za policzone i coraz bardziej liczył się z możliwością bliskiej śmierci.

Jego stan fizyczny pogorszył się. Utrata snu i apetytu, zawroty głowy i owe dreszcze, do których zawsze miał skłonności, zmusiły go kilka razy do zasięgnięcia porady doktora Langhalsa. Ale nie mógł się zdobyć na stosowanie się do jego przepisów. Nie wystarczało już na to siły woli, nadszarpniętej przez lata beczynności zawodowej i psychicznej. Zaczął sypiać bardzo długo,

jakkolwiek co wieczór z gniewem postanawiał sobie wstać wcześniej, by odbyć zalecony spacer przed ranną herbatą. W rzeczywistości dopiął tego dwa czy trzy razy... Podobnie było ze wszystkim. Ciągłe wyężdżanie woli bez powodzenia i zadośćuczynienia urażało jego szacunek dla samego siebie i doprowadzało go do rozpacz. Daleki był od odmawiania sobie odurzającej pociechy, jakiej dostarczały mu małe, mocne rosyjskie papierosy, od wczesnej młodości codziennie wypalał ich masy. Bez ogródek mówił doktorowi Langhalsowi:

–Widzi pan, doktorze, pańskim obowiązkiem jest zabronić mi palić... bardzo łatwym i bardzo przyjemnym obowiązkiem, doprawdy! Nie przekraczać tego zakazu, to znowu moja rzecz!... pan już musi tego doglądać... Nie, popracujemy wspólnie nad moim zdrowiem, ale role rozdzielone są zbyt niesprawiedliwie, mnie przypada za wielki udział w tej pracy! Niech się pan nie śmieje... To nie są żarty... Człowiek jest tak samotny... Palę. Pozwoli pan?

I podał mu swą tulską

papierośnicę.

Opadał jednak z sił; coraz bardziej wzrastało w nim przeświadczenie, że wszystko to nie potrwa długo, że zgon jego jest bliski. Nachodziły go dziwaczne przeczucia. Kilka razy przy stole doznał wrażenia, że właściwie nie przebywa już wcale ze swoimi, lecz spogląda ku nim z jakiegoś mglistego oddalenia... „Umrę” – myślał, i raz po raz wołał do siebie małego Jana i mówił do niego:

–Mogę odejść prędzej, niż myślimy, mój synu. Musisz być przygotowany! Ja też wcześniej stanąłem do pracy... Zrozum, że twoja obojętność martwi mnie! Czy jesteś zdecydowany?... Tak, tak – to nie jest odpowiedź, to żadna odpowiedź! Pytam, czy jesteś zdecydowany odważnie, z ochotą... Myślisz, że masz dosyć pieniędzy i nie będziesz potrzebował nic robić? Nie masz nic, masz śmiesznie mało, musisz całkowicie polegać na sobie! Jeśli chcesz żyć i może nawet dobrze żyć, będziesz musiał pracować, ciężko, twardo, jeszcze ciężiej niż ja...

Ale szło nie tylko o to; cierpiał już teraz nie tylko z powodu troski o przyszłość syna i domu. Zawładnęło nim coś nowego, ciężkiego i gnało jego zmęczone myśli... Odkąd mianowicie zaczął rozważać swój bliski koniec nie jako odległą, teoretyczną i nierealną konieczność, lecz jako coś zgoła bliskiego i dotykającego, wymagającego bezpośrednich przygotowań, począł wglądać, zagłębiać się w swe wnętrze, badać swój stosunek do śmierci i spraw niezemskich... I zaraz przy pierwszych próbach rozpoznał beznadziejną niedojrzałość i nieprzygotowanie swego ducha do śmierci.

Ścisła wiara, marzycielski chrystianizm Biblii, który ojciec jego umiał pogodzić z bardzo praktycznym zmysłem handlowym, a który następnie przejęła matka, był mu zawsze obcy. Przeciwstawiał raczej przez całe życie rzeczom pierwszym i ostatecznym światowy sceptycyzm swego dziadka; zbyt głęboki jednak, zbyt inteligentny i usposobiony za bardzo metafizycznie, by zadowolić się wygodną lekkomyślnością starego Jana Buddenbrooka, ujął historycznie zagadnienia wieczności i nieśmiertelności, powiedziawszy sobie, że żył w swych przodkach i żyć będzie w potomkach. Odpowiadało to nie tylko jego zmysłowi rodzinnemu, świadomości patrycjusza, pietyzmowi historycznemu, lecz podtrzymywało, krzepiło go w jego działalności, ambicji, całym trybie życia. Teraz jednak okazało się, że pod bliskim i przenikliwym spojrzeniem śmierci system ten rozpadł się w gruzy, niezdolny przynieść bodaj jednej godziny spokoju i gotowości.

Jakkolwiek Tomasz Buddenbrook odczuwał niekiedy w swoim życiu lekką skłonność do katolicyzmu, niemniej jednak przepelniało go poważne, głębokie, aż do samoudręczenia surowe i nieubłagane poczucie odpowiedzialności prawdziwego i namiętnego protestanta. Nie, wobec Najwyższego i Ostatecznego nie istniała żadna pomoc z zewnątrz, żadne pośrednictwo, absolucja, odurzenie czy pociecha! Zupełnie samotnie, samoistnie i własnymi siłami należało gorącą i wytrwałą pracą, nim będzie za późno, rozwikłać zagadkę i zdobyć się na jasną gotowość lub odejść w rozpacz... I Tomasz Buddenbrook odwrócił się beznadziejnie zawiedziony od jedyne syna, w którym pragnął odżyć wzmocniony i odmłodzony, i zaczął w pośpiechu i trwodze szukać prawdy, która przecież musiała gdzieś istnieć dla niego...

Było to w pełni lata roku siedemdziesiątego czwartego. Srebrzystobiałe, okrągłe chmury ciągnęły po ciemnobłękitnym niebie nad kunsztowną symetrią miejskiego ogrodu; w gałęziach orzecha pytająco ćwierkały ptaki, fontanna pluskała w otaczającym ją wieńcu kosaćców, a zapach bzu mieszał się, niestety, z wonią syropu, którą lekki wietrzyk przynosił z pobliskiej rafinerii cukru. Ku zdziwieniu personelu senator opuszczał teraz często kantor podczas godzin biurowych, by z rękami założonymi na plecach przechadzać się po swoim ogródku, grabić żwir, wylawiać muł z basenu lub podpierać krzak róży... Twarz jego o jasnych brwiach, z których jedna podniesiona była trochę do góry, wydawała się poważna i zaprzątnięta tymi zajęciami; ale myśli jego podążały daleko w ciemności, swoją własną mozolną ścieżką.

Czasem zasiadał na niewielkim tarasie, w pawilonie otulonym w dzikie wino i z roztargnieniem patrzył poprzez ogród na czerwoną ścianę swego domu. Powietrze było ciepłe i słodkie, a spokojne odgłosy wokoło zdawały się przemawiać do niego łagodnie, jakby chciały go ukołysać. Zmęczony wpatrywaniem się w pustkę, samotnością i milczeniem, zamykał od czasu do czasu oczy, by zaraz potem zerwać się i spiesznie odpędzić od siebie spokój. – Muszę myśleć – mówił prawie głośno... – Muszę wszystko uporządkować, dopóki jeszcze nie jest za późno...

Tutaj też, w tym to pawilonie, na małym bujającym fotelu z żółtej trzciny, zdarzyło się, że pewnego dnia przez całe cztery godziny czytał ze wzrastającym zajęciem pewną książkę, na poły świadomie, a na pół przypadkiem znaną... Po drugim śniadaniu, z papierosem w ustach, odnalazł ją w bibliotece w palarni, ukrytą za okazałymi tomami, i przypomniał sobie, że niegdyś, przed laty, nabył ją, nie przywiązując do niej wagi, za okazyjną cenę: dosyć obszerne, na cienkim żółtawym papierze, źle wydrukowane i źle zbroszurowane dzieło – drugą część słynnego systemu metafizycznego... Zabrał je ze sobą do ogrodu i teraz zupełnie pochłonięty odwracał kartkę za kartką...

Napełniało go nieznane,

wielkie zadowolenie i

wdzięczność. Doznawał uczucia

nieporównanego zadośćuczynienia

widząc, jak potężny, wyższy

umysł opanowuje życie, owo

mocne, okrutne i szydercze

życie, by je pokonać i

osądzić... było to

zadośćuczynienie cierpiącego, który nieustannie, wstydliwie, z nieczystym sumieniem ukrywa swe cierpienie przed chłodem i surowością życia, aż oto nagle z rąk wielkiego mędrca otrzymuje zasadnicze i uroczyste usprawiedliwienie swych cierpień na świecie – na tym najlepszym ze wszystkich możliwych światów, który, jak dowodzono szyderczo, miał być najgorszym z możliwych.

Nie wszystko pojmował, zasady i hipotezy były dla niego niejasne, a umysł, nie wyćwiczony w takiej lekturze, nie mógł podążyć pewnymi drogami myśli. Ale właśnie owe przejścia od światła do mroku, od głuchego nierozumienia i mglistych domysłów do nagłej światłości, zapierały mu oddech i mijały godziny, a on nie odrywał wzroku od książki ani nawet nie zmienił pozycji na krześle.

Początkowo pozostawiał niektóre strony nie czytane podążając szybko naprzód, nieświadomie i pośpiesznie pożądając czegoś istotnego, najważniejszego, zatrzymując się jedynie na pewnych ustępach, które go przykuwały. Potem jednak natrafił na obszerny rozdział, który odczytał od początku do końca z zaciśniętymi ustami i ściągniętymi brwiami, w skupieniu, z doskonałą, niemal zamarłą, nie naruszoną niczym zewnętrznym powagą malującą się na twarzy. Rozdział ów nosił tytuł: „O śmierci i jej stosunku do niezniszczalności naszej jaźni samej w sobie”.

Pozostało mu do przeczytania jeszcze parę wierszy, gdy o czwartej pokojówka przeszła przez ogród i poprosiła go do stołu. Skinął głową, doczytał pozostałe zdanie, zamknął książkę i spojrzał wkoło siebie... Czuł, iż cała jego jaźń rozrasta się potężnie, napełniając się jakimś ciężkim, mrocznym upojeniem, myśl jego była omglona i całkowicie odurzona czymś niewysłowienie nowym, kuszącym i pełnym obietnic, przypominającym pierwszą czarowną tęsknotę miłosną. Ale gdy zimnymi, drżącymi rękoma chował książkę do szufladki ogrodowego stolika, jego płonąca głowa, objęta dziwnym uściskiem, napięciem tak zatrwającym, że wydawało się, iż coś w niej może pęknąć – nie była zdolna do żadnej sformułowanej myśli.

„Cóż to było? – zapytywał siebie idąc do domu, wchodząc na schody i siadając do stołu w gronie rodziny... – Co mi się stało? Co ja takiego usłyszałem? Jakże to do mnie przemówiono, do mnie, Tomasza Buddenbrooka, senatora w tym mieście, właściciela firmy zbożowej „Jan Buddenbrook”? ... Czy było to przeznaczone dla mnie? Czy ja to zniosę? Nie wiem, co to było... wiem tylko, że było za wiele na mój mieszczański mózg...”

W tym stanie ciężkiego, ciemnego, upojnego i pozbawionego myśli zamroczenia pozostawał przez cały dzień. Potem nadszedł wieczór i nie mogąc dłużej dźwigać głowy na ramionach, wcześniej udał się na spoczynek. Spał trzy godziny głębokim, niezwykle głębokim snem, jak dotąd jeszcze nigdy w życiu. Potem obudził się tak raptownie, tak przedziwnie przestraszony, jak budzi się samotny człowiek z miłością kiełkującą w sercu.

Wiedział, że jest sam w dużej komnacie sypialnej. Gerda sypiała obecnie w pokoju Idy Jungmann, która, by być bliżej małego Jana, przeniosła się do jednego z dwu pokoiów przylegających do

„altany”. Wokoło panowała nieprzenikniona noc, gdyż zasłony obu wysokich okien były szczelnie zapuszczone. W głębokiej ciszy i przytłaczającej duszności leżał na wznak i spoglądał w ciemność.

I oto wydało mu się nagle, jak gdyby mrok rozdarł się przed jego oczami, jak gdyby aksamitna ściana nocy rozsunała się odsłaniając bezmiernie głęboki, daleki widok światła... – Będę żył! – powiedział Tomasz Buddenbrook prawie głośno i poczuł, że pierś jego zadrzała przy tym od wewnętrznego łkania... – To znaczy, że będę żył! To będzie żyło... a że owo to nie jest mną – było to tylko złudzenie, pomyłka, którą śmierć sprostuje. Tak jest, tak jest!... Dlaczego? – I na to pytanie noc znowu zamknęła się przed jego wzrokiem. Nie widział, nie wiedział, nie rozumiał już znowu nic więcej i opadł głębiej w poduszki, całkowicie oślepiiony i wyczerpany odrobiną prawdy, którą dane mu było ujrzeć przed chwilą.

Leżał cicho i czekał zarliwie, uczuwał pokusę modlitwy, by to jeszcze raz nadeszło i oświeciło go. I nadeszło. Ze złożonymi rękami, nie śmiejąc poruszać się, leżał i mógł widzieć...

Czymże była śmierć? Odpowiedź na to nie ukazywała mu się w nędznych i pustych słowach: czuł ją, posiadał ją w głębi serca. Śmierć była szczęściem tak przepastnym, że tylko w błogosławionych, jak owa, chwilach można ją było zgłębić. Był to powrót z niewypowiedziane przykrego błędzenia, naprawienie wielkiego błędu, oswobodzenie z najwstrętniejszych więzów i zapór – uleczenie po nieszczęśliwym wypadku.

Koniec i wyzwolenie? Po trzykroć zasługuje na litość każdy, kto te błahe pojęcia odczuwa jako okropność! Cóż to miało się skończyć i co wyzwolić? To jego ciało... Ta jego osobowość i indywidualność, ta ociążała, uparta, ułomna i nienawistna przeszkoda, by stać się czymś innym i czymś lepszym!

Czyż każdy człowiek nie był omyłką i błędem? Czyż nie dostawał się do pełnego udręczeń zamknięcia, skoro się tylko urodził? Więzienie! Więzienie! Wszędzie więzy i zapory! Przez zakratowane okienko swej indywidualności spogląda człowiek beznadziejnie na mury otaczające świat, póki nie nadejdzie śmierć i nie powoła go do powrotu, do wolności...

Indywidualność!... Ach, to,

czym się jest, co się potrafi i posiada, wydaje się biedne, szare, niedostateczne i nudne, ale to, czym się nie jest, czego się nie potrafi i nie posiada, ku temu właśnie spogląda się z ową pełną tęsknoty zazdrością, która przeradza się w miłość z obawy, by nie przerodzić się w nienawiść.

„Noszę w sobie zaród, początek, możliwość wszystkich uzdolnień i czynności świata... Gdzież mógłbym być, gdybym nie był tutaj! Kim, czym i jakim mógłbym być, gdybym nie był sobą, gdyby nie zamykała mnie ta moja osobista postać, a moja świadomość nie odgraniczała mnie od świadomości tych wszystkich, którzy nie są mną! Organizm! Ślepa, nierozważna, żalosna erupcja dążącej woli! Lepiej zaiste, by ta wola snuła się swobodnie w bezprzestrzennej, wieczystej nocy, niż by tęskniła w więzieniu, skąpo oświetlonym, drżącym i omdlewającym płomykiem intelektu!

Pragnąłem istnieć dalej w moim synu? W osobie jeszcze bardziej lękliwej, słabej, chwiejnej? Dziecinne, błędne szaleństwo! Cóż mi syn? Nie potrzeba mi syna!... Gdzież będę, gdy umrę? Ależ to

tak olśniewająco jasne, tak zniewalająco proste! Będę w tych wszystkich, którzy kiedykolwiek mówili Ja, mówili, mówią i mówić będą; ale zwłaszcza w tych, którzy mówią to pełniej, mocniej, radośniej...

Gdzieś na świecie wzrasta chłopiec, dobrze wyposażony przez naturę, udany, umiejący rozwijać swe uzdolnienia, zdrowy i pogodny, czysty, okrutny i radosny, jeden z tych ludzi, których widok pomnaża szczęście szczęśliwych, nieszczęśliwych zaś wprawia w rozpacz: oto jest mój syn. To jestem ja, jak tylko... jak tylko śmierć wyzwoli mnie z nędznego omamienia, że nie tyle jestem nim, ile sobą.

Czyż kiedy nienawidziłem życia, tego czystego, okrutnego, mocnego życia? Szaleństwo i nieporozumienie! Tylko siebie nienawidziłem za to, że nie mogłem znieść życia. Ale kocham was... kocham was wszystkich, szczęśliwi, i wkrótce przestanie dzielić mnie od was ciasne więzienie; wkrótce to we mnie, co was kocha, moja miłość ku wam, będzie wyzwolona, będzie z wami, w was... z wami wszystkimi, we wszystkich was!"

Zapłakał; wcisnął twarz w poduszki i płakał przepojony i odurzony szczęściem, które w bolesnej słodyczy nie ma sobie równego na ziemi. Był to wynik tego wszystkiego, co od wczorajszego popołudnia napełniało go mrocznym upojeniem, co wśród nocy poruszyło jego sercem i zbudziło go, jak kiełkująca miłość. I w chwili gdy pojął to i poznał – przyszło to nie w słowach ani uporządkowanych myślach, lecz w nagłych, uszczęśliwiających wewnętrznych światłach – już był wolny, wyzwolony zupełnie i pozbawiony wszelkich naturalnych i sztucznych granic i więzów. Mury jego miasta rodzinnego, w których zamknął się świadomie i dobrowolnie, otworzyły się i ukazały mu świat, cały świat, z którego to i owo widział w młodych latach, a który śmierć obiecywała dać mu całkowicie. Zwodnicze formy poznania przestrzeni, czasu a także i historii, troska o sławę historyczną przyszłego bytu w osobie potomka, obawa przed jakąkolwiek ostateczną historyczną śmiercią i zagładą – wszystko to uszło z jego ducha i nie przeszkadzało mu już pojmować wieczystej niezmienności. Nic się nie zaczynało, nic się nie urywało. Istniała jedynie nieskończona teraźniejszość oraz ta siła w nim, która tak boleśnie słodką, natarczywą i tęskną miłością kochała życie, a której jego osoba była chybionym wyrazem – ona zawsze zdoła odnaleźć sobie drogę do owej teraźniejszości.

–Będę żył – szeptał w

poduszki, płakał i... w następnej już chwili nie wiedział, czemu płacze. Praca jego mózgu zatrzymała się, wola zagasła i nagle nie znajdował w sobie nic więcej, tylko milknącą ciemność. – Ale tamto powróci! – zapewniał siebie. – Czyż nie posiadałem tego?...

–I podczas gdy czuł, jak uderzenie i sen ogarniają go przemożnie, poprzysięgał sobie nie dać nigdy odejść od siebie owemu olbrzymiemu szczęściu, lecz zbierać siły, czytać, studiować, dopóki nie przyswoi sobie mocno całego światopoglądu, z którego to wszystko wyrosło.

Ale to stać się nie mogło; i zaraz następnego ranka, gdy przebudził się z uczuciem lekkiego zażenowania z powodu wczorajszych duchowych ekstrawagancji, przeczuwał niewykonalność owych pięknych zamierzeń.

Wstał późno i od razu udał się do rady miejskiej, by wziąć udział w debacie. Życie publiczne,

handlowe, obywatelskie tego miasta o spiczastych i kanciastych domach znowu wzięło w swoje posiadanie jego siły i ducha. Ciągłe jeszcze zamierzając podjąć cudowną lekturę, zaczął zastanawiać się nad tym pytaniem, czy przeżycia owej nocy posiadają dla niego istotną i trwałą wartość i czy utrzymałyby się, gdyby nadeszła śmierć. Przeciwstawiały się temu jego mieszczańskie instynkty. Buntowała się jego próżność – obawa przed dziwaczną i śmieszną rolą. Czyż te rzeczy odpowiednie były dla niego, senatora Tomasza Buddenbrooka, właściciela firmy „Jan Buddenbrook”? Czy wypadało mu zajmować się nimi?

Nigdy więcej nie udało mu się powrócić do dziwnej książki, która zawierała w sobie tyle skarbów, a cóż dopiero wystarać się o pozostałe tomy wielkiego dzieła. Nerwowa pedanteria, jaka opanowała go z biegiem lat, pochłaniała jego dni. Gnany tysiącem nic nie znaczących codziennych drobiazgów, których załatwieniem i utrzymaniem w porządku się dręczył, zbyt był słaby, by zdobyć się na rozsądny i wydajny podział czasu. I mniej więcej w dwa tygodnie po owym pamiętnym popołudniu doszło do tego, że dał pokój wszystkiemu i rozkazał służącej, by odłożyła natychmiast do biblioteki książkę, która niepotrzebnie zabiera miejsce w szufladzie ogrodowego stolika. Tak się to stało, że Tomasz Buddenbrook, który wyciągał ręce ku wysokim i ostatecznym prawdom, opadł znużony wracając do tych pojęć i obrazów, w które od dzieciństwa uczono go wierzyć. Przypomniawszy sobie jedyne upostaciowane Boga Ojca, który posłał na świat cielesną część samego siebie, by cierpiała i krwawiła za nas, który będzie nas sądził na Sądzie Ostatecznym i u którego stóp, w owej rozpoczynającej się wówczas wieczności, wynagrodzone będą wszystkie cierpienia tej doliny łez... Całą ową nieco niejasną i nieco absurdalną historię, która nie wymagała zrozumienia, lecz posłusznej wiary, i która w ustanowionych, dziecięcych słowach znajdzie się pod ręką, gdy przyjdą chwile ostatniego lęku... Czyż istotnie?

Ach, i na tej drodze nie osiągnął spokoju. Ten człowiek trawiony troską o cześć swego domu, o swą żonę, syna, nazwisko, rodzinę, ten znużony człowiek, silący się zachować poprawny i elegancki wygląd, przez kilka dni dręczył się wątpliwością, jak to jest właściwie: czy dusza zaraz po śmierci dostaje się do nieba, czy też zbawienie rozpoczyna się dopiero wraz ze zmartwychwstaniem ciała... I gdzie znajduje się dusza do tego czasu? Czy ktoś uczył go tego w szkole albo w kościele? Na kim ciążyła odpowiedzialność za pozostawienie ludzi w takiej nieświadomości? – I bliski był wówczas udania się do pastora Pringsheima, by prosić go o radę i pociechę, dopiero w ostatniej chwili zaniechał tego z obawy przed śmiesznością.

W końcu dał pokój wszystkiemu i zdał się na Boga. Ponieważ jednak z porządkowaniem swych wiecznych spraw doszedł do tak niezadowolających rezultatów, postanowił załatwić sumiennie przynajmniej ziemskie sprawy, pragnąc doprowadzić do skutku dawno powzięty zamiar.

Pewnego dnia po obiedzie mały Jan usłyszał, jak w gabinecie, gdzie rodzice pili kawę, ojciec oznajmił mamie, że oczekuje adwokata takiego a takiego, by spisać przy nim swój testament, nie można bowiem odsuwać tego faktu w nieskończoność. Później Hanno ćwiczył w salonie przez godzinę na fortepianie. Gdy jednak potem chciał przejść przez korytarz, spotkał się z ojcem i jakimś obcym panem w długim, czarnym palcie, którzy wchodzili razem na schody.

–Hanno! – rzekł krótko senator. I mały Jan zatrzymał się, przełknął ślinę i odrzekł cicho i pośpiesznie:

–Słucham, ojczulku...

–Mam coś ważnego do

załatwienia z tym panem – mówił dalej ojciec. – Proszę, byś stanął pod tymi drzwiami – wskazał na wejście do palarni – i uważał, by nikt, słyszysz? absolutnie nikt nam nie przeszkodził.

–Dobrze, ojczulku –

powiedział mały Jan i stanął pod drzwiami, które zamknęły się za obu panami.

Stał tam, trzymając marynarski krawat na piersi, ocierał język o podejrzący ząb i słuchał poważnych i przytłumionych głosów, dochodzących go z głębi pokoju. Przechylił na bok głowę z falującymi na skroniach, jasnobrązowymi włosami, a złotobrunatne, otoczone niebieskawymi cieniami oczy spoglądały spod ściągniętych brwi na bok, mrugając, z wyrazem badawczej odrazy, wyrazem zupełnie podobnym do tego, z jakim stojąc nad trumną babki wdychał wraz z zapachem kwiatów inną woń, obcą, a jednak tak dziwnie bliską.

Przyszła Ida Jungmann i powiedziała:

–Januchna, synuchna, czego tu stoisz, co tu masz do roboty?

Przyszedł z depeszą garbaty praktykant i zapytał o senatora.

I za każdym razem mały Jan wyciągał poziomo przed drzwiami rękę w granatowym, marynarskim rękawku z wyhaftowaną kotwicą, potrząsał głową i po chwili milczenia mówił cicho i stanowczo:

–Nikommu nie wolno tam

wchodzić. Ojczulek pisze testament.

Rozdział szósty

Jesienią doktor Langhals,

wodząc swymi pięknymi oczami jak kobieta, powiedział:

–Nerwy, panie senatorze...

Wszystkiemu winne są nerwy. No i cyrkulacja krwi pozostawia nieco do życzenia. Czy wolno mi radzić? Powinien pan jeszcze tego roku wypocząć trochę! Tych kilka niedziel nad morzem nie miało oczywiście wielkiego znaczenia... Mamy koniec września, w Travemünde jest jeszcze sezon, miejscowość nie jest jeszcze zupełnie wyludniona. Jedź pan, panie senatorze, posiedzi pan sobie trochę na wybrzeżu. Dwa lub trzy tygodnie dobrze panu zrobią...

I Tomasz Buddenbrook obiecał pojechać. Gdy jednak powiedział o tym rodzinie, Chrystian zaproponował, że będzie mu towarzyszył.

–Jadę z tobą, Tomaszu – rzekł po prostu. – Przypuszczam, że nie masz nic przeciwko temu. – A pomimo iż senator miał bardzo wiele przeciwko temu, zgodził się także i na to.

Sprawy bowiem ułożyły się tak, że Chrystian był obecnie bardziej niż kiedykolwiek panem swego czasu, gdyż z powodu szwankującego zdrowia zmuszony był porzucić ostatnio swoją działalność kupiecką, agenturę koniaku i szampana. Wizja człowieka, siedzącego o zmierzchu na jego sofie i kiwającego na niego palcem, na szczęście przestała się powtarzać. Ale „cierpienie” w lewym boku powiększało się znacznie, a wraz z nim występowało dużo innych dolegliwości, które Chrystian gorliwie obserwował i marszcząc nos opisywał wszystkim i wszędzie. Często, jak to już dawniej bywało, mięśnie przełyku odmawiały mu posłuszeństwa, tak że siedział z kęsem w gardle, wodząc swymi małymi, okrągłymi, głęboko osadzonymi oczami. Często, jak to już dawniej bywało, cierpiał z powodu nieokreślonej, ale nieprzezwykłej obawy przed nagłym paraliżem języka, podniebienia, kończyn, a nawet zdolności myślenia. Wprawdzie dotąd wszystko było w porządku, ale czyż sama obawa nie była czymś niemal jeszcze gorszym? Opowiadał szczegółowo, jak pewnego dnia, przyrządzając sobie herbatę, przytknął płonąca zapałkę zamiast do maszynki do butelki spirytusu, tak że nie tylko on sam, ale i wszyscy współmieszkańcy, a nawet sąsiedzi mogli byli spłonąć w straszny sposób... Tego było za wiele. Ze szczególną jednak dokładnością i starając się, by wszyscy zupełnie dobrze go zrozumieli, opisywał pewną obrzydliwą anomalię, jaką zauważył u siebie ostatnimi czasy: oto w niektóre dni, a mianowicie przy pewnej pogodzie i nastroju, nie mógł spojrzeć w otwarte okno, by nie odczuć dzikiego i niczym nie usprawiedliwionego popędu do wyskoczenia... dzikiego nieopanowanego popędu, jakiegoś niedorzecznego i rozpaczliwego zuchwalstwa! Pewnej niedzieli, podczas rodzinnego obiadu na Fischergrube, opisywał, jak wytężywszy wszystkie swe siły moralne musiał na czworakach przyczołgać się do okna, by je zamknąć... Ale w tej chwili wszyscy zaczęli krzyczeć i nie dali mu dokończyć.

Takie i podobne rzeczy

konstatawał z jakąś okropną

satysfakcją. Czego jednak nie

dostrzegał i nie stwierdzał, z

czego nie zdawał sobie sprawy i

co dlatego ciągle się

powiększało, to owego

szczególnego braku taktu, jaki z biegiem lat coraz mocniej się uwydatniał. Już to było nie w porządku, że w gronie rodzinnym opowiadał anegdoty nadające się najwyżej do klubu. Ale nie brakowało też i bezpośrednich danych, że zanikało w nim poczucie fizycznego wstydu.

Chcąc pokazać szwagierce

Gerdzie, z którą się przyjaźnił, jakie nosi mocne angielskie skarpetki, a poza tym, jak schudł,

pozwalając sobie w jej obecności podnosić powyżej kolana szeroką kraciastą nogawicę spodni...

–Patrz no, jak chudnę... Czy to nie szczególne? – mówił zatroskany, marszcząc nos i ukazując kościstą, mocno na zewnątrz wykrzywioną nogę w białej wełnianej bieliźnie, pod którą rysowało się chude kolano...

Jak już powiedziano, porzucił wszelkie zajęcia handlowe, starał się jednak różnymi sposobami wypełnić godziny, których nie spędzał w klubie, i chętnie zaznaczał, że mimo rozmaitych przeszkód nigdy nie przestał pracować. Rozszerzał swe wiadomości w zakresie języków, ostatnio, na przykład, zaczął dla czystej nauki, bez żadnych celów praktycznych, uczyć się chińskiego, na co poświęcał wiele pracy w ciągu dwu tygodni. Ostatnio też zamierzał „uzupełnić” słownik angielsko_niemiecki, który wydawał mu się niedostateczny; ale ponieważ odczuwał właśnie potrzebę małej zmiany powietrza, poza tym zaś pożądane było, by senator miał jakie takie towarzystwo, praca owa nie zdołała zatrzymać go teraz w mieście...

Obaj bracia pojechali nad morze; wśród plusku deszczu, bębniącego w budę powozu, jechali drogą, która była jakby jedną wielką kałużą, nie zamieniając ze sobą ani słowa.

Chrystian wodził oczami, jakby nasłuchując czegoś podejrzanego. Tomasz, odczuwając dreszcze, mimo iż otulony był płaszczem, siedział ze zmęczonym wyrazem zaczerwienionych oczu i długimi prostymi wąsami, których sterczące końce rysowały się sztywno na tle bladawych policzków. Tak wjechali po południu do parku zdrojowego, a koła trzeszcząc zanurzyły się w rozmiękłym żwirze. Stary makler Zygmunt Gosch siedział na oszklonej werandzie, popijając grog z rumem. Syknąwszy przez zęby, wstał z miejsca, a potem, podczas gdy wnoszono kufry, przybysze przysiedli się do niego, by również napić się czegoś gorącego.

Pan Gosch był także na kuracji, wraz z niewielu osobami, pewną rodziną angielską, samotną Holenderką oraz samotnym hamburczykiem, obecnie wszyscy oni prawdopodobnie zażywali drzemki przed pójściem do table d'hôte, wokoło panowała bowiem martwa cisza i słychać było tylko plusk deszczu. Niech sobie śpią. Pan Gosch nie sypiał w ciągu dnia. Czuł się zadowolony, gdy mógł przynajmniej w nocy zasnąć na parę godzin. Niedobrze się czuł, kurował się o tej późnej porze na drzenie, drzenie w członkach... przekłete! – zaledwie mógł jeszcze utrzymać szklanekę grogu i – do diabła! – z rzadka tylko mógł pisać, tak że przekład dzieł Lope de Vegi posuwał się rozpaczliwie wolno. Był wielce przybity, a jego bluźnierstwa nie miały w sobie dawnego humoru. – Niech tam! – mówił i, jak się zdawało, ten zwrot stał się ulubionym jego wyrażeniem, gdyż ciągle go powtarzał, niekiedy nawet zupełnie bez potrzeby.

–No, a senator? Jakże się czuje? Jak długo zamierzają panowie tutaj zabawić?

–Ach, doktor Langhals

przysłał go tu z powodu nerwów – odpowiedział Tomasz Buddenbrook.

–Posłuchał go, oczywiście, mimo tej psiej pogody, czegoż bowiem nie popełnia się ze strachu przed swym lekarzem! Czuje się istotnie dość nędznie. Posiedzą tu, dopóki się nie poprawi...

–Zresztą i ja marnie się czuję – wtrącił Chrystian, pełen zazdrości i goryczy, że Tomasz mówił tylko o sobie, i już miał zamiar opowiedzieć o kiwającym człowieku, butelce spirytusu i otwartym oknie, gdy brat przerwał mu, by przejść do pokoju.

Deszcz nie przestawał padać. Rył ziemię, skaczącymi kroplami tańczył po morzu, które odpływało od wybrzeża z wiatrem południowo_zachodnim. Wszystko otulone było mgłą. Parowce przepływały jak cienie, jak okręty duchów i ginęły na zamglonym horyzoncie. Z nieznanymi kuracjuszami spotykano się tylko przy stole. Senator, ubrawszy się w gumowy płaszcz i kalosze, poszedł się przejść z maklerem Goschem, podczas gdy Chrystian pił wraz z bufetową szwedzki poncz na dole w cukierni.

Kilka razy, gdy przecierało się trochę i słońce miało zamiar się ukazać, zjawiało się przy table d'hôte paru znajomych z miasta, którzy chętnie szukali rozrywek z dala od swych rodzin: senator, doktor Gieseke, szkolny kolega Chrystiana, i konsul Piotr Dohlmann, który zresztą źle wyglądał, gdyż przez nadużywanie wody Hunyadi Janos zepsuł sobie żołądek. Panowie zasiadali w paltach na werandzie cukierni, na wprost muszli, w której orkiestra już nie grywała, popijali kawę, trawili pięć obiadowych dań i spoglądając na jesienny park zdrojowy, gawędzili...

Rozmawiali o wydarzeniach w mieście, o ostatnim przyborze wody, która przedostała się do wielu piwnic, a po niżej położonych ulicach trzeba było jeździć łódkami, o pożarze, zapaleniu się sadzy w porcie, o wyborach do senatu...

Poprzedniego tygodnia wybrany został Alfred Lauritzen, z firmy „Sturmann Lauritzen, towary kolonialne en gros en detail”, senator Buddenbrook nie pochwalał tego wyboru. Siedział otulony swym płaszczem, palił papierosy i jedynie w tym momencie rozmowy rzucił parę uwag. Nie oddał swego głosu na pana Lauritzena – oświadczył – to jest więcej niż pewne. Lauritzen jest z gruntu uczciwym człowiekiem i doskonałym kupcem, ani słowa, ale pochodzi ze stanu średniego, ojciec jego jeszcze własnoręcznie wyjmował z beczki śledzie i zawijał kupującym kucharkom... a teraz mamy w senacie sklepikarza. Jego, Tomasza Buddenbrooka, dziadek zerwał z najstarszym synem, ponieważ ten wziął żonę ze „sklepiku”; tak było niegdyś. – Ale poziom się obniża, towarzyski poziom senatu obniżył się, senat zdemokratyzował się, kochany panie Gieseke, a to niedobrze. Zdolności kupieckie, to jeszcze nie wszystko, moim zdaniem, należałoby żądać czegoś więcej. Gdy wyobrażam sobie Alfreda Lauritzena w senacie, z jego wielkimi stopami i twarzą majtka... czuję się dotknięty... nie wiem czemu. To jest jednak pozbawione wszelkiego stylu, słowem, zaprzeczenie dobrego smaku.

Ale senator Gieseke obraził się trochę. On sam był ostatecznie tylko synem komendanta straży ogniowej... Nie, należy oddawać sprawiedliwość zasłudze. Od tego jest się republikaninem.

–Poza tym nie powinien pan palić tyle papierosów, wcale pan nie korzysta z powietrza morskiego.

–Tak, już nie palę – rzekł Tomasz Buddenbrook, odrzucił uśmiech i zamknął oczy.

Wśród deszczu, który rozpoczął się na nowo, zasłaniając widok, leniwie ciągnęła się rozmowa. Wspomniano o ostatnim skandalu w mieście, fałszerstwie wekslowym, popełnionym przez hurtownika Kassbauma z firmy „P. Filip Kassbaum Ska”, którego osadzono w więzieniu. Nie zapalano się zbytnio przy tej rozmowie; nazwano czyn pana Kassbauma głupotą, pośmiano się krótko

i wzruszono ramionami. Senator Gieseke opowiedział, że hurtownik nie stracił dobrego humoru. W swym nowym mieszkaniu zażądał natychmiast lusterka, którego brakowało w celi. – Przecież ja tu posiedzę ładnie latka – powiedział – więc muszę mieć lusterko! – Był on, podobnie jak Chrystian Buddenbrook i Andrzej Gieseke, uczniem nieboszczyka Marcelego Stengla.

Panowie znowu pośmieli się krótko przez nos, nie zmieniając wyrazu twarzy. Zygmunt Gosch obstał grog z rumem tonem, który zdawał się mówić: na co się zda kiepsko żyć... Konsul D~ohlmann zamówił butelkę wódki, Chrystian zaś siedział znowu nad szwedzkim ponczem, który senator Gieseke kazał przynieść dla nich obu. Tomasz Buddenbrook znów zaczął palić.

I znowu leniwym, lekceważącym i sceptycznie niedbałym tonem, obojętni, ocieżali po jedzeniu, picciu i z powodu deszczu, mówili o interesach, po kolei o interesach każdego z osobna; ale i ten temat nikogo nie ożywił.

–Ach, niewiele z tego

pociechy – powiedział z ciężkim sercem Tomasz Buddenbrook, odchylił w tył głowę i oparł ją o poręcz krzesła.

–No, a pan, panie D~ohlmann?

–dowiadywał się ziewając senator Gieseke... – Oddałeś się pan całkowicie alkoholowi, co?

–Czym komin ma dymić – powiedział konsul. – Co parę dni zaglądam do kantoru. Krótki włos łatwo można zaczesać.

–A wszystkie ważniejsze sprawy zagarnęli w swe łapy „Strunck Hagenstr~om” – zauważył ponuro makler Gosch, który oparł łokieć daleko przed sobą na stole i położył na dłoni swą złośliwą, starczą twarz.

–Przy kupie gnoju nikt nie może cuchnąć – rzekł konsul D~ohlmann tak płynną i ordynarną wymową, że wszyscy spochmurnieli na widok tak beznadziejnego cynizmu.

–No, a pan, panie

Buddenbrook, robisz pan jeszcze co?

–Nie – odrzekł Chrystian – ja już nie mogę.

I bez żadnego przejścia, jedynie przez wycucie panującego nastroju oraz z potrzeby pogłębienia go, zaczął nagle, z kapeluszem krzywo nasuniętym na czoło, mówić o swym biurze w Valparaiso i o Johnny Thunderstormie:

–Ha, podczas takiego upału.

Boże kochany!... Pracować? No, Sir, jak pan widzi, Sir! – I puścili szefowi w twarz dym z papierosów. Boże kochany!... – Jego miny i ruchy świetnie oddawały wyzywające i zarazem

dobroduszne rozleniwienie po hulance. Brat jego nie poruszył się.

Pan Gosch spróbował podnieść do ust szklanę grogu, ale z sykiem postawił ją z powrotem na stole i uderzył się pięścią w oporną rękę, po czym na nowo przytknął szklanę do swych wąskich warg, rozlał trochę i z wściekłością wylał resztę.

–Ach, pan ciągle z tym drzeniem, panie Gosch! – rzekł D~ohlmann. – Gdybyś pan się czuł jak ja! Ta przeklęta woda, Hunyadi_janos... Zdycham, jeśli nie wypiję codziennie litra, a jak wypiję, to dopiero na dobre zdycham. Wiesz pan, co to jest, nie móc nigdy, ani razu, skończyć obiadu... to jest, kiedy się ma z żołądkiem do czynienia?... – I opowiedział kilka obrzydliwych szczegółów dotyczących jego stanu, których Chrystian Buddenbrook wysłuchał ze straszliwym zainteresowaniem i ze zmarszczonym nosem i na które odpowiadał krótkim, lecz dokładnym opisem swego „cierpienia”.

Deszcz wzmógł się. Padał gęsto i pionowo, wypełniając swym szumem niezmiennie, nudno i beznadziejnie ciszę parku zdrojowego.

–Tak, życie jest podłe – powiedział senator Gieseke, który wiele wypił.

–Wcale nie chce się żyć – powiedział Chrystian.

–A niech tam! – powiedział pan Gosch.

–Idzie Wikta Dahlbeck – powiedział senator Gieseke.

Była to właścicielka obory, przechodziła właśnie z wiadrem mleka i uśmiechała się do panów. Miała około czterdziestki, była korpulentna i wyzywająca.

Senator Gieseke patrzył na nią rozgorzałym wzrokiem.

–Co za pierś! – powiedział; konsul D~ohlmann dorzucił niezwykle sprośny żarcik, który sprawił, że panowie znowu pośmieli się krótko i pogardliwie przez nos.

Potem zawołano kelnera.

–Wykończyłem butelkę, panie Schr~oder – rzekł D~ohlmann. – Możemy też raz zapłacić. Raz przecież trzeba...

–A pan, panie Chrystianie?

No, za pana płaci zapewne Gieseke.

Tu jednak ożywił się senator Buddenbrook. Siedział on otulony w płaszcz, z rękoma założonymi na piersiach i papierosem w kącie ust, prawie nie biorąc udziału w rozmowie, nagle jednak wyprostował się i rzekł ostro:

–Nie masz przy sobie

drobnych, Chrystianie? To pozwól, że wyłożę za ciebie tę drobnostkę.

Rozpostarli parasole i wyszli spod dachu werandy, by przejść się trochę...

Kilka razy odwiedzała brata pani Permaneder. Wówczas szli razem do „Skały Mew” lub do „Świątyni Morza”, przy czym Tonia z niewyjaśnionych powodów wpadała zawsze w wielce ożywiony i buntowniczy nastrój. Obstawała za równością i wolnością wszystkich ludzi, odrzucała wręcz wszelką hierarchię stanów, wypowiadała surowe słowa przeciwko przywilejom i samowoli oraz żądała dobitnie, by wynagradzano ludzi wedle zasług. A potem zaczynała mówić o swoim życiu. Mówiła dobrze, zabawiała brata rozmową. Ta szczęśliwa istota, póki żyła, nie czuła potrzeby przemilczenia, ukrycia czegokolwiek, najmniejszej bodaj drobnostki. Nie pominęła żadnego pochlebstwa, żadnej obelgi, jaką przyniosło jej życie. Wszystko, czy to szczęście, czy też troskę, zatapiała w powodzi banalnych słów, pełnych dziecinnej powagi, które najzupełniej zaspokajały jej potrzebę wywnętrzania się. Żołądek jej nie był zupełnie zdrow, ale serce miała lekkie i wolne – sama nawet nie wiedziała, jak bardzo. Nie nurtowało jej nic ukrywanego, niewypowiedzianego. Nie ciążyło jej żadne przemilczane przeżycie. I dlatego nie nosiła w sobie nic ze swej przeszłości. Wiedziała, że losy jej były złe i burzliwe, nie pozostawiły jednak po sobie żadnego przygnębienia ani znużenia i w gruncie rzeczy wcale w to wszystko nie wierzyła. Ponieważ jednak były to ogólnie znane fakty, wykorzystywała je więc, żeby się przechwalać, co czyniła z ogromnie poważną miną...

Wpadała w gniew, w szlachetnym oburzeniu wykrzykiwała nazwiska osób, które wywarły szkodliwy wpływ na jej życie – zatem i na losy rodziny Buddenbrooków – a których liczba z czasem stała się wcale pokaźną. – Tr~anen_trieschke! – wołała. – Gr~unlich! Permaneder!

Tiburtius! Weinschenk!

Hagenstr~omowie! Prokurator! Panna Severin! Cóż to za oszuści, Tomaszu! Ale Bóg ich kiedyś skarzę, tej wiary nikt mi nie odbierze!

Gdy zbliżyli się do „Świątyni Morza”, zmierzch zapadał, była już późna jesień. Stanęli w jednej z budek zwróconych ku morzu, w której pachniało drzewem jak w kabinach kąpielowych, i której ściany z surowych desek pokryte były napisami, inicjałami, sercami, wierszykami. Spojrzeli sponad wilgotnego, zielonego urwiska na wąskie kamieniste wybrzeże i ciemne wzburzone morze.

–Szerokie fale... –

powiedział Tomasz Buddenbrook. – Jak one przyplływają i rozbijają się, przyplływają i rozbijają się, jedna po drugiej, bez końca, bez celu, jednostajnie i błędnie. A jednak to oddziaływa kojąco i pocieszająco, jak rzeczy proste i konieczne. Nauczyłem się coraz bardziej kochać morze... chyba tylko dlatego dawniej wołałem góry, że są odleglejsze. Teraz nie pragnąłbym tam pojechać. Zdaje mi się, że bałbym się i wstydził. Są zbyt kapryśne, nieprawidłowe, za bardzo różnorodne... czułbym się tam z pewnością przytłoczony. Jacy właściwie ludzie wolą monotonię morza? Zdaje się, że tacy, którzy zbyt długo i głęboko wnikali w zagmatwane sprawy wewnętrzne, by nie oczekiwać przynajmniej po zewnętrznych przede wszystkim tego jednego: prostoty... Najmniej ważne jest to, że na góry trzeba wspinać się odważnie, podczas gdy nad morzem wypoczywa się cicho na piasku. Ale znam spojrzenie, jakim oddaje się hołd temu i tamtemu światu. Pewne, przekorne, szczęśliwe oczy,

pełne przedsiębiorczego ducha, siły i radości życia, błędzą od wierchołka do wierchołka, ale nad przestworem morza, które z takim mistycznym i obezwładniającym fatalizmem toczy swoje fale, marzy spojrzenie zamglone, beznadziejne, wiedzące, które niegdyś głęboko wejrzało w smutne odmęty... Zdrowie i choroba, w tym cała różnica. Człowiek wdziera się śmiało w cudowną różnaitość zębatych, sterczących, przepaścistych zjawisk, by doświadczać swych sił żywotnych, których dotąd wcale nie zużył. Ale widok prostoty rzeczy zewnętrznych wówczas darzy nas wypoczynkiem, gdy jesteśmy znużeni wewnętrznym odmętem.

Pani Permaneder milczała, tak zalękniona i niemile dotknięta, jak milczą poczciwcy, gdy w towarzystwie ktoś niespodzianie wypowie coś prawdziwego i poważnego. „Przecież takich rzeczy się nie mówi!” – myślała patrząc w dal, by nie spotkać jego wzroku. I by przeprosić go w milczeniu za to, że wstydziła się za niego, przyciągnęła do siebie jego rękę.

‘ty

Część dziewiąta (cd.)

Rozdział siódmy

Nadeszła zima, minęło Boże Narodzenie, było to w styczniu roku 1875. Śnieg, pomieszany z piaskiem i popiołem, pokrywał twardą masą trotuary, leżał po obu tronach jezdni w wielkich stertach, które stawały się coraz bardziej szare, porowate, rozpadały się, było bowiem parę stopni ciepła. Bruk był wilgotny i brudny, a ze spiczastych dachów kapało. Nad tym wszystkim rozciągał się nieskazitelny błękit nieba i miliardy atomów światła zdawały się lśnić jak kryształy, migotać i wirować w lazurze.

W śródmieściu panowało ożywienie, była to bowiem sobota i dzień targowy. Pod łukami arkad ratusza rzeźnicy stali w swych jatkach i pokrwawionymi rękami wazyli towar. Na rynku zaś, dokoła studni, mieścił się targ rybny. Siedziały tam zażywne baby i grzejąc ręce w na pół wyleniałych muflkach, a nogi przy fajerkach, pilnowały swych zimnych i mokrych jeńców wymownie zachęcając do kupna wędrujące tam i z powrotem kucharki i gospodynie. Nie było obawy, że oszukują. Można było na pewno dostać coś świeżego, gdyż prawie wszystkie tłuste, mięsiste ryby jeszcze żyły... Niektórym było bardzo wygodnie. Pływały, co prawda, w nieco ciasnej przestrzeni, ale żwawo, w wiadrach z wodą i nic im nie dolegało. Inne natomiast leżały na deskach ze straszliwie wybałuszonymi ślepiami i ciężko pracowały skrzelami; miały one twarde życie i bardzo się męczyły bijąc ogonami, dopóki ich nie pochwycono i nie rozcięto im ze zgrzytem gardła.

Długie i grube węgorze skręcały

się i wiły tworząc zadziwiające

figury. W głębokich kadziach

roiły się czarne kraby z

Bałtyku. Niekiedy silna flądra

sprężała się kurczowo i,

oszałała ze strachu, rzucała się
daleko od deski na błotnisty,
zanieczyszczony odpadkami bruk,
aż właścicielka musiała za nią
lecieć i karcąc surowo
sprowadzać ją na drogę
obowiązku...

Około południa na

Breitenstrasse był wielki ruch. Dzieci, powracające ze szkoły z tornistrami na plecach, napełniały powietrze śmiechem i paplaniną i obrzucały się na pół roztopionym śniegiem. Młodzi praktykanci handlowi z dobrych rodzin, w duńskich czapkach marynarskich lub elegancko ubrani podług angielskiej mody, przechodzili z teczkami w rękach, nie bez godności, dumni, że wymknęli się ze szkoły realnej. Otyli, siwobrodzi, niezmiernie zasłużeni obywatele, z wyrazem twarzy ujawniającym niewzruszone narodowo-liberalne nastroje, stukali laskami o bruk, patrząc na ceglana fasadę ratusza, przed którego portalem ustawiona była podwójna warta. Senat bowiem właśnie odbywał posiedzenie. Dwaj infanterzyści w płaszczach, z bronią na ramieniu kroczyli po odmierzonej przestrzeni, pokrytej błotnistą, na wpół płynną masą śniegu, tupiąc z zimna. Spotykali się na połowie drogi, pośrodku wejścia, spoglądali na siebie, zamieniali słowo i znowu rozchodzili się w dwie strony. Czasem, gdy z podniesionym kołnierzem, trzymając obie ręce w kieszeniach, zbliżał się oficer, biegnący właśnie w ślad za jakąś damulką, a zarazem napełniający podziwem panie z dobrych domów, wówczas każdy z żołnierzy stawał przed swą budką strażniczą, spoglądał, czy jego wygląd zewnętrzny nie uchybia przepisom, i prezentował broń... Do chwili, kiedy trzeba będzie salutować wychodzącym senatorom, było jeszcze dość czasu. Posiedzenie trwało zaledwie od trzech kwadransów. Zapewne zostaną zlurowani jeszcze przed końcem.

Ale nagle jeden z żołnierzy usłyszał krótki, dyskretny szmer wewnątrz budynku i w tej samej chwili mignął w portalu czerwony frak woźnego magistrackiego Uhlefeldta, który w kapeluszu stosowanym i ze szpadą ukazał się wielce przejęty, cichym głosem rzucił: – Baczość! – i cofnął się śpiesznie, podczas gdy z zewnątrz słyhać już było zbliżające się kroki...

Żołnierze stanęli na baczość, złączyli obcasy, wyprostowali nogi, wypięli piersi, przystawili broń do nogi i sprezentowali ją kilku szybkimi chwytami. Między nimi przeszedł dość szybko, podnosząc cylinder, pan zaledwie średniego wzrostu, jedna z jego jasnych brwi była trochę podniesiona, a proste, sterczące, ostro zakończone wąsy rysowały się na tle bladawych policzków. Senator Tomasz Buddenbrook opuścił dziś na długo przed końcem posiedzenie w ratuszu.

Skręcił na prawo, nie udał się zatem do domu. Poprawny, nienagannie czysto i elegancko ubrany,

szedł właściwym sobie, nieco podrygującym krokiem wzdłuż Breitenstrasse, bezustannie oddając ukłony. Na rękach miał białe glansowane rękawiczki, a laskę ze srebrną gałką trzymał z lewej strony pod pachą. Spod grubych wyłogów futra widać było biały krawat frakowy. Szedł z głową starannie podniesioną do góry, a wyglądał jak po źle przespanej nocy. Ludzie dostrzegali w przejściu, że w jego zaczerwienionych oczach kręciły się łzy, a wargi zamknięte były w sposób szczególny, jak gdyby ostrożnie skrzywione. Czasem przełykał, jakby usta jego napełniały się płynem; i wówczas widać było po ruchach mięśni na policzkach i skroniach, że zaciskał szczęki.

–Cóż to, zwagarowałaś z posiedzenia? A to coś nowego! – przemówił do niego na rogu M~uhlenstrasse ktoś, kogo dotąd nie spostrzegł. Zjawił się nagle przed nim Stefan Kistenmaker, przyjaciel jego i wielbiciel, który jego zapatrywania w sprawach publicznych uznawał zawsze za swoje własne. Miał okrągło przyszyżoną, siwiejącą brodę, strasznie gęste brwi i długi porowaty nos. Przed kilku laty, zarobiwszy dużo pieniędzy, wycofał się z handlu winem, który obecnie prowadził na własną rękę jego brat Edward. Od tego czasu żył z renty; ponieważ jednak w gruncie rzeczy wstydził się nieco tego stanu, udawał, że ma moc zajęć. – Ten nawał pracy rujnuje mnie! – mówił przeciągając ręką po siwych, sfalowanych korbówkami włosach.

–Ale po cóż człowiek żyje na świecie, jeśli nie po to, by rujnować swe zdrowie? – Godzinami wystawał na giełdzie z ważną miną, nie mając tam nic do roboty. Sprawował dużo nic nie znaczących urzędów. Ostatnio został dyrektorem łaźni miejskiej. Był sędzią przysięgłym, maklerem, egzekutorem testamentów i ocierał pot z czoła...

–Przecież jest posiedzenie – powtórzył – a ty idziesz na spacer?

–Ach, to ty – rzekł cicho senator z trudem poruszając wargami... – Chwilami niedowidzę. Mam szalony ból.

–Ból? Gdzie?

–Ból zęba. Już od wczoraj.

Nie zmrużyłem oka przez całą noc... Nie byłem dotąd u lekarza, przed południem pracowałem w biurze, a potem nie chciałem opuścić posiedzenia. Ale nie mogłem dłużej wytrzymać i idę do Brechta...

–Cóż to za ząb?

–Na dole z lewej strony...

Trzonowy... Oczywiście jest dziurawy... To nie do wytrzymania... Do widzenia! Pojmujesz, że mi się śpieszy...

–A myślisz, że mnie się nie śpieszy? Strasznie dużo zajęć... Do widzenia! Polepszenia! Daj go sobie wyrwać! Najlepiej od razu...

Tomasz Buddenbrook poszedł dalej, zaciskając szczęki, jakkolwiek to jeszcze pogarszało sprawę.

Był to dziki, palący i wiercący ból, złośliwe cierpienie, które z trzonowego zęba przeniosło się na całą lewą stronę dolnej szczęki. Stan zapalny pulsował tam niby płomiennymi młoteczkami wywołując wypieki na twarzy i łzy w oczach. Bezsenna noc straszliwie podrażniła nerwy senatora. Przed chwilą, gdy mówił, musiał panować nad załamującym się głosem.

Na M~uhlenstrasse wszedł do
żółtego domu i skierował się na
pierwsze piętro, gdzie na
drzwiach, na mosiężnej tabliczce
widniał napis: „Dentysta

Brecht”. Nie dojrzał służącej,
która mu otworzyła. W
przedpokoju pachniało

befszykiem i kalafiolem. Potem nagle odetchnął ostrą wonią poczekalni, do której go wpuszczono. – Proszę usiąść... Momencik! – krzyknął głos starej baby. Był to Jozafat, który siedział w swej błyszczącej klatce w kącie pokoju i wpatrywał się w niego krzywo i chytrze swymi małymi złośliwymi oczkami.

Senator usiadł przy okrągłym stole i spróbował przeglądać rocznik „Fliegende Bl~atter”, po chwili jednak z odrazą odrzucił go, przycisnął do policzka chłodną gałkę laski, zamknął rozpalone oczy i jęknął. Wokoło była cisza i tylko Jozafat gryzł ze zgrzytem i traskiem pręty swej klatki. Pan Brecht uważał za swój obowiązek, nawet gdy był wolny, kazać czekać na siebie.

Tomasz Buddenbrook wstał pośpiesznie, wypił szklanekę wody, która pachniała chloroformem i przypominała go w smaku. Następnie otworzył drzwi do przedpokoju i zawołał podrażnionym głosem, że jeśli pan Brecht nie ma chwilowo pilnej roboty, może będzie tak dobry i nieco się pośpieszy, gdyż ząb bardzo go boli.

Zaraz potem zjawily się we drzwiach gabinetu siwiejące wąsy, haczykowaty nos i łyse czoło dentysty. – Proszę – powiedział. – Proszę! – zawołał również Jozafat. Senator wysłuchał zaproszenia nie uśmiechnawszy się. „Ciężki przypadek!” – pomyślał pan Brecht i przybladł... Szybko przeszli przez widny pokój do stojącego pod oknem dużego, ruchomego fotela, z oparciem pod głowę i zielonymi, pluszowymi poręczami. Siadając Tomasz Buddenbrook objaśnił krótko, o co idzie, oparł głowę i przymknął oczy.

Pan Brecht zakrzętnął się przy śrubie fotela i zajrzał do jamy ustnej przy pomocy lusterka i sondy. Ręka jego pachniała mydłem migdałowym, a oddech befszykiem i kalafiolem.

–Musimy przystąpić do

usunięcia – powiedział po chwili i zbladł jeszcze bardziej.

–Niech pan przystępuje – rzekł senator zamykając mocniej oczy.

Nastąpiła pauza. Pan Brecht przygotowywał coś stojąc przy szafce i wyjmował instrumenty. Następnie podszedł do pacjenta.

–Zapędzuję trochę –

powiedział. I zaraz wprowadził w czyn to postanowienie smarując dziąsło ostro pachnącym płynem. Następnie cicho i serdecznie poprosił, by pacjent zachowywał się spokojnie i otworzył usta jak może najszerzej, po czym rozpoczął swe dzieło.

Tomasz Buddenbrook obiema rękami mocno trzymał się aksamitnych poręczy. Zaledwie odczuł założenie i uchwyt szczypiec, potem jednak poznał po zgrzycie w ustach, jak również po wzrastającym, coraz bardziej bolesnym i wściekłym ucisku w całej głowie, że wszystko jest na najlepszej drodze. „Wola boska! – pomyślał.

–Teraz już pójdzie. To wzrasta i wzrasta do potworności, do niemożliwości, aż do samej katastrofy, aż do szalonego trzeszczącego, nieludzkiego bólu, który rozszarpuje cały mózg... a potem już po wszystkim, trzeba tylko przeczekać”.

Trwało to trzy czy cztery sekundy. Drzenie pana Brechta, które opanowało go na skutek wielkiego wysiłku, udzieliło się całemu ciału Tomasza Buddenbrooka, uniósł się trochę na siedzeniu i dosłyszał cichy, piszczący odgłos w gardle dentysty... Nagle nastąpiło straszliwe pchnięcie, wstrząs, jak gdyby łamano mu kości, wraz z krótkim trzaskiem i hukiem. Szybko otworzył oczy... Ucisk przeszedł, ale w głowie mu huczało, ból szalał w chorej i uszkodzonej szczęce i czuł wyraźnie, że cel nie został osiągnięty, sprawa nie została wyjaśniona, a przedwczesna katastrofa tylko wszystko pogorszyła... Pan Brecht odstąpił. Oparł się o szafkę z instrumentami, blady jak śmierć, i wymówił: – Korona... Tak przypuszczałem.

Tomasz Buddenbrook wypluł trochę krwi do niebieskiej miseczki umieszczonej z boku, gdyż dziąsło było zranione.

Potem spytał na pół

nieprzytomnie:

–Co pan przypuszczał? Co się stało z koroną?

–Korona się złamała, panie senatorze... Obawiałem się tego... Ząb jest okropnie zepsuty... ale było moim obowiązkiem odważyć się na ten eksperyment...

–Co teraz będzie?

–Proszę polegać na mnie, panie senatorze...

–Co trzeba teraz zrobić?

–Korzenie należy usunąć.

Kozią stopką... Jest ich cztery...

–Cztery? Więc trzeba cztery razy zakładać i wyciągać?

–Niestety.

–No, to na dzisiaj dosyć! – powiedział senator i chciał prędko wstać, pozostał jednak na miejscu i znowu oparł głowę.

–Drogi panie, nie może pan żądać nadludzkich rzeczy – odezwał się. – Czuję się nie najlepiej... Na dzisiaj dosyć... Może pan będzie łaskaw otworzyć na chwilę okno.

Pan Brecht uczynił to, a potem odrzekł:

–Byłoby mi bardzo miło, panie senatorze, gdyby zechciał pan zajść do mnie jutro lub pojutrze o którejkolwiek godzinie, muszę się przyznać... ja też wolę odsunąć operację... Pozwolę sobie teraz zastosować jeszcze płukanie i pędzlowanie, by tymczasem zmniejszyć ból...

Zastosował płukanie i pędzlowanie, a następnie senator wyszedł, odprowadzany współczującym wzruszeniem ramion białego jak śnieg pana Brechta, który zużył na to resztę swoich sił.

–Momencik... proszę! – krzyknął Jozafat, gdy przechodzili przez poczekalnię, i krzyczał jeszcze wtedy, gdy Tomasz Buddenbrook schodził już ze schodów.

Kozią stopką... tak, to się robi jutro. Co teraz? Do domu i wypocząć, spróbować zasnąć. Właściwy ból nerwu był zagłuszony, czuł teraz w ustach tylko niewyraźne, ciężkie palenie. Więc do domu... I szedł wolno przez ulice, machinalnie oddając ukłony, z niepewnym i zamyślonym wyrazem oczu, jakby myślał nad tym, jak się właściwie czuje.

Doszedł do Fischergrube i

zaczął schodzić lewym

chodnikiem. Gdy uszedł

dwadzieścia kroków, zrobiło mu się słabo. „Wstąpię do traktierni naprzeciwko i wypiję kieliszek koniaku”, pomyślał i wszedł na jezdnię. Gdy był mniej więcej w połowie drogi na drugą stronę ulicy, zdarzyło mu się, co następuje. Miał wrażenie, że uchwycono jego mózg i poczęto z niepokonaną siłą i straszliwie rosnącą szybkością zakreślać nim duże, mniejsze, coraz to mniejsze koncentryczne kręgi, aż wreszcie z bezmierną, brutalną i bezlitosną mocą ciśnięto nim o twardy punkt środkowy owych kręgów... Wykonał pół obrotu i z rozpostartymi rękami padł przed siebie na mokry bruk.

Ponieważ ulica była bardzo stroma, tułów jego znajdował się o wiele niżej niż nogi. Upadł na twarz,

pod którą natychmiast zaczęła się tworzyć kałuża krwi. Kapelusz jego potoczył się po jezdni. Futro spryskane było błotem i roztopionym śniegiem. Ręce w białych glansowanych rękawiczkach leżały rozpostarte w błocie. Tak upadł i tak leżał, póki nie nadeszło kilku przechodniów, którzy go odwrócili.

Rozdział ósmy

Pani Permaneder wchodziła na główne schody, jedną ręką podtrzymując z przodu suknię, drugą zaś przyciskając do policzka mufkę. Potykając się biegła raczej, niż szła, głęboki kapelusz włożony był nieporządnie, policzki miała rozpalone, a na nieco wysuniętej górnej wardze widać było małe krople potu. Pomimo iż nikogo po drodze nie spotkała, bez przerwy coś mówiła, śpiesząc naprzód, a z jej szeptu od czasu do czasu wrywało się jakieś słowo, któremu lęk użyczał głosu... – To nic... – mówiła. – To bez znaczenia... Pan Bóg nie może tego chcieć... On wie, co czyni: tej wiary nikt mi nie odbierze... To na pewno nie ma żadnego znaczenia... Ach, Boże mój, co dzień będę się modliła... – Po prostu ze strachu gadała głupstwa, wpadła we drzwi na drugim piętrze i przebiegła przez korytarz...

Drzwi od pierwszego pokoju były otwarte, tam też wyszła jej naprzeciw szwagierka.

Piękne białe oblicze Gerdy Buddenbrook było zupełnie skrzywione ze zgryzoty i wstrząsu, a jej blisko siebie osadzone, ciemne oczy, otoczone niebieskawymi cieniami, mrugały z wyrazem gniewu, zmieszania i obrzydzenia. Gdy poznała panią Permaneder, szybko skinęła ku niej wyciągniętą ręką i objęła ją kryjąc głowę na jej ramieniu.

–Gerdo, Gerdo, co się dzieje!

–zawołała pani Permaneder. – Co się stało!... Co to znaczy!... Upadł podobno? Bez przytomności? ... Jak on się ma?... Pan Bóg nie będzie, chciał najgorszego... Powiedzże mi, na miłosierdzie boskie...

Ale nieprędko otrzymała odpowiedź, czuła tylko, jak cała postać Gerdy pręży się w dreszczu. A potem usłyszała szept na swoim ramieniu...

–Jak on wyglądał – zrozumiała

–kiedy go przynieśli! Jak długo żył, nie widziało się na nim pyłku... To jest hańba i podłość, żeby taki musiał być koniec...

Usłyszały stłumiony szmer. Drzwi od ubieralni otworzyły się, ukazała się w nich Ida Jungmann w białym fartuchu, z miską w rękach. Oczy jej były zaczerwienione. Spostrzegła panią Permaneder i cofnęła się z opuszczoną głową, by dać jej przejść. Jej pomarszczona broda drżała.

Wysokie, kwieciste zasłony u okien poruszyły się, gdy Tonia weszła do sypialni wraz ze szwagierką. Powiało ku niej zapachem karbolu, eteru i innych medykamentów. Na szerokim mahoniowym łożu, okryty czerwoną kołdrą, rozebrany, leżał na wznak Tomasz Buddenbrook w haftowanej koszuli nocnej. Półotwarte jego oczy patrzyły martwo w jeden punkt, pod potarganymi wąsami wargi

poruszały się bełkocząc, a od czasu do czasu wydobywały się spoza nich gardłowe dźwięki. Młody doktor Langhals, nachylony nad nim, zdjął mu z twarzy skrwawiony okład i zamoczył świeży w miseczce z wodą, która stała na nocnym stoliku. Następnie przyłożył ucho do piersi chorego i dotknął puls. Na pufie, w nogach łóżka, siedział mały Jan, kręcił swój marynarski krawat i z zadumanym wyrazem twarzy przysłuchiwał się dźwiękom, które wydawał ojciec. Zaplamione części ubrania wisiały w kącie na krześle.

Pani Permaneder uklękła przy łóżku, chwyciła ciężką i zimną rękę brata i wpatrzyła się w jego twarz... Zaczynała pojmować, że czy Pan Bóg wiedział, co czyni, czy też nie wiedział, w każdym razie chciał „najgorszego”.

–Tom! – zawodziła. – Nie poznajesz mnie? Jak ci jest teraz? Chcesz odejść od nas? Przecież nie odejdiesz od nas?

Ach, to nie może się stać!...

Nie nastąpiło nic, co mogłoby przypominać odpowiedź. Spojrzała bezradnie na doktora Langhalsa. Stał, opuściwszy swe piękne oczy, a mina jego, nie bez pewnego zadowolenia z siebie, potwierdzała wolę Pana Boga...

Ida Jungmann weszła znowu, by pomóc, jeśli było coś do zrobienia. Stary doktor Grabow zjawił się osobiście, z łagodnym wyrazem długiej twarzy uściśnął wszystkim ręce, popatrzył na chorego kiwając głową i postąpił zupełnie tak samo, jak poprzednio uczynił doktor Langhals... Wiadomość rozeszła się po mieście z szybkością błyskawicy. Co chwila dźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych, a pytania o zdrowie senatora przedostawały się do sypialni. Ciągłe bez zmiany, bez zmiany... Każdy otrzymywał tę samą odpowiedź.

Obaj lekarze byli zdania, że w każdym razie na noc należy sprowadzić siostrę miłosierdzia. Posłano po siostrę Leandrę, która wkrótce nadeszła. I tym razem odłożyła cicho swą skórzaną torebkę, czepeczek i wierzchnie okrycie, a ruchy jej były łagodne i uprzejme, gdy przystąpiła do pracy.

Mały Jan siedział godzinami na swoim pufie, przyglądał się wszystkiemu i słuchał gardłowych dźwięków. Właściwie powinien był iść na lekcję arytmetyki, pojmował jednak, że są wydarzenia, wobec których kamgarnowe surduty muszą zamilknąć. Również o swych szkolnych zadaniach pomyślał jedynie przelotnie i drwiąco... Chwilami, gdy pani Permaneder podchodziła ku niemu i przyciskała go do siebie, zalewał się łzami, ale najczęściej mrugał suchymi oczyma z wyrazem badawczej odrazy, oddychając nierówno i ostrożnie, jak gdyby oczekiwał zapachu, owego obcego, a jednak tak dziwnie bliskiego zapachu...

Około czwartej pani Permaneder powzięła pewne postanowienie. Zaprowadziła doktora Langhalsa do drugiego pokoju, złożyła ręce i odrzuciła w tył głowę, usiłując przy tym oprzeć brodę na piersi.

–Panie doktorze – powiedziała

–jedno jest w mocy pana i o to proszę! Proszę nic nie owijać w bawełnę, proszę pana o to! Jestem kobietą zahartowaną przez życie... Nauczyłam się patrzeć prawdzie w oczy, proszę mi wierzyć!...

Czy brat mój dożyje jutra? Niech pan powie otwarcie!

A doktor Langhals odwrócił piękne oczy, obejrzał swoje paznokcie i powiedział coś o ludzkiej bezradności, jak również o niemożności rozstrzygnięcia pytania, czy brat pani Permaneder przeżyje noc, czy też umrze za chwilę...

–W takim razie wiem, co mam zrobić – powiedziała, wyszła z pokoju i posłała po pastora Pringsheima.

Zjawił się w krótkiej komży, bez kryzy, ale w długiej todze, spojrzawszy zimno na siostrę Leandrę i zasiadł obok łóżka, na krzeselku, które mu podsunęto. Poprosił chorego, by go rozpoznał i starał się wysłuchać go; ponieważ jednak próba owa pozostała bezowocna, zwrócił się wprost do Boga, przemówił do Niego stylizowaną frankońską wymową, modulowanym głosem, rozbrzmiewającym ciemnymi lub też ostro akcentowanymi tonami, a twarz jego przybierała wyraz to ponurego fanatyzmu, to znów łagodnego rozpromienienia... Gdy wymawiał dźwięk „r”, we właściwy sobie, dobitny i jakby tłusty sposób, mały Jan wyobrażał sobie dokładnie, że przed chwilą musiał on wypić kawę z maślanymi bułeczkami.

Powiedział, że zarówno on, jak i obecni tu, nie modlą się już o życie tego ukochanego i drogiego człowieka, widzą bowiem, że świętą wolą Pana jest powołać go do Siebie. Błagają jeszcze tylko o lekki zgon... Następnie nie zapominając o efektywnym akcentowaniu każdego słowa odmówił dwie zwykłe w takich wypadkach modlitwy, po czym wstał. Uścisnął rękę Gerdy Buddenbrook oraz pani Permaneder, ujął w obie dłonie głowę małego Jana, patrzył przez chwilę, drżąc z serdecznego żalu, na jego opuszczone rzęsy, uklonił się Idzie Jungmann, jeszcze raz zimnym spojrzeniem musnął siostrę i wyszedł.

Gdy powrócił doktor Langhals, który poszedł na krótko do domu, znalazł wszystko bez zmiany. Pomówił tylko krótko z pielęgniarką i znowu się pożegnał. Doktor Grabow też powiedział jeszcze parę słów, popatrzył łagodnie i poszedł. Tomasz Buddenbrook leżał w dalszym ciągu z zagasłym wzrokiem i poruszał wargami wydając gardłowe dźwięki. Zapadał zmierzch. Za oknami jaśniała jeszcze zimowa zorza wieczorna, łagodnie oświetlając zaplamione części ubrania wiszące na krześle w kącie.

O piątej pani Permaneder

uległa pewnemu niebaczemu

popędowi. Siedząc obok łóżka, na

wprost szwagierki, zaczęła ni
stąd, ni zowąd bardzo głośno, ze
złożonymi rękami odmawiać swym
gardłowym głosem modlitwę ze
śpiewnika. – O Panie, ześlij
skon – mówiła, a wszyscy dokoła
słuchali siedząc bez ruchu – z
litości świętej Twej; i spraw,
by siłę miał w ostatniej męce
tej, spraw, by... – Ale modliła
się z tak szczerego serca, że
ciągle zajęta była tylko tymi
słowami, które właśnie
wymawiała, nie pamiętając, że
wcale nie umie strofy do końca i
że przy trzecim wierszu trzeba
będzie żałośnie przerwać. Tak
też uczyniła, urwała
podniesionym głosem, zastępując
zakończenie tym większą
godnością postawy. Wszyscy w
pokoju czekali bardzo
zażenowani. Mały Hanno

odchrząknął tak mocno, że zabrzmiało to jak jęk. A potem nic już nie przerywało ciszy prócz
gardłowych dźwięków agonii Tomasza Buddenbrooka.

Wszyscy poczuli ulgę, gdy służąca oznajmiła, że w przyległym pokoju przygotowano coś do jedzenia. Gdy jednak zaczęto w sypialni Gerdy spożywać zupę, ukazała się we drzwiach siostra Leandra i uprzejmie skinęła.

Senator umarł. Dwa czy trzy razy załkał cicho, zamilkł i przestał poruszać wargami. Była to jedyna zmiana, jaka w nim zaszła, oczy już poprzednio były martwe.

Doktor Langhals, który był na miejscu w parę minut potem, przyłożył słuchawkę do piersi zmarłego, słuchał przez pewien czas, a po sumiennym zbadaniu powiedział: Tak jest, skończyło się.

A siostra Leandra serdecznym palcem swej bladej, łagodnej ręki ostrożnie zamknęła umarłemu oczy.

Wtedy pani Permaneder padła na kolana przy łóżku, wcisnęła twarz w kołdrę i głośno zapłakała, nic nie tłumiąc i nie ukrywając, poddała się bez oporu jednemu z owych przynoszących ulgę wybuchów uczucia, do jakich zdolna była jej szczęśliwa natura... Podniosła się z wilgotną twarzą, ale wzmocniona, pokrzepiona i najzupełniej zrównoważona duchowo, gotowa od razu pomyśleć o zawiadomieniach o śmierci, które musiały być sporządzone niezwłocznie i jak najszybciej – olbrzymia ilość wytwornie wydrukowanych zawiadomień o śmierci...

Na horyzoncie ukazał się Chrystian. Wiadomość o wypadku senatora doszła go w klubie, skąd natychmiast wyszedł. Jednak ze strachu przed jakimś okropnym widokiem poszedł na daleki spacer za miasto, tak że nie można go było znaleźć. Teraz oto stawił się i już w sieni usłyszał, że brat jego umarł.

–To chyba niemożliwe! – powiedział i utykając, wodząc oczami dokoła wszedł na schody.

Potem stał u łoża śmierci między siostrą a bratową. Stał tam ze swą łysą czaszką, zapadniętymi policzkami, zwieszonym wąsem i olbrzymim, garbatym nosem, na krzywych i chudych nogach, trochę zgięty, trochę podobny do znaku zapytania, a jego małe, głęboko osadzone oczy patrzyły na twarz brata, która wydawała się tak milcząca, zimna, nieprzystępna i bez zarzutu, tak zupełnie nie podlegająca już żadnym ludzkim sądom... Kąty ust Tomasza opuszczone były z pogardliwym niemal wyrazem. On, któremu Chrystian zarzucał, że nie będzie płakał po jego śmierci, teraz oto sam leżał martwy nie wymówiwszy ani słowa, umarł po prostu, zimno i nietykalnie pogrążył się w milczeniu pozostawiając innych własnemu wstydomi, jak to często czynił za życia! Czy postępował dobrze, czy też niegodnie, przeciwstawiając zawsze jedynie zimną pogardę dolegliwości Chrystiana, jego „cierpieniu”, kiwającemu człowiekowi, butelce spirytusu, otwartemu oknu? Pytanie owo upadło, straciło sens, ponieważ śmierć w swej upartej i nieobliczalnej stronniczości jego to, jego wyróżniła i usprawiedliwiła, jego przyjęła i wywyższyła, uczyniła czcigodnym – jemu to, jemu władczo zjednała ogólne, pełne szacunku zainteresowanie, podczas gdy nim, Chrystianem, wzgardziła i nadal będzie z niego drwiła dręcząc go tysiącem kpinek i szykan, dla których nikt nie ma respektu. Nigdy Tomasz Buddenbrook nie zaimponował bratu bardziej niż w tej chwili. Powodzenie decyduje o wszystkim. Jedyne śmierć zjednywa uszanowanie świata dla naszych cierpień i nawet najmniejsze cierpienia dzięki niej stają się czcigodne. „Tyś miał rację – schylam głowę” – myślał Chrystian i szybkim, niezgrabnym ruchem opuścił się na kolana i pocałował zimną rękę na kołdrze. Potem cofnął się i zaczął chodzić po pokoju, wodząc wokół oczami.

Zjawili się starzy

Kr~ogerowie, panie Buddenbrook z Breitenstrasse, stary pan Marcus. Nadeszła też biedna Klotylda, chuda i szara, i z apatycznym wyrazem twarzy stanęła obok łóżka, składając ręce w nicianych rękawiczkach. – Nie myślcie, Toniu i Gerdo – rzekła przeciągając żałośnie – że jestem zimna, ponieważ nie płacę. Nie mam już łez... – I każdy wierzył jej na słowo, tak beznadziejnie była zszarzała i wyschnięta...

Wreszcie wyszli na widok pewnej kobiety, niesympatycznej starszej osoby o bezzębnych ustach, która przyszła, by wraz z siostrą Leandrą umyć i ubrać nieboszczyka.

Jeszcze o późnej godzinie Gerda Buddenbrook, pani Permaneder, Chrystian i mały Jan siedzieli w gabinecie, wokoło okrągłego stołu pod gazową lampą, i pilnie pracowali. Trzeba było sporządzić listę osób, którym należało przesłać zawiadomienia oraz zaadresować koperty. Wszystkie pióra skrzypiały. Od czasu do czasu ktoś przypominał sobie jakieś nazwisko i zapisywał je na liście... Hanno również musiał pomagać, pisał bowiem starannie, a czas naglił.

Cisza panowała w domu i na ulicy. Z rzadka tylko słyhać było kroki, które po chwili milkły. Od czasu do czasu pryskał z cicha płomień w lampie gazowej, mruknięto jakieś nazwisko, papier zaszeleścił. Chwilami spoglądano na siebie i przypominano sobie, co się stało.

Pani Permaneder bazgrała z wielkim przejęciem, ale co pięć minut odkładała pióro, podnosiła złożone ręce do ust i wybuchała żalami.

–Nie mogę tego pojąć! – wołała zaznaczając w ten sposób, że stopniowo zaczyna pojmować, co właściwie zaszło. – Ale przecież to już po wszystkim! – zawołała niespodzianie w czarnej rozpacz i głośno płacząc objęła szyję bratowej, po czym pokrzepiona zabrała się znów do roboty.

Z Chrystianem było podobnie jak z biedną Klotyldą. Nie przelał ani jednej łzy, czego się trochę wstydził. Uczucie kompromitacji przeważało w nim nad wszystkimi innymi wrażeniami. Zresztą ciągle zajmowanie się swoimi stanami chorobowymi i dziwactwami zużyło go i przytępiło. Od czasu do czasu prostował się, pocierał łyse czoło i mówił przytłumionym głosem: – Tak, to strasznie smutne! – Mówił tak do siebie samego, wmawiał w siebie i zmuszał się do łez...

Nagle zaszło coś, co zdumiało wszystkich. Mały Jan zaczął się śmiać. Natrafił przy pisaniu na jakieś nazwisko, jakiś osobliwy dźwięk, któremu nie mógł się oprzeć. Powtarzał go, parskął, pochylał się naprzód, drżał, szlochał i nie mógł się opanować. Z początku można było pomyśleć, że płacze: ale tak nie było. Dorośli zmieszani spojrzeli na niego z niedowierzaniem. Potem matka kazała mu iść spać...

Rozdział dziewiąty

Z powodu zęba... Senator

Buddenbrook umarł z powodu zęba, mówiono w mieście. Ależ do stu diabłów, przecież na to się nie umiera! Bolało go, pan Brecht złamał mu koronę, a potem po prostu senator upadł na ulicy.

Czy słyszał kto coś

podobnego?...

Zresztą mniejsza o to, to są już jego sprawy. Co było ważne, to posyłać wieńce, wielkie wieńce, drogie wieńce, wieńce przynoszące honor ofiarodawcom, o których mogły wspominać gazety i po których od razu widać było, że pochodzą od ludzi solidnych i wypłacalnych. Przysyłano je, napływały ze wszystkich stron, od stowarzyszeń, jak również od rodzin i poszczególnych osób, wieńce laurowe, z mocno pachnącego kwiecica, ze srebra, z czarnymi wstęgami i wstęgami o barwach miasta, z dedykacjami wydrukowanymi czarnymi lub złotymi literami. I wachlarze palmowe, olbrzymie palmowe wachlarze.

Wszystkie kwiaciarnie robiły świetne interesy; kwiaciarnia Iwersenów, na wprost domu Buddenbrooków, nie była na ostatnim planie. Pani Iwersen kilka razy dziennie dzwoniła do sieni i odnosiła kwiaty w różnych postaciach, od senatora takiego a takiego, od konsula takiego a takiego, od urzędników... Raz zapytała, czy nie pozwolono by jej wejść na górę i zobaczyć senatora? Tak, pozwolono i weszła na schody za panną Jungmann, patrząc w milczeniu na lśniąca klatkę schodową.

Szła ciężko, gdyż jak zwykle była przy nadziei. Postać jej stała się z latami nieco pospolita, ale podłużne, czarne oczy, jak również malajskie kości policzkowe były pełne uroku, i widać było, że niegdyś musiała być niezwykle ładna. Wpuszczono ją do salonu, gdyż tam leżał na katafalku Tomasz Buddenbrook.

Leżał pośrodku dużej i widnej

komnaty, z której wyniesiono

meble, na białych jedwabnych

poduszkach, którymi wyłożona

była trumna, odziany w biały

jedwab i okryty białym

jedwabiem, w ostrym i

odurzającym zapachu tuberoz, fiołków i niezliczonych innych roślin. W głowach, w półkolu srebrnych lichtarzy, na okrytym kirem postumencie stał Thorvaldsenowski Chrystus błogosławiący. Wiązanki kwiecica, wieńce, kosze i bukiety stały i leżały wzdłuż ścian i na podłodze, wachlarze palmowe pochylały się nad trumną i zwisały nad stopami zmarłego. – Twarz jego była zadraśnięta w kilku miejscach, zwłaszcza na nosie znać było obrażenia. Ale włosy uczesane były jak za życia, a sterczące wąsy, po raz ostatni wyciągnięte żelazkiem przez starego pana Wenzla, długie i sztywne, rysowały się na tle białych policzków. Głowa zwrócona była nieco na bok, a w złożonych dłoniach tkwił krzyż z kości słoniowej.

Pani Iwersen zatrzymała się niemal we drzwiach i stamtąd patrzyła na trumnę, mrugając oczami: dopiero gdy pani Permaneder, cała w czerni i zapłakana, ukazała się między portierami i łagodnymi

słowy poprosiła panią Iwersen, by się zbliżyła, ta ośmieliła się podejść nieco bliżej po wywoskowanej posadzce. Stała z rękami złożonymi na wystającym łonie i patrzyła swymi wąskimi, czarnymi oczami na rośliny, lichtarze, wstęgi, białe jedwabie i na oblicze Tomasza Buddenbrooka. Trudno by było określić wyraz jej bladych, zatartych rysów położnicy. W końcu powiedziała – Tak... – załkała jeden jedyny raz – zupełnie krótko i nieznacznie – i zwróciła się ku wyjściu.

Pani Permaneder lubiła takie wizyty. Nie ruszała się z domu i z niezmordowanym zapałem przyjmowała hołdy, jakie tłumnie składano śmiertelnym szczątkom jej brata. Właściwym sobie w chwilach wzruszenia, gardłowym głosem odczytywała po wiele razy artykuły, w których, jak w czasie jubileuszu firmy, podnoszono zasługi zmarłego, opłakiwano niezastąpioną stratę. Była obecna przy wszystkich wizytach kondolencyjnych w gabinecie, podczas gdy Gerda przyjmowała w salonie, ciągnęły się one bez końca, było ich legion. Konferowała z różnymi osobami w sprawach związanych z pogrzebem, który powinien był wypaść niezwykle wytwornie.

Urządzała sceny pożegnalne. Zażądała, by personel biura przyszedł pożegnać się z szefem. Następnie musieli przyjść robotnicy ze spichrzów. Swymi ogromnymi stopami niezgrabnie sunęli po posadzce, pocziwie ściągali ku dołowi kąty ust i napełnili pokój zapachem wódki, tytoniu i pracy fizycznej. Obejrzeni wspaniały katafalk, pokręcili czapki w rękach, najpierw się zadziwili, potem zaczęli się nudzić, dopóki jeden z nich nie wziął na odwagę i nie ruszył z powrotem, po czym cała gromada poszła krok w krok za nim, szurając nogami... Pani Permaneder była zachwycona. Utrzymywała, że kilku z nich łzy kapały po brodach. Była to po prostu nieprawda. Nic podobnego nie miało miejsca. Ale skoro ona tak widziała i skoro to czyniło ją szczęśliwą?...

Nadszedł dzień pogrzebu. Metalowa trumna została szczelnie zamknięta i pokryta kwiatami, świece płonęły w lichtarzach, dom napełnił się ludźmi i otoczony współżalobnikami, zarówno miejscowymi, jak i przybyłymi, stanął nad trumną pastor Pringsheim w swym majestacie, złożywszy swą wyrazistą głowę na szerokiej kryzie niby na talerzu.

Wysoki przedsiębiorca pogrzebowy, zwinny pośrednik między posługaczami a rozkazodawcami, uroczyście przejął zewnętrzne kierownictwo ceremonii. Biegał z cylindrem w ręku po schodach i przenikliwym szeptem wołał przez sień, przepełnioną urzędnikami podatkowymi w mundurach, tragarzami zbożowymi w bluzach, krótkich spodniach i cylindrach:

–Pokoje są przepełnione, ale na korytarzu jest jeszcze trochę miejsca...

Potem wszystko się uciszyło, pastor Pringsheim rozpoczął mowę, a sztuczny jego głos grmiąc i falując napełniał cały dom. Podczas gdy tak stojąc obok posągu Chrystusa łamał ręce i wyciągał je błogosławiąc, na dole przed domem, pod białym zimowym niebem zatrzymał się czworokony karawan, za którym ustawił się długi szereg powozów wzdłuż całej ulicy, aż do rzeki. Na wprost zaś domu stała z bronią u nogi kompania żołnierzy z porucznikiem von Throtą na czele, który z obnażoną szablą w ręce spoglądał ku wykuszowi płonącymi oczyma... Tłumy ludzi w oknach i na ulicy wyciągały szyje.

Wreszcie w westybulu powstał ruch, zabrzmiał wymówiony cichym głosem rozkaz porucznika, żołnierze z hałasem sprezentowali broń, pan von Throta opuścił szablę, ukazała się trumna. Niesiona przez czterech ludzi w czarnych płaszczach i stosowanych kapeluszach, chwiała się, ostrożnie

wynurzając się z bramy, a wiatr unosił zapach kwiatów ponad głowami ciekawych, powiewając czarnym pióropuszem na szczycie karawanu, igrając grzywami koni, stojących wzdłuż ulicy w dół aż do rzeki, oraz czarnymi wstęgami u kapelusza woźnicy i stajennego.

Pojedyncze, rzadkie płatki śniegu padały z nieba wielkimi, powolnymi łukowatymi liniami.

Konie, całe okryte kirem, tak że jedynie niespokojne oczy były widoczne, wolno ruszyły w drogę, prowadzone przez czterech czarno ubranych żałobników, wojsko przyłączyło się do orszaku, powozy ruszyły jeden za drugim. Chrystian Buddenbrook wsiadł pierwszy wraz z pastorem Pringsheimem. Następnie jechał mały Jan z jakimś doskonale wyglądającym krewnym z Hamburga. I wolno, wolno ciągnął się długi, smutny i uroczysty kondukt pogrzebowy Tomasza Buddenbrooka, podczas gdy na wszystkich domach wiatr szarpał chorągwie opuszczone do połowy masztu... Urzędnicy i tragarze zbożowi szli pieszo.

Gdy za miastem trumna niesiona po cmentarnych drogach, otoczona uczestnikami pogrzebu, mijając krzyże, posągi, kapliczki i nagie wierzby płaczące, zbliżyła się do Buddenbrookowskiego grobowca, stała tam już kompania honorowa i znowu sprezentowała broń. Zza krzaków zabrzmiał stłumionym, poważnym rytmem marsz żałobny.

I znowu odsunięto wielką płytę grobową z wrytym na niej herbem rodzinnym, i znowu na skraju cmentarza, pod obnażonymi drzewami stanęli panowie nad obmurowaną głębią, w którą opuszczono Tomasza Buddenbrooka, aby połączył się ze swymi rodzicami. Stali tam ci ludzie zasłużeni i majątni z opuszczonymi lub smutnie pochylonymi na bok głowami, senatorów można było rozpoznać po białych rękawiczkach i krawatach, dalej tłoczyli się urzędnicy, tragarze zbożowi, pracownicy biur, spichrzów i inni.

Muzyka umilkła, przemówił pastor Pringsheim. A gdy błogosławieństwa jego przebrzmiały w chłodnym powietrzu, wszyscy poruszyli się, by jeszcze raz uścisnąć rękę bratu i synowi zmarłego.

Była to długa defilada. Chrystian Buddenbrook przyjmował wszystkie oznaki współczucia z na pół roztargnionym, na pół zakłopotanym wyrazem, właściwym mu przy uroczystościach. Mały Jan stał w swym grubym paltociku marynarskim ze złotymi guzikami, nie patrząc na nikogo; jego niebieskawo ocienione oczy spuszczone były ku ziemi, a bolesny grymas wykrzywiał jego twarz, ukośnie zwróconą w kierunku wiatru.

Część jedenasta

Rozdział pierwszy

Przypominamy sobie taką lub inną osobę, zastanawiamy się, jak też jej się powodzi, i nagle przychodzi nam na myśl, że nie chodzi ona już po mieście, że w ogólnym koncercie głosów nie słychać już jej głosu, że po prostu znikła już na zawsze z widowni i leży gdzieś za miastem w ziemi.

Konsulowa Buddenbrook, z domu

St~uwing, wdowa po stryju

Gottholdzie umarła. I jej także

–sprawczyńni tak żywego ongiś rozdźwięku w rodzinie – śmierć włożyła swą pokutniczą i gloryfikującą koronę, a trzy córki konsulowej, Fryderyka, Henryka i Fifi, sądziły, że mają prawo przeciwstawić obrażoną minę kondolencjom krewnych, jak gdyby chciały powiedzieć: –

Widzicie, to wasze prześladowania wtrąciły ją do grobu!... – mimo iż konsulowa doczekała późnej starości...

Madame Kethelsen również spoczywała w spokoju.

Pomęczony przez ostatni rok wskutek artretyzmu, odeszła cicho, z prostotą i dziecinną wiarą, budząc zazdrość w swej wykształconej siostrze, która ciągle jeszcze musiała od czasu do czasu zwalczać w sobie drobne odruchy racjonalizmu, a chociaż stawała się coraz mniejsza i bardziej garbata, skazana była wskutek mocniejszego organizmu na przebywanie na tym nędznym świecie.

Nie żył już konsul Piotr Dohlmann. Przehulawszy cały majątek umarł wreszcie z winy wody Hunyadi_janos, pozostawiając córce dwieście marek renty rocznej; wymógł on na klasztorze świętego Jana, aby przyjęto ją tam ze względu na znaczenie nazwiska Dohlmannów.

Justus Kröger zmarł również, co było bardzo niepożądane; teraz bowiem nikt już nie przeszkadzał jego słabej małżonce w sprzedawaniu ostatnich sreber, by móc posyłać pieniądze wyrodnemu Jakubowi, gdziekolwiek wiódł on swój włóczęgowski żywot...

Co się tyczy Chrystiana Buddenbrooka, to na próżno szukano by go w mieście; nie bawił już w jego murach. W rok za ledwie po śmierci brata_senatora przeniósł się do Hamburga, gdzie w obliczu Boga i ludzi zawarł związek z pewną damą, z którą od dawna był w bliskich stosunkach, z panną Aliną Puvogel. Nikt nie mógł mu tego zabronić. Co prawda scheda po matce, od której odsetki od dawna zresztą szły w połowie do Hamburga, dostała się – a w każdym razie ta jej reszta, dotąd jeszcze nie zużyta – pod nadzór pana Stefana Kistenmakera, tak bowiem zarządził w testamencie jego brat; poza tym jednak Chrystian był panem swojej woli... Gdy małżeństwo jego stało się powszechnie wiadomym faktem, pani Permaneder wystosowała do pani Buddenbrook z Hamburga długi i niezwykle wrogi list, zaczynający się od „Pani!” i zawiadamiający w wyszukanie zjadliwych słowach, że pani Permaneder nigdy nie uzna za rodzinę ani adresatki, ani też jej dzieci.

Pan Kistenmaker był wykonawcą

testamentu i opiekunem małego

Jana, miał też nadzór nad

majątkiem Buddenbrooków i

zaszczytnie sprawował te

obowiązki. Dostarczały mu one

wielce ważnych zajęć, uprawniały
go do przeciągania ręki po
włosach ze wszelkimi oznakami
przepracowania i do zapewniania
na giełdzie, że rujnuje swe
zdrowie... należy też zaznaczyć,
że za swe trudy otrzymywał
bardzo punktualnie dwa procent
od dochodów. W ogóle jednak nie
miał szczęśliwej ręki do
interesów i w krótkim czasie
ściągnął na siebie
niezadowolenie Gerdy

Buddenbrook.

Sprawy przedstawiały się w ten sposób, że wszystko miało być zlikwidowane, firma zaś miała przestać istnieć, i to już w ciągu roku; taka była ostatnia wola senatora. Pani Permaneder była tym mocno przejęta. – A Jan, a mały Jan, a Hanno? – pytała... Fakt, że brat jej pominął swego syna, jedynego spadkobiercę, że nie pragnął zachować dla niego firmy, dziwił ją i bolał niezmiernie. Nieraz płakała nad tym, że trzeba będzie wyrzec się czcigodnego znaku firmowego, owego klejnotu przekazywanego przez cztery pokolenia, że trzeba będzie zamknąć jego historię, podczas gdy istnieje przecie spadkobierca. Ale potem pocieszała się myślą, że koniec firmy nie musi być jeszcze końcem rodziny i że bratanek jej rozpocznie nowe dzieło, by sprostać swemu powołaniu, które wszak na tym polegało, by utrzymać nazwisko przodków w dawnej chwale i stworzyć nową erę rozkwitu rodziny. Nie darmo miał w sobie tyle podobieństwa do pradziadka...

Likwidowanie interesów rozpoczęło się tedy pod kierunkiem pana Kistenmakera oraz starego pana Marcusa i miało niesłychanie żałosny przebieg. Termin był krótki, należało go ściśle zachować, czas naglił. Sprawy bieżące załatwiano w sposób szybki i niepomysłny. Pospieszne i niekorzystne sprzedaże następowały jedna po drugiej. Składy i spichrze spieniężono z dużymi stratami. Czego zaś nie popsuł nadmierny zapał pana Kistenmakera, tego dokonywała opieszałość starego pana Marcusa, o którym opowiadano sobie w mieście, że zimą, przed wyjściem, ogrzewa przy piecu nie tylko swoje palto i kapelusz, ale nawet laskę; jeśli zdarzała się wreszcie pomyślna koniunktura, pomijał ją niewątpliwie... Słowem, straty mnożyły się. Tomasz Buddenbrook zostawił majątek wynoszący na

papierze sześćset pięćdziesiąt tysięcy marek, w rok po otwarciu testamentu okazało się, że nie można nawet w przybliżeniu osiągnąć tej sumy...

Nieokreślone i przesadzone wieści o niepomyślnej likwidacji obiegały miasto; potęgowała je pogłoska, że Gerda Buddenbrook zamierza sprzedać dom.

Opowiadano sobie cuda o tym, co ją do tego zmuszało, o poważnym zmniejszeniu się majątku Buddenbrooków, wreszcie doszło do tego, że w mieście stopniowo zapanował nastrój, który owdowiała senatorowa przyjmowała początkowo ze zdumieniem, potem zaś ze wzrastającym oburzeniem zaczęła odczuwać jego skutki we własnym gospodarstwie domowym... Gdy pewnego razu oznajmiła szwagierce, że kilku rzemieślników i dostawców domagało się w nieprzyzwoity sposób wyrównania większych rachunków, pani Permaneder najpierw osłupiała, a potem wybuchnęła straszliwym śmiechem... Gerda Buddenbrook była tak oburzona, że wyraziła coś jakby na pół powzięte postanowienie opuszczenia miasta wraz z małym Janem, by powrócić do starego ojca i znowu grywać z nim duety. Ale wywołało to taki wybuch przerażenia ze strony pani Permaneder, że plan musiał tymczasem upaść.

Jak można było oczekiwać, protesty pani Permaneder objęły też sprawę sprzedaży domu zbudowanego przez jej brata. Rozpaczała głośno nad złym wrażeniem, jakie to może wywołać, i ubolewała, że będzie to nowa utrata prestiżu rodziny. Musiała jednak przyznać, że niepraktyczne byłoby nadal zamieszkiwać i utrzymywać obszerny i wspaniały dom, który był kosztowną fantazją Tomasza Buddenbrooka, oraz że usprawiedliwione jest życzenie Gerdy, która pragnęła nabyć za miastem niewielką wygodną willę z ogrodem.

Dla pana Goscha, maklera Zygmunta Goscha, zaświtał wzniosły dzień. Starość jego opromieniło przeżycie, które nawet na parę godzin zmniejszyło drżenie jego rąk. Stało się, iż mógł znaleźć się w salonie Gerdy Buddenbrook, w fotelu na wprost niej, i oko w oko z nią rozmawiać o cenie domu. Podczas gdy białe włosy ze wszystkich stron opadały mu na twarz, wpatrywał się w nią, okropnie wysuwając brodę, i zupełnie udało mu się osiągnąć wygląd garbatego. Głos jego był syczący, mówił jednak zimno i rzeczowo i nic nie zdradzało wzburzenia jego duszy. Podjął się pośrednictwa przy sprzedaży domu, wyciągnął rękę i z chytrym uśmiechem zaproponował osiemdziesiąt pięć tysięcy. Nie było to do odrzucenia, ponieważ strata przy tej sprzedaży wydawała się nieunikniona. Należało jednak wysłuchać zdania pana Kistenmakera. Gerda Buddenbrook musiała pożegnać pana Goscha nie zakończywszy z nim sprawy i okazało się, że pan Kistenmaker nie miał zamiaru korzystać z niczyjej pomocy. Zlekceważył propozycję pana Goscha, wyśmiał ją i przysięgł, że dostanie się o wiele więcej. I tak długo przysięgał, dopóki nie był zmuszony, by wreszcie raz z tym skończyć, sprzedać domu za siedemdziesiąt pięć tysięcy pewnemu starzejącemu się kawalerowi, który powróciwszy z dalekich podróży zamierzał osiąść w mieście...

Pan Kistenmaker zajął się również kupnem nowego domu, przyjemnej niewielkiej willi, która choć może trochę za droga, położona była za miastem przy starej alei kasztanowej, otoczona ładnym ogrodem kwiatowym i sadem i odpowiadała życzeniom Gerdy Buddenbrook... Tam też jesienią roku siedemdziesiątego szóstego przeniosła się senatorowa ze swym synem, służbą i częścią mebli, podczas gdy reszta rzeczy ku żalowi pani Permaneder pozostała na miejscu, by przejść na własność starego kawalera.

Nie koniec na tym! Panna Jungmann, Ida Jungmann, pozostająca od czterdziestu lat w domu Buddenbrooków, opuściła ich i powróciła do swej wschodniopruskiej ojczyzny, by spędzić u krewnych resztę życia. Prawdę powiedziawszy, oddaliła ją senatorowa. Gdy wydostała się spod jej opieki poprzednia generacja, „dobra dusza” znalazła sobie małego Jana, którego mogła wychowywać i pielęgnować, czytać mu baśnie Grimma i opowiadać historię o wujku, który umarł na czkawkę. Teraz jednak mały Jan nie był już właściwie mały, był to piętnastoletni chłopiec, któremu, mimo jego wątłości, nie na wiele już mogła się przydać... a z jego matką była od dawna w dość nieprzyjemnych stosunkach. Kobiety tej, która weszła do rodziny o wiele później od niej, nigdy właściwie nie uważała panna Jungmann za pełnowartościowego członka rodziny, a poza tym w późniejszych latach zaczęła z zarozumiałością starej służącej przeceniać swoje kompetencje. Budziła zgorzniecie przywiązując zbyt wielką wagę do swojej osoby, dopatrując się ciągle jakichś nadużyć w gospodarstwie... Stosunki były nie do zniesienia, zdarzały się przykre sceny i chociaż pani Permaneder wstawiała się za nią równie wymownie jak za domami i meblami – stara Ida została zwolniona.

Płakała gorzko, gdy nadeszła godzina rozstania się z Janem. Objął ją, potem założył ręce na plecy, oparł się na jednej nodze, podnosząc drugą na palce i gdy odchodziła, patrzył tym samym badawczym, skierowanym ku wnętrzu spojrzeniem, jakim spoglądały jego złotobrunatne, niebieskawo ocienione oczy na zwłoki babki, śmierć ojca, podczas wyprowadzki z wielkiego domu i innych tym podobnych zewnętrznych przeżyć... Pożegnanie starej Idy było dla niego jak gdyby dalszym ciągiem innych znanych mu procesów kruszenia się, kończenia, zamykania, rozkładu; rzeczy owe już go nie dziwiły; i szczególne było, że nie dziwiły go nigdy. Czasem, gdy podnosił swą kędzierzawą, jasnobrązową głowę z zawsze nieco skrzywionymi wargami, a wrażliwe jego nozdrza rozszerzały się, wydawało się, że ostrożnie wdycha otaczającą go atmosferę i powietrze, przygotowany na wyczucie owego dziwnie bliskiego zapachu, którego przy trumnie babki nie zdołały zagłuszyć wszystkie wonie kwiatów...

Ilekróć pani Permaneder wstępowała do szwagierki, przyciągała do siebie bratanka, by opowiadać mu o przeszłości oraz owej przyszłości, którą Buddenbrookowie z boską pomocą jemu, małemu Janowi, będą zawdzięczali. Im mniej pocieszająco przedstawiała się terażniejszość, z tym większą satysfakcją opisywała, jakie to było wytworne życie w domach jej rodziców i dziadków i jak to pradziadek Jana jeździł po kraju czwórką koni...

Od Chrystiana nadchodziły smutne wiadomości. Małżeństwo najwidoczniej niepomyślnie na niego wpłynęło. Przykre urojenia i natrętne myśli powtarzały się w coraz silniejszym stopniu i z inicjatywy małżonki oraz lekarza przebywał on obecnie w zakładzie. Czuł się tam źle, pisał do rodziny rozpaczliwe listy i żądał, by uwolniono go z owego zakładu, w którym, jak się wydawało, obchodzono się z nim bardzo surowo. Ale mocno go tam trzymano i było to prawdopodobnie najlepsze dla niego. W każdym razie dało to jego małżonce możność prowadzenia nadal bez przeszkód czy jakichkolwiek względów dotychczasowego, niezależnego życia, nie uszczuplając praktycznych ani idealnych korzyści, jakie zawdzięczała zameśściu.

Rozdział drugi

Budzik warczał i zgrzytał nieubłaganie i okrutnie. Był to ochryply i szorstki dźwięk, raczej terkot niż dzwonięcie, budzik był bowiem stary i zużyty; trwało to jednak długo, beznadziejnie długo, gdyż

nakrecono go dokładnie.

Hanno Buddenbrook przelął się do głębi serca. Jak co rano, na głos tego zarazem złośliwego i dobrodusznego hałasu na nocnym stoliku, tuż obok ucha, wnętrzości ścisnęły mu się z pasji, żalu i rozpacz. Na zewnątrz zachował jednak zupełny spokój, nie zmienił pozycji w łóżku i tylko, wyrwany z jakiegoś porannego mglistego marzenia sennego, otworzył oczy.

W zimnym pokoju było jeszcze zupełnie ciemno; nie rozróżniał przedmiotów i nie dostrzegał wskazówek zegara. Wiedział jednak, że jest szósta rano, gdyż wczoraj wieczorem na tę właśnie godzinę nastawił budzik... Wczoraj... wczoraj... Leżąc bez ruchu na wznak, z napiętymi nerwami, zmagając się z sobą, by wreszcie powziąć decyzję, zapalić światło i wstać z łóżka, powoli odzyskiwał świadomość tego, co przepelniało go wczoraj...

Była to niedziela i po kilkudniowej codziennej męczarni u pana Brechta w nagrodę poszedł z matką do teatru na „Lohengrina”. Radość, że będzie mógł to usłyszeć, od tygodnia wypełniała mu życie. Godne pożałowania było jedynie to, że takie uroczystości poprzedzane były zawsze niemiłymi rzeczami, które do ostatniej chwili psuły swobodne i radosne oczekiwanie. Ale wreszcie miał już za sobą sobotnie zajęcia szkolne, a maszyna dentystyczna po raz ostatni z bolesnym brzęczeniem świdrowała w jego ustach... Wszystko zostało odsunięte i przewyciężone, gdyż zadane lekcje szybko zdecydował się odłożyć do poniedziałkowego ranka. Cóż znaczył poniedziałek? Czy było prawdopodobne, że kiedykolwiek nastąpi? Nie wierzy się w żaden poniedziałek, gdy się ma w niedzielę wieczorem usłyszeć „Lohengrina”... Miał w poniedziałek wczesnym rankiem wstać i odrobić te głupie rzeczy – koniec! Czuł się więc wolny, strzegł swego szczęścia, marzył przy fortepianie i zapomniał o wszystkich przykrościach.

A potem szczęście stało się rzeczywistością. Nadeszło wraz ze swymi uroczystymi obrzędami i zachwytem, ze swymi tajnymi dreszczami i drżeniem, nagłymi spazmami wewnętrznymi, z całym swym niesłychanym i nienasyconym upojeniem... Zapewne, kiepskie skrzypce orkiestry niezupełnie dopisały podczas uwertury, a łódź, w której stał gruby, zarozumiały człowiek z jasnoblonną brodą, przyplłynęła podskakując trochę. Prócz tego w sąsiedniej łoży obecny był opiekun chłopca, pan Stefan Kistenmaker, który mruczał, że takimi rozrywkami odciąga się chłopca od obowiązków. Ale słodka, promienna wspaniałość, której słuchał, uniosła go ponad to wszystko...

Wreszcie musiał jednak przyjść koniec. Rozśpiewane, promieniejące szczęście zamilkło i zagasło, z rozgorączkowaną głową znalazł się znów w swym pokoju i pojął, że zaledwie parę godzin snu tam w łóżku dzieli go od szarej codzienności. Wówczas opanował go ów straszny, tak dobrze mu znany lęk. Znowu poczuł, jaki ból sprawia piękno, jak głęboko wtrąca we wstyd i pełną tęsknoty rozpacz, jak odbiera odwagę i zdolność do powszedniego życia. Przytłoczyło go ono tak olbrzymim, beznadziejnym ciężarem, że znowu pomyślał, iż ciąży na nim chyba coś więcej niż jego osobiste zmartwienie, brzemień, które od początku przygniatało jego duszę i które kiedyś wreszcie ją zadusi...

Potem nastawił budzik i zasnął tak martwo i głęboko, jak sypia się wtedy, gdy nie chciałoby się więcej obudzić. I oto już był poniedziałek, i była godzina szósta, a on nie przygotował żadnej lekcji!

Podniósł się i zapalił świecę na nocnym stoliku. Ponieważ jednak w lodowatym powietrzu ręce i ramiona natychmiast zaczęły mu marznąć, szybko opadł z powrotem i otulił się kołdrą.

Wskazówki przesunęły się na dziesięć minut po szóstej... Ach, cóż za nedoręczność wstać teraz i pracować, przecież jest tego za dużo, prawie na każdą lekcję trzeba się przygotować, nie opłaca się zaczynać, a czas, który sobie naznaczył, i tak już przeszedł... Czyż istotnie było to tak pewne, że jak mu się wczoraj wydawało, będzie dzisiaj odpowiadał z łaciny i chemii? Można było tak przypuszczać, tak, według wszelkich danych było to prawdopodobne. Co się tyczy Owidiusza, to ostatnio odpowiadali ci uczniowie, których nazwiska zaczynają się od końcowych liter alfabetu, a dzisiaj prawdopodobnie rozpocznie się od początku, od A i B. Ale przecież nie jest to bezwzględnie pewne, niekoniecznie musi tak być! Przecie możliwe są pewne odstępstwa od reguły! Czegóż to nie może zrządzić przypadek. Boże kochany... I gdy tak roztrząsał te zwodnicze, niebezpieczne możliwości, myśli jego rozplynęły się i zasnął znowu.

Mały pokój uczniowski, zimny i nagi, z zawieszonym nad łóżkiem miedziorytem Madonny Sykstyńskiej, z rozsuwanym stołem pośrodku, z półką nieporządnie zapchaną książkami, ze sztywnym mahoniowym pulpitem, fisharmonią oraz małą umywalnią, cicho spoczywał w mroku rozświetlonym migotliwym blaskiem świecy. Na oknach, których rolety nie były opuszczone, by światło dnia wcześniej przedostawało się do pokoju, kwitły lodowe kwiaty. A Hanno Buddenbrook spał przytuliwszy policzek do poduszki. Spał z rozchylonymi wargami i mocno zaciśniętymi powiekami, z wyrazem żarliwego i bolesnego oddania się snowi, a miękkie, jasnobrązowe włosy okalały lokami jego skronie. Płomyk na nocnym stoliku z wolna tracił swój żółtoczerwony blask, gdyż poprzez lodową skorupę szyby wejrzał do pokoju bladawy i mdły poranek.

O siódmej znowu obudził się z przestraczem. Więc już i ten termin przeszedł. Wstać i wziąć na swe barki ten dzień – to się już nie dawało odsunąć. Jeszcze tylko krótka godzina do rozpoczęcia szkoły... Czas naglił, o odrabianiu lekcji nie było już co myśleć. Mimo to leżał w dalszym ciągu, pełen smutku, żalu i rozgoryczenia na ten brutalny przymus, który kazał mu w mroźnym półcieniu wyjść z łóżka, udać się między srogich, nieżyczliwych ludzi, by wystawić się na niebezpieczeństwo i klęskę. – Ach, jeszcze marne dwie minuty, prawda? – mówił poduszce w porywie czułości. A potem, w napadzie przekory, darowywał sobie całe pięć minut, by jeszcze choć na krótko zamknąć oczy i otwierając jedno od czasu do czasu, z rozpaczą spoglądać na wskazówkę, która tępo, nieświadomie i poprawnie posuwała się naprzód swoją drogą...

Dziesięć po siódmej zerwał się i począł z najwyższym pośpiechem krzątać się po pokoju. Świeca płonęła w dalszym ciągu, gdyż światło dzienne było jeszcze zbyt słabe. Gdy chuchnął na szybę, zacierając lodowy kwiat, ujrzał, że na ulicy jest gęsta mgła.

Marzył okropnie. Chwilami bolesny dreszcz przebiegał po całym jego ciele. Końce palców paliły i były tak obrzmiałe, że nie mógł użyć szczoteczki do paznokci. Gdy się mył, gąbka wypadła mu ze zmartwiałej ręki i przez chwilę stał zdrętwiały i bezradny, drżąc jak zajeżdżony koń.

Wreszcie był jednak gotów i zdyszany, z mętnymi oczami stanął przy stole, chwycił skórzaną teczkę i zbierając resztki sił ducha zaczął pakować potrzebne na dziś książki. Stał patrząc przed siebie z natężeniem, mrucał lękliwie: – Religia... łacina... chemia... – i upychał zniszczone i zaplamione atramentem okładki...

Tak, mały Jan był już dość wysoki. Miał przeszło piętnaście lat i nie nosił już kopenhaskiego marynarskiego ubrania, lecz jasnobrązowy garnitur oraz niebieski krawat w białe cętki. Na kamizelce

widać było długi złoty łańcuszek do zegarka, który pochodził od pradziadka, na czwartym zaś palcu nieco zbyt szerokiej, lecz pięknie ukształtowanej ręki tkwił dziedziczny sygnet z zielonym kamieniem, który obecnie również do niego należał... Włożył grube zimowe paltó, kapelusz, porwał teczkę, zgasił świecę i zbiegł po schodach na parter, obok wypchanego niedźwiedzia, do pokoju stołowego.

Panna Klementyna, nowa pomocnica jego matki, chuda panna z grzywką, spiczastym nosem i krótkowzrocznymi oczami, zajęta była przyrządzaniem śniadania.

–Która właściwie godzina? – zapytał przez zęby, pomimo iż wiedział dokładnie.

–Za piętnaście ósma –

odrzekła wskazując zegar cienką, czerwoną ręką o artretycznym wyglądzie. – Trzeba się bardzo spieszyć... – i postawiła na stole dymiącą filiżankę kakao, podsunęła koszyczek z pieczywem, masło i kieliszek z jajkiem.

Nic już nie powiedział, chwycił bułkę i stojąc, w kapeluszu na głowie i z teczką pod pachą, zaczął łykać kakao. Gorący napój straszliwie uraził trzonowy ząb, który właśnie leczył pan Brecht... Zostawił połowę, pogardził jajkiem, wydał skrzywionymi ustami dźwięk, który mógł oznaczać pożegnanie, i wybiegł z domu.

Była za dziesięć ósma, gdy minął ogród otaczający czerwoną willę i pospieszył na prawo, zimową aleją...

Jeszcze dziesięć, dziewięć,

osiem minut. A droga była daleka. I mgła nie pozwalała dojrzeć, gdzie się znajduje!

Wciągał ją, ile tylko miał sił w swej wąskiej piersi, i wydychał tę gęstą lodowatą mgłę, opierał język o ząb, który palił jeszcze po kakao, i w niesłychany sposób wysilał mięśnie nóg. Złany był potem, a jednak cały zmarznięty. W obu bokach zaczęło go kłuć. Odrobina śniadania bulgotała w żołądku podczas tej porannej przechadzki, zrobiło mu się mdło, czuł, że brak mu tchu, a serce było już tylko czymś drżącym i trzepocącym się beładnie.

Brama miasta, dopiero brama miasta, a tu już ósma za cztery minuty! Gdy się tak przedzierał przez ulicę, cały w zimnych potach, w bólu i mdłościach, rozglądał się na wszystkie strony, czy może zobaczy gdzie jakiego ucznia... Nie, nie, żaden już nie szedł. Wszyscy byli na miejscu, już też zaczęła bić ósma! Dzwony rozbrzmiewały we mgle ze wszystkich wież, a dzwony z kościoła Panny Marii, by uczcić tę godzinę, grały nawet: – Wszyscy dziękujemy Panu... – Grały zupełnie fałszywie, jak skonstatował wściekły z rozpaczy Hanno, nie miały nic wspólnego z rytmem i były bardzo kiepsko nastrojone... Ale mniejsza o to, mniejsza o to! Tak, spóźni się, to już nie ulegało kwestii. Zegar szkolny spóźniał się nieco, ale mimo to spóźni się, to było pewne. Wpatrywał się w twarze mijających go przechodniów. Szli do swoich biur, do swych interesów, wcale się nie spieszyli, nic im nie groziło. Niektórzy odpowiadali na jego pełne zazdrości, żalospojrzenie, przyglądali się jego zziąbanej postaci i uśmiechali się. Ten uśmiech oburzał go. Co oni sobie myślą i co wiedzą ci nieustraszeni o jego sprawach? – Wasz uśmiech dowodzi prostactwa, moi państwo! – pragnął

zawołać... – Moglibyście się domyślić, że chciałoby się paść trupem przed zamkniętą bramą szkolną...

Przenikliwy głos dzwonka, znak rozpoczętej modlitwy poniedziałkowej, uderzył jego ucho, gdy był oddalony jeszcze o dwadzieścia kroków od długiego czerwonego muru z dwiema furtkami z lanego żelaza, oddzielającego dziedziniec szkolny od ulicy. Nie próbując już biec, pochylił po prostu naprzód górną połowę tułowia, przy czym nogi, potykając się i chwiejąc, same już musiały bronić ciała przed upadkiem, i tak dobrnął do pierwszej bramy, gdy dzwonek już umilkł.

Pan Schlemiel, dozorca, tęgi człowiek o brodatej twarzy robotnika, właśnie miał ją zamykać. – No... – powiedział i przepuścił ucznia Buddenbrooka... Może, może był uratowany. Szło o to, by niepostrzeżenie przekraść się do klasy, tam przeczekać w ukryciu koniec modlitwy, którą odmawiano w sali gimnastycznej, i udać, że wszystko jest w porządku. I chwytając powietrze, cały zdyszany, zastygł w zimnych potach, dowlóknął się do środka przez dziedziniec wyłożony czerwoną cegłą i przez ładne drzwi, oszklone różnokolorowymi szybami...

W zakładzie wszystko było nowe, schludne i ładne. Uwzględniono wymagania czasu i szare, zbutwiałe domostwo dawnej szkoły klasztornej, w której jeszcze ojcowie obecnej generacji czerpali wiedzę, zostało zrównane z ziemią, by dać miejsce nowym przestronnym, świetnym budowlom. Styl całości został zachowany i nad korytarzami i krużgankami uroczyście rozpościerały się gotyckie sklepienia. Co się zaś tyczy oświetlenia i ogrzewania, przestrzenności i jasności klas, wygody nauczycielskich pokoi, praktycznego urządzenia sal chemicznych, fizycznych i rysunkowych, to wszędzie zachowany był nowoczesny komfort...

Wyczerpany Hanno Buddenbrook przycisnął się do ściany i rozejrzał wokoło... Nie, Bogu dzięki, nikt go nie zauważył. Z dalekich korytarzy dolatywał zgiełk tłumu uczniów i nauczycieli, zalegających salę gimnastyczną i odbierających tam małe pokrzepienie religijne przed całotygodniową pracą. Tu panowała cisza i martwota, szerokie, wyłożone linoleum schody również były puste. Ostrożnie, wstrzymując oddech i nasłuchując w napięciu, na palcach wszedł na schody. Klasa jego znajdowała się na pierwszym piętrze, na wprost schodów; drzwi były otwarte. Na najwyższym stopniu pochyłony naprzód spojrzął w głąb długiego korytarza, wzdłuż którego mieściły się opatrzone porcelanowymi tabliczkami drzwi do różnych klas, posunął się jeszcze o trzy szybkie, bezszelestne kroki i znalazł się w klasie.

Było tu pusto. Trzy szerokie okna były jeszcze zasłonięte, a zwieszające się z sufitu zapalone lampy gazowe syczały cicho. Zielone kłosze rzucały światło na trzy kolumny podwójnych pulpitów z jasnego drzewa, na wprost których stała pod ścienną tablicą ciemna, poważna i odosobniona katedra. Dolna część ścian wyłożona była drzewem, podczas gdy wyżej kilka map zdobiło nagie powierzchnie. Druga tablica na sztalugach stała obok katedry.

Hanno poszedł na swoje miejsce, znajdujące się mniej więcej w środku klasy, wsunął teczkę pod ławkę, opadł na twarde siedzenie, oparł ręce o pochyły pulpit i złożył na nich głowę. Przenikało go niewypowiedziane uczucie błogości. Ten nagi i twardy pokój był brzydki i nienawistny, a na sercu jego ciążyło całe groźne przedpołudnie pełne niebezpieczeństw. Ale tymczasem był bezpieczny, był ukryty i mógł oczekiwać dalszego biegu rzeczy. Zresztą pierwsza lekcja, religia z panem Ballerstedtem, miała charakter dość łagodny... Po drganiu zasłonki papierowej, u góry, na okrągłym

otworze w ścianie, widziało się, jak napływa ciepłe powietrze, a płomień gazowy również ogrzewały salę. Ach, można było się przeciągnąć i pozwolić, by odtajały zeszywniałe członki. Rozkoszne i niezdrowe gorąco uderzyło mu do głowy, zaszumiło w uszach i przesłoniło oczy...

Nagle usłyszał za sobą szelest; wyprostował się szybko, obrócił... I oto zza ostatniej ławki ukazała się postać Kaja, hrabiego Mollna. Wygramolił się ów młody człowiek, stanął na równe nogi, szybko otrzepał z rękawów kurz i z rozpromienioną twarzą skierował się ku Janowi.

–Ach, to ty, Hanno! –

powiedział. – A ja ukryłem się tam, bo kiedyś wszedł, wziąłem cię za część profesorskiego ciała!

Głos jego załamał się, widocznie z powodu mutacji, która u jego przyjaciela dotąd nie występowała. Urósł równie jak i tamten, ale poza tym wcale się nie zmienił. Ciągłe jeszcze nosił ubranie nieokreślonej barwy, przy którym miejscami brakowało guzików i na którego siedzeniu widniała duża łata. Ręce jego wciąż jeszcze nie grzeszyły czystością, były za to wąskie i niezwykle szlachetnie ukształtowane, o długich, wysmukłych palcach i zwężających się paznokciach. I zawsze jeszcze rudawe włosy opadały na alabastrowobiałe i nieskazitelne czoło, pod którym głęboko i zarazem ostro błyszczały oczy...

Jeszcze bardziej uderzał obecnie

kontrast między rażąco

zaniedbaną toaletą a

nieskazitelną, rasową, delikatną twarzą, z lekko orlim nosem i nieco podniesioną górną wargą.

–Nie, Kaj – rzekł Hanno wykrzywiając usta i błędząc ręką w okolicy serca – jak mogłeś mnie tak przestraszyć! Dlaczego tu siedzisz? Czemu się schowałeś? Czy także się spóźnił?

–Co znowu – odrzekł Kaj. – Od dawna tu jestem... W poniedziałek rano nie można się przecież doczekać szkoły, jak sam wiesz najlepiej, mój drogi... Nie, ja tylko dla żartu tutaj zostałem... „Głęboki profesor” miał dyżur i zapędził hołotę na pacierz nie uważając tego bynajmniej za rozbój. Urządziłem się tak, że ciągle byłem tuż za jego plecami... Choćby się ten mistyk nie wiem jak wykręcał i oglądał, zawsze byłem tuż za jego plecami, dopóki nie poszedł już sobie, i tak oto mogłem pozostać tutaj... Ale ty – powiedział współczująco i z tkliwym gestem usiadł obok Hanna na ławce... – Musiałeś pędzić, co? Biedaku! Widzę, jaki jesteś zziębnięty. Włosy przyłgnęły ci przecie do skroni... – Wziął ze stołu linijkę i poważnie, troskliwie przyglądał się włosy małego Jana. – Więc zaspiałeś?... Ale ja siedzę tutaj na miejscu Adolfa Todtenhaupts – przerwał i rozejrzał się wokoło – na uświęconym miejscu prymusa! No, tymczasem to nic nie szkodzi... Więc zaspiałeś?

Hanno znowu złożył głowę na skrzyżowanych rękach.

–Przecież byłem wczoraj w teatrze – powiedział westchnąwszy ciężko.

–O, prawda, zapomniałem o tym!... Ładnie było?

Nie otrzymał odpowiedzi.

–Tobie się jednak dobrze dzieje – ciągnął przekonywająco

–powinieneś pamiętać o tym, Hanno. Patrzaj, ja jeszcze nigdy nie byłem w teatrze i na długie lata nie ma żadnych widoków na to, żebym kiedy mógł pójść...

–Gdyby nie to przykre

samopoczucie nazajutrz – rzekł Hanno przygnębiony.

–Znam i tak ów stan. – I Kaj nachylił się po leżące na podłodze obok ławki okrycie i kapelusz przyjaciela, wziął rzeczy i cicho wyniósł je na korytarz.

–W takim razie na pewno nie bardzo dobrze umiesz „Metamorfozy” – zapytał powróciwszy.

–Nie – odrzekł Hanno.

–A może przygotowałeś dobrze geografię?

–Nic nie przygotowałem i nic nie umiem.

–Więc ani chemii, ani

angielskiego? All right! Jesteśmy przyjaciółmi i towarzyszami broni! – Kajowi najwidoczniej to ulżyło. – Jestem w takim samym położeniu – wyznał wesoło. – W sobotę nic nie robiłem, gdyż nazajutrz była niedziela, a w niedzielę znowu z pobożności... Nie, głupstwa... głównie dlatego, że oczywiście miałem coś lepszego do roboty – powiedział z nagłą powagą, a po twarzy jego przemknął lekki rumieniec. – Tak, dzisiaj może być zabawnie, Hanno.

–Jeśli otrzymam jeszcze jeden zły stopień – rzekł mały Jan – to na pewno zostanę! A otrzymam go niezawodnie, jeżeli ten od łaciny przyczepi się do mnie. Dzisiaj kolej na literę B, Kaj, nikt na to nic nie poradzi...

–Poczekajmy!... Ha, Cezar wychodzi z domu. Zło zawsze tylko z tyłu nam groziło! Gdy spojrzę Cezarowi w oczy...

Ale Kaj nie dokończył swojej deklamacji... Jemu też nie było zbyt wesoło. Podszedł do katedry, zasiadł na niej i z ponurą miną zaczął bujać się na fotelu. Hanno Buddenbrook ciągle jeszcze trzymał głowę na skrzyżowanych rękach. Przez chwilę siedzieli tak milcząc na wprost siebie.

Nagle gdzieś z dala odezwał się przytłumiony szum, który wkrótce zmienił się w hałas, a po chwili wzmógł się groźnie...

–Hołota – rzekł z goryczą Kaj. – Panie Boże, jak oni prędko skończyli! Lekcja nie skróci się nawet o dziesięć minut...

Zszedł z katedry i skierował się ku drzwiom, by zmieszać się z wchodzącymi. Co się tyczy małego Jana, to jedynie podniósł głowę, skrzywił usta i siedział w dalszym ciągu.

Szuranie, tupot, rozgwar głosów męskich i młodzieńczych dyszkantów wezbrał na schodach, rozlał się po korytarzu i wtargnął także i do tego pokoju, który nagle nappełnił się życiem, ruchem i hałasem. Weszli tam ci młodzieńcy, koledzy Hanna i Kaja, uczniowie wyższej klasy oddziału realnego, w liczbie około dwudziestu pięciu, i machając rękami lub ukrywając je w kieszeniach, wolno podchodzili do swych miejsc, po czym otwierali swe Biblie. Były wśród nich fizjonomie miłe i zakazane, o zdrowym lub nieszczególnym wyglądzie, wysokie, tęgie wyrostki, które wkrótce zostaną kupcami lub żeglarzami i nic ich tu już nie obchodziło, oraz mali, ponad wiek rozwinięci i zbyt zaawansowani ambitni chłopcy, celujący w tych przedmiotach, których trzeba było uczyć się na pamięć. Ale Adolf Todtenhaupt, prymus, wszystko umiał, ani razu w swym życiu nie odpowiedział niedostatecznie. Wynikało to po części z jego milczącej, namiętnej pilności, a po części z tego, że nauczyciele wystrzegali się zadawania mu pytań, na które może nie umiałby odpowiedzieć. Dotknęłoby ich to i boleśnie zawstydziło, wstrząsnęłoby ich wiarą w ludzką doskonałość, gdyby doczekali się tego, że Adolf Todtenhaupt nie umiałby dać odpowiedzi. Miał on dziwnie nierówną czaszkę, do której przyklejone były jasne, gładkie włosy, szare oczy otoczone czarnymi obwódkami i długie, ciemne ręce, wyglądające ze zbyt krótkich rękawów starannie wyczyszczonej kurtki. Usiadł obok Hanna Buddenbrooka, uśmiechnął się łagodnie i nieco chytrze i powiedział koledze „dzień dobry”, posługując się żargonem, przekształcającym to słowo w jakiś łobuzerski, niedbały dźwięk. Potem, podczas gdy wszyscy dokoła rozmawiali półgłosem, przygotowywali się, ziewali i śmiali, zaczął zapisywać coś w dzienniku szkolnym, posługując się piórem w sposób niezmiernie poprawny, z prosto wyciągniętymi palcami.

Po kilku chwilach dały się słyszeć kroki na korytarzu, siedzący na pierwszych ławkach wstawali bez pośpiechu, w dalszych rzędach niektórzy poszli za ich przykładem, podczas gdy inni nie przerwali swych zajęć i zaledwie zauważyli, że wszedł profesor Ballerstedt, powiesił kapelusz przy drzwiach i podszedł ku katedrze.

Był to czterdziestoletni,

sympatycznie otyły człowiek, z dużą łysiną, rudawą, krótko ostrzyżoną brodą i różową cerą; wilgotne jego wargi wyrażały zarazem namaszczenie i dobroduszną zmysłowość. Wyjął notes i zaczął przeglądać go w milczeniu, ponieważ jednak zachowanie klasy wiele pozostawiało do życzenia, podniósł głowę, przeciągnął ręką po stole i czerwieniejąc stopniowo tak mocno, że broda jego wydawała się jasnożółta, bezsilnie uniósł i opuścił swą słabą, białą pięść, przy czym wargi jego pracowały przez chwilę kurczowo i bezskutecznie, by w końcu wyrzucić jedynie krótkie, przytłumione i jęczące:

–Więc... – Następnie wysilał się przez chwilę na dalsze wyrazy nagany, wreszcie powrócił znowu do swego notesu, odetchnął i uspokoił się. Taka była metoda profesora Ballerstedta.

Niegdyś pragnął on zostać kaznodzieją, potem jednak, z powodu skłonności do jąkania się, jak również wskutek pociągu do życia światowego, zwrócił się ku pedagogice. Był kawalerem, posiadał niewielki majątek, nosił na palcu mały brylant i bardzo lubił dobrze zjeść i wypić. Był on takim profesorem, który tylko oficjalnie zadawał się z kolegami, poza tym jednak przekładał towarzystwo

nieżonatych przedstawicielei świata kupieckiego, a nawet bywał z oficerami w kasynie, jadał dwa razy dziennie w najlepszej restauracji i był członkiem Klubu. Jeśli zdarzyło mu się o drugiej lub trzeciej w nocy spotkać gdzieś na mieście którego ze starszych uczniów, wówczas nadymał się, mówił „dzień dobry” i pozostawiał sprawę wzajemnej dyskrecji... Hanno Buddenbrook nie obawiał się go, nigdy nie był przez niego pytany. Profesor Ballerstedt zbyt często i na zbyt intymnym gruncie spotykał się z jego stryjem, Chrystianem, by miał pragnąć jakichś konfliktów dyscyplinarnych z jego bratankiem...

–Więc... – powiedział

ponownie, rozejrzał się po klasie, znowu podniósł i opuścił swą słabo zaciśniętą pięść z małym brylantem i zajrzał do notesu. – Perlemann. Zarys ogólny.

Gdzieś w głębi klasy wstał Perlemann. Zaledwie zauważono, że się podniósł. Był to jeden z małych, zaawansowanych. – Zarys ogólny – wymówił cicho i grzecznie, z lekliwym uśmiechem wysuwając naprzód głowę. – Księga Hioba dzieli się na trzy części. Najpierw stan Hioba, zanim Pan go ukarał; rozdział pierwszy, od pierwszego do szóstego wiersza. Następnie sama kara i co go wówczas spotkało, rozdział...

–Dobrze, Perlemann – przerwał mu pan Ballerstedt, wzruszony taką dokładnością i zapisał w notesie dobry stopień. – Heinricy, proszę dalej.

Heinricy był to jeden z wyrostków, których szkoła nic już nie obchodziła. Schował do kieszeni scyzoryk, którym się bawił, podniósł się hałaśliwie, opuścił dolną wargę i odchrząknął ochryplym i prostackim męskim głosem. Wszyscy byli niezadowoleni, że on nastąpił po cichym Perlemannie. Uczniowie drzemali i marzyli w ciepłej klasie, przy lekkim szmerze gazowych płomieni. Wszyscy znużeni byli niedzielą, wszyscy wstali tego mglistego poranka z ciepłych łóżek, szczękając zębami. Każdemu byłoby przyjemnie, gdyby mały Perlemann szeptał przez całą godzinę, podczas gdy Heinricy na pewno zaraz zacznie się sprzeczać...

–Byłem nieobecny, gdy to omawiano – powiedział ordynarnym tonem.

Pan Ballerstedt nadał się, poruszył swą słabą pięścią oraz wargami i z podniesionymi brwiami zaczął się wpatrywać w młodego Heinricy’ego.

Ciemnoczerwona jego twarz drżała pod wpływem wzrastającego napięcia, aż wreszcie zdołał wymówić: – Więc... – dzięki czemu zakłęcie przysło i sprawa była rozstrzygnięta.

–Od pana nigdy nic nie można usłyszeć – ciągnął dalej płynnie i wymownie – a zawsze masz pan jakąś wymówkę pod ręką, panie Heinricy. Jeśli byłeś pan chory podczas ostatniej lekcji, w takim razie mogłeś się w ciągu tych dni dowiedzieć, co jest zadane, a jeśli w pierwszej części jest mowa o stanie rzeczy przed karą, w drugiej zaś o samej karze, to mógłbyś pan sobie wyliczyć na palcach, że trzecia opiewa stan, jaki nastąpił po karze. Ale panu brak istotnego przejęcia się nauką i jesteś nie tylko słabym człowiekiem, ale prócz tego zawsze gotów jesteś maskować tę słabość i bronić jej. Zapamiętaj pan sobie jednak, że dopóki to będzie trwało, nie ma mowy o poprawie. Siadaj pan.

Wasservogel, proszę dalej.

Gruboskórny i przekorny

Heinricy usiadł z hałasem,

szeptał sąsiadowi zuchwałe

słówko i znów wyciągnął

scyzoryk. Wstał uczeń

Wasservogel, chłopak z

czerwonymi oczami, zadartym nosem, odstającymi uszami i poobgryzаныmi paznokciami. Słabym głosem zakończył „zarys” i począł opowiadać o Hiobie, człowieku z ziemi Hus, i o wszystkim, co go spotkało. Otworzył sobie Stary Testament za plecami siedzącego przed nim kolegi, czytał z niego z wyrazem doskonałej niewinności, przejęcia i intensywnego skupienia, następnie wpatrywał się w jeden punkt na ścianie i przekładając przeczytane słowa na niezdarne, współczesny język, mówił zatrzymując się i pokaszując. Miał w sobie coś wysoce odrażającego, pan Ballerstedt jednak pochwalił go bardzo za pilność. Uczniowi Wasservoglowi dobrze się wiodło w szkole, gdyż większość nauczycieli chwaliła go ponad jego zasługi, by pokazać jemu, sobie samym oraz reszcie uczniów, iż mimo jego brzydoty nie dopuszczają się niesprawiedliwości...

I lekcja religii ciągnęła się dalej. Wywołani zostali inni jeszcze młodzieńcy, by popisywać się znajomością dziejów Hioba, człowieka z ziemi Hus, i Gottlieb Kassbaum, syn nieszczęśliwego hurtownika Kassbauma, otrzymał mimo swych starganych stosunków rodzinnych doskonały stopień, ustalił bowiem dokładnie, że Hiob posiadał siedem tysięcy owiec, trzy tysiące wielbłądów, pięćset wołów, pięćset osłów oraz bardzo wiele sług w swoim dobytku.

Następnie otwarto Biblie,

które po większej części i tak były otwarte, i czytano dalej.

Gdy zdarzało się miejsce, przy

którym zdaniem pana Ballerstedta

zachodziła potrzeba objaśnień,

wówczas tenże nadymał się i

mówił: – Więc... – i po zwykłym

wstępie wygłaszał o spornym

punkcie mały wykład, przeplatany

ogólniejszymi spostrzeżeniami
natury moralnej. Nikt go nie
słuchał. W klasie panował spokój
i senność. Na skutek czynnego
bez przerwy ogrzewania oraz
palącego się gazu, gorąco
wzmogło się jeszcze bardziej, a
oddychanie i parowanie
dwudziestu pięciu ciał

dostatecznie już zepsuło powietrze. Ciepło, łagodny szum płomieni i monotonne głosy czytających spowijały znudzone mózgi i pogrążyły je w stan tępego rozmarzenia. Kaj, hrabia Molln prócz Biblii otworzył przed sobą „Niepojęte wydarzenia i tajemnicze czyny” Edgara Allana Poe i czytał je opierając głowę na arystokratycznych i niezupełnie czystych rękach. Hanno Buddenbrook siedział odchyłony w tył i pogrążony w zadumie, z obwisłymi wargami i rozpalonymi oczami spoglądał w Księgę Hioba, której wiersze i litery rozpływały się przed nim niby czarne mrowie. Niekiedy, gdy przypominał sobie motyw Graala lub pochod do tumu, wolno opuszczał powieki i czuł, jak przenika go wewnętrzny spazm. A serce jego modliło się, by ta spokojna i bezpieczna lekcja nigdy się nie skończyła.

A jednak skończyła się, taki już był porządek rzeczy, i ostry dźwięk dzwonka, rozlegający się na korytarzach, wyrwał dwadzieścia pięć mózgów z ciepłego półsnu.

–Dotąd – powiedział pan Ballerstedt i kazał podać sobie dziennik, by zaznaczyć swym nazwiskiem, że odrobił tę godzinę urzędowania.

Hanno Buddenbrook zamknął swą Biblię i przeciągnął się z drzeniem i nerwowym ziewnięciem, gdy opuścił ręce, musiał jednak odetchnąć szybko i z trudem, by doprowadzić do porządku serce, które przez chwilę omdlewało i odmawiało posłuszeństwa. Teraz łacina... Rzucił bezradne spojrzenie Kajowi, który zdawał się nie dostrzegać końca lekcji i ciągle jeszcze pogrążony był w swej lekturze, wyciągnął z teczki Owidiusza oprawionego w tekturę z marmurkowym deseniem i otworzył go na stronie, na której znajdowały się zadane na dzisiaj wiersze... Nie, nie było żadnej nadziei, by można było teraz przyswoić sobie te czarne linie, następujące równiutko jedna pod drugą, numerowane co pięć i zakreślone ołówkiem, które patrzyły na niego tak obco i beznadziejnie. Zaledwie pojmował ich znaczenie, cóż dopiero mówić o możliwości wypowiedzenia ich na pamięć. Z tych zaś, które po nich następowały i miały być przygotowane na dzisiaj, nie odgadywał ani jednego zdania.

–Co to znaczy: deciderant, patula Jovis arbores glandes? – zapytał zrozpaczonym głosem Adolfa Todtenhaupts, który pisał obok niego w dzienniku. – To przecież nie ma sensu! Tylko żeby człowieka

dręczyć...

–Co? – powiedział Todtenhaupt i pisał dalej... – Żołędzie z drzewa Jowisza... To jest dąb... Sam dobrze nie wiem...

–Podpowiedz mi choć trochę, jeśli mnie wyrwie! – prosił Hanno odsuwając książkę. Potem popatrzywszy przez chwilę chmurnie na niedbałe i nieobowiązujące skinienie prymusa wysunął się z ławki i wstał.

Sytuacja się zmieniła. Pan Ballerstedt opuścił klasę, a zamiast niego stał teraz na katedrze sztywno wyprostowany, słaby, mały i zniszczony człowieczek z rzadką, białą brodą, którego czerwona, cienka szyja wyglądała z wąskiego kołnierzyka; w białą owłosioną rączkę trzymał on przed sobą cylinder zwrócony otworem do góry. Uczniowie nazywali go „pajakiem”, w rzeczywistości zaś profesor nazywał się H~uckopp. Ponieważ podczas tej pauzy miał dyżur na korytarzu, zajrzał również i do klas...

–Gasić lampy! Podnieść rolety! Otworzyć okna! – powiedział nadając swemu głosowi najbardziej rozkazujące brzmienie, na jakie mógł się zdobyć, i poruszając ręką niezgrabnie, energicznym ruchem, jak gdyby kręcił korbą...

–I wszyscy na dół, na

powietrze, do stu tysięcy bomb i kartaczy.

Lampy pogasły, rolety poleciały w górę, blade światło dzienne napełniło pokój, a zimne, mgliste powietrze wtargnęło przez szerokie okna, podczas gdy uczniowie posuwali się ku wyjściu obok profesora H~uckoppa; jeden tylko prymus musiał zostać w klasie.

Hanno i Kaj spotkali się przy drzwiach i zeszli razem z szerokich schodów i przez stylowe przedsionki. Milczeli. Hanno wyglądał żałośnie, a Kaj pogrążony był w myślach. Doszedłszy do dużego dziedzińca poczęli przechadzać się tam i z powrotem, wśród tłumu kolegów różnego wieku, sunących beładnie i hałaśliwie po mokrych, czerwonych płytach.

Dyżurował tu dość młody

jegomość z blond bródką. Był to

wytworny profesor, doktor

Goldener, prowadził on pensjonat

dla chłopców, zamieszkiwany

przez synów bogatych i

arystokratycznych ziemian z

Holsztynu i Meklemburgii. Pod
wpływem powierzonych jego pieczy
młodzieńców z arystokratycznych
rodzin dbał on o swój wygląd
zewnątrzny w sposób nie
praktykowany przez innych
nauczycieli. Nosił jaskrawe
jedwabne krawaty, elegancki
surducik, spodnie nieokreślonego
koloru, przymocowane
strzemiączkami do butów, oraz
perfumowane chusteczki z
kolorowymi obwódkami. Ponieważ
jednak pochodził ze skromnej
sfery, elegancja owa była dla
niego zupełnie nieodpowiednia,
toteż potężne jego stopy
wyglądały dość śmiesznie w
spiczastych kamaszach. Z
niezrozumiałych powodów dumny
był ze swych ciężkich,
czerwonych rąk, które

ustawicznie zacierał, splatał i z upodobaniem oglądał. Zazwyczaj chodził z przechyloną na bok głową, mrużąc oczy, marszcząc nos i na pół otwierając usta, z miną, jak gdyby chciał powiedzieć: – Co się tam znów stało?... – Był jednak dość wytworny, by w dystyngowany sposób pomijać pewne małe przekroczenia, zdarzające się na dziedzińcu. Nie dostrzegał, gdy ten lub ów uczeń znosił sobie

książkę, by w ostatniej chwili jeszcze się poduczyć, nie dostrzegając, gdy jego pensjonarze wręczali panu Schlemielowi, dozorca, pieniądze na ciastka dla siebie, gdy mocowanie się dwu uczniów przechodziło w bójkę, wokoło której tworzył się zaraz pierścień rzeczoznawców, lub gdy tam w głębi ktoś, kto dopuścił się jakiegoś niekoleżeńkiego postępu lub zdradził nieuczciwe zamiary, zostawał gwałtem pociągnięty pod studnię i ku swemu wstydu oblanym wodą...

Owa głośna gromada, wśród której przechadzali się Kaj i Hanno, były to dziarskie i trochę nieokrzesane chłopaki. Wzrosli w wojennej atmosferze zwycięskiej i odmłodzonej ojczyzny, byli wszyscy wyznawcami surowej męskości. Mówili żargonem zarazem ciętym i niedbałym, rojącym się od wyrażen technicznych. Picie i palenie, siła fizyczna i zręczność cieszyły się wielkim poważaniem, najbardziej zaś piętnowanymi występami było mazgajstwo i fircykowatość. U kogo zauważono podniesiony kołnierz kurtki, tego natychmiast ciągnięto pod studnię. Kogo zaś spotkano na ulicy z laseczką, tego poddawano obelżywej i bolesnej karze w sali gimnastycznej...

To, o czym rozmawiali ze sobą Hanno i Kaj, brzmiało bardzo obco i dziwnie w rozgwarze głosów, napełniających zimne i wilgotne powietrze. Przyjaźń ich od dawna była znana w całej szkole. Nauczyciele znosili ją niechętnie, weszli w niej bowiem tendencje opozycyjne i zdrożne, a koledzy, nie mogąc odgadnąć jej istoty, przyzwyczajili się tolerować ją z pewnym nieufnym wstrętem i uważać tych dwu towarzyszy za outlaws (wyjęci spod prawa – ang.) i dziwaków, których należało pozostawić samym sobie... Kaj hrabia Molln cieszył się zresztą pewnym szacunkiem z powodu swej nieokiełznanej dzikości i braku subordynacji. Co zaś do Hanna Buddenbrooka, to nawet sam duży Heinricy, który wszystkich bił, nie mógł zdobyć się na uderzenie go, z nieokreślonego lęku przed miękkością jego włosów, delikatnością członków, przed posępnym, nieśmiałym i zimnym spojrzeniem...

–Boję się – mówił Hanno do Kaja, zatrzymując się pod jedną z bocznych ścian dziedzińca, oparł się o mur i drżąc z zimna i ziewając, mocniej ściągnął palto... – Boję się szalenie, Kaju, aż do bólu. Czyż pan Mantelsack jest człowiekiem, którego należy obawiać się w taki sposób? Powiedz sam! Żeby ta ohydna łacina już przeszła. Żeby już miał w dzienniku zły stopień i wiedział, że zostanę, i żeby już raz było wszystko w porządku! Nie tego się boję, boję się związanej z tym awantury...

Kaj zamyślił się. – Ten Rodryg Usher to najcudowniejsza postać, jaką kiedykolwiek wymyślono! – powiedział szybko i bezpośrednio. – Czytałem całą godzinę... Gdybym ja mógł napisać kiedyś taką dobrą rzecz!

Kaj bowiem próbował pisać. O tym też myślał mówiąc rano, że miał coś lepszego do roboty, niż odrabiać zadania, i Hanno doskonale to rozumiał. Z jego dzieciennego upodobania do snucia bajek rozwinęły się próby literackie; ostatnio napisał baśń, poetycką opowieść fantastyczną, skąpaną w ciemnym blasku, która rozgrywała się wśród błysku metali i tajemniczych płomieni, w najgłębszych i najświętszych ośrodkach ziemi, a zarazem duszy ludzkiej, i w której prasiły natury i duszy zostały zmieszane, zmienione, odwrócone i oczyszczone – napisał impulsywnym, wyrazistym, nieco wybujałym i tęsknym językiem subtelnej namiętności.

Hanno znał dobrze ten utwór i bardzo go lubił; teraz jednak nie był usposobiony do rozmowy o pracach Kaja lub o Edgarze Allanie Poe. Znowu ziewnął, potem westchnął nucąc jednocześnie motyw, który ostatnio skomponował. Było to jego przyzwyczajenie. Często wzdychał głęboko, pod

wpływem naglącej potrzeby, aby przyspieszyć bicia swego słabo działającego serca, i przyzwyczaił się wydychać powietrze jednocześnie z motywem muzycznym, jakąś melodią własnej lub cudzej kompozycji...

–Patrz, idzie „Pan Bóg”! – rzekł Kaj. – Przechadza się po swoim ogrodzie.

–Ładny ogród – rzekł Hanno i zaczął się śmiać. Śmiał się nerwowo, nie mogąc przestać, trzymał chusteczkę przy ustach i spoglądał na tego, którego Kaj nazwał „Panem Bogiem”.

To dyrektor, doktor Wulicke, kierownik szkoły, zjawił się właśnie na dziedzińcu: niezwykle wysoki człowiek, w miękkim, czarnym kapeluszu, z krótką, czarną brodą, wystającym brzuchem, w o wiele za krótkich spodniach i lejkowatych, zawsze przybrudzonych mankietach. Z twarzą, której gniew nadał wyraz prawie bolesny, szybko przeszedł po kamiennych płytach, wskazując wyciągniętymi rękami na studnię... Woda kapiała! Kilku uczniów pobiegło przed nim i usiłowało na wyścigi naprawić szkodę zakręcając kran. A potem długo jeszcze stali z wylęknionymi minami, spoglądając to na studnię, to na dyrektora. Ten, czerwony ze złości, zwrócił się do doktora Goldenera, który również nadbiegł, i przemówił do niego głębokim, stłumionym i wzburzonym głosem. Mowa jego była przeplatana nieartykułowanymi pomrukami...

Dyrektor Wulicke był to straszny człowiek. Był on następcą jowialnego i miłego starego jegomościa, pod którego kierunkiem studiowali ojciec i stryj Hanna, a który umarł wkrótce po roku siedemdziesiątym pierwszym. Wówczas to naznaczony został doktor Wulicke, dotychczasowy profesor pruskiego gimnazjum, a wraz z nim zapanował w starej szkole inny, nowy duch. Tam, gdzie niegdyś wykształcenie klasyczne uważane było za pogodny cel, do którego dążono ze spokojem, swobodą i radosnym idealizmem, obecnie najwyższego szacunku zażywały pojęcia autorytetu, obowiązku, władzy, służby i kariery, a „imperatyw kategoryczny naszego filozofa Kanta” był sztandarem, który doktor Wulicke groźnie rozwijał podczas każdej uroczystej mowy. Szkoła stała się państwem w państwie, a pruska służbistość zapanowała w nim tak przemożnie, że nie tylko nauczyciele, ale i uczniowie czuli się niby urzędnicy troszczący się jedynie o awans oraz dobrą opinię u władców... Zaraz po wkroczeniu nowego dyrektora rozpoczęto z najlepszych higienicznych i estetycznych punktów widzenia przebudowę i zmianę urządzeń w zakładzie i dokonano wszystkiego w sposób nie pozostawiający nic do życzenia. Zachodzi jednak pytanie, czy dawniej, gdy w tych salach mniej było nowoczesnego komfortu, a trochę więcej dobroduszości, uczucia, pogody, życzliwości, szkoła owa nie była sympatyczniejszą i bardziej pożyteczną instytucją?...

Co się tyczy osoby dyrektora Wulicke, to budził on postrach tak zagadkowy, dwuznaczny i uporczywy, jak Bóg ze Starego Testamentu. Straszliwy był zarówno w uśmiechu, jak i w gniewie. Olbrzymi autorytet czynił go kapryśnym i nieobliczalnym. Mógł, na przykład, powiedzieć coś żartobliwego, a gdy ktoś się roześmiał, stawał się straszny. Żaden z drżących nieszczęśników nie miał pojęcia, jak należało z nim postępować. Nie pozostawało nic innego, jak tylko korzyć się przed nim w prochu i szaloną pokorą zapobiec temu, by nie zmiotł człowieka w swym gniewie i nie zmiądzzył w swej wielkiej sprawiedliwości...

Nazwa, którą nadał mu Kaj, znana była wyłącznie jemu oraz małemu Janowi Buddenbrockowi i ukrywali ją przed kolegami z obawy przed zdumionym i zimnym spojrzeniem niezrozumienia, które znali tak dobrze... Nie, ci dwaj w żadnym punkcie nie rozumieli się z kolegami. Obcy im był nawet

ów rodzaj opozycji i zemsty, jakim zadowalali się inni; gardzili też powszechnie używanymi przezwiskami, gdyż przebijał z nich humor, z którym nie mieli nic wspólnego i który nie wzbudzał w nich nawet uśmiechu. Było to takie łatwe, głupie i niedowcipne nazywać cienkiego profesora H~uckoppa „pająkiem”, a profesora Ballerstedta „kakadu” – żalosny odwet za przymus służby państwowej! Nie, Kaj hrabia M~olln był nieco bardziej zjadliwy! Na swój oraz Hanna użytek wprowadził zwyczaj nazywania nauczycieli jedynie z nazwiska z dodaniem wyrazu „pan”: „pan Ballerstedt”, „pan Mantelsack”, „pan H~uckopp”... Wyrażało to zarówno nieprzystępny i ironiczny chłód, jak drwiącą obcość i dystans... Mówili o „ciele profesorskim” i podczas wszystkich przerw bawili się, usiłując wyobrazić sobie pod tą nazwą rzeczywiście istniejące stworzenie, rodzaj potwora o odrażającej i fantastycznej powierzchowności. O „zakładzie” rozmawiali na ogół takim tonem, jak gdyby szło o „zakład” podobny do tego, w którym przebywał stryj Hanna, Chrystian...

Widok „Pana Boga”, który jeszcze przez jakiś czas budził we wszystkich błądliwy strach, wskazując z pomrukiem na porozrzucane po dziedzińcu papiery od śniadań, wprowadził Kaja w doskonały humor. Pociągnął Hanna do jednej z bram, przez którą wchodził na dziedziniec młodszy nauczyciel, przychodzący na drugą lekcję, i zaczął składać niezwykle głębokie ukłony bladym, chudym, czerwonoookim seminarzystom, udającym się do niższych klas. Schylał się nadmiernie, zwieszał ręce i posyłał biedakom uniżone spojrzenie z dołu. Gdy zjawił się sędziwy nauczyciel rachunków, pan Tietge, trzymając parę książek w drżącej ręce założonej na plecy, straszliwie zezowaty, krzywy, żółty i plujący, Kaj powiedział dźwięcznym głosem: – Dzień dobry, stary trupie. – Patrzył przy tym gdzieś przed siebie bystrym, jasnym wzrokiem...

W tej chwili rozległ się ostry głos dzwonka i uczniowie poczęli tłumnie napływać ze wszystkich stron. Ale Hanno nie przestawał się śmiać; śmiał się jeszcze na schodach tak bardzo, że koledzy otaczający jego i Kaja, zdziwieni taką głupotą, spoglądali na niego zimno, a nawet z niechęcią.

W klasie panowała cisza, gdy wszedł profesor doktor Mantelsack. Był on gospodarzem, jednej z klas, co zazwyczaj powiększało respekt uczniów. Pochylając się zamknął za sobą drzwi, wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, czy wszyscy wstali, powiesił kapelusz i szybko podszedł ku katedrze, na przemian podnosząc i spuszczać głowę. Wszedłszy na katedrę spojrzał przelotnie w okno i wsunął za kołnierzyk wyciągnięty wskazujący palec, na którym tkwił duży sygnet. Był to człowiek średniego wzrostu, o rzadkich siwiejących włosach i wyłupiastych słabych oczach, połyskujących spoza okularów. Nosił odpięty tużurek z miękkiego szarego materiału i lubił lekko dotykać go w okolicy stanu krótkimi palcami pomarszczonej ręki. Spodnie jego, jak i wszystkich nauczycieli, nie wyłączając wykwintnego pana Goldenera, były za krótkie i odsłaniały cholewy niezwykle szerokich i błyszczących butów.

Nagle odwrócił głowę od okna, westchnął lekko, pogodnie patrząc na milczącą klasę powiedział: – No, no! – i uśmiechnął się do kilku uczniów. Był najwidoczniej w dobrym humorze. Westchnienie ulgi przeszło przez salę. Wszystko zależało od tego, czy doktor Mantelsack był w dobrym, czy też w złym humorze, wiedziano bowiem, że poddawał się nastrojom nieświadomie i bez cienia samokrytycyzmu. Był on zupełnie wyjątkowo, bezgranicznie i naiwnie niesprawiedliwy, a łaska jego była zwiewna jak samo szczęście. Zawsze miał dwu lub trzech ulubieńców, do których mówił „ty” nazywając ich po imieniu i którym działa się jak w raju. Mogli mówić niemal, co chcieli, i zawsze było dobrze; a po lekcji doktor Mantelsack gawędził z nimi bardzo przyjaźnie. Ale pewnego dnia, na

przykład po feriach. Bóg jeden wie dlaczego, nagle odrzucano, unicestwiano, odprawiano faworyta, kogo innego nazywano po imieniu... Tym szczęśliwcom zaznaczał błędy w ekstemporaliach nadzwyczaj lekko i delikatnie, tak że prace ich, nawet gdy posiadały wielkie braki, wyglądały porządnie. Ale w innych zeszytach podkreślał błędy gniewnym piórem, zalewał je czerwonym atramentem, toteż wywierały one odstrasżające i niedbałe wrażenie. A ponieważ nie liczył błędów, lecz stopnie na cenzurę stawiał według ilości czerwonego atramentu, tedy ulubieńcy jego dobrze na tym wychodzili. Postępując tak nie miał żadnych złych zamiarów, uważał, że jest w porządku i że zachowuje zupełną bezstronność. Gdyby ktoś miał smutną odwagę zaprotestować, straciłby wszelkie widoki na to, by go kiedykolwiek tykano i nazywano po imieniu. A tej nadziei nikt nie tracił...

Doktor Mantelsack stał ze skrzyżowanymi nogami i przeglądał notes. Hanno Buddenbrook siedział pochylony i łamał ręce pod stołem. Kolej była na B, na literę B! Zaraz zabrzmiało jego nazwisko, zaraz wstanie z ławki i nie będzie umiał powiedzieć ani jednego wiersza, i będzie skandal, głośna, straszna katastrofa, mimo dobrego humoru nauczyciela... Sekundy ciągnęły się pełne udreki.

„Buddenbrook”... teraz powie „Buddenbrook”...

–Edgar! – powiedział doktor Mantelsack, zamknął notes, zakładając go wskazującym palcem, i zasiadł na katedrze, jak gdyby wszystko było w porządku.

Co? jak to? Edgar... Był to L~uders, gruby L~uders, tam pod oknem, litera L, która dziś wcale a wcale nie była przewidziana! Nie, czyż to było możliwe? Doktor Mantelsack był w tak dobrym humorze, że wyrwał po prostu jednego ze swych ulubieńców, nie troszcząc się bynajmniej o to, kto dziś z kolei miał być zapytany...

Gruby L~uders wstał. Miał on twarz mopsa i apatyczne oczy. Pomimo iż miał doskonałe miejsce i mógł wygodnie czytać, był i na to za leniwy. Czuł się zbyt pewny swego i odpowiedział po prostu: – Z powodu bólu głowy nie mogłem się nauczyć.

–O, Edgarze, robisz mi zawód

–rzekł ze smutkiem doktor Mantelsack. – Nie chcesz mi powiedzieć wierszy o złotym wieku? Co za szkoda, mój przyjacielu! Miałeś ból głowy? Ale zdaje się, że w takim razie powinieneś być powiedział mi to na początku lekcji, zanim cię wywołałem... Czy ostatnio również nie miałeś bólu głowy? Powinien byś na to coś zaradzić, inaczej może ci to zaszkodzić w naukach... Timm, zechce go pan zastąpić.

L~uders usiadł. W tym momencie wszyscy go nienawidzili. Zauważono, że humor nauczyciela znacznie się pogorszył i że L~uders już może na następnej lekcji będzie nazywany po nazwisku... W jednej z ostatnich ławek wstał Timm. Był to jasnowłosy chłopak o wiejskim wyglądzie, z krótkimi, szerokimi palcami, nosił jasnobrazową kurtkę. Z głupkowatym i gorliwym wyrazem złożył usta w trąbkę i przysunął sobie otwartą książkę, w którą patrzył z natężeniem. Potem spuścił głowę i zaczął monotonicznie odczytywać przeciągając i zatrzymując się, jak dziecko z elementarza: Aurea prima sata est aetas.

Było jasne, że doktor

Mantelsack wrywał dzisiaj nie
po porządku i wcale go to nie
obchodziło, kto najdłużej nie
był pytany. Teraz nie groziło
już może Janowi, że będzie
wywołany, mogło się tak stać
jedynie wskutek fatalnego zbiegu
okoliczności. Zamienił z Kajem
szczęśliwe spojrzenie i zaczął
wyciągać się nieco i
wypoczywać...

Nagle Timm musiał przerwać swą
lekturę. Czy to, że doktor
Mantelsack niedobrze rozumiał
recytującego, czy też miał
ochotę przejść się trochę –
zszedł z katedry, wolno
przeszedł przez klasę i ze swym
Owidiuszem w ręku stanął tuż
obok Timma, który lekkim,
niewidocznym ruchem odsunął,
książkę i był teraz zupełnie
bezzadny. Łapał ustami
powietrze, patrzył na

nauczyciela swymi błękitnymi, uczciwymi, zakłopotanymi oczami i nie wymówił ani sylaby więcej.

–No więc, Timm – rzekł doktor Mantelsack... – Jakoś teraz nie idzie?

A Timm chwycił się za głowę, zaczął przewracać oczami, dyszał gwałtownie, wreszcie powiedział z błędnym uśmiechem:

–Jestem tak zmieszany, gdy pan doktor stoi przy mnie.

Doktor Mantelsack również się uśmiechnął, gdyż to mu pochlebiło, i rzekł:

–No, zapanuj pan nad sobą i mów dalej. – Po czym powędrował z powrotem do katedry.

I Timm zapanował nad sobą. Znowu przyciągnął książkę, otworzył ją i pozornie starając się skupić rozglądał się po klasie, schylił głowę, wreszcie przyszedł do siebie.

–Jestem zadowolony – rzekł nauczyciel, gdy Timm skończył. – Wyuczyłeś się pan dobrze, to nie ulega wątpliwości. Tylko wykazujesz za słabe poczucie rytmu, panie Timm. Zdajesz pan sobie sprawę z elizji, a jednak to nie był heksametr. Mam wrażenie, jak gdybyś pan wyuczył się całości jako prozy... Ale, jak powiadam, zadałeś sobie wiele trudu, starałeś się, a kto się trudzi, dążąc wzwyż... Możesz pan usiąść.

Timm usiadł dumny i rozpromieniony, a doktor Mantelsack postawił przy jego nazwisku dobry stopień. Ciekawe było jednak to, że w owej chwili nie tylko nauczyciel, ale również i Timm oraz wszyscy jego koledzy byli szczerze przekonani, że Timm jest rzeczywiście i istotnie dobrym i pilnym uczniem, który w zupełności zasłużył na pochwałę. Hanno Buddenbrook również uległ temu wrażeniu, pomimo iż czuł, że w głębi coś ze wstrętem buntuje się przeciw temu... znów słuchał w napięciu, jakie teraz zabrzmie nazwisko.

–Mumme! – powiedział doktor Mantelsack. – Jeszcze raz, Aurea prima...

A zatem Mumme! Bogu dzięki, więc Hanno jest zupełnie bezpieczny! Trzeci raz nie każe recytować wierszy, a przy preparacji litera B wywoływana była ostatnio...

Mumme podniósł się. Był to wysoki, blady chłopiec z drżącymi rękami i w niezwykle dużych, okrągłych okularach. Cierpiał na oczy i miał tak krótki wzrok, że stojąc nie mógł czytać z leżącej książki. Musiał się uczyć i uczył się. Ponieważ jednak był straszliwie tępy, a poza tym nie spodziewał się, że będzie dziś odpowiadał, umiał słabo i urwał zaraz po pierwszych słowach. Doktor Mantelsack pomógł mu, za drugim razem pomógł ostrzejszym głosem, za trzecim zaś z wielkim rozdrażnieniem; gdy jednak potem Mumme umilkł na dobre, nauczyciel wpadł w gniew.

–To jest zupełnie

niedostateczne, panie Mumme! Siadaj pan! Jesteś pan niezdara i kretyn! Być głupcem i leniem – to doprawdy za wiele...

Mumme opadł na ławkę. Wyglądał jak samo nieszczęście, a w całej klasie nie było w owej chwili

takiego, który by nim nie gardził. Po raz drugi opanował Hanna Buddenbrooka wstręt i zacisnął mu gardło, jak gdyby zbierało mu się na mdłości. Ale jednocześnie widział ze straszliwą dokładnością, co się działo. Doktor Mantelsack napisał zły stopień obok nazwiska Mummego i z mroczną miną zajrzał do notesu. Rozgniewany przeszedł do porządku dziennego, zobaczył, na kogo właściwie kolej, to było jasne! I w chwili gdy Hanno uświadomił sobie dokładnie tę myśl, usłyszał swoje nazwisko, usłyszał jakby w złym śnie.

–Buddenbrook! – Doktor Mantelsack wymówił Buddenbrook!

–Dźwięk drżał jeszcze w powietrzu, a jednak Hanno nie wierzył w to. W uszach mu zaszumiało. Siedział w dalszym ciągu.

–Panie Buddenbrook! –

powiedział doktor Mantelsack i wpatrzył się w niego swymi szafirowymi, wyłupiastymi oczyma, które błyskały zza okularów... – Może pan będzie łaskaw?

Dobrze, a więc tak być musiało. To musiało przyjść. Zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał, ale jednak teraz wszystko było stracone. Złapano go. Czy będzie bardzo wielka awantura? Wstał i już chciał usprawiedliwić się w bezrozumny i śmieszny sposób, powiedzieć, że „zapomniał” nauczyć się wierszy, gdy wtem zauważył, że siedzący przed nim kolega trzyma otwartą książkę.

Kolega siedzący przed nim, Hans Hermann Kilian, był to barczysty szatyn niskiego wzrostu, o tłustych włosach. Miał zostać oficerem i tak był ożywiony duchem koleżeństwa, że nie zawiódł nawet Jana Buddenbrooka, którego nie cierpiał. Pokazywał nawet palcem miejsce, od którego należało rozpocząć...

I Hanno spojrział tam, i zaczął czytać. Niepewnym głosem i ze ściągniętymi brwiami czytał o złotym wieku, który panował w początkach świata, wówczas gdy bez mścicieli, z wolnej woli, bez praw pisanych czczono wierność i sprawiedliwość. – Nie istniały kara ani bojaźń – mówił po łacinie. – Nie czytano groźnych słów wypisanych na tablicach spiżowych ani też nie lękała się trwożliwa gromada oblicza sędziego... – Czytał z umęczonym i pełnym wstrętu wyrazem twarzy, czytał umyślnie źle i bez związku, świadomie zaniedbywał pewnych elizji, które w książce Kiliana zakreślone były ołówkiem, błędnie wymawiał, zatrzymywał się, posuwał się pozornie z trudem naprzód pamiętając ciągle, że nauczyciel może wszystko odkryć i rzucić się na niego...

Złodziejska uciecha z patrzenia w otwartą książkę wywoływała swędzenie skóry, ale pełen był odrazy i umyślnie oszukiwał, jak mógł najgorzej, by w jakiś sposób zmniejszyć wulgarność tego oszukaństwa. Potem umilkł i zapadła cisza, wśród której nie śmiał podnieść oczu. Ta cisza była straszliwa; był przekonany, że doktor Mantelsack wszystko widział, i wargi jego zbieleły. W końcu jednak nauczyciel westchnął i rzekł:

–O, panie, Buddenbrook, si tacuisses! (gdybyś był milczał – łac.) Wybacz mi pan chyba wyjątkowo klasyczne ty!... Czy wiesz pan, coś popełnił? Wandalizm, barbarzyństwo, strąciłeś pan piękno z piedestału. Nie masz pan nic wspólnego z muzami, to znać po nosie! Zadaję sobie pytanie, czyś pan przez ten cały czas kaszlał, czy też mówił wzniosłe wiersze, i przechylał się raczej ku pierwszemu

zapatrywaniu. Timm wykazał słabe poczucie rytmu, ale – wobec pana – toż to geniusz, rapsod... Siadaj pan, nieszczęsny. Uczyłeś się pan, oczywiście, uczyłeś się. Nie mogę panu dać złego stopnia. Zapewne, starałeś się pan wedle swych sił... Podobno jesteś pan muzykalny, grasz na fortepianie? Czyż to możliwe?... No dobrze już, dobrze, siadaj pan, jednak starałeś się, dobrze...

Postawił w notesie stopień dostateczny i Hanno Buddenbrook usiadł. Czuł teraz to samo, co po odpowiedzi rapsoda Timma. Nie mógł czuć się szczerze dotknięty pochwałą zawartą w słowach doktora Mantelsacka. W owej chwili był szczerze przekonany, że jest niezbyt zdolnym, lecz pilnym uczniem, który wyszedł z całej sprawy stosunkowo zaszczytnie, oraz czuł dokładnie, że wszyscy koledzy, nie wyłączając Hansa Hermanna Kiliana, podzielali ten pogląd. Znowu poczuł coś w rodzaju mdłości; był jednak zbyt wyczerpany, by zagłębiać się w myślach. Błądy i drżący, zamknął oczy i zapadł w letarg...

Ale doktor Mantelsack dalej prowadził lekcję. Przeszedł do wierszy, które miały być na dzisiaj przygotowane, i wywołał Petersena. Petersen podniósł się zwawo, wesoło i ufnie; miał dzielną postawę, wojowniczy wygląd i gotów był do sprzeczki. A jednak była mu dziś pisana klęska! Tak jest, przed końcem godziny miała zajść katastrofa o wiele straszniejsza niż z biednym krótkowzrocznym Mummem...

Petersen tłumaczył rzucając od czasu do czasu okiem na drugą stronicę książki, która właściwie wcale nie powinna go była interesować. Czynił to bardzo zgrabnie. Udawał, że mu tam coś przeszkadza, przesuwając rękę po owej kartce, dmuchał na nią, jakby szło o usunięcie stamtąd pyłku lub czegoś w tym rodzaju, co mu zawadzało. A jednak wówczas nastąpiło coś przerażającego.

Mianowicie doktor Mantelsack wykonał nagle żywy ruch, na który Petersen odpowiedział podobnym. W tej samej chwili nauczyciel zszedł z katedry, rzucił się formalnie głową naprzód i wielkimi, niepowstrzymanymi krokami szedł ku Petersenowi.

–Masz pan klucz w książce, tłumaczenie – powiedział stając przy nim.

–Klucz... ja... nie... – bełkotał Petersen. Był to ładny chłopak, z jasnym lokiem nad czołem i nadzwyczaj pięknymi błękitnymi oczami, które w tej chwili migotały lękliwie.

–Nie masz pan klucza w książce?

–Nie... panie profesorze... panie doktorze... klucza? Doprawdy nie mam klucza... Pan jest w błędzie... Pan rzuca na mnie niesłuszne podejrzenie... – Petersen wyrażał się inaczej, niż zazwyczaj się wyrażano. Strach wpłynął na ten wyszukany sposób mówienia, przy tym zdawało mu się, że to wywrze wrażenie na nauczycielu. – Ja nie oszukuję – wyjąkał z rozpaczy. – Zawsze byłem uczciwy... całe życie!

Ale doktor Mantelsack był zbyt pewien tej smutnej sprawy.

–Proszę mi dać książkę – powiedział zimno.

Petersen uczepił się książki, podniósł ją do góry w obu rękach zaklinającym ruchem i dalej

deklamował na pół obezwładnionym językiem: – Niech mi pan wierzy... panie profesorze... panie doktorze... Nic nie ma w książce... Nie mam klucza... Nie oszukiwałem... zawsze byłem uczciwy...

–Proszę mi dać książkę – powtórzył nauczyciel i tupnął nogą.

Wówczas Petersen osłabł i zszarzał na twarzy.

–Dobrze – powiedział i oddał książkę – oto jest. Tak, jest tam klucz! Niech pan spojrzy, siedzi tam! ... Ale go nie używałem! – rzucił nagle w powietrze.

Ale doktor Mantelsack puścił mimo uszu to nedorzeczne kłamstwo, które dyktowała rozpacz. Wyciągnął „klucz”, przyglądał mu się z takim wyrazem twarzy, jakby trzymał w ręku cuchnący śmieć, wsunął go do kieszeni, a Owidiusza pogardliwie odrzucił Petersenowi.

–Dziennik – rzekł głucho.

Adolf Todtenhaupt usłużnie przyniósł dziennik i Petersen otrzymał pałkę za usiłowanie oszustwa, co kładło go na długi czas i przypieczętowało pozostanie w tym samym oddziale po Wielkanocy.

–Jesteś pan zakałą klasy – powiedział jeszcze doktor Mantelsack, po czym powrócił na katedrę.

Petersen usiadł niby skazaniec. Można było zauważyć, że jego sąsiad odsunął się nieco od niego. Wszyscy patrzyli na niego z mieszaniną wstrętu, współczucia i grozy. Był powalony, samotny i najzupełniej opuszczony – dlatego że został złapany. Wszyscy mieli o nim jednakową opinię – wszyscy uważali, że jest „zakałą klasy”. Uznano i zaakceptowano jego wypadek równie bez oporu, jak uznano i zaakceptowano powodzenie Timma i Buddenbrooka oraz nieszczęście biednego Mummego... On sam był również tego zdania.

Jeśli któryś z tych dwudziestu pięciu młodzieńców był tęgiej budowy, silny i przygotowany do życia takiego, jakim ono jest, brał w owej chwili rzeczy zupełnie tak, jak się one przedstawiały, nie czuł się dotknięty i uważał, że oczywiście wszystko to jest w porządku. Były jednak oczy, które w ponurym zamyśleniu wpatrywały się w jeden punkt... Mały Jan utkwiał wzrok w szerokich plecach Hansa Hermanna Kiliana, a jego złotobrunatne, niebieskawo ocienione oczy pełne były obrzydzenia, oporu i lęku... Ale doktor Mantelsack dalej prowadził lekcję. Wywołał innego ucznia, Adolfa Todtenhauta, miał bowiem na dzisiaj dosyć badania niepewnych. A potem nastąpił jeszcze jeden miernie przygotowany, który nawet nie wiedział, co to znaczy: patula Jovis arbore, glandes, dlatego też musiał to powiedzieć Buddenbrook... Powiedział to cicho i nie patrząc, gdyż pytał go doktor Mantelsack, i otrzymał w odpowiedzi kiwnięcie głową.

A gdy produkcje uczniów skończyły się, nikt już nie zajmował się lekcją. Doktor Mantelsack kazał jednemu z najzdolniejszych uczniów tłumaczyć dalej na własną rękę i słuchał równie nieuważnie jak tamtych dwudziestu czterech, którzy zaczęli przygotowywać się do następnej lekcji. To już było obojętne. Nikomu nie można było dać za to stopnia ani w ogóle ocenić tego jako dowód zapachu... Lekcja zresztą miała się zaraz skończyć. Skończyła się; rozległ się dzwonek. Tak to powiodło się małemu Janowi. Nawet i kiwnięcie głową otrzymał.

–No więc – powiedział Kaj, gdy szli między kolegami przez gotyckie korytarze do sali chemicznej...
– Cóż ty na to, Hanno! Skoro spojrzysz Cezarowi w oczy... Miałeś niesłychane szczęście.

–Wstręt mnie ogarnia, Kaju – rzekł mały Jan. – Nie chcę takiego szczęścia, niedobrze mi się robi z tego.

Kaj wiedział, że na miejscu Hanna odczuwałaby zupełnie to samo.

Sala chemiczna miała amfiteatralnie ustawione ławki, długi stół do doświadczeń i dwie oszklone szafy pełne flaszeczek. W klasie było ostatnio znowu bardzo gorąco i duszno, ale tutaj powietrze nasycone było siarkowodorem, który służył do doświadczeń i cuchnął ponad wszelką miarę. Kaj otworzył szeroko okno, potem porwał zeszyt Adolfa Todtenhaupta i zaczął z wielkim pośpiechem przepisywać dzisiejsze zadanie. Hanno oraz kilku innych postąpili podobnie. Zajęło to całą pauzę, póki nie zadzwoniono i nie wszedł doktor Marotzke.

Jego to właśnie Kaj i Hanno

przezwalili „głębokim

profesorem”... Był to

czarnowłosy człowiek, średniego wzrostu, o niezwykle żółtej cerze, dwu kosmykach nad czołem, twardej, czarnej jak smoła brodzie i równie czarnych włosach. Wyglądał zawsze jak niewyspany i nieumyty, co jednak prawdopodobnie było złudzeniem. Wykładał nauki przyrodnicze, ale główną jego specjalnością była matematyka i uchodził za wybitnego myśliciela w tej gałęzi wiedzy. Lubił też rozprawiać o filozoficznych miejscach w Biblii i niekiedy, będąc w dobrym i marzycielskim nastroju, zniżał się do udzielania uczniom wyższych klas dziwnych objaśnień dotyczących się tajemniczych miejsc Pisma Świętego... Poza tym był oficerem rezerwy, i to zapalonym. Jako urzędnik, będący zarazem wojskowym, był jak najlepiej notowany u dyrektora Wulickego. Najbardziej ze wszystkich nauczycieli pilnował dyscypliny, krytycznym wzrokiem badał front wyprostowanych uczniów i wymagał szybkich oraz zwięzłych odpowiedzi. To połączenie mistycyzmu z energią miało w sobie coś lekko odpychającego...

Otworzono zeszyty i doktor Marotzke zaczął chodzić między ławkami, pukając palcem w każdy zeszyt, przy czym niektórzy uczniowie, nic nie napisawszy, położyli przed sobą inne zeszyty lub stare zadania, czego wcale nie zauważył.

Potem rozpoczął lekcję:

dwudziestu pięciu młodzieńców, którzy poprzednio popisywali się gorliwością w stosunku do Owidiusza, teraz musiało czynić to samo z barem, chlorem lub też strontem. Hans Herman Kilian dostał dobry stopień, wiedział bowiem, że $BaSO_4$, czyli baryt, jest środkiem najczęściej używanym do fałszowania surowców. W ogóle był on najlepszym ze wszystkich uczniów, ponieważ chciał zostać oficerem. Hanno i Kaj nic nie wiedzieli i w notesie doktora Marotzke otrzymali złe stopnie.

Gdy zaś skończyło się egzaminowanie, przesłuchiwanie i stawianie stopni, lekcja chemii przestała

wszystkich interesować. Doktor Marotzke zaczął robić doświadczenia, trochę trzaskać i puszczać kolorowe dymy, ale robił to również tylko po to, by wypełnić resztę godziny. W końcu podyktował zadanie na następny raz. Potem był dzwonek i w ten sposób przeszła również i trzecia lekcja.

Wszyscy byli zadowoleni, z wyjątkiem Petersena, który dzisiaj „wpadł”, mieli bowiem przed sobą wesołą lekcję, której żywa dusza nie potrzebowała się obawiać i która na pewno dostarczy jedynie okazji do swawoli i zabawy. Był to język angielski, którego uczył młody filolog, kandydat Modersohn; od paru tygodni prowadził on próbne lekcje w zakładzie, czyli, jak wyrażał się Kaj hrabia M~olln, dawał gościnne występy przed ewentualnym engagement. Miał jednak słabe widoki na zaangażowanie; zbyt wesoło było na jego lekcjach...

Kilku pozostało w sali chemicznej, inni przeszli do klasy; ale już nikt nie marzył więcej na dziedzińcu, na korytarzu bowiem podczas przerwy dyżurował teraz pan Modersohn, który nie miał odwagi wysłać uczniów na dół. Poza tym należało również poczynić odpowiednie przygotowania na jego przyjęcie...

Nawet po dzwonku na czwartą lekcję hałas w klasie nie zmniejszył się ani trochę. Wszyscy gadali i śmieli się w oczekiwaniu rozgardiaszu, jaki panował zawsze na lekcji angielskiego. Hrabia M~olln, oparłszy głowę na obu rękach, studiował w dalszym ciągu Rodryga Ushera, Hanno zaś siedział cicho i przyglądał się całemu spektaklowi. Niektórzy naśladowali głosy zwierząt. Pianie koguta rozdarło powietrze, a na ostatniej ławce siedział Wasservogel i chrząkał zupełnie jak świnia; nie można było nawet poznać po nim, że to on wydaje te głosy. Na tablicy widniał duży rysunek kredą – zezująca gęba, którą poppełnił rapsod Timm. A gdy wszedł pan Modersohn, to mimo wszelkich wysiłków nie mógł zamknąć za sobą drzwi, gdyż w szparze tkwiła wielka szyszka sosnowa, którą dopiero Adolf Todtenhaupt musiał wyjmować...

Kandydat Modersohn był małym, niepozornym człowiekiem, chodząc wysuwał naprzód jedno ramię, twarz miał wykrzywioną śmiesznym grymasem, a brodę czarną i bardzo rzadką. Był strasznie zakłopotany. Mrugał ciągle połyskliwymi oczami, wciągał powietrze i otwierał usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Ale nie znajdował odpowiednich słów. Uszedłszy kilka kroków od drzwi, nastąpił niespodziewanie na pukawkę tak doskonałą, że huknęła jak dynamit. Przeraził się, po czym dla ocalenia sytuacji uśmiechnął się, udał, że nic się nie stało, i stanął przed środkowym rzędem ławek, jak zwykle pochylony ukośnie, opierając dłoń na pierwszym pulpicy. Ale znano już tę jego ulubioną postawę, dlatego też owo miejsce wysmarowane było atramentem, tak że pan Modersohn uczernił sobie swą drobną i niezgrabną dłoń. Udał, że nic nie zauważa, założył na plecy mokrą i powalaną rękę i mrugając oczyma powiedział miękko i słabym głosem: – Zachowanie klasy pozostawia nieco do życzenia.

Hanno Buddenbrook kochał go w tej chwili i patrzył nieruchomo w jego bezradnie skrzywioną twarz. Ale chrząkanie Wasservogla stawało się coraz głośniejsze i nagle cała masa ziam grochu trzasnęła o szybę, odskoczyła i padła z hałasem na podłogę.

–Grad – powiedział ktoś głośno i wyraźnie; i pan Modersohn zapewne uwierzył, bo nic nie powiedziawszy wszedł na katedrę i zażądał dziennika: nie po to jednak, aby kogoś zapisać, tylko dlatego, że choć miał już pięć czy sześć lekcji w tej klasie, znał jednak nazwiska zaledwie paru uczniów i zmuszony był na chybił trafił wywoływać ich z listy.

–Feddermann – powiedział – zechce pan, proszę, powiedzieć wiersz.

–Nieobecny! – zawołał chór różnorodnych głosów.

Tymczasem Feddermann siedział w całej okazałości na swoim miejscu i z nieprawdopodobną zęczością puszczał na klasę ziarna grochu.

Pan Modersohn zamrugał oczyma i przesyłabizował nowe nazwisko.

–Wasservogel – powiedział.

–Umarł! – zawołał Petersen,

opanowany nagle szubienicznym humorem. I przy akompaniamencie szurania nogami, chrząkania, krakania i szyderych śmiechów wszyscy powtórzyli, że Wasservogel nie żyje.

Pan Modersohn znowu zamrugał oczyma, rozejrzał się wokoło, skrzywił się kwaśno i znowu zajrzał do dziennika, wskazując swą małą, niezgrabną ręką nazwisko, które chciał wywołać.

–Perlemann – wymówił bez wielkiego zaufania.

–Niestety postradał zmysły – powiedział jasno i dobitnie Kaj hrabia Molln; i wśród wzrastającej wrzawy również i ta wiadomość została potwierdzona przez ogół. Wówczas pan Modersohn wstał i zawołał wśród ogólnego hałasu:

–Buddenbrook, napiszesz pan pracę za karę. Jeśli pan się nie przestanie śmiać, będę musiał pana zapisać.

Po czym znów usiadł. –

Buddenbrook rzeczywiście się roześmiał, dowcip Kaja wzbudził w nim cichy, niepowstrzymany śmiech. Podobał mu się ten dowcip, zwłaszcza owo „niestety” uderzyło go swym komizmem. Gdy jednak pan Modersohn zgromił go, uspokoił się i spojrzał na pana kandydata milcząco i posepnie. W owej chwili wszystko w nim widział, każdy marny włoszek w jego brodzie, przez którą przeświecała skóra, i jego ciemne, połyskliwe, beznadziejne oczy; widział, że nosił on dwie pary mankietów na swych drobnych, niezgrabnych rękach, gdyż mankiety koszuli były równie długie i szerokie jak prawdziwe mankiety; widział całą tę nędzę i zrozpaczoną postać. Widział również i jego duszę. Hanno Buddenbrook był niemal jedynym uczniem, którego pan Modersohn znał już z nazwiska, i wykorzystywał to nieustannie, przywołując go do porządku, zadając mu karne wypracowania i w ogóle tyranizując go. Znał zaś ucznia Buddenbrooka wyłącznie dlatego, że swym spokojnym zachowaniem wyróżniał się spośród innych, korzystał też z tej jego potulności i okazywał mu bez przerwy swój autorytet, którego nie ważył się podkreślać wobec głośnych i zuchwałych. „Chamstwo uniemożliwia nawet istnienie współczucia na świecie – myślał Hanno. – Nie biorę udziału w męczeniu i wyzyskiwaniu pana, panie kandydacie Modersohn, gdyż uważam, że to jest brutalne, brzydkie i pospolite, a jakże pan mi za to odpłaca? Ale tak już jest, tak jest, tak się dzieje zawsze i wszędzie – myślał i znów poczuł lęk i mdłości. – A na domiar wszystkiego muszę jeszcze tak ohydnie wyraźnie widzieć pana do głębi!...”

Wreszcie znalazł się taki, który ani nie umarł, ani nie zwariował i podjął się powiedzieć angielski wiersz. Szło o utwór dziecinny i bez wartości, zatytułowany „The Monkey”, którego kazano uczyć się na pamięć tym młodym ludziom, po większej części rwącym się na morze, do pracy zawodowej, do poważnego trybu życia.

Monkey, little merry fellow,@

Thou art nature's

punchinello...@

Wierszyk ten miał wielką ilość strofek, które uczeń Kassbaum czytał z książki. Wobec pana Modersohna można było się nie krępować. A hałas wzrastał się ciągle. Wszystkie nogi były w ruchu i szurały po zakurzonej podłodze. Kogut piał, świnia chrząkała, ziarna grochu latały po klasie. Bezkarność rozzuchwalała tych dwudziestu pięciu chłopców. Rozbudziły się nieokiełznane instynkty szesnasto_ i siedemnastolatków.

Podnoszono do góry i rozsyłano po klasie nieprzyzwoite rysunki, które wywoływały lubieżne śmiechy...

Naraz wszystko ucichło. Uczeń recytujący wiersze urwał. Nawet sam pan Modersohn wyprostował się i zaczął słuchać. Zaszło coś przyjemnego. Z głębi klasy zabrzmiały subtelne, czyste dźwięki i słodko, marząco i pieszczotliwie popłynęły w nagłą ciszę. Przyniesiony przez kogoś zegarek z pozytywką począł właśnie podczas lekcji angielskiego wygrywać piosenkę:

„Noszę cię w swym sercu”. Ale w tej samej chwili, gdy melodia przebrzmiała, zdarzyło się coś strasznego... spadło na wszystkich obecnych okrutnie, nieoczekiwanie... władczo i obezwładniająco.

Bez uprzedniego zapukania drzwi otworzyły się gwałtownie i na oścież, weszło coś wysokiego i potwornego, wydało pomruk i jednym skokiem znalazło się między ławkami... Był to „Pan Bóg”.

Pan Modersohn poszarzał jak popiół i ściągnął z katedry fotel, ocierając go chustką do nosa. Uczniowie zerwali się jak jeden mąż, stanęli na palcach, przycisnęli ręce do boków, schylili głowy i przygryźli języki w nabożnym skupieniu. Zapanowało głębokie milczenie. Ktoś westchnął w napięciu, a potem znowu było cicho.

Dyrektor Wulicke mierzył przez chwilę wzrokiem salutujące kolumny, po czym podniósł ręce w lejkowatych, brudnych mankietach i opuścił je rozstawiając szeroko palce, jak ktoś, kto chce wziąć akord. – Siadajcie – rzekł swym niskim, basowym głosem. – Mówił uczniom „ty”.

Uczniowie opadli na miejsca. Pan Modersohn przyciągnął drżącymi rękami fotel i dyrektor usiadł obok katedry. – Proszę dalej – powiedział; zabrzmiało to równie straszliwie, jak gdyby rzekł: – Zobaczymy, i biada temu, który...

Było jasne, w jakim celu przyszedł. Pan Modersohn miał dać w jego obecności próbę swych

pedagogicznych kwalifikacji, miał pokazać, czego nauczyli się od niego uczniowie tej klasy w ciągu sześciu czy siedmiu lekcji, szło o egzystencję i przyszłość pana Modersohna. Kandydat przedstawiał smutny widok, gdy stanąwszy znów na katedrze kazał komuś powtórzyć wiersz „The Monkey”. I o ile dotąd tylko uczniowie byli badani i sądzeni, o tyle teraz dotyczyło to również nauczyciela... Ach, obie strony źle na tym wyszły! Zjawienie się dyrektora Wulicke było zaskoczeniem, na które nikt, z wyjątkiem może dwu lub trzech osób, nie był przygotowany. Pan Modersohn nie mógł przez całą godzinę pytać Adolfa Todtenhaupta, który wszystko umiał. Ponieważ w obecności dyrektora nie można było odczytywać z książki wiersza „The Monkey”, sytuacja była rozpaczliwa i gdy przyszła kolej na lekturę „Ivanhoe”, właściwie jedynie hrabia Molln mógł nieco tłumaczyć, gdyż sam dla własnej przyjemności interesował się ową powieścią. Reszta borykała się z wyrazami, chrząkając bezradnie. Wywołany został również Hanno Buddenbrook, który umiał przetłumaczyć tylko jeden wiersz. Dyrektor Wulicke wydał odgłos, jak gdyby mocno potracono najgłębszą strunę kontrabasu. Pan Modersohn łamał swe drobne, niezgrabne, zawalane atramentem ręce i powtarzał żałośnie: – A zawsze szło tak dobrze! A zawsze szło tak dobrze!

Powtarzał to jeszcze wówczas, gdy zadzwoniono, rozpaczliwie zwrócony na pół do uczniów, na pół do dyrektora. Ale „Pan Bóg” stał straszliwie wyprostowany, ze złożonymi na krzyż rękami i kiwając głową wpatrywał się gdzieś poza salę...

A potem zażądał dziennika i wolno wpisał wszystkim, których odpowiedzi wypadły słabo lub źle, sześciu czy siedmiu uczniom na raz, naganę za lenistwo. Pan Modersohn nie mógł być zapisany, ale sytuacja jego była znacznie gorsza niż wszystkich innych: stał blady, złamany, zmiażdżony. Hanno Buddenbrook również znajdował się między zapisanymi uczniami. – Już ja wam popsuję karierę – powiedział jeszcze dyrektor Wulicke. A potem zniknął.

Rozległ się dzwonek, lekcja była skończona. A więc to musiało przyjść. Tak było zawsze. Gdy się człowiek najbardziej bał, wtedy jakby na ironię szło prawie dobrze, ale gdy nie przewidywało się nic złego, wtedy spadało nieszczęście. Hanno stracił wszelką nadzieję przejścia na Wielkanoc do wyższej klasy. Wstał z ławki i ze zmęczonymi oczyma wyszedł na korytarz dotykając językiem chorego zęba.

Kaj podszedł do niego, objął go ramieniem i razem z nim zszedł na dziedziniec w tłumie zdenerwowanych kolegów, rozprawiających o niezwykłym wydarzeniu. Spojrzał mu w oczy trwożnie i z czułością powiedział:

–Przebacz, Hanno, że

tłumaczyłem zamiast milczeć, żeby mnie również zapisano! To tak ordynarnie z mojej strony...

–A ja, czyż nie powiedziałem przedtem, co znaczy patula Jovis arbore, glandes – odrzekł Hanno.

–Tak już jest zawsze, Kaj, daj spokój. Trzeba temu dać spokój.

–Tak, chyba tak trzeba. – Więc „Pan Bóg” chce ci popsuć karierę. Chyba już będziesz się musiał poddać, gdyż jeśli taka jest jego niezbadana wola... Kariera – co za rozkoszne słówko! Kariera pana Modersohna także przepadła. Nigdy nie awansuje, biedak! Trzeba ci wiedzieć, że można być

młodszy albo starszy nauczyciel, nauczycieli zaś nie ma wcale. Ale to przecież nie tak łatwo zrozumieć – mówił – to jest tylko dla całkiem dorosłych i dojrzałych życiowo. Można by powiedzieć: ktoś jest nauczycielem albo nie jest nim wcale. Cóż to znaczy starszy nauczyciel – tego nie rozumiem. Można by porozmawiać na ten temat z „Panem Bogiem” lub z panem Marotzke i wyłuszczyć im to wszystko. Ale cóż? Uważaliby to za obrazę i ukaraliby mnie za zuchwalstwo, a przecież ja właściwie dowiodłbym o wiele wyższego pojęcia o ich zawodzie niż to, jakie oni sami o nim mają... No, dosyć o nich, chodź już, przecież to są wszystko nosorożce.

Przechadzali się po dziedzińcu i Hanno chętnie przysłuchiwał się słowom Kaja, który robił, co mógł, by przyjaciel zapomniał o naganie.

–Patrz, tu są drzwi i brama, brama jest otwarta, a za nią jest ulica. A gdyby tak wyjść i przejść się trochę po trotuarze? Jest teraz pauza, mamy jeszcze z dziesięć minut czasu; przecież moglibyśmy wrócić na czas. Ale otóż właśnie: to jest niemożliwe. Rozumiesz? Tu są otwarte drzwi, nie ma żadnej kraty, nic, żadnej przeszkody, a tam oto próg. A jednak to jest niemożliwe, już sama myśl, by wyjść choćby na sekundę, jest niemożliwa... No, cóż, wyrzekniemy się tego! Ale weźmy inny przykład. Byłoby zupełną niedorzecznością twierdzić, że teraz jest mniej więcej wpół do dwunastej. Nie, teraz jest kolejna godzina geografii: tak się tu mierzy czas! Ale pytam: czy to jest życie? Wszystko na opak... Ach, Panie Boże, kiedyż ten zakład wypuści nas ze swych kochających objęć!

–Tak, a potem co? Nie, daj spokój, Kaju, wtedy znowu będzie pytanie: co dalej robić? Tutaj przynajmniej jesteśmy przed tym zabezpieczeni. Odkąd umarł mój ojciec, pan Stefan Kistenmaker i pastor Pringsheim pytają mnie dzień w dzień, czym chcę być. Nie wiem. Nie mogę nic odpowiedzieć. Nie mogę niczym być. Boję się życia...

–Ach, co znowu! Jak można tak beznadziejnie mówić! A twoja muzyka...

–I cóż moja muzyka, Kaju! Nic z niej nie będzie. Czy mam podróżować i dawać koncerty? Po pierwsze nie pozwolono by mi na to, a po drugie nigdy nie będę dość dużo umiał. Nie umiem prawie nic, umiem tylko trochę improwizować, kiedy jestem sam. A przy tym, takie podróżowanie... wyobrażam to sobie jako coś okropnego... Ty – to co innego. Ty masz więcej odwagi. Chodzisz sobie tu i śmiejesz się z wszystkiego i możesz im coś przeciwstawić. Chcesz pisać, chcesz opowiedzieć ludziom coś pięknego i ciekawego, tak: to już jest coś. I na pewno będziesz sławny, tobie się wszystko udaje. Od czego to zależy? Jesteś weselszy. Czasem podczas lekcji spoglądamy na siebie, jak ostatnio przy panu Mantelsacku, wówczas gdy Petersen, jedyny spośród wszystkich, którzy ściągali, dostał pałkę. Obaj myślimy to samo, ale ty stroisz miny i jesteś wyższy ponad to... Ja tak nie umiem. Zbyt mnie to męczy. Chciałbym zasnąć i o niczym już nie wiedzieć. Chciałbym umrzeć, Kaju! ... Nie, ze mnie nic nie będzie. Nie umiem chcieć. Nie chcę nawet zostać sławnym. Boję się tego, jak gdyby tkwiła w tym jakaś niesprawiedliwość! Możesz mi wierzyć, że nic ze mnie nie może być. Ostatnio, po rozmowie ze mną, pastor Pringsheim odezwał się do kogoś, że trzeba zostawić mnie w spokoju, gdyż pochodzę ze zdegenerowanej rodziny...

–Tak powiedział? – zapytał Kaj z wielkim zainteresowaniem...

–Tak, miał na myśli mojego stryja Chrystiana, który siedzi w Hamburgu w zakładzie. Na pewno miał rację. Powinno się mnie zostawić w spokoju. Byłbym taki wdzięczny!... Tyle mam zmartwień i

wszystko tak ciężko przeżywam. Na przykład, jeśli skaleczę sobie palec, zadrasnę się... robi się ranka, która u kogo innego goi się po tygodniu. U mnie trwa to miesiąc. Nie chce się zagoić, jątrzy się, pogarsza i sprawia okropne cierpienia. Ostatnio powiedział mi pan Brecht, że z moimi zębami jest bardzo źle, gdyż wszystkie są spróchniałe i chore, nie mówiąc już o wyrwanych. Tak jest dziś. A czym będę gryzł w trzydziestym, czterdziestym roku życia? Nie ma dla mnie żadnej nadziei...

–Tak – powiedział Kaj i przyśpieszył kroku – a teraz opowiedz mi trochę o twojej muzyce. Bo ja chcę napisać teraz coś cudownego... Może zacznę zaraz na lekcji rysunków. Będiesz grał dziś po południu?

Hanno milczał przez chwilę. W jego spojrzeniu ukazało się coś mglistego, zmaconego i gorącego.

–Tak, chyba będę grał – powiedział – choć właściwie nie powinienem. Powinienem ćwiczyć etiudy i sonaty, a potem przestać. Ale chyba będę grał, nie mogę inaczej, choć to jeszcze pogarsza wszystko.

–Pogarsza?

Hanno milczał.

–Wiem, o czym grasz – rzekł Kaj. A potem obaj umilkli.

Obaj wkraczali w szczególny wiek. Kaj zaczerwienił się mocno i patrzył w ziemię nie spuszczając głowy. Hanno był blady, bardzo poważny i zamglone spojrzenie zwrócił w inną stronę.

Potem pan Schlemiel zadzwonił i poszli na górę.

Nastąpiła lekcja geografii, a wraz z nią wypracowanie, bardzo ważne wypracowanie o obszarze Hessen_nassau. Wszedł rudobrody człowiek w brunatnym tuzurku. Był blady, a na jego rękach, których pory były mocno rozszerzone, nie rósł ani jeden włos. Był to „inteligentny profesor”, pan doktor M~uhsam. Od czasu do czasu miewał krwotoki i mówił zawsze ironicznym tonem, uważał bowiem, że jest równie dowcipny, jak chory. Posiadał on w domu coś jak gdyby archiwum dotyczące Heinego, zbiór papierów i przedmiotów mających jakiś związek z zuchwałym i chorym poetą. Teraz wpatrywał się w granice obszaru Hessen_nassau na mapie, a następnie poprosił z uśmiechem zarazem melancholijnym i szyderczym, by panowie zechcieli napisać w zeszytach, co w tym kraju jest godnego uwagi. Wyglądał, jak gdyby chciał drwić zarówno z uczniów, jak z kraju Hessen_nassau, a jednak było to bardzo ważne wypracowanie, którego wszyscy się bali.

Hanno Buddenbrook nie wiedział nic o Hessen_nassau, niewiele, tyle co nic. Chciał zajrzeć do zeszytu Adolfa Todtenhaupta, ale „Henryk Heine”, który mimo swej wyższości i cierpiącej ironii bacznie obserwował każdy ruch, zaraz to zauważył i powiedział:

–Panie Buddenbrook, mam ochotę zamknąć panu zeszyt, ale za bardzo się boję, że w ten sposób wyświadczyłbym ci dobrodziejstwo. Pisz więc pan dalej.

Uwaga ta zawierała dwa dowcipy. Po pierwsze ten, że doktor M~uhsam nazwał Hanno „panem Buddenbrookiem”, a po drugie z tym „dobrodziejstwem”. Ale Hanno Buddenbrook ślęczał dalej nad swym zeszytem, który w końcu oddał prawie czysty, po czym znowu wyszedł z Kajem.

Wszystkie dzisiejsze niebezpieczeństwa minęły. Szczęśliwy, kto wyszedł z nich cało i nie obciążony żadną naganą. Teraz mógł swobodnie i wesoło siedzieć z panem Dr~agem~ullerem w widnej sali i rysować...

Sala rysunkowa była obszerna i pełna światła. Na półkach pod ścianami stały gipsowe odlewy antyków, a w dużej szafie pełno było drewnianych brył i maleńkich sprzętów, które również służyły za modele. Pan Dr~agem~uller był to krępy człowiek z okrągło przystryżoną brodą i brunatną, gładką, tanią peruką, która odstawała z tyłu zdradziecko. Posiadał on dwie peruki: jedną z dłuższymi, drugą z krótszymi włosami, gdy dawał sobie przystryc brodę, wówczas nakładał tę z krótszymi włosami... Prócz tego miał jeszcze inne śmieszności. Zamiast „ołówek” mówił „ołów”. Gdziekolwiek się zjawiał, rozprzestrzeniał olejno_spirytusowy zapach i niektórzy utrzymywali, że pija naftę. Za swe najpiękniejsze godziny uważał te, w których, zastępując kogoś innego, prowadził lekcję innych przedmiotów. Miał wtedy wykłady o polityce Bismarcka, które urozmaicał dobitnymi, spiralnymi i łukowatymi ruchami od nosa do ramienia, i z nienawiścią jako też z trwogą mówił o socjaldemokracji... „Musimy się trzymać, razem! – mawiał do słabszych uczniów chwytając ich za rękę. – Socjaldemokracja stoi za progiem.” Wydawał się zawsze jakiś gorączkowo zaaferowany. Siadał przy uczniu, rozprzestrzeniając mocny zapach spirytusu, pukał swym sygnetem w jego czoło i wyrzucał z siebie słowa jak: „Perspektywa!” „Cienie rzucone!” „Ołów!” „Socjaldemokracja!” „Trzymać się razem!”, po czym śpiesznie odchodził...

Na tej godzinie Kaj pisał nowy utwór, Hanno zaś prowadził w myśli uwerturę orkiestrową. Potem nastąpił koniec lekcji, spakowano książki, droga przez bramę stała otworem, szło się do domu.

Hanno i Kaj udawali się w jedną stronę i aż do małej czerwonej willi na przedmieściu szli razem, trzymając książki pod pachą. Dalej młody hrabia M~olln musiał już iść sam; do siedziby ojca miał jeszcze daleką drogę. Nie miał na sobie nawet palta.

Mgła panująca rano zmieniła się w śnieg, który padał teraz wielkimi miękkimi płatkami, roztopiając się w błoto. Przed furtką willi rozstali się; gdy jednak Hanno przebył już połowę maleńkiego ogródka, Kaj wrócił i objął go za szyję. – Nie rozpaczaj... I nie graj lepiej!

–rzekł cicho; i jego wysmukła, zaniedbana postać zniknęła wśród śnieżycy.

Hanno zostawił swoje książki w korytarzu, na tacce, którą niedźwiedź trzymał w łapach, i poszedł do gabinetu, by przywitać się z matką. Siedziała na szeszlunku i trzymała książkę w żółtej papierowej okładce. Ciemnymi, blisko siebie osadzonymi, niebieskawo ocienionymi oczami patrzyła na idącego po dywanie syna; gdy stanął przed nią, ujęła w dłonie jego głowę i pocałowała go w czoło.

Wszedł na górę do swego pokoju, gdzie panna Klementyna przygotowała dla niego skromne śniadanie, umył się i zjadł. Gdy skończył, wyjął z biurka paczuszkę owych małych, mocnych rosyjskich papierosów, które również nie były mu już obce, i zaczął palić. Następnie usiadł przy fisharmonii i odegrał trudny, surowy utwór Bacha, coś w rodzaju fugi. Wreszcie splótł ręce z tyłu głowy i wyrzał przez okno na bezszelestnie wirujący śnieg. Nie było tam więcej na co patrzeć. Nie rozciągał się już pod jego oknem starannie utrzymany ogród z szemrzącą fontanną. Widok przecięty był szarą ścianą sąsiedniej willi.

O czwartej podano obiad. Gerda Buddenbrook, mały Jan i panna Klementyna byli sami przy stole. Potem Hanno poczynił w salonie przygotowania do muzyki i czekał przy fortepianie na matkę. Grali sonatę opus 24 Beethovena. Podczas adagia skrzypce śpiewały jak anioł; ale Gerda z niezadowoleniem odjęła od podbródka instrument i przyglądając mu się chmurnie powiedziała, że nie jest nastrojony. Nie grała już więcej i poszła na górę, by wypocząć.

Hanno pozostał w salonie. Podeszedł do oszklonych drzwi prowadzących na niewielką werandę i spoglądał przez parę chwil na rozmiękły ogródek. Nagle cofnął się o krok, gwałtownym ruchem zasunął kremową zasłonę u drzwi, tak że pokój pogrążył się w żółtawym półcieniu, i wzburzony podeszedł do fortepianu. Tam znowu stał przez chwilę, a wzrok jego, wbity w nieokreślony punkt, mroczył z wolna, przesłaniał się, rozplýwał... Usiadł i rozpoczął jedną ze swych improwizacji.

Motyw, którym rozpoczął, był zupełnie prosty, nikły ułamek nie istniejącej melodii, figura na półtora taktu; i gdy odegrał ją po raz pierwszy, z siłą, której nikt by się po nim nie spodziewał, w niskim rejestrze, jako głos pojedynczy, jak gdyby trąby miały ją jednogłośnie i władczo obwieścić jako temat pierwotny oraz wyjście dla wszystkiego, co miało nastąpić, wcale jeszcze nie można było przewidzieć, jaka będzie główna myśl. Gdy jednak powtórzył ją w wiolinie, zharmonizowaną, i rozbrzmiała tonami barwy matowosrebrnej, okazało się, że w rzeczywistości składała się z jednego jedyne rozwiązanie, tęsknego i bolesnego przepływania z jednej tonacji w inną... ubogi i wąty pomysł, który jednak, dzięki wykwintnej i uroczystej stanowczości, z jaką był postawiony i przeprowadzony, nabierał dziwnej wartości, tajemniczej i pełnej znaczenia. A potem rozpoczęły się wzburzone przejścia, bezładne nawroty synkop, szukające, błądzące, jak gdyby rozdierane okrzykami duszy, którą przepełnia niepokojem to, co usłyszała, a co nie chciało zamilknąć, lecz powtarzało się w coraz to innych harmoniach – pytające, z żalem, zamierające, pełne pożądania i obietnic. I coraz gwałtowniejsze stawały się synkopy opadnięte przez szybkie triole; ale rozbrzmiewające niekiedy okrzyki trwogi ukształtowały się, zwały – stały się melodią i nadeszła chwila, gdy jako żarliwie i błagalnie występująca pieśń instrumentów dętych zapanowały mocno a pokornie. Zwyciężone zamilkło wszystko, co rozkołysane, błędne, chwiejne i nietrwałe tłoczyło się, uderzało, wymykało i w nieomylnie prostym rytmie rozległ się ów skruszony, dziecięco rozmodlony chorał...

Zakończył jak gdyby kościelnym

finalem. Nadeszła fermata, i

cisza. I oto, nagle, cichutko

znów pojawił się pierwszy motyw,

zabrzmiął tonami barwy

matowosrebrnej, ów ubogi pomysł

– głupia czy tajemnicza figura, owo słodkie, bolesne przepływanie z jednej tonacji w inną. Powstało potężne wzburzenie i dziki zamęt opanowany przez akcenty fanfar, głos dzikiej energii. Co się stało? Co miało nastąpić? Rozległy się dźwięki rogów, wzywające do wymarszu. A potem nastąpiło coś

jakby skupienie i skoncentrowanie się, mocniejsze rytmy zwały się i wyłoniła się nowa figura, śmiała improwizacja, rodzaj pieśni myśliwskiej, przedsiębiorczej i burzliwej. Ale nie była radosna, w najskrytszej głębi pełna była rozpaczliwej pychy, dźwięczące w niej sygnały były niby okrzyki trwogi i wciąż na nowo słyszało się w zniekształconych harmoniach męczący, błędny i słodki motyw, ów pierwszy, zagadkowy motyw... Teraz rozpoczęły się niezmordowane przemiany wydarzeń, których znaczenia ani istoty nie można było odgadnąć, ucieczka pełna przygód, dźwięku, rytmu i harmonii, nad którymi Hanno nie panował, lecz które tworzyły się pod jego palcami, które przeżywał nie poznawszy ich przedtem... Siedział nieco pochylony nad klawiaturą, z rozchylonymi wargami i dalekim, głębokim spojrzeniem, a brązowe włosy miękkimi lokami okalały jego skronie. Co się działo? Co tu przeżywano? Czy pokonywano straszliwe przeszkody, zabijano smoki, wspinano się na skały, przepływano potoki, przedzierano się przez płomienie? I niby przenikliwy śmiech, niby niezrozumiale uszczęśliwiająca obietnica przebijał się na powierzchnię pierwszy motyw, nikły pomysł, owo przepływanie jednej tonacji w inną, tak, zdawało się, jak gdyby wabiły go coraz to nowe, potężne wysiłki, wściekłe szturmy w oktawach wybuchały, rozbrzmiewając okrzykami, a potem rozpoczęło się jak gdyby nabrzmiewanie, powolne, nieprzerwane wznoszenie się, chromatyczne wspinanie się, przedzieranie się w górę dzikiej, nieodpartej tęsknoty, przerwane gwałtownie przez nagłe, przerażające i podniecające pianissima, ni to usuwanie się gruntu pod nogami, zatapianie w żądzy... Raz wydało się, że zaczynają się przebijać jakieś dalekie i ciche przypomnienia, pierwsze akordy błagalnej, skruszonej modlitwy, ale natychmiast zalała je powódź wzbijających się dysonansów, które kłębiły się, toczyły naprzód, cofały, opadały, tonęły i na nowo dążyły do jakiegoś niewypowiedzianego celu... musiał on nadejść, musiał teraz nadejść, w tej chwili, w tej straszliwej chwili najwyższego wzniesienia, gdy nie można już było znieść dłużej udręki pragnień. Aż wreszcie nadeszła chwila, gdy nie można już było powstrzymać ani przedłużyć skurczów tęsknoty, nadeszła, jak gdyby rozerwano zasłonę, rozwarło drzwi, jak gdyby rozstały się cierniowe gąszcze, a ściany płomieni zapadały w nicość... Nadeszło rozwiązanie, spełnienie, doskonałe zaspokojenie i w okrzyku uniesienia stopiło się wszystko w mile rozbrzmiewający dźwięk, który w słodkim i tęsknym ritardando przeszedł zaraz w inny... i oto znowu zabrzmiał ów motyw – pierwszy motyw. A to, co rozpoczęło się teraz, było świętem, triumfem, nieokiełznaną orgią tej właśnie figury, która pyszniła się we wszystkich odcieniach dźwięku, rozlewała poprzez wszystkie oktawy, płakała, drżała w tremolando, śpiewała, wznosiła radosne okrzyki, łkała, powracając zwycięsko, przyozdobiona całym szumiącym, dzwoniącym, perlującym się, spienionym przepychem orkiestralnej szaty... Coś brutalnego i tępego, a jednocześnie ascetycznie religijnego, coś jak gdyby wiara i poniechanie siebie samego tkwiło w fanatycznym kulcie tego nikłego ułamku melodii, owego krótkiego, dziecinnego, harmonicznego pomysłu na półtora taktu... było coś grzesznego w bezgranicznym nienasyceniu, z jakim przeżywano go i wyzyskano aż do upojenia, i coś cynicznie rozpaczliwego, coś jakby woła rozkoszy i zagłady w żądzy, z jaką wyszano z niego ostatnią słodycz, aż do wyczerpania, do wstrętu i przesytu, aż w końcu, w osłabieniu po wszystkich wybrykach zaszemrało długie, ciche arpeggio w moll, podniosło się o jeden ton, przeszło w dur i zamarło w bolesnym wahaniu.

Hanno siedział jeszcze przez chwilę cicho, z brodą wspartą na piersi i ze skrzyżowanymi rękami. Potem wstał i zamknął fortepian. Był bardzo blady, kolana uginały się pod nim, a oczy go paliły. Przeszedł do sąsiedniego pokoju, wyciągnął się na szezlongu i długi czas leżał tak bez ruchu.

Później była kolacja, po czym zagrał z matką partię szachów, której żadna ze stron nie wygrała. Ale

po północy siedział jeszcze w swoim pokoju przy świecy, przed fisharmonią i ponieważ o tej porze nie mogła już rozbrzmiewać muzyka, grał w myślach, obiecując sobie wstać jutro o wpół do szóstej rano, by odrobić najważniejsze lekcje.

Był to jeden dzień z życia małego Jana.

Rozdział trzeci

Z tyfusem rzecz ma się

następująco.

Na początku człowiek uczuwa rozstrój duchowy, który szybko się pogłębia i przechodzi w stan bliski rozpacz. Jednocześnie opanowuje go osłabienie fizyczne, obejmujące nie tylko mięśnie i ścięgna, lecz rozszerzające się również na działalność organów wewnętrznych, zwłaszcza żołądka, który ze wstrętem odmawia przyjmowania pokarmów. Powstaje silna potrzeba snu, lecz mimo wielkiego zmęczenia sen jest niespokojny, lekki, pełen trwogi i nie orzeźwiający. Mózg boli, jest ciężki, jakby otulony mgłą, od czasu do czasu przychodzą zawroty głowy. Nieokreślony ból we wszystkich członkach. Niekiedy bez powodu płynie krew z nosa. – To jest introdukcja.

Potem następuje silny atak dreszczów, które wstrząsają całym ciałem, zęby szcękają; jest to oznaka nadchodzącej gorączki, która natychmiast podnosi się do najwyższego stopnia. Na skórze piersi i brzucha pokazują się pojedyncze czerwone plamy wielkości ziarnka grochu, które znikają pod naciskiem palca, lecz natychmiast powracają. Puls jest coraz szybszy; wykazuje około stu uderzeń na minutę. Tak przechodzi pierwszy tydzień, przy temperaturze czterdziestu stopni.

W drugim tygodniu chorego nie męczą już bóle głowy i członków; znacznie częstsze są jednak zawroty głowy, a w uszach panuje taki szum, że po prostu utrudnia słyszenie. Twarz nabiera tępego wyrazu. Usta są najczęściej otwarte, oczy zaś na pół przymknięte i obojętne. Świadomość jest przyćmiona; chorego opanowuje śpiączka; często zapada w ciężkie odurzenie nie zasypiając jednak na dobre. Występuje maligna, głośnie, podniecone majaczenie. Bezsilność i zubożnienie doprowadzają do objawów niechlujnych i wstrętnych. Dziaśła, zęby oraz język chorego pokryte są czarniawym nalotem, który zatruwa oddech. Chory leży nieruchomo, ze wzdętym brzuchem, na wznak, w stanie zupełnego bezwładu. Wszystko w nim pracuje pospiesznie, niespokojnie i powierzchownie, zarówno oddech, jak i puls wykazujący do stu dwudziestu lekkich, drgających uderzeń na minutę. Powieki są na pół zamknięte, policzki zaś nie płoną już jak z początku – nabrały teraz niebieskawego odcienia. Czerwone plamy wielkości grochu na piersi i brzuchu stały się liczniejsze. Temperatura dochodzi do 41 stopni...

W trzecim tygodniu osłabienie dosięga szczytu. Głośnie majaczenia ustają; nikt nie wie, czy duch chorego pograżył się w pustej nocy, czy też, obcy i odwrócony od stanów ciała) przebywa w odległych, głębokich, cichych marzeniach, o których nie wieści żaden dźwięk ani żaden znak. Ciało pograżone jest w bezgranicznej nieczułości. – Jest to chwila decydująca...

U pewnych jednostek diagnozę utrudniają szczególne okoliczności.

Przypuśćmy na przykład, że pierwsze symptomy choroby, rozstrój, znużenie, brak apetytu, niespokojny sen, bóle głowy, już i przedtem często się pojawiały, wówczas gdy pacjent, nadzieja rodziny, był jeszcze zupełnie zdrow. Że jeśli nawet nagle się zaostrzyły, nie wydawały się niczym nadzwyczajnym? – Lekarz o wiedzy solidnej, jak na przykład, by wymienić jakieś nazwisko, doktor Langhals, przystojny doktor Langhals o małych, czarno owłosionych rękach, będzie mógł pomimo to od razu nazwać rzecz po imieniu, ukazanie się zaś fatalnych czerwonych plam na piersiach i brzuchu daje już zupełną pewność. Nie będzie miał żadnych wątpliwości co do sposobu postępowania ani środków, jakie należy zastosować. Zażąda dla chorego możliwie dużego, dobrze przewietrzanego pokoju, którego temperatura nie powinna przekraczać siedemnastu stopni. Będzie wymagał nadzwyczajnej czystości oraz polecając jak najczęściej zmieniać pościel uczyni wszystko możliwe, by zapobiec tworzeniu się odleżyn, czego jednak w pewnych wypadkach nie daje się uniknąć. Będzie żądał ciągłego czyszczenia jamy ustnej zwilżonym płóciennym płatkim, co się zaś tyczy lekarstw, będzie się trzymał jodu, przepisywał chininę i antypirynę, przede wszystkim zaś, ze względu na to, że żołądek i kiszki są poważnie zaatakowane, zaleci nadzwyczaj lekką i nadzwyczaj wzmacniającą dietę. Wyniszczającą gorączkę zwalczać będzie kąpielami, które mają być stosowane często, co trzy godziny, nawet nocą, i podczas których woda powinna być stopniowo ochładzana, poczynając od nóg. A po każdej kąpielu szybko poda coś wzmacniającego i pobudzającego – koniak lub wino szampańskie...

Wszystkich tych środków używa jednak lekarz na los szczęścia, jak gdyby tylko próbując, czy mogą one w ogóle wywrzeć jakikolwiek wpływ, bynajmniej nie będąc pewnym, czy zastosowanie ich nie będzie pozbawione wszelkiej wartości, sensu i celu. Gdyż, jeśli nie wie bodaj jednej rzeczy, nie ma odpowiedzi na jedno pytanie, wówczas błądzi w ciemnościach i co do ostatecznego wyniku pozostaje w niepewności aż do trzeciego tygodnia, to jest do przesilenia. Nie wie on, czy choroba, którą nazywa „tyfusem”, oznacza w tym wypadku niezbyt wielkie nieszczęście, przykre skutki infekcji, której być może dałoby się uniknąć i którą należy zwalczać środkami, jakie ma do swej dyspozycji wiedza – czy też jest ona może po prostu formą wyzwolenia, szatą śmierci, która zjawić by się mogła i w innej masce i przeciw której nie wyrosły jeszcze dotąd żadne zioła.

Z tyfusem rzecz ma się następująco: W mglistych snach chorego, w płonącej jego nieprzytomności dolatuje go niekiedy wyraźny, orzeźwiający głos życia. Mocny i świeży, wiodący w cień, chłód i wypoczynek, głos ów dosięgnie ducha na obcej, gorącej drodze, po której podąża on naprzód. Człowiek wsłucha się w ów czysty, pogodny, trochę ironiczny głos, namawiający do odwrócenia się i powrotu w tę stronę, którą pozostawił tak daleko za sobą i o której już zapomniał. Jeśli wówczas zakipi w nim jakby poczucie wstydu, zaniedbanego obowiązku, nowej energii, odwagi i radości, miłości i przynależności do szyderczego, pstrego i brutalnego zgiełku, który porzucił – wówczas bez względu na to, jak głęboko zapuścił się już na obcą, gorącą ścieżkę, odwróci się i będzie żył. Ale jeśli, usłyszawszy głos życia, wzdrygnie się z trwogi i niechęci, jeśli to wspomnienie, ten wesoły, wyzywający dźwięk sprawi, iż potrząśnie on głową i odpychającym ruchem wyciągnie rękę za siebie, iż postąpi naprzód po tej drodze otwartej do ucieczki... tak, wówczas wynik jest jasny: umrze.

Rozdział czwarty

–Niesłusznie, niesłusznie,

Gerdo – powiedziała po raz może setny stara panna Weischbrodt z troską i wyrzutem w głosie. Zajęła dziś miejsce na sofie w gabinecie swej dawnej uczennicy wśród grona pań składającego się z Gerdy Buddenbrook, pani Permaneder, jej córki Eryki, biednej Klotyldy oraz trzech pań Buddenbrook z Breitenstrasse, które rozmieściły się dokoła okrągłego stołu. Zielone wstążki czepka opadły na jej wąskie ramiona, by móc gestykulować ponad stołem, musiała jedno ramię wysoko podnieść. Tak małeńka stała się z wiekiem. – Niesłusznie, pozwól sobie powiedzieć, że niesłusznie postępujesz, Gerdo! – powtórzyła przejęta drżącym głosem. – Jedną nogą jestem już w grobie. Niewiele czasu mi pozostaje, a ty chcesz mnie... chcesz nas opuścić, chcesz rozstać się z nami na zawsze... wyjechać... Gdybyż to szło o podróż, o odwiedzin w Amsterdamie... ale na zawsze! – I potrząsnęła swą starą, ptasią głową, a jej ciemne, rozumne oczy napełniły się smutkiem. – To prawda, żeś wiele straciła...

–Nie, ona wszystko straciła – rzekła pani Permaneder.

–Nie powinniśmy być

egoistami, Tereso. Gerda chce odejść i odchodzi, nie ma na to rady. Przybyła tu z Tomaszem dwadzieścia jeden lat temu i wszyscyśmy ją kochali, chociaż ona nigdy nas nie lubiła... tak, Gerdo, nie zaprzeczaj! Ale Tomasza już nie ma i... nikogo już nie ma. Czymże my dla niej jesteśmy? Niczym. Bolejemy nad tym, ale jedź z Bogiem, Gerdo, i dziękuję ci, żeś już dawniej nie wyjechała, wówczas gdy umarł Tomasz...

Było to po kolacji, w jesieni; mały Jan (Justus Jan Kasper) leżał już prawie od sześciu miesięcy, opatrzony błogosławieństwem pastora Pringsheima, za miastem, na skraju cmentarza, pod krzyżem z piaskowca oraz rodzinnym herbem. Przed domem szumiał deszcz w na pół obnażonych drzewach alei. Od czasu do czasu wiatr miotał nim o szyby. Wszystkie panie były czarno ubrane.

Było to małe zebranie rodzinne, pożegnalne zebranie u Gerdy Buddenbrook, która zamierzała opuścić miasto i powrócić do Amsterdamu, by, jak niegdyś, grywać duety ze swym starym ojcem. Nic jej tu nie zatrzymywało. Pani Permaneder nie mogła nic przeciwstawić temu postanowieniu. Pogodziła się z nim, ale w głębi duszy czuła się z tego powodu bardzo nieszczęśliwa. Gdyby wdowa po senatorze pozostała w mieście, zachowała swe miejsce oraz pozycję towarzyską, pozostawiła na miejscu majątek, wówczas prestiż rodzinny zostałby po trosze utrzymany... Jakkolwiek bądź, pani Permaneder pragnęła trzymać głowę do góry, jak długo jeszcze pozostaje na tej ziemi i wystawiona jest na spojrzenia ludzkie. Dziadek jej jeździł czwórką po kraju...

Mimo burzliwego życia i dolegliwości żołądka nie wyglądała na swoją pięćdziesiątkę. Cera jej była nieco przybladła i okryta puszką, a górną wargę – ładną górną wargę Toni Buddenbrook – obficie porastały włoski, ale w gładko zaczesanych włosach pod żalobnym czepeczkiem nie dostrzegano się ani jednej białej nitki.

Jej kuzynka, biedna Klotylda, przyjęła wiadomość o odjeździe Gerdy tak, jak należy przyjmować wszystko, co nas tu spotyka – obojętnie i łagodnie.

Poprzednio, podczas kolacji,

zajadała obficie i w milczeniu, teraz zaś siedziała, szara i chuda, odzywając się jak zawsze uprzejmie i przeciągle.

Eryka Weinschenk, mająca obecnie lat trzydzieści jeden, również niezbyt się przejmowała wyjazdem ciotki. Przeżyła cięższe rzeczy i wcześniej nauczyła się rezygnacji. Z jej znużonych, wodnistobłękitnych oczu – oczu pana Grunlicha – przebijało pogodzenie się z chybionym życiem, to samo dźwięczało w jej spokojnym, czasem nieco żalonym głosie.

Co się tyczy trzech pań Buddenbrook, córek stryja Gottholda, to miny ich były urażone i krytyczne jak zazwyczaj. Fryderyka i Henryka z latami wydłużyły się i schudły jeszcze bardziej, podczas gdy Fifi, najmłodsza, mająca obecnie pięćdziesiąt trzy lata, wydawała się zbyt mała i zbyt otyła.

Zaproszono również starą konsulową Kröger, wdowę po wuju Justusie; była jednak cierpiąca, może też nie miała odpowiedniej sukni. Pozostało to nie rozstrzygnięte.

Mówiono o podróży Gerdy, o pociągu, którym chciała pojechać, i o sprzedaży willi wraz z meblami, czego podjął się makler Gosch. Gerda bowiem nic nie zabierała i odchodziła tak, jak przyszła.

Potem pani Permaneder zaczęła mówić o życiu biorąc je z najpoważniejszej strony i wypowiadała się o przeszłości i przyszłości, jakkolwiek o przyszłości nie było już nic do powiedzenia.

–Tak, kiedy ja umrę, Eryka również będzie mogła sobie wyjechać – powiedziała – ale ja nigdzie indziej nie mogłabym wytrzymać i dopóki będę przy życiu, nasza mała gromadka tych, co pozostali, powinna tutaj trzymać się razem... Raz na tydzień przyjedziecie do mnie na wieczerzę... a potem będziemy przeglądały papiery rodzinne. – Dotknęła leżącej przed nią teki.

–Tak, Gerdo, przyjmuję ją z wdzięcznością. – Zatem to postanowione... Słyszysz, Tyldziu?... Chociaż, właściwie mówiąc, równie dobrze mogłabyś ty nas zaprosić, bo w gruncie rzeczy wcale nie masz się gorzej od nas. Tak to bywa. Człowiek trzyma się i dąży, i walczy... a ty cicho siedziałaś i cierpliwie wszystko przeczekałaś. Ale pomimo to jesteś gapa, moja Tyldziu, nie bierz mi tego za złe...

–Och, Toniu... – rzekła z uśmiechem Klotylda.

–Przykro mi, że nie mogę pożegnać się z Chrystianem – powiedziała Gerda i rozmowa zesłała na Chrystiana. Pomimo iż nie było z nim tak źle, by nie mógł żyć poza zakładem, widoki na wypuszczenie go stamtąd były nader słabe. Taki stan rzeczy wielce odpowiadał jego małżonce, która, jak utrzymywała pani Permaneder, była w zмовie z lekarzem, wobec czego najprawdopodobniejsze było, że Chrystian dokona żywota w zakładzie.

Potem zapadło milczenie. Cicho i niepewnie rozmowa zwróciła się ku ostatnim wydarzeniom, a gdy padło imię małego Jana, znowu w pokoju zapanowało milczenie i słychać było jedynie deszcz głośniejsz szumiący przed domem.

Na ostatniej chorobie Jana, która miała podobno wyjątkowo straszny przebieg, ciążyła jak gdyby głęboka tajemnica. Gdy przytłumionym tonem, półsłówkami mówiono o tym, unikano wzajemnie

swego wzroku. A potem wspomniano ów ostatni epizod... wizytę małego obdartego hrabiego, który prawie przemocą wdarł się do pokoju chorego... Hanno usłyszawszy jego głos, uśmiechnął się, choć nikogo już nie poznawał, a Kaj bez ustanku całował obie jego ręce.

–Całował jego ręce? –

zapytały panie Buddenbrook.

–Tak, całował bez końca...

Wszyscy zamyślili się na chwilę.

Nagle pani Permaneder zalała się łzami.

–Jak ja go kochałam –

szlochała... – Nie macie pojęcia, jak bardzo go kochałam... więcej niż wy wszyscy... wybacz mi, Gerdo, ty jesteś matką... Ach, to był anioł...

–Teraz jest aniołem –

poprawiła Tetenia.

–Hanno, mały Hanno – mówiła dalej pani Permaneder, a łzy płynęły po jej pobladłych, okrytych puszką policzkach...

–Tom, ojciec, dziadek i wszyscy inni! Gdzie oni są? Nie ma ich. Ach, jakie to okrutne i bolesne!

–Ale kiedyś spotkamy się z nimi – rzekła Fryderyka Buddenbrook; złożyła ręce na łonie, spuściła oczy i podniosła nos do góry.

–Tak mówią... Ach, bywają chwile, Fryderyko, kiedy nikąd nie ma pociechy – niech Bóg mi wybaczy – kiedy traci się wiarę w sprawiedliwość, w dobroć... we wszystko. Życie, moje drogie, niejedno w nas łamie, niejedną wiarę niweczy... Spotkać się... Gdyby to tak było...

Ale wtedy Tetenia Weichbrodt wstała i wyprostowała się, jak tylko mogła. Uniosła się na palcach, wyciągnęła szyję, zapukała w stół, a czepek na jej głowie zadrżał.

–Tak jest! – zawołała ze wszystkich sił i wyzywająco spojrzała po wszystkich.

Stała tak, ona, która zwyciężyła w słusznej walce, jaką przez całe życie prowadziła z pokusami swego nauczycielskiego rozumu, garbata, drobniutka i drżąca z przekonania – mała, karcąca, natchniona prorokini.

Posłowie

Wiosną 1897 roku wydawca Tomasza Manna Samuel Fischer, zachęcony powodzeniem pierwszych

nowel, poprosił go o „większe dzieło prozatorskie, być może powieść”. Gdy dwudziestopięcioletni pisarz po bez mała trzech latach pracy przesłał mu rękopis „Buddenbrooków”, ten uznał, że ogłoszenie tak obszernego utworu przekracza aktualnie możliwości wydawnictwa i zalecił skrócenie całości „o połowę”. Odbywający właśnie krótką służbę wojskową (głównie w lazarecie) Tomasz Mann odpowiedział listem, w którym żarliwie przekonywał, że powieść powinna ujrzeć światło dzienne w pełnym kształcie. Fischer ugiął się ostatecznie pod argumentami młodego autora i powieść ukazała się latem 1901 roku bez skrótów.

W Niemczech przyjęto ją najpierw z rezerwą. Pewien krytyk pisał o „rozczarowaniu w dwóch nie kończących się tomach”. Kolejne wznowienia świadczyły jednak o rosnącym zainteresowaniu książką.

„Buddenbrookowie” – nie licząc

wciąż czytanych powieści

Fontanego – nie mieli

konkurencji w kategorii powieści

rodzinnej; nie były nią przecież

pisane w „plattdeutsch” powieści

Fritza Reutera. Mieszczański

czytelnik uznał w Tomaszu Mannie

swego nowego, ambitnego

przedstawiciela, który o jego

sprawach mówił wprawdzie z

pewnym dystansem, ale jakby w

jego imieniu. Powieść przyjęła

się w świadomości mieszczańskich

czytelników tym łatwiej, że była

finezyjnie prosta i przemawiała

do nich nieporównanie

wyraziściej niż dzieła

rozpowszechnionego już wówczas neoromantyzmu i symbolizmu. Ku zaskoczeniu samego Fischera – a może i autora – książka okazała się sukcesem i literackim, i księgarskim, do tego sukcesem trwającym nieprzerwanie przez dziesięciolecia; dziś możemy powiedzieć: przez stulecie. Była tylko klęską natury rodzinno_towarzyskiej.

Jeszcze po latach od jej pierwszego wydania żyjący krewni i znajomi wyrażali swoje oburzenie z powodu obraźliwych wizerunków, zarzucając autorowi „kalanie własnego gniazda”. Wybór nazwiska w tytule napiętnowała pruska rodzina Buddenbrooków. W swej obronie Tomasz Mann napisał cały esej, w którym dowodził, że żaden literacki wizerunek nie jest prostym odzwierciedleniem, a realne odniesienia literackiej fikcji to prawie zawsze sprawa umowna. Czy ktoś to jednak wtedy zrozumiał? Wątpliwe. Być może rozumieją to dziś wnuki owych pruskich Buddenbrooków, widząc, że zmyślenie ostatecznie nie tylko nie obraża prawdy, ale może nawet nadać jej światowy rozgłos.

Jedna książka w dorobku pisarza – ta najważniejsza – jest w stanie napisać się sama. Każdy pisarz raz jeden (rzadko częściej) może sięgnąć do problematyki, której nie trzeba formować, gdyż jej forma jest przyrodzona i już w zarodku „gotowa”. Najobszerniejsza powieść będzie tylko rozwinięciem tej formy, rezultatem samoczynnego rozrostu. W eseju „Rozważania człowieka apolitycznego” Tomasz Mann napisał o „Buddenbrookach”, że powieść ta „stała się, a nie została zrobiona, urosła, a nie została uformowana, a przez to potwierdziła się jako niepowtarzalnie niemiecka”. Tak ma się rzecz z utworami badającymi duchową genealogię. Książkę pisze wtedy rodzinne miejsce. Kiedy rodzi się na nim ktoś do tego powołany, topografia staje się ziemią pisarza, zaczyna mówić, opowiadać, przekazywać. Wtedy już samo miejsce ma się prawo nazwać formą, jak Tomasz Mann nazwał północnoniemieckie, rodzinne miasto Lubekę w innym słynnym eseju: „Lubeka jako duchowa forma życia”.

Najpierw miała to być powieść rodzinna według „dobrego norweskiego wzorca”, w stylu Jonasa Lie. Sięgnięcie do tej tradycji było dla pisarza z Lubeki czymś zupełnie naturalnym. Mniej bowiem dzieli kulturę północnoniemiecką od kultury skandynawskiej niż np. południowoniemieckiej. Zgodnie z pierwotnym założeniem hanzeatycka saga opowiadać miała o Hanno, późnej latorośli rodziny. Rozrost powieści nastąpił ze względu na tę dziecięcą postać, która w dziejach przodków domagała się uzasadnienia swego tragicznego, niedopełnionego losu.

Przedstawione dzieje czterech pokoleń lubeckich kupców ujawniły własny porządek formalny; odpowiadał on następstwu i swoistemu rozwojowi poszczególnych generacji. Trzecioosobowy narrator zmienia się razem z postaciami, o których opowiada, niczym jeszcze jeden Buddenbrook. Nie ma tu zbyt wiele miejsca na „pomysły” pisarskie. Swój kronikarski ekwiwalent zyskuje duchowa rzeczywistość i postać języka pierwszej generacji (założyciele firmy); w tak samo „czysty” sposób żyje w narracji pokolenie drugie, charakteryzujące się sumiennością czynu, myśli i słowa, rzetelnością postawy religijnej, prawością w interesach. Tomasz Buddenbrook, centralna postać powieści, dokonuje w dziejach rodziny pewnego przełomu. Niebawem okaże się, że był to przełom, od którego liczyć się zaczął czas duchowego i materialnego upadku rodziny. Odpowiadający pokoleniowo Tomaszowi Mannowi Hanno będzie już tylko symbolem braku woli życia, znakiem historycznego wyczerpania pewnej formacji, sposobu bytowania, systemu wartości wraz z jego życiodajną siłą.

Co w pierwszych pokoleniach było duchowo autentyczne, u Tomasza przybiera znamiona gry z odziedziczoną konwencją.

Konwencja wymagała odporności –

tymczasem odporność ustąpiła

miejsca wrażliwości; konwencja

wymagała siły – tymczasem siła

przeszła w niemożność; konwencja

oparta była na instynkcie życia

–ale instynkt życia wyparty został przez wolę śmierci. Mimo wszystko „konwencja” – wielkomieszczańska,

północnoniemiecka, protestancka

–obowiązuje dalej. Tyle że staje się coraz bardziej pusta. Coraz trudniej odwołać się do głębokich motywów, związanych z religią czy etyką kupiecką. Coraz częściej działania stanowią jedynie próbę zachowania pozorów. O Tomaszu mówi się w pewnym miejscu powieści: „jak maska opadł z tej twarzy od dawna już sztucznie utrzymywany wyraz czujności, bacności, uprzejmości i energii, pozostawiając jedynie pełne troski znużenie”.

Właśnie życie trzeciego pokolenia przypadło na okres przełomu. Nie uzasadni go historyk, który wie tylko, że rozgrywająca się w latach 1835-1875 akcja „Buddenbrooków” przebiega przez co najmniej trzy newralgiczne daty: 1848, 1866, 1871. Już więcej o upadku rodziny mógłby powiedzieć filozof. Dostrzeże on rozstrój miar etycznych, inne prądy myślowe, zrelatywizowanie wartości, degradację postaw. Tomasz Mann nie ukrywał, że przedstawionemu w powieści procesowi patronuje myśl Schopenhauera. Filozof ten (urodzony zresztą w bliźniaczym dla Lubeki mieście, Gdańsku) wychodzi z założenia, że świat rządzi się trwałym porządkiem, a żyjący w nim ludzie przypisani zostali swym rolom – jak Buddenbrookowie. Ponieważ świat jest wolą, wiele zależy od tego, czy i jak się ją zmobilizuje. Właśnie za radą Schopenhauera czczącego „wierność i rzetelność”, przestrzegającego przed utratą tych duchowych dóbr, Tomasz Buddenbrook każdego dnia, aż do zmęczenia „duchowego materiału”, mobilizuje wolę życia według norm Buddenbrookowskich. Inaczej niż dziad i ojciec strzeże już on jednak zaledwie iluzorycznego porządku. Życie przestało być bowiem historią bez niespodzianek. Uświadamiają to uchybiające tradycji epizody życia rodzinnego (małżeństwa Toni), postępująca biologiczna degeneracja (Christian), rewolucyjne wydarzenia w życiu publicznym (rok 1848).

Na przykładzie Tomasza

Buddenbrooka możemy dokładnie prześledzić dzieje Buddenbrookowskich wartości.

Pracowity, punktualny,

„przeznaczony od urodzenia na kupca”, nieco oschły, dość powierzchownie rejestrujący życie własne i innych – ale kronikę Buddenbrooków prowadzący „z niemal religijnym kultem dla faktów”; krytykujący Christiana, mówiący do siostry: „A równowaga, postawa to podług mnie sprawa najważniejsza” – zdaje się pilnować trwania swych zasad w planie retoryki i czczego ceremoniału. Wytworna będzie już w jakimś momencie nie sama „duchowa forma życia”, lecz jego powierzchnia. „Spokojny i zamknięty wyraz twarzy” to nie znak harmonii ducha, ale maska. Zmysł porządku szuka ujścia w zewnętrznych rekwizytach życia. Pedanteria Tomasza Buddenbrooka „wzmogła się aż do dziwactwa”, on sam zaś stał się z „wrodzonej skłonności do wszystkiego, co najwytworniejsze i najbardziej arystokratyczne” człowiekiem „nieco pretensjonalnym”. Lubecki senator, „zawsze taki diabelnie elegancki, z tymi mankietami i jedwabnym krawatem” w dużej mierze składa się niejako z pozorów. Deklarując kult „wierności i rzetelności”, uprawia tak naprawdę kult sztafażu.

Składnikiem tej postawy wydaje się także podążanie przez Tomasza Buddenbrooka za radą Schopenhauera, aby nie angażować się uczuciowo w realia, a stan rzeczy oceniać z ocalającego dystansu. Przyjęty dystans uniemożliwia jednak choćby podjęcie konkurencyjnej walki o gospodarczy wpływ, o rynek – w stylu, jaki przyniosła z sobą nowa, bezwzględna formacja ludzi interesu. Także ten czynnik przyczynił się do upadku rodziny z domu przy Mengstrasse 4.

Uczniem Schopenhauera nazwać też trzeba elegancko_chłodnego narratora, dla którego dystans, jeden z odcieni poznającej ironii, stanowi podstawę i jednocześnie warunek przenikliwej diagnozy, jaka postawiona została niemieckiemu mieszczaństwu – fundamentowi społecznej budowli w tym kraju. „Buddenbrookowie” mają dzięki temu w literaturze niemieckiej tę samą rangę, jaką w piśmiennictwie angielskim zdobył „Klub Pickwicka” Dickensa, a we francuskim „Komedia ludzka” Balzaka.

Nie mniej poczesne miejsce zajmuje ta powieść w dziele samego Tomasza Manna. Fakt, że to ona uhonorowana została w 1929 roku literacką Nagrodą Nobla (a nie np. „Czarodziejska góra”), traktować należy jako ciekawostkę. Ważniejsze wydaje się to, że zawiera ona pierwszy w twórczości Tomasza Manna zwiastun przyszłego zdystansowania się (co nie znaczy: porzucenia) wobec „demonicznego” dziedzictwa romantyzmu i opowiedzenia się po stronie jasnej tradycji porządku. Pokolenie, od którego datuje się upadek rodziny, schyłkowe nie tylko w znaczeniu fin de siècle’u (od śmierci Hanno do przełomu wieków minie wszak ćwierćwiecze) toczy walkę z żywiołem moralnego wyrodzenia, żywiołem irracjonalnym, mrocznym; walkę tę godnie przegrywa. To wystarczy jednak, aby uznać „Buddenbrooków” za ważne, „dialektyczne” ogniwo w światopoglądowym rozwoju pisarza, umieszczone niczym wielki ekskurs między dekadencjami w atmosferze najwcześniejszymi nowelami, a nie mniej dekadencją „Tonio Krögerem” (1903). Na następną, pełniejszą manifestację jasnego dziedzictwa porządku przyjdzie poczekać z górą dwa dziesięciolecia – do czasu ukazania się „Czarodziejskiej góry” i narodzin „jasnego” wnuka Buddenbrooków – Lodovico Settembriniego.

Jerzy Łukosz

Spis treści

[Dzieje upadku rodziny](#)

I